

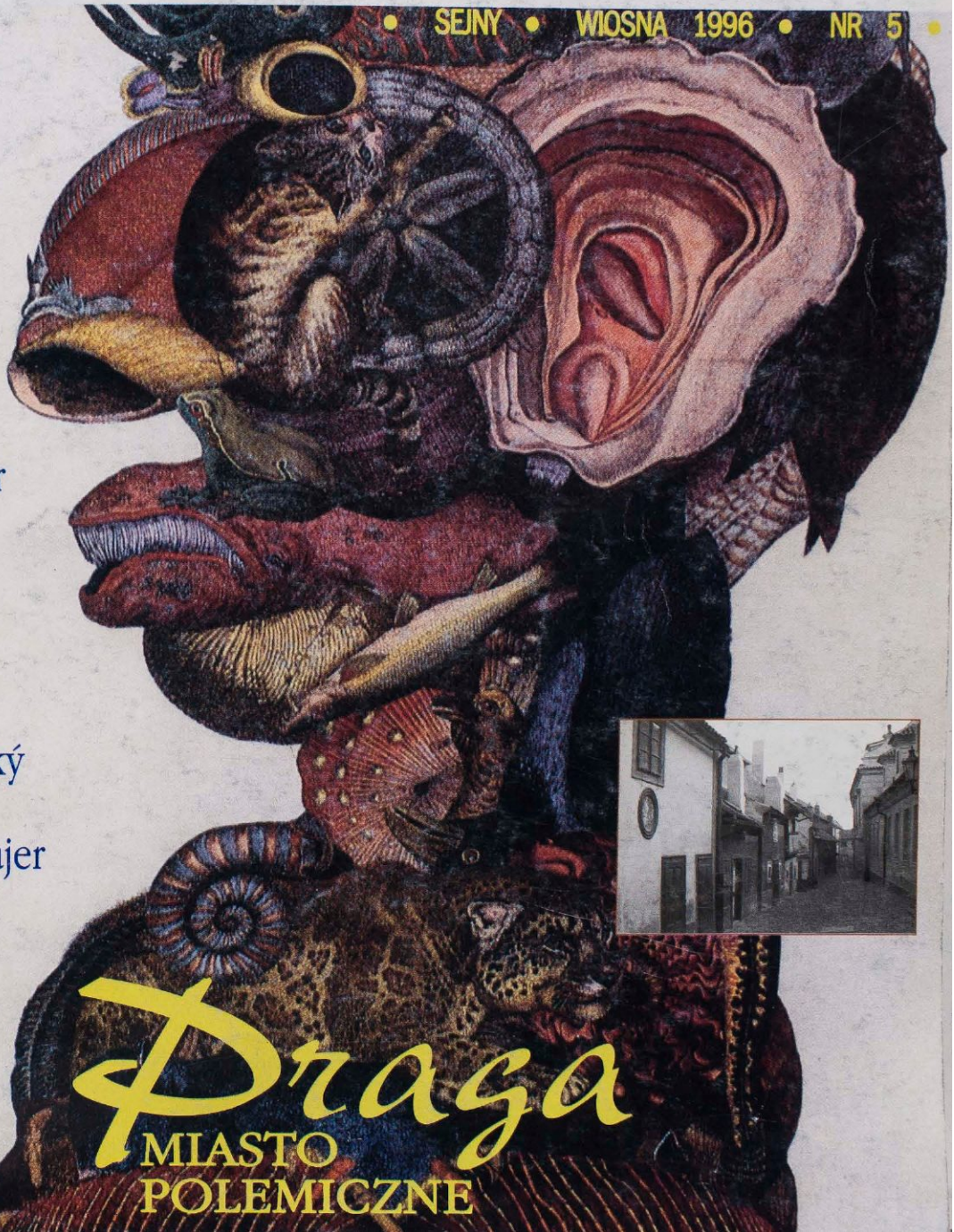
• NARODY • KULTURY • MAŁE OJCZYZNY EUROPY ŚRODKOWO WSCHODNIEJ •



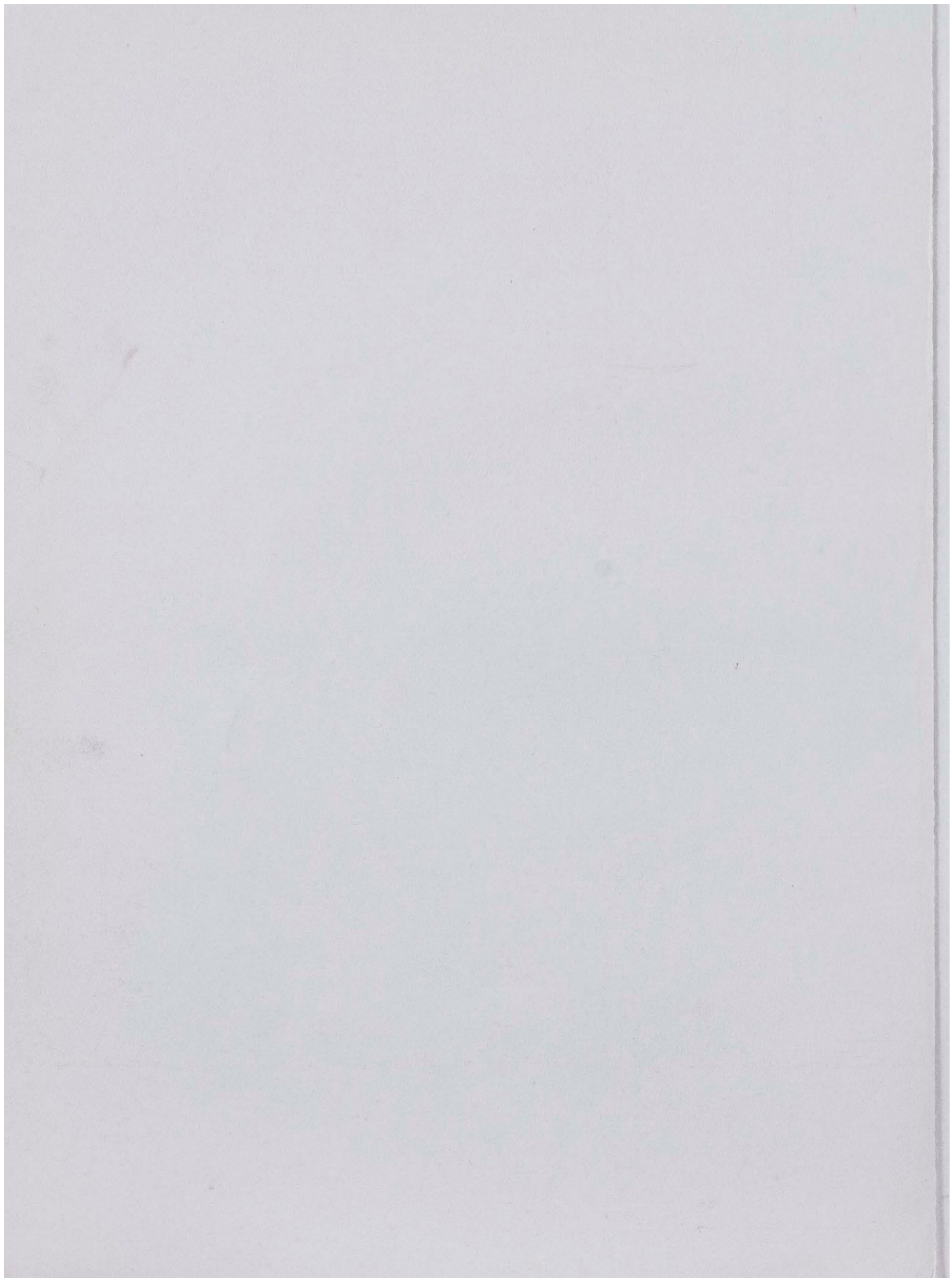
KRASNOGRUDA

• SEJNY • WIOSNA 1996 • NR 5 •

Holan
Kolař
Krouťvor
Nezval
Plečnik
Patočka
Rilke
Seifert
Škvorecký
Sudek
Švankmajer
Topol
Urzidil



Draga
MIASTO
POLEMICZNE



• NARODY • KULTURY • MAŁE OJCZYZNY EUROPY ŚRODKOWO-WSCHODNIEJ •

KRASNOGRUDA

SSJAY

WIOSNA

1996

wiosna '96



KRASNOGRUDA

WIOSNA '90

● NARODY ● KULTURY ● MAŁE OJCZYZNY EUROPY ŚRODKOWO-WSCHODNIEJ ●

KRASNOGRUDA

● SEJNY ● WIOSNA 1996 ● NR 5 ●



Redaktor naczelny
Krzysztof Czyżewski

Zespół

Marzanna Bogumiła Kielar,
Marcin Niemojewski,
Vladimir Petrilak,
Rolandas Rastauskas

Redaktor

Zbigniew Fałynowicz

Layout

© Cezary Kielar

Opracowanie graficzne okładek
Cezary Kielar

Na pierwszej stronie okładki:
Jan Švankmajer:
Głowa Arcimbolda

Na czwartej stronie okładki:
Wiesław Szumiński:
Dom Gniazdo Świątynia

Wydawca

Ośrodek „Pogranicze – sztuk,
kultur, narodów”

Adres redakcji

KRASNOGRUDA
16-500 Sejny
ul. J. Piłsudskiego 37
tel. (087) 162 189, 162 765
fax (087) 666 587

ISSN 1230-7645

Spis treści

FORUM

- JOSEF KROUTVOR: Praga – miasto polemiczne. Przeł. Vladimír Petrilak 10
RAINER MARIA RILKE: Król Bohusz. Przeł. Małgorzata Zemła 14
PETER DEMETZ: Czeskie tematy Rilkego. Przeł. Małgorzata Zemła
JOHANNES URZIDIL: 11 czerwca 1924. Przeł. Barbara Surowska 39
JOSEF ŠKVORECKÝ: Historia Kukulki. Przeł. Jan Stachowski 45
SIMCHE KELLER-SKOWROŃSKI MAŁGORZATA BURZYŃSKA-KELLER: Prag keter, ha-olam ir wa-em
be-Israel... 55

PRACOWNIA ARCHITEKTURY JOSIPA PLECNIKA

- ZDENEK LUKEŠ: Dłaczego Plečnik?. Przeł. Tomasz Wyszkowski 64

ZAUŁEK LITERACKI

- VÍTĚZSLAV NEZVAL: Praga o palcach z deszczu. Przeł. Zbigniew Machej 69
JAROSLAV SEIFERT: Wiersze. Przeł. Zbigniew Machej 72
VLADIMIR HOLAN: Wiersze. Przeł. Jacek ILLG 76
WOJCIECH WENCEL: Praga 79
ZBIGNIEW MACHEJ: Wiersze 80
MIROSLAV HOLUB: Wiersze. Przeł. Józef Waczków 82
KAROL SIDON: Mamusia śpiewa drugim głosem. (fragment) Przeł. Vladimír Petrilak 85
DANIELA HODROVÁ: Dzień Peruna. (fragment) Przeł. Leszek Engelking 91
JÁRA CIMRMAN: Zdobycie bieguną północnego przez Czecha Karola Niemca 5 kwietnia 1909.
Przeł. Vladimír Petrilak 98

PRACOWNIA JIŘEGO KOLÁŘA

- Z cyklu Szydł Gersainta. Odpowiedzi. Przeł. Andrzej Jagodziński 112

BRACTWA NARODOWE

- MARTIN C. PUTNA: Praga rosyjska. 1921-1945. Przeł. V. P. 118
BOHDAN ZILYNSKÝ: Uciekinierzy z „Hellady stepu” w sercu Europy. Przeł. V. P. 126

TEREZIN

- Getto w Terezynie 132
JOSEF BOR: Terezińskie rekwiem. (fragmenty) Przeł. Janusz Zychowicz 133
ALBRECHT DÜMLING: Muzyka w Terezynie. Przeł. Tomasz Wyszkowski 140

PERYFERIA

- JÁCHYM TOPOL: Wycieczka do hali dworcowej. Przeł. Vladimír Petrilak 144
Underground - to ja! Rozmowa z pisarzem Jáchymem Topolem o kulturze podziemia, grupach
z marginesu i jego nowej książce. Przeł. V. P. 147
JOSEF KROUTVOR: Praga mizerna. Przeł. V. P. 149
MICHAL AJVAZ: Holeszowice. Przeł. Leszek Engelking 153
PAVEL ŠRUT: Spotkanie ze słońcem na kuli ziemskiej Žižkov. Przeł. V. P. 155
RENATA WEINEROVA: Romowie w Pradze. Przeł. Tomasz Wyszkowski 158

Pracownia surrealizmu

- PETR KRÁL: Fotografia w surrealizmie. Przeł. Tomasz Wyszkowski 166

KRĘGI WTajemniczenia

- PETR KRÁL: Praga, miasto spotkań. Przeł. Katarzyna Filgas 172
BISERKA RAJČIĆ: Surrealistyczna Praga. Przeł. Danuta Cirić-Straszyńska 177
VÍTĚZSLAV NEZVAL: Wiersze. Przeł. Leszek Engelking 182
JOSEF KROUTVOR: Praga, miasto ostrych krawędzi. Przeł. Vladimír Petrilak 183

PRACOWNIA JANA ŠVANKMAJERA

Transmutacja zmysłów. Z tekstów programowych i wywiadów. Przel. Tomasz Wyszowski 190

DROBIAZGI 197

FRANTIŠEK KAUTMAN: O prostytucji narodu czeskiego. Przel. V. P. 198

RAYMOND REHNICER: Praga – światowa metropolia?. Przel. V. P. 201

MIROSLAV HOLUB: Mogło być gorzej – literatura czeska w latach dziewięćdziesiątych. (Przel. Józef Waczków 204

JOSEF KROUTVOR: Hołd Ripellinowi. Przel. V. P. 208

JOSEF FORBELSKÝ: „Europe Centrale”. Przel. V. P. 210

WITRYNA 213

CENTRAL EUROPEAN UNIVERSITY PRESS S. Perival: *Notions of Nationalism*; R. Pynsent: *Questions of Identity*; J. Musil: *The End of Czechoslovakia*; INSTYTUT EUROPY ŚRODKOWO-WSCHODNIEJ; O. Halecki: *Historia Europy – jej granice i podziały*; J. Szücs: *Trzy Europy; The Everyman Companion to East European Literature; Mittel Europa. Rediscovering the Style and Design of Central Europe*; A. Fiut: *Pytanie o tożsamość*; L. Šatava: *Národnosti menšiny v Europe; Narody i stereotypy; „Trafička”*; I. Diviš: *Teorie spolehlivosti; Atlas of Central Europe; Česke a moravské lidové balady; Dvořák in Prague; The Sacred Bridge Jews and Christians in Medieval Europe; Sephardic Songs; Bohemian Sancti*; BIBLIOTEKA KRASNOGRUDY; A. Bartosz: *Nie bój się Cygana*; G. Kanowicz: *Koziołek za dwa grosze*; T. Lubkiewicz-Urbanowicz: *Boża podszewka*; A. Jackowski: *Na skróty*; G. Ajgi: *Tutaj; Antologia poezji słoweńskiej*; D. Karahazan: *Sarajewska sevdalinka*; Biblioteka Pisarzy Sarajewa; D. Beauvois: *Walka o ziemię na Ukrainie*; **WITRYNA W ŚRODKU NUMERU**: J. Serke: *Böhmische Dörfer*, s. 30; T. Staně: *Německa menšina v českých zemích 1948-1989*, s. 52; J. Fiedler: *Jewish Sights of Bohemia and Moravé. 1894 1917-1945. 1994*, s. 128; *Musica Rediviva*, s. 140; J. Topol: *Sestra*, s. 145; A. Krzyszoń: *Czas bez skarg*, s.233

ŚWIECE NA WIETRZE

KAREL KRYL: Wiersze i pieśni. Przel. Renata Putzlacher 230

GODZINA MYŚLI

JAN PATOČKA: Człowiek duchowy i intelektualista. Przel. V. P. 236

TIMOTHY GARTON ASH: Praga: intelektualiści i politycy. Przel. Łukasz Sommer 239

VACLAV HAVEL: Czas przełomu. Przel. V. P. 251

CONTENTS 255

FOTOGRAFIE

Josef Sudek s. 33, 35, 37, 74, 75, 176, 197;

Viktor Stoilov s. 45, 84, 144, 172;

Josef Platz s. 48, 49;

Karel Cudlín s. 142, 143, 150, 151, 152, 159, 160, 162, 164, 175;

Rudolf Bruner-Dvorak s. 171

RYSUNKI

Marcin Wicha s. 91, 92, 95, 97, 251, 252, 253; Adolf Hoffmeister s. 68;

Fritta (Bedřich Taussig) s. 134, 135; Petr Kien s. 140, 141; František Kupka s. 198

KOLAŻE

Karol Taige s. 71, 177, 182

MALARSTWO

Iva Hütnerova s. 100, 102, 103, 105, 106, 107, 108, 110

Josef Čapek s. 184

Bohumil Kubista s. 185

Redakcja *Krasnohudy* zaprasza do współpracy.

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.

Zastrzegamy sobie prawo do wprowadzania zmian i skrótów

Prowadzimy sprzedaż pisma za zaliczeniem pocztowym.

Warunki prenumeraty:

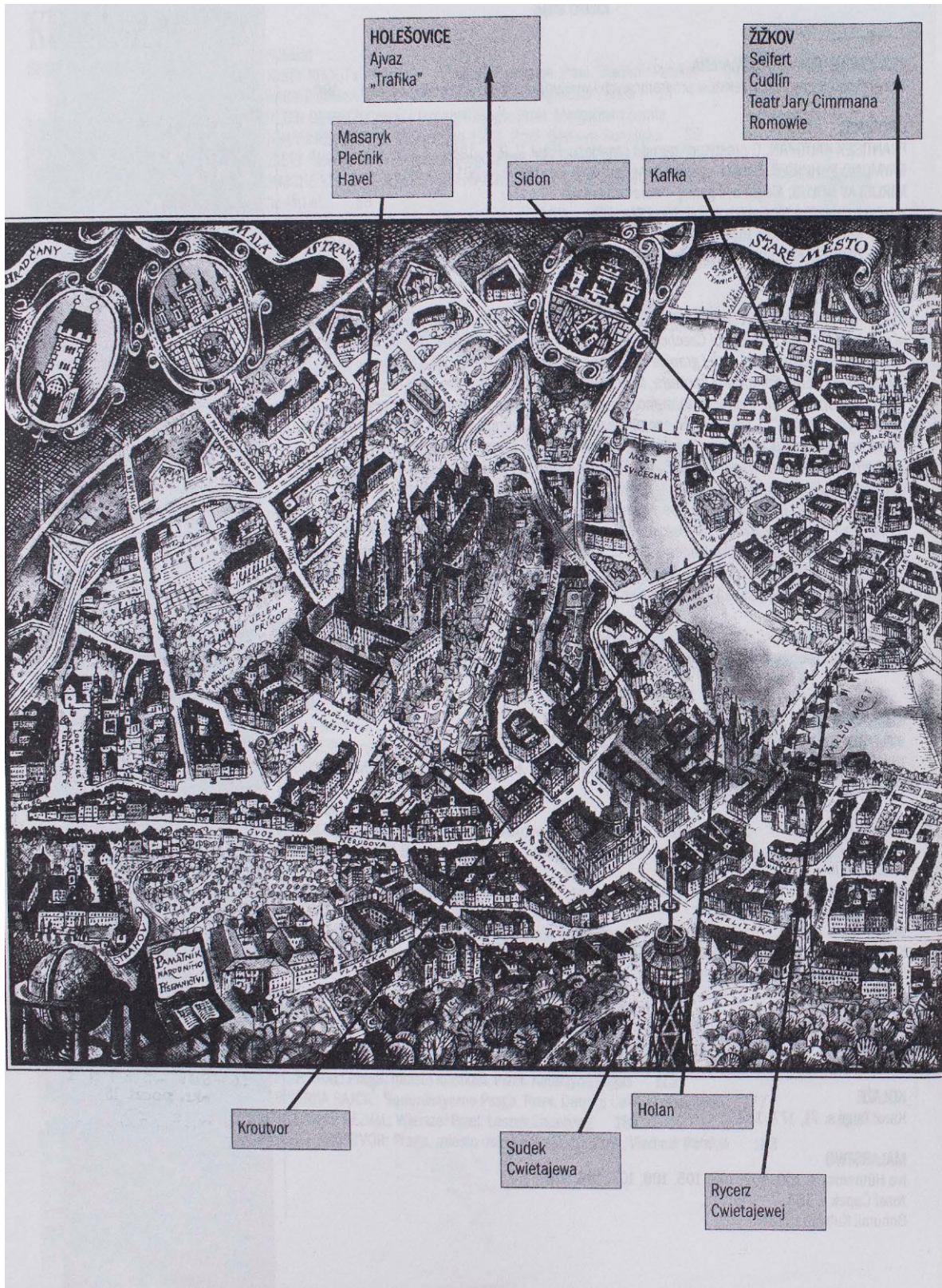
Prenumerata roczna (4 numery pisma) – 15 zł.

Prenumerata półroczna (2 numery pisma) – 7.5 zł.

Prenumerata zagraniczna –
– 50 USD.

Konto: Ośrodek „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów”
Bank Spółdzielczy Sejny
879127-979348-622-27
(z dopiskiem KRASNOGRUDA).

Centrum Dokumentacji Kultur Pogranicza
OŚRODEK
POGRANICZE – SZTUK, KULTUR, NARODÓW
ul. Piłsudskiego 37, tel. 189
16-500 SEJNY
skr. poczt. 15
oz. 3052V

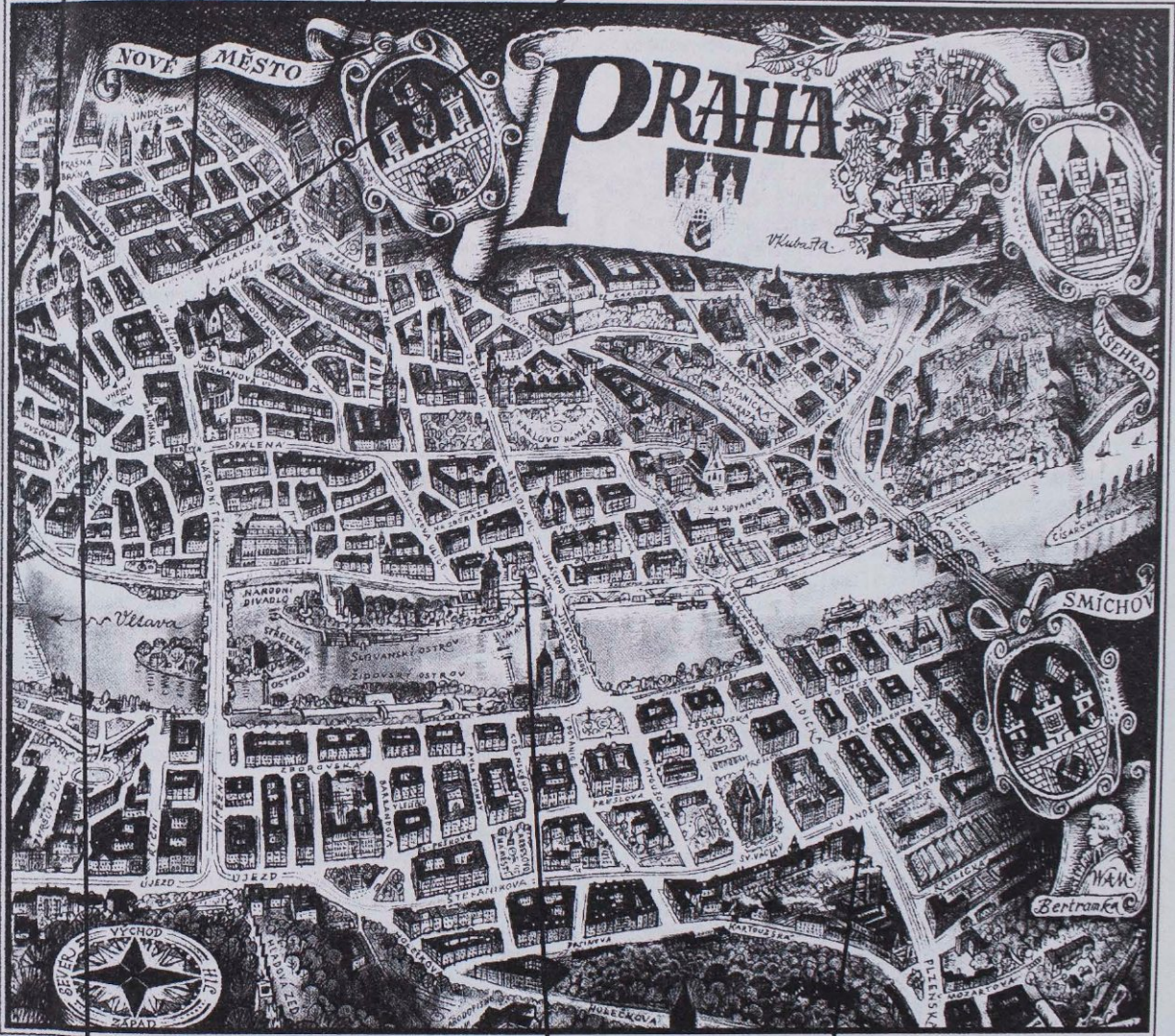


UNIwersytet
KAROLA
Patočka
Hodrova

Rilke

DWORZEC KOLEJOWY
Nezval
Škvorecký
Kolař
Kryl
Král

Machej



Švankmayer

Olga i Vaclav
Havlowie

Topol

Od Redakcji

Piąty numer „Krasnogrudy” poświęcony jest w całości jednemu miastu. Miejsce mapy Europy Środkowo-Wschodniej zajmuje plan środkowo-europejskiej metropolii.

Od samego początku istnieje organiczny związek pomiędzy budową naszego pisma, układem poszczególnych jego działów, a przestrzenią miasta. Od samego początku też planowaliśmy przygotowywanie co jakiś czas takiego materiału, który całą swoją uwagę kierowałby ku jednemu punktowi na mapie, aby tam dopiero, jak w soczewce, dostrzec rozmaitość współistniejących ze sobą języków, tendencji, światopoglądów.

Nasz pierwszy wybór padł na Pragę i z pewnością nie jest to wybór przypadkowy. Gród Wacława najszybciej chyba z dużych miast tej części Europy przebudził się z odrętwienia i marazmu epoki socjalistycznej. Obok dynamiki gospodarczej, rozwijającego się handlu i nowych inwestycji, ożył także mit „Złotej Pragi”, jej wspaniałego dziedzictwa kulturowego, powróciły wygnane dusze Kafki i Arcimbolda. Nadszedł czas znakomitej koniunktury miasta, bogacenia się, coraz bardziej wystawnych witryn sklepowych, a przede wszystkim ogromnej rzeszy turystów z całego świata. W efekcie to oni zawiązały miastem, a wraz z nimi zachodnia kultura w stylu Mc Donalda. Pracy artyści i mistycy ożywają głównie jako atrakcje turystyczne, powielane nieskończoną ilość razy w rozmaitych folderach, reklamówkach, plakatach... Odmalowany na pstrakato Rynek Staromiejski, wyczyszczone sterylnie podwórka, ekskluzywne restauracje zamiast tanich „czwórek”... – to wszystko przypomina prażanom okres sprzed stu lat, kiedy to kierując się higieną i nowoczesną estetyką zburzono getto żydowskie i przebudowano Stare Miasto, z wielką stratą dla jego atmosfery i uroku.

Praga dzisiaj, ta Praga – która kazala słynnemu handlarzowi starzyzną, Čapkowi, wynieść się ze śródmieścia i ustąpić miejsca jakiemuś sklepowi z aparaturą Hi-Fi – ta Praga dzisiaj „wdzięczy się przed turystami aż do utraty godności” (M.Just). Z drugiej jednak strony jest to miasto o wielkim potencjale kulturowym, świadome swej przeszłości, które nie podda się łatwo i będzie broniło niestrudzenie swej tożsamości. Wszak jego moc w tym, że posiada drugie dno, że ukryte w nim jest drugie miasto, do którego docierali kiedyś Rudolf II czy Apollinaire, a dzisiaj czynią to Hodrova czy Ajvaz.

Nie jest jednak łatwo odpowiedzieć na pytanie o ducha współczesnej Pragi. Powiedzieć, że żyje przeszłością, to powiedzieć tyle, że obumiera, a to nieprawda. Kiedyś było to miasto wielokulturowe, siłą swą czerpiące ze spotkania kultury czeskiej, niemieckiej i żydowskiej. Później jeszcze nadeszła, przychylnie przyjęta przez samego Masaryka, poremowolucyjna fala emigracji z Rosji i Ukrainy, która nie była może liczna, ale za to dała miastu Praskie Koło Lingwistyczne czy poezję Cwietajewej.

Rozmaitość stykających się ze sobą kultur wytworzyła niepowtarzalną atmosferę ówczesnej Pragi, a jej kosmopolityzm najlepiej wyraził Johannes Urzidil w powiedzeniu „Ich bin hinternational” (Jestem poza-narodowy).

Niemniej ten styk oznaczał również polemikę, ścieranie się, konflikt i ta konfrontacyjna strona współistnienia przybierała stopniowo na sile. Rilke już jako młody człowiek musiał poradzić sobie z niemieckim

nacjonalizmem i poczuciem wyższości wszczepionym mu przez matkę. Opowiadanie *Król Bohusz* to znakomite świadectwo pracy jaką włożył Rilke w poznanie i zrozumienie innego, czeskiego środowiska, w przełamanie stereotypów pokutujących w jego własnym, niemieckim świecie. Ale takich postaw było już coraz mniej w Pradze. Do głosu dochodził skrajny nacjonalizm, a więc głuchy na wszelką polemikę monolog każdej ze stron, który musiał nieuchronnie doprowadzić do tragedii. Dzisiejsza Praga to miasto bez Żydów, których spotkała zagłada m.in. w Terezynie, i bez Niemców, których wypędzono. O ludzkich losach bezlitośnie uwikłanych w to pasmo tragedii opowiada niezwykła *Historia Kukutki Škvorecký’ego*. Nie ma dzisiaj wielonarodowej Pragi. Rzesze turystów z Izraela czy z Niemiec to przecież nie to samo, co prasy Żydzi czy Niemcy. Dzisiaj są prasy Amerykanie, których szacuje się tutaj na kilkadziesiąt tysięcy, i choć mają oni kilka ciekawych propozycji kulturalnych, jak choćby pismo literackie „Trafika”, jednak to jeszcze wciąż mało, aby mówić o polemice. Pozostają więc ciągle niezwykle pracowite praskich artystów i pisarzy, tych już nie żyjących: Plečnika, Sudka, Teigeo, Nezvala, Seiferta, Holana, Krýla, ale także Švankmajera, Kolařa, Krála, Holuba, Sidona, Hodrovej, Topola, Ajvaza. To w nich żyje i odradza się duch Pragi, podobnie jak w niepowtarzalnym humorze Teatru Járy Cimmana, czy w rozważaniach filozoficznych Patočki i Havla.

Skoro śródmieście okupowane jest przez turystów i żyć się tam nie da, centrum Pragi, jej duch twórczy, przenosi się na peryferie i tam żyje, na Žižkovie, Smíchovie, Holešovicach... albo w hali dworcowej. To tam prowadził nas trop Jáchyma Topola, najwybitniejszego spośród pisarzy młodej generacji, czy też trop znakomitych fotografii Karela Cudlína; to tam poszukują oni swojej Pragi, podziemnej, zamieszkiwanej przez „innych” (Romów, Wietnamczyków), żywej.

Jest jeszcze Praga „wyszehradzka”, z ambicjami środkowo-europejskiej metropolii, ale dzisiaj to jej oblicze nie ma mocy i wyraźnie ustępuje pola ekspansji z Zachodu. Jesienią ubiegłego roku w Pradze zorganizowany został miesiąc poświęcony Bośni i Hercegowinie, podczas którego odbywały się rozmaite prezentacje kulturalne i seminaria. To, co rzucało się w oczy, to kontrast między zatłoczonymi deptakami i kawiarniami, a zięjącymi pustką miejscami spotkań z twórcami z Bośni.

Szczęśliwa Praga jest daleka od Sarajewa i do głowy jej nie przychodzi, że mógłby ją spotkać podobny, tragiczny los. Ludzie zamroczeni trochę konsumpcją, wpatrzeni w witryny sklepów i od czasu do czasu w stare mury i freski, w zachwycie nad przeszłością, umykający przed dniem dzisiejszym...

A jednak to w Pradze właśnie pewna nić więzi z pobratymczym Sarajewem została nawiązana i wielka w tym zasługa „Pana na Hradzie”, Vaclava Havla. On z pewnością zna tajemnicze wejścia prowadzące do ukrytego miasta, a także do korytarzy układających się w niezwykły splot powiązań pod całą Europą Środkowo-Wschodnią.

Krzysztof Czyżewski

Dziękujemy bardzo Zbigniewowi Machejowi i Instytutowi Polskiemu w Pradze za pomoc w przygotowaniu tego numeru.

Forum



KROUTVOR
RILKE
URZIDIL
KAFKA
ŠKVORECKÝ
ŽYDZI PRASCY

JOSEF KROUTVOR

Praga – miasto polemiczne

Max Brod, przyjaciel Franza Kafki, określił Pragę (tę Pragę, w której przed pierwszą wojną światową żyli wspólnie Czesi, Niemcy i Żydzi) jako miasto polemiczne. Obecność trzech narodowości, które współtworzyły specyficzną atmosferę, ma swoją stuletnią tradycję. Po niemiecku mówili kupcy, urzędnicy, a także często Żydzi. Wyraz „polemika” trafnie oddaje nie tylko motyw ciągłej dyskusji, ale przypomina również chwile narodowościowych sporów i sprzeczek. Muzeum Narodowe – to jakby głowa placu Waclawa, swoistej urbanistycznej formacji: na wpół placu i na wpół bulwaru. Do dolnej części placu dochodzą dwie ważne aleje – Národní třída (Aleja Narodowa) i Příkopy (Fosy). Národní třída była zawsze czeskim deptakiem, podczas gdy Příkopy opanowali Niemcy. Na obu deptakach można było spotkać różnych osobników, grupy dyskusyjne i znajomych. Jedną z często wspomnianych postaci był między innymi ojciec przyszłego wielkiego polskiego, niemieckiego poety Rainera Marii Rilkego. Czeski deptak kończył się pod Teatrem Narodowym, który Czesi z dumą i szacunkiem nazywali „złotą kapliczką”. Niemiecki deptak charakteryzowały raczej „światowe” kawiarnie, przede wszystkim zaś pierwsza praska kawiarnia secesyjna „Corso”. Na tejże ulicy (Příkopy) stał też tzw. Dom Niemiecki, miejsce wielokrotnych prowokacji i skandali wzniesionych przez niemieckich studentów.

Czeski i niemiecki deptak obok siebie – to przypomina nam o współżyciu w ciasnym sąsiedztwie trzech narodowości, nieustannie przygotowanych do prowadzenia między sobą polemiki. Miasto jest podzielone przez widzialne i niewidzialne granice, nieuniknione są tu więc również newralgiczne miejsca i napięcia. Na dodatek nowoczesne miasto potrafi także histeryzować, wywoływać psychozy, nastroje nacjonalistyczne, paniki i rozsiewać pogłoski. Do wzajemnego współzawodnictwa dochodzą nowe elementy i siły związane raczej z ekonomicznymi, politycznymi i ideologicznymi roszczeniami niż z miłością do języka i dobrymi patriotycznymi zamiarami. Czeskie Odrodzenie Narodowe i stawiająca pod jego wpływem swe pierwsze kroki czeska polityka, stosunek Czechów i Niemców pojmują jako walkę o język, o własne szkolnictwo i urzędową reprezentację w języku ojczystym. „Punktacje” [niemiecko-czeskie porozumienie w sprawach językowych – przyp. tłum.] z końca lat osiemdziesiątych – to ostatnia próba pojednania w braterskim duchu, którą unicestwiła młodoczesi (czeskie radykalne skrzydło polityczne). Potem nadchodzi już czas konfrontacji, gdy akcentowanie narodowości staje się już zbyt ostrym wyostreniem kwestii własnego prestiżu.

W latach dziewięćdziesiątych spór narodowościowy przesuwano się ze sfery językowej w sferę gospodarczą; rywalizacja staje się bardziej widoczna i znajduje odbicie w prasie, reklamie i ulicznych bójkach. Ogłoszenia i plakaty zwracają się do klientów podkreślając kwestię narodowościową, apelują do uczuć narodowościowych. Reklama czeska zwalcza niemiecką konkurencję i pakuje swoje produkty w narodowe sentencje, proklamacje i hasła. 30 stycznia 1897 roku doszło w Pradze do poważnych zamieszek, w których nie zabrakło także rabowania niemieckich sklepów i domów. Dramatyczne wydarzenia zauważył również czeski malarz Ludýk Marold i odnotował je dla pisma „Svýtovor”. Jego rysunek, obejmujący całą stronę, wyraźnie zdradza sympatie dla zaatakowanych obywateli, a policję przedstawia niczym wściekłą sforę. Nowe czasy są właściwie o wiele mniej tolerancyjne, każdy pretekst do zderzenia jest dobry. Rozruchy narodowościowe wzmagają się i zamieniają w burze i wstrząsy. Od dziewięćdziesiątych lat szerzy się w Pradze nowoczesna zaraza szowinizmu, nacjonalizmu, antysemityzmu i podobnych animozji.

Johanes Urzidil w autobiograficznym opowiadaniu *No-woroczny karnawał* opisuje typową konfliktową scenę, która była w Pradze końca zeszłego wieku nader częstym zjawiskiem. *Przed hotelem „Pod złotą gęsią” odgrywała się hulaśliwa wymiana poglądów między dwoma pijanymi grupami, z których jedna składała się z niemieckich burszackich studentów, a druga zaś z czeskich cywilów. Obozy te próbowały wzajemnie się przekonać o swoim prawie do egzystencji, posługując się soczystymi przekleństwami i jednoznacznymi okrzykami. Policjant z zielonymi piórami próbował przerwać kłótnie wytrwałym wołaniem: „Panowie, proszę się rozejść!”, ale nikt nie zwracał na niego uwagi, posterunkowy więc od czasu do czasu dołączał słowa „W imię prawa!” Wykrzykiwano groźne hasła typu: „Powszechne prawo wyborcze” i „Sąd wojewódzki w Mladá Boleslav”; aż ktoś ni stąd, ni z owąd wygłosił przemówienie, zakończone stwierdzeniem: „Rękopis kralowedworski* dowodzi, iż kultura czeska jest starsza od niemieckiej”. W odpowiedzi na to studenci zakrzyczeli, że ów rękopis to oszustwo, lecz mówca wyraźnie ogłaszał: „Gdy Niemcy jeszcze spali na niedźwiedzim futrze i żywili się żółędziami, my, Czesi, jedliśmy już pączki z powidłami”. Ta rewelacja wreszcie wywołała długo oczekiwaną ogólną bójkę, a w ogólnej urzwawie od czasu do czasu można było wylowić błagalne wołanie posterunkowego, którego wszyscy mieli w nosie. Tak oto więc wyglądała polemika – wyostrzona aż do głośnego skandalu – w relacji prawdziwego humanisty Urzidila, Niemca, czującego po czesku.*

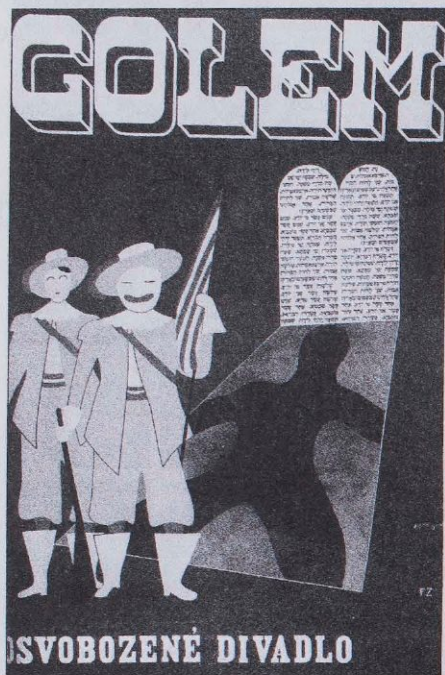
Trzeba powiedzieć, że Niemcy i Żydzi, w porównaniu z ludnością czeską, tworzyli tylko kilkuprocentową mniejszość. Mimo to wpływ niemiecki w Pradze przełomu wieków był duży. Niemcy trzymali w swych rękach kapitał i bezustannie prezentowali się jako klasa bogata. Otóż Praga miała około czterystu tysięcy mieszkańców, z tego trzydzieści tysięcy Niemców, ewentualnie Żydów mówiących po niemiecku.

Żydzi mogą się przyłączyć do Czechów lub do Niemców – oba te warianty historia odnotowała. Lata dziewięćdziesiąte to szczyt przyrostu ludności żydowskiej w Czechach i na Morawach, co znajdzie odbicie w rosnącej liczbie tych, którzy odchodzą do Pragi. Jako przykład może tu posłużyć awans rodu Franza Kafki. Jego dziadek był jeszcze rzeźnikiem wiejskim, ale już ojciec po trudnych początkach, osiedlił się w Pradze. Pod koniec zeszłego



Franz Kafka na Rynku Staromiejskim
(1920-1921)

* Rękopis „odkryty” przez V. Hanke mający udowodnić, iż Czesi posiadają arcydzieło na miarę *Niebelungenlied*. Po zacieklej dyskusjach o prawdziwość i autentyczność okazało się, że chodzi o oszustwo.



Plakat Františka Zelenky do spektaklu *Golem*, Voskovica i Wericha wystawionego w Teatrze Wyzwolonym w Pradze w 1931 roku.

wieku część Żydów optowała za językiem czeskim, niemniej te najsylniejsze dzieła praskiej literatury żydowskiej napisane zostaną ostatecznie po niemiecku. Wśród Żydów odbywa się równocześnie proces samouświadomienia, dążenie do nowego odrodzenia tradycji i wytworzenia samodzielnej, nowoczesnej kultury: Praga polemiczna roku 1900 – to tezy i antytezy, życie miasta ma mnóstwo faset, gładkich i ostrych powierzchni, kaleczących krawędzi.

Prasy Niemcy i Żydzi zajmują wprawdzie znaczącą pozycję społeczną, ale według liczebności przedstawiają jedynie wysepkę, zagubioną w czeskim morzu. Być w Pradze Niemcem, czy po niemiecku mówiącym Żydem, oznacza odczuwać pewien strach i niebezpieczeństwo i obawiać się o los Europy Środkowej. Potrzeba ucieczki z zamkniętego towarzystwa jest oczywista i w tym tkwi przyczyna upodobania niemieckojęzycznej literatury w fantastyce, ciężkim erotyzmie czy też okultyzmie. Czesi nie zagląдают tak dogłębnie w swoje wnętrza, są przekonani o swej sile i przyszłości, nie chorują na kompleksy i neurozę. Niemieckojęzyczni literaci, w przeciwieństwie do Czechów, żyją i tworzą w nienaturalnej, sztucznie utrzymywanej szklarnianej atmosferze, w jakiejś beczasowości własnych wyobrażeń przenoszonych na nieokreśloną przeszłość. Praskie powieści i opowiadania Gustawa Meyrinka czy Paula Leppina wciągają swoich czytelników w boczne, źle oświetlone uliczki, stare kamienice i przedziwne lokale, jakby nowa

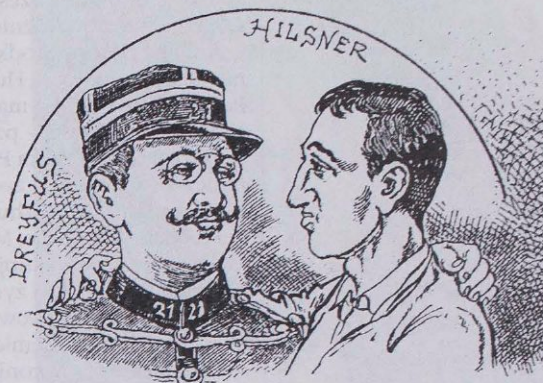
Praga – ta, która tak gorąco wita nowoczesny wiek – w ogóle nie istniała. Wszystkie pragnienia, napięcia i potrzeby, których nie sposób zaspokoić w zwykłym życiu, przesuwają się do sfer irracjonalnych i zmieniają się w praskie demony.

Swoją strach i obcość szczególnie uporczywie przeżywał Franz Kafka, choć również i on szukał sposobu na życie się ze środowiskiem czeskim. Co więcej, Kafka znał nieco język czeski, mógł się lepiej orientować, ale nawet ta umiejętność nie przynosiła mu ulgi. O wiele bardziej otwartym wobec środowiska czeskiego był Franz Werfel, który interesował się czeską historią i literaturą oraz tłumaczył poetów czeskich. Werfel uważał Czechów za znaczący naród europejski, połączony z cywilizacją zachodnią i zabiegający o stabilność Europy Środkowej. Bez obecności Czechów w Europie kontynent byłby narażony na częstsze konflikty między Wschodem i Zachodem. Współżycie Czechów z Niemcami jawiło się Werfelowi jako fakt raczej pozytywny, polemikę traktował on jako katalizator wielkiego procesu twórczego. Dlatego też Werfel zdecydował się w przededniu drugiej wojny światowej wesprzeć sprawę Czechosłowacji i zwrócić uwagę na krótkowzroczną politykę mocarstw zachodnich.

Tak, historia to bezustanny wgląd w przyszłe wydarzenia, to bardziej wyzwanie dla przyszłości aniżeli nauka z przeszłości. Niestety, ciągle popełniamy błędy, ale nie możemy zostać głuchymi wobec głosu historii, w przeciwnym razie cywilizacja europejska i demokracja już by dawno zniknęły. W 1899 roku także Czesi spotykają się po raz pierwszy z niebezpiecznym zjawiskiem nowoczesnego antysemityzmu, który, jak się okaże, w następnym pokoleniu doprowadzi do tragedii. Przed sądem stanął niewinny człowiek, Leopold Hilsner, biedny Żyd z małego miasteczka Polná. Postawiono mu zarzut rytualnego zabójstwa młodej chrześcijańskiej dziewczyny. Sfabrykowane oskarżenie wykorzystano pewną tajemniczość, swoistość, czy też niejasność żydowskich obrzędów religijnych, do których podobno

niezbędna była krew niewinnej dziewczyny. Dowodów oczywiście brak, lecz historia żywi się własną fantazją. Prasa rozpętała kampanię oszczerczą przeciwko Żydom i gdyby nie stanowcza interwencja profesora Masaryka, być może doszłoby do fatalnej pomyłki sądowej. W Czechach antysemityzm nie znalazł żyznej gleby, wypędzono go z przyzwoitego towarzystwa na margines, gdzie będzie sobie wegetował. Wielu Żydów żyje się z czeskim środowiskiem Pierwszej Republiki i republikę przyjmie za swój prawdziwy dom. Zresztą - to jest właśnie odpowiedź na pytanie, dlaczego czescy Żydzi tak długo ociągali się z wyjazdem, mimo że faszystowskie śmiertelne uderzenie było już blisko. Czescy Żydzi ugrzęźli w pułapce, albowiem przedwojenna demokracja oferowała im pewność jutra i ojczyznę, do której tak bardzo lgnęli aż do ostatniej chwili. W 1902 roku Pragę odwiedził Guillaume Apollinaire, wówczas jeszcze mało znany poeta i nie akceptowany prorok nowoczesnej poezji. Stara Praga, historyczne miasto, od razu urzekło Apollinaire'a i stało się bodźcem do opowiadania *Praski przechodzień*. Apollinaire z początku próbował porozumiewać się po niemiecku, aż do chwili, gdy jeden z Czechów doradził mu, by posługiwał się raczej francuskim. Praga w tym czasie świętowała okazale setną rocznicę urodzin Wiktora Hugo. Jubileusz obcego poety skupia powszechną uwagę do tego stopnia, że przeradza się w święto narodowe, kulturalne, ale przede wszystkim - w polityczną manifestację. Praga dystansuje się od Wiednia i Monachium i chętniej zwraca się ku odległemu Paryżowi. Po powrocie z długiego spaceru przez miasto, podczas którego Apollinaire odwiedził Praski Zamek, zatrzymuje się w knajpie, pobrzmiwającej muzyką. Gdy obecni zorientowali się, iż nieznamy mężczyzna to Francuz, zagrali na jego cześć *Marsyliankę*. Także to jest świadectwem rozjątrzonej atmosfery miasta, sympatii, antypatii i w ogóle stanu opinii publicznej.

Podczas swej praskiej wizyty Apollinaire zapoznał się z dziwnym, starszym, tajemniczym mężczyzną w długim płaszczu i szerokim czarnym kapeluszu. Ten mężczyzna to nikt inny niż legendarny Wieczny Żyd, Ahasver, mityczna postać ucieleśniająca wieczny niepokój i tułaczkę. Któż odgadnie, czy w jego niespodziewanym objawieniu się nie ma udziału także CZAS, jego problemy, wliczając w to „hilsneriadę”, czeski wariant afery Dreyfusa? Z problematyką żydowską łączy się także często omawiana kwestia asenizacji starego praskiego getta, gdzie zderzają się interesy przedsiębiorców z tradycją i kulturą. Jak gdyby intuicja poetycka Apollinaire'a wyczuła, iż temat żydowski porusza miasto i ma wpływ na charakter polemiki. Wieczny Żyd pojawia się w napiętej sytuacji, tylko w takim trudnym czasie wynurza się z głębin nieświadomości i wychodzi na ulice niczym poseł, który ostrzega.



Antysemickie karykatury z okresu sprawy Hilsnera, Praga 1899-1901.



Nowa orientacja czeskiej kultury na Paryż to wynik dążenia do jak naj-wyraźniejszego odróżnienia się od kultury niemieckiej określającej życie kulturalne Europy Środkowej. W 1902 roku Praga nie tylko obchodzi rocznicę urodzin Wiktora Hugo, ale także wspaniale wita rzeźbiarza Augusta Rodina. W 1907 roku mają w Pradze wystawę francuscy impresjoniści, a w kilka lat później - paryscy kubiści: Picasso, Braque, Derain i inni nowocześni malarze. Czeska Praga przyjmie francuski kubizm tak konsekwentnie, że uczyni z niego styl życia. Praga wymyślała sobie kubistyczne meble, kanciaste szafy i krzesła, zbudowano tu także kubistyczne domy, których nie ma nigdzie na świecie. Można zaryzykować stwierdzenie, że znaczenie i wartość czeskiego kubizmu są porównywalne z niepowtarzalnym stylem praskiej niemieckiej i żydowskiej literatury przedwojennego okresu. Konstruktywne dążenie nowoczesnej wrażliwości było Czechom zdecydowanie bliższe, natomiast niemieckojęzyczni pisarze raczej przeczuwali zbliżające się zniknięcie form, koniec jednej epoki.

Praga roku 1900 - to miasto żywej polemiki trzech narodowości, owoce której dojrzewają stopniowo, niekiedy dopiero po wojnie. Praska literatura niemiecka i dzieło Franza Kafki to jakby jeden biegun. Na drugim zjawi się dzieło, powieść o światowej sławie - *Przygody dobrego wojaka Szwejka podczas wojny światowej* Jaroslava Haška. Dzieło wielkiego humorysty, rodem z Rabelais'go, jest żywą polemiką. Powieść złożona z anegdotycznych historyjek najlepiej pokazuje ducha Europy Środkowej, jego nie milknące dyskusje i polemiki. Spontaniczny żywioł czeskiej mowy i gawędzenia Haška obmywa wysepki niemieckich zdań i wyrazów, tak samo, jak miało

Dom, w którym urodził się Franz Kafka, przylegający do kościoła Św. Mikołaja.



Fot. K. Czajkowski

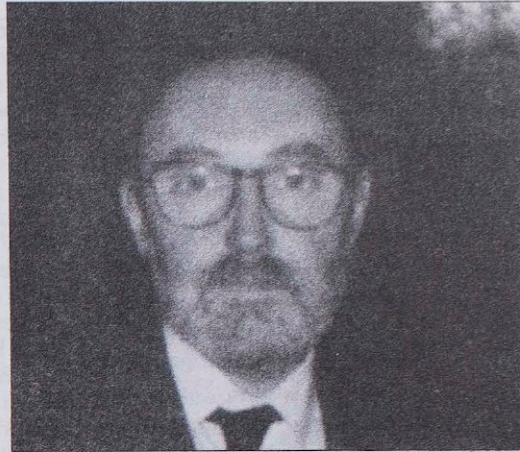
to miejsce i w rzeczywistości. Języki: niemiecki i czeski tworzą w powieści szczególny akord, często brzmiący także dysharmonijnie, niemniej obydwie te języki należą tutaj do siebie.

Choć lata przedwojenne pod wieloma względami nie były chyba idylliczne, to polemika przedstawia jednak pewien *modus vivendi*. Krzyżowanie języków, myśli i interesów zachęca do czynu i sytuuje Pragę na poziomie innych europejskich metropolii. To, co nadejdzie po 1918 roku, przypomina raczej monolog, w najlepszym przypadku – dialog, lecz do polifonii trzech narodowości – Czechów, Niemców i Żydów – jest jeszcze bardzo daleko. Nie można wątpić o konieczności powstania samodzielnego czechosłowackiego państwa, ale prawdą jest, że Praga utraci przez to charakter miasta otwartego, skrzyżowania i naturalnego punktu ciężkości Europy Środkowej.

Następny polityczny rozwój będzie rozplątywać gęste przedziwo tradycyjnych stosunków, dzielić ludzi i wykorzystywać ich uczucia narodowe do różnych manipulacji. Niemcy, żyjący w Czechach, sfanatyzowani przez faszystowską ideologię, przemieniają się w piątą kolumnę z jasnym zamysłem rozbicia czechosłowackiego państwa. Pomimo daleko idącej tolerancji czeskich urzędów i międzynarodowej akcji dyplomatycznej dojdzie w końcu do tego najgorszego. O żadnej polemice nie będzie już mowy. Narody staną przeciwko sobie, a jaki tragiczny los spotkał Żydów, dobrze wiemy. Po wojnie nastąpi wysiedlenie Niemców, przez nich samych słusznie i niesłusznie nazywane „wygnaniem”. Europa wkrótce podzieli się na dwa duże bloki – Wschód i Zachód, a była Europa Środkowa wypadnie z gry. Resztki polemicznej kultury, sztuki polemizowania i wykorzystywanie przeciwieństw i odrębności zgładzi potem komunistyczny reżim. Totalitaryzm postawi na polemice krechę, wymaże gumką historyczne fakty i skróci ludziom pamięć.

Zajmowanie się polemicznym duchem Pragi przełomu stuleci i duchem Europy Środkowej odruchowo wywołuje w nas uczucia melancholii. Sytuacja uległa takim zmianom, że nie ma już z kim polemizować, chyba tylko ze słowackimi nacjonalistami, ale to już nie jest polemika. Niemców wygnano, Żydów wymordowano. Słowem – brakuje partnerów. Dzisiejsza Praga to miasto czeskie, stolica państwa czechosłowackiego, którego istnienie jest znów zagrożone przez brak tolerancji między narodami. Nawet tym razem niczego nie nauczyliśmy się z historii. Wyzwanie do polemiki jest wciąż aktualne. Polemika to droga do jednoczącej się Europy, chyba lepsza, bardziej taktowna i rozsądniejsza. Dziś Praga ponownie otwiera się na świat, serce Europy leczy się z ciężkich wstrząsów. Miasto polemiczne chce być europejską metropolią, skrzyżowaniem handlu i kultury, miejscem twórczej inspiracji.

Przełożył Vladimír Petrilak



JOSEF KROUTVOR, eseista i historyk sztuki urodził się w 1942 roku. Pracuje w Muzeum Artystyczno-Przemysłowym w Pradze. W „Krasnogrudzie” nr 1 publikowaliśmy rozdział jego słynnej książki o Europie Środkowej *Anegdota i dzieje*. Publikowany szkic jest fragmentem książki *Praga – miasto ostrych krawędzi*.



RAINER MARIA RILKE

Król Bohusz*

Kiedy wielki aktor Norinski o trzeciej po południu wkroczył do kawiarni „Narodowej”, znajdującej się naprzeciw teatru czeskiego w Pradze, trochę się przeraził, po chwili jednak uśmiechnął się na swój pogardliwy sposób: w lustrze nieco na ukos od drzwi dostrzegł odległy kąt sali, w którym rozpoznął krzywą marmurową kolumnę, a obok niej małego, garbatego człowieka, którego osobiwe, wytrzeszczone oczy patrzyły jakby czyhając na wchodzącego. Obcość tego spojrzenia, w którego ciemnej głębi zdawało się odbijać jakieś niesłychane wydarzenie, zatrwożyła go na moment; nie dlatego że był szczególnie bojaźliwy, lecz na skutek wrażliwego i zamkniętego usposobienia, cechującego zazwyczaj wielkich artystów, przez które musi się najpierw przebić każde doświadczenie. W stosunku do oryginału owego odbicia nie odczuwał Norinski niczego podobnego.

Rozmyślnie przez dłuższą chwilę nie zwracał uwagi na kalekę, podczas gdy ze zbędnym namaszczeniem podawał dłoń innym, siedzącym przy stole ich stałych zebrań. Uściski dłoni pochłonęły dość dużo czasu, ponieważ każdy z nich miał niejako trzy akty. Pierwszy akt: dłoń aktora bez pośpiechu podąża do innych wyciągniętych błagając dłoń. Drugi akt: jego dłoń mówi z naciskiem do tej, która ją ujmuje: czy zdajesz sobie sprawę ze znaczenia tego gestu? Trzeci akt – katastrofa – Norinski pogardliwie uwalnia każdą dłoń: och ty, pożałowania godny, ty nawet nie jesteś w stanie pojąć... Tymi politowania godnymi byli tym razem: Karás, wysoki, blade krytyk „Czasu”, wyróżniający się szczególnie długą szyją i, jak to złośliwie ujął kiedyś piwien żydowski kolega, nader ruchliwym jabłkiem Adama, które towarzyszyło każdej kropli od samotności gardła Karása, aż do brzegu kołnierzyka, skąd ta nie mogła już zabłądzić, i stamtąd podskakiwało usłudźnie z powrotem w górę; Schileder, piękny malarz, co to malował takie smutne rzeczy, nowelista Pátek, poeta liryczny Machal, student Rezek, siedzący nieco z boku

* Rainer Maria Rilke: *König Bohusch*.
W: Tenże: *Die Erzählungen*. Frankfurt
am Main und Leipzig, 1992.

i popijający w milczeniu z wielkiej szklancy gorącą herbatę z dużą ilością koniaku. Wreszcie Norinski spostrzegł garbusa. Zaśmiał się: „Król Bohusz!” I z ironicznym „Wasza Wysokość” wyciągnął rękę ponad marmurowym stolikiem. Mały człowieczek zerwał się na spotkanie dłoni aktora, by nie musiała długo czekać, posłał swoje żółte niedorozwinięte palce z nadmiernym pośpiechem, gdyż obie dłonie trąciły się ze sobą w powietrzu jak ptaki. Bohuszowi wydawało się to dziwaczne i pozwolił sobie na wybuch śmiechu, którego zaprzestał, kiedy z lękiem spostrzegł, jak dzioby po ospie na czole Norinskiego znikają pod gniewnymi zmarszczkami. Wielki aktor bąknął coś, zrezygnował z powietrznego polowania i zdradzając zły humor powiedział do Karása: „Wypisujecie bzdury, mój drogi. A ja mówię ci, że zagram mojego Hamleta następnym razem dokładnie tak samo jak wczoraj. Właśnie mojego. Rozumiesz, mój drogi?” Karás przeklnął i powiedział coś o zdaniu, które objawili Inni, Znaczeni. On chciałby tylko wymienić Kainza albo... - tu student Rezek wypił z impetem ze swojej szklanki, a Norinski, rozdrażniony powiedział: „Mój drogi, a co mnie obchodzi niemiecki Hamlet? Czy Shakespeare był Niemcem? A więc, cóż nas przy tym obchodzą Niemcy? Ja biorę moją interpretację prosto z angielskiego”. „Jedynie słuszne wyjście” - zaaprobował wypowiedź Pátek, muskając wypielegnowanymi palcami swoją modną szpiczastą bródkę. „Twój kostium, poza tym, mam na myśli malarski punkt widzenia...” - uspokajająco wtrącił wielki malarz i Norinski szybko odwrócił się do niego. „Tak” - ziewnął jakoś tak zupełnie nie dbale, a potem, z protekcyjnym tonem mecenasa: „A jak tam pana sztuka, Machał?” Poeta liryczny wpatrywał się w swój kieliszek absyntu i po chwili odparł cicho, zatroskany: „Jest wiosna”. Wszyscy czekali na coś jeszcze, ale poeta zdawał się być już znowu w drodze do błędnego ogrodu swoich marzeń. Patrzył, jak jego kieliszek rośni i rośnie, aż wreszcie poczuł się w środku jego blasku całkiem lekki, wyzwolony w tej dziwnej atmosferze. Tylko Schileder wziął poważnie to wzniosłe hasło. Wisiało całkiem nisko nad jego głową, tak że nie śmiał nawet poruszyć rzęsami. „Czy on powiedział coś szczególnego? Ja też tak mogę: to jest...” Nie przemyślał do końca. Wszyscy śmiali się, i Schileder odetchnął, kiedy spostrzegł po minach innych, że sentencja ta nie mogła być aż tak wzniosła. Karás zwrócił się do poety: „To znaczy, twoja sztuka kwitnie, hm?”. Wtedy Machał powiedział swojej Muzie z ukłonem: „Przepraszam Panią” - i powrócił niechętnie z opalowego świata. (...) „Nie” - podkreślił - „to znaczy, że nazbyt jest mi teraz smutno. To znaczy, że w tym okresie natura błędnie rozumie wszelki rozwój; to znaczy, że jestem zmęczony - zmęczony tym bolesnym wyrzaniem się kielków”. „Ale wybacz” - Nowelista dotknął lekko jego ramienia modnie-żółtą rękawiczką - „to być może, ale przecież nie z powodu wiosny?” I malarz pomyślał: „nie, to nie jest wiosna”. „W przepięknym miesiącu maju”¹ - zadeklamował Wielki Aktor. „Ongiś” - tchnął przed siebie poeta, zrobiwszy ruch ręką, który to „ongiś” odrzucił jeszcze dalej, - „ongiś bywało może tak, jak to jest napisane w dawnych wierszach - wiosna »Światło i Miłość i Życie«. Kto w to jeszcze wierzy, oklamuje siebie.”

Westchnął głęboko.

Jaka szkoda, pomyślał malarz, a więc nie ma już wiosny.

Machał jednak podniósł wysoko swą twarz, zniekształconą od słońca wielkimi piegami w jasne słońce popołudnia i patrzył przez okno na rampę Teatru Narodowego, wzduż której chodził w tę i z powrotem strażnik. Nie to właściwie chciał im pokazać, wszelako odezwał się: „Popatrzcie tylko. Ta walka z głupimi, leżącymi odłogiem skibami, którą toczyć musi każdy z delikatnych, słabych kielków, ażeby dotrzeć do lata. Tutaj.” - i wyrzucił ciało nieco do góry - „stoi bezsilne kwiecie i chce kwitnąć, i nikomu nie chce tym przeszkadzać, a jednak wszyscy są przeciwko niemu: czarne jelita

PETER DEMETZ

Czeskie tematy Rilkego

Podczas obchodów schillerowskich w rok 1859 niemieccy i czescy mieszkańcy Czech po raz ostatni wspólnie przeżyli falę entuzjazmu do niepodzielnej wolności ich ojczyzny. Pochodnie uroczystości zgasły wkrótce i między narodami zapadła kurtyna nacjonalizmu. W Pradze, a także innych miejscowościach kraju, narody te zaczęły żyć obok siebie we wzajemnej niewiedzy, podsycającej nienawiść. Dziesięciolecie, podczas którego René dorastał w Pradze w małym mieszkanku przy Heinrichgasse i w pałacu swoich dziadków, zdecydowało o późniejszych losach obu narodów w Czechach. (...) Do 1870 roku politycy czeszy nie prowadzili szerszej działalności politycznej, jednak po śmierci Palacký'ego [1876 - przyp. red.] zdecydowali się przejąć inicjatywę, przy wsparciu sukcesów materialnych i osiągnięć kulturalnych własnego mieszczaństwa. W 1878 roku czeszy posłowie wrócili do praskiego Landtagu, a niewiele lat później do Wiedeńskiego Reichstagu. Wraz z otwarciem czeskiego Uniwersytetu pojawiła się w życiu publicznym nowa generacja intelektualistów. W tym samym czasie czeszy Niemcy coraz bardziej odchodzili od swoich wcześniejszych ideałów wolnościowych.

W 1885 roku Georg von Schönerer

¹ „Im wunderschönen Monat Mai” - początek wiersza Heinego z tomu *Buch der Lieder*.

► założył ultranacjonalistyczną partię i ogłosił swoich czeskich sąsiadów rasą niższą. Waśń między narodami zaostriła się i w szkole, i w Landtagu. W 1883 roku czescy posłowie uzyskali tam ponownie większość. Dwa miliony Niemców, w porównaniu z trzema i pół milionami Czechów, spadły ostatecznie do roli mniejszości.

Nowa sytuacja społeczna lat dziewięćdziesiątych zmieniła całą strukturę polityczną: uwidoczniła się nowoczesna konstelacja: po stronie niemieckiej coraz więcej zwolenników uzyskiwała partia Schrödera, ze strony czeskiej radykalno-narodowa partia młodoczechów weszła zwycięsko do parlamentu. Niepokoje, bijatyki, bitwy uliczne, zamachy polityczne zaczęły zastępować dawne dyskusje akademickie.

W rodzinie Rilkego żywy był drobnomieszczański nacjonalizm zagrożonej w swojej wyższości klasy społecznej. Był on tutaj jeszcze bardziej zaostriony przez społeczną degradację Józefa Rilkego i zawiedzione aspiracje towarzyskie jego żony. Sophie pozostało jedyne wyjście: „zastępczy” sen o nieosiągalnym splendorze i antypatia kierowana przeciwko „ludowi”. Jako drobnomieszczan-ka, Sophie dzieliła ze swoim niemieckim otoczeniem przesąd, że będąc Niemcem należy się z natury do wyższych sfer towarzyskich, a „lud” (w tych okolicznościach czasu i miejsca Czesi) – zatrzymać się musi na stosownym dla niego

ziemi, dni, które bez wyboru rzucają na nie ciepło i deszcz, i wiatr, i noc, które zbliżają się do nich ukradkiem, by dusić je lodowatymi palcami. Ta tchórzliwa, smutna walka, to jest wiosna”. Machała przesyłał deszcz; jego oczy umarły. „Król Bohusz” patrzył na niego drętwy. To, co poeta powiedział, było bardzo niesprawiedliwe i Bohusz nie zgadzał się z tym. Coś w nim nakazywało mu wstać i z wysoka bronić wiosny, która była jednak zwycięska i pełna słońca. Tak wiele pięknych myśli uderzyło mu do głowy, że jego policzki stały się piekące i na sekundę zapomniał o oddychaniu. Ale, ach, cóż by to pomogło, gdyby wstał. Oni by pewnie tego prawie nie zauważyli, bo Bohusz siedząc na aksamitnej ławce był niemal wyższy, niż gdyby stał. Także jego głos nie dotarłby pewnie do Norińskiego; przy takich odległościach stawał się już niepewny i trzepotał jak postrzelony ptak. To Bohusz wiedział. I dlatego milczał, zacisnąwszy wargi, które były jakby wycięte z drewna i zaczął, jak to często czynił dzieckiem, cicho i dla siebie samego bawić się różnymi złotymi myślami, budować całe góry i zamki, z okien których między kolumnami pozdrowiała go jego marzenia. A był tak bogaty, że mógł za każdym razem budować nowe pałace, z których żaden nie był podobny do drugiego, a to coś znaczy, bo mały człowieczek już ponad trzydzieści lat uprawiał to zajęcie, od piątego roku życia mniej więcej – a mimo to nie musiał się powtarzać.

Teraz mówili inni o rzeczach codziennych i słynnych, podczas kiedy Machał czuł się znowu, jakby siedział w kieliszku absyntu, ponad wszystkim zaś bujał bas Aktora, bijący jak gdyby rozłożonymi skrzydłami. A Bohusz w swoim kąciku tworzył apologię wiosny. Znał ją właściwie tylko tak, jak wyglądała w ciemnej i wilgotnej fosie zamkowej², albo na cmentarzu Malvasinka³; raz, jako dziecko, widział ją w dzikich skałach Scharki⁴, i jeszcze dziś słyszał w swej piersi delikatne, dawne echo tego słonecznego dnia. Jakże błogo musiało być dopiero tam w oddali, gdzie wiosna miała swoją ojczyznę, z dala od miasta i jego ciągłej gonitwy; i gniewało, i martwiło go, że ludzie wokół niego, którzy przecież widzieli kawał świata, zaparli się wiosny. Powinien im przecież to powiedzieć. Ale trwożliwa próba jego warg zaginęła bez śladu w ogólnym zamieszaniu i biedny Bohusz nie wiedział już, co ma powiedzieć. Jego myśli uciekły w lekliwym niepo-hamowaniu z pięknego zebrania, jak gdyby lękały się, że zostaną zdradzone, a jego mózg wypełniało zamiast nich jedno jedyne wyobrażenie, i ono właśnie zostało wypowiedziane przez Bohusza bezwolnie i niepostrzeżenie: Tak, mój ojciec. Trzeba było dobrej chwili, aby dla garbatego stało się jasne, dlaczego pomyślał właśnie o nim. Widział go w jego ogromnym, ciemnoniebieskim uniformie z galonami, którego kołnierz zdawał się zlewać z potężną brodą, jak chodził szeroki, pewnym siebie krokiem w tę i we w tę po pobielonej ścianie sieni starego pałacu książęcego przy Spornergasse⁵. Złota gałka jego laski prawie dotykała złotych frędzli spadających z brzegu trójgraniastego kapelusza, pod którym oczy jego były poważne i czujne. Mały, chorowity Bohusz stał wtedy za drzwiami mieszkania portiera i patrzył bojaźliwie przez szparę na potężną postać stąpającego ojca, który był wyższy od wszystkich innych ludzi i wznosił się wysoko także ponad starego księcia, przed którym nisko zdejmował kapelusze, nie kłaniając się jednak przy tym za bardzo. Wprawdzie jak daleko sięgał pamięcią, Bohusz nie mógł sobie przypomnieć pocałunku albo uśmiechu tego człowieka, ale jego postać i głos należały zapewne do najbardziej wyraźnych wrażeń z jego biednego dzieciństwa. I dlatego ojciec przypominał mu się zawsze wtedy, kiedy zazdrościł dawno zmarłemu obu tych przymiotów i mówił wtedy do siebie: oba są teraz nieużywane; on nie potrzebuje już ani swojej postaci, ani głosu, dlatego więc zabrał to wszystko ze sobą? A gdy tak myślał, zawsze działo się to samo: naraz odczuwał coś,

² U Rilkego „Hirschrabben”, po czesku „Jeleni přikop”, utworzony na miejscu dawnej fosy przy Zamku Królewskim park ze stawniskami jeleni.

³ Malvasinka – wysoko położony cmentarz w praskiej dzielnicy Smichov.

⁴ Šarka – romantyczny, skalisty wąwóz w okolicy Pragi.

⁵ Tak w oryginale; po czesku jest to dawna Ostruhová ulice (ostruha = ostroga), dzisiaj ulica Nerudy.

co go zabierało ze sobą, porywało. Jego myśli nie były już z nim, uciekały od niego, musiał je ścigać, by je znowu złapać. Nie można było im przecież pozwolić tak po prostu umknąć. Już tracąc oddech, doganiał je zawsze w tym samym miejscu. To była jasna jesienna noc z pędzącymi chmurami. Przelotne światło księżycy było na tyle cierpliwe, by pozwolić Bohuszowi rozpoznać marmurową płytę, na której, pod przykryciem dzikich pnączy, wyryty był napis: Vitezlav⁶ Bohusz, książęcy portier. Ilekroć czytał ten napis, zaczynał chciwymi paznokciami grzebać w murawie i skibach ziemi, aż sam stawał się coraz bardziej wyczerpany, a oddech wilgotnej ziemi coraz cięższy i duszny, aż jego krwawiące paznokcie zaczynały wreszcie drapać gładkie drewno żółtej trumny. I wtedy widział siebie w czarnym dole, kłęczącego bezradnie na skrzyni przez jedną lub dwie sekundy. Wówczas przychodziło mu do głowy zawsze to samo rozwiązanie: to wieko można przecież wypchnąć jak szybę okienną. Czyż nie wyszydano go od zawsze z powodu jego ciężkiej głowy? A więc na coś musi się przecież przydać, czyż nie? Trzask! Wieko pęka – rzeczywiście jak szyba – i gorąca dłoń Bohusza sięga w duszną ciemność po tors ojca, który przypasowuje sobie do wątych ramion, niczym zbroję, i sięga znowu w głąb i szuka, i szuka konwulsyjnymi palcami, wysyłając również na pomoc drugą rękę, i pojąć nie może, dlaczego obiema poranionymi dłońmi nie może dosięgnąć głosu ojca.

Wczesną wiosną wieczorne powietrze pełne jest wilgotnego chłodu, który kładzie się cicho na wszystkich kolorach, przesywa je światłem i upodabnia do siebie. Prawie wszystkie jasne domy przy nabrzeżu Wełtawy przyjmują błady ton nieba i tylko ich okna lśnią czasem w gorącym blasku, a gdy tylko słońce przestaje je oświetlać, gasną uśmierzone mrokiem. Wtedy tylko wieża Świętego Wita stoi wyprostowana w swojej wiecznej, starczej szarości.

„To doprawdy symbol” – powiedział Bohusz do milkiwego studenta. – „Przetrwają każdy pomrok i jest zawsze taki sam. Mam na myśli kolor. Nieprawdaż?”

Rezek nie słyszał. Patrzył na wieżyczkę mostu Karola⁷, gdzie właśnie zapalano światła. Bohusz ciągnął dalej: „Znam mateczkę Pragę aż do głębi jej serca, aż do serca” – powtórzył, jak gdyby ktoś wątpił w jego słowa. Bo to jest przecież jej serce. Mała Strana z Hradczynem. W sercu jest zawsze to, co najbardziej tajemne, i niech pan patrzy, ile tajemniczości w tych starych domach. Muszę to panu powiedzieć, Rezek, bo pan nie jest z miasta i tego jeszcze może nie wie. Ale tam są dawne kaplice, a w nich, o Jezu, jakie dziwne są rzeczy. Obrazy i wiszące lampy, i skrzynie. Rezek, ja nie kłamię, całe skrzynie pełne złota. I z tych starych kaplic ciągną się długie korytarze, daleko pod całym miastem, może aż do Wiednia”.

Rezek patrzył na garbusa z boku. „Na moją duszę” – zaklął się Bohusz i położył dłoń na skrzywionej, masywnej piersi. – „Ja też nie wierzyłem. Ale ja to raz widziałem, nie w kaplicy, ale –”

„Gdzie?” – spytał nagle student badawczo z takim naciskiem, że mały się przeraził.

„Widzi pan” – powiedział. – „Pan nie chce wierzyć. Ale w naszej piwnicy jest na końcu takie zagłębienie, tak że dwa schody w dół, a potem dziura w murze, w sam raz duża, żeby się przez nią przecisnąć, no naturalnie na czworakach” – Bohusz zaśmiał się przerywanym śmiechem.

„No i co” – naciskał Rezek. Dodał jednak spokojniej, ugniatając ożywionymi palcami papierosa – „co potem?”

miejscu. Im bardziej Sophie zagrożona była towarzyską degradacją, tym bardziej uparczywie czepliła się wiary, że jej niemieckość może uratować jej pozycję społeczną. Sophie podniecała w sobie wyobrażenie Hebbła o lokalskiej naturze ludów słowiańskich i, podobnie jak cała jej kasta, nie zauważała, że czeskie społeczeństwo już dawno wykształciło silne mieszczaństwo, które zaczynało brać górę nad swoją niemiecką konkurencją.

René wzrastał w narodowym przesądzie swojej matki. Kiedy zapytano go w szkole powszechnej Ojców Pijarów, do której uczęszczał, dlaczego nie chce uczyć się czeskiego, odczuli to zdróżne wymaganie po francusku, jak przystało młodzieńcowi szlacheckiego rodu według wyobrażeń jego matki. Kiedy, wymknąwszy się z rąk Ojców Pijarów, na letnisku w niewielkim Wartenbergu wybrany został przez trzy czeskie dziewczynki na towarzysza zabaw, napisał do Sophie: „Przestaję teraz z trzema małymi dziewczynkami, które są wprawdzie Czeszkami, ale mimo to żyjemy w wielkiej zgodzie”.

Jako początkujący pisarz René zerwał szybko z narodowymi hasłami swojego wychowania. Pod wpływem najbliższego otoczenia uwolnił się całkowicie od wszelkich przesądów. Pierwsze wiersze i opowiadania Rilkego są w przeciwieństwie do jego wychowania i pochodzenia słowiańskie. ▶

⁶ Tak w oryginale; poprawna pisownia imienia: Vítězslav (jest to typowy błąd ortograficzny dzieci w wieku szkolnym).

⁷ Most Karola ma dwie wieże, staromiejską i na Małej Stranie; chodzi o tę drugą.

► W momencie, w którym dwudziestoletni poeta wybrał Pragę jako temat swoich wierszy, dostał się pod urok i – rzecz można wyrok swojego rodzinnego miasta. Kiedykolwiek sięgnął głębiej po temat ludowy lub historyczny, odkrywał w końcu zawsze czeskie postaci. Również jego dotyczy to, co Oskar Wiener sformułował w swojej antologii praskiej poezji niemieckiej: „To jest tragiczny los wszystkich niemieckich poetów mojego rodzinnego miasta... Jeżeli chcą czerpać inspirację z ludu, to zanurzają się w powódź obcego żywiołu, czerpią natchnienie i nastroj swoich dzieł z czeskiego charakteru, który opływa ich zapadającym strumieniem.

(...) Wielokrotnie powtarzające się u Rilkego aluzje do otoczonej legendą postaci czeskiego rycerza Dalibora odpowiadają czeskojęzycznej tradycji. Motyw Dalibora, który zaczął strażników więziennych urokliwą grą swoich skrzypiec, odsyła nie tylko do tradycyjnych źródeł, ale wskazuje także na osobistą sytuację dwudziestoletniego poety. Również Rilke czuł, że musi grać i śpiewać w swojej biedzie, aby uwolnić się spod władzy rodziny i wypaczającego wychowania. (...)

Pierwsza miłość Rilkego, Waleria David-Rhönfeld była pierwszą łączniczką między młodym niemieckim pisarzem i Czechami. Nie był to kontakt bezpośredni. Decydujące było, że ta ulubiona siostrenica czeskiego poety Juliusza Zeyera

⁸ Chodzi o wspomnianą wcześniej katedrę Św. Wita.

„Nigdy się tam nie wczółgałem. Uchowaj. Ale raz świeca, z którą schodziłem na dół, wpadła mi między stare polana drewna. Przeraziłem się. No, Rezek, może pan sobie wyobrazić, płonąca świeca w starym suchym drewnie. Znajduję ją w końcu, naturalnie już zgasła, ale z wielkiego strachu szukam dalej. Jakaś iskra mogła jeszcze pozostać na spodzie. Naraz obsuwam się z drewnem niżej i oto siedzę przed dziurą. Spoglądam do środka. Niemożliwe. Przyświecam sobie. Jeszcze jedna piwnica, myślę. Ale to jest tylko korytarz, i prowadzi Bóg wie jak daleko.” Schodzili teraz wolno nabrzeżem, w kierunku kamiennego mostu. Rezek pociągał mocno ze swego małego, całkiem zaślinionego papierosa i powiedział, nie patrząc na Bohusza: „Ta dziura jest oczywiście już od dawna zamurowana?”. „Zamurowana?” – Bohusz zachichotał, nie mogąc powstrzymać wesołości. – „Kto ją miał zamurować?”

„No, to pan o tym w każdym razie zameldował?” – student wyglądał na zagniewanego. Jego ciemne oczy czyhały w bladej twarzy, jak gdyby chciały rzucić się na odpowiedź małego. Tymczasem się znowu uspokoił: „Pan wie, opowiedziałem to mojej matce. A ona powiedziała: «Dziura? A co to nas obchodzi, Bohusz. Połóż przed tym drewno, tak jak było». Ona ma rację, co nas obchodzi dziura.” Student przytaknął w roztargnieniu i nagle powiedział: „W kwietniu jest jednak jeszcze zimno.” Uniósł łopatki i ścisnął mocniej na przodzie nędzny żółty letni płaszcz, który prznosił przez całą zimę. „Idziemy do kawiarni? Herbata dobrze nam zrobi. Niech pan pozwoli” – wsunął rękę pod ramię garbusa i chciał pociągnąć go za sobą. Bohusz nastroszył się: „Ale co pan mówi, Rezek; byliśmy już dostatecznie długo w kawiarni”.

„No tak, z tymi tam.” Student wymówił ostatnie słowa w tonie pogardliwym. „Ja chciałbym z panem pogawędzić, Bohusz; nie z tymi ważnymi panami, z tymi artystami.” „Co pan mówi” – zdziwił się Bohusz – „naród może być z nich dumny”. Rezek zatrzymał się i był całkiem błady: „Byłoby lepiej, gdyby ci ludzie byli dumni z narodu. Ale niech pan mi wierzy, oni jedni o drugich nic nie wiedzą; ani naród o nich, ani oni o narodzie. Ja pana pytam, kim oni są? Czy to są Czesi? Niech pan tylko spojrzy na któregoś z nich. Karás pisuje w niemieckich gazetach o naszej sztuce. A nasza sztuka, co to jest? Może pieśni, które mógłby śpiewać całkiem młody, zdrowy, ledwie rozbudzony naród? Opowieści o jego męstwie i wolności? Obrazy ojczyzny? Co? Nic podobnego. O tym ci panowie nic nie wiedzą. Oni są niedzisiejsi, podobnie jak naród, który jest jeszcze całkiem dziecinny, pełen życzeń bez jednego jedyne go ich spełnienia. Oni dojrżeli w ciągu jednej nocy. Są już przejrzały. To jest o wiele bardziej wygodne, niż własna długa droga przez ucieszenie, którą naród iść musi, biedny! To przychodzi prawie bez wysiłku, importuje się wszystko z Paryża: stroje i przekonania, myśli i natchnienie. Wczoraj było się dzieckiem, a dziś jest się młodym starcem, przesyconym. Nagle wie się wszystko. I według tego robi się swoją sztukę. Maluje się sceny pełne okrucieństwa i orgie. Szuka się w kobiecie ulicznicy i sławi ją w powieściach; potem piętnuje się ją we frywolnych piosenkach, a w zawitych strofach chwala męską miłość; i nareszcie jest się u celu: więcej już się nie sławi i nie potępia. To męczy. Jest się ponad tym. Jest się mistykiem. Nie jest się w ogóle tutaj, w Czechach, w domu. Ojczyznę ma się gdzieś tam – a bo ja wiem gdzie, gdzieś u praźródła życia. To jest przecież śmieszne. Nieprawdaż? Podczas, gdy lud budzi się i po raz pierwszy czuje, jak jest młody i zdrowy i jak nowa, jeszcze siebie niepewna siła tętni w jego żyłach, artyści hańbią jego mowę, nadużywając jego wiosny dla swojej chorej sztuki końca.” Student mówił w uniesieniu, aż dostał chryпки i zrobiło mu się gorąco. Ciągle jeszcze stali w tym samym miejscu. Przechodnie zaczęli już zwracać na nich uwagę, i nawet strażnik posyłał im od czasu do czasu nieufne spojrzenie. Bohusz milcząco spoglądał w górę na studenta, który wydawał mu się teraz tak samo wysoki i dumny, jak starodawna wieża katedry⁸.

Rezek, zagniewany ciekawością ludzi, powiedział zmienionym głosem: „No, niechże pan idzie ze mną do kawiarni”. A Bohusz, całkiem oczarowany tym rozkazem, ruszył za nim. Nie mógł sobie nawet wyobrazić, że mógłby odmówić. Kiedy jednak zatrzymali się przy drzwiach małej kawiarni, powiedział trwożliwie: „Ja naprawdę nie mogę, panie Rezek, proszę mi wybaczyć, ale teraz naprawdę nie mogę. Moja matka, wie pan. Ona czeka na mnie wieczorem. I bardzo by się lękała, gdybym nie przyszedł. Już taka jest. Pan wybaczy.” Student przerwał mu krótko: „W takim razie ja pójdę z panem”. Teraz zdawał się już wcale nie marznąć. Przeszli przez Małą Stranę. Milczeli. Kiedy przechodzili koło strażnika, garbus odczuł, że na studencie spoczęło ciemne, nieufne spojrzenie. Spojrzał w górę – ale Rezek już odwrócił głowę i splunął obojętnie w drugą stronę, starając się trafić w narożnik. Bohusz rozmyślał: odczuwał pokrewieństwo między pięknymi myślami, które go dzisiaj nawiedziły w kawiarni „Narodowej”, i tym, co powiedział Rezek, i tym, co zapewne jeszcze powie. Po raz pierwszy ogarnęło go to uczucie, chociaż często spotykał studenta. Miał go zawsze za głupca. Dlaczego? Może dlatego, że ten często i długo milczał? Z tego pewnie powodu uważano również jego, Bohusza, za ograniczonego. Z drugiej strony, jakże piękna stała się zwykle chuda i brzydka twarz studenta w czasie jego przemowy. Wszystko, co było kanciaste i drewniane w jego twarzy i gestach, stało się wielkie: surowe, butne, bezwzględne. Ten wybujały młody człowiek, który za szybko urósł, źle odżywiony i nędznie ubrany, niespodziewanie objawił Bohuszowi coś całkiem podstawowego i wiecznego, i kiedy tak obok niego siedł, nie mógł pozbyć się uczucia, że musi zapamiętać sobie ten dzień szczególnie dobrze: sobota, 17 kwietnia. To wyobrażenie całkiem określone i konkretne zrodziło się w głębi jego duszy, podczas kiedy na zewnątrz do głosu doszło teraz jego ja, pokłoniło się i powiedziało do niego: Wypraszam sobie coś takiego, całkowicie i zdecydowanie! Nie masz prawa, mój drogi, przeliczać tych wszystkich skarbów, które ci dają. Nuże, mów! Ludzie powinni wiedzieć, że jesteś bogaty. Wiem, co chcesz powiedzieć. Jesteś szpetny. Ale zacznij tylko mówić. Mowa czyni pięknym. Mogłeś to właśnie przed chwilą zobaczyć. Obiecuj mi to. I dał swojemu własnemu „ja” słowo honoru: na pewno od tej chwili będę mówił.

Bohusz właśnie chciał zacząć, kiedy student zatrzymał się obok niego i wskazał na Włtawę, na wysokie ciemne fale, unoszące zagubione światła. „Niech pan tylko spojrzysz, tu Wyszehrad, zamek rodowy Libuszy, a tam Hradczyn, a za nami jest Tyński Tum⁹. Same świętości. Skoro ci panowie zwracają się ku przeszłości, tak jak ciągle twierdzą, to dlaczego nie ku tej przeszłości? Dlaczego opowiadają nam o Oriencie i o wyprawach krzyżowych, i o mrocznym średniowieczu? To jest pytanie o artyzm, powie pan. Nie, mówię na to: to serce pyta. To nie przypadek, że «leżą» im tamte odległe rzeczy, a swojskie nic im nie mówią. Są po prostu obcy. A naród pielęgnuje lekliwie swoją starą, nieporadną tradycję, która mimo tej całej pieczołowitości z wnuka na wnuka staje się coraz bledsza, tak że już mało kto wie o żywych bogactwach swojej ojczyzny. Pewnie! To byłoby zbyt poniżające dla tych ważnych panów, towarzyszyć narodowi w drodze do jego świętych pamiątek, i opowiadać mu w nowych, prostych słowach o ich dawnej wartości i uświęconej godności.”

Bohusz, utkwivszy odrętwiałe spojrzenie w kamieniach trotuaru, jakby zmuszając się odpowiedział głosem przerywanym przez pokaszliwanie: „Ma pan rację, Rezek, ma pan całkowitą rację. Ja tego wszystkiego nie mogę za dobrze zrozumieć; bo to na pewno nie jest takie całkiem proste, co pan mówi. Ale pan ma rację. Ja o tym czasem myślałem. Dlaczego maluje się to a nie tamto. Dlaczego pisze się tak, a nie inaczej... ale jeżeli zechce pozwolić mi pan zauważyć, to przecież nic nie szkodzi, że poeci nie opowiadają

pochodziła ze strony matki ze starej żydowskiej rodziny, a Żydzi byli w Czechach predestynowani do pośredniczenia między narodami. Zeyerowie pochodzili z Alzacji. Jean Zeyer, zamożny posiadacz tartaku, poślubił w Pradze żydowską dziewczynę imieniem Eleonora. Alzacko-żydowskiemu małżeństwu urodziło się troje dzieci: Juliusz, który wcześniej zdecydował się na narodowość czeską, i jego dwie siostry, z których jedna wyszła za mąż za oficera Davida Rhonfelda (...)

Niezwykły syn Eleonory, a zarazem interesujący wujek Walerii, Juliusz Zeyer, zaczął pisać, podobnie jak Rilke, jako ośmioletni chłopiec. Dorastający w ciemnych praskich uliczkach, wcześniej udał się w tulące podróże. Niespokojnie – jak później Rilke – przemierzał Europę, posępny wędrowiec między Wschodem i Zachodem. Poznał Niemcy, Szwajcarię, Szwecję, Włochy, Grecję i trzykrotnie powracał, po swoim pierwszym pobycie 1873, do Rosji, nazywając ten zagadkowy kraj przekleństwem trawiącym mu duszę. Czeski poeta i jego niemiecki entuzjasta mieli jeszcze inną wspólną cechę: pseudoarystokratyczna poza. Podobnie jak to było w rodzinie Rilkego, również Zeyerowie żyli troskliwie kultywowaną starszszlachecką tradycją. (...) Szczęśliwym trafem Rilke znalazł się w pobliżu Zeyera, kiedy ten samotny melancholik przeżywał swoją drugą młodość, spowodowaną entuzjazmem, z jakim spotkała się jego poezja u młodszej generacji Czechów (...)

⁹ U Rilkego „Teynkirche”, po czesku „Týnský chrám”: kościół gotycki na rynku Staro Miasta.

► W potowie lat dziewięćdziesiątych pojawiła się patetyczna i historyzująca, z jej akademicką gładkością, zastąpiła awangarda nowego pokolenia, nazywająca siebie „Česka Modema” i przejmująca poprzez własne czasopismo „Modem Revue” inspirację europejskiego symbolizmu. W postaci Juliusza Zeyera, tak niespodziewanie czczonej, w jego szlachetkiej ekskluzywności, wyłącznej koncentracji na pierwiastku estetycznym i w jego oddaniu surowemu powołaniu poetyckiemu Rilke znalazł swe najwcześniejsze i najśmielsze marzenia, zarys swojej własnej przyszłości poetyckiej. Zrozumienie współczesnych czeskich problemów świadczy, że utrudniała młodemu niemieckiemu literatowi nieznaną mu języka czeskiego. Rilke pochodził z rodziny mieszczańskiej, a znajomość czeskiego przez niemieckie mieszczaństwo w Czechach ograniczała się – z nielicznymi wyjątkami – do dziwnego zlepku źle wymawianych czeskich słów i niemieckiej składni, który nazywano w nich czym niezasadnym poczuciem wyższości „Kuchel-Böhmisch”. Ale uważano go za wystarczający do porozumiewania się z Czechami. W rodzinach niemieckich owej epoki dobra znajomość czeskiego byłaby napiętnowana i uważana za zdradę narodową. Matka Rilkego zajmowała takie stanowisko w tej kwestii. René był skazany więc na pośredni kontakt z językiem czeskim poprzez Walerię i niemieckie tłumaczenia, o czym pisze w liście do czeskiego poety Svatopluka Čecha. (...) Wymogi stylistyczne nakazy-

o Hradczynie czy Tynie, to nie szkodzi, nic nie szkodzi. Widzi pan, myślę, że znam moją mateczkę Pragę do głębi jej serca, tak, i żaden poeta nigdy mi o tym nic nie opowiedział – wystarczy tylko wzrastać pośród tych kościołów i pałaców. Na Boga, one nie potrzebują nikogo, żeby za nie mówić, one mówią same za siebie, tak myślę. Jeżeli tylko chce się słuchać. Ach, jakie one znają historie. Mój drogi, chcę panu kilka kiedyś opowiedzieć, dobrze? Albo jeszcze lepiej: powinien pan usłyszeć moją matkę, kiedy o tym mówi”.

Rezek zrobił gest zniecierpliwienia. Bohusz zauważył to natychmiast i zaczął się na moment, a potem rzekł: „Pan wybaczy. Chciałem właściwie tylko jeszcze powiedzieć... tak, a więc to z Hradczynem, to nie szkodzi, ale to drugie. To, co nie jest przeszłością. Tamte uliczki i tamci ludzie, a potem szczególnie pola za miastem i ludzie tam. To pan na pewno już widział. Pole, wie pan, takie pole bez końca, smutne i szare. A za nim wieczer. I nic więcej, tylko kilka drzew i kilku ludzi; i drzewa zgarbione, i ludzie również. Albo takie kamieniołomy, jak za Smichovem. Z szarej, nagiej góry toczą się kamienie w nieckę rumowiska. Jak to dźwięczy. Tak, to też jest pieśń; a w dole siedzą mężczyźni i obciosują cały dzień szare kamienie i robią z nich małe, pocziwe kosteczki i widzą mętne słońce przez ochronne okulary. I młodzi z nich zapominają się czasami i podnoszą z cicha śpiew, nie jakiś swawolny śpiew, uchowaj, jakikolwiek, który pasuje do taktu, »Kde domov muj«¹⁰, albo coś takiego. I wtedy wszyscy nasłuchują. To jednak nie trwa długo. Chłopak wkrótce przypomina sobie, że kurz kamienny jest gryzący, niedobry dla płuc, no i znowu jest po prostu cicho... Ale pan musi wybaczyć” – mały rozzejrzał się bezradnie wokół, opamiętał się jednak znowu, gdy zobaczył, że oko studenta spoczywa na nim poważnie i z uwagą. Odczuł to jako zwycięstwo i z większą niż do tej pory pewnością kontynuował swoją przemowę: „Chciałem jeszcze tylko powiedzieć: dlaczego nie malują tego, dlaczego? Dlaczego nie piszą o tym? To przecież jest czeskie – to takie smutne”.

Rezek przytaknął i powiedział: „Myśli pan, że naród jest bardzo smutny?”

Bohusz zadumał się: „Oczywiście.” Potem, wahając się, mówił: „Właściwie, ja tak mało wiem; prawie nigdy dalej nie wyjeżdżam. Ale tak właśnie myślę”.

„Dlaczego?”

„Dlaczego, pyta pan? Boże, czy ja wiem? Rodzice są smutni, dzieci też, i już takie pozostaną. Widzi pan, ledwo nauczą się chodzić, a tu smutny Nepomuk tuż za drzwiami, trzyma Ukrzyżowanego w ramionach, i stara łąka nad wiejskim stawem, i słoneczniki w ogródku, które tak wcześniej wiodną w milczącym słońcu. Czy to czyni radosnym? I jeszcze tak wcześnie uczą się nienawiści. Niemcy są wszędzie i trzeba Niemców nienawidzić. Proszę pana, po co to? Nienawiść czyni takim smutnym. Niemcy niech robią, co chcą. Nie rozumieją przecież naszego kraju, i dlatego nie mogą nam go zabrać. Na granicach, tam są zapewne wielkie lasy i góry, i tam Niemcy tkwią mocno. Ale właściwie tylko okalają kraj. A pośrodku leży wiele pól i łąk, i rzek, to jest nasza Ojczyzna, to należy do nas, tak jak my do tego należymy ze wszystkim, co w nas jest”.

„Jako niewolnicy” – rzucił Rezek pogardliwie.

„Niech pan tak nie mówi. Proszę. Nie jako niewolnicy. Może jako nie do końca uznane, uprawnione do przejęcia dziedzictwa dzieci – chwilowo. Ale jednak jako prawdziwe, naturalne dzieci. Pan to musi przecież czuć. Pan sam mówi: naród jest całkiem młody i zdrowy, więc musi być również silny i nie poddawać się. Możliwe, że ten i ów nosi łańcuchy – dzisiaj. To przejdzie. Wiem, jeden taki napisał *Pieśni niewolnika*, jeden ze starszych. [Svatopluk Čech (1846-1908), poeta i prozaik czeski. *Pieśni niewolnika* (*Pisně otroka*, 1895), obszerne i najbardziej swego czasu popularne dzieło poetyckie Čecha, to patetyczne oskarżenie systemu monarchii habsburskiej.]

¹⁰ Właściwie „Kde domov můj”. Pieśń z 1934 r. do słów J.K. Tyla z muzyką F. Škroupy, od 1918 r. czeski hymn narodowy.

On nie ma racji. Nikt uczciwy z naszego ludu nie robi hałasu łańcuchami. Z pewnością nie. Podnosi je nawet, kiedy idzie, ostrożnie w górę, żeby ukochana ziemia nic nie spostrzegła z jego nędzy... Tacy są sprawiedliwi spośród nas”.

Byli teraz na początku ulicy Mostowej¹¹, przecisnęli się przez gęsty tłum przechodniów, i skręcili szybko w pierwszą, wąską uliczkę. Przy świetle następnej latarni student popatrzył na swojego towarzysza z nie skrywanym zdumieniem; potrząsnął głową i powiedział: „Pan jest mowcą, Bohusz”.

„Och” wykrzyknął mały i wyglądał jakby go ktoś obdarował.

„Nie, poważnie. Tylko musi pan pozwolić sobie to powiedzieć. To o Niemcach... Jeżeli jest pan rozsądny, może naród będzie pana jeszcze potrzebował.”

„Coooo?” – wykrzyknął Bohusz i chciał zaśmiać się z przerażenia i zakłopotania. Ale Rezek miał wargi zaciśnięte, wyglądał poważnie i milczał. Wtedy garbaty zląkł się. Przsunął się bliżej studenta i wyszeptał: „Ja to sobie wszystko tylko tak myślę. Ja tego nawet nie umiem wypowiedzieć. Nie powinien pan źle o mnie myśleć, Rezek.” I nagle całkiem się przestraszył: „Widzi pan, że mnie jest taki biedak. Gdyby pan wiedział, jaki ja jestem biedny; przed południem kopiuję rękopisy w redakcji, a wieczorem jestem z matką, ona jest taka stara i prawie nic już nie widzi. Tak jest codziennie. A w niedzielę, kiedy widzę moją Franciszkę, wie pan, dokąd idziemy? Na Malvasinkę. Tam, gdzie stoją zielone krzyże, jeden taki sam jak drugi. Są tam pochowane jedynie dzieci, a na wąskich tabliczkach z blachy widnieje tylko jakies imię: »mały Karol« albo »mała Maryjka«, i przy tym modlitwa. Tak tam jest. I tam jesteśmy każdej niedzieli. »Tutaj jesteśmy sami, miłaczku«¹², mówi moja Franciszka. »Tak, mówię, Franciszko, tutaj jesteśmy sami« i przy tym wiem, że przy nas są sami zmarli. Czy to coś zmienia? Pośród tego jest zawsze jeszcze coś, czasem wiosna, czasem śnieg. – Ach, taki ze mnie biedak”.

„No, no” – uspokajał Rezek, i stali już przed domem, w którym Bohusz dzielił dwie izby na poddaszu ze swoją matką. Studentowi zdawało się spieszyć.

„Więc nie gniewa się pan na mnie, panie Rezek?” – prosząco spytał garbus.

„Ależ nie, nie ma powodu” – stwierdził ten pośpiesznie, – „I dobranoc. Zobaczą pana zapewne jutro, w kawiarni!”

„Tak, jutro, może – chociaż jutro jest niedziela, to muszę z moją Franciszką – tak – dobranoc”.

Rezek, który już odszedł kilka kroków, nagle zawrócił. Położył niespokojną dłoń na ramieniu małego i dodał bez szczególnego nacisku, bardzo pośpiesznie: „Doprawdy, pan mnie zaciekawił, Bohusz, zrobił pan to. Czy chce mnie pan kiedyś zaprowadzić do tej piwnicy?”

„Do piwnicy?”

„A, wie pan, do tej dziury”.

„O tak, jeżeli pan zechce, oczywiście”.

„Dobrze, a więc wkrótce, kiedy?”

„Kiedy pan chce?”

„Jutro rano?”

„Jutro rano”.

I ustalili godzinę.

wały młodemu poecie używać pojedynczych słów czeskich we wczesnych utworach poetyckich i prozatorskich (...) Rozsiane w dekadencjach fragmentach przejęły funkcję owych dziwnie brzmiących słów obcych, stwarzających osobliwy nastrój (jak na przykład ulubione słowa Rilkego: Carmen, chryzantemy, bzy tureckie (niem. Syringen), orchidee); w szkicach naturalistycznych natomiast miały wzmacniać autentyczność obrazów nędzy środowisk proletariackich. W tych utworach często pojawia się czeskie słowo w mniej lub bardziej poprawnej niemieckiej transkrypcji. Obok wierszanych odtworzeń, jak „Tschaj” (čaj – herbata) czy „Tschamara” (čamara – podobna do munduru kurtka czeskich patriotów), pojawiają się również dziwologia, jak „Tschesky curir” (naśladownictwo tytułu czeskiego czasopisma ilustrowanego „Pražský kurír”). Jako oznaki przenikania obu języków i kręgów kulturowych ciekawsze od tych transkrypcji są u Rilkego raczej te niemieckie zwroty, które oddają utarte wyrażenia czeskie. Poeta, podobnie jak później Kafka, mówi o Pradze „Mütterchen Praha”, nie zdając sobie sprawy, że niemieckie zdrobnienie nie odpowiada emocjonalnej zawartości czeskiego piśmiennictwa „Matička Praha”.

Nie zrażony, jak się wydaje, słabą znajomością czeszczyzny, z niejako podziwu godną konsekwencją, zajmował się Rilke czeskimi nurtami literackimi swoich

11 W oryginale Rilkego „Bruckengasse”, co jest niemieckim tłumaczeniem czeskiego „Mostecká ulice”.

12 U Rilkego „milatschku”; właściwie „miláčku”.

► czasów. Po mało znaczących aluzjach na ich temat w tomiku *Larenopfer* [Drugi samodzielny tomik poetycki Rilkego, powstały w Pradze jesienią 1895. Rilke składa swoje dzieło w ofierze Pradze, czeskiej ojczyźnie i jej narodowi, podobnie jak to czynili Rzymianie w stosunku do larów, bóstw opiekuńczych chroniących rodzinę i pola.], najważniejsze swoje krytyczne opinie przedstawił w pierwszej ze swoich praskich historii pt. *Król Bohusz*. Rozpoczyna ją sprzeczka o czeskiej literaturze, w praskiej kawiarni „Narodowa”, stałej siedzibie młodych czeskich literatów (była nią aż do 1948 roku). Imiona uczestników tego sporu, bohaterów opowieści, Rilke tworzy z nazwisk znanych postaci czeskiej literatury i kultury. Nazwisko poety Machala wywodzi od K.H. Máchy, najwybitniejszego z czeskich romantyków; nazwisko dziennikarza Karasa jest skrótem pseudonimu czeskiego poety Karáska ze Lvovic; student Rezek, który broni historii Czechów, ma nazwisko ówczesnego historyka i profesora Uniwersytetu Karola. Początkiem sporu jest wzmianka o inscenizacji Hamleta „wprost z angielskiego oryginału”. Dla Rezka gorącego patriotą wypowiedź jednego z bohaterów jest wyzywaniem, które podejmuje. Oskarża nowoczesnych poetów czeskich o stworzenie głębokiej przepaści między narodem a sztuką; o to, że zamiast korzystać z narodowego skarbcza, czerpią z fałszywego światła obcych wzorów. Nowocześni artyści czeszy zaniedbują, zdaniem Rezka,

¹³ Likier kminkowy (producent nazywał się Gilka).

¹⁴ Niklas-Kirche – największy kościół barokowy Pragi.

¹⁵ U Rilkego „Ferdinandstrasse” i „Am Graben”; po czesku odpowiednio Feminandova ulice (po 1918 „Narodni třída”) i „Na přikopě”.

Nikt nie zauważył, jak Bohusz w niedzielę rano prowadził swojego gościa do piwnicy starego, ciemnego domu w zaułku Hieronima. Obaj schodzili przecież tak ostrożnie, jakby chodziło o to, żeby nie zbudzić śpiącego; odsunęli na dole drewno i potem ciągle milczący Rezek wczółgał się z latarnią w rękę do tajemniczego korytarza. Garbus stał nieruchomo i patrzył za nim. Chwilę jeszcze otwór pozostał jasny, potem pasma światła zgasły na krawędziach i w końcu już tylko pojedyncze refleksy trzepotały tu i tam wewnątrz jego czarnych ram, raniły sobie skrzydła bijąc się o ściany i padały martwe w bezgraniczną ciemność. Bohusz nasłuchiwał: kroki odbijały się coraz dalszym echem. Naraz ogarnął go strach. Pomyślał: dlaczego to robi? W końcu przestał słyszeć kroki i wtedy zaczął nawoływać. Jego słowa miały dziwne brzmienie; niosły ze sobą uderzenia jego serca, które czuł w gardle i które stawało się coraz bardziej dzikie i niepokohamowane: „Niech pan uważy, Rezek! – Rezek, niech pan nie idzie dalej. Co też pan robi? No, no. Nie wolno panu iść dalej. Tutaj. Słyszysz pan? Jezus Maria, gdzie też pan jest? Niech pan nie robi głupstw; nigdy nie można wiedzieć, czy...” Nagle padło na niego całe światło latarni; stało się to tak niespodziewanie, że mały jeszcze przez dłuższą chwilę zachował wszystkie oznaki przerażenia i trwogi, stał bez tchu, zmieszany i wyglądał pociesznie. Rezek jednym susem znalazł się obok niego, wydawał się jednak wcale go nie dostrzegać. Płomyk satysfakcji zablysnął w jego oczach, szybko jednak zgasł, jego twarz zamknęła się a jej rysy skamieniały. „No i cóż?” – wykrztusił wreszcie Bohusz i wyjął mu z ręki latarnię, jak gdyby bał się znowu stracić światło. Student wydał mu się nagle ograniczony, prawie śmieszny, i kiedy zdał sobie sprawę również i z tego, że cały czas wołał ze strachu w zupełnie przeciwnym kierunku niż należało, jego niepokój stopniał i jakby spłynął z niego w postaci niepokohamowanego, metalicznego śmiechu. Był teraz w nastroju, w którym wszystko wydawało mu się wesołe i uważał za świetny dowcip to, że chudy i wysoki student z powrotem układał drewno przed tajemnym wejściem, zachowując się przy tym tak poważnie i uroczyście. Kiedy opuszczali piwnicę, zaprosił jednak Rezeka do siebie na górę. Mówił, że jego matka na pewno jest jeszcze w domu, i że student nie pożałuje, jeżeli wysłucha jej pięknych opowieści, i może wypije również szklaneczkę gilki¹³ (tak, takie smakowitości posiada on, biedny Bohusz). Student przeprosił; ma pilne zobowiązania i chętnie przyjdzie innym razem. Poza tym na dole było bardzo interesująco i Rezek dziękuje stokrotnie. Bohusz był bardzo rozczarowany; tak wiele miałby teraz do opowiedzenia. Ale Rezek nie dał się uprosić. Pożegnał się pośpiesznie i usłyszał jeszcze, jak garbus brnął w górę po schodach i komuś na pierwszym piętrze rzucił bardzo głośne „dzień dobry”. Student kroczył szybko w górę ulicy Mostowej. Rzucił się w oczy jak ktoś szalenie zajęty wśród szlifbruków i jego czarna szczupła postać dała się ponieść jasnej i powolnej ciżbie niedzielnej, zdążającej w kierunku kościoła św. Mikołaja¹⁴.

Niewiele później z tego tłumy wynurzyła się postać „Króla Bohusza”. Prawie wszyscy w tej okolicy znali i jego przezwisko, które Bóg wie dlaczego nosił od czasów szkolnych, i zaczepni chłopcy rzucali mu, chichocząc, tego „Króla Bohusza” w plecy, jeszcze bardziej okrągłe i szpetne pod czarnym, niedzielnym surdudem. Nie zwracając na to uwagi, garbus przez chwilę pozwolił się ponieść tłumowi, wkrótce jednak zawrócił i wciąż się uśmiechając, poszedł w kierunku Starego Miasta. Chciał kogoś spotkać; czuł potrzebę wytłumaczenia komuś, że życie, chociaż ma swoje „kanty”, w gruncie rzeczy jest jednak wyborne, Czesi to wspaniali naród patriotów, Praga zaś jest miastem nie mającym sobie równych w okolicy („Proszę spojrzeć tylko na to Rudolfi-

num”, powiedziałby chętnie). Prawdopodobieństwo znalezienia kogoś takiego było największe na ulicy Ferdynarda i „Przy Fosie”¹⁵, na których szerokich trotuarach niedzielne popołudnia spędza cała snobistyczna Praga; i tam właśnie skręcił, w nadziei spotkania tego lub owego – niechby to był nawet Machal czy Pátek. Ledwie o tym pomyślał, rozpoznał Pátka; nowelista i światowiec kroczył tuż przed nim. Miał na sobie całkiem nowy, jasnoszary garnitur, za pomocą którego niejako protegował nieco niezdecydowaną wiosnę; mocno zaprasowane kanty jego spodni nie załamywały się ani razu pod jego krokiem i sięgały do nienagannie połyskujących lakierów, których elegancję Pátek potrafił z gracją podkreślić. Kiedy Bohusz wyprzedził go i zagadnął, Pátek przyłożył niedbale dłoń w rękawiczce (*café au lait*, 6 3/4) do krepki niskiego cylindra, lecz nie sprawiał wrażenia, jakby wdawać się chciał w rozmowę. Ale Bohusz był tak bardzo ucieszony tym spotkaniem, że zapomniał o swojej nieśmiałości i nie czekając na zaproszenie, przyłączył się do niego. Pátek rzucił od czasu do czasu w dół jakieś słowo, to znaczy raczej pozwalał mu spaść, nie zważając, czy mały podchwycił te drogie fragmenty, czy nie. Ten zaś mówił bez ustanku, znajdując czasem wytchnienie w swoim głośnym śmiechu. Tematów miał mnóstwo. Jego nie zawsze szczęśliwie dobrane dowcipy zwracały uwagę wokół i wytworny młody człowiek, rozdając ukłony na lewo i prawo, czuł się doprawdy nieprzyjemnie w towarzystwie tego „nieudatego proletariusza” jak zwykł Bohusza nazywać. Na następnym rogu udał, że zauważył jakiegoś dobrego znajomego po przeciwnej stronie ulicy, zamrugał porozumiewawczo w tamtym kierunku, bąknął pod nosem coś niezrozumiałego, i zanim Bohusz pojął, o co chodzi, uskoczył w bok. Garbus poszedł dalej, po dziesięciu krokach zatrzymał się, odszukał wzrokiem w ludzkiej fali po przeciwnej stronie ulicy postać uciekiniera i zrozumiał, że Pátek idzie sam. Wtedy uśmiech zgasł na jego szerokiej twarzy; rzucił obelżywe słowo za kimś, kto tylko lekko otarł się o niego, odwrócił się i precyzyjnie swoje grube plecy przez tłum w boczną uliczkę, gdzie nie było słońca ani żywego ducha. Miał w oczach łzy.

Przez moment myślał o odwiedzeniu Schiledera w jego atelier. Tam był zawsze tolerowany. Jeżeli nawet malarz był zajęty, Bohusz mógł zaszyć się z jakimś albumem w miękkim kącie dużego pomieszczenia i godzinami oglądać obrazy, i wysyłać spojrzenia wzdłuż wysoko położonej galeryjki, na której znajdowały się najbardziej ekstrawaganckie, nie pasujące do siebie przedmioty, które jednak znosiły się wzajemnie za gęstymi welonami wieloletniego kurzu. Siedział tam często godzinami nie zauważony i jeżeli gdzieś odkrył kawałek aksamitu albo połyskującego w załomach jedwabiu, nie spuszczał już z oka tej materii, a malarz chętnie mu ją darowywał. Wtedy pośpiesznie szturmował swoje cztery piętra, zdziczały z niecierpliwości, aby wreszcie, odziany w tkaninę, stanąć przed lustrem. Tak, Bohusz odczuwał swój czarny surdut jako kiepski, niegodny strój niedzielny i już jako dziecko marzył o tym, by chodzić wśród ludzi w niezwykłych i wspaniałych szatach. W czasach szkolnych tylko dlatego był ministrantem, żeby mieć prawo do noszenia czerwonych sukien w prezbiterium i tylko z powodu błyszczącego uniformu w przeszłości najchętniej zostałby żołnierzem. To wszystko było dawno temu i teraz nie mógł już mieć nadziei, że kiedyś, nawet przy największym święcie, założy coś innego niż swój nędzny czarny surdut, chyba żeby Franciszka jednak jeszcze się zdecydowała wyjść za niego; na tę okazję kazałby sobie bez wahania uszyć nowy, z szerokim, aksamitnym kołnierzem. Na ten dzień czekała również haftowana kamizelka ojca, którą Bohusz dopiero wtedy pozwolił przerobić dla siebie, gdy przyjdzie czas. Nie powinno się niepotrzebnie wydawać pieniędzy. A czy ten czas kiedyś nadejdzie?... Ostatniej niedzieli Bohusz nie doczekał się ukochanej. Co będzie, jeżeli dzisiaj też nie przyjdzie?

język narodowy, ponieważ „nadużywają jego wiosny dla chorej sztuki końca”, a ich sztuka od dawna porzuciła swój właściwy cel, którym jest „towarzystwo ludowi w drodze do jego świętych pamiętek” i opowieść w nowych, jasnych słowach o ich dawnej wartości o uświęconej godności. Ich inspiracją nie są już pieśni, „które mógłby śpiewać całkiem młody, zdrowy, ledwie rozbudzony naród, opowieści o jego męstwie i wolności”.

Opinie Rezka nie opierały się na spekulacjach, lecz wyrażały podstawowe przyczyny konfliktu, ciągnącego się przez dziesięciolecie pomiędzy narodową szkołą poetycką a grupą „kosmopolitów”. Pisarze skupieni w pierwszym ugrupowaniu pod przywództwem Svato-plika Čecha, wystawiali narodowe cnoty w almanachu „Ruch”, kosmopolici zaś dążyli do nadania czeskiej literaturze charakteru uniwersalnego w czasopiśmie „Lumír”. Wypowiedzi Rezka, zawierające argumenty poetów „Ruchu”, nie są jednak skierowane jedynie przeciwko „lumirovcům”, ale także współczesnej Rilkemu grupie dekadentów, skupionej wokół redagowanego przez Amošta Prochazkę czasopisma „Moderní Revue”. Konkretnie zaś przeciwko sztuce, która wielbi „sceny pełne okrucieństwa, orgie, ladacznice w niewieście, męską miłość”, której rzecznikiem był Jiří Karásek ze Lvovic. Tego pisarza tyca też zarzuty o uwolnieniu literatury od funkcji narodowych, o zajmowanie się „orientem, ▶

► wyprawami krzyżowymi, średniowieczem". Rilke zadziwiająco trafnie rozpoznał sytuację czeskiej literatury, nie tak dobrze jednak był zorientowany w sytuacji politycznej. Jeden z zasadniczych zarzutów wysuwanych przez Rezka zdradza, że jego ustami mówi pisarz niemiecki. Czeski patriota lat dziewięćdziesiątych raczej by nie wypominał poecie francuskiej orientacji; od roku 1891, w którym zawarto sojusz francusko-rosyjski, wzrosła w Czechach sympatia do wszystkiego, co francuskie. Paryż był, przede wszystkim dla młodych patriotów, świętym słowem.

Krytyczne opinie o czeskiej literaturze Rilkego opierają się na założeniu, że naród czeski, jeśli nie chce wyalienować się z własnej historii, może opisać swoje trudne warunki egzystencji, czerpiąc jedynie z pieśni ludowej. Również wielcy poeci czescy, zdaniem Rilkego, mogą osiągnąć doskonałość tylko wtedy, gdy wsłuchiwać się będą w ducha narodu. Wszystko, co czeskie, nacechowane jest u poety czarną melancholią. „Mój naród nie ma wesołych tonów” – mówi Czech Zdenko – „jego najukochańsze pieśni kończą się jakby krótko przed płaczem”. (...) Dostrzeganie czeskiej poezji jako melancholijnej pieśni ludowej (...) jest u Rilkego estetyczną sublimacją tradycyjnego wschodniemieckiego rozumienia słowiańskości. Dlaczego Rilke, podając za przykłady z zewnątrz,

Na ubogich cmentarzach, gdzie marmurowe nagrobki możnych nie są zdobione rozważną ręką ogrodnika, jest tak: wiosna wkracza tam w swojej niewinności a trzask kraty zardzewiałej furty jest ostatnim hałasem, które słyszy. Nie przeczuwa nawet, gdzie się znajduje. Ale podoba jej się w tych cichych murach, poza którymi burzy się życie, i przy tych małych aniołkach z błyszczącej gliny, które ze złożonymi dłońmi modlą się do niej. (A do kogo by innego?) Nie ma również lepszej podpory dla młodych, lekliwych powojów niż taki krzyż, z którym, kiedy są wreszcie odpowiednio duże, mogą rozprostrec się w lewo i w prawo, jak im się podoba. I dlatego, że jest tutaj szczególnie dobrze, wiosna staje się na takim miejscu wcześniej dojrzalsza niż gdzie indziej. Mała, ciemna postać Bohusza ginęła wręcz w zgiełku prymuli i anemonów, a z góry wiatr, czyhający w gałęziach drzewa, które pokryło się kwieciami, zanim jeszcze pojawiły się liście, posyłał mu na kolana płatki i bujał przystrojonymi gałęziami tak szelmowsko, jakby chciał samotnika w następnej sekundzie zupełnie zasypać. Garbus nie był jednak w nastroju, żeby to zrozumieć. Strząsał płatki, zrzedząc pod nosem i zapominając o słonecznej niedzieli i wywoływał w sobie obraz innego, jakże innego dnia. To było również na cmentarzu. Trzy lata temu mniej więcej. Kilkoro czarno ubranych ludzi stało wokół otwartego grobu. Mężczyźni z niejaką światową dystynkcją, z dużymi brodami lub zupełnie wygolonymi twarzami, z owymi zmarszczkami wokół warg, co to wedle ogólnej umowy są znakiem żałoby i wzruszenia, kobiety, o wiele mniej znaczne, z chusteczkami w dłoniach, i w środku tej pierwszej grupy, mała, bezradna, białowłosa kobieta, złamana bólem, który wziął ją całkowicie w swoje posiadanie. Każdy spazm jej biednej postaci, każde błaganie jej zdławionego głosu należało do niego. Dlatego zapomniała o wszystkim wokół siebie, również o synu, biednym Bohuszu. Ten był wielce zdumiony. Nigdy jeszcze matki takiej nie widział. On sam nie czuł nic szczególnego. Myślał po prostu tylko o tym, jak też ojciec mógł się zmieścić w tej trumnie. Skrzynia nie wyglądała na specjalnie dużą i prawdopodobnie musiał on tak leżeć. Przy tym wyobrażał sobie ojca, jak ten podciągał nieco kolana, i myślał, że jeżeli zmarły wpadłby na niesłychany pomysł wyprostowania nóg, żółta skrzynia musiałaby pęknąć u góry albo na dole. Oddając się takim myślom, czekał spokojnie, aż towarzystwo uda się w drogę powrotną. Kiedy i wówczas jego nieprzerwanie szlochająca matka nie zauważyła go, ogarnął go wielki niepokój. Nie mógł po prostu pojąć, że biedna mała kobieta przez całe czterdzieści lat swojego małżeństwa (z wyjątkiem może dwóch pierwszych) nie poważała się nigdy zapłakać ze strachu przed mężem, który nie znosił takich scen, i teraz nieświadomie, w rozkoszy wyzwolenia, nadrabiała to spłakując rok po roku. A czterdziestu lat nie da się wypłakać w okamgnieniu. Bohusz patrzył bezradnie to na jednego, to na drugiego żalobnika. Wszyscy przechodzili obok niego, przyjaciele i współpracownicy zmarłego, i najbardziej taktowni z nich ściskali mu milcząco dłoń, podczas gdy ich małżonkom oczy niezmiennie zachodziły łzami. A kamerdyner Książęcej Mości powiedział w zagranicznie poprawnym górnoniemieckim: „Pański ojciec nie był jeszcze wcale stary”. W ten sposób chciał podkreślić, że zmarły portier był o dwa lata starszy od niego samego, angielskiego kamerdynera Jego Książęcej Mości. Przy każdym uścisku dłoni Bohusz stawał się coraz bardziej bojaźliwy, dopiero teraz uświadomił sobie, że oto musiało stać się coś niezwyklego i strwożony sztywną odświętnością tych ludzi, trzymał się kilka kroków z tyłu za konduktem. Wtedy poczuł nagle, jak czyjeś ramiona opuszczają się na niego, a kiedy spojrzał w górę, młoda, jasnowłosa kobieta pocałowała go właśnie w czoło. Jej wargi były chłodne i co mu się jeszcze bardziej spodobało: nie płakała. Miała tylko bardzo, bardzo smutne oczy. Ale kiedy garbus odszukał jej wzrok, musiał pomyśleć o ciemnym lesie. O niczym strasznym

właśnie, tylko o ciemnym lesie, w środku którego można chyba przecież miło mieszkać. Te smutne oczy stały mu się od razu drogie, smutne oczy jego Franciszki. Zresztą nikt wtedy nie znał tej dziewczyny, nikt z żałobników nie znał jej nazwiska; dołączyła po prostu do konduktu. Przy bramie cmentarza stały dwie stare żebraczki, różniące między zwiędłymi palcami. Były właśnie przy siedemnastym „Zdrowaś...”, kiedy Bohusz ze swoją nową przyjaciółką trzymając się za ręce przechodził obok; przerwały modlitwę i jedna z nich powiedziała, uśmiechając się szyderczo: „Ta z tym garbusem była kochanką Nieboszczyka”. Ale Bohusz tego nie słyszał. – Widział znowu jasnowłosą i kiedy ta musnęła mu dłonią czoło mówiąc: „Ty jesteś taki dobry, dobry chłopak”, to pocałował tę dłoń i serce biło mu przy tym pośpiesznie. Czuł, jak zimno przeleciało mu przez plecy i jak w jego głowie wszystko runęło z łomotem; chcąc krzyknąć z bólu złożył i zacisnął dłonie, lecz zamiast krzyknąć, wyszeptał: „Ty jesteś moje kochanie, prawda?” A wtedy ona się roześmiała, śmiała się głośno i kiwała głową, a jej oczy były pełne kochanego smutku. Jednak to było już dawno temu i Bohusz, który siedział teraz pod kwitnącym drzewem na Malvasince, chętnie znowu zapytałby o to Franciszkę. Zamiast tego patrzył nieruchomo w czerwoną twarz wieczoru i wiedział, że teraz ona już nie przyjdzie. Nie było w nim nawet najmniejszej nadziei, a przecież siedział dalej między wzgórkami i krzyżami, urzeczony ciemnym życzeniem, żeby móc tutaj mieszkać, na tych samych prawach, co wielu innych sąsiadów. Co powinien w tym celu zrobić? Boże, jego oczy musiałyby jedynie pożegnać te wieże w oddali, te dachy, to cicho rozplywające się w mroku zbocze, musiałyby pożegnać się z niebem, z gwiazdą wieczorną, i to coś, co w nim głęboko tkwi, musiałyby jeszcze raz zaczerpnąć oddechu i powiedzieć „Franciszko” i potem już nic więcej. To byłoby wszystko, i to jest takie trudne? Musiało to być jednak trudne, bo Bohusz podniósł się i poszedł środkiem nieutwardzonej drogi, na której pojazdy wydrążyły wypełnione teraz wodą rowy. Szara, migotliwa mgła sączyła się tam z nieba, zatrzymując w niewoli powietrza płomyki gazu, tak że nie mogły nic ze swego światła sypaną w dół, na tłum spacerowiczów, którzy upiornie wynurzali się z bezmiaru dopiero na dwa kroki przed samotnikiem i tuż za nim zapadali w nicność. I gdyby Bohusz poszedł za swoim najbardziej wewnętrznym głosem, nie podnosząc oczu od ziemi, znalazłby się na pewno pośrodku Weltawy, gwałtownej i porywczej od stopniałych lodów, tak jak zmęczona szkapka znajduje drogę do cichej stajni – nie rozglądając się. Ale Bohusz podniósł oczy. Mgła wokół zaczynała do niego mówić potężnym i rosnącym głosem, a wszystkie wieże, z którymi uprzednio chciał się pożegnać podniosły swoje uroczyste „Ave”. Było tak, jak gdyby w górze ponad dachami, za nieprzeniknionymi mokrymi fałdami mgły zaczynało się jakieś wielkie święto, i dusza garbusa uniosła się nagle w górę i zanim mógł temu przeszkodzić, rozkwitła w mistycznej radości przestworzy. A biedny Bohusz stał i patrzył za nią. Pomyślał, że za osiem dni będzie Niedziela Wielkanocna i to nappełniło go tak wielką radością, że z uśmiechem wpadł do mieszkania matki i cały wieczór opowiadał tak pocieszne historie, że starej kobiecie ze śmiechu aż zakręciło się w głowie i osłabła. Wszystko to sprawiło, że Bohuszowi przyśniło się, że Franciszka i on mają się pobrać. Widział to wszystko aż do najmniejszego szczegółu, nawet kolczyki z granatami, które jak krople krwi zwisały z koniuszków uszu jego narzeczonej. I wszystko odbyło się jak należy. Ślub pod wielką kopułą Św. Mikołaja; również proboszcza rozpoznał Bohusz od razu. Do tej pory wszystko nie przekraczało granic zdrowego rozsądku. Ale nagle zaczęło być dziwnie. Młoda, och, jakże młoda dziewczyna objęła Pannę Młodą, która klęczała przy nim przed ołtarzem i zakrzyknęła: „Nie oddam ci go, ja go tak bardzo kocham!” Krzyknęła bardzo głośno, całkiem dziko, chociaż było to w wielkim i poważnym kościele

gorąco odradzał czeskiej literaturze korzystanie z obcych wpływów?(...)

W listopadzie 1893 roku w skromnym mieszkaniu w Pradze znaleziono ciało. Ofiarą mordu był Rudolf Mrva, garbaty tapicer, który bywał w kregach tak zwanej Omladiny, ugrupowania radykalnej praskiej młodzieży studenckiej i rzemieślniczej, ale jako konfident policji przyczynił się do aresztowania kilku jego członków. Spiskowcy, ślusarz Delezal i malarz Dragouna, zaszyteliwali zdracę.

Rudolf Mrva jako Król Bohusz jest bohaterem praskich opowiadań Rilkego, w których autor posłużył się realiami wziętymi z niespokojnego czasu Omladiny. (...)

Oba opowiadania: *Król Bohusz* i *Rozdzierństwo* są świadectwem osobliwego mniemania Rilkego o istocie czeskiego narodu, który uważa za naiwny i niedojrzały. Nie była to osobista i oryginalna koncepcja Rilkego. Ten pogląd jest dowodem, że nie udało mu się całkowicie uwolnić od dziedzictwa owej sfery towarzyskiej, której zawdzięczał swoje wczesne wychowanie. Duchowy i społeczny rozwój sąsiadów przestał interesować niemieckie mieszczaństwo w Czechach od czasu, kiedy wyrzekło się ono swoich liberalnych poglądów. Odizolowani w narodowych przesądach, nie nadawali za rozwojem wydarzeń i pozostawali przy obrazie Czechów jako narodu chłopów. Nawet Rilke nie był w stanie całkowicie

► wyzwolić się od tego mniemania. (...) Zdaniem Rilkego, Czesi nie są niewolnikami w sensie politycznym, lecz „nie do końca uznanymi i uprawionymi do przejęcia dziedzictwa dziełmi”, które na swoje nieszczęście wrosły w bezpośrednim sąsiedztwie starszego narodu niemieckiego. Ta tendencja staje się jeszcze bardziej widoczna w odrzuceniu przez Rilkego radykalnego ruchu narodowego Czechów i napiętnowaniu tych poetów, którzy nazbyt głośno „potrzęsają kajdanami”. Już w tomiku *Larenopfer* przestrzegał Rilke poetów przed nazbyt gniewnym nawoływaniem do walki politycznej (...) W opowiadaniach o „Omladynie” staje się to jeszcze bardziej wyraźne. Król Bohusz skarży się, że jeden z nowych poetów napisał *Pieśni niewolnika*. Zarzut Rilkego kieruje się tu bezpośrednio przeciw „głowie” szkoły narodowej, Svatoupkovi Čechovi, który w *Pisně otroka* Rilke tłumaczy ten tytuł dosłownie) nawoływał swój naród do oporu.

Usiłowanie Rilkego, aby przewyciężyć obciążenia swojego wychowania (...) i aby przedrzeć się do autentycznego zrozumienia czeskich problemów i postaci, ma również w swojej fragmentarycznej postaci duże znaczenie. Po tym, jak Rilke w Czechach po raz pierwszy odkrył „inny” naród i przełamał więzy drobnomieszczańskiego nacjonalizmu, stał się otwarty na Europę. Rilke przeżył prawdziwe przeobrażenie: przy końcu okresu praskiego potępił ciasny nacjo-

św. Mikołaja. Naturalnie, że Pan Młody (który poza tym miał na sobie surdut z ciemnoczerwonym, aksamitnym kołnierzem) chciał dokładniej przyjrzeć się temu tak bardzo młodemu dziewczęciu, które go tak kochało. Rozpoznał w niej Karłę, młodszą siostrę Franciszki, którą znalazł tylko przelotnie i bardzo był zagniewany tym zakłócającym ceremonię wydarzeniem. Ale kiedy przyjrzał się lepiej, zauważył, że to jasnowłose dziecko nosi habit zakonnicy i przeraził się z radości tak bardzo, że zerwał się jak szalony i obudził. Trwało jeszcze dłuższą chwilę, zanim, siedząc na łóżku, zorientował się, gdzie jest. Potem policzył dni, które zostały jeszcze do Wielkiego Czwartku; i kiedy uswiadomił sobie, że zostały już tylko trzy, Bohusz uśmiechnął się i z tym uśmiechem, już bez marzeń, spał do samego rana.

Plac przed Zamkiem Królewskim w Pradze wygląda bardzo wytwornie, mimo ubożuchnej alei, która go przecina. Wygląd ten zawdzięcza okalającym go pałacom. Największe wrażenie robi szeroki front królewskiego zamku z grodzonym barokowymi kratami wielkim białym dziedzińcem, po którym przechadza się w tę i z powrotem niezmordowany wartownik. Dom rodowy księcia von Schwarzenberga i inny, niepozorny budynek, patrzą nań w ciągłym ukłonie, a po jego prawej stronie czuwa ponad domami prałatów i kanoników w pozie nieco aroganckiej nowo odmalowany pałac arcybiskupa, jakby przyjmując pochlebstwa swoich podopiecznych. Tylko na jednym rogu, z boku Zamku, gdzie kończą się schody i zaczyna stroma Ostruhova ulica, jest luka, przez którą widać ściśniętą między Petřinem¹⁶ i Belwederem pyszną panoramę Pragi, tego eposu sztuki architektonicznej. Pełna światła i życia, rozciąga się przed oczyma Hradczynu, dołączając do jego starej pieśni ciągle nowe, godne go strofy. Na przeciwległym końcu ulicy znajduje się biedny, jednopiętrowy stary budynek¹⁷, który dzień w dzień stoi tam z dłońmi na oczach i z pobliskiego przepychu nic widzieć nie chce. Dzieci z całej okolicy przechodzą obok jego poważnego milczenia z lekliwym dreszczem i jeżeli ktoś opowie im o tym domu, to pewnie całą noc nie mogą zasnąć albo mają złe sny o białych zakonnicach. Co prawda, młodą wyobraźnię musi również uskrzydlać to, że Barnabitynki, które żyją swoją niemą śmiercią w tych okrutnych murach, również między sobą nie zamieniają słowa, i nie mogą darować sobie nawzajem nawet tyle słońca, ile jedna znaleźć by mogła w oku drugiej, że swe noce rozdarte trwożliwymi modłami przestać muszą w zbitych z prostych desek trumnach, w których w końcu – chyba niedługo potem – chowane są w garści ziemi, pod najciemniejszą ze ścian klasztoru, do której z pewnością nigdy nie dotarła wiosna. Pokutniczy Zakon Braci Św. Barnaby dawno już wymarł. Na wół rozpadłe czaszki dwóch ostatnich braci leżą na kamiennym ołtarzu w zapomnianych katakumbach kościoła Santa Maria della Victoria¹⁸ i zażywają nie zakłócającej modlitwą ciszy gnicia. Ale siostry są bardziej uporzycywe w cierpieniu. Kiedy przed mniej więcej piętnastoma laty po raz ostatni zakłócony został wieczny spoczynek zardzewiałych zawiasów bram wejściowych, białowłosi ludzie z okolicy, dewotki z niezbyt godną zaufania pamięcią twierdziły, że oto do siedmiu żyjących sióstr dołączyła ósma – ale były to na niczym nie oparte przypuszczenia. Do powozu, który przywiózł nową ofiarę, zagląдали jednak również młodszy i bardziej przenikliwi ludzie i ci przysięgali, że była to całkiem młoda dziewczyna, nie do opisanego piękna i wytworna, i mówili, że grzechem jest pozwolić zwiędnąć temu nadmiarowi rzadkiego wdzięku w najstrasliwszym ze wszystkich klasztorów. Opowiadali również inne rzeczy; ale te inne to były plotki o tym, co spowodowało wczesne

¹⁶ W oryginale Laurenzberg: wzgórze ponad Małą Straną z wieżą widokową.

¹⁷ Renesansowy zameczek królowej Anny, w kierunku południowo-wschodnim od Hradczynu.

¹⁸ Najstarszy kościół barokowy na praskiej Małej Stranie.

pożegnanie z życiem; układano różne romantyczne historie, błyskały sztylety najrozmaitszego rodzaju i ognie bengalskie, ożywiali najbardziej demoniczny książeć z opowieści nianiek. Wiedzano z pewnością, że za tym stało jakieś głośnie i straszliwe wydarzenie, i zapominano jak zawsze, że mogło to być całkiem ciche cierpienie, jedno z tych głębokich, bezgłośnych rozczarowań, które najbardziej czułym duszom potwierdzały ciemne przeczucia, że oto szczyty i przepaści przeżywania ma się już za sobą i że teraz zaczyna się bezbrzeżna równina z małymi rowami i śmiesznymi wzgórkami, wędrownica, która tak bardzo męczy. Piękne, znużone dziecko przybyło do klasztoru z domu książeć przy Spornergasse, w którym bawił się również Bohusz w swoich chłopięcych latach, i dzień, w którym zamknięty powóz przywiózł księżniczkę Aglaję do jej nowej ojczyzny, oznaczał również dla niego, wtedy podrośniętego, przełom w życiu. Właściwie wcale nie mógł sobie wyobrazić, jak księżniczka wtedy wyglądała; nosił w sobie jej obraz z dni, kiedy złoty jej śmiech jak zbląkana jaskółka trzepotał się w dostojnych salach, by zgubić się wreszcie, na przekór sztywnej i przerażonej Angielce, w wolnych przestrzeniach szemrzącego parku. Tam właśnie dosyć często spotykali się oboje: paplali, żartowali, uganiali się za sobą, jak czynią to dzieci uwolnione od przymusów: Aglaja od swojej guwernantki, a Bohusz od swojego cichego, wiernego smutku. Potem nastąpiły lata, w których syn odźwiernego nie oglądał swej towarzyszki zabaw, tymczasem już damy, i doszło do tego, że w jego wspomnieniach dzień, w którym wyrzekła się świata, przybliżył się bardzo do tych godzin radosnego dzieciństwa i tak powstało wrażenie, jakby najbardziej promienny dzień zapadł się nagle w najgłębszą noc, najobfitsze lato w najbardziej ponurą zimę – bez przejścia. Bezwzględność tego wydarzenia przerażała go; pozbawiało go ono na zawsze przekonania, że bogaci i uhonorowani są równocześnie ulubieńcami losu, który tylko biedaków traktuje wrogo i nienawistnie. Cała wiązanka przesądów wypadła mu wtedy z rąk, został obdarowany częścią światopoglądu czy nawet religii, której kielki mogłyby w nim dojrzeć i nawet wyrosnąć ponad niego, gdyby był odważniejszy. Ale co mogłoby się stać czynem, gdyby wyrosło wolne i z krępkiego ciała, stało się barwnymi, dziwnymi snami biednego garbusa, jego nieśmiały rojeniami, dotyczącymi coraz bardziej kurczącego się świata, aż stało się w końcu wąską aureolą wokół portretu księżniczki. Jego bezradna wdzięczność zdobiła ten obraz tak długo, aż ze śmiejącego się miłego dziecka zrodziła się biała, tajemnicza ukochana, bardzo podobna do Panny Marii, całkiem pochłonięta wysłuchiwaniami dziwacznych życzeń Bohusza, i cierpliwie znosząca wszystkie wspaniałe cechy, w które Bohusz w swojej niezmordowanej fantazji ją przystrajał. Bohusz przewyższał wszystkich innych wiarą, bo wiedział, że jego święta, mimo że niedostępna całemu światu, żyła jednak, wiedziała o nim jako o powierniku swego dzieciństwa, które musiała ze sobą przecież zabrać w te wieczne mury jako jedyny klejnot. Związek ich nie doświadczył najmniejszego szwanku nawet wtedy, kiedy Bohusz nazwał Franciszkę „swoim kochaniem”, ponieważ proces ubóstwienia był w przypadku Aglai już tak zaawansowany, że jego promienna postać stała ponad wszelkim banalnym popędem i dusznymi snami. Bohusz poświęcał jej siebie samego tylko raz w roku, mianowicie w Wielki Czwartek, kiedy kościół Barnabitynek dla każdego stoi otworem. Ten mały, ciemny i raczej pozbawiony ozdób kościół zamyka za głównym ołtarzem ścianą, po jej drugiej stronie Barnabitynki biorą udział w publicznej mszy świętej.

W dniu, który poprzedza piątek chrześcijańskiej męki – i tylko w tym dniu – sączą się przez mur ołtarza ciche głosy zakonnic i opadają jak daleka skarga na niewielu modlących się. Wtedy przez wiernych przechodzi szmer, z drżeniem wstrzymują oni oddech, kapłan przy ołtarzu przerywa

nalizm, jaki znał z własnej rodziny, ze zdecydowaniem posuniętym aż do satyry. Kreśląc obraz pułkownikowej Charlotte von Meering-Merrheim, jednej z postaci swoich noweli, ukazuje karykaturalną ograniczoność ludzi tej sfery, którzy nie pozwalają swoim dzieciom bawić się z ich czeskimi rówieśnikami i powierają swoje pranie czeskiej pracownicy tylko dlatego, że ten „pochodzi z Rumburga i przez to jest zabezpieczony przed wpływami czeskimi, a dzięki pięciopalkowej koronie tych von Meerheim (...) jest zabezpieczony również przed wpływami demokratycznymi”. Od tego satyrycznego potępienia ciasnego nacjonalizmu prowadzi droga od Reného do Rainera Marii Rilke, który nazwał prezydenta T.G. Masaryka „człowiekiem o uniwersalnym duchowym znaczeniu”. Jako dziecko René wzbierał się przed nauką języka ludu; ostatnie prace praskie zakończył René Maria wezwaniem na rzecz porozumienia między wrogimi narodami. „Kocham ich język”, wyznaje niemiecki student swojej czeskiej przyjaciółce. Czułość, z jaką to wyznanie jest wymówione, zdradza nadzieję Rilkego, że dialog ukochanych wyprzedza dialog pogodzonych narodów.

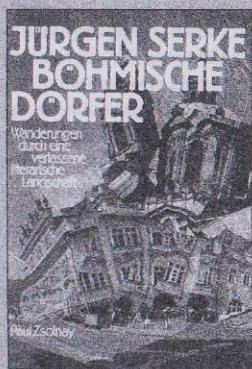
Peter Demetz

René Rilkes *Prager Jahre*
[Praskie lata Rilkego]
Eugen Diederichs Verlag
Düsseldorf 1953



Witryna

JÜRGEN SERKE *Böhmische Dörfer.*
Wanderungen durch eine verlassene literarische Landschaft [Czeskie wioski. Wędrowki poprzez opuszczony świat literacki].
Wydawnictwo Paul Zsolnay.



Aby określić znaczenie niemieckojęzycznych Czechów dla literatury naszego wieku wystarczyło liczyć do trzech: Rilke, Kafka, Werfel. Jürgen Serke liczył dalej i doliczył się 47 wybitnych niemieckich pisarzy z Czech, którym należna jest również sława, a którzy zostali zapomniani. Zniknęli razem ze swoimi dziełami. Umożliwił to Chamberlain, dokonał Hitler, a Stalin zakończył. Od Układu Monachijskiego droga prowadziła do podziału świata na Zachód i Wschód. Dzięki temu przybywało jeszcze tzw. czeskich wiosek - miejsc zapomnianych, oddalonych od świata, pełnych niesamowitej fantastyki. Serke - były korespondent w Pradze, współpracownik „Stema” i autor słynnej już serii „Książ czeskich

swoje modlitwy, mali ministranci patrzą bojaźliwie w czarne kąty kościoła, a ciemne obrazy na ścianach zdają się ożywać. Już za chwilę ostry dzwonek ministranta odczynia urok. Obrazy na ścianach znowu są martwe, kapłan pochyla się nad kielichem, pobożni przysuwają się do siebie w ławkach, wycierają nosy i szepczą: „To było takie wątłe, czy ich jest na pewno jeszcze osiem?” A potem rozkładają ramiona, wzdychają i znowu wycierają nosy.

Tak było również i w ten Wielki Czwartek. Bohusz ukląkł i czekał cierpliwie, aż zawoła go jego święta. Nie zapomniał tonu jej głosu i wierzył święcie, że rozpoznaje jej śpiew w dalekiej pieśni chóru. Podchwytywał go i wysupływał z całości, jak nitkę jedwabiu z poblądłej materii. Wybiegał mu na przeciw i tylko resztkom pozwalał dotrzeć do innych słuchających. Ale dzisiaj wiedział już przy pierwszym tonie - jej nie było. Jego lęk chciał temu zaprzeczyć, on sam wiedział jednak - jej nie było. I wychylił się daleko w przód i jego strach czatował i wyląwiał nawet najmniejszy odgłos - coraz bardziej był jednak pewny - jej nie było, i w końcu w bezgranicznym trwodze wyciągnął przed siebie ręce - daleko, daleko, i słuchał opuszkami palców... jej nie było. I wtedy coś w nim krzyknęło, i ten krzyk znalazł się z dzwonkiem ministranta; tylko jeden raz krzyknęło, a potem Bohusz załamał się w twardej stalli jak ktoś, kogo Bóg porzuca.

Malarz Schileder był pierwszym, który zauważył u Bohusza wielkie zmiany. Pomyślał przelotnie o możliwych przyczynach, nie udało mu się jednak ich wyjaśnić. Również jego żona Matylda nie mogła tu nic poradzić. W ten sposób zapomnieli oboje o swoim zdumieniu, aż pewnego przedpołudnia, wkrótce po Wielkanocy, kiedy Pátek wkroczył do atelier i powiedział krótko: „Bezczelność”. Schileder odłożył pędzel i popatrzył na wzburzonego gościa, który nie zdejmując kapelusza, biegł w tę i z powrotem: „Dzień dobry, a cóż ci się stało?” - powiedział. Nowelista powtórzył jeszcze kilka razy „Bezczelność” i w końcu się zatrzymał, i z najwyższą ostrożnością próbował położyć swój nieposzlakowany cylinder na stosie zakurzonych szkiełeczek. Najpierw opukał palcem w rękawicze wieko, a potem - jakby dotykał gorącego pieca - usiłował go złożyć. Z wzruszającą bezradnością balansował cylindrem w dłoniach, aż wreszcie spojrzął na malarza oczami pełnymi wyrzutu: „Wszystko u ciebie zakurzone” - zawahał się - „nie ma gdzie odłożyć cylindra”. W końcu uspokoił się, usiadł i opowiadał dosyć beładnie, że przychodzi z „Narodowej”, gdzie siedzieli jak zwykle razem i omawiali rozmaite sprawy. „Nie masz papierosa?” - przerwał i kontynuował dopiero, gdy Schileder zaspokoił jego życzenie. A więc, mówiono o tym i o owym. A ten - no, ten „nieudały proletariusz” w tak dziwny i narzucający się sposób brał udział w debacie. „Nie masz koniaku?” - zapytał w tym pełnym napięcia momencie. Szybko przełknął koniak i podchodząc do okna powiedział z grymasem: „I wiesz, na co się poważyl? On zaprzecza. Słyszałeś? On mi się sprzeciwia. Nie tylko to, on mnie obraża. Ma czelność mnie obrażać”. „A co też on powiedział?” - badał malarz. „Nie wiem”. Schileder popatrzył na niego tak zdumiony, że tamten nie bez zakłopotania dodał: „Myślisz, że ja mam czas, żeby pamiętać takie głupstwa? Że powinienem się wstydzić, czy coś takiego. Faktem jest, wyobraź sobie, że on mnie obraża. Czyż nie należy się wstydzić za tego człowieka?” Wytworny nowelista jeszcze przez moment wydawał się mocno oburzony, zaczął jednak interesować się pracami Schiledera, przypatrywał się temu i owemu, podnosząc ostrożnie odwrócone do ściany blejtramy. Schileder znosił to dobitnie

i nie był nawet zdziwiony, kiedy młody człowiek pożegnał go wkrótce w najbardziej pogodnym nastroju. Pátek zawsze tak robił. W mniej lub bardziej efektownej scenie rozprawiał się z jakimś nieprzyjemnym wydarzeniem, walczył je przez chwilę i, jak miał się w zwyczaju wyrażać, przeczytał go. Nie przeszkadzało to pogromcy jeszcze tego samego popołudnia pięć razy powtórzyć historię z Bohuszem, naturalnie w coraz bardziej korzystnym dla siebie oświetleniu, tak, że wersja piąta, opowiedziana w buduarze modnej solistki operetkowej zawierała pełne gracji przedstawienie filozofii dualistycznej, której pierwiastek dobra wcieliła zwycięsko postać nowelisty – światowca. To, czego dowiedzieli się w końcu wszyscy, po części dzięki własnemu doświadczeniu, a po części przez szerzone przez Pátka opowieści, miało w sobie jądro prawdy – Bohusz stał się kimś innym. Kiedy jego ukochana i jego święta porzuciły go, spostrzegł, że obu tym postaciom dał z siebie tak dużo, że jedynie mała cząstka siebie pozostała jego własnością. Walczył jeszcze kilka godzin ze sobą, nie mogąc rozstrzygnąć, czy wrzucić ten ostatni majątek nietknięty do Weltawy, czy też uznać ten kapitał za dostatecznie jeszcze duży, by ulokować go pożytecznie w wielkim banku życia. W czasie, gdy się tak zastanawiał, przypomniało mu się jedno słowo i ono przeważało szale. Rezek powiedział do niego pamiętnego wieczoru: „Może lud będzie pana jeszcze potrzebował”. Rezek powiedział oczywiście również: „jeżeli jest pan rozsądny”. A Bohusz mógł przysiąc, że był teraz bardziej rozsądny niż kiedykolwiek. Był również odważniejszy. Myślał wiele i mówił, co myślał, gdzie się tylko dało, w nieco staromodnych, mozolnie utoczonych zdaniach, i był przy podobnych okazjach swoim najbardziej uważnym słuchaczem. Bardzo rzadko tylko, jakby przez zapomnienie, stawał się nieśmiały i milczący; lękał się sam tych chwil, kiedy stary Bohusz ze swoimi złotymi myślami stawał przed nim jak zjawia i prosił go o powrót do cichego smutku minionych dni. Ale nowy Bohusz był nieustraszony. Całe dni spędzał w kawiarni i na ulicy, śpiewał, pogwizdywał, śmiał się, że aż ludzie oglądali się za nim, stawał przed wystawami sklepów, nie patrząc na nic innego niż niespokojne odbicie jego własnej brzydoty i był jak ktoś, kto oczekuje na jakieś niezwykle wydarzenie. Prawie instynktownie próbował przede wszystkim spotkać Rezka. Zdawało mu się, że właśnie z jego ust powinien usłyszeć, o jakie ważne dla niego wydarzenie chodzi. Tylko, że nie mógł Rezka złapać, gdyż ten wyprowadził się ze swojego mieszkania, nie pozostawiając adresu, i nikt w „Narodowej” go nie widział. „To jest osobliwy człowiek” – powiedział kiedyś Norinski. Schieder skinął głową, ale nowy Bohusz sztychł: „On jest głupi” i śmiał się swoim dawnym, biednym śmiechem, któremu nikt nie wtórował. Wieczorem tego samego dnia zdarzyło się coś dziwnego. Bohusz, który coraz bardziej zaniedbywał swoją starą matkę, później niż zwykle wrócił do domu. Wszedł na schody, trzymając w dłoni płonąca zapalniczkę. Jego wzrok badał gęsty mrok wąskiego i krętego korytarza. Wydało mu się, że drzwi piwnicy nie są całkiem zamknięte; odszukał je po omacku, i ruszył z rzadkim zdecydowaniem w dół znajomych schodów. Jego postać całkiem rozplynęła się w wilgotnym mroku, z którego dochodziły go odległe, obce dźwięki. Posuwając się ciągle po omacku wzdłuż zimnej ściany, znalazł odsunięte drewno i zauważył, że z tajemnego korytarza dochodzi nieśmiało połyskujące światło. Dopiero wtedy poczuł strach. Ale inne, silniejsze uczucie, kazało mu podejść bliżej. Najpierw nasłuchiwał, a kiedy nic nie mógł zrozumieć, wsunął się jakimś mimowolnym ruchem, którego zręczność samego go zaskoczyła, w otwór na tyle daleko, że poczuł jego ramy, jego ciało nie wystawało jednak po drugiej stronie. Zrazu rozpoznał niedaleko od siebie na ziemi latarnię rozlewającą soczyste światło, które rozplynęło się po płytach posadzki jak rzadka ciecz. Wkoło na granicach tej kałuży światła widać było męskie stopy, a w środku

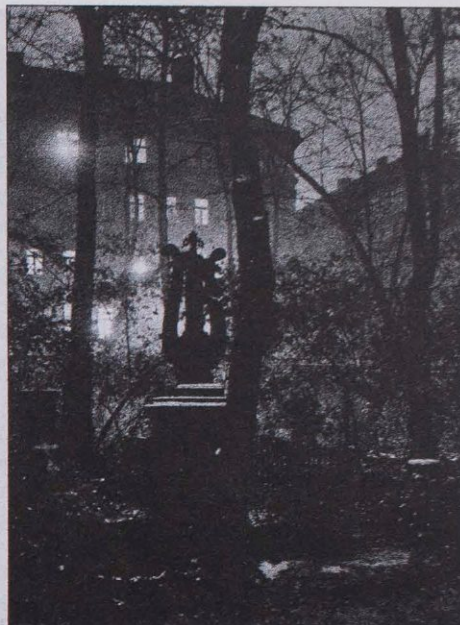
wiosiek” – ten właśnie świat pogranicza i kresów próbuje ponownie odkryć poprzez wnikliwe sportretowanie sylwetek następujących pisarzy:
H.G. Adler - Paul Adler - Oskar Baum - Max Brod - Otto Brod - Fritz Brügel - Dietzschmidt - Louis Fürnberg - Rudolf Fuchs - Hermann Grab - Felix Gräfe - Victor Hadwiger - Joseph Hahn - Josef Paul Hodin - Camill Hoffmann - Franz Janowitz - Hans Janowitz - Elisabeth Janstein - Oskar Jelinek - Georg Kafka - Peter Kien - Hans Werner Kolben - Paul Kornfeld - Paul Leppin - Georg Mannheimer - Josef Mühlberger - Hans Regina von Nack - Hans Natonek - Paul Neubauer - Oskar Neuman - Leo Perutz - Otto Pick - George Saiko - Roman Karl Scholz - Walter Seidl - Walter Semer - Ernst Sommer - Hugo Sonnenschein - Franz Baermann Steiner - Hermann Ungar - Johannes Urzidil - Melchior Vischer - Joseph Weschberg - Louis Weinert-Wilton - F.C. Wieskopf - Ernst Weiss - Ludwig Winder.

kręgu – stopy młodej dziewczyny. Jej to uczeplił się jego wzrok, pełnąc powoli w górę po sukni nieokreślonego koloru, aż znalazł w mroku dwie świetliste żywe dłonie dziewczęce, porywczymi ruchami przychodzące na pomoc słowom, których Bohusz jeszcze nie mógł zrozumieć. Ale dłonie rozumiał. Pojął nagle, że te dłonie czymś wstrząsają, że chcą obalić jakąś niesprawiedliwość w swoim młodym, świętym porywie. I zaczął kochać te ręce. Powoli podniósł głowę i poszukał do tych ukochanych dłoni twarzy. Jego oko toczyło pośpieszną i uporczywą walkę z zawistnymi cieniami, które ciągle od nowa zamazywały ledwie ujawniające się rysy; aż wreszcie zwyciężyło. Rozpoznał Karłę. Bohusz skamieniał i na przekór ciemności nie spuszczał zdumionego i pełnego podziwu wzroku z pięknego, pełnego zapału oblicza młodej dziewczyny. Wysysał słowa z jej warg tak długo, aż uzyskały dla niego specjalne brzmienie, takie jak w jego śnie: „Ja go tak kocham... ja go tak kocham...” To wszystko stało się w jednej chwili. Potem jednak dziewczyna mówiła coraz ciszej i ciszej, jakby się wycofywała; barwne i dumne słowa płynące dopiero co z jej warg wpełzały w ciemność nagle i bez celu, wstydziły się, a jej opustoszałe oczy przyłgnęły do czegoś w dole i powoli zgasły. Powstało poruszenie. Spojrzenia słuchaczy podążyły za jej wzrokiem i na sekundę duże, nieruchome oko Bohusza trzymało wszystkich w niewoli. Tylko na sekunde; potem ogarnęło ich przerażenie, podnieśli się jak zbuntowani niewolnicy, gromada uciekała ze zmieszonym szepczeniem i dzikimi przekleństwami w głąb korytarza, a światło skoczyło na twarz Bohusza jak żółty kot. Wtedy garbus ocknął się i zadrżał. „Rezek!” – krzyknął. I ten pochylił się nad nim. „Bohusz, psie! Szpiegujesz?” – zaskrzeczał. Bohusz wywracał oczyma. Bał się studenta. „Szpiegujesz?” – zaryczał. „Rezek!” – zaryczał kaleka jeszcze głośniej w głębi swojego strachu. Nic innego nie przyszło mu do głowy poza tym nazwiskiem. Przy tym było mu niewygodnie aż do bólu w wąskim otworze lochu i czuł, że z rozpaczy może się rozplakać. Jednak student pomógł mu się wydostać i Bohusz zaraz pożalował swojej trwożliwości, pomyślał o swych planach i powiedział w chybionym tonie przewagi: „Wiem wszystko”. (Miał na myśli obie gniewne dłonie dziewczęce). „A więc podsłuchiwałeś!” – groził znowu student. Bohusz, nie bez strachu, zaryzykował: „Rezek, no Rezek, niech pan taki nie będzie, proszę – niech pan taki nie będzie. Czy ja nie jestem jednym z was, co? Ja to przecież rozumiem. Ja jestem z wami, całym sercem z wami”. Student przypatrywał mu się z bezwzględny napięciem i garbus stał się całkiem bezradny pod tym przenikliwym, obnażającym spojrzeniem. Jeszcze parę razy powtórzył to samo, zanim przyszedł mu do głowy ratunek: „Beze mnie w ogóle by pan tego nie znalazł!”. Miał na myśli piwnicę. „Wiedziałem, że może pan tego potrzebować i domyślałem się, do czego”, podkreślił ze skłamaną chytrą. I student dał się zwieść. Szybko postanowił i powiedział tylko: „Daj rękę” i „Milczenie”. Garbus z niejaką pewnością siebie złożył krótkie palce w dłoń fanatyka. Bohusz uważał się za zwycięzcę i zaczął stawiać warunki. Miał wielkie plany: będzie tutaj, na dole, pośród nich, przemawiał za ludem i wolnością. Och, miał bardzo poważne plany. Tylko Rezek musi mu zagwarantować, że on będzie mógł tu przemawiać. „Tak” – powiedział student i jeszcze raz z naciskiem powtórzył: „Milczenie”. Bohusz kiwnął obojętnie głową i zażądał: „A więc to pewne – będę tutaj przemawiał?” Student dodał mu otuchy i pchnął w stronę drzwi. Nie bał się chyba za bardzo tego kaleki i jeszcze mniej nadziei z nim wiązał; uważał go po prostu za natręta. Zawołał na niego jeszcze raz, kiedy ten był już na schodach. Po raz trzeci powiedział „Milczenie” i wyciągnął coś w kierunku szczyrzącego zęby Bohusza. Zrazu Bohusz chciał po to sięgnąć, potem zrozumiał – z twardej, okrutnej pięści studenta wystawał wąski, długi, ostry nóż, po klindze którego światło spływało jak zwiędła krew. I chociaż Bohusz bardzo

się wysilał, nie mógł teraz odnaleźć swojego uśmiechu. Wymusił na sobie pełen zwątpienia grymas, i czując chłód ruszył schodami w górę, do swojego mieszkania. A jutro było już blisko.

Od tej pory Bohusz nie przespał żadnej nocy. Dzień i noc czekał na wezwanie Rezka i przemyślał, co by wtedy mógł powiedzieć. Wiele, wiele! Rzeczy najbardziej subtelne mieszały się w jego fantazji z brutalnymi czynami i jeżeli w jednej chwili wydawało mu się, że należy mówić o tym, jak biednym sierotom pomóc w życiu, już w następnej sekundzie był przekonany, że powinien tym na dole poradzić, że im powinien rozkazać szturmowanie kościołów i pałaców. Tak, przede wszystkim kościołów! Ale zawsze, o czymkolwiek mówił, widział siebie w centrum tej grupy, jako przywódcę, któremu piękna Karla i wielu silnych, młodych mężczyzn z respektem i ślepo się poddawało. Czuł się jak zapoznany geniusz, który wreszcie doszedł do słowa i godności, i przemierzał nieskończoność swojego czasu, w którym noc i dzień stopiły się w jedno-stajny, szary półsen, wypełniony życzeniem, aby nakłonić wszystkich do kontemplacji jego osoby. Niewierna święta schroniła się tchórzliwie przed jego miłością i zemstą w wieczne mury; ale Franciszka, która wkrótce usłyszy pewnie o jego sławie z ust Karli, chciał dać szansę otrzymania przebaczenia. Zastanawiał się, czy powinien ją odszukać, i w końcu napisał we fragmentach w ciągu dwóch nocy i trzech dni list do niegodnej ukochanej. Jego przymilny i wymuskany charakter pisma kancelisty stał się na tych kartkach jakby dziki. Większość liter wyglądała jak jego własne swawolne karykatury, które w dodatku fatałaszkami i czapczkami podkreślały jeszcze swoje blażeństwo i jedna za plecami drugiej wyśmiewają się i kpią z siebie wzajemnie. W pierwszej części tego rozwlekłego pisma Bohusz zapewniał Franciszkę, zupełnie jak średniowieczny suweren, o swoim dobrotliwym i łaskawym usposobieniu do niej, w drugiej opowiadał w dziwacznych, nie kończących się i przyozdobionych licznymi esami-floresami zdaniach o znaczeniu swojej tajemnej misji, a w trzeciej obwieszczał: „Ponieważ wielka tajemnica i ważność nie do opisania moich zadań ku mojemu największemu ubolewaniu uniemożliwiają zaproszenie Ciebie do wzięcia udziału w zebraniu, które ma położyć podwaliny wolności mojego ludu i mojej własnej sławy, proszę Cię o przyście do mnie w dniu (tu była podana data) o szóstej lub siódmej wieczorem. Przed Tobą i matką chcę przemawiać, o ile mówić mogę, nie stając się zdrajcą; nie osób, bo tych się nie boję, lecz wspaniałej, wysokiej i sprawiedliwej Sprawy...”

To rozwlekłe zaproszenie podpisane było nadwerżonym od wysiłku piórem: „Król Bohusz. Wydano w Pradze”. Kiedy garbus to wszystko jeszcze raz przeczytał, musiał się uśmiechnąć, i w pierwszej chwili chciał zniszczyć arkusze. Ale potem pomyślał: nie, pewne jest przynajmniej, że będzie dobra zabawa; zapieczętował pismo i sam zaniósł je na pocztę. Kiedy słyszał jak wpada do skrzynki, głęboko odetchnął.



Fot. JOSEF SUDEK

19 U Rilkego „Baumgarten”; park ludowy, miejsce wycieczek niedzielnych.

20 U Rilkego „Stem”, zamek letni na Białej Górze (zachodnia część Pragi).

Franciszka nie odpowiedziała, ale Bohusz właściwie wcale tego nie oczekiwał. Był przekonany, że przyjdzie, prawie upokorzona, i odnajdzie nowego Bohusza, którego przyjaźń wyda się jej wielkim i niezasłużonym prezentem. Powoli i z ociąganiem przebaczyłby jej, a wtedy w niedzielę nie chodziliby na Malvasinkę, lecz gdzieś indziej, gdzie mogliby się pokazać wśród wielu ludzi, na przykład w parkach Stromovki¹⁹ albo Hvezdy²⁰. O tym wszystkim myślał Bohusz tylko przelotnie w krótkich przerwach, kiedy akurat nie troszczył się o swoją wielkość, która tymczasem stała się jego obowiązkiem, jego życiem. Obowiązek ten był wycieńczający; tyle ważnych rzeczy, które latami przychodziły mu do głowy, trzeba było teraz przemysleć naraz, wszystkie poddać przeglądowi i potem w odpowiedniej kolejności wypowiedzieć. Poglądy, wspomnienia i plany tłoczyły się w nim tak, że zawsze cała ich chmara chciała się zerwać naraz z jego warg, przepychając się dziko i nietaktownie, jak ludzie opuszczający płonący teatr. Wtedy Bohusz robił poważną minę i z rozumą rozkazywał: „Spokojnie, na każdego przyjdzie kolej”. I właśnie w takich momentach cała ich masa znikła, po prostu rozplywała się, a Bohusz pozostawał z pustką w głowie, i nie był w stanie pomyśleć czy powiedzieć czegokolwiek. Dopiero, kiedy wypił kilka szklanek gorącej herbaty, cała ta kolorowa hałastrą wracała do niego, i garbus cieszył się i śmiał, aż oczy miał pełne łez. Niepokój opanował przy tym do głębi jego istotę. Czytał dużo gazet i starych książek, zapisywał całe zeszyty swymi śmiesznymi literami i zasypiał często pośród swych zajęć, wszystko jedno, podczas nocy czy dnia, w kawiarni czy w kościele, rzadko w domu, przesypiał tych kilka chwil płochliwego snu, z którego zrywał się potem szybko, jak przestraszony.

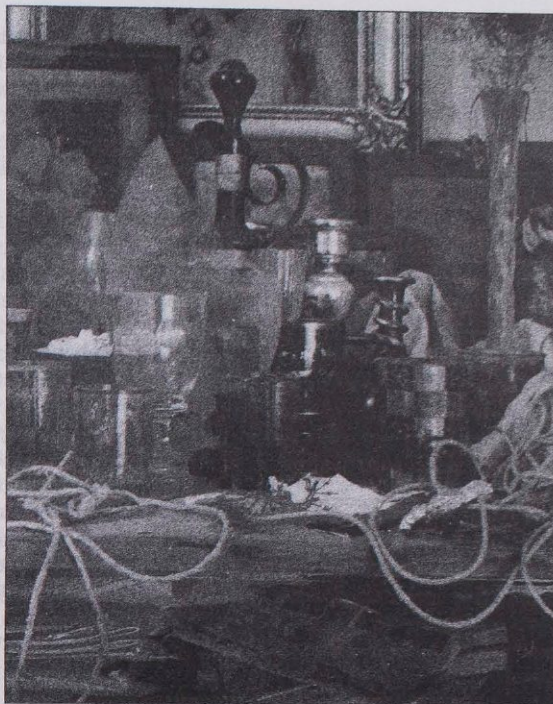
Tak nadszedł ranek dnia, w którym Bohusz obiecał swoją wieczorną przemowę matce i Franciszce, nie mogącym wziąć udziału w jego właściwym triumfie. Noc spędził w oberżach i spelunkach, i teraz włókł się znużony, wzdłuż domów, gapiąc się głupio i obojętnie na gęstą różową mgłę wiosennego poranka. Niewielu tylko ludzi mijał po drodze. Przy Bramie Prochowej²¹ spotkał idące z naprzeciwka dwie młode służące z wielkimi koszami na zakupy, śmiejące się i paplające do siebie; ich oczy były tak świeże i żywe, ich suknie i fartuchy jeszcze sztywne od nowości. Nieco dalej wyprzedziło go dwóch żołnierzy piechoty. Szli dziarsko, ich krok uderzał pogodnym taktem w bruk, a guziki ich mundurów kradły słońcu jego wczesne promienie i rzucały je zuchwale w zaspane oczy Bohusza. Potem jakiś butny piekarczyk zagwizdał garbusowi prosto w nos i śmiał się głośno jeszcze za jego plecami, a jakiś wartownik podśpiewywał sobie, pochwalając powiewać nieco piórom na swoim kapeluszu. Słysząc było szmer podnoszonych żaluzji, a lustrzane szyby okien całkiem oddawały się słońcu, spalając się białym płomieniem. Przez to świeże, radosne ożywienie pełzał garbus, blade, podupadły, w wygniecionej koszuli i brudnym ubraniu, i był jak jadowita ropucha, którą odkryto pośrodku błogo pachnących grządek. Bohusz nic nawet nie zauważył z tego całego blasku poza tym, że mu coś przeszkadzało; może nawet nie wiedział, że jest wiosna i poranek. Im bardziej ranek dojrzywał, tym bardziej rzucał się w oczy pewien niepokój, obecny we wszystkich ludziach. Ci, którzy codziennie pozdrawiali się o tej porze, nie rozmawiając ze sobą, dzisiaj przystawali, ich twarze były zaniepokojone albo zdumione, kręcili głowami i w końcu ściskali sobie dłonie z pewną konwencjonalną grzecznością, by dziesięć kroków dalej znów się zatrzymać. W oczywisty sposób ludzie odczuwali potrzebę dzielenia się ze sobą wiadomościami, które dotyczyły wszyst-

²¹ Pulverturm, Prašna Brána: brama wschodnia praskiego Starego Miasta.

²² U Rilkego „Tschesky curir” (w poprawnym czeskim byłoby to „Český kurír”). Tytuł utworzony w nawiązaniu do ilustrowanego czasopisma „Pražský kurír”.

kich. Na rogu ulicy Ferdynanda jakiś posługacz czytał stojącym w krąg mężczyznom i kobietom fragment „Czeskiego Kuriera”²², a trochę dalej starszy pan wychodząc z kawiarni, mówił do swego towarzysza po niemiecku: „To bardzo niebezpieczni ludzie. Powinno się...” Co się powinno, nie można już było zrozumieć. Starszy pan szedł dalej w swoich błyszczących bucikach, a młodszy, który mu towarzyszył, kiwał głową przy każdym słowie, potwierdzając z uniesieniem; wydawał się być dokładnie tego samego zdania. Kiedy Bohusz dotarł w pobliżu „Narodowej”, rozpoznał za jednym z okien Norinskiego, który w swojej manierze bohatera wydawał się coś tłumaczyć innym, niewidocznym. Garbus zawahał się na chwilę. Nie wszedł jednak, lecz poszedł nabrzeżem w kierunku swojego mieszkania. Był zmęczony.

Norinsky tymczasem skończył. W pozie skazańca wypił swoją filiżankę kawy, jakby to była trucizna, i powiedział wyniośle: „Nikt z was nie może powiedzieć, że jestem złym Czechem. I nie stracę żadnej okazji, żeby tego dowieść również tym nędznikom Niemcom. Niech mi się tylko jakiś tu pojawi. Już ja tego pana nauczę rozumu. Ale tych historii nie powinniście tak rozdmuchiwać. To jest nic. To jest dziecinada, możecie mi wierzyć”. Z tymi słowami podniósł się i, nie zapłaciwszy za śniadanie, rozdając za to swoje wielkoduszne uściski dłoni w trzech aktach, udał się z wysoko podniesioną głową do swojej garderoby w Teatrze Narodowym. Pozostali przysunęli się do siebie blisko. Karás zaczął odczytywać rozmaite notatki prasowe, które odnosiły się do zajścia. Wszystkie mówiły mniej więcej to samo. Dzięki doniesieniu jakiejś dziewczyny, policja wpadła na ślad związku młodzieży, studentów i czeladników, którzy odbywali tajemne zebrania w piwnicach domu w zaułku Hieronima, podczas których wygłaszano przemówienia nawołujące do zdrady stanu. Rzeczą wartą podkreślenia było również to, że w zebraniach brały udział także dziewczęta. A dzienniki niemieckie cieszyły się z uwięzienia tej hańbiącej zgrai przestępców i ubolewały tylko nad tym, że na skutek upartego milczenia towarzyszy przywódca duchowy spisku ciągle jeszcze nie znalazł się w rękach stróżów porządku publicznego, na co jednak, jeżeli się weźmie pod uwagę wyćwiczenie i bystrość policji, nie trzeba będzie na pewno długo czekać. I w końcu, dodawały najbardziej niemieckie z gazet, należy wyrazić nadzieję, że ci młodzi przestępcy i zamachowcy zostaną przykładownie i z bezwzględną surowością ukarani. Wszystko to czytało się w „Narodowej”. Schileder był szczerze wzburzony; mówił coś o odwadze młodych ludzi i o tym, że chodziło im nie tylko o słowa, piękne słowa, ale że chcieli również działać. Nie mógł się dobrze wysłowić i zamilkł onieśmielony, kiedy nie spotkał się ze specjalnie żywym przyjęciem. Przez chwilę wszyscy przytakiwali mu tylko, ci przyjaciele, kładąc w ten sposób małe słówko, jakby zawstydzając jałmużnę, w dłoń sprawiedliwości. Ale w końcu – rozejrzeli się wokół siebie – byli tak kusząco sami, że można było pozwolić sobie na kilka wyznań. Pátek potępił prosto z mostu ten „jaskiniowy romantyzm”, którego nie można usprawiedliwić nawet w powieściach, a poeta liryczny Machál, który miał mgliste pojęcie o tym, co się wydarzyło, ziewał, i między jedną a drugą próbą ziewnięcia



Fot. JOSEF SUDEK

rzucił tylko, że ta cała sprawa wydaje mu się brutalna, okropnie brutalna. Karás, który z każdym dniem czuł się coraz bardziej kosmopolitą, wygłosił dłuższą mowę, podczas której jego jabłko Adama podskakiwało jak dręczona wątpliwościami żabka. Mowę zakończył stwierdzeniem, że na zewnątrz, ze względu na sytuację, należy wszystkimi środkami podtrzymywać pogląd, że ci młodzi ludzie nie tylko byli męczennikami swojej idei, lecz również sprawy narodowej, ale że on sam – tutaj – nie może powstrzymać się od potępienia niedojrzałości postępowania takich młokosów. Tak, właśnie niedojrzałych, powtórzył. Ma się przecież wystarczające wykształcenie, żeby wiedzieć, że swoje prawa można zachować o wiele lepiej przez działalność narodową w życiu i w teatrze politycznym (słowo, którego Karás używał stale w swoich felietonach), niż przez takie niestosowne zachowanie. Miał w zapasie jeszcze kilka znanych fraz, ale nagle skończył przemowę. Sam nie wiedział dlaczego. Inni podnieśli głowy i zobaczyli przed sobą Rezeka. Student, w którego bladej twarzy paliły się ciemne oczy, nie zwrócił uwagi na dłonie, które do niego wyciągnięto. Ostatnie słowa krytyki dotarły może do niego, ale nic na nie nie odpowiedział, tylko spokojnie usiadł na zwykłym miejscu i pił swoją herbatę. Jego twarde dłonie drżały cicho. Nikt nie odważył się mówić. W końcu Pátek zaczął rozprawiać o nowej książce i artyści zatopili się całkiem w tych roztrząsaniach. Chodziło o nowelę w stylu Maupassanta, które jakiś młody kolega chciał opublikować. Były jeszcze trudności finansowe i inne i radzono, czy można by pomóc autorowi. Rosły Karás nie był do tego za bardzo skłonny. Wtedy Pátek krzyknął oburzony: „Ależ, panowie, to jest sprawa narodowa!”

Rezek podniósł się z lodowatym uśmiechem: „Jesteście Czechami?” – zapytał.

Wszyscy milczeli i spoglądali po sobie zażenowani.

„Jesteście Czechami?” – powtórzył student.

Karás uspokajał: „Co panu przychodzi do głowy, Rezek? Niech pan nie prowokuje”.

„I czujecie się dojrzały. Co?” – ciągnął, – „Dojrzały i gotowy”.

„On jest pijany” – powiedział Machál cicho i z pogardą.

Rezek zacisnął pięści. Ale zatrzymał się: „Wiem dobrze, że jesteście przyzwyczajeni uważać sprawiedliwy gniew za pospolitą nietrzeźwość. Wiem to. Ale powiedzieć chcę wam tylko, że naród nie jest dojrzały i jeżeli sami czujecie się już tacy gotowi, to jesteście wrogami narodu, jego zdrajcami”.

„Jestem oficerem” – powiedział Pátek lekliwym głosem i wystąpił do przodu.

Rezek podstawił mu pięść pod nos, a potem bez słowa wyszedł z sali.

Bohusz nie mógł oczekiwać, że Franciszka przyjdzie wcześniej niż o szóstej czy siódmej, jak to wyznaczył w liście; mimo to pytał już od trzeciej, dlaczego ukochana ciągle jeszcze nie przychodzi, około czwartej miał już właśnie po nią wychodzić; zaniechał tego niechętnie – z dumy czy jakiegoś innego powodu. Niespokojnie biegał z założonymi na plecach rękami po małych izbach szczelnie wypełnionych sprzętami domowymi dziada i pradziada, przyniesionymi tutaj nazbyt licznie ze służbowego mieszkania portiera; utrudniały one nieco to ciągle w tę i z powrotem. Tylko od czasu do czasu Bohusz przystawał przy oknie, przy którym siedziała mała stara kobieta i szyla.

„Mamo” – wyrzucił wreszcie z siebie, udręczony – „musisz iść ją przyprowadzić!” Stara skinęła głową, zdjęła z oczu duże, okrągłe okulary i jeszcze raz skinęła. Zamyśliła się na chwilę: naturalnie musi przyprowadzić Franciszkę. I zamieniła czepeczek na kapelusz, a krzywe ramiona otuliła żółtym, porządnym szalem. „Możesz powiedzieć, że przechodziłaś po prostu przypadkiem? Z pewnością wielu ludzi tam chodzi”. Bohusz zaśmiał się przery-

wanym śmiechem. „No powiedźże” – zerwał się w niecierpliwym gniewie – „czy to możliwe?” Pani Bohuszowa skinęła głową, trochę zalękniona: „Wiesz, najpierw chcę pójść do kościoła, tam obok. To mogę powiedzieć, że byłam w kościele...” Wahała się jeszcze. Bohusz już od dawna myślał o czymś innym. Prawie że nie widział już starej kobiety i zdziwił się, gdy podczas swej wędrówki po pokoju nagle przed nią stanął. Żółta chustka w popołudniowym słońcu była nieznośnie jaskrawa. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, dwoje małych, zmarniałych ludzi. Potem stara podreptała do drzwi, ciągle kiwając głową. Nagle Bohusz znalazł się przy niej. „Maminko” – powiedział głosem chorego dziecka. A stara, lękliwa kobieta zrozumiała. Urosła, stała się bogata, stała się matką. Przez to jedno ciche słowo stała się taka. Cała jej lękliwość zamieniła się naraz w dobroć, i ta, która zdawała się być bezbronna i bezradna, stała się potężna, kiedy tylko rozłożyła ramiona; dla Bohusza było to jak powrót do domu. Przycisnął dużą, ciężką i skołowaną głowę do jej piersi, zamknął gorące oczy i utonął w tej nieskończonej, głębokiej miłości. Milczał. I wtedy coś zaczęło w nim płakać. Słyszał całkiem wyraźnie, jak się to zaczęło. To coś musiało w nim być bardzo głęboko, bo słyszał je bardzo słabo. Nic również nie bolało. I wtedy otworzył ciekawie oczy: musiał widzieć, gdzie płakało. I oto – to wcale nie w nim płakało, to była jego matka. Bohusz nie mógł już teraz zmrużyć powiek; za nimi czekały łzy, wiele łez. – Nagle zrobiło się w izbie bardzo świątecznie. Rzeczy wokół nich dwojga zaczęły błyszczeć, jak jeszcze nigdy, nawet za księżycych dni. Każdy dzbanek, każda szklaneczka w sztywnej etażerze miała naraz własne światło, i chelpiła się nim, i chciała sypać gwiazdami. Można się domyślić, że stało się naraz bardzo jasno w izbie.

Potem zaczął bić zegar, ostrożnie, jakby żałował, że musi to robić. Ale uderzył jednak pięć razy i matka poszła.

„Dokąd to?” – zatrwożył się garbus.

„Muszę przyprowadzić Franciszkę”. Wtedy się przypomniało wszystko Bohuszowi. Zawahał się i powiedział prawie smutno: „No tak, musisz przyprowadzić Franciszkę”. To było pożegnanie.

Kiedy Bohusz został sam, rozpoczął znowu swoją nerwową i niezmordowaną wędrówkę. Tu i tam, przechodząc mimo, poprawił coś na każdym miejscu, starł kurz z płyty stołu, a potem zatopił się niespodziewanie w porządkowaniu swoich papierów i książek. Przy tym zrobiło mu się całkiem ciepło. I kiedy odnalazł gdzieś w lustrze swoje gorące oblicze, zdziwił się. Miał na sobie, owinięty wokół ramion, jaskrawy żółty szal swojej matki. To było przecież dziwaczne. Chciał się zaśmiać, ale zaraz o tym zapomniał i mimowolnym ruchem zadowolenia zagrzebał swoje plecy jeszcze bardziej w miękkie fałdy. Czuł się zmęczony i w saloniku opadł całym ciałem na kwieciste poduszki twardej kanapy, która

JANES TRZEDIL
CZERWEC 1924

Fot. JOSEF SUDEK



razem z owalnym stołem zajmowała dokładnie środek pomieszczenia. Bohusz rozmyślał. Biedna świąteczna kanapa utyskiwała pod nim. Nagle podskoczył, pogłaskał z pewną czułością zrobioną szydełkiem narzutę i usiadł na jednym ze stojących z boku krzesel. Jego twarz, która mogła czasem wyglądać chłopięco, starzała się teraz z minuty na minutę pod wpływem myślowego wysiłku, zmarszczki po prostu ją zżerały, zdając się pelzać jak gąsienice i wżerać w ten chory owoc. Czy wiedział już wszystko, co chciał powiedzieć? Jakiś nieokreślony bliżej lęk wisiał nad nim. Czuł się taki opuszczony, kręciło mu się w głowie jak komuś, o kim zapomniano na wysokiej wieży. Po omacku szukał oparcia. A w następnej chwili poczuł się tak, jakby zakłócał porządek, świąteczny porządek tego pokoju, przez to, że czeka na tym miejscu. Przestraszył się własnego zuchwalstwa. Wycofywał się ukradkiem coraz bardziej i usiadł wreszcie, skulony, na krzeselku o wysokich nogach w rogu izby, niedaleko drzwi. Wtedy ogarnął go spokój. Pomyślał: „A więc, mam to już za sobą – już wszystko powiedziałem”. A przecież wiedział, że tylko płakał, a taki płacz to jest coś innego, niż wygłosić mowę. A jednak obstawał przy tym uparciu: Wszystko powiedziałem, matka wie wszystko – „i ty też” – uzupełnił głośno i poszukał oczu żółtej kotki, która zbliżała się do niego powoli i podstępnie z przeciwnego rogu izby. Jej pazury nawet nie zaskrzypiały na brązowej, błyszczącej podłodze. Zwierzę bez głosu podeszło bliżej, stawało się duże, coraz większe, i kiedy nie mógł już poza nim widzieć cichej, świątecznej izby, zasnął. I chyba coś mu się śniło. Bo powiedział obco brzmiącym głosem: „O to właśnie chodzi, Rezek, to jest owa tajemnica: malarz powinien malować naród i mówić mu: jesteś piękny”. Głowa opadła mu na piersi i tylko z trudem udało mu się ją znowu podnieść. „Poeta powinien być twórcą narodu i mówić do niego: jesteś piękny”. Westchnął przez sen: „Chodzi o to, żeby być pięknym”. Zaczął uśmiechać się w kącikach ust dobrym, łagodnym uśmiechem, który rozrósł się na jego twarzy i uczynił ją znowu młodą. „Nigdy nie zdradzę” – tchnął jeszcze przed siebie i zapadł w głęboki sen, z którego już żadne słowo nie wydobyło się na jego wargi.

Stuknęły drzwi. Garbus otworzył oczy jednak dopiero wtedy, gdy Rezek szorstko złapał go za gardło i powiedział skrzeczącym głosem: „Milczałeś?” Bohusz poczuł gorąco tego słowa na policzku. Jego dłonie broniły się konwulsyjnie, ale oczy ciągle nie rozumiały. Uśmiechały się jeszcze. Uśmiechały się do straszego mściciela, aż umarły. Wtedy żółta chusta osunęła się na biedne ciało i przykryła Bohusza i jego tajemnicę.

1897

Przełożyła Małgorzata Zemła

Pan Prof. Miloš Sedmiolubský zechce
przyjąć podziękowania za cenne uwagi
dotyczące tego tłumaczenia.

(M. Z.)

JOHANNES URZIDIL

11 czerwca 1924

W środę 11 czerwca 1924 roku z rana było pogodnie. Pragę, zalaną już letnim słońcem, ogarniała atmosfera urlopową. Republika pod przywództwem mądrego Thomasa Garrigue Masaryka zdołała przetrwać ponad pięć lat i w istocie wydawała się nie zagrożona, mimo wszelkich konfliktów wewnętrznych i problemów z zewnątrz. Takie w każdym razie były odczucia prażan (w tym również Niemców). Miasto ze swą historyczną zabudową, z połyskującym w słońcu złotem dachów i głębokim pod nimi cieniem długotrwałych narodowych i wyznaniowych kontrastów, otrząsało się z porannego rozleniwienia szykując do trudów późnowiosennego dnia, który jak zwykle mógł być się rozplomić szamaragdowym przepychem ogrodów, rozebrzmieć akordami muzyki czeskiej, przesyć zapachami pieczystego i piwa, i wibrować lekko pod wieczór od narastających wojowniczych nastrojów.

Czasy, co prawda, zbyt łatwe nie były, tylko gdzie takowych szukać? We Włoszech faszyci organizowali swe czarne pochody, ale Włochy były daleko. W Rosji w styczniu zmarł Lenin, a Trockiego wypędzono, ale Rosja była daleko, zresztą dawno już przestała być wszechogarniającą słowiańską matką minionych czasów panslawizmu. W Ameryce trzeciego lutego zmarł Woodrow Wilson, jeden z głównych architektów nowego pokoju; Europa wszakże znowu żyła w przeświadczeniu wielkiego odalenia od Ameryki. W Niemczech pewien nikomu bliżej nie znany awanturnik wziął się za pisanie książki *Mein Kampf*. Lecz cóż nas obchodzi Niemcy? W Pradze większość interesowała się modnym u kobiet stryżeniem włosów, wydarzeniem na skalę światową, wielką przemianą.

Dla twórców praskich, w szczególności dla Żydów niemieckich, 11 czerwca był dniem ponurym i bolesnym. Franz Kafka zmarł osiem dni wcześniej w sanatorium Kierling w Lasku Wiedeńskim pod Wiedniem po długiej i ciężkiej chorobie. Ciało sprowadzono do Pragi i tej srody właśnie, o godzi-

Praskie graffiti
Cztery twarze Franza Kafki



JOHANNES URZIDIL urodził się w Pradze w roku 1896. Jego matka zmarła, kiedy miał cztery lata; na rozwój chłopca dominujący wpływ miał ojciec. Syn nauczyciela z zachodnich Czech porzucił rodzinną wioskę, uciekając przed ożenkiem z uwiedzioną przez siebie prostą dziewczyną. W Pradze zdobył dyplom inżyniera i pracował na kolei. Chociaż skrajny niemiecki nacjonalista i antysemita, ożenił się z Żydówką, która w posagu poza plajtującym składem drzewa tartego wniosła jeszcze siedmioro dzieci z pierwszego małżeństwa. Johannes był jej ósmym dzieckiem. Ojciec Urzidila czuł się Austriakiem, ale podziwiał Bismarcka i cieszył się z upadku Habsburgów. Mimo że również "Czechożerca", na drugą żonę wybrał sobie Czeszką, kategorycznie odmawiając uczenia się jej ojczystego języka. Uważał się za dobrego katolika, nigdy jednak nie praktykował. Johannes musiał natomiast pod surowym nakazem ojca zarówno uczyć się czeskiego, jak i służyć do mszy. Obciążony liczną rodziną i długami pozostałymi z firmy pierwszej żony ojciec z trudem wiązał koniec z końcem. Dzieciństwo Johannes a upłynęło więc na biednych przedmieściach Pragi, gdzie towarzyszami jego zabaw od najmłodszych lat byli Czesi. Ci często dawali mu odczuć jego inność: był dla nich Żydem. Nie powstrzymało to jednak licznych przyjacieli. Jedną z nich wiele lat później uratowała mu życie. W 1939 roku poszukiwany przez Gestapo Urzidil spotkał przypadkowo na ulicy kolegę z podstawówki, kalekę i złodzieja z przypadku, który przetrzymywał pisarza w swojej suterenie aż do jego ucieczki z Czech.

Urzidil debiutował jako ekspresjonista. Jeszcze w szkole zaprzyjaźnił się ze starszym od siebie o trzy lata poetą Franzem Janowitzem, który wprowadził go w krąg autorów spotykających się w "Café Arco". Należeli do niego Max Brod, Franz Kafka, Franz Werfel i Egon Erwin Kisch. Po maturze Urzidil studiował na praskim uniwersytecie germanistykę, slawistykę i historię sztuki. Od 1916 do 1918 był w wojsku. Jego pierwszy tomik poetycki (*Der Jüngste Tag*) ukazał się w roku 1919. W 1922 ożenił się z poetką Gertrud Thieberger, córką rabiną. Oboje małżonkowie pozostali przy swoich wyznaniach. Według słów samego Urzidila znajomość Judaizmu, którą zyskał dzięki żonie,

nie czwartej po południu, miał się odbyć pogrzeb. Sługa Boży odszedł, twórca aforyzmów w prozie okazał się być aforystą również w życiu. Jego śmierć spadła na rodzinę, przyjaciół, znajomych rzeczywiście jak grom. Była niepojęta, choć przecież wszyscy od dawna musieli liczyć się z jej przyścisaniem. Nikt z nas jednak – nie wyłączając poetów, którzy od wczesnej młodości zjawiskiem śmierci się zajmowali i opiewali je – o rzeczywistą śmierć w najbliższym kręgu się nie otarł. Tylko ja byłem przy śmierci młodego poety, Branda, w jego nędznym praskim mieszkaniu. Wojna wprowadziła zabrała nam krewnych i przyjaciół, w tym także innego jeszcze poetę (ogromnie utalentowanego Franza Janowitza), lecz wojnę uznawaliśmy za mord, jakiego ludzie w swym okrucieństwie dopuszczają się na sobie samych i na swoich bliźnich. Nie była to śmierć sankcjonowana przez Boga, tylko śmierć sprzeciwiająca się Bogu. Niemieccy poeci i pisarze działający w Pradze, nie wyłączając Kafki, nigdy nie zaakceptowali jako śmierci sprawiedliwej tej, której przyczyną sprawczą byli ludzie.

Kafka nie dożył czterdziestu jeden lat. Myślę, że nie było takiego człowieka, który by go znał i nie czuł do niego sympatii. I trzeba powiedzieć, że wszyscy, którzy go kochali, kochali także jego przyjaciół. Za jego sprawą właśnie powstawały niewidzialne więzi pomiędzy tymi wszystkimi, którzy przy nim, dlatego że był i tworzył, czuli się zespoleni z czymś wyższym i lepszym. Kafka był źródłem umacniającej i utwierdzającej ich siły. Czyżby miała się teraz wyczerpać? Wówczas nie był on jeszcze sławny w zwykłym sensie tego słowa. Sławą cieszyli się inni pragnąc. Jego cenili poza jego własnym kręgiem tylko znamienitsi znawcy literatury, nieliczni poszukiwacze trafiający się wśród wydawców, twórców, ludzi ducha. My w Pradze wiedzieliśmy, kto przez nas dni przechodził starymi uliczkami, kogo pozdrawialiśmy przez ulicę – już sama jego odpowiedź na nasze pozdrowienie ogromniała od wymiarów szczególnego wydarzenia – wiedzieliśmy, z kim szliśmy mijając po drodze kilka kamieniczek, z kim spędzaliśmy gdzieś chwilę albo i godzinę przy kawie; niewiele wtedy mówił (choć każde jego zdanie, zawsze, przy każdej okazji, nawet każde rzucone lekko słowo, trafiało w samo centrum ziemi). Lecz jak było możliwe, by w tę głębię ziemi biegły jego słowa, tego nikt nie umiał wytłumaczyć, nawet ci, którzy byli mu najbliżsi „rangą”, nawet sam Max Brod, światły, zawsze inspirujący; nawet filozoficzna głowa Felixa Weltsha; nawet religioznawca, reprezentant idealistycznego nurtu, Hugo Bermann; nawet Oskar Baum, piszący Teresiasz pośród nas, który, gdy chłopiec rzutem kamienia zgasił mu światło słońca, nie osłepiony patrzył w światło duszy. Potrafili oni wyjaśnić myśl Kafki i można było z ich wyjaśnieniem bądź to zgodzić się, bądź to wystąpić z własną, odmienną interpretacją. Lecz jak było możliwe, by Kafka mówił to, co mówił i jak mówił; jak było możliwe, by ani swoją osobą, ani swoimi wypowiedziami nie wywoływał bezpośrednich konfliktów, tego już nikt wyjaśnić nie potrafił. Z tej przyczyny, że Kafka nie zamykał epoki jako jej rezultat, lecz że epokę otwierał. Toteż jego nagłe odejście nas, młodych poetów, przejęło strachem.

Werfel, który już od wielu lat żył z dala od Pragi, wracając do niej okazjonalnie z rodzinną wizytą, powiedział mi kiedyś: *Kochałbym Kafkę bardziej, gdyby nie jego nihilistyczne nastawienie*. Jak to nihilistyczne? Z tak chybiłoby opinią spotykało się rzadko, aczkolwiek w ustach Werfla brzmiała wiarygodnie. „Wir sind” i „Einander” tego światowca broniły się odruchowo przed bezmiarem egzystencji z gruntu tragicznej.

Werfel nie miał w sobie nic danaidycznego, wierzył – przynajmniej wówczas jeszcze – w możliwość złotego środka, próbował akurat wtedy, gdy Kafka umierał, godzić kontrapozycje Verdiego i Wagnera, Juareza i Maximiliana. Wszyscy lubiliśmy w nim geniusza afirmującego świat i życie, sami

bowiem byliśmy spragnieni świata i życia. Kafka również. Nikt nie staczał o to bojów tak zażarcie i rozpaczliwie jak on, nikt nie stawał tak jak on czoło rozczarowaniom i sytuacjom nie do rozwiązania, jakie życie, świat i ludzie stwarzają temu, kto jest ich wyznawcą całym sercem. Takim wyznawcą, a bynajmniej nie nihilistą był Kafka. Niezniszczalnym walorem jego mistrzostwa było bezwzględne widzenie i ukazywanie własnych ukrytych słabości, tak że w każdym dziele jakiś fragment siebie on zawierał, wciąż od nowa obnażał, wciąż upokarzał.

Teraz więc nas opuścił, i tego popołudnia mieliśmy go złożyć na miejscu wiecznego spoczynku, gdzie spoczywają umarli. Mylimy się! Nie spoczywają! Ciało jakoś powraca do ziemi, ale nie świadczy to przeciw niezniszczalności ducha. My, którzyśmy przebywali w jego atmosferze, nie tylko mieliśmy poczucie jego wielkości, lecz byliśmy jej świadomi, może tylko nie wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, jak bardzo się uwidocznili i jaki będzie jej zasięg. W świecie poezji niemieckiej byli czynni bardzo znaczący twórcy, którzy oblicze tej poezji współtworzyli i odmieniali; na północy, w nękanych inflacją Niemczech, i na południu, w pozbawionym swych dawnych warunków bytowania Wiedniu, rozbłysły wielorakie poetyckie nadzieje, do których, dla wygody recenzentów odnoszono zbiorcze, niejasne pojęcie „ekspresjonizmu”. Niejednego z nas, prażan, do nich zaliczano, również Kafkę. My sami uznawaliśmy się za odrębną grupę zabiegającą o czystość językowych środków wyrazu artystycznego i bogatą w doświadczenia z pro i kontra ścisłej symbiozy ze Słowianami. Byliśmy zatem szczególnymi Niemcami, szczególnymi Austriakami, szczególnymi Czechami, a niektórzy z nas, przyjaciel Kafki – zdecydowana większość – miała ponadto szczególne predyspozycje żydowskie. Wraz ze śmiercią Kafki obsunął się w naszej gminie wspierający ją kamień, zarysowało sklepienie. Zasklepi się kiedyś, czy runie? Rozniesie budowlę wicher? Nie oszczędziły jej wichry. Budowla zawaliła się.

W rzeczywistości Kafka zakończył istnienie Pragi umysłowej, owej czesko-niemiecko-austriacko-żydowskiej syntezy, która czyniła to miasto metropolią i inspirowała je przez stulecia. Czesi wówczas zwrócili na to najmniej uwagi, oni zresztą zauważali życie duchowe twórców niemieckich tylko czasami, niedoskonale i raczej indyferentnie. Wyjątkiem była tu młodziutka Milena Jesenská, która Kafkę kochała i która przełożyła nawet kilka niewielkich objętościowo jego utworów prozą: *Der Heizer* dla wydawanego przez Stanisława Karela Neumanna czasopisma „Kmen” [1920], następnie *Das Urteil*, *Die Verwandlung*, *Betrachtung*. Milena Jesenská była również autorką jedyne go czeskiego nekrologu, jaki ukazał się po śmierci Kafki w dzienniku praskim „Národní Listy” w dniu 6 czerwca 1924 roku. (O tej wspaniałej kobiecie, zmarłej w niemieckim obozie koncentracyjnym, można przeczytać w książce *Przyjaciółka Kafki Milena* pióra Margerete Buber Neumann, wydanej w Monachium w 1963 roku). Ale niemal wszyscy pozostali czescy literaci wiedzieli więcej o przeciętnych francuskich pismakach niż o sąsiadach z następnej ulicy, choćby się nazywali Rilke, Kafka, Werfel czy Brod, który przecież tak wiele uczynił, by przybliżyć światu kulturę czeską. Ów brak zainteresowania ze strony Czechów był do pewnego stopnia wytłumaczalny. Byli wszak całkiem wytrąceni z równowagi, oszołomieni, nawet wstrząśnięci tym, że uzyskali niespodziewanie samodzielność państwową i władzę nad innymi narodowościami. Czyż mogli spodziewać się w tym momencie, że nazwisko niemieckiego pisarza, z pochodzenia Żyda, mało przecież znanego, którego pogrzeb odbył się tego popołudnia, będzie nierozdzielnie związane z nazwą ich charyzmatycznego miasta Pragi? Jakżeby mogli w ogóle przypuszczać, że przyjdzie taki czas, gdy szeroko i daleko w świecie nazwisko Kafki kojarzone będzie niechybnie z Pragą, co więcej,

obdarzyła jego własne Chrześcijaństwo bardziej solidnym fundamentem.

W podróż poślubną wyjechali do Weimaru. Goethe i jego związki z Czechami były jednym z najważniejszych tematów twórczego życia pisarza. Owocem są dwie wersje książki Goethe in Böhmen (1932 i 1962). W latach 1918–1922 pracuje w praskim Konsulacie Generalnym Niemiec jako tłumacz. Głoszone przez niego poglądy, według których Niemcy czeszy są z ducha inni niż ci z Rzeszy i ich naturalnym miejscem do życia jest nowo powstała Republika Czechosłowacka, którą budować powinni razem z Czechami, wzbudziły aprobatę liberalnego konsula Waltera Kocha. Powołał on Urzidila (legitymującego się czeskosłowackim paszportem) na stanowisko attaché prasowego konsulatu. Z funkcji tej został zwolniony w 1933 roku.

Pierwszą stacją w emigracyjnym życiu Urzidila była Anglia: tu włączył się zaraz w działania ruchu wywoleńczego skupiającego się wokół Beneša. Od jego otoczenia różniło go przede wszystkim przekonanie, że po wojnie będzie jeszcze możliwe współżycie Czechów i Niemców Sudeckich w ramach nowej Czechosłowacji. Sam Beneš już w 1938 roku traktował wysiedlenie Niemców jako część swego politycznego programu. W 1940 Urzidil wyjechał do USA jako korespondent czeskiej prasy emigracyjnej. Od tej pory przez lata borykać się miał z kłopotami materialnymi. Pracę w Głosie Ameryki utracił już po dwóch latach, w 1953 roku, za sprawą komisji senatora McCarthy'ego (podobny los spotkał także wielu innych przybylszy z Europy Środkowo-Wschodniej).

Jego powojenna twórczość literacka powoli torowała sobie drogę w Austrii i w Niemczech. Urzidil jest w niej zadeklarowanym faktografem: „wszyscy ludzie, o których piśnię, żyli naprawdę, wszystkie wydarzenia, z których zdaje sprawę, są prawdziwe”.

W swoich kolejnych książkach: *Die verlorenen Geliebte* (Stracona ukochana, 1959), *Prager Triptichon* (Tryptyk praski, 1960), *Entführung* (Porwanie, 1964), *Da geht Kafka* (Idzie Kafka, 1965), *Morgen fahr ich heim* (Jutro jadę do domu, 1972, wyd. pośmiertne) i innych, wskrzesza Pragę swojej młodości, swoją „straconą ukochaną”.



Franz Kafka (1883-1924)

że to historyczne miasto, wiele znaczące w Europie, już za trzydzieści lat dla olbrzymiej rzeszy ludzi liczyć się będzie przede wszystkim jako miejsce urodzenia Kafki?

Jednak – Kafka znaczyło Praga, a Praga znaczyło Kafka. Nigdy Praga nie była Pragą doskonalszą i bardziej typową, i nigdy się taką nie stała jak tylko za czasów Kafki. My zaś, jego przyjaciele *the happy few* – o ile takie wyrażenie w dniu pogrzebu uchodzi – wiedzieliśmy, że ta Praga wszędzie w dziele Kafki była obecna. Mogliśmy i możemy tę Pragę w każdej linijce, jaką napisał, smakować, choć jego utwory z roku na rok stawały się coraz bardziej zasadnicze i pozornie coraz mniej miały wspólnego z tym miejscem i jego mieszkańcami. Jest niemalże satyryczną zasługą Kafki, że owa Praga, która skończyła się wraz z nim, nie została wraz z nim pogrzebana.

Każdy jechał lub szedł, jeśli chciał, na cmentarz żydowski Strašnice na przedmieściach Pragi. Pogodne z rana niebo zachmurzyło się. Majestatyczne miasto z wieżami i spinającymi nurt rzeki mostami jest niewidoczne od strony peryferyjnej dzielnicy Strašnice leżącej w dolinie. Teren ten otwiera się na czeską okolicę i służy milczącym rządóm zmarłych, których królestwa ciągną się od północy, jeśli można mówić o ziemskich regio-

nach zmarłych. To, że Kafka tutaj miał się zadomowić, było dziwne i niewiarogodne, wiedzieliśmy przecież, że jego miejsce jest *hic et ubique*, i że w zmienionej postaci niespodziewanie z nami spotykał się będzie wciąż i wciąż; w miarę zbliżania się do cmentarza nasze poczucie ostateczności słabło coraz bardziej.

Szedłem w kondukcje za trumną Kafki od hali, gdzie odbyła się ceremonia pożegnalna, ku otwartemu grobowi, za rodziną i pobladłą towarzyszką życia twórcy, podtrzymywaną przez Maxa Broda, wraz z innymi jego przyjaciółmi. Wszyscy byliśmy wtedy jeszcze młodzi, najstarsi w każdym razie (Brod, Hugo Bergmann i Oskar Baum) dopiero przekroczyli czterdziestkę; Felix Weltsch, Ludwig Winder, Rudolf Fuchs i Friedrich Thieberger (mój szwagier, który Kafkę uczył hebrajskiego) mieli po trzydzieści kilka lat, ja dwadzieścia dziewięć. Mało kto z około setki osób, które szły wówczas z nami pod wierzbami i cyprysami, jeszcze żyje i mógłby świadczyć o paradygmatycznym znaczeniu Kafki dla świata. Gdy trumnę spuszczano do grobu, rozległ się przejmujący krzyk zbolalej Dory Dymant. Jej szloch zagłuszył pogłos hebrajskiej modlitwy za zmarłych, głoszącej o świętości Boga i głębokiej, serdecznej nadziei zbawienia. „Pisanie jako forma modlitwy”, tak definiował Kafka pisarza. Mawiał: *Jeśli nawet zbawienie nie przyjdzie, to w każdym momencie chcę być go godnym*. Taka była jego wiara. Rzucaliśmy ziemię do grobu. Doskonale mam ją w pamięci. To była jasna, lepiała się,

glinkowata ziemia przemieszana z drobnymi kamyczkami i glazikami. Spadała z łokciem na skrzynię trumny. Później orszak pogrzebowy rozszedł się. Odchodziłem z żoną, która w dzieciństwie mieszkała z Kafką po sąsiedzku i od bardzo dawna była z nim zaprzyjaźniona, i poetą i tłumaczem Rudolfem Fuchsem, klucząc pomiędzy grobami. Nie odzywaliśmy się. Wreszcie z zachmurzonego nieba zaczęła kropić.

Osiem dni później (29 czerwca o jedenastej przed południem) odbyła się na „Małej Scenie”, ówczesnym Praskim Niemieckim Teatrze Kameralnym, uroczystość żałobna poświęcona Kafce. Zaslugę zorganizowania jej i udostępnienia sali przypisać należy praskiemu lirykowi Hansowi Demetzowi, ojcu działającego obecnie w USA literaturoznawcy Petera Demetza. Hans Demetz był wówczas dramaturgiem praskich scen niemieckich. Sala mogąca pomieścić około pięciuset osób była wypełniona niemal wyłącznie niemieckojęzycznymi praskimi Żydami. Nie dlatego, iżby Czesi czy Niemcy prasy nie należą do gminy żydowskiej chcieli trzymać się z daleka. Tylko że nazwisko Kafki dla niewielu posiadało wagę. Kurt Wolff i Ernst Roholt doceniali wprawdzie od 1913 roku, to znaczy od dziesięciu lat z górą, znaczenie Kafki; *Betrachtung*, *Der Heizer*, *Die Verwandlung*, *Das Urteil*, *Ein Landarzt* i *In der Strafkolonie* zostały wydane, i ten, kto miał wyostrzone ucho dla literatury, czuł, co się działo. Dla wielu pozbawionych tego słuchu faza konieczności czucia przyszła później.

Po wstępnych słowach współorganizatora uroczystości Hansa Demetza, przemawiającego zarazem w imieniu utworzonego przez siebie, przy współudziale poety Hansa Regina von Nacka, Praskiego Stowarzyszenia Literacko-Artystycznego, wielką mowę wygłosił Max Brod. Był najstarszym i najbliższym przyjacielem Kafki, najlepiej znającym go od strony czysto ludzkiej. Jest prażaninem czyniącym Pragę widowiskiem w własnych powieściach. Potrafił więc Kafkę jako zjawisko wyczarować z najwłaściwszego mu świata, który go wydał, i przedstawić jako tego świata zwierciadło. Co więcej: był owym duchem, któremu świat zawdzięcza Kafkę jako autora, prawdziwym ojcem pisarza, który przepełniony szczęściem i bólem, z niesłychaną skromnością, towarzyszył Kafce w jego powikłanej drodze. W 1964 roku wszedł w osiemdziesiąty rok życia. Można o nim mówić z najwyższym szacunkiem. Tylko ten, kto osobiście uczestniczył w niemieckim życiu literackim w Pradze owych czasów, może mieć wyobrażenie o pełni



Dom, w którym w 1883 roku urodził się Franz Kafka, został zburzony w latach 1897-1898 w czasie „czyszczenia” Józefowa, żydowskiego getta w Pradze. W nowym budynku stojącym dzisiaj na tym miejscu zachował się jedynie oryginalny portal.



Pisanie jako forma modlitwy,
tak definiował Kafka pisarza. Mawiał:
Jeśli nawet zbawienie nie przyjdzie, to w
każdym momencie chcę być go godnym.

jego nieustannych inspirujących poczyni. Wielka więc szkoda, że jego przemowa na *Nekyia* Kafki nie zachowała się. Mówił o jego przyszłości, o mającej nadejść erze Kafki, która uzna w nim budującego, dogłębnego znawcę natury ludzkiej ujawniającej swe słabości i ułomności stosownie do czasu. Widział go zatem jako tego, kim powinien być poeta dający przestrogi, *to cherish the slaves and to horrify the despots* (Walt Whitman), i jako tego, kim byli wszyscy wielcy prorocy, których unię mistyczną z ich gminą opromienia światło *Schechiny*, obecności Boga wśród ludzi.

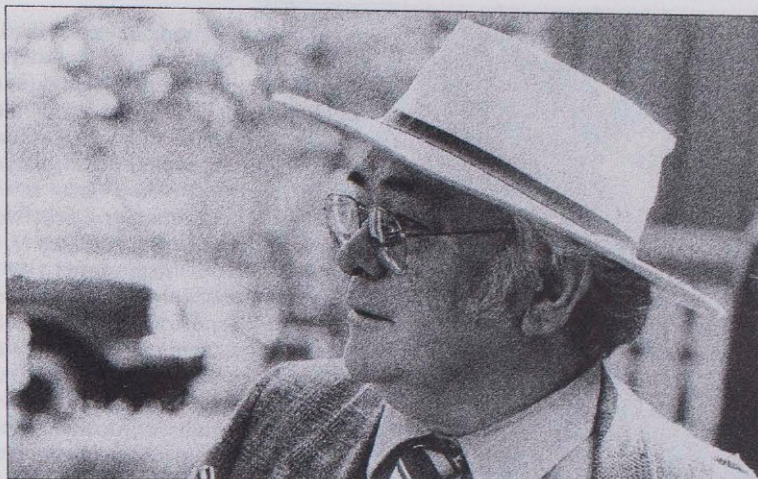
Mnie wypadło mówić po Maxie Brodzie w imieniu młodej generacji poetów. Również i ja – niezależnie od Broda – obrałem za temat ideę życia i głębokiego oddziaływania Kafki na szeroką skalę. I tak to uroczystość ku czci zmarłego stała się okazją do złożenia hołdu życiu, również w sensie religijnym, po żydowsku bowiem cmentarz znaczy tyle, co dom życia. My, którzyśmy Kafkę pochwalili, i ci jego przyjaciele, którzy przemawiali na uroczystości żałobnej, obstawaliśmy przy tym, że on jest i żyje tak, jak żył. Max Brod w autobiografii *Streitbares Leben* przytoczył treść zachowanej relacji gazetowej, przypominającej, że po jego i moim wystąpieniu aktor teatru niemieckiego w Pradze, Hans Helmuth Koch odczytał scenę cmentarną *Ein Traum*, a po niej *Eine Kaiserliche Botschaft*, ścisząc głos na koniec ze wzruszenia.

W roku 1959 – czyli trzydzieści pięć lat później – wydawnictwo Hartfi Voss, z Ebenhausen koło Monachium, zwróciło się do mnie, wówczas już od osiemnastu lat mieszkańca Nowego Jorku, z prośbą, abym udostępnił tekst swej przemowy, przewidzianej do publikacji w tomie pod tytułem *Unsterblicher Genius*, mającym przywoływać pamięć o poetach niemieckich głosami ich przyjaciół, będących autorami poświęconych im nekrologów. Przemowa Maxa Broda nie zachowała się i nie da się jej odtworzyć. Ale ja swojej też już nie miałem. Zostawiłem ją w Pradze, skąd uciekłem w 1939 roku. Wiedziałem jednak, że Paul Westheim, w kilka miesięcy po tamtej uroczystości poświęconej pamięci Kafki, główną część mojej przemowy opublikował w berlińskim piśmie „Das Kunstblatt”. Ale i ta odbitka nie była w moim posiadaniu. Jednak, jak już niejednokrotnie, pomogła mi i tym razem Library of Congress w Waszyngtonie, która tekst przemowy odnalazła i przysłała mi fotokopię. Dziwnie było zetknąć się z nią znowu po upływie tylu lat i pokonaniu takich przestrzeni. Niejedno może inaczej potrafiłbym teraz wyrazić niż za mej młodości; lecz meritum mojego wyznania zachowało ważność – *post tot discrimina rerum*. Wypowiedziane przeze mnie wówczas słowa można odnaleźć we wspomnianym dziele, gdzie zamieszczono poniżej w miejsce zaginionego tekstu przemowy Broda inny, napisany przez niego później. Jemu i tym nielicznym jeszcze wśród żyjących, którzy 11 czerwca 1924 roku około godziny piątej po południu rzucali grudki czeskiej ziemi na trumnę Kafki, ale też tym wszystkim, których poruszył i jeszcze poruszy jego geniusz, zostawiam ten znak pamięci.

Przełożyła Barbara L. Surowska



JOSEF ŠKVORECKÝ, pisarz i dramaturg, urodził się w 1924 roku. Po wydarzeniach roku 1968 wyemigrował do Kanady, gdzie został wykładowcą literatury angielskiej i amerykańskiej na uniwersytecie w Toronto. W „Krasnogrudzie” nr 1 opublikowaliśmy fragmenty jego dramatu *Bóg w domu*.



JOSEF ŠKVORECKÝ

Historia Kukułki

Nikt nie zna historii Kukułki. Być może nawet nigdy się nie wydarzyła i trzeba ją traktować jako legendę, mit. Kto będzie się w niej dopatrywać realizmu, znajdzie nieprawdopodobieństwo. Ale w historii tej nie chodzi o realizm. Czyż wojna nie jest bardziej fantasmagorią aniżeli rzeczywistością, jeśli zaś przypisać ją rzeczywistości, czy w takim razie my rzeczywiście jesteśmy ludźmi? A jako że wojna jest możliwa, czy wobec tego nie jest możliwa historia Kukułki?

Zna ją oczywiście Sara Abeles, która żyje w Izraelu – jeżeli nadal żyje. Na pewno znała ją stara pani Adela Rittenbach, a także Leo Feld, lecz oboje zeszedli już z tego świata; Leo gdzieś w latach 1943-1945, nie wiadomo gdzie i jak, a pani Adela Rittenbach w roku 1945 w miejskim przytułku w K.

Stara pani Rittenbach pracowała długie lata jako gosposia u pana Husy, kierownika sklepu firmy „Arpad Ohrenzug, tekstylia hurtem i w detalu”, który ożenił się z Niemką, Tildą Schröder z B. Pani Rittenbach była właściwie częścią posagu panny młodej; najęła się do służby u Schröderów kilka miesięcy przed narodzinami Tildy i pełniła tam obowiązki na pół służącej, na pół niańki. Pochodziła z ubogiej tkackiej rodziny, od małości była więc przyzwyczajona do pracy. Niemniej była Niemką, jak to mówią, z krwi i kości, i w moich wspomnieniach wciąż żyje w zielonym dirndlu i z wielką torbą na zakupy, z którą każdego ranka obchodziła mleczarza, rzeźnika oraz kramarza, gdzie rozbrzmiewał jej hałaśliwy, typowo niemiecki głos. Mówiła jednak po czesku, chociaż jej czeszczyzna przypominała język, jakiego używają kabaretowi komicy, gdy chcą rozśmieszyć sztywną publiczność: „Ja jeshthem Nemka i ja sze ne nauczycz czeski do grobowa deska”.

Pan Husa natomiast pochodził z czysto czeskiej rodziny. Miał zadarty nos, krągłą, starannie wygoloną, szwejkowską twarz oraz kędzierzawą czuprynę. Jego tato był grabarzem na żydowskim cmentarzu, a pan Husa od młodości dzielnie się spisywał w magazynie bławatnym papy Ohrenzuga, gdzie najpierw był terminatorem, później subiektem, a w końcu został kierownikiem sklepu. Potrafił swoimi puciołowatymi rączkami niczym zongler przewracać na ladzie ciężkie rolki płótna i zawsze był skłonny wynieść przed sklep olbrzymią bełę gabardyny, żeby się klient mógł w dziennym świetle przekonać, że materiał jest najwyższej jakości i ma pożądany desen.

Tak było, ale tylko do pewnego czasu.

Sarę Abeles znałem ze szkoły. Była ładną, czarnooką brunetką, reprezentantką miejskiego klubu sportowego w skokach do wody i pływaniu stylem grzbietowym. Kiedy ja miałem piętnaście, a ona siedemnaście lat, zaczęła mi się podobać bardziej niż inne ładne dziewczyny w K. No tak, tylko że ona była starsza o te dwa lata, a ponadto chodziła z Leo Feldem, rekordzistą powiatu na sto metrów kraulem, i nie interesowała się jazzem.

A oprócz tego – moje piętnaste urodziny przypadły w roku 1939.

Wśród wielu niezwykłych zmian, towarzyszących temu historycznemu rokowi w miasteczku K., jedno z czołowych miejsc zajmuje pewna metamorfoza, którą przeszedł pan Husa. Pod nosem ni stąd, ni zowąd sypnął mu się czarny wąsik, bardzo podobny do wąsika Wodza i kanclerza Rzeszy, a Wódz ten stał się także Wodzem pana Husy. Kędzierzawa czupryna padła ofiarą maszynki do strzyżenia – pozostał po niej pruski język; zmarszczki wokół usługnych oczu kierownika sklepu przybrały surowy żołnierski wygląd, przygięty kark wyprostował się, a głos nabrał ostrego, szorstkiego i chropawego brzmienia. Zmieniła się także ortografia jego nazwiska: nad „u” pojawiły się dwie kreseczki, przybyło drugie „s”, końcowe „a” zaś uległo przegłosowi, niezbyt zresztą zgodnie z lingwistyczną regułą. Krótko mówiąc, z pana Husy stał się Herr Hüsse, kierownik sklepu zmienił się w treuhändera, a przyjaciel subiektów został przyjacielem pana regierungskommissära Horsta Hermana Kühle, pana Hünecke oraz pana Czermacka, dyrektora naszego gimnazjum.

Rudek Husa, mój przyjaciel ze szkolnej ławy, nie zaaprobował tych zmian. Wprawdzie w dokumentach przepisano mu narodowość z czeskiej na niemiecką, ale on własne zeszyty z kompozycji uparcie podpisywał nazwiskiem swych przodków, a w końcu na lekcjach niemieckiego odmówił mówienia w tym języku. Ponieważ był niepełnoletni, przeniesiono go – wbrew jego woli – do niemieckiego gimnazjum w B., gdzie na lekcji wychowania ideologicznego ponoć dopuścił się obrazy marszałka Rzeszy. Zaczęli go więc reedukować w Monachium, ostatecznie zaś rolę pedagoga przejęły siły zbrojne Rzeszy Niemieckiej, które już sobie z nim bez wątplenia poradziły. Jak – tego jednak nie wiem. W każdym razie Rudek nie wrócił do K. Cóż, podczas wojny los różnie obchodzi się z ludźmi.

Parada niemieckich studentów maszerujących Mostem Karola na Zamek Praski przywitać Adolfa Hitlera (15 marca 1939 roku).



Z powodu Rudka stara pani Rittenbach od pewnego czasu przebywała jakby w areszcie domowym, bowiem kiedy rozeźlony Herr Hüsse wysłał niewydarzonego syna do Monachium, wypowiedziała w mleczarni takie oto zdanie: „Then nasz Nemeč to ne jeszt szaden Nemeč, der ist für mich ein ganz gemeiner Nazi!” Pani Rittenbach nie umiała mówić inaczej niż donośnie i zdanie prędko obilo się o uszy niemieckiego świątka w K. Od tego czasu robiła zakupy czeska służąca – treuhänder mógł sobie, rzecz jasna, pozwolić na dwie gospoście – a stara pani Rittenbach ograniczyła się do prac domowych.

Wiosną czterdziestego roku nieoczekiwanie przybyły do nich znów obowiązki niańki. W tym czasie Wódz apelował o wzrost męskiej młodzi i parteigenosse Hüsse, posłuszny wodzowskiemu apelowi, po wielu latach spłodził wespół z małżonką jeszcze jednego syna, obdarzając go – po chrzestnym, którym był Regierungskommissär Kühl we własnej osobie – czysto niemieckim imieniem Horst.

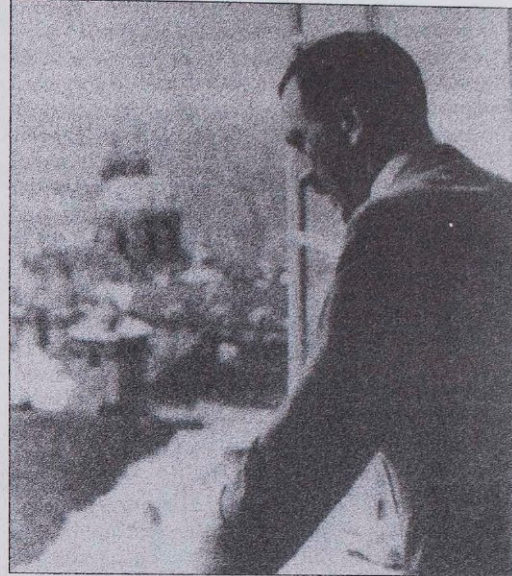
W tym samym czasie Sara Abeles... Ale w tym miejscu być może zaczyna się już tylko legenda, mit, zanim więc rozstanę się z obiektywnym zapisem wydarzeń, lepiej chyba będzie zacząć z innego końca.

Muszę wam jeszcze powiedzieć słów kilka o Tildzie Hüsse, z domu Schröder. Nie wiem, czy na swój sposób nie była *femme fatale*, czy za gwałtownym zmienieniem się pana Hüsse nie stała właśnie ona. Oczywiście nie pamiętam początków ich małżeństwa – ślub wzięli w 1920 roku, czyli cztery lata przed moimi narodzinami. Dla mnie Tilda pozostaje postawną, wysoką blondyną, niesympatyczną jak komorne za sprawą owej specyficznej, wrzaskliwej odmiany niemieckości. Pani Rittenbach także mówiła donośnie, lecz był to głos starej Mutter Courage. Natomiast głos Tildy Schröder był aroganckim, przenikliwym głosem dobrze odżywionej i nie mającej żadnych problemów niemieckiej kobiety, dowodzącej tymi pięcioma czy też sześcioma nieszczęsnymi niemieckimi dziewczynami, które tworzyły w K. miejscową grupę BDM. A Frau Tilda była nie tylko leiterin, a może nawet führerin owej grupy, ale duszą wszelkiej niemieckiej aktywności w K. Ta była początkowo dość uboga, ponieważ do niemieckiej narodowości przyznawało się w K. wszystkiego osiem familii, ale podczas wojny przybrała znacznie na sile, gdy w miasteczku zaczął stacjonować pułk piechoty dywizji SS „Hermann Göring”, a za nim, niczym rój pszczół za miodem, ściągnęła karawana niemieckich rodzin, które zajęły najlepsze żydowskie mieszkania oraz najbardziej intratne czeskie synekury.

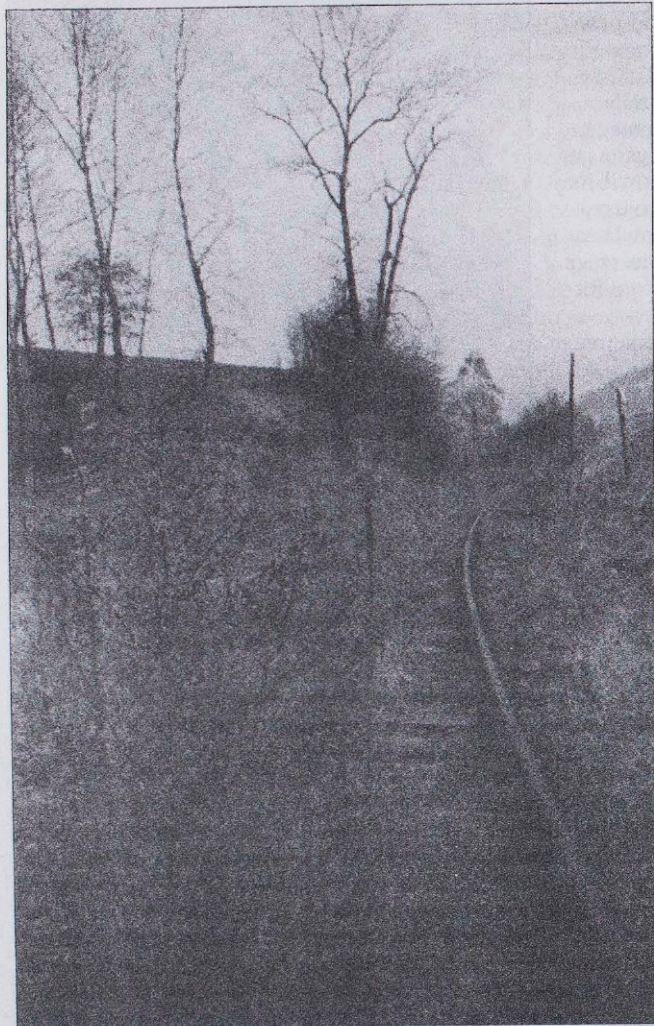
Ale dawniej, kiedyś, Tilda ponoć nie była taka. Dawno temu było to podobno różanolicie niemieckie mädel, nieśmiałe i dobrze wychowane, które po ślubie z Czechem zaczęło się gorliwie uczyć ojczystego języka małżonka.

Ja jednak nigdy nie słyszałem Frau Hüsse mówiącej po czesku. Ponoć wzięła rozbrat z czesczyzną po roku 1933, kiedy to – podobnie jak wiele innych różanoliczych, rumianych mädeln – znalazła się pod erotyczno-ideologicznym wpływem Wodza. I wówczas wszystko, czego się zdołała nauczyć z języka zachodnich Słowian, ukryła w głębinie swej zimnej sudeckiej duszy i nigdy się do tego nie przyznała.

„Ach, die Tilde – zwierzyła się kiedyś, jeszcze przed wojną, stara pani Rittenbach mojej matce. – Die ist schon ganz verrückt. Fie laskhawa pany, sze



Hitler podziwiający piękno Pragi,
16 marca 1939 roku.



Zaginiony świat Niemców sudeckich. Tory kolejowe w pobliżu Velkého Března (niem. Gross Priesen)
Fot. Josef Platz

Z prawej u góry:
Zaginiony świat Niemców sudeckich - Stary Most (niem. Brúx)
Fot. Josef Platz

Z prawej u dołu:
Zaginiony świat Niemców sudeckich - Šitbor (niem. Schittwar)
Fot. Josef Platz

pszed snem ona całowacz sawsze portret thego, wie heisst der Karl, thego Adolf Hitler? Na was sagen Sie dazu? No czy to jeszt normalne?"

Ach, ta stara pani Rittenbach! Jedyne konkretny klucz do prawdy o Kukulce mam właściwie tylko od niej. Podówczas pan Hüsse był już strzelcem Flaku gdzieś w okolicach Hamburga i dlatego stara pani znowu mogła pokazywać się na ulicy. Ale jeżeli wcześniej była gadatliwa, jeżeli wcześniej jej kabaretowa czeszczyzna rozbrzmiewała głośno po kramikach w K., to teraz była milkliwa i nieskora do rozmowy. W wytartym zielonym dirndlu kroczyła przez miasteczko niczym cień tej wesołej, starej matki pulku, pchając przed sobą sportowy wózek z Horstem. Horst kłęczał na siedzeniu, rozglądał się po świecie i wrzaskliwie wypytywał po niemiecku swoją niankę, która półgłosem mu odpowiadała. Frau Hüsse, jego matka, nie miała już wtedy czasu dla Horsta. Jako kierowniczka Arbeitsamtu czy też nawet jako szefowa Volksturm pracowała do utraty tchu dla zwycięstwa Rzeszy, ponieważ było to już gdzieś u schyłku wojny.

Spotkaliśmy ją kiedyś, starą panią Rittenbach, na dolnej ulicy za stacją, a właściwie tylko pozostawiony samotnie wózek z Horstem, zaparkowany przed którymś ze sklepików. Horst wybałuszył na nas swoje podobne do przejrziałych jagód oczy i wpakował do nosa palec.

- Ty, to jest chyba młody Husa, co nie? - powiedział Benny-Przemek, pierwszy alzysta naszego bandu.

- Horst Hüsse - odparłem. - Braci-

szek Rudka Husy, niech mu, Panie Boże, ziemia lekką będzie.

Benny-Przemek przyglądał się ciekawie czarnowłosemu dziecku.

- Ale do bracińca coś jakby mało podobny - stwierdził. - Te ślepie, te pióra na głowie... Ty, kurde, wygląda raczej na...

Wtem ze sklepiku wyszła pani Rittenbach.

- Dzień dobry - przywitaliśmy ją, a ja ukrywając zmieszanie dodałem:

- Oglądamy sobie brata Rudka.

Zdawało mi się, że w oczach starej kobiety dojrzałem błysk.

- Ja, ja - powiedziała - der arme Rudi. Na pefno koniec s nym.

- Ma pani o nim jakieś wiadomości? - zapytałem, lecz stara kobieta potrząsnęła głową.

- Jeszt na fschodny front. - Po czym dodała z całkiem wyraźną ironią w głosie: - Er kämpft für den Fuja und Vaterland.

- No tak. A ten tutaj to jego brat - powiedziałem.

- Pani Rittenbach, ale on jakoś nie wygląda na Niemca, a przynajmniej na czystą rasę - wtrącił Benny-Przemek, spoglądając porozumiewawczo na

starą kobietę, która najpierw zamglonymi, wilgotnymi oczyma spojrzała na Benna-Przemka i po krótkim zawahaniu odparła:

- Tocz i szaden s nego Nemec. - A potem, zdawało mi się, że nawet po dłuższym wahaniu, powiedziała: - Ale i szaden Czech.

- Jak to? - spytałem, ale w drzwiach sklepiu pojawili się jacyś ludzie i pani Rittenbach pożegnała się szybko.

- Ta baba coś kręci - oświadczył Benny-Przemek. - Założę się, że jeżeli Rudek wróci po wojnie, z Horsta będzie Czech jak trza.

Nie podejrzewałem wtedy, że właśnie to przedwieczorne spotkanie z panią Rittenbach naprowadzi mnie kiedyś na ślad Kukulki.

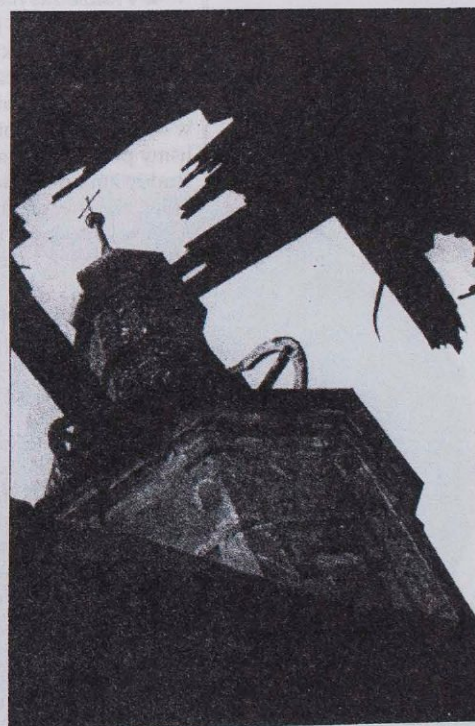
Tylko właściwie po co? Czy to dzisiaj ważne?

Jak już powiedziałem, Rudek nie wrócił nigdy, a Bóg tylko wie, gdzie zastał koniec wojny jego bracińca Horsta. Pan Hüsse podobno padł podczas nalotu na Drezno wiosną czterdziestego piątego, Frau Tilda zaś zniknęła z K. parę dni przed wkroczeniem Armii Czerwonej. Mniej więcej miesiąc wcześniej wysłała Horsta do jakichś dalekich krewnych w Wirtembergii, nikt nie wiedział do jakich i nikt się też tym nie interesował.

Chwileczkę, był taki ktoś. Komuś jednak bliski był los rodziny Niemca Hüsse. Nie zgadlibyście, kto to taki. Sara Abeles.

Tak, dla mnie to całkiem oczywiste. Ale niewykluczone, że jest to tylko moja fantazja. Przecież pani Rittenbach lubiła Sarę. A matka Sary, która pochodziła z Wiednia i kaleczyła czeszczyznę tylko odrobinę mniej niż pani Rittenbach, w młodości była ponoć najlepszą przyjaciółką Tildy Hüsse. Co zresztą było zupełnie naturalne; w K. żyło raptem osiem niemieckich rodzin, z czego pięć na Szmaciance, i z nimi młoda małżonka kierownika sklepu przecież nie mogła się spotykać. Zaprzyjaźniła się wobec tego z młodą Wiedenką, opowiadając mnóstwo historyjek z Prateru oraz z cukierni w okolicy Am Graben i dlatego stara pani Rittenbach opiekowała się nie tylko Rudkiem, lecz często także i Sarą.

Jednakże w życie tych młodych kobiet i matek wkroczyły ważniejsze sprawy, polityczne i narodowe, oraz nowa ideologia, którą zaczęła wyznawać Frau Tilda. I tak się to skończyło. Jak daleko sięgam pamięcią, nie przypominam sobie przyjaźni między Tildą a Alicją Abeles, a gdy w roku 1936 Alicja na szczęście zmarła, Tilda nawet nie poszła na jej pogrzeb.



Natomiast stara pani Rittenbach owszem, a jej rzewny, głośny płacz był żalospnym kontrapunktem tego smutnego wydarzenia. Bywała później gościem w kuchni Abelesów aż do pierwszych lat niemieckiego panowania w miasteczku K., mniej więcej do tego czasu, gdy w mleczarni wypowiedziała owo fatalne dla niej zdanie: „Then nasz Nemecek to ne jeszt szaden Nemecek...”

I jak to czasem bywa, do pewnego stopnia zastąpiła Sarze matkę, a może ciotkę, albo też w dziecięcych skojarzeniach przypominała jej Alicję Abeles, która zmarła młodo i w świadomości Sary związana była z dobroliwą twarzą starej służącej. Dlatego też chyba nie było w tym nic aż tak dziwnego, że pierwsze kroki po powrocie do K., w czerwcu 1945 roku, skierowała Sara do tej starej, opuszczonej Niemki.

Stara kobieta leżała w miejskim przytułku, powalona przez udar mózgu, a kilku miejscowych ultraradykałów zastanawiało się głośno, co właściwie ta Niemka robi w czeskim schronisku. Dlatego też postępowanie Sary Abeles, która z całej rodziny wróciła jedna jedyna, nie znalazło uznania w oczach miasteczkowych dam. Tym bardziej gdy rozniósł się, że w trakcie wizyty Sara rozmawiała ze starą kobietą wyłącznie po niemiecku.

„Widzicie ich, Żydów? Hitler tak się z nimi obszedł, ale oni nie przestaną mówić po niemiecku”, poszeptywały sobie te patriotyczne damy w narodowym uniesieniu. Lecz w kilka dni po wizycie Sary stara pani Rittenbach umarła, rozwiązując w ten sposób palący problem ultraradykałów w K. Na jej pogrzebie – jeśli można to nazwać pogrzebem – nie było oczywiście nikogo. Nawet Sary, która natychmiast po rozmowie w przytułku wyjechała do Pragi.

W Pradze zaś natrafiłem przypadkowo na kolejny – i ostatni – ślad Kukulki. Działo się to jednak po wielu latach, tej ponurej jesieni 1952 roku, i muszę tu napomknąć o Rebecce.

Kim była Rebeka? Była, ponieważ już jej nie ma? Taką dziewczyną, jakie bywają w dużych miastach. Samotna. Miała pokój nad skrzyżowaniem ulic, w centrum Pragi, piękny zwłaszcza wtedy, gdy padał deszcz. Kiedy tak leżeliśmy po ciemku na tapczanie, a na zielonkawej twarzy porcelanowego Buddy zmieniały się odbłaski ulicznych świetlnych sygnałów: czerwone, żółte, zielone, czerwone, żółte, zielone...

A w jej tęsknych gazelich oczach człowiek mógł wyczytać cały smutek, strach oraz lęk przed życiem i śmiercią, gdyby Rebeka nie wyglądała tak, jakby wyskoczyła wprost z pieśni Salomona. Zatem inni tego smutku nie zauważali, był zresztą oszklony blaskiem jej oczu, w wilgotnym lśnieniu jarzyły się erotyczne światełka. Rebeka była obdarzona niepospolitymi wdziękami. Jej podobne do pary sarniąt piersi ujrzało w wielkiej Pradze dużo więcej malarzy, sportowych rekordzistów, poetów, muzyków i gogusiów mojego pokroju, niż przystało to reputacji takiej dziewczyny jak ona. I z tego powodu byłem straszliwie zazdrosny.

Chociaż właściwie nie zdradzała mnie, ponieważ poligamia była dla niej normalnym stanem rzeczy. Tylko że ja nie potrafiłem się z tym pogodzić. Chciałem ją mieć, tę różę Saronu, mieć wyłącznie dla siebie przez sześć, siedem miesięcy, bo w tym wieku zazwyczaj przez taki właśnie czas bywałem zakochany. Nie wiedziałem jednak, ponieważ byłem durniem, że przerażała ją bliskość śmierci oraz uciekające sekundy: ona po prostu nie miała czasu, by poświęcić sześć czy siedem drogocennych miesięcy życia wyłącznie jednemu kiepskiemu tenorowemu saksofoniście z charakterem na poziomie dwudziestoosmioletniego lowelasa.

I miała rację. Chyba to nawet bardziej wiedziała, niż przeczuwała. Taka już była. Rebeka. To imię nie było prawdziwe, sama je sobie wymyśliła.

A ja zazdrośnie węszyłem każdy trop niewierności i oczywiście miewałem obfite łowy, co później wykorzystywałem, by urządzić jej sceny. Spróbowałem ją nawet zbić, ale bronila się jak dzika kotka i próba skończyła się dla mnie niefortunnie.

Mimo to jednak byłem dla niej kimś odrobinę innym niż pozostali, ponieważ w mojej obecności potrafiła być smutna. To zaś wydarzenie miało miejsce gdzieś przed Bożym Narodzeniem owego ponurego roku 1952, ostatniego roku, końca którego dane jej było dożyć. Padało, do pokoju sączyło się światło ulicznej latarni, a Rebeka była w łazience. Na biurku leżała książka, z której sterczał rożek listu. Zazdrość była mi ostrogą – wysunąłem kawałek pisanego na welinowym papierze listu. W oko najpierw wpadł mi podpis i zazdrość ustąpiła, ponieważ z dolnego rogu, pod gęsto zapisaną stroną spoglądały na mnie słowa: Sarah Abeles, Jerozolima, jakiś adres i numer.

Ulga, połączona z poniekąd masochistycznym uczuciem zawodu, sprawiła, że nie dotarło do mnie znaczenie tych słów. Już chciałem wsunąć list na powrót, gdy naraz jakieś skojarzenie oświetliło wyrobisko pamięci, zasypane obojętnością lat, i ujrzałem ją w mokrym, czarnym kostiumie kąpielowym na szczycie trampoliny basenu w K., ją – Sarę Abeles, a potem jej śniadę, opalone ciało, jak w niebieskich i złotych wysokościach frunie powietrzem nad taflą, kreśląc w tym powietrzu cudne żywe obrazy.

Wyjawszy prędko list, gorączkowo przeczytałem zdanie pośrodku strony, tak na chybił trafił, ponieważ w błyskawicznym skrócie chciałem za jednym zamachem przeczytać wszystko, co list zawierał.

Los jednak chciał, że zdążyłem przeczytać ledwie jedno jedyne zdanie, a właściwie strzępy dwóch zdań: „...yłam, że ta śmierć będzie miała smak zemsty, a tymczasem była dla mnie podwójnym cierpieniem. I teraz już wiem, że krew nie może spadać na synów, a człowiek nie może nienawidzić niewin...” Wtem skrzypnęły drzwi od łazienki i weszła Rebeka.

- Co ty tam czytasz? Zostaw to! - krzyknęła ostro, po czym rzuciła się na mnie jak łasica i wyszarpnęła mi list z rąk. - Tysiąc razy ci mówiłam, żebyś nie grzebał w moich rzeczach.

- Przepraszam, przepraszam - mruknąłem. - Sterczało to z książki, no i zauważyłem ten podpis.

- Tym bardziej. Wiedziałeś, że to nie od faceta, czemu więc nie zostawiłeś tego w spokoju? - Rozgniewana Rebeka wkładała list do chińskiej szafki z laki, od której klucz nosiła na złotym, zawieszonym na szyi łańcuszku. Wszyscy dopatrywali się w tym ekstrawagancji, ale któż to wie?

- Znałaś Sarę Abeles? - spytałem.

- Ty też? - odwróciła się do mnie.

- Przecież była z K., no nie?

- No, była.

- Jakże mogłem nie znać największej seksbomby w K. - stwierdziłem cynicznie.

- Daruj sobie te bystre uwagi - warknęła Rebeka, o dziwo chłodnym tonem, chociaż zwykle takie rzeczy jej nie przeszkadzały.





Witryna

TOMÁŠ STANĚK: Německá menšina v českých zemích 1948-1989. Institut Pro Sřednoevropskou Kulturu a Politiku, Praha 1993.



Jeszcze w 1930 r. w Czechosłowacji żyło ponad 3,3 mln. Niemców stanowiąc blisko 23 % ogółu mieszkańców. W 1945 było już niecałe 3 mln. a w 1948 roku zaledwie 175 tysięcy. Po wojnie przy prawie powszechnej aprobacie społeczeństwa czechosłowackiego rząd Edwardego Beneša za pomocą dekretów pozbawił Niemców obywatelstwa, wszelkich praw obywatelskich oraz własności i rozpoczynał masowe wysiedlenia Niemców sudeckich. Podczas tego wygnania blisko 250 tysięcy osób poniosło śmierć. Przeprowadzane dzisiaj sondaże opinii publicznej wskazują, że zdecydowana większość Czechów nadal uważa, że

Forum
JOSEF ŠKVORECKÝ

- Wybacz - powiedziałem - ale pamiętam ją całkiem dobrze. Filmowy typ. Miała dzieciaka z Leo Feldem. Wtedy był to w K. prawdziwy rarytas. Rok tydzień dziewięćset czterdziesty i żydowskie dziecko. Straciła je w Terezynie, co?

Rebeka zmierzyła mnie pięknymi oczami. Zdawało mi się, że się skrzywiła.

- W Oświęcimiu - odparła. - Jedyne żydowskie blond dziecko w całym Terezynie. Widziałeś kiedy Żyda blondyna?

Nie pojmowałem tego pytania.

- Czemu nie? - powiedziałem. - Choćby taki Ernest...

- Ale znałeś Sarę i Felda, he? - wpadła mi w słowo.

Coś zaczęło mi światać. Gwizdnąłem. Cóż, miałem jednak dwadzieścia osiem lat i guzik wiedziałem o tym, czym jest prawdziwa miłość i jakie mogą być naprawdę kobiety. Gwizdnąłem.

- Aha, więc uważasz, że Sara nie miała go z Feldem...?

- Coś ty - Rebeka zakrzywiła się znowu. - Sprawa...

Nagle rozległ się dzwonek. Skonsternowana Rebeka zapytała:

- Jaki dziś właściwie mamy dzień?

Pytanie to wydało mi się nielogiczne, dopiero później zrozumiałem, że było całkiem logiczne. Bowiem dopiero potem uzmysłowiłem sobie, że Rebeka jest zapominalska i że ma tylu znajomych, że... Ale stało się to później, gdy ogarnięty zazdrością obraziłem się i poszedłem się urządzić do T-Clubu.

Ponieważ za drzwiami, czarująco uśmiechnięty i z bukietem rzadkich o tej porze róż, stał słynny poeta Jan Vrcholák, który właściwie powinien był przyjść dopiero jutro, w czwartek, kiedy ja miałem być na wycieczce, tylko że Rebeka miała na głowie tysiąc rzeczy jednocześnie i wszystko poplątała.

W rezultacie nie dokończyliśmy tego dnia rozmowy o Sarze Abeles, doszło natomiast do niezręcznej sytuacji z Vrcholakiem, z rumieniącą się Rebeke i ze mną, który osiągnąwszy prześliczny kolor gotowanych raków, poszedłem zalać robaka do wspomnianego już T-Clubu.

Rozmowy o Sarze nie dokończyliśmy w ogóle nigdy, ponieważ wkrótce potem Rebeka odeszła.

Tak naprawdę nie był to ostatni ślad Kukułki. Ostatni z tych niewielu, jakie po sobie zostawiła, wykryłem w broszurze, która wpadła mi przypadkiem w ręce całkiem niedawno, piętnaście lat po powrocie Sary Abeles z Oświęcimia.

Był to wykaz wywiezionych do Rzeszy obywateli czechosłowackich, których nie udało się odnaleźć. Dzieci z Lidic, zaginieni w obozach i gruzach robotnicy przymusowi, wcieleni do Technische Nothilfe i Organisation Todt, osamotnieni nieszczęśnicy, których pochłonęły peryferia wielkiej wojny. I kiedy tak przebiegałem wzrokiem nic nie mówiące mi nazwiska ludzkich tragedii, nagle nadziałem się na jedno, zamieszczone tam jakby przez pomyłkę. Lecz dla mnie było jednym z tych wielu nazwisk, którego tragedia czy też może tylko historia miała konkretny blask wspomnień o miasteczku K., o starej pani Rittenbach, o Tildzie, o panu Husie-Hüsse. Albowiem nazwisko to pośród takich jak Boruvka lub Sedlaczek brzmiało Horst Hüsse, ur. 5.2.1940 w K.

I naraz wszystko stało się dla mnie jasne. Nie miała sensu wizyta w odpowiednim departamencie ministerstwa, by przekonać się, że agenci ministerstwa poszukują Horsta Hüsse na prośbę Sary Abeles, urodzonej w roku 1922 w K. Nie miała sensu, ponieważ ja to wiem. Ponieważ to właśnie jest ów mit, owa przypowieść, swą prawdą wykraczająca poza moją detektywistyczno-wspomnieniową opowiadankę.

Ale w łańcuchu dedukcji brakuje chyba jednego ogniwa. Tym ogniwiem jest topografia miasteczka K. oraz rozmowa, którą stara panna Rittenbach odbyła z moją matką w pierwszym roku wojny, tuż po pastercie roku 1939.

Albowiem gdy pan Husa za sprawą metamorfozy zmienił się w Herr Hüsse i zamiast w ciemnoszarej dwurzędowce kierownika sklepu zaczął chodzić w czarnych bryczesach, wprowadził się do willi pana Abelesa, przynosząc pierwotnego właściciela do opuszczonego domku ogrodnika w odległym kącie wielkiego ogrodu otaczającego dom, skąd pan Abeles wraz z rodziną odszedł najpierw do żydowskiej szkoły, a jeszcze później do getta w twierdzy Terezin.

I w tym właśnie domku ogrodnika urodził się Sarze Abeles w lutym 1940 roku syn Abraham, wywołując w miasteczku nie lada sensację. Młode żydowskie kobiety nie miały już wtedy dzieci, albowiem ich posiadanie także z legalnego punktu widzenia było już wątpliwe. Rozmnażanie rasy przeznaczonej do zagłady... Myślę, że jakieś prawne przepisy w tej kwestii już istniały lub były przygotowywane, w każdym razie interwencja babki w takim wypadku byłaby czynem w zasadzie niekaralnym. Mimo to Sara Abeles miała dziecko, syna Mojżesza. Mojżesza zapewne dlatego, że imię to w przebłysku rozpaczliwej nadziei wiązała z wyobrażeniem mężczyzny, który wyprowadził Izrael z niewoli egipskiej.

Rozumiecie?

Tak więc, gdy tamtego 1939 roku wracaliśmy mroźną i wietrzną nocą z pasterki, zasłyszalem fragment rozmowy, jaką moja matka prowadziła półgłosem ze starą panią Rittenbach. „On to nie mosze tak sostawicz, laskhawa pany”, mówiła teatralnym szeptem stara kobieta. „Tak, muszy nadejszc kara, Gottestrafe. A my, kaszdy, muszimy pomagacz psy thej kara, Frau Dirigent, bo inaszey byszmy Mu ne mogly patszycz do oka...”

A więc tak to było. Horst Hüsse ujrzał światło świata 27.2.1940 roku, a niemal jednocześnie przyszedł na ten świat Abraham Abeles. Wtedy kobiety jeszcze nie rodziły w szpitalach. Wieczór, po nim ciemna noc, w ogrodzie mrok. Wszystkie noworodki są identyczne, trzeba im do pupy przyklejać plaster z nazwiskiem albo numerkiem, ale wówczas kobiety rodziły indywidualnie, w domu, każda w samotności.

Zatem przeprowadzenie tego było w sumie proste: stara pani Rittenbach dokonała swego małego czynu chcąc pomóc Bogu. Trudniej było wpaść na ten pomysł i zdecydować się na jego realizację. I to właśnie jest jedynym elementem tej historii, którego nie potrafię pojąć: nie wiem, jak czuła się Sara, jak to sobie wyobrażała, jak przekonała siebie samą, że będzie jej lżej, ba, że będzie odczuwała satysfakcję, słodki smak zemsty, gdy pewnego razu w tych dotąd jeszcze nie znanych sferach makabry odbiorą jej dziecko, żeby wykonać na nim małą część wielkiego planu o straszliwie urzędowej nazwie „Ostateczne rozwiązanie”, Endlösung, czy jak to tam nazwali. I jak jej własne dziecko zmieni się w całkowicie innego człowieka, ale przynajmniej będzie żyło, kukulcze piskle, które nigdy nie pozna swojej matki...

Gdy wszystkie te niewiarygodne, a mimo to logiczne – i chyba właśnie dlatego prawdziwe – elementy zaczęły mi się układać w obraz jednej (bynajmniej nie największej) tragedii ówczesnych czasów, przypomniałem sobie zdania z listu Sary. Z zapomnianych zakamarków biblioteki wyjąłem księgę jej przodków. Przeczytałem w niej: „Wtedy Herod widząc, że go Mędracy zawiedli, wpadł w straszny gniew. Posłał [oprawców] do Betlejem i całej okolicy i kazał pozabijać wszystkich chłopców w wieku do lat dwóch, stosownie do czasu, o którym się dowiedział od Mędrców”. I dalej: „A gdy Herod umarł, oto Józefowi w Egipcie ukazał się anioł Pański we śnie i rzekł: »Wstań, weź Dziecię i Jego Matkę i idź do ziemi Izraela, bo już umarli ci, którzy czyhali na życie Dziecięcia.«” I wówczas wiedziałem na pewno, że oto mam przed sobą naprawdę ostatni ślad Kukulki; źródło, z którego Kukulka czerpała inspirację.

wygnanie Niemców było słuszne i sprawiedliwe. Obecnie w Czechach żyje niewiele ponad 50 tysięcy Niemców, głównie w okręgu Sokolov, Karlove Vary i Teplice, gdzie stanowią od 3%-6% mieszkańców. W samej Pradze żyje dzisiaj zaledwie około 1,3 tysiąca Niemców. Losom tej społeczności niemieckiej, która pozostała w Czechach, pomimo szczytów ich aktywności kulturalnej i społecznej, poświęcona jest książka Tomáša Stanka.

Brakuje mi jednak słów dla tego desperackiego czynu. Nie jestem autorytetem w sprawach macierzyńskiej miłości. Zresztą nie chodzi mi o macierzyńską miłość, o wyciśnięcie łez z oczu, o psychologię bólu, o rejestrację gołego faktu. W ogóle nie chodzi mi o miłość, tylko o sens tego przesłania, tego nigdy nie wypowiedzianego mitu, o sens śmierci tamtego drugiego dziecka, tak całkowicie różny od sensu śmierci milionów pozostałych oświęcimskich dzieci.

Albowiem w grę wchodziło jeszcze jedno dziecko, które miało być jednocześnie ofiarą i zemstą. To jedyne dziecko z miliona dzieci, którego śmierć powinna w matczynej piersi wzniecić przynajmniej iskierkę złośliwej satysfakcji, drzemiącej zawsze na dnie spełnionej zemsty.

Ponownie przekartkowałem księgę i wzrok padł mi na te oto słowa: „Lecz kto by się stał powodem grzechu dla jednego z tych małych [...] temu byłoby lepiej kamień młyński zawiesić u szyi i utopić go głębi morza. Biada światu z powodu zgorzeń!”*

Nie znam się na biblijnym języku i dlatego nie wiem dokładnie, jakie znaczenie dla zbożnego tłumacza miał rzeczownik „zgorzenie”. W tym kontekście odczytuję go, z lingwistycznego punktu widzenia bez wątpienia źle, jako „krzywda”. Cóż, ja jednak chyba całą tę księgę odczytuję niewłaściwie, ponieważ we mnie już dawno przygasła dziecienna wiara, a zastąpił ją sceptycyzm. Lecz inspiracja Sary nie była religijna, a poza tym księga ta także nie jest od Boga. Jest to dzieło ludzkie, zawierające ludzkie doświadczenia.

Zatem z zemsty Sary pozostały w końcu tylko ludzkie łzy, bodaj najbardziej ludzkie łzy, jakie kiedykolwiek wylały matki w Oświęcimiu. Nie były to już łzy instynktu macierzyństwa, lecz łzy ludzkiego współczucia, które, dzięki Bogu, jest chyba jednak głębsze niż jaskinia naszej nienawiści.

Jak bowiem inaczej można sobie wytłumaczyć słowa Sary? „...yłam, że ta śmierć będzie miała smak zemsty, a tymczasem była dla mnie podwójnym cierpieniem...” Jak inaczej zinterpretować ich sens niż jako – wybaczenie tej retoryki – zwycięstwo człowieczeństwa nad atawizmem, zwycięstwo człowieka nad wojną, nad bestialstwem, nad lodowatym podmuchem obłędu zawartego w słowie „faszyzm”?

Oto ostatni ślad Kukułki. Kto wie, jak było naprawdę i czy to wszystko nie jest tylko mitem utraconego czasu? Była to jednak ludzka Kukułka i ludzkie piskłe. Być może z niego gdzieś – Bóg wie gdzie, ponieważ Kukułka nigdy go nie odnalazła – wyrasta człowiek, który nie będzie miał ochoty przykładąć ręki do jakichkolwiek „Ostatecznych rozwiązań”, jakie jeszcze wymyśli mózg starego świata. Jeżeli nie zginęło w tych wiosennych dniach czterdziestego piątego roku, gdy na ziemię spadały ostatnie bomby. Albo jeśli nie znęciły go później bębny i piszczałki, grające znowu swoją wabiącą pieśń szczurołapa.

Ale któż to wie? Kto może powiedzieć? Być może i ta ewentualność jest ostatnią pieczęcią człowieczeństwa, którego nigdy, w żadnym wypadku nie można zwyciężyć morderstwem.

1963

* Mt 2, 16-19 i Mt 18,6. Wszystkie cytaty z Pisma Świętego według Biblii Tysiąclecia, Pallotinum, Poznań-Warszawa 1980 [przyp.red.].

SIMCHE KELLER-SKOWROŃSKI
MAŁGORZATA BURZYŃSKA-KELLER

Prag keter, ha-olam ir wa-em be-Israel...*

Artykuł niniejszy nie jest opracowaniem historycznym ani naukowym życia żydowskiego w Pradze. Dotyczy raczej związków żydostwa polskiego z Pragą. Wielu mistrzów, wielu rabinów, którzy przybywali do Polski i nauczali - przybywało właśnie z Czech.

Od najdawniejszych czasów pojawiają się opracowania historyczne oraz wzmianki o narodzie żydowskim zamieszkującym Czechy. W najstarszych notach historycznych opisujących zamek na Hradczanach wspomina się, że wokół zamku zamieszkiwały liczne rodziny żydowskie.

Pierwszy ważny dokument bezpośrednio poświęcony Żydom pochodzi z roku 1067. Jest to przyzwolenie nadane przez księcia Brzetysława na otwarcie żydowskiej gminy w Aujezdzie. W następnym dokumencie nie tylko opowiadana jest historia narodu żydowskiego w Czechach. Jest on także pierwszym świadectwem emigracji Żydów czeskich do Polski. Otóż podczas nieobecności księcia Brzetysława II, który przebywał wówczas w Polsce, krzyżowcy zajęli Pragę. Wymordowali znaczną liczbę Żydów, a innych zmusili do przyjęcia wiary chrześcijańskiej. Po ich odejściu część narodu żydowskiego wróciła do starej wiary, jednak większość udała się do Polski. Było to w roku 1096.

Ta emigracja zapoczątkowała regularną wędrówkę Żydów czeskich do Polski, która była krajem bardziej otwartym i tolerancyjnym w stosunku do Żydów niż czeskie królestwo. Czechy podówczas były pod silnym wpływem kultury niemieckiej (prawa dotyczące spraw żydowskich również opracowane były na bazie praw niemieckich). W Polsce, pomimo prób czynionych m.in. przez słynnego mnicha Jana Kapistrano, pogromy i wystąpienia antyżydowskie nie miały takiej siły i nie przybrały takich rozmiarów jak np. w Czechach, na Morawach czy w Niemczech.

W roku 1514 wygnano Żydów ze wszystkich miast Czech i Moraw, pozostawiając jedynie gminę żydowską w Pradze. Postępowano tak sukcesywnie. Zarządzeniem z 1542 roku nakazano Żydom opuścić Pragę. Po pewnym czasie Żydzi jednak powracali, pomimo panujących w mieście ciężkich warunków. Żydowskie życie w Pradze trwało więc właściwie nieprzerwanie. Były to trudne czasy, obwarowane prawami, które Żydów zaliczały do „gorszej kategorii”, zabraniały im wykonywania wielu prac i wielu zawodów. Józef ha Kohen, historyk żydowski z XVI, wieku tak pisał o wygnaniu Żydów z Niemiec oraz Pragi w swoim dziele *Emek ha bacha*:

W roku 5302 tj. 1542 spłonęło wiele miast w Niemczech, a dym ich uniół się ku niebu, lecz nigdzie nie odkryto zbrodniarzy, którzy by podłożyli ogień. Wówczas obwiniono Żydów i pasterzy, jakoby oni te zbrodnie popełnili i poddano ich torturom. Na torturach przyznali się do czynów,



* Praga, korona świata, miasto i matka w Izraelu...

Tak nazwał lud Izraela miasto leżące nad Wełtawą, stolicę Czech - Pragę.

SIMCHE KELLER-SKOWROŃSKI urodził się w 1963 roku. Jest kantorem synagogi w Łodzi i pracownikiem Fundacji Laudera. Wraz z żoną Małgorzatą Burzyńską-Keller koncertuje i nagrywa płyty z tradycyjną muzyką żydowską. W „Krasnognudzie” nr 2-3 i 4 zamieściliśmy jego tekst Chasydzi.



Antyżydowski pamflet, Praga 1782

Znaczki wydane w Pradze w 1967 roku z okazji milenium praskich Żydów i 700-lecia Starożytnej Synagogi



których nie popełnili, po czym spalono ich na stosach. Spójrz na nich, Panie, i ujmij się za nimi! Wówczas to wygnano Żydów z Pragi. W miesiącu Adar Żydzi opuścili miasto i na wozach udali się do Polski i tam osiedli. Wielu jednak z nich zginęło po drodze, a inni zostali pomordowani mieczem. Lecz Pan zmazał ich hańbę, bo już po ich odejściu zgorzało miasto Linz, tak, że nie zostało zeń dwudziestu domów.

Fragment tej kroniki dokumentuje miejsca, do których udawali się wygnańcy żydowski z Pragi. Jedną z większych grup uciekinierów przyjął Kraków i Kazimierz pod Krakowem. Nastąpiło to jednak w okresie dość ciężkich prób i przejść dla Żydów. Mianowicie w roku 1469 Żydzi zamieszkujący w Krakowie ulicę Żydowską (obecnie Świętej Anny) zostają zmuszeni do opuszczenia swoich domów. Władze miasta argumentowały to planowaną budową w tym miejscu Akademii Krakowskiej. Żydzi przenieśli się w inne miejsce, ale już w 1485 roku otrzymali zakaz wszelkiego handlu. Wydarzenie to łączyło się z pobytem w Krakowie wspomnianego już mnicha Jana Kapistrano, którego celem było szerzenie waśni pomiędzy narodem żydowskim a Polakami. Po jego wystąpieniach nastąpiły pewne rozruchy antyżydowskie i w roku 1495 zmuszono Żydów do opuszczenia Krakowa, którzy przenieśli się do położonego nad Wisłą Kazimierza, miasta założonego przez króla Kazimierza Wielkiego. W Kazimierzu powstała gmina żydowska już na początku XIV wieku. Wielu historyków skłania się ku teorii, że to właśnie uciekinierzy z Czech byli założycielami tej gminy.

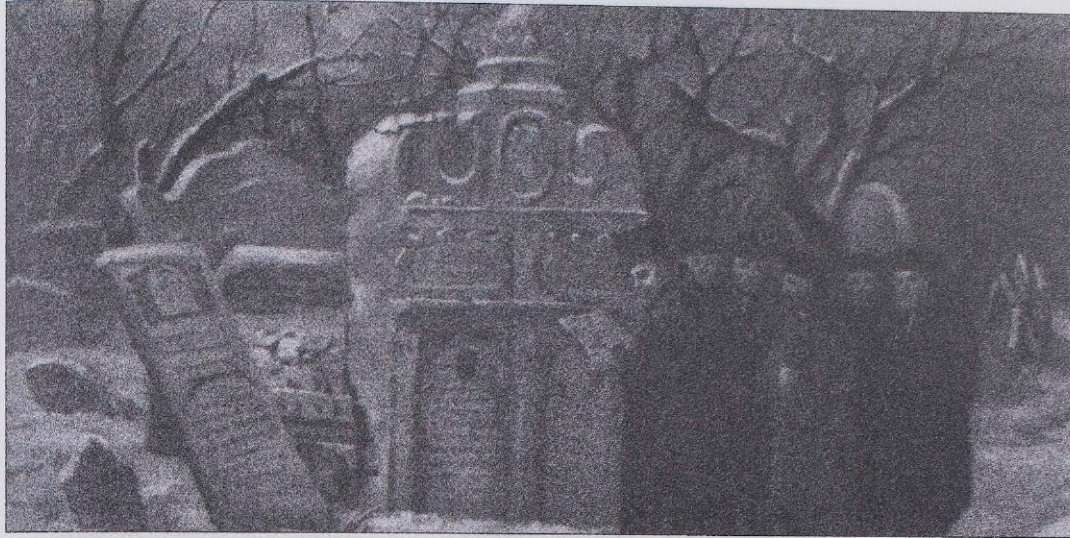
Wzmianki o synagodze i cmentarzu pojawiają się w roku 1350, a na koniec XIV wieku datowany jest początek budowy do dziś istniejącej, wspólniejszej synagogi zwanej Alter Schul, czyli tzw. Starej Synagogi. Tu są pewne powiązania i zbieżności z Pragą, dlatego że jedyną starszą synagogą od krakowskiej jest praska synagoga Staro-nowa.

Przeniesienie się Żydów z Krakowa do Kazimierza bardzo skomplikowało sytuację uciekinierów z Czech, bowiem potężna gmina krakowska, która przybyła do Kazimierza, usiłowała zdominować gminę kazimierską, co doprowadziło do ostrego konfliktu między Żydami krakowskimi a przybyszami z Czech. Spór został uregulowany w roku 1520 przez króla Zygmunta I, który nadał osobne przywileje grupom czeskim i krakowskim, starając się nie mieszać kompetencji obu tych grup. Z upływem lat różnice między obydwiema grupami zatarły się i powstała jedna społeczność.

Spór, o którym mowa, powstał m.in. dlatego, że dzielnica żydowska w Kazimierzu była dzielnicą o niewielkiej liczbie budynków. Miała jedną główną ulicę, zwaną Szeroką, i to właściwie była jedyna ulica żydowskiego miasta. Kiedy do tej dzielnicy zamieszkaanej przez ludność z Czech przeniosła się duża grupa krakowska, po prostu brakowało miejsc do pracy oraz do zakładania warsztatów czy sklepów. Ponadto gmina krakowska była zamożną gminą, natomiast uciekinierzy z Czech przy wyjeździe byli zwykle ograbiani z majątku i przybywali do Polski ubodzy. Żydzi krakowscy prowadzili swoje własne interesy, nie dopuszczając do nich Żydów z Czech. Była to bardzo ostra walka o przetrwanie. Warto pamiętać, że sytuacja w całej Europie była wówczas niezwykle trudna. Z upływem lat różnice się stopniowo zacierają, konflikty wygasły, a Żydzi krakowscy i czescy stworzyli zwartą społeczność, jedną z najstawniejszych gmin żydowskich w Polsce.

Jeden aspekt emigracji Żydów czeskich z Pragi do Polski był bardzo ciekawy - wędrówki rabinów.

Pierwszą z takich postaci, o której należałoby wspomnieć, i która łączy się z Polską, jest rabin Jehuda Loew [lub Liwa] ben Becalel. W życiu żydostwa czeskiego odegrał on ważną rolę, a jego sława dotarła do wszystkich gmin w Europie, szczególnie zaś szanowany był w Polsce.



Należy do najbardziej znanych postaci żydostwa praskiego. Urodził się w roku 1525 w Wormacji. W wieku 28 lat pełnił już funkcję rabina krajowego na Morawach, w 1592 roku sprawował urząd rabina w Poznaniu, aby potem na stałe osiąść w Pradze, gdzie zmarł w 1609 roku. Posiadał niezwykle wszechstronne wykształcenie. Oprócz prawa religijnego studiował matematykę, astronomię, alchemię. Znany był ze swojej rozległej wiedzy kabalistycznej. O rabbinie Lwie krążyło wiele opowieści i legend, które przetrwały do czasów współczesnych, m.in. o tym, że wyczarowywał gołębie z dłoni podczas pełni księżyca. Ale najbardziej znaną jest opowieść o stworzeniu przez rabina Loewa - golema.

Modlitwa Bractwa Pogrzebowego przy grobie Rabbiego Löwa, Praga, ok. 1830 roku

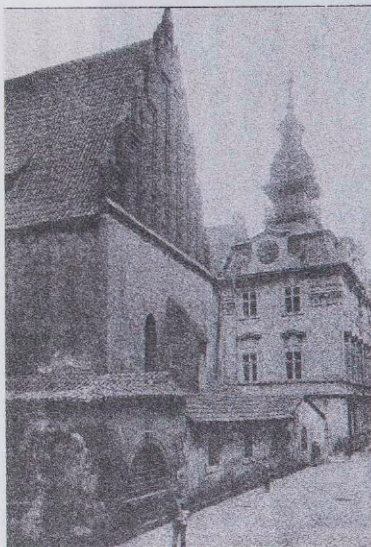
Golem wedle tradycji i nauki mistyków i kabalistów, to istota uformowana z materii przez człowieka. Ożywiona tajemnym Imieniem Bożym lub magią, potrafiła istnieć i samodzielnie działać. Jednak nad jego istnieniem musiał czuwać „stwórca”, w przeciwnym razie golem mógł się wymknąć spod kontroli, co miało tragiczne w skutkach konsekwencje.

Rabbi Loew stworzył golema z gliny, a wkładając do jego ust kartkę z Imieniem Bożym - ożywił go. Golem służył swojemu mistrzowi przez cały tydzień, a gdy zbliżało się święto szabasu, Loew wyjmował kartkę i wtrącał go w nicłość i bezwład. Pewnego razu, w piątek, tak bardzo spieszył się do synagogi, że zupełnie o tym zapomniał. Wtedy golem, pozbawiony kontroli, począł wszystko dookoła niszczyć. Zdażono jeszcze przed szabasem wezwać rabiego z synagogi, który wyrwał z ust potwora kartkę z Imieniem Bożym i odtąd nigdy Imienia Bożego nie próbował nadużywać.

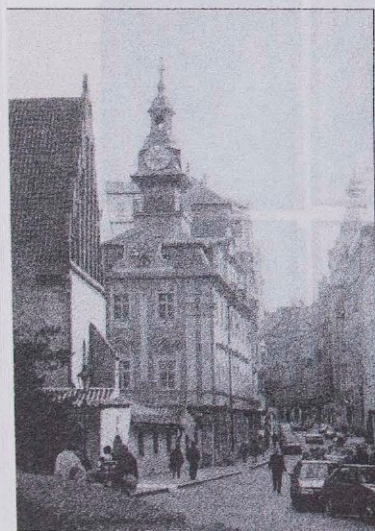
Rabbi Loew został pochowany na starym praskim cmentarzu. Jego sława nie zgasła. Do dzisiaj chasydzi z całego świata pielgrzymują do jego grobu. Legenda głosi, że ten, kto w szczerości serca oraz w wierze w moc Boską położy na jego grobie kartkę z własnym imieniem oraz wypisze swoje prośby, zostanie wysłuchany.

Odwiedziliśmy w Pradze jego grób i złożyliśmy na nim kartki, żydowskie kwitele. Świętobliwy rabin wysłuchał naszych prośb...





Synagoga Staro-nowa i ratusz żydowski przy ulicy Maiselovej (dawna Rabinacka) z 1908 i 1995 roku.



Fot. K. Czyżewski

Postacią, która wielkimi literami wpisała się w historię żydostwa polskiego oraz praskiego był rabin Jomtov Lipman Heller, autor słynnego komentarza do *Miszny* pod tytułem *Tosofot jom tov*.

Urodził się w mieście Ausbach w roku 1579 i już jako nastolatek wzbudzał swoją erudycją podziw i adorację otoczenia. Przez wiele lat był pełnomocnikiem rabina w Pradze, a w roku 1625 został rabinem krajowym w Nikolsburgu na Morawach. Urząd ten piastował tylko przez sześć miesięcy, po czym otrzymał zaszczytną propozycję objęcia funkcji głównego rabina w Wiedniu. Gmina wiedeńska przyjęła go z wielkim szacunkiem, a on godnie wywiązywał się ze swoich obowiązków. Życie rabina Hellera było nacechowane wieloma wydarzeniami, które zmuszały go do częstych wędrówek. Po dwóch latach został powołany do objęcia urzędu głównego rabina w Pradze. Było to podczas wojny trzydziestoletniej. W okresie tym Żydzi czescy musieli płacić cesarzowi podatki na utrzymanie jego armii. Rabin Heller został zmuszony do objęcia funkcji przewodniczącego komisji pobierającej podatki. Działalnością tą bardzo się naraził, posypały się donosy, że okrada cesarza i sprzeniewierza pieniądze. Była to potwarz, ponieważ rabbi Heller był nadzwyczaj skromnym i uczciwym człowiekiem. Jednakże wezwano go na Zamek hradeński, przesłuchano, po czym aresztowano i osadzono w więzieniu. Minęło wiele czasu i nie znaleziono dowodów. Wtedy sąd wręczył mu akt oskarżenia o „zbytne wychwalanie *Talmudu* popieranego przez Kościół”. Był to zarzut absurdalny, ponieważ dla religii żydowskiej *Talmud* jest pierwszym komentarzem i najistotniejszym objaśnieniem *Tory* i *Prawa Żydowskiego*. Ale sąd pozostał nieprzejednany. Na skutek prośb i wstawiennictwa wielu znaczących rodzin żydowskich wyrok zmieniono „i w drodze łaski” skazano go na zapłacenie 12000 talarów do kasy cesarskiej. Rabin Heller nie mógł sprostać wydanemu wyrokowi. Po wielu staraniach i protekcjach cesarz dał się ubłagać i zmniejszył sumę o połowę. Wówczas znaczną część tej kwoty zapłacił bankier Bassevi von Treuenberg'a resztę znajomi i krewni. Rabin Heller wyszedł na wolność. Jednak zmuszony został przez władze do opuszczenia granic cesarstwa austriackiego. Udał się więc do Polski. Tutaj najpierw pełnił funkcję rabina w Niemirowie i we Włodzimierzu Wołyńskim, następnie osiadł w Krakowie, gdzie znalazł dla siebie korzystny klimat. Właśnie tam stworzył dzieło swego życia - *Księgę Megilat Eiva*, w której zwał opisy swych licznych cierpień oraz opisał wydarzenia z Pragi, Wiednia i Polski. Dzieło to doczekało się wielu wydań. Rabi Jomtov zmarł w Krakowie w 1654 roku i został pochowany na starym cmentarzu przy ulicy Szerokiej.

Jeżeli ktoś zajmował się kulturą żydowską, studiował księgi o rabinach, natknął się zapewne na nazwisko Horowic, które sięga swymi korzeniami XVI wieku. Słynna ta rodzina zwała się tak od miasteczka czeskiego Horovice niedaleko Pragi, stąd liczni Horovicze, Hurwice i tym podobni. Ale nie każdy noszący to nazwisko jest potomkiem po mieczu tego sławnego rodu. Tylko tacy, którzy należą do plemienia Levi i tylko wtedy, jeżeli mają prawo, podpisując się po hebrajsku - stawiać tytuł „isz” przed nazwiskiem.

Wielkość rodu zapoczątkował urodzony w 1570 roku Izajasz Ben Awraham Horowic, zwany również Szelo (podług początkowych liter tytułu dzieła jego życia, jakim była olbrzymia księga kabalistyczna *Sznei luchot ha brith*. To dzieło rozślawiło Horowica w żydowskim świecie nauki. Chasydzi wierzą, że w Izajasza ben Awrahama wcieliła się Rut Moabitka i tłumaczą to w ten sposób: w hebrajskim oryginale biblijnej *Księgi Rut* prawie każdy wiersz zaczyna się na literę W, a tylko osiem wierszy rozpoczyna się na inne litery. Pierwsze litery z ośmiu wierszy tworzą pełne imię Izajasz. Pozostałe trzy zaczynają się od liter B, A, L, co z kolei jest skrótem Ben Abraham Lewi. Należy wspomnieć, że dziadkiem Izajasza był sławny rabin praski Jozua,

który napisał kabalistyczną księgę *Obfitość rosy*, która w piękny sposób opisuje rozkosze napełniające sfery niebiańskie w chwili świętego zespolenia małżonków. Wróćmy jednak do postaci Izajasza z rodziny Horowiców.

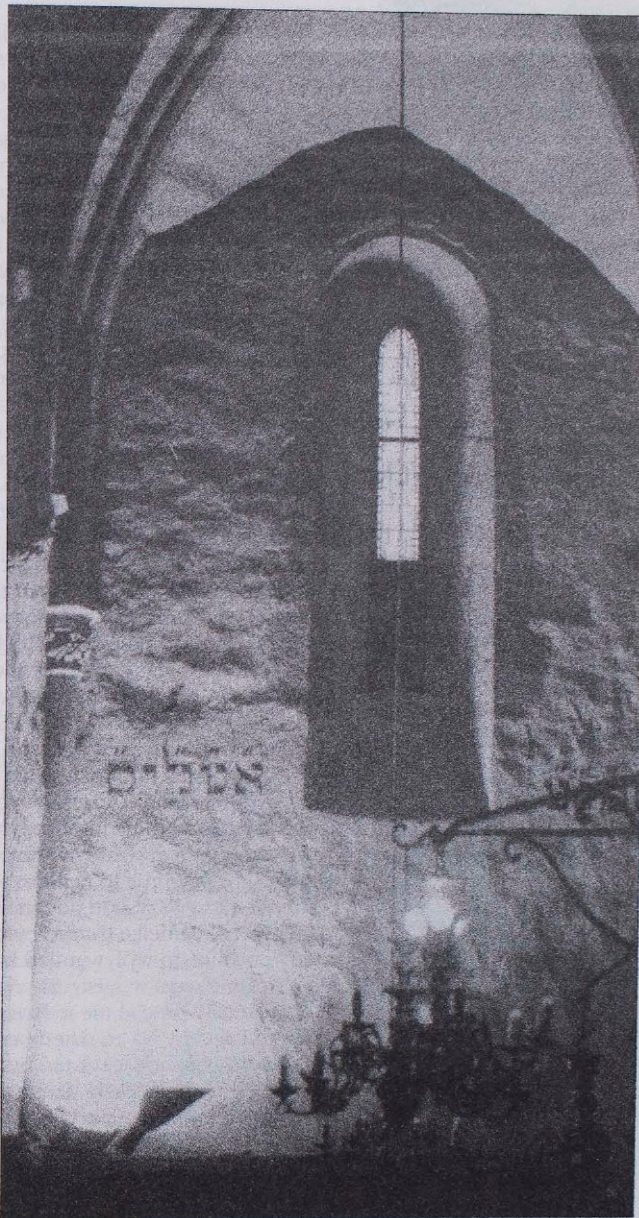
Kiedy wygnano Żydów z Frankfurtu, Horovic przeniósł się do Pragi, gdzie otrzymał rabinat. Po kilkudziesięciu latach zażęknął bardzo do Ziemi Świętej, a że był bardzo zaangażowany w praktykę mistycznej kabały, wyjechał do Jerozolimy. Tu na rozkaz baszy wtrącono go do więzienia i trzymano w nim długi czas. Kiedy wreszcie udało mu się zeń wydostać, wyjechał do Tyberiady, gdzie ukończył wspomniane wyżej dzieło *Sznei luchos ha brith* oraz opracował komentarze do modlitewników *Szaar Haszamaim*. Zmarł w 1630 roku i został pochowany w Tyberiadzie.

Horovic był kabalistą wielkiej miary, uczniem samego Icchaka Lurii oraz Vitala Kalabrese, a swymi dziełami przyczynił się do rozpowszechnienia praktycznej kabały w Europie Środkowej a szczególnie w Polsce. Dzieło jego życia zostało przetłumaczone na wiele języków i doczekało się wielu wydań. Horovic dopełnił naukę Icchaka Lurii, który - jak wiadomo - był rzecznikiem kabały praktycznej i nauczał o wędrówce dusz, zwanej *gilgulim*.

W naszej kulturze Żydów polskich mamy postać, która w prostej linii pochodziła od słynnej rodziny Horowiców. Był to rabin Jakub Icchak Lewi Isz Horovic z Lublina, zwany Widzącym. Był w prostej linii potomkiem świątobliwego rabina zwanego „Szelo”. Już za młodu przejawiał wielkie zdolności jasnowidzenia. Mawiał, że po urodzeniu ujrzał cały świat absolutnie wyraźnie od końca do końca.

Był uczniem rabina Szmelke z Mikulowa. Rzeczywiście, oczy Widzącego z Lublina widziały nie tylko teraźniejszość, lecz także dana mu była umiejętność odczytywania przyszłości.

Życie Jakuba Icchaka wypełniała walka z siłami Zła. Miał zwyczaj przedłużać pokój poprzez przedłużanie święta szabasu. O zmierzchu zasiadał ze swoimi chasydami do trzeciej wieczornej, mistycznej, sobotniej uczty. Wiedział, że w sobotnie święto złe moce nie mają dostępu do dusz cierpiących. Przedłużał więc szabas aż do późnej nocy niedzielnej. Widzący przepowiedział, że w rocznicę jego śmierci chasydzi nie będą palić lampek pamiątkowych ani pić wódki. Cóż to oznaczało?



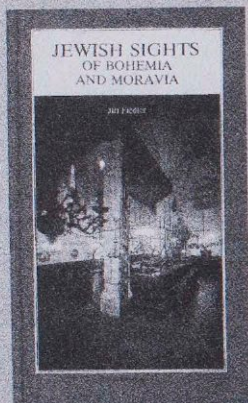
Fot. M. Sprok-Czyżewska

Wnętrze Staro-nowej synagogi



Witryna

JIŘI FIEDLER: *Jewish Sights of Bohemia and Moravia*. [Żydowskie zabytki w Czechach i na Morawach.] Prague 1991



Bardzo dobrze opracowany i bogato ilustrowany przewodnik po historycznych zabytkach, które pozostawili po sobie Żydzi żyjący w Czechach w ponad 600 wspólnotach. Przewodnik zawiera 138 wybranych i wyczerpująco opracowanych haseł, dotyczących miejscowości zamieszkałych przez Żydów, i ułożonych w porządku alfabetycznym. Swym zasięgiem obejmuje Czechy, Morawy i Śląsk, a także Bratysławę jako centrum życia żydowskiego w Słowacji. Informuje o obecnym stanie synagog i cmentarzy, jak również o blisko 500 innych, nie istniejących już zabytkach żydowskiej architektury. Odnotowane są synagogi i cmentarze zniszczone w trakcie Holocaustu i w okresie powojennym, obozy koncentracyjne i obozy pracy, masowe groby ofiar nazizmu.

Forum

SIMCHE KELLER-SKOWROŃSKI / MAŁGORZATA BURZYŃSKA-KELLER

Aby się tego dowiedzieć, sięgnijmy do kolejnej opowieści.

Rabi Icchak chciał złamać moc szatana i sprowadzić na ziemię Mesjasza. Aby tego dokonać, czynił specjalne przygotowania, a wtedy najwierniejsi jego uczniowie wraz z jego żoną czuwali nad nim dniem i nocą. Taka była bowiem jego wola. Pewnej nocy, a była nią noc Simchat Tora (czyli Radość Tory) jego świątobliwa żona nakazane miała, aby nad nim czuwać. Mijały godziny i nic specjalnego się nie działo. Po pewnym czasie usłyszała obok siebie płacz małego dziecka. Chciała odwrócić się, ale przypomniała sobie, że nie wolno jej spuścić z oka ani na mgnienie jej męża. Po jakimś czasie jej kobieca natura zwyciężyła i żona Widzącego odwróciła się za siebie. A wtedy płacz ucichł i nikogo nie zobaczyła. Gdy spojrzała na pokój, w którym przed momentem siedział jej mąż, przeraziła się. W pokoju było pusto. Jakub Icchak zniknął bez śladu. Po kilku godzinach odnaleziono półmartwego rabina. Miał straszliwie połamane kości i bezgłośnie odmawiał Lamentacje dziewiątego dnia miesiąca Aw w dniu żałoby z powodu dwukrotnego zburzenia świątyni w Jerozolimie. Dzień ten obchodzony jest jako Tisza be-Aw i jest dniem wielkiego smutku i żałoby całego narodu Izraela. W dniu tym naród żydowski pości, nie je ani nie pije, oraz nie zapala światła. I właśnie ten dzień własnej śmierci przepowiedział rabi Jakub Icchak Horovic z Lublina.

Jak już wspomnieliśmy, Widzący był uczniem rabiego Szelme Lewi Horovic w Mikulowie (Niklosburg) na Morawach.

Rabi Szelme miał młodszego brata Pinchasa, a obaj byli potomkami słynnego rabiego Pinchasa z Pragi. Rabi Szelme zamieszkiwał w Niklosburgu, a jego gmina słynęła z wielu uczonych w Prawie. Ludność tego miasta, kiedy doń przyjechał, przygotowała mu huczne powitanie wraz z przemowami. Legenda głosi, że rabi Szelme poprosił o chwilę samotności, a zostawszy sam zaczął wygłaszać pochwalne mowy na cześć siebie samego. Wśród zebranych zapanowało wielkie zdziwienie. Wreszcie nie wytrzymali i spytali go: rabbi, czemu wychwalasz sam siebie? A on im odpowiedział: Przyszłście mnie uhonorować, więc nasłuchałem się od was tylu pochwał, że mógłbym w nie uwierzyć i wbić się w dumę. Więc sam je sobie wygłosiłem. Dla mnie to najlepszy sposób, żeby zobaczyć, jakże śmieszne i fałszywe są tu wszystkie powitalne komedie.

Rabbiemu Szelme trudno było piastować urząd rabina. Niklosburg był wtedy pod silnym wpływem zachodniej kultury żydowskiej i zainteresowanie uczestnictwem w mistycznych zapędach rabina z Polski było niewielkie. Rabi Szelme prawie nie mówił po niemiecku, a jego jidisz cechował wschodni akcent. Na co dzień posługiwał się czystą hebrajszczyzną, a w tamtych czasach język ten był prawie nie znany mieszkańcom Niklosburga. Często dochodziło do nieporozumień. Nawiazanie kontaktu między rabinem a jego gminą nie było możliwe. Wtedy wzywano Elimelecha z Leżajska, który jak nikt, potrafił załagodzić nawet najbardziej ostre spory. Rebe Szelme prawie nie sypiał, cały czas studiował *Torę* i medytował. Kiedy czasami postanawiał odpocząć, nie kładł się do łóżka, aby nie tracić niepotrzebnie czasu. Jedną z najsłynniejszych opowieści o rabinie Szelme jest ta, która opowiada o jego słynnej podróży do Wiednia, aby wstawić się u cesarza przeciwko edyktowi zakazującemu Żydom noszenia ich tradycyjnych strojów, który tenże chciał wprowadzić w życie.

Rebe Szelme nie pisał wiele. Zachowały się jego komentarze do *Tory*, pisane charakterystycznym, zwięzłym językiem, pod tytułem *Diwre Szemuel*, czyli *Słowo Samuela*. Zmarł w roku 1802.

Kolejną postacią z praskiego rodu jest wspomniany już rabi Pinchas. Warto o nim powiedzieć, ponieważ łączy się jego imię z legendą o Saulu Wohlu, z którym był spokrewniony. Kimże był Saul Wohl? Był przede

wszystkim wielkim mędrcom i doradcą króla Jana Batorego. Jako młody uczeń jeżywy talmudycznej przybył do Brześcia, gdzie założył rodzinę. Dzięki swej wysokiej kulturze zdobył sobie względy magnatów litewskich, a nawet samego króla. Reprezentował gminy żydostwa litewskiego na sejmie Żydów w Lublinie. Legenda głosi, że Saul był przez jedną noc królem Polski. Został nim obrany przez szlachtę polską na wniosek księcia Radziwiłła. Oddano mu wszystkie honory należne królowi Polski. Owej nocy spał przywileje żydostwa, zasady sprawiedliwości i człowieczeństwa, a następnego ranka zrzekł się tronu. Legendę tę ogłosił drukiem jeden z potomków Saula, rabbi Pinchas z Lipnika w 1733 roku.

Wróćmy jednak do rabiego Pinchasa z Pragi, pradziadka słynnego rabiego Naftalego z Ropczyc. Legendy podają, że umiał rozśmieszyć nawet niebiosa. Pewnego dnia, udając się do świątobliwego rabina z Kozienic, reb Naftali przechodził obok domu, w którym odbywało się wesele. Jednak nie było tam radości, ponieważ ubogich ludzi nie stać było na badchena, czyli prowadzącego uroczystości poślubne. Rabi Naftali zrozumiał sytuację weselników i zrobiło mu się ich bardzo żal. Wszedł więc wesoło do domu i począł zabawiać młodych państwa oraz zgromadzonych żartobliwymi przypowieściami. Wymieniał po kolei, jak jest w zwyczaju, każdego gościa i od razu miał dlań dowcipną, gotową opowieść. Zgromadzeni zabawiali się długo w noc. O północy rabbi z Kozienic, do którego udawał się Naftali, wstał, aby odmówić modlitwy. Pomazał swoje czoło popiołem i... słowa uwięzły mu w gardle. To nie był dobry znak. W chasydzkiej tradycji przyjmuje się, że jeśli modlitwa chciana jest przez niebiosa, to wówczas słowa jej płyną z ust lekko i szybko. A kiedy zostaje odrzucona - wtedy jękamy się i brak nam tchu. Rabbi z Kozienic zrozumiał, że tej nocy nie chciane są jego łzy. Niebiosa i aniołowie słuchając żartów, które opowiadał reb Naftali, napełniły się radością i wesołością. Rabbi Naftali jest autorem ksiąg kabalistycznych *Aidala Szlucha* (*Uciekająca lania*) oraz *Ziarna Świętości* (*Zera Kadosz*).

Jednym z najwybitniejszych praskich rabinów był rabbi Jojnsen. Rabinacki urząd objął bardzo wcześnie, mając 21 lat, w roku 1711. Cieszył się niezmiernym szacunkiem swoich uczniów w Pradze. Był skromny i wyrozumiały, mawiano o nim, że jest „po morawsku słodki”. Studiował nauki mistyczne i pozostawił po sobie dwa dzieła: *Plastry miodu* (*Jaaroth Dwasz*) oraz *Miłość Jonatana Aha-*



Sklep przedmiotów używanych Mosesa Reacha przy ulicy Pinkasa na żydowskim Józefowie. Fotografia zrobiona przez Studio Eckerta w 1909 r.

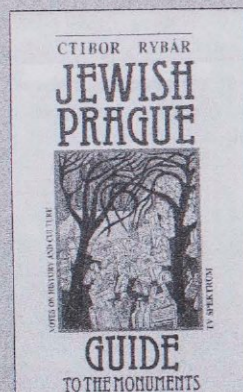


Rabin Loew i Golem
Rys. Mikolas Aleš,
1899 rok.



Witryna

CTIBOR RYBÁR: Jewish Prague. Guide to the Monuments [Żydowska Praga. Przewodnik po zabytkach] Praga 1991.



Klasyczny już niemal, przetłumaczony na wiele języków, przewodnik po żydowskiej Pradze i jej okolicach. W pierwszej części książki zawiera staranny opis historii Żydów od momentu ich przybycia do Pragi w X wieku aż po Holocaust i terezińskie getto. Druga część książki poświęcona jest kulturze, życiu codziennemu i świętom, literaturze tworzonej w języku hebrajskim i niemieckim, wreszcie postaci Golema i legendom jakie o nim powstały w praskim getcie. Trzecią część książki stanowi przewodnik po najważniejszych zabytkach żydowskich w Pradze. Całość uzupełniają ciekawe ryciny, ilustracje, mapy, kopie archiwaliów i fotografie.

Forum

SIMCHE KELLER-SKOWROŃSKI / MAŁGORZATA BURZYŃSKA-KELLER

wath. Jonatan znany był w chasydzkim świecie z tego, że zalecał swoim uczniom powstrzymanie się od stosowania używek, tj. picia herbaty, kawy oraz palenia tytoniu. Pod koniec swego życia objął urząd rabinacki w Niemczech.

W roku 1670 przybyła do Czech nowa fala emigrantów, a wśród nich byli Żydzi wiedeńscy oraz węgierscy. Najwięcej uchodźców schroniło się w Pradze, ale i tutaj nie dane im było zaznać spokoju, bowiem w roku 1689 wybuchł w mieście straszliwy pożar i w ciągu kilku godzin zniszczył całą dzielnicę żydowską. Około czterystu domów i kilka synagog legło w gruzach. Wielu Żydów straciło życie, a wszyscy - dach nad głową i mienie. Część z nich przeniosła się do sąsiedniej gminy Lieben, a reszta - do okolicznych miast.

Na zakończenie opowiemy piękną legendę, którą opowiadał reb Simcha Bunam, a która w ładny sposób oddaje myśl przewodnią naszego artykułu.

Dawno temu mieszkał w Krakowie pewien uczony w *Piśmie*. Nazywał się Ajzyk Jekeles. Żył w najsłabszej nędzy i zupełnie nie wiedział, jak poprawić swój los. Tylko cud może mi pomóc - mawiał. Pewnej nocy usłyszał we śnie tajemniczy głos, który powiedział mu, aby udał się do miasta Królów Krainy Czechów, które zwą Pragę, a znajdzie tam bezcenny skarb. Ten sen powtórzył się trzykrotnie, zrozumiał więc, że pochodzi z natchnienia Anioła Snów i wyruszył w drogę. Po długiej pielgrzymce zobaczył na wysokiej górze przepiękny zamek, a pod nim miasto rozciągające się po obu brzegach szerokiej rzeki. Jekeles zrozumiał, że jest nim Praga, korona świata, miasto i matka w Izraelu, jakby z natchnienia anioła zbudowana. Zrozumiał, że rzeka to Weltawa, a most, który łukiem się wznosi, to ten nad skarbem z pereł i srebra. (W tamtych czasach nie było innych mostów na Weltawie). Ale mostu strzegli żołnierze. Ajzyk zaglądał pod nogi, wypatrując, gdzie leży jego skarb. Wtedy strażnicy pojmali go i poprowadzili przed oblężone komendanta. Przesłuchiwany wyznał straży tajemnicę swojego snu. Gdyby ja wierzył w sny, to musiałbym udać się do Krakowa, gdyż śniło mi się, że jest tam wielki skarb, ukryty pod piecem w izbie jakowegoś Żyda - odpowiedział komendant. Kiedy wypuszczono Ajzyka, ten natychmiast wrócił do domu i znalazł skarb pod swoim piecem. Na pamiątkę tego wydarzenia wybudował synagogę w Krakowie. Synagoga ta stoi do dzisiaj i nosi nazwę „Synagoga Ajzyka Jekelasa”.

Simcha Bunam komentował tę opowieść w ten sposób: Jest coś, co ma nieocenioną wartość, i czego będziesz zawsze poszukiwał jak we śnie, a najprawdopodobniej nigdy nie znajdziesz w całym świecie. A jednak jest jedno takie miejsce, gdzie mógłbyś to znaleźć...

Pracownia architektury Josipa Plečnika

JOSIP PLEČNIK

Kalendarium

1872 - urodził się w Lublanie (Słowenia)

1894-1898 - studiował w znanej szkole architektonicznej prof. Ottona Wagnera w Wiedeńskiej Akademii Sztuk Pięknych. (Dyplomy ukończenia otrzymuje wraz z prestiżową Nagrodą Rzymską).

1898-1899 - przebywa we Włoszech i Francji, gdzie pracuje w wiedeńskiej pracowni Ottona Wagnera.

1900 - zakłada w Wiedniu własną pracownię.

1905 - kończy prace nad swoim najważniejszym projektem - wiedeńskim Pałacem Zacheňa.

1910 - przyjeżdża do Pragi na zaproszenie przyjaciela, Jana Kotéry.

1911 - obejmuje po Kotéry stanowisko w Praskiej Szkole Sztuk i Rzemiosł (Kotéra dostaje nominację do Akademii Praskiej).

1913 - otrzymuje propozycję pracy w Akademii Wiedeńskiej (jako następcą Ottona Wagnera).

1913-1914 - wspólnie z prof. L. Škrivankiem projektuje dom na ulicy Žateckiej w Pradze.

1920 - rozpoczyna prace projektowe nad Praskim Zamkiem (później nad Láanami), jednocześnie dostaje zaproszenie jako profesor do Politechniki w Lublanie.

1923 - wychowankowie próbują (bezsukcesyjnie) przeforsować jego kandydaturę na następcę Jana Kotéry w Praskiej Akademii Sztuk Pięknych.

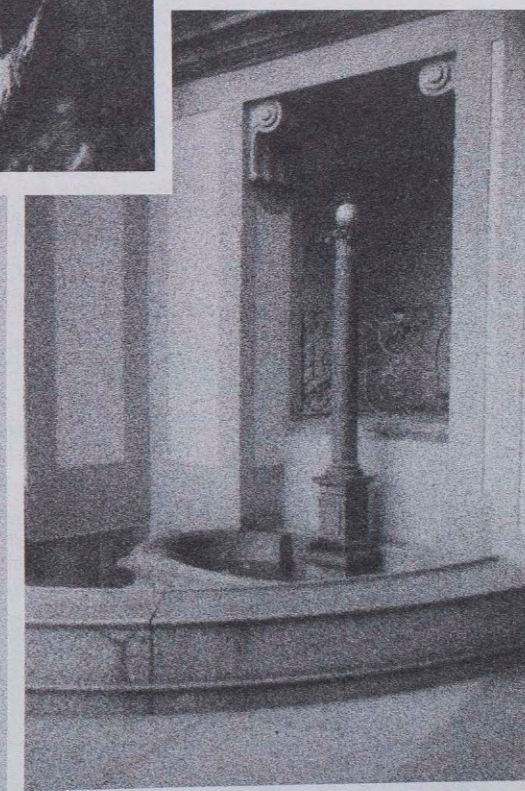
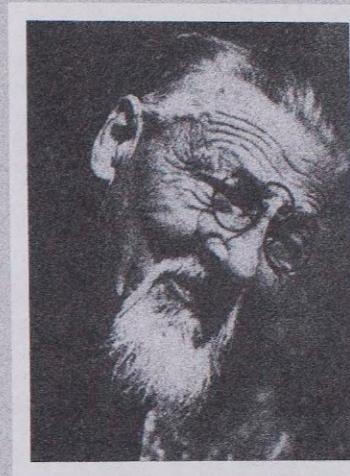
1920-1928 - pierwszy etap prac nad projektem Zamku Praskiego (Ogrody Południowe, apartament prezydenta, Pierwszy i Trzeci Dziedziczniec oraz projektem rezydencji Lány).

1928-1933 - według projektu Plečnika powstaje kościół Najświętszego Serca na praskich Vínohradach.

1935-1936 - największe nasilenie krytyki dotyczącej urbanistycznych projektów okolic Zamku.

1945-1955 - wychowanek i asystent Plečnika, prof. Otto Rothmayer, kontynuuje jego dzieło na Zamku Praskim.

1957 - umiera w Lublanie.



ZAMEK KRÓLEWSKI

ZDENEK LUKEŠ

Dlaczego Plečnik?

Kim był Josip Plečnik? Dlaczego właśnie Słoweńca poproszono o wykonanie tak odpowiedzialnego zadania, jakim była rekonstrukcja zniszczonej historycznej siedziby czeskich monarchów? Dlaczego on, a nie jeden z naszych rodaków, tym bardziej że nasi architekci w owym czasie należeli do najzdolniejszych w Europie?

Aby udzielić na te pytania odpowiedzi, musimy sięgnąć w przeszłość. Josip Plečnik urodził się w stolicy Słowenii. W latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia studiował w Akademii Sztuk Pięknych w Wiedniu, a jego profesorem był jeden z czołowych przedstawicieli europejskiego świata architektury, Otto Wagner. Studentami Wagnera byli również czescy i morawscy architekci, między innymi Jan Kotěra (1871-1923), którego uważa się za ojca współczesnej architektury czeskiej. Obaj - i Plečnik, i Kotěra - znajdowali się w grupie najzdolniejszych studentów, obu łączyła również głęboka przyjaźń. Po skończeniu studiów Kotěra opuścił Wiedeń i w wieku dwudziestu siedmiu lat został mianowany profesorem Praskiej Szkoły Sztuk i Rzemiosł. Plečnik natomiast pozostał w Austrii i otworzył własną pracownię - wybudował kilka budowli i pomników. Pałac Zecheřla w centrum Wiednia to jeden z głównych przykładów architektury późnego art-nouveau. Po opuszczeniu Akademii przez Wagnera, Plečnika wysuwano na jego następcę, ale panująca wtedy sytuacja polityczna uniemożliwiła powierzenie Słowianinowi stanowiska dyrektora tej szkoły.

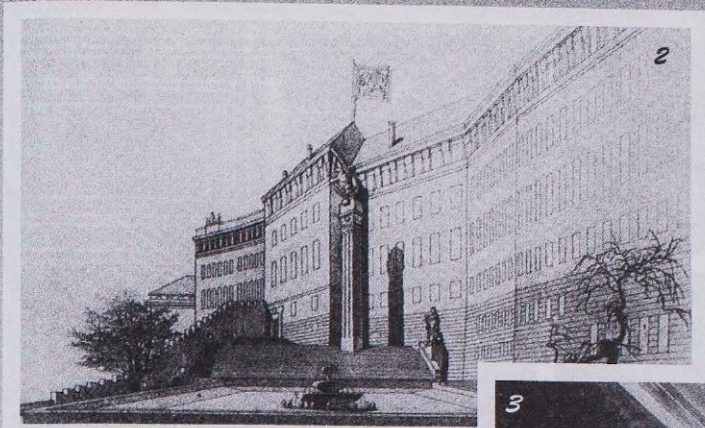
W roku 1910, z myślą o Kotěrze, utworzono w Praskiej Akademii Sztuk Pięknych nową katedrę architektury, wobec czego Kotěra zaprosił swego przyjaciela do objęcia pozostającej po nim pracowni w Szkole Sztuk i Rzemiosł.

Po roku 1918 Jan Kotěra przedstawił Plečnika prezydentowi Masarykowi. W tym czasie Plečnik wygrywa konkurs na restaurację zaniedbanych ogrodów zamkowych, a w 1920 roku zostaje powołany na stanowisko zamkowego architekta. Wtedy to etapowo dokonuje adaptacji wnętrza Południowego Skrzydła (apartamentu prezydenta) i planuje nowy rozkład Pierwszego i Trzeciego Dziańdźca Zamku, odznaczającego się wieloma niezwykłymi motywami, z najsłynniejszym Monolitem, mającym symbolizować nową demokrację.



Adaptacje te wzbudziły kontrowersje. Z jednej strony spotkały się z entuzjastycznym przyjęciem (szczególnie ze strony spiritus movens zmian - T.G. Masaryka, a także paru historyków sztuki i architektów, głównie średniego i młodszego pokolenia), z drugiej jednak wywołały krytykę. Plečnikowi zarzucano naruszenie historycznych murów, czyli pogwałcenie świętości Zamku, wyrażające się szczególnie nie w wprowadzaniu obcych motywów, w niedostatecznym szacunku dla pracy poprzedników; oskarżano go również o forsowanie własnych rozwiązań za wszelką cenę itd. Najbardziej obraźliwe i pełne goryczy ataki nastąpiły ze strony nacjonalistów „ten cholerny obcokrajowiec rozwałił nam Zamek”. Ta fala krytyki była częściowo spowodowana niezrozumieniem. Projekty Plečnika oparte były na gruntownych studiach nad pracami poprzednich pokoleń, a do poprzedników Plečnik często nawiązywał. I chociaż prawdą jest, że czasami przebudowywał starsze konstrukcje, to zawsze jednak z poważnej przyczyny.

Plečnik przy dokonywaniu zmiany odnosił się z szacunkiem do zastanych rozwiązań, a rezultaty tych zmian są tak przekonujące i tak wrośnięte w dziedzictwo przeszłości, że jego adaptacje są zawsze usprawiedliwione. Nie można zapomnieć, że na przestrzeni wieków zmiany były konieczne; bez nich Zamek dziś nie byłby tym, czym jest - unikalną mozaiką stylów i form. To właśnie echa architektury słowiańskiej, greckiej, kreteńskiej, rzymskiej, egipskiej i asyryjskiej, jak też typowa dla Plečnika kombinacja starego i nowego, nadają Zamkowi obecny kształt. Protesty nacjonalistów są po prostu absurdalne.



Plečnik był Słoweńcem, a w budowie naszego najwspanialszego zabytku historycznego brali udział artyści z całej Europy - i to właśnie ich współpraca sprawiła, że Zamek jest unikatowy.

Pomimo tego, że Plečnik w Pradze miał wielu przyjaciół, jego sytuacja stale się pogarszała. W 1923 roku umiera jego najbliższy przyjaciel i największy obrońca Jan Kotěra. W tym czasie Plečnik był już profesorem w Lublanie i jego wizyty w Pradze były rzadsze. Ale ciągle przysyłał swoje projekty, na podstawie których robiono precyzyjne modele, wykorzystywane po konsultacjach do prowadzenia prac. Jego korespondencja z prezydentem Masarykiem trwała nadal i zgodnie z jego życzeniem Plečnik rozpoczął prace nad urbanistycznym zaprojektowaniem obszaru wokół Zamku. Były to tylko pomysły - często rzeczywiście kontrowersyjne - ale w latach trzydziestych posłużyły wrogom Plečnika i części środowiska kulturalnego za pretekst do gwałtownych ataków. W 1936 roku prof. Pavel Janák, następca Plečnika w Szkole Sztuki i Rzemiosła, został mianowany architektem Zamku. Prace adaptacyjne w Zamku prowadzono pod kierunkiem wychowanka i najbliższego kolegi Plečnika, Otto Rothmayera, który wprowadzał w życie zamysły swego nauczyciela także po drugiej wojnie światowej (wtedy to zbudowano nowe wyjątkowe obiekty: tzw. Salę Rothmayera oraz Klinowy Korytarz).

Niemniej wpływ Plečnika był już ograniczony. Ale ten wielki architekt i filozof nie zapomniał Pragi. Zbudował swoją małą Pragę w Lublanie, gdzie w budynkach przez niego projektowanych znaleźć można wiele elementów dobrze nam, mieszkańcom Pragi, znanych.

Powinniśmy pamiętać, że nazwisko Plečnika związane jest nie tylko z Zamkiem Praskim, ale również z rezydencją Masaryka - Lány (wejście do parku, system wodny oraz wnętrza samej rezydencji) słynnym kościołem Najświętszego Serca w Pradze, Vínohradami i kilku pomniejszych budowlami (mauzoleum w Broumovie, kamienica czynszowa na ulicy Zateckiej w Pradze, grobowiec na cmentarzu Krivoklát). Pomimo tego, że nawet obecnie możemy znaleźć krytyków jego dzieł, to większość uważa jego prace za wyjątkowe i zalicza do artystycznych osiągnięć o dużej wartości.

Przełożył Tomasz Wyszowski



Pracownia architektury
 JOSIP FLEČNIK

1. Wejście do tzw. Byczych Schodów łączących Trzeci Działanie z Ogrodem Fortecznym

2. Projekt Zamku Królewskiego

3. Bycze Schody - detal

4. Bycze Schody - detal

5. Rajski Ogród - detal

6. Rajski Ogród - detal

7. Apartament prezydenta - lampa

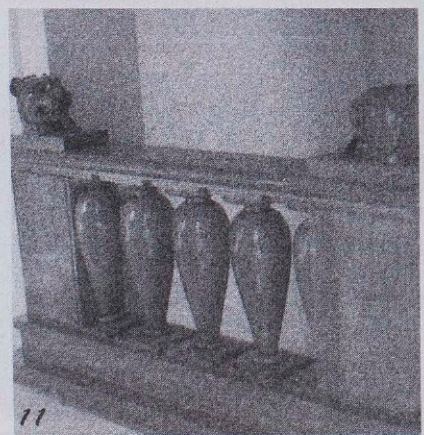
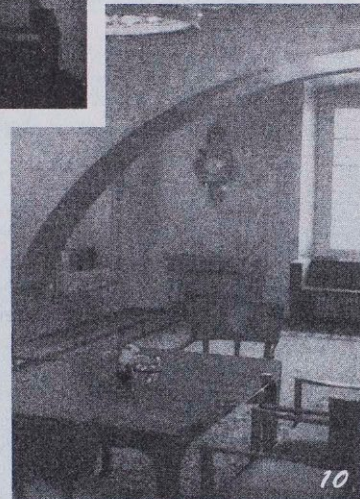
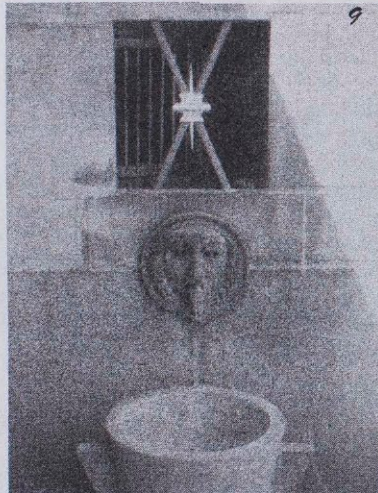
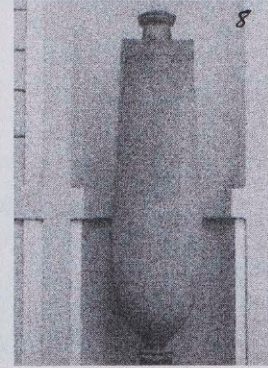
8. Hall Kolumnowy (Plečnika) - detal

9. Rajski Ogród - mała fontanna w pobliżu schodów

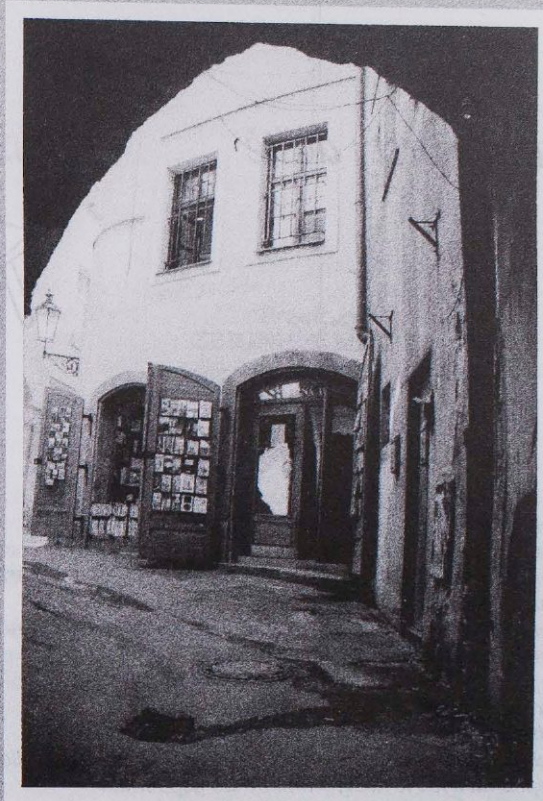
10. Apartament prezydenta -
 - Złoty (Harfowy) Salon

11. Apartament prezydenta - detal

12. Apartament prezydenta - Impluvium



Zaučké literacké



NEZVAL
SEIFERT
HOLAN
WENCEL
MACHEJ
HOLUB
SIDON
HODROVÁ
CIMRAMAN

VÍTĚZSLAV NEZVAL

Praha s prsty deště



Vítězslav Nezval.

*Není to v ničem
V ničem co lze vyložit z krásy nebo ze slohu
Není to Prašná brána ani Staroměstské náměstí ani Karlův most
Ani stará ani nová Praha
Není to v ničem co lze zbourat není to v ničem co lze znovu postavit
Není to v tvých pověstech není to v tvé kráse Praho
Že jsi jediná na světě a že se nazměníš ani kdyby tě zborili
Tvá poezje je složitá a já ji pozorně uhaduji
Jak uhadujeme myšlenky zbožňovaných žen
Nelze tě popsat nelze tě nakreslit nelze ti nastavit zrcadlo
Nepoznal bych tě tak ty sama by ses nepoznala
Není to v ničem
V ničem co lze říci mrštným jazykem co lze napsat v průvodci
Je to v tvé celé bytosti v jejím tajemném uspořádání
V tom jak sedí na tvém čele pták
V tom jak volá dítě na matku když jdou podél barokní sochy
V tom jak jede cyklista když se zpívá balada
V tom jak páchnou tramvaje když zvoní loretánské zvonky
V tom jak se měří špatná elegance s okny tvých skladů a kostelů
V tom jak chutná párek ve sklepních z dob třicetileté války
V tom jak je vroucí česká řeč na liduprázdném náměstí
V tom jak ti upíráme cenu v prodejnách gramofonových desek
V tom jak jsi mrtvá na pohlednicích když zvoní listonoš
V tom jak se bere míra otlým ženám jež mají jména tvých ulic
V tom jak se třpytí šunka když zapadá slunce za Petřín
Jsem jedním z těch mužů a žen jež miluji a kteří se ni hnusí
Jsa lepší jen o to že nechci nic a že mluvím občas upřímně
A také že mám vášně nekonečna že ji hledám v tobě
Dcero dnešního odpoledne a velmi vzdálených staletí
Nic nechci jako bych byl jen jazyk
Tvůj jazyk tvůj spuštěný akordeon
Jsem jazyk tvých zvonů ale také tvého deště
Jsem jazyk tvých hronzů ale také tvých nocleháren
Jsem jazyk tvých vyschlých jeptišek ale také tvých šoférů*

Praga o palcach z deszczu

Przełożył
ZBIGNIEW MACHEJ

Nie jest to coś
Coś się da wytłumaczyć pięknem albo stylem
To nie Brama Prochowa albo Staromiejski Rynek albo Most Karola
Ani stara Praga ani nowa
Ani coś co da się zburzyć ani coś co da się na nowo zbudować
Ani twoje legendy ani twoje piękno nie sprawiają Prago
Że jesteś jedyna w świecie i że się nie zmienisz nawet gdybyś legła w gruzach
Twoja poezja jest zawila a ja zgaduję ją uważnie
Tak jak odgaduję myśli wielbionych kobiet
Nie można cię opisać ani narysować nie można postawić przed tobą lustro
Nie rozpoznałbym w nim ciebie tak jak ty nie rozpoznałabyś siebie
Nie jest to coś
Coś co da się wypowiedzieć giętkim językiem co da się wydrukować w przewodniku
Bo jest to w całej twej istocie w jej tajemniczym porządku
W tym jak siedzi na twym czole ptak
W tym jak dziecko woła do swej matki kiedy oboje przechodzą wzdłuż barokowych rzeźb
W tym jak jedzie rowerzysta kiedy się śpiewa balladę
W tym jak śmierdzą tramwaje kiedy loretańskie dzwonki dzwonią
W tym jak zły gust mierzy się z oknami twoich magazynów i kościołów
W tym jak smakuje parówka w piwnicy z czasów wojny trzydziestoletniej
W tym jak wre czeska mowa na wyludnionym placu
W tym jak kwestionujemy twoją wartość w sklepach z płytami gramofonowymi
W tym jak jesteś martwa na widokówkach kiedy dzwoni listonosz
W tym jak bierze miarę korpulentnym paniom które nazywają się tak jak twe ulice
W tym jak błyszczy szynka kiedy słońce zachodzi za Petrzin
Jestem jednym z tych którzy kochają i którymi się brzydzą
Lepszy tylko o tyle że nic nie chcę i niekiedy mówię prosto w oczy
A także o to że nieskończoność jest moją pasją i że szukam jej w tobie
Córo dzisiejszego popołudnia i bardzo odległych epok
Nic nie chcę jakbym był tylko językiem
Twoim językiem twoim zdławionym akordeonem
Jestem językiem twoich dzwonów ale też twego deszczu
Jestem językiem twych winogron ale też twoich domów noclegowych
Jestem językiem twych wysuszonych mniszek ale też twoich szoferów

Zaulek literacki
VÍTĚZSLAV NEZVAL

*Jsem jazyk tvé holedbavosti ale také tvé melancholie
Jsem jazyk tvých plaveckých závodů ale také tvých obecných škol
Jsem jazyk tvých číšníků ale také tvé chřipky
Jsem jazyk tvých růží ale také tvých uzenin
Jsem jazyk tvých proutěných židlí ale také tvých svateb
Jsem jazyk tvé trávy ale také tvých orlojů
Jsem jazyk tvých automatů ale také tvých učitelek klavíru
Jsem jazyk tvé nedělní dlouhé chvíle ale také tvých splavů
Jsem jazyk tvé hasičské trouby ale také tvých pověstí
Jsem jen tvůj oživlý jazyk
Jaké loučení
Když ti chci naslouchat stále a ještě i ve snu
Aby ses mi zjevila jak tě již stokrát znám jak jsem tě dosud neznal
Aby ses mi zjevila jak bych tě chtěl teprv znát
Odkazují budoucímu pokolení několik svých zkušeností a dlouhý povzdech
Nad neskončenou písní jež mě probouzí jež mě uspává
Vzpomneňte si na mě
Že jsem žil a že jsem chodil po Praze
Že jsem se ji učil milovat jinak než se dosud milovatlo
Že jsem se ji učil milovat jak přítelkyni jako cizlinku
Že jsem se ji učil milovat svobodným svedem svobodného muže svobodných snů a tužeb
Že jsem se ji učil milovat jak by tost které patří budoucnost
Že jsem se ji učil milovat jak ji dosud nihudo nemloval
Jak její syn a jako cizinec*

*Plač a směj se rozezvuč všechny své zvony
Jak jsem se já snažil rozezvučet všechny zvony paměti
Neboť čas letí a já bych toho chtěl ještě o tebě mnoho říci
Čas letí a já jsem toho dosud o tebě málo řekl
Čas letí jak vlaštovka a rozzehuje staré hvězdy nad Prahou*

VÍTĚZSLAV NEZVAL (1900-1958), poeta, tłumacz poezji, dramaturg, jedna z kluczowych postaci czeskiej awangardy artystycznej w okresie międzywojennym. Należał do grupy „Dziewięćsił”. W 1923 roku razem z Karlem Teige zainicjował poetyzm, w 1934 roku założył w Pradze Grupę Surrealistyczną, z którą cztery lata później poróżnił się i rozstał jako zwolennik stalinizmu i socrealizmu. Jego powojenna twórczość ma niewielkie znaczenie. Na język polski wiersze Nezvala tłumaczyli m.in. Marian Grzeźczak, Anna Kamińska, Józef Waczków i Leszek Engelking. Poemat *Praha o palcach z deszczu* pochodzi z tomu o tym samym tytule z 1931 roku.

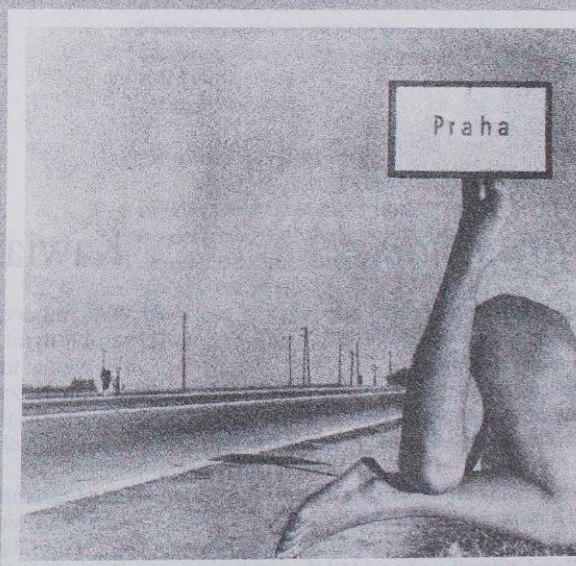


Paul Éluard, Vítězslav Nezval, André Breton w Pradze, 1935 rok.

Jestem językiem twej chępliwości ale też twojej melancholii
Jestem językiem twych zawodów pływackich ale też twoich szkół podstawowych
Jestem językiem twych kelnerów ale też twojej chrypki
Jestem językiem twych róż ale też twoich wędlin
Jestem językiem twych wiklinowych krzeseł ale też twoich weseł
Jestem językiem twej trawy ale też twoich zegarów na wieżach
Jestem językiem twych barów ale też twoich nauczycielek fortepianu
Jestem językiem twej niedzielnej nudy ale też twoich służ
Jestem językiem twojej strażackiej trąbki ale też twoich legend
Jestem tylko twym zmartwychwstałym językiem
Jak się rozstać
Skoro chcę cię słuchać stale nawet we śnie
Abyś objawiła mi się w sposób stokrotnie znany i tak jak dotąd cię nie znałem
Abyś objawiła mi się tak jak dopiero teraz chcę cię znać
Przyszłym pokoleniom zostawiam w spadku garść doświadczeń i długie westchnienie
Nad nie skończoną pieśnią która mnie zbudzi która mnie usypia
Wspomnijcie mnie wspomnijcie
Że mieszkałem w Pradze że byłem jej przechodniem
Że uczyłem się ją kochać inaczej niż dotąd się kochało
Że uczyłem się ją kochać jak przyjaciółkę jak cudzoziemkę
Że uczyłem się ją kochać wolnym sercem wolnego człowieka wolnych marzeń i tęsknot
Że uczyłem się ją kochać jak istotę należącą do przeszłości
Że uczyłem się ją kochać jak dotąd nikt jej nie kochał
Jak jej syn i jak obcy

Placz i śmieję się rozdzwonił wszystkie swoje dzwony
Tak jak ja starałem się rozdzwonić wszystkie dzwony pamięci
Albowiem czas leci a ja chciałbym tak wiele jeszcze o tobie powiedzieć
Czas leci a ja dotąd powiedziałem o tobie tak mało
Czas leci jak jaskółka i roznieca stare gwiazdy nad Pragę

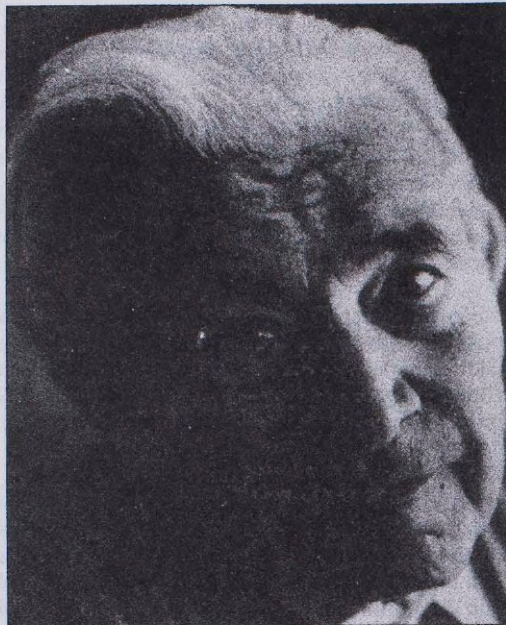
KAREL TAIGÉ (1900–1951), przyjaciel Nezvala, z którym razem zakładał Grupę Surrealistyczną; zajmował się programem sztuki proletariackiej, poetyzmu i konstruktywizmu. Jako artysta inspirację czerpał z kubizmu, konstruktywizmu (zwłaszcza w grafice książkowej). Od 1934 roku do końca życia tworzył surrealistyczne kolaże.



Collage nr 340, 1948

JAROSLAV SEIFERT

JAROSLAV SEIFERT (1901-1986), poeta czeski, współzałożyciel Związku Artystycznego „Dziewięćsił” powołanego w Pradze w 1920 roku, typowy reprezentant tzw. poezji proletariackiej, później wybitny przedstawiciel poetyzmu. Pod koniec dwudziestolecia międzywojennego osiągnął w Czechach ogromną popularność, która w dużym stopniu przetrwała do dziś. Przełomowe znaczenie w twórczości Seiferta miał znakomity tom wierszy *Koncert na wyspie*, opublikowany w 1965 roku po dziesięciu latach milczenia poety spowodowanego ciężką chorobą. Pod koniec życia wsparł swoim autorytetem Kartę 77. W 1984 roku został laureatem literackiej Nagrody Nobla. Na język polski jego wiersze tłumaczyli m.in. Józef Czechowicz, Marian Grześczak, Józef Waczków i Adam Włodek.



Przełożył
ZBIGNIEW MACHEJ

Kavárna Slávie

*Tajnými dveřmi z nábřeží,
které byly z tak průzračného skla,
že jsou téměř neviditelné,
a jejichž závěsy
jsou namazány olejem z růží,
přicházel někdy Guillaume Apollinaire.*

*Měl ještě z války zafačovanou hlavu.
Přisedl k nám
a četl brutálně krásné verše,
které Karel Teige ihned překládal.*

Kawiarnia „Slavia”

Tajnymi drzwiami do bulwaru,
zrobionymi z tak przejrzystego szkła,
że niemal ich nie widać
a ich zawiasy
nasmarowane są olejkiem różanym,
przychodził czasem Guillaume Apollinaire.

Miał zabandażowaną głowę jęszcze z czasów wojny.
Przysiadł się do nas
i czytał brutalnie piękne wiersze,
które Karel Teige natychmiast przekładał.

Zaulek literackí

JAROSLAV SEIFERT

Na básníkovu počest
pívali jsme absint.
Je zelenější
než všechno zelené,
a když jsme od stolku vyhlédli z oken,
pod nábřežím tekla Seina.
Ach ano, Seina!
Neboť široce rozkročena opodál
stála Eiffelka.

Jednou přiběhl Nezval v černém tvard'ásku.
Tenkrát jsme neměli tušení,
ani on to nevěděl,
že právě takový nosil i Apollinaire,
když se zamiloval
do krásné Louisy de Coligny-Chatillon,
které říkával Lou.

Na cześć poety
pijaliśmy absynt,
trunek zieloński
niż wszystko zielone.
I kiedy od stolika wyrzeliśmy przez okna,
poniżej bulwaru płynęła Sekwana.
Tak, owszem, Sekwana!
Ponieważ nie opodal w szerokim rozkroku
stała wieża Eiffla.

Pewnego razu Nezval przybiegł w czarnym cylindrze.
Nie mieliśmy wtedy pojęcia,
a on też tego nie wiedział,
że właśnie taki cylinder nosił Apollinaire,
kiedy zakochał się
w pięknej Luizie de Coligny-Chatillon,
którą nazywał Lou.

XXX

Říkáte-li veršům také zpěv
– a to se říkává,
zpíval jsem celý svůj život.
A šel jsem s těmi, kdo neměli nic
a žili z ruky do huby.
Byl jsem jeden z nich.

Zpíval jsem jejich bolest
jejich víru, naději
a žil jsem s nimi vše,
co žili oni. I úzkost,
slabost, strach a odvahu
i smutek bídy.
A jejich krev, když tekla,
stříkala na mě.

Vždycky jí teklo dost
v té zemi sladkých řek, trav, motýlů
a náruživých žen.
I o ženách jsem zpíval.
Oslepený láskou
potácel jsem se v životě,
zakopáváje o ztracený květ
či schod katedrály.

XXX

Jeżeli wiersze nazywacie też śpiewem
– bo tak się je nazywa –
śpiewałem przez całe życie.
I siedłem razem z tymi, którzy nic nie mieli
i żyli z dnia na dzień.
Bo byłem jednym z nich.

Śpiewałem ich cierpienie,
ich wiarę, nadzieję
i przeżywałem z nimi wszystko,
co przeżywali oni. I niepokój,
i niemoc, strach i odwagę,
i smutek biedy.
A ich krew, gdy płynęła,
tryskała na mnie.

Zawsze dość jej płynęło
w tym kraju słodkich rzek, traw, motyli
i namiętnych kobiet.
I o kobietach śpiewałem.
Oslepiiony miłością
zataczałem się w życiu,
potykając się o zgubiony kwiat
lub o stopień katedry.

Ověnčená jahodami

*U staveniště na skládce cihel,
které mívaly barvu růži
a byly ještě horké
jako ruce v horečce,
hrávaly si mezi dnem děti.
Večer tam postávaly nevěstky
se svými milenci.*

*Jedna z nich bydlila u nás naproti.
Když večer odcházela,
nespouštěl jsem z ní oči
a šel jsem zvědavě za ní,
dokud na mě nevyplázla jazyk.*

*Skrývali jsme se v teplých koutech
a svěřovali si své objevy.
Kamarád mi tajemně vyprávěl
o své starší sestře.*

*Bylo to opojné.
Zdála se mi celá ověnčena
voňavými jahodami.
Bylo to mnohem opojnější
než stopy medu
v kalíšcích zaprášené hluchavky
a ještě závratnější
než lahvička se lebkou na viněně
a s nápisem: Jed,
kterou jsem nosil stále v kapse.*

*To nedovedou ptáci zapívat.
Musím se usmát.
Položte zticha ucho na dveře
a dávejte pozor:
Za dveřmi stojí láska.*

Przybrana poziomkami

*Tuż przy budowie na pryzmie cegieł,
które miały kolor róż
i były jeszcze gorące
jak dłonie w gorączce,
bawiły się w dzień dzieci.
Wieczorem zaś przystawały tam prostytutki
ze swymi kochaniami.*

*Jedna z nich mieszkała naprzeciw nas.
Gdy odchodziła wieczorem,
nie odrywałem od niej oczu
i z ciekawości szedłem za nią
póki nie odwróciła się pokazując mi język.*

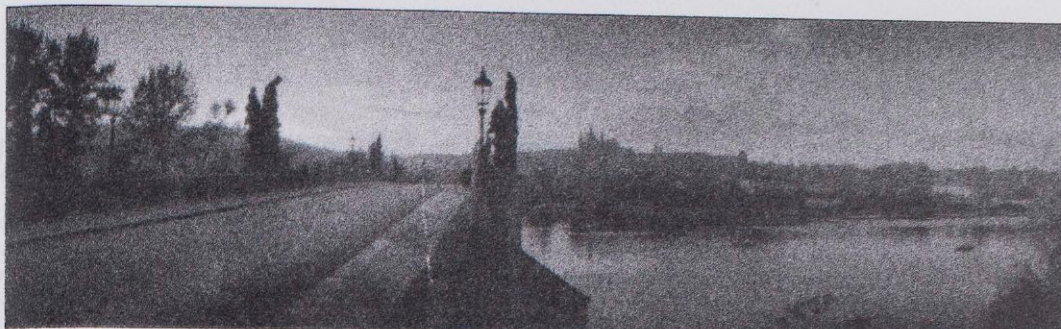
*Ukryci w ciepłych zakamarkach
zwierzaliśmy sobie nawzajem swoje odkrycia.
Kolega opowiadał mi w sekrecie
o swojej starszej siostrze.*

*Ależ to odurzało.
Wydała mi się cała przybrana
w pachnące poziomki.
To upajało bardziej
niż ślady miodu
w zaproszonych kieliszkach głuchej pokrzywy,
odurzało bardziej
niż buteleczka z trupią główką na nalepce
i napisem „Trucizna”,
którą stale nosiłem w kieszeni.*

*Tego nie zdoła wyśpiewać żaden ptak.
I jak tu się nie uśmiechnąć.
Pst, przyłóżcie do drzwi ucho
i wyłóżcie uwagę:
za drzwiami stoi miłość.*



Fot. JOSEF SUDEK



Fot. JOSEF SUDEK

XXX

*S praskotem krve
s podupáváním strachu
a s křečí vášně
vstoupíme pojednou do světla
a kruté toužení
položí dlaně na dětská ústa.*

*Divky zkrříženými pažemi
brání svá útlá těla
tam, kde je jaro dvakrát políbilo.
Ale koruna krve
pod jedním z těchto polibků
začne se lehce zachvívat
a štěstí, to první, sluneční,
o kterém jsme do těch čas nevěděli,
je u konce.*

XXX

*Z loskotem krvi
z tětnem strachu
i konvulsjama namíetności
wyjdzimy nagle na światło
i bezlitosne požądanie
poloży dłoń na dzieciece usta.*

*Dziewczęta krzyżują ramiona
broniąc swych delikatnych ciał
tam, gdzie wiosna pocałowała je dwa razy.
Ale korona krwi
pod jednym z tych pocałunków
zacznie się lekko chwiać
i szczęście, to najpierwsze, słoneczne,
o którym dotychczas nie wiedzieliśmy
będzie u kresu.*



JOSEF SUDEK, (1896-1976) został fotografem gdy utracił prawą rękę podczas I wojny światowej i nie mógł już pracować dłużej jako introligator. W latach 1922-1924 studiował w Szkole Sztuk Graficznych w Pradze. Do swoich słynnych panoramicznych fotografii Pragi używał aparatu Kodak Panoramic z 1894 roku.

Najważniejsze albumy fotograficzne: *Zamek praski* (1947), *Praga* (1948), *Praga panoramiczna* (1959), *Most Karola* (1961), *Hukwaldy Janačka* (1971).

Przez lata mieszkał w swoim drewnianym studio w ogrodzie przy ulicy Ujezd 24 na wzgórzu Petřín, gdzie w każdy wtorek zwykli przychodzić przyjaciele, by słuchać muzyki z jego bogatej kolekcji płyt.

VLADIMIR HOLAN

Przełożył
JACEK ILLG

Ale

*Bůh smíchu a písní už dávno
zavřel za sebou věčnost.
Od těch dob jenom někdy
zazní v nás ubývající vzpomínka.
Ale jenom bolest od těch dob
nikdy nepřichází v životní velikosti,
je vždycky větší člověka,
a přece se musí vejít do jeho srdce...*

Ale

Bóg śmiechu i pieśni już dawno
zamknął za sobą wieczność.
Od tej pory czasem tylko
odezwie się w nas gasnące wspomnienie.
Ale tylko ból od tej pory
nigdy nie zjawia się w ludzkim wymiarze,
jest zawsze większy od człowieka,
a przecież musi zmieścić się w jego sercu...

Zmrtvýchvstání

Stanislavu Zedníčkovi

*Že po tomto žinotě zde mělo by nás jednou vzbudit
úděsne ječení trub a polnič?
Odpust', Bože, ale utěšuju se,
že počátek a vzkříšení všech nás nebožtíků
bude ohlášen tím, že prostě zakokrhá kohout...*

*To potom zůstaneme ještě chvíli ležet...
První, kdo vstane,
bude maminka... Uslyšíme ji,
jak tichounce rozdělává oheň,
jak tichounce staví na plotnu vodu
a útulně bere z almárky kávový mlýnek.
Budeme zase doma.*

Zmartwychwstanie

Stanislavowi Zdeničkowi

Więc po tym życiu tutaj miałby nas kiedyś zbudzić
przeraźliwy dźwięk trąb i piszczałek?
Wybacz, Boże, ale pocieszam się,
że początek i wskrzeszenie wszystkich nas nieboszczyków
ogłosi po prostu pianie koguta...

Potem będziemy jeszcze chwilę leżeć...
Pierwszą, która wstanie,
będzie mama... Usłyszymy ją,
jak cichutko rozpała ogień,
jak cichutko stawia na piecu wodę,
i potulnie bierze z kredensu młynek do kawy.
Znowu będziemy w domu.

Domov

*Mučíš se, komu přisoudit vítězství,
zda hmotnosti či nehmotnosti duše,
a zatím cítíš, jak jsi sám,
oddělen němou stranou dveří od svých drahých...*

*Trvá to celé noci až k jednomu ránu,
kdy tvoje ještě ne třítelá dcerka
už dosáhne na kliku a otevře...*

*Jak to hřeje, jak to hřeje, vždyť opravdu
anděl znamená poselství...*

Dom

Dřeczysz się, komu przyznać zwycięstwo,
materialność czy niematerialność duszy,
a tymczasem czujesz, jaki jesteś samotny,
oddzielony niema stroną drzwi od swoich bliskich...

Trwa to przez całe noci, aż do pewnego rana,
gdy twoja niespełna trzyletnia córka
dosięgnie już do klamki i otworzy...

Jakże to grzeje, jak to grzeje, przecież naprawdę
anioł oznacza przesłanie...

Jaskyně slov

*Ne beztrusně vstupuje jinoch se světlem
do jeskyně slov... Odvažný, sotva tuší,
kde se to ocíl... Mlád, i když trpící,
neví, cože je bolest... Předčasně mistrovský,
uprchne, aniž vkročil,
a vymluví se na neploleté století...*

*Jeskyně slov!...
Jen skutečný básník a na vlastní vrub
v ní prošlil křídla a to,
jak se navracet zemské tíži
a neublížít oné, která přitahuje zem...*

*Jeskyně slov! Jen skutečný básník
se vrací z jejího mlčení,
aby, už stár, našel plačící dítě,
odložené světem na její práh...*

Jaskinia słów

Młodzieniec niosący światło nie może bezkarnie wejść
do jaskini słów... Odważny, nie przeczuwa,
gdzie się znalazł... Młody, chociaż cierpiący,
nie wie, co to ból... Przedwcześnie doskonały,
ucieknie, zanim wejdzie,
i wymówi się niedojrzałością wieku...

*Jaskinia słów!...
Tylko prawdziwy poeta i to na własne ryzyko
zapagnie w niej skrzydeł i tego,
by powrócić do ziemskiego ciężenia
i nie obrazić tego, który przyciąga ziemię...*

*Jaskinia słów! Tylko prawdziwy poeta
powraca z jej milczenia,
aby na starość znaleźć płaczące dziecko,
które świat położył na jej progu...*

Smrt

Vyhnal jsi ji ze svého nitra už před mnoha lety
a zaviel jsi ten kout a hleděl na vše zapomenout.
Věděl jsi, že není v hudbě, a proto jsi zpíval,
věděl jsi, že není v tichu, a proto jsi mlčel,
věděl jsi, že není v samotě, a proto jsi byl sám...
Běda však! co se to stalo dnes,
kdy jsi zděšený jako ten,
kdo něhle za noci soatří
paprsek světla pod dveřmi
vedoucími do vedlejší světnice,
v které už dávno nikdo nebydli?

VLADIMIR HOLAN (1905-1980), poeta urodzony w Pradze. Już w roku 1933, po kilku latach pracy urzędniczej, przechodzi na rentę inwalidzką. Żywot pędzi samotniczy, a od roku 1948, nękany atakami propagatorów socrealizmu, aż do końca swego życia prawie nie opuszcza swego mieszkania w Pradze. Zadebiutował w 1926 roku wierszami programowo zbliżonymi do grupy tzw. poetystów. Ważniejsze tomy wierszy: *Triumf smrti* (1930, *Triumf śmierci*), *Kameni, přicházíš...* (1937, *Kamieniu, przychodzisz*), *Bolest*, (1965, *Ból*), *Noc s Hamletem* (1964, *Noc z Hamletem*), *Asklepiovi kohouta* (1970, *Koguty Asklepiusza*), *Noc s Ofelií* (1972, *Noc z Ofelią*), *Na celé ticho* (1977, *Pełną ciszą*) oraz *Propast propasti* (1982, *Przepaść przepaści*). Na język polski jego wiersze tłumaczyli m.in. Marian Grzeźczak, Józef Waczków i Leszek Engelking.

Śmierć

Wygnałeś ją już dawno ze swojego wnętrza,
zamknałeś ten kąt i chciałeś o wszystkim zapomnieć.
Wiedziałeś, że nie ma jej w muzyce, dlatego śpiewałeś,
wiedziałeś, że nie ma jej w ciszy, dlatego milczałeś,
wiedziałeś, że nie ma jej w samotności, dlatego byłeś sam.
A dziś – cóż to się stało,
żeś przerażony jest jak ten,
kto w nocy widzi nagle
smugę światła pod drzwiami
prowadzącymi do sąsiedniej izby,
w której już dawno nikt nie mieszka?

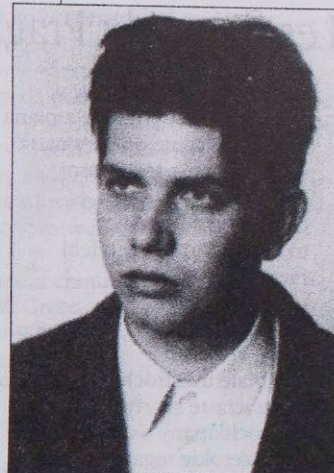
WOJCIECH WENCEL

Praga

Spokój nad wodą i zima nad miastem
gdzie dzwonią serca kościołów cherlawo
pną się poręcze i schody na zamek
dymy unoszą się ponad Wełtawą

kszałty żeglują na szybach kamienic
w oknie przy moście ktoś stoi przez chwilę
słońce zachodzi wśród kopuł potężnych
cicho szczękają kolczugi u rynien

tak jakby każda spełniona namiętność
stygła w uśpieniu pod barwą ochronną
a lotne dusze aniołów i świętych
do żywych mięśni zsuwały się wolno



WOJCIECH WENCEL urodził się w 1972 roku. Ukończył filologię polską na Uniwersytecie Gdańskim. W latach 1992-1994 współredagował pismo literacko-artystyczne „Przedproża”. Zadebiutował tomem *Wiersze* (Towarzystwo Ogród Ksiąg, 1995), za który otrzymał nagrodę im. Kazimierzy Iłakowiczówny.

ZBIGNIEW MACHEJ

Les fleurs du Prague

bukietem białych kwiatów
zanurzonym w wiadrze z pianą
wyciera właśnie od wewnątrz
szklane ściany kwaciarni
przy Placu Waclawa
odwrócona do słońca
to bokiem to znów tyłem
raczej niepięknym
choć chyba jednak
niebrzydkiem

(białe uda trochę przetłuszczone
kraciaste szorty różowy
pochłapany wodą gorset
i szerokie tęgawe plecy
o ciemniejszym niż uda
odcieniu)

pochyla się podnosi
przechyla prostuje
i zamaszyste ruchy
jej młodych rąk
rozciągają
wokół niej na szybach
nikłą zasłonę
zdawkowych mazów
z brudnawej piany
która i tak za chwilę
zostanie ściągnięta

jest niedzielne popołudnie
pod koniec kwietnia
słońce grzeje jak w lipcu
i w całej Pradze
nie można notabene
dostać goździków
ani białych
ani czerwonych
ani jakichkolwiek
innych

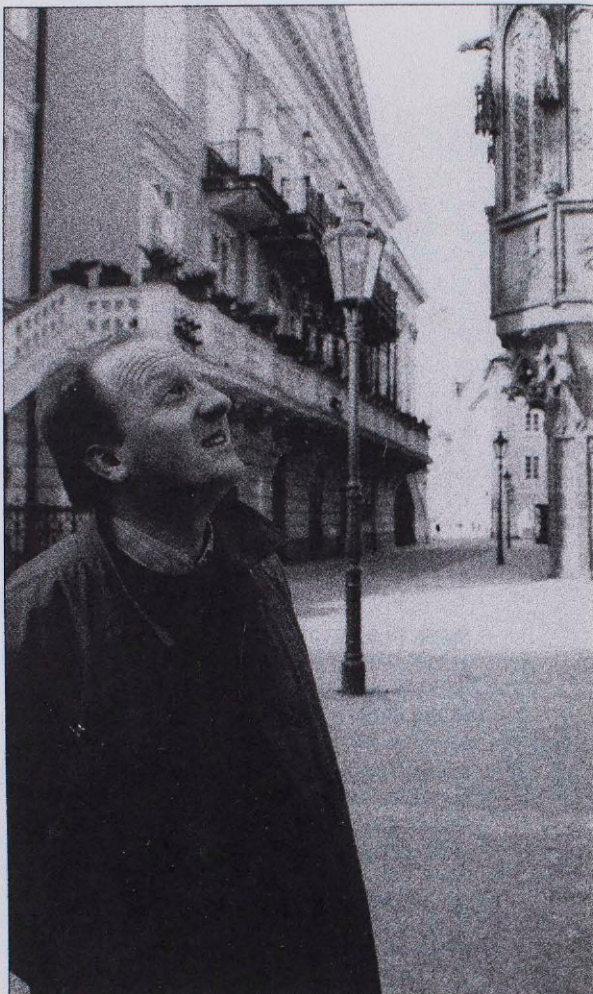


Foto: M. Chybański

ZBIGNIEW MACHEJ urodził się w 1958 roku w Cieszynie. Studiował filologię polską i religioznawstwo na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Podczas studiów związany był ze Studenckim Komitetem Solidarności i niezależnym ruchem wydawniczym. Jako poeta debiutował w 1980 roku na łamach „Tygodnika Powszechnego”. Pracował jako dziennikarz i nauczyciel. Jako działacz Solidarności Polsko-Czechosłowackiej był współorganizatorem demonstracji przeciwko koksowni w Stonawie koło Cieszyna. Obecnie mieszka i pracuje w Pradze, gdzie pełni funkcję dyrektora programowego Ośrodka Kultury Polskiej. Opublikował następujące książki poetyckie: *Smakosze, kochankowie i płatni mordercy* (Czytelnik, 1984), *Śpiąca muza* (Oficyna Literacka, 1988), *Wiersze dla moich przyjaciół* (Biblioteka „Miesięcznika Małopolskiego”, 1988), *Dwa zbiory wierszy* (Puls, 1990), *Trzeci brzeg* (Oficyna Literacka, 1992).

MIROSLAV HOLUB
Mistrovo uceni

Poemat dla niepalących

W ekspresie z Pragi do Bohumina,
w przedziale drugiej klasy przy oknie
siedziała piegowata dziewczyna
i nie siedziała wcale samotnie,
bo opierając się o jej ramię
drzemał mężczyzna, młody, podobny
uderzająco do Franza Kafki.
Dziewczyna była nawet niebrzydka:
szczipła blondynka, typ Meryl Streep.

Ubrana w dżinsy i biały T-shirt
zginała nogi jak w półlotosie
trzymając książkę na lewym udzie.
Gruby wolumin w miękkich okładkach
z wybrudzonymi brzegami kartek
i zapiskami na marginesach
leżał otwarty u jej podbrzusza.
Usta dziewczyny nieco poruszał
jak usta tepej licealistki
jakiś wkuwany na pamięć tekst.

Dziewczyna czasem schylała głowę
i zaglądała do swojej książki,
by potem znowu patrzeć przez okno
wciąż poruszając niemo wargami.
Widoczność była zupełnie dobra.
Słońce prażyło zza brudnych szyb.
Nad światem jaśniał nieba aksamit.
Pociąg przemierzał czeski krajobraz,
dudnił i stukał, łomotał, pędził.
Na dworcach stali nieznanymi ludzie
i upał nadal ogłupiał wszystkich.

Wielki Piątek

Do miasta przez dzień cały
zjeżdżali świąteczni goście.
Z pleśnią na ustach stały
czarne figury na moście.

Powietrze drżało od przeczucia
ze snu żony Pilata.
Wielkopiątkowy wieczór
mdła zwiastowała poświata.

Głowy ptaków i ludzi
zwrócone były na zachód.
Zmierzch stare mury brudził
spływając z czerwonych dachów.

Nad Hradczanami chmury
a la „Toledo” El Greca.
Za nimi kosmos, który
uciekał, ciągle uciekał.

Dwadzieścia jeden stacji

Pociąg pośpieszny z Koszyc do Pragi
miał opóźnienie ponad godzinne.

W przeciwną stronę pełne powagi
sunęły światy i nieba inne,

makrokosmosy, mikrokosmosy,
niewiarygodnie splątane losy

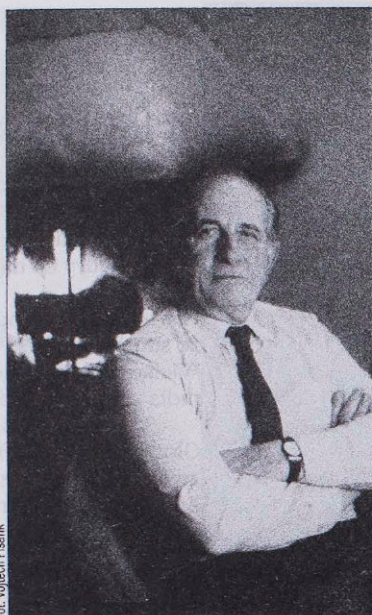
bogów, demonów, ludzi i zwierząt.
Osiedla, które po drodze leżą,

wabiły blaskiem otwartych okien.
Podróż dłużyła się horrendalnie.

Słońce świeciło chropawym bokiem
i potem zaszło znów punktualnie.

MIROSLAV HOLUB urodził się w 1923 roku w Pilźnie. Biolog specjalizujący się w immunologii. Uzyskał doktorat w Instytucie Mikrobiologii Uniwersytetu Karola w 1958 roku – w tym samym roku ukazał się jego pierwszy tom poetycki „Denni služba“ (Codzienny dyżur). Członek „Grupy Poezji Dnia Powszedniego”, która powstała w połowie lat pięćdziesiątych przy miesięczniku „Křtén”. Ważniejsze tomy wierszy: „Anamneza“ (1964), „Beton“ (1970), „Udalosti“ (1971, Zdarzenia), „Naopak“ (1982).
Od roku 1967, gdy w serii Penguin Modern Poets ukazały się jego „Wiersze wybrane”, jest szeroko tłumaczony w świecie. Publikował także szkice, feletony i „pótreportáže”. Z literatury polskiej przekładał m.in. Różewicza i Herberta.

Na język polski tłumaczyli go m.in. Marian Grześcak, Jerzy Pleśniarowicz i Józef Waczków. Mieszka w Pradze.



Fot. Vojtěch Písalík

MIROSLAV HOLUB

Przełożył
JÓZEF WACZKÓW

Socha mistrova

Uvnitř

ani to svijeni

- *vlasý gorgony meduzy -*
ani ta svíjiva střeva,

ani to kolébani

- *montgolfiéra v listopadu -*
ani klesaní stoupaní kolébání plíce,

ani karamelové

- *tichá cukrárna ze staniolu -*
ani ten karamelový mozek.

Ani to vzpěračství

- *solidně věčný Atlas -*
ani to neutuchající srdce.

Uvnitř

jen kámen

a kámen

a kámen

a stojí to na mrazu,

pevně semknuté rty,

a polyká krev.

Pomník mistrza

Wewnątrz

ani owe zwoje

- *włosy gorgony Meduzy -*
ani owe skręcające się wnętrzości,

ani owo kołysanie

- *balon powietrzny w listopadzie -*
ani spadanie wznoszenie się kołysanie płuca,

ani owa karmelkowość

- *cicha cukiernia ze staniolu -*
ani ów karmelkowy mózg.

Ani owo siłactwo

- *rzetelnie wieczny Atlas -*
ani owo nie milknące serce.

Wewnątrz

tylko kamień

i kamień,

i kamień

i stoi toto na mrozie,

mocno zaciska wargi,

i polyka krew.

Mistrovo učení

*mluvil
a košile kajcníků
padaly k zemi, samodruhé.*

*Byl to císařskýřez myšlenky,
plyšové panenky přicházely na svět, jášajíce.
Byl to profil jednoho každého,
z černého papíru vystřižený.
Mandelinky nám vylézaly zpod nehtů.
Bylo slyšet trouby u bran Jericha,
bylo cítit syčení našich genů.*

*Bylo to nádherné, jak mluvil.
Jen už nevím, o čem.*

Nauka mistra

*Mówił,
a koszule pokutników
parły ku ziemi, brzemienne.*

*Stworzył cesarskie cięcie myśli,
pluszowe lalki przychodziły na świat, radośnie
gaworząc.*

*Stworzył profil każdego jednego,
wycięty z czarnego papieru.
Stonki nam wylaziły spod paznokci.
Było slychać trąby u bram Jerycha,
było czuć syczenie naszych genów.*

*Mówił i mówił wspaniale.
Tylko nie wiem już, o czym.*

Literární sešlost

*Jako krupobití z modrého nebe,
bzučení mastných masařek,
puddovů brebentěň o dioptriích.*

*Niterné zvuky
z unavy materiálu.*

Ne a ne pístat.

*Ale i Orfeusz,
když už šlo do tuhého
a z Hádu vedl svou Euridiku,
hrobově mlčel
a čvachtal po slizkých tělech
indigo ronících plžů.*

*To ještě nebyly
literární sešlosti.*

Literacka sztampa

*Niczym gradobicie z błękitnego nieba,
bzyk tłustych much ścierwic,
instynktowny bełkot o dioptriach.*

*Wewnętrzne dźwięki
wywołane zmęczeniem materiału.*

Ani rusz nie chcą ustać.

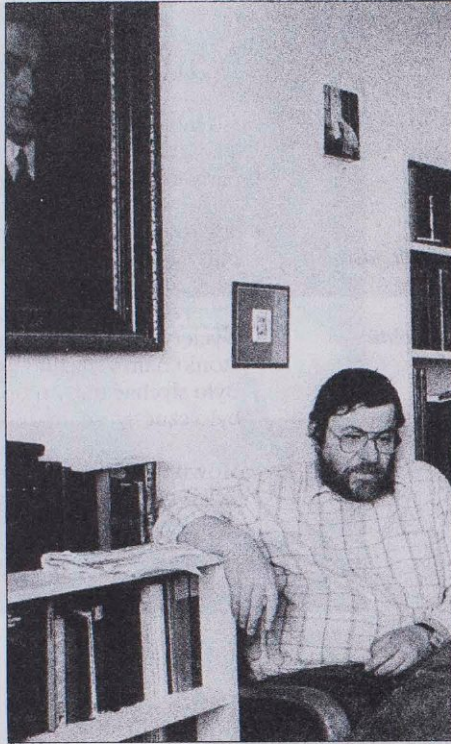
*Cóż, i Orfeusz,
kiedy już stanęło na ostrzu noża
i wiódł z Hadesu Eurydykę,
milczał jak grób
i z chlupotem brnął po śliskich ciałach
roniących indygo ślimaków.*

*Ale to jeszcze nie była
literacka sztampa.*

Zaułek literacki

KAROL SIDON

KAROL SIDON, prozaik, autor scenariuszy, sztuk teatralnych, radiowych i telewizyjnych, publicysta. Urodził się 9.08.1942 roku w Pradze. W latach 1960-1964 studiował w Pradze na Wydziale Filmowym Akademii Sztuk Muzycznych. Po jej ukończeniu współpracował z Czechosłowackim Radiem. Był też redaktorem „Literárních listů” i „Listů” – „odwilżowych” pism literackich. Po zlikwidowaniu „Listů” (1969) zmuszony został do wykonywania pracy fizycznej (jako „niewygodny” autor nie mógł znaleźć innego zajęcia). W 1977 roku podpisał Kartę 77. W 1983 roku wyemigrował (nie dobrowolnie) do RFN, gdzie na Hochschule für jüdische Studien w Heidelbergu studiował hebraistykę, pracując równocześnie w archiwum gminy żydowskiej. Studia ukończył w Jerozolimie i został rabinem. Po przewrocie w 1989 roku wrócił do Czech i obecnie jest rabinem praskiej gminy żydowskiej. Wydał tomy prozy: *Sen o moim ojcu* (1968; polskie wydanie w przekładzie A. Piotrowskiego, Warszawa 1970) i *Sen o mnie* (1970). Jest autorem wielu scenariuszy filmowych, w tym do znakomitego filmu słowackiego reżysera J. Jakubiska *Siedzą na gałęzi*. Od roku 1970 publikował w pisamach emigracyjnych i w drugim obiegu (m.in. dramaty *Shapira* i *Trzynastoscie okien*). W 1978 roku otrzymał nagrodę im. Jiříego Kolářa. Opowiadanie *Mamusia śpiewa drugim głosem* opublikowało emigracyjne pismo „Listy” (1980, nr 3-4). *Rozważanie o emigracji* – to fragment wstępu do książki *Dwa opowiadania o topielcach* wydanej przez emigracyjne wydawnictwo „Index” w 1987 roku.



Zgodnie z moją wolą byłoby, gdybym mógł powiedzieć, abstrahując od poziomu literackiego moich starych tekstów: To nie ja napisałem, albo za Rimbaudem: Ja, to ktoś inny. A to niby dlaczego? Być może ma to coś wspólnego z integralnością osobowości, naruszoną przez dwukrotne wygnanie. Zacznę od tego drugiego, które dzielę razem z milionami emigrantów, wypędzonych na obczyznę przez nieznosne warunki w domu. Sam fakt, że człowiek zostaje zmuszony do ratowania swojego bytu w obcym, nieznanym środowisku, prowadzi – w najlepszym przypadku – do rozbudzenia wszystkich rezerw energetycznych i zmuszenia do budowania nowego bytu. Byt ten musi daleko odbiegać od tego, w którym człowiek, z tego czy innego powodu, splątał, i na którym – nawet gdyby chciał – nie może bazować. Jedną z tajemnic wygnania jest to, że człowiek podróżuje incognito. Imię, które sobie wypracował w domu, choćby tylko wśród przyjaciół, musi ulec zapomnieniu, trzeba je sobie wyrobić na nowo. I nie ma nic dziwnego w tym, że gdy coś przypomni mu jego stare „imię”, nie pali się do konfrontacji.

Istnieje jednak także emigracja, która poprzedzała tę drugą i która się wraz z nią nie kończy. Egzystencjalne i bytowe kryzysy, które miały mną od połowy lat siedemdziesiątych, budziły wątpliwości wobec wszystkich wartości, w które wierzyłem. Przygnębienie, w jakie wpadłem, zmusiło mnie do podążania na nowo za nicią Ariadny swoich wierzeń, aż się w końcu wydostałem z labiryntu swojej poharatanej psychiki. Nie ma nic dziwnego w tym, że sporo moich przyjaciół z getta opozycji także uczyło się pobożności, a niektórzy z nich doszli nawet do wniosku, że trzeba ją praktykować. Podczas gdy ich kroki prowadziły do kościoła, gdzie czekał na nich czeski proboszcz i czescy wierni, moje kroki automatycznie kierowały się ku synagodze. To znaczy, rozumiałem, że jestem Żydem, a rozumiałem to dzięki temu, że moja wiara była żydowska. Nie zamierzam roztrząsać różnic między chrześcijańską i żydowską wiarą, pragnę tylko stwierdzić, że różnica jest znaczna. Już sam fakt, że byt żydowski to byt dobrowolnie podjętego wygnania, w którym jest beznadziejnie mało miejsca na iluzję. W tym sensie następne fizyczne wygnanie było kontynuacją tego wcześniej odkrytego i zaakceptowanego. Właściwie nie byłem emigrantem w takim stopniu jak inni – ja tylko przeprowadziłem się z jednej synagogi do drugiej. Mimo to, rzeczy, które zatrzymują mi życie w Niemczech, jest za wiele, bym – kiedy historia ruszyła z miejsca, spakował manatki i wrócił do swojego pierwotnego wygnania. Ale już nie jako Czech czy Słowak, lecz członek żydowskiej mniejszości narodowej, żyjący warunkowo na terytorium Czechosłowacji.

Pomiędzy mną dziś a mną z połowy lat siedemdziesiątych (i wcześniejszego okresu), zieje przepaść piętnastu lat. Most, prowadzący ode mnie do mnie znam tylko ja, ale z miejsca, na którym stoję dziś, mnie ten z drugiego brzegu właściwie wcale nie interesuje. Zakładam, że to, co w nim było wartościowe, przeniosłem przez most. Ale na przekór wszystkiemu, co właśnie powiedziałem – czy aby na pewno?... Tak czy siak, wszystko, co napisałem – to jego dzieło, a ja teraz jako spadkobierca, którego okoliczności zdają się mylić z szanownym nieboszczykiem, daję sobie pozwolenie na jego wskrzeszenie – tego czeskiego pisarza. Czuję się gorzej niż dziadek, który miał w Trnawie dwa sklepy mięsne w jednej kamienicy. Na prawo sprzedawał mięso koszerne, a na lewo – zwykłe. A wnuk chodzi teraz na targ z wieprzowiną w marynacie! Próżne gadanie, nigdy nie będzie koszerne.

Heidelberg, 6.02.1990.

Mamusia śpiewa drugim głosem

Ktoś powie, że wymyśliłem sobie tę historię. Nie mówię tak, nie mówię nie. Być może wymyśliłem sobie, a może nie wymyśliłem... Ostatnio jakoś zapomina się o tym, że życie jest pełne niespodzianek.

A co takiego mnie spotkało? Otóż pewnego dnia obudziłem się, a wszedłszy do łazienki, włączyłem światło i spojrzałem w lustro, by sprawdzić dzisiejszy zarost. Ujrzałem tylko białe kafelki za sobą i wieszak z ręcznikami. Swojej twarzy po prostu nie zobaczyłem. Ani ramion, ani szyi, w ogóle nic. Potraficie sobie chyba wyobrazić moje zdziwienie.

Aha. Chyba winien jestem czytelnikowi wyjaśnienie: jestem taksówkarzem i wyjeżdżam na miasto dopiero po północy, kiedy jest mały ruch i wielu pasażerów, którzy... ale czy mam o tym opowiadać? Chociaż, czemu nie? W nocy ludzie są inni niż w dzień i to nie tylko dlatego, że są często pijani. W dzień tylko pracują i załatwianie zaprząta ich głowy, bo praca i załatwianie to pieniądze. W nocy są inni i nie zważają tak bardzo na pieniądze. Dlatego też my, taksówkarze, chętnie jeździmy nocą. Do tego zresztą jeszcze dojdziemy. W tej chwili ważniejsze jest to, że nie zobaczyłem się w lustrze.

Czy stałem się nagle niewidzialny? A może mnie nie ma i tylko mi się wydaje, że jestem? A może feler jest w lustrze? Odwróciłem się, by dać mu okazję do naprawienia tej usterki. Zaczekałem chwilkę i znów spojrzałem w lustro - nadal w nim nie zaistniałem. Tylko białe, lśniące kafelki, wieszak, a na nim jeden różowy i jeden jasnoblękitny ręcznik.

Powiedzcie, co ma człowiek w takiej sytuacji robić? Czy można w ogóle cokolwiek robić? Sądzę, że nie. Otóż: kiedy nie widzę siebie, to nie widzę siebie, a gdy się nie widzę, no to się nie widzę. Przejechałem dłonią po brodzie, stwierdziłem, że nie jest najgorzej i że nie muszę się jeszcze golić, oplukałem się więc tylko i ubrałem. Te czynności można było wykonać nawet bez lustra, gorzej było z czesaniem, ale znów nie tak bardzo, bo nie mam już tylu włosów.

No, a potem włożyłem buty, ubrałem się w skórzaną kurtkę i zgodnie z przyzwyczajeniem wyruszyłem do wielkiego lustra, żeby sprawdzić końcowy efekt - czy wyglądam tak, jak to sobie wyobrażałem. Zupełnie mi nie przyszło do głowy, że prawdopodobnie w dużym lustrze w przedpokoju też się nie zobaczę. Już jednak stałem przed nim i ogromnie się zdziwiłem.

Na wysokości mojej głowy nie było nic, jak również na wysokości moich ramion, natomiast gdy skierowałem wzrok niżej, zobaczyłem w lustrze ciemnowłosego dziewięcioletniego chłopca w długich brązowych spodniach i białej koszuli z podkasanymi rękawami. Patrzył na mnie dużymi czarnymi oczami, patrzył jakoś smutnie, ale uśmiechał się, patrzył na mnie, jakbym ja był chłopcem, i oglądał w lustrze siebie. Tym chłopcem byłem ja, ja sam, gdy byłem jeszcze dokładnie takim chłopcem.

Miałem się chyba przestraszyć, a tylko zdziwiłem się i zdumiałem. W końcu coś takiego nie zdarza się codziennie, prawda? Dlaczegoż miałbym się przestraszyć? Właściwie to było lepsze, niż nie zobaczyć w lustrze w ogóle nic. W tym łazienkowym lustrze nad umywalką nie mogłem go zobaczyć z tego powodu, że był mały.

- No, masz ci los - wymknęło mi się.

Wystawiłem do lustra język, żeby prowokować chłopca. On jednak nie zareagował. Ciągłe się tylko tak smętnie uśmiechał, jak gdyby na coś czekał. Zawstydziłem się, że tak brzydko mówię i że pokazuję mu język.

- Przepraszam - powiedziałem.

- Nie ma sprawy - odparł.

- Co w tym lustrze robisz? - zapytałem.

- W jakim lustrze? - zdziwił się.

- No przecież w lustrze! Jesteś w lustrze!

- Nie - pokręcił głową - to ty jesteś w lustrze!

- Ja? W lustrze? No to się sakramencko mylisz.

Jak ja mogę być w lustrze, skoro w lustrze jesteś ty? Jak ci w ogóle przyszło do głowy, że to ja jestem w lustrze?

- Bo patrzę w lustro - odpowiedział.

- Więc ty patrzysz w lustro, tak? - roześmiałem się. - No to mi powiedz, w jakie lustro patrzysz?

- W nasze. W nasze lustro w przedpokoju.

- W jakie lustro i w jakim przedpokoju?

- Przecież tu - chłopiec pokręcił ze zdumienia głową - u nas w domu w przedpokoju.

- U nas w domu? Gdzie u nas w domu?

- Aha - odrzekł chłopiec.

- Jakże aha?

- Tego nie zrozumiesz.

- Bo też wcale nie rozumiem!

- Wiesz - wyjaśnił chłopiec powoli - ja patrzę w lustro u nas w domu w przedpokoju. I przyszła mi do głowy myśl, jak też mogę wyglądać, gdy będę duży. No i zobaczyłem ciebie.

- Ty - mówię zmieszany - stoisz więc u nas w domu w przedpokoju? U nas w domu, w tym domu, w którym się urodziłem?

- No.

- A w lustrze widzisz, jak będziesz wyglądać, gdy dorośniesz?

- Widzę - powiedział chłopiec i posmutniał. - Nie podobasz mi się za bardzo.

- Słuchaj no - mówię do niego nieco szorstko - idź lepiej do łóżka i nie walęśaj się nocą po mieszkaniu. O tej porze dzieci powinny spać.

- Ja już jestem duży. Nie muszę już spać po obiedzie.

- Co proszę? Czy ty wiesz, która jest godzina?

Chłopiec odwrócił się i spojrział w prawo. Przypomniałem sobie, że w kuchni wisiał zegar elektryczny, widoczny z przedpokoju od lustra.

- Za kwadrans pierwsza - powiedział.

- No to patrz.

I pokazałem mu swój zegarek na ręce.

- Za kwadrans pierwsza - spojrział na mnie chłopiec.

- Tylko że nocą!

- Nocą? To dlaczego nie śpisz?

- Bo idę do pracy.

- Do pracy chodzi się rano, nieprawdaż?

- Ja chodzę w nocy.

- A co robisz? - zapytał z zaciekawieniem.

- Jestem taksówkarzem.

- To ci dopiero! - zdziwił się chłopak w lustrze.

- Tak więc zostanę taksówkarzem?

- Szkoda gadać - machnąłem ręką.

I nagle coś mi wpadło do głowy. - Słuchaj - mówię - co ty właściwie w tym lustrze widzisz?

- Ciebie.

- Jak wyglądam?

- Jesteś duży, masz taką ciemnobrązową skórzaną kurtkę, masz takie duże dulki nad czołem, taką błękitną podkoszulkę po szyję...

- Oprócz mnie już nic nie widzisz?

- Jak to?

- No, przecież mieszkanie, w którym jestem. Co jest, powiedzmy, tutaj? - wskazałem za siebie, tam gdzie stoi szafa.

- Muszę to sobie wyobrazić.

- Spróbuj.

- Szafa?

- Jaka szafa? - naprowadzałem go.

- Jasna.

- A obok szafy, tuż za mną?

- Drzwi - zawołał - szklane drzwi. Są otwarte. Ojej - zaśmiał się - widzę przez te drzwi pokój. Tam jest okno, prawda? I pod oknem łóżko. A w nim ktoś śpi!

- Świetnie - pochwaliłem go - zuch z ciebie. Czy poznajesz, kto w tym łóżku leży?

- Mamusia?

- Mamusia przecież już...

Przerwałem. Mama zmarła parę lat temu. Nie będę mu o tym mówić.

- Gdzie jest właściwie mamusia? - zapytałem.

- Na zakupach.

- Jesteś sam w domu?

- Hm.

Ciągłe zerkał zaciekawiony, przechylał głowę i gapił się do pokoju.

- Gdzie mamusia? - zapytał.

- To nie jest mamusia.

- A gdzie ona jest?

- No, gdzie? Lepiej uważnie patrz.

- Ciemno tam. Cała jest pod kołdrą.

- No to chodź sam sprawdź - kusilem go.

- Myślisz, że to jest możliwe?

- Spróbuj - wzruszyłem ramionami.

- Tak więc spróbuję - uśmiechnął się i wyruszył z lustra do przedpokoju.

Minął mnie, wszedł poprzez otwarte drzwi do sypialni i cicho zatrzymał się przy łóżku. Ostrożnie ściągnął róg kołdry i oglądał twarz swej przyszłej żony. To znaczy mojej żony. Byłem ciekaw, co powie. Znow jej odkrył twarz i wrócił do przedpokoju.

- Kto to jest? - zapytał. - Nie znam tej pani. Dlaczego śpi u ciebie w sypialni?

- Na imię jej Werunka. To moja żona.

- Moja żona?

W tym momencie się rozzłościł.

- To nie może być moja żona! Ja się ożenię z Oleńką Markowinową!

Przypomniałem ją sobie. Bardzo ją wówczas kochałem. Potem kochałem ich jeszcze kilka. Nieśmiało położyłem mu rękę na ramieniu. Był zupełnie rzeczywisty.

- Tak to już bywa, kolego. Czy chcesz jeszcze coś zobaczyć?

- No.
- Chodź.
Wzięłam go za rękę, i tak jak prowadzę swoje dzieci, prowadziłam go przez ciemny przedpokój do pokoju dzieciennego. Cicho otworzyłam.
Nie puszczał się mojej ręki. Trzymał się mocno i patrzył na obydwie łóżka.
- Hm - powiedział po chwili.
Wróciliśmy z powrotem do przedpokoju. Tam go puściłam. Rozglądał się z przygnębieniem.
- Macie duże mieszkanie - zauważył niczym dorosły.
- Może być. Słuchaj, nie masz ochoty dziś w nocy ze mną pojeździć?
- Taksówką?
- No.
- A pozwolił mi prowadzić?
- Nad tym muszę się zastanowić. Za kierownicę cię nie wpuszczę.
- No to zgoda!
- Ale co, jeśli wróci mamusia? Nie będzie cię szukała?
- Dlaczego miałyby mnie szukać?
- Będzie się przecież niepokoić, bo ciebie nie ma w domu.
- Ależ ja jestem w domu.
- U mnie w domu, zgadza się, ale nie u nas w domu.
- Ja jestem u nas w domu.
To już przekraczało mój rozum. Nie chciałem jednak, by mi teraz zgubił się i dlatego już o nic nie pytałem. Wzięłam go znów za rękę i wyszliśmy na klatkę. Zaświeciłam, wsiedliśmy do windy i zjechaliśmy na dół. Obserwowałem go.
- Świetna ta winda, nie?
- Fajna.
Otworzyłam drzwi i znaleźliśmy się na ulicy. Za rogiem stał mój samochód. Po głównej ulicy właśnie jechał rozświetlony tramwaj.
- Co to jest? - roześmiał się.
- Tramwaj.
- Dlaczego wygląda tak dziwnie? Przecież nie ma żadnych drzwi.
- Ma. Tylko że się zamykają.
- Eee. Nasze tramwaje są ładniejsze.
- Czy jeszcze chodzisz je oglądać do zajezdni?
- Pewnie.
- Ale tramwajem, kolego, nie zostaniesz.
- Zostanę - odpalił zasępiony.
- To powinienem chyba wiedzieć lepiej, nie?
Wyciągnąłem z kieszeni klucze i otworzyłem drzwi samochodu.
- Usiądź tu obok mnie.
Zaczynałem sobie uświadamiać, jakie to wszystko musi być dla niego dziwne. My też mieliśmy sa-

mochód, gdy byłem w jego wieku, właściwie gdy ja byłem nim, ale nasze auto i wszystkie auta wówczas wyglądały zupełnie inaczej.

Siedział cicho jak trusia. Było mi go trochę żal.
- Nie chcesz wrócić?
- Dokąd?
- No... z powrotem do lustra?
- Jak to? Z powrotem do lustra?
- Myślę, do domu.
Rozglądał się wkoło siebie. I nagle, wierzcie lub nie, na króciutką chwilę zobaczyłem, że jesteśmy u nas w przedpokoju, poprzez otwarte drzwi dojrzałem naszą kuchnię, zegar elektryczny, okno, drzwi balkonowe, a na dworze świeciło słońce. I jeszcze coś. Nie widziałem tego wszystkiego swoimi własnymi oczami, ale jego oczami. Zaraz obraz ten zniknął.

- Rozumiem - wymamrotałem.
Ale wcale tego nie rozumiałem. Włączyłem silnik i ruszyliśmy.

Było po deszczu i ulica była mokra. Siedziałem obok siebie i szeroko otwartymi oczami wchłaniałem nieznany nocny świat wielkiego miasta. W tym czasie z naszego miasta nie znałem nic prócz drogi do szkoły i najbliższej okolicy. A tu nagle nocna metropolia o tyle lat później.

- Jak ci się podoba?
- Podoba. Dokąd jedziemy?
- Tak sobie - powiedziałem - dopóki nas ktoś nie zatrzyma.

- Aha.
- Potem będziesz musiał przesiąść się do tyłu. - Albo właściwie nie. Niech sobie siedzi z przodu.

O tej porze jadę najpierw pod dworzec. Przyjeżdża ekspres międzynarodowy, a z nim - obcokrajowcy. Wśród nas, taksówkarzy, obcokrajowcy cieszą się wielką popularnością, bo nie znają wartości naszych pieniędzy i w dodatku w większości płacą walutą. (Waluta to obce pieniądze, często wartościowsze od naszych, ale to was chyba nie interesuje.)

Skręciłem przed parlamentem i powoli podjechałem pod dworzec. Zatrzymałem się. Kilku z walizkami już tu czekało na chodniku. Moje oczy wypatrzyły najzamożniejszą rodzinę. Wsiadłem.

- Dokąd idziesz? - przestraszył się.
- Mamy klientów - mówię.

Nagle jednak zmieniłem kierunek swoich kroków. Stała tam jeszcze pani ze śpiącym dzieckiem na rękach. Minąłem zamożnego obcokrajowca i schyliłem się po jej walizki.

- Dokąd pani jedzie?
- Osiedle Nowodworska.

Powoli szła za mną. Otworzyłem bagażnik i ułożyłem w nim jej dwie walizki i torbę. Potem otworzyłem tylne drzwi i wyciągnąłem ręce.

- Proszę mi podać tego śpiocha. Potrzymam go, zanim pani wsiądzie.

Dziewczynka miała trzy lata i we śnie przytuliła się do mnie obejmując za szyję. Włosy miała jak jej mamusia, jasne i kędzierzawe, same loczki. Ale mamusia już siedziała w samochodzie, więc ostrożnie podałem jej dziewczynkę. Zatrzasnąłem drzwi i zasiałem za kierownicą. W międzyczasie podjechała inna taksówka i załadowywała zamożnego obcokrajowca. Ale ze mnie dureń. Właśnie straciłem dobrych trzydzieści koron!

Spojrzałem na chłopca z wyrzutem, ale on oczywiście mojego wyrzutu nie zrozumiał.

- Dokąd jedziemy teraz? - zapytał.

- Na Nowodworską.

Teraz musiałem pracować i nie miałem ochoty do rozmowy. Ale ledwo mu odpowiedziałem, zaraz się przestraszyłem. Ta kobieta za mną nie może go przecież wiedzieć.

- Więc na Nowodworską, mówi pani? - zwróciłem się do niej. Nasze głowyomalże nie zderzyły się. Nachylała się zdumiona do przodu. Patrzyła na siedzenie obok mnie. A potem powiedziała do niego karcąco:

- Powinieneś już być dawno w łóżku.

O czymś takim nie pomyślałem. Teraz szybko. Jak jej to wytłumaczyć.

- Małzonka leży w szpitalu - bajerowałem - i boję się go zostawić w domu samego.

- Tak dużego chłopca? Chyba się nie boisz być sam w domu?

Dałem mu znak oczami, by milczał i nie mieszał się w to.

- Lepiej za dużo ostrożności niż za mało - mówię.

- Ale kiedy będzie spał? Czy nie musi rano iść do szkoły?

- Tak... nie, nie musi.

- Wy mężczyźni! Gdyby tak mamusia zobaczyła, co wyprawiacie. Ta by was prześwięciła! - Zażałowałem się i już jechaliśmy.

Żeby prowadzić rozmowę na inny temat, zapytałem ją, gdzie była. Podobno bawiła w Dzieczynie u małzonka. On tam pracuje jako inżynier na jakiejś budowie. Najpierw myślała, że wróci do Pragi razem z nim, jego autem, ale nie mógł się zwolnić. Musiała więc znosić trudy podróży pociągiem. Ale mój mały pasażer nie dawał jej spokoju.

- Ile ma lat? - zapytała.

- Dziewięć.

- Podobny do pana.

- Naprawdę? Tak mówią.

- Czy on będzie z panem jeździł przez całą noc?

- Przyzwyczailiśmy się. Prawda?

Posepnie na mnie spozrzał. Chciałem mu powiedzieć: ja wiem, chłopcze, że mama ciągle ci powtarza, byś nie kłamał, ale co ja mogę zrobić? Zresztą także w innych okolicznościach w tym naszym życiu musimy kłamać. Co ci będę opowiadać! Ja już się wiele nakłamałem! Ale tego, oczywiście, nie mogłem mu powiedzieć.

Jechaliśmy więc dalej. Poprzez plac Wacława i potem ku nowemu mostowi.

- Ojej! - wykrzyknął.

Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że przejeżdżamy ponad Doliną Nuselską i to, że jadąc na osiedle Nowodworska musimy jechać przez miejsca, których właściwie nie zna.

- Tam jest Wyszehrad. - Wskazała na ciemne kontury zamku i katedry.

- Hm. Potem ci wszystko wyjaśnię.

Skręciliśmy w prawo i zacząłem modlić się, żeby w tej ulicy, dziś szerokiej, czteropasmowej, z nowymi domami po obu stronach, aby nie poznał w niej ulicy, na której stał nasz dom. Nasz dom zburzono już wiele lat temu.

- A na co choruje żona? - wścibsko wypytywała ta kobieta, - że leży w szpitalu?

- Przechodziła grypę. Został po niej niepokojący szmer serca.

Spojrzałem na niego. Nie, nie poznawał tego miejsca. Jakżeby właściwie mógł? Obyśmy się już wydostali z tych okolic. Dodałem gazu. Przefrunęliśmy koło stacji benzynowej przy cichym szemraniu opon na mokrej szosie. Aż tu nagle zauważyłem na prawo, zaraz obok drogi, drewniany budynek z kanciastą wieżą. To była remiza. Byliśmy tam na wycieczce szkolnej, a ci odważniejsi z nas skakali z wieży na plachtę. Ten matolek obok mnie oczywiście nie odważył się. Tylko że podług tej remizy - a on ją zauważył, jak zauważyłem - może się orientować. Co się teraz temu biedactwu kotłuje w głowie? Czy nie był to głupi pomysł, wyobrazić sobie, jak będzie wyglądać, gdy dorośnie?!

- Czy to coś poważnego? - zabrzmiało pytanie z tylnego siedzenia.

- Nie. Pojutrze ma już wrócić do domu.

Spojrzał na mnie zdziwiony, co ja znów wygaduję.

Przejechaliśmy pod wiaduktem i po chwili byliśmy już na osiedlu pod nowym wysokim blokiem. Kobieta zapłaciła mi dokładnie tyle, ile wskazywał licznik. Zresztą, nie spodziewałem się niczego innego. Skoro już się bawiłem w grzecznego taksówkarza, musiałem jej pomóc przy bagażu. Kobieta trzymała na rękach śpiącą dziewczynkę, a mój mały pasażer w zamyśleniu spoglądał przez okno na wysokie budynki. Otworzyłem drzwi i mówię:

- Chodź, pomożesz mi.

Wyszedł, drżały mu kolana.

- Czy to są drapacze chmur? - wyszeptał?

- Pewnie - popisywałem się.

Podaliśmy mu torbę, a gdy kobieta otworzyła drzwi od klatki, poszliśmy za nią pod windę. Włożyliśmy bagaże do środka, pożegnali się, a gdy już zamykała drzwi od windy, z wahaniem zapytała:

- A może zostawi pan na noc chłopca u mnie? Rano mógłby go pan zabrać. Przynajmniej wyspałby się.

Proszę, pomyślałem sobie, jacy są ludzie uprzejmi, gdy człowiek jest uprzejmy wobec nich.

- Nie, dziękuję. Jest pani bardzo uprzejma, ale my jesteśmy przyzwyczajeni.

Uśmiechnęła się i już nie nalegała. Nawet mi było przykro, że musiałem odmówić. Była bardzo ładna. Tak więc przymknąłem drzwi od windy i winda pojechała do góry. Wyszliśmy przed blok i skierowaliśmy się ku samochodowi. Nad nami, nad szpitalem krczaskim, świecił sierp księżycy. Poczulem w dłoni jego małą rękę.

- Wiesz, jak wyglądasz? - zapytał.

- Nie.

- Jak tatuś.

A mnie się z kolei wydawało, że trzymam za rękę swojego syna. Głupstwo, oczywiście. Ale miał dziewięć lat i był mały. Zacząłem się niepokoić, przecież ta jego wędrowka w przyszłość nie może mu wyjść na zdrowie.

Ponownie wsiedliśmy do samochodu. Ale nie ruszyłem z miejsca.

- Co byliby, gdybyśmy temu dali spokój? - mówię.

Dopiero po chwili odezwał się:

- Gdy się idzie po ulicy od naszego domu w górę, to dojdzie się prosto do remizy.

- Tak? - zamurowało mnie.

- Jedź - mówi.

Zdecydowałem się, że nie będziemy wracać tą samą drogą. Choć nadłożę drogi, przemknijemy kawalek po nowej autostradzie i skręcimy przez Sporzylów i Winohrady. Nic mu nie mówiłem, ale gdy wynurzyliśmy się znów koło remizy - mieliśmy ją teraz po lewej stronie - i chciałem skręcić, zauważył to.

- Jedź prosto!

- Chciałem ci pokazać nową autostradę.

- Ciągłe tylko kłamiesz i kłamiesz. Kłamstwo ma krótkie nogi.

W słowach tych słyszałem mamusię. Odechciało mi się mu odmawiać. Samochód szmerząc mknął w dół.

- Zwolnij.

Patrzył przez szybę na szereg nowych bloków. Tutaj, tą przecnicą, można było dojść do kina

„Libusza”. Tu, z kolei, było ogrodzenie i długo nic, tylko stare drzewa. Jeśli zechcę - dla niego jest południe - możemy tam zerknąć. Teraz zaczynał się szereg kamienic czynszowych. Te były bardzo eleganckie. W pierwszej z nich mieszkał nasz wspólny kolega, syn aptekarza, chodzą jeszcze razem do szkoły, a gdy wracają ze szkoły, idą aż tutaj na górę, stoją pod obłożonym marmurem wejściem do kamienicy i Jenda maluje na marmurze głowy muszkieterów. Jedna to Athos. Ja mu tego zazdrościłem, ale też uznawałem, że musi być Athosem. Bardziej przeszkadzało mi to, że nie jestem ani Porthosem, ani d'Artagnanem.

- Aramisie - mówię głośno.

Wzdrygnął się. Mówi:

- Wyzywałem Porthosa na pojedynkę i związałem go w kij przed szkołą.

- Kłamstwo ma krótkie nogi - odciąłem się.

- Komu innemu to możesz opowiadać, ale nie mnie. Dobrze pamiętam, jak to było.

- Związałem go.

- Kłamiesz!

- Nie kłamie!

Ale tu już zaczynał się rumieniec.

- My dwaj nie musimy przecież przed sobą nic ukrywać - pogłaskałem go po włosach. Były delikatne, miękkie jak ciemność.

- Czy chodzisz się modlić pod kościółek?

- Do kościoła. Aramis był abbé.

- Wiem, że był abbé. A bronisz też słabej płci, prawda?

- Właśnie dlatego, dlatego związałem...

Zarumienił się zupełnie. Zająknął się.

- Prawie go związałem.

- No widzisz - mówię i przyhamowałem. - Jeśli chcesz wiedzieć, tu stał nasz dom.

Mijaliśmy jeden z obcych bloków. Był tak obcy, że mu to przeszkadzało mniej aniżeli mnie. Jego dom właściwie ciągle jeszcze stał.

- Czy mieszka w tym domu mamusia?

- Nie...

- Mamusia mieszka w tym domu, co ty?

- Nie...

- To gdzie mieszka?

Wpadł mi do głowy pomysł. - Mama z tatą są na daczce.

- W Mniszku?

- Pewnie, w Mniszku.

- Szkoda. Moglibyśmy ją odwiedzić.

Nagle się rozjaśnił.

- Ale to możemy i tak, prawda?

- Muszę pracować. Nie mogę teraz w nocy jechać do Mniszka. Przecież oni śpią.

- Nie o to chodzi. Skoro mogę ja do ciebie, to czemu nie mógłbyś ty do mnie?

- Jak?
- No tak. Po prostu. Po prostu chodź!
- Jak chodź?
Wpatrywał się uważnie w moje oczy.
- Chodź!
- Dokąd?
- No tu. Do naszego przedpokoju.
I wskazał palcem na siebie.
- Czy nie widzisz, gdzie ja stoję? U nas w przedpokoju. Nadal przed lustrem i wyobrażam sobie ciebie.
Już dawno minęliśmy miejsce, na którym stał nasz dom, i skręcaliśmy w dół do Nusli.
- Nie zapominaj o tym, że ty stoisz, a ja prowadzę. Ja sobie na takie wycieczki podczas kursu nie mogę pozwolić.
- Więc zatrzymaj się.
Zatrzymałem się w przecznicy. Ulica ta nazywała się „Na kwietnicy”. Wiosną zawsze pachniała kwitnącymi kwiatami.
- Chodź - mówi.
Tylko że ja nie widzę nic prócz auta, jego obok siebie, a przez szyby nic prócz ciemnej ulicy. Twarz oświetla mu licznik.
- Mamusia już chyba wraca - mówi niecierpliwie. - Słyszysz, jak kaszle na schodach?
Nie. Nic nie słyszałem.
- No, chodź - prosił - zrobimy jej niespodziankę.
Czuję na twarzy, że się głupio uśmiecham. I nagle słyszę, jak klucz zachrobetał w zamku.
- Szybko! - błaga.
Trzasnęły drzwi.
- No, chodź po siatkę - słyszę głos matki.
- Nie mogę.
- Jesteś w ubikacji?
To już widzę mamę, jak pojawia się na progu i kładzie siatkę.
- Znów gapisz się w lustro?
Chłopiec odwrócił ode mnie smętne oczy. Ale ja już nie patrzyłem na niego. Mamusia podchodzi i gniewa się. Mieliśmy w domu kredens, w górnej części oszklony. Stał w kuchni, a ja podczas posiłków przeglądałem się w nim bezustannie. Tata musiał w końcu wyjąć te lustra.
- Ja? - oprzytomniał chłopiec.
- Bez wykrętów! I rusz się już!
Była taka, taka młoda!
- Mamusiu... - wyszeptalem.
Jak odciągała chłopca od lustra, na krótko rzuciła na nie okiem. Ale nie wiem, czy zobaczyła mnie w nim. Chyba nie, chyba nie mogła.
- Lepiej byś zrobił, gdybyś zamiast tego ciągle gapienia się w lustro, pozmywał naczynia.
Aramis szedł już posłusznie i całą tę niesamowitą

wycieczkę w przyszłość ukrył w sobie. Chyba ją ukrył tak dokładnie, że ja dziś już nie przypominam sobie, żebym mając dziewięć lat wyruszył w przyszłość i jeździł sam z sobą w taksówce.

A może?

Gdy ich głosy przebrzmiały i gdy już nie widziałem nic prócz świecącego licznika i gdy miejsce obok mnie opustoszało, przetarłem oczy dłonią i włączyłem bieg. A potem zawróciłem na wąskiej uliczce i życzyłem sobie, by już nigdy tego, nie daj Boże, nie próbował, obawiałem się bowiem, że w swej dziecięcej ciekawości zechciałby zobaczyć dom, w którym żyje dziś mamusia, a gdybym twierdził, że jest na dacy, to chciałby do niej pojechać i zrobić jej niespodziankę, a nasza mamusia już przecież nie żyje.

A może żyje?

Właściwie tak. Przecież tak. Teraz na pewno zdjęta płaszcz i razem z nim zmywa naczynia. On wyciera i śpiewają razem. Mamusia śpiewa drugim głosem.

Przełożył V.P.

DANIELA HODROVÁ, czeska powieściopisarka i literaturoznawca, urodziła się w 1946 roku. Ogłosiła prace teoretyczne: *Poszukiwanie powieści* (1989), *Powieść wtajemniczenia* (1993), *Miejsca z tajemnicą* (1994) oraz trylogię powieściową: *Miasto utrapienia* (*Pod dwiema postaciami*, 1991, *Poczwarki*, 1991, *Thema*, 1992). Jest również autorką eseju o Pradze – *Miasto widzę* (1992) oraz powieści *Dzień Peruna* (1994).

DANIELA HODROVÁ

Dzień Peruna (fragment)

Mateuszkowa

Nieraz musi czekać do późnej nocy, aż Tomasz i matka zasną, żeby nie zatrzymali jej w drzwiach albo na schodach – tych dwoje nie ma dla jej nocnych wycieczek ani trochę zrozumienia. Także doktor Vymietal, chociaż prosi, żeby mu o tych wycieczkach opowiadać, i udaje, że uważnie słucha, większego zrozumienia dla nich nie wykazuje. Mateuszkowa zawsze ma odrobinę nadziei, że zobaczy na korytarzu pana Horzinka, który może wiedzieć coś o dziecku, zabrali je przecież pacholki Heroda, przed którymi ją wtedy na Zamku ostrzegali, ale pan Horzinek już chyba do Katerzinek nie chodzi.

Tomasz leży twarzą do ściany, oddycha regularnie. Mateuszkowa ostrożnie odgarnia koldrę, żeby nie obudził go nagły powiew, ale jest to chyba nadmierna ostrożność; w odróżnieniu od matki Tomasz śpi głęboko. Jest bosa, stąpa możliwie najciszej. W przedpokoju przykłada ucho do drzwi pokoju matki. W środku panuje cisza, nie brzękają druty do szydełkowania, nie szeleszczą kartki książki, matka, Bogu dzięki, śpi. Choć możliwe też, że tylko udaje, już kiedyś tak udawała, złapała ją wtedy na schodach. Tym razem jednak matka śpi chyba naprawdę. Drzwi na szczęście zapomnieli zamknąć. Lepiej zostawi je otwarte, zatrzasnęłyby się z dużym hałasem i matka natychmiast by się obudziła. Szedłszy ze schodów, idzie do drzwi

najszybciej jak może, wprowadzie w ich domu nie ma na razie nic takiego jak u Gregorowej, żadnego nocnego klubu, ale na wszelki wypadek lepiej uważać.

Przed bramą porusza się jakiś ogromny cień. Mateuszkowej w pierwszej chwili przychodzi do głowy, że leży tam koń, kiedyś spotkała tu niedawno konia, cwałował nikogo na sobie nie niosąc. Potem jednak dostrzega na grzbiecie leżącego zwierzęcia garb. Dopiero wtedy zauważa trzy następne wielbłądy. Dotyka tego, który leży najbliżej, ostrożnie przejeżdża po nim palcem, żeby przypadkiem nie pękł jak kangurek, którego dostała kiedyś w dzieciństwie za operację migdałków, jeszcze tego samego dnia dotknęła go bez należytej uwagi i w mgnieniu oka wyzionął ducha. Matka próbowała nadmuchać zwierzątko, ale na próżno, kangurek był martwy. Skóra wielbłąda jest miękka i wilgotna, nie ustępuje pod jej dotykiem, tylko delikatnie napina się i drży. Zwierzę odwraca ku niej głowę i owiewa jej twarz gorącym tchnieniem pustyni. Siada na grzbiecie zwierzęcia i bódzie je stopami. Wielbłąd powoli się podnosi i majestatycznie rusza. A kiedy po chwili pustynna



amazonka ogląda się za siebie, widzi, że za nimi jeden za drugim kroczą także trzy pozostałe wielbłądy.

Z Bolesławskiej, na której Mateuszkowa mieszka, skręcają w Winogradzką. Kiedy mijają sklep, koala się budzi, szybko przełazi z gałęzi na gałąź, zdziwiony tą nocną procesją. Mateuszkowa zagląda w okno wykuszowe. Stoi tam, nie myliła się więc. Gregorowa macha do niej ręką, Mateuszkowa też pozdrawia koleżankę, cieszy się, że Gregorowa widzi ją na wielbłądzie. Ciało zwierzęcia miękko się pod nią kołysze, jest to zupełnie inne kołysanie niż to, które zna z czasów, kiedy jeździła konno, ale szybko się do niego przyzwyczaiła, jakby od urodzenia nic, tylko dosiadała wielbłąda.

Na rogu placu Jerzego z Podiebradu, tam, gdzie kiedyś był sklep z odzieżą, ale teraz ma być bank, dostrzeżga Mateuszkowa dziwną postać. Lukaszowa! Cóż to takiego niesie na plecach? Swoją babcię! Lukaszowa patrzy na Mateuszkową, ale chyba jej nie poznaje, zbyt jest skoncentrowana na swoim brzemieniu. A zresztą, jak mogłaby wpaść na to, że obok na wielbłądzie jedzie jej szkolna koleżanka Mateuszkowa? Nawet kiedy Mateuszkowa macha do niej ręką, Lukaszowa nie zwraca na nią uwagi. Teraz babcia szturchnęła wnuczkę piętami i ta posłusznie puściła się pędem.

Mateuszkowa budzi się dopiero, kiedy Camel, jak go nazwała, zgina przednie nogi i powoli się kładzie. Także pozostałe wielbłądy kładą się w tej samej chwili, jak gdyby były jednym ciałem. Skąd jej przyszło do głowy to imię - Camel? Mateuszkowa rozgląda się dokoła, ale nie rozpoznaje ulicy, na której zatrzymała się karawana, chyba nigdy tu nie była. Zmęczyła się jazdą, może znużyło ją to kołysanie. Powinna pewnie jechać dalej, ale nie może sobie przypomnieć, dokąd ani dlaczego wyruszyła w podróż, niejasno pamięta tylko, że po drodze widziała Gregorową, a potem spotkała Lukaszową. Obejmuje szyję zwierzęcia, która jest trochę zwilgotniała. Znowu zasypia.

Markowa

Ta dziewczynka zwróciła jej uwagę już na ruchomych schodach, stała kilka stopni nad nią. Rzuciła się w oczy jej ubranie. Teraz, w środku zimy, miała na sobie tylko bluzeczkę w paski, lekką, choć z długimi rękawami, czarną spódniczkę i białe podkolanówki. Co chwila podskakiwała na swoim stopniu, kręcąc się przy tym na wszystkie strony. Odwróciła się także i do niej, Markowa przez moment widziała jej oliwkowośniadą twarz. Najwyraźniej nikt dziewczynce nie towarzyszył, chociaż mogła mieć zaledwie jakieś siedem, osiem lat.



Nie wyglądała jednak na spieszoną i zagubioną, niewątpliwie już wiele razy sama jeździła metrem.

Na górze Markowa straciła ją z oczu, dziewczynka zniknęła zapewne w kłębowisku ludzi tłoczących się przy stolicku z gazetami. Potem nagle pojawiła się tuż przed nią. Markowa patrzyła na nią ostupała, dziewczynka nie tyle bowiem szła, ile tańczyła, czy raczej przesuwiała się tanecznym krokiem, który przypominał Markowej coś bardzo dawnego. Dziewczynka na przemian stawiała kroki krótsze i dłuższe, postawiwszy dłuższy, miękko kołysząc się, ugiwała kolana. Przeszła w ten sposób całe przejście podziemne, a potem znikła na którychś ze schodów.

Markowa wie, że to bardzo prosty krok taneczny, występujący także w niektórych tańcach ludowych, zwłaszcza w korowodach, sama tańczyła w dzieciństwie taki taniec, tańczący utworzyli krąg i trzymali się wzajem za ramiona. Ale tam, na stacji metra „Želivského” ten krok wydawał się jej zupełnie inny, jakby kryło się w nim coś rytualnego. Do powstania takiego wrażenia przyczyniło się chyba także ubranie dziewczynki, całkiem nie pasujące do aktualnej pory roku. Dopiero w domu uświadomiła sobie, co ją w tym wszystkim tak mocno zafascynowało. Dziewczynka przemieszczała się krokiem tańca z Hagiboru, tańca duchów, które musiały opuścić obszar nad stacją „Želivského” i schronić się w podziemiach. Skulone nasłuchują tam huku przejeżdżających nad ich głowami pociągów i wspominają krwawe obrzędy, które sprawowały niegdyś na górze.

Dzisiaj zobaczyła ją ponownie. I teraz z miejsca przykuło jej uwagę to ubranie, takie samo jak poprzednio. Dziewczynka znów jechała schodami, stojąc kawalek nad nią. Nie działa się to jednak jak wtedy na stacji „Želivskiego”, tylko na stacji „Jerzego z Podiebradu”. Tym razem nie odwróciła się twarzą do niej, ale mimo to Markowa nie miała wątpliwości, że to właśnie ona. Wydawała się jej dziś jednak troszeczkę starsza, wyglądała mniej więcej na dziewięć lat. Z napięciem ją obserwowała, śledziła każdy jej ruch. Ku jej zdumieniu dziewczynka zjechała ze schodów na twardy grunt na wrotkach. Poruszała się na nich z niewiarygodną pewnością i gracją, krążyła w przejściu podziemnym wokół przechodniów, wymijała ich specjalnie dopiero w ostatniej chwili, śmiała się z ich przestraszu.

W domu bierze Markowa do ręki *Krytyka* Graciana, książkę, którą swego czasu pożyczył jej Nic. Mówił, że to dzieło ma wiele wspólnego z *Labyryntem świata i rajem serca* Komenskigo. Zawsze zdumiewał swoją niezwykłą erudycją, już na studiach swoimi wiadomościami wprawiał w zakłopotanie niektórych profesorów. Kartkuje książkę, zwracając uwagę na fragmenty, które zakreślił Nic, i dochodzi do miejsca, gdzie znajduje się opis Fortuny. Ubrana jest w strój na wpół świąteczny, na wpół żalobny, a na nogach zamiast butów ma kółka.

Lukaszowa

Lukaszowa złożyła w teatrze „Labyrint” wymówienie. Pan Kalab kręcił nad nim głową: czy nie ma to przypadkiem związku z jej nieszczęśliwą miłością do tego Portugalczyka? Dawniej go poprawiała, tłumaczyła, że Pablo nie jest Portugalczykiem, tylko Hiszpanem, później zrozumiała, że pan Kalab wcale nie ma problemów z zapamiętaniem przynależności narodowej Pabla, że tylko tak udaje, chcąc dać wyraz swojej pogardzie dla mężczyzny, który ją opuścił – i zrezygnowała z korygowania tego błędu.

– Nie jest pani godzien. Tak się zadreczać z powodu jakiegoś Portugalczyka. I to pani, która mogłaby owinać sobie wokół każdego palca co najmniej dziesięciu takich facetów.

Słyszając to pomyślała, że owszem, mogłaby mieć na zawołanie dziesięciu Kalabów, dziesięciu masywnistów teatralnych, ale o panu Kalabie, który zresztą podobnie jak Pablo był żonaty, bynajmniej nie marzyła.

Z miłością do Pabla wypowiedzenie naprawdę nie miało nic wspólnego, może już raczej wiązało się z Nowiną, którą dane jej było poznać, ale i tego

nie była Lukaszowa pewna. Pewnego dnia wracała z teatru szesnastką, zupełnie nie zdając sobie sprawy, że jest to liczba, która dla Alana okazała się fatalna, i wysiadła na przystanku na rogu ulicy Peruna. Kiedy przechodziła koło swojej dawnej szkoły, zobaczyła na bramie napis: DWIE SPRZĄTACZKI POTRZEBNE OD ZARAZ. INFORMACJE U WOŻNEGO. I nagle pojęła, że z teatrem koniec, dosyć ma już tych zwierzęcych pysków, które od czasu do czasu widzi w okienku kasy, dosyć, będzie sprzątać w szkole. Może uda jej się na to samo namówić także Mateuszkową, i tak nie będą chcieli przyjąć jej z powrotem do kancelarii prezydenta, nawet kiedy wyjdzie już z obłędu, z pewnością dowiedzieli się czegoś o sekcje, a sekcjarzy tam przecież zatrudnić nie mogą. Usłyszawszy o ogłoszeniu, Mateuszkowa o dziwo nie wahała się ani przez chwilę: z radością przyjmie tę posadę, już choćby dlatego, że będzie tam razem z Lukaszową. Lukaszowa teraz wprowadzie trochę żału, że powiedziała jej o tej pracy, jako że Mateuszkowa jest bardzo powolna i trzeba jej pomagać, bo w czasie, który wystarcza na posprzątanie całego piętra potrafi uporać się zaledwie z połówką. Przed sprzątaczką Jonaszową, która dogląda ich pracy, ten fakt jednak Lukaszowa ukrywa.

Wycierając kolistymi ruchami podłogę na korytarzu na czwartym piętrze, ma niekiedy Lukaszowa dziwne wrażenie, że gdyby gwałtownie otworzyła drzwi ósmej B, ujrzałyby za nimi całą ich klasę. Nie brakowałoby Janů, nie jeździłaby jeszcze na wózku, byłyby tam także Gregorowa, nawet nie przeczuwałaby, że za kilka lat umrze. A w ławce za Janů siedziałyby Baran, stateczny już jako chłopiec. Lukaszowa przez pewien czas była w Baranie zakochana, ale on zawsze myślał tylko o Janů, chodził za nią jak cień, a na Lukaszową nawet nie spojrział. Gwałtownie otwiera drzwi klasy. Nikogo za nimi nie ma. Jakżeby inaczej? Dawno już losy rozrzuciły ich wszystkich po świecie. Niektórych koleżanek Lukaszowa nie widziała od czasów szkolnych ani razu, na spotkanie w Pałacu Kultury w dziesiątą rocznicę ukończenia szkoły nie przyszły, inne czasem spotyka, spotyka także Barana, który jej się nawet nie kłania. Widowała się i widuje tylko z Mateuszkową, Pawłową, a teraz także z Janů.

Tutaj siedziała Markowa. Lukaszowa przesuwając po blacie ławki Markowej, mokrą szmatą, ktoś wyrzucił na nią romb. A tutaj siedziała Gregorowa. Wyciera jej miejsce bardzo ostrożnie, jakby mogła zrobić Gregorowej krzywdę. Gregorowej? Raczej sobie. Potem jej wzrok pada na ławkę, w której siedziała Janů, coś tam leży, Janů pewnie zapomniiała w szkole jakiegoś zeszytu. Albo może dzienniczka? Lukaszowa podchodzi do ławki niemal na palcach.

Nie, zdawało się jej tylko, że coś na ławce leży, w myśli stopiły się ze sobą dwa różne momenty, oddzielone od siebie wieloma laty. Zresztą nawet wtedy dzienniczek nie leżał przecież na ławce, Janù zapomniała go w przegródce na teczkę, pewnie się za nią wsunął. To właśnie Lukaszowa, która zauważyła zapomniany dzienniczek, wpisała jej tam wtedy to obrzydliwe zdanie, trudno jej nawet powiedzieć, dlaczego to zrobiła, może dlatego, że Baran tak beznadziejnie Janù kochał, a ona udawała świętą. Święta Janù – tak ją nazywały. „Członek, który zgrzeszył, niechaj będzie odrzucony” – czytała gdzieś kiedyś. Miała więc sobie odciąć rękę? Czerwony pisak, którym napisała obrzydliwe zdanie, wrzuciła potem do klozetu, mimo spuszczenia wody długo nie chciał zniknąć. Baran przebilby ją swoimi rogami, gdyby wiedział, że to ona. Może ją zresztą o to podejrzewa, bo niby dlaczego się jej nie kłania.

Janù (objawienie drugie)

Ja, Janù, widziałam rzekę, która w nocy zamarała. Lód był czarny jak atrament. I widziałam, jak na rzece ślizgało się wielu ludzi, były między nimi także moje koleżanki ze szkoły przy ulicy Peruna. Również ja jeździłam na łyżwach. I widziałam, jak pomahu, ale niepoustrzymanie jakaś ciemna fala zbliża się ku nam od małastrąskiego brzegu. Wszyscy nagle znieruchomieli i wpatrywali się w ową falę. A potem na ulicy Spalonej widziałam pannę, szła przez miasto całkiem naga, rękami zakrywała sobie piersi. Nikt się temu nie dziwił. Uśmiechała się, więc wszyscy myśleli, że jest obłąkana. Za każdym razem, kiedy ktoś się do niej z ciekawości zbliżał, jak zasłonę rozsuwała sobie skórę na brzuchu tak, że widać jej było wnętrznosci. A ujrzawszy to, wszyscy się od niej odwracali i dalej szli swoją drogą. Nikt do owej panny nie podszedł i nie okrył jej nagości ani nie opatrzył okropnej rany. I widziałam wszetecznice, jadącą na lwie od strony placu Karola, bestia zdawała się zmęczona, kulala. A gdy wszetecznica dojechała do nagiej panny, zeszła z lwa i obróciła pannę w swój niebieskoszary płaszcz, sama zaś została naga, albowiem pod płaszczem nic na sobie nie miała. I widziałam, jak pannę ową posadziła przed sobą na lwa i jak stępa pojechali w stronę Teatru Narodowego. A ów lew, jako że niósł na sobie podwójny ciężar, kulal jeszcze bardziej, co budziło zgorzelenie przechodniów. Słyszałam, jak wołają do nich, żeby zeszły, że to dręczenie zwierząt. One jednak nie zwracały na to uwagi i jechały dalej, koło teatru skręciły na nadrzeczny bulwar – owa panna i owa wszetecznica, i nikt już nie wie-

dział, która jest która, gdyż wszetecznica była naga, tak jak przedtem panna, panna zaś miała teraz na sobie płaszcz wszeteczniczy.

Mateuszkowa

Wyciera podłogę na korytarzu na trzecim piętrze. Idzie jej to powoli, wykonawszy kilka ruchów owiniętą w szmatę miotłą, musi wypłukać szmatę w kubek z wodą, wodę zaś musi parę razy zmieniwać. A i tam ma wrażenie, że podłoga nie jest dobrze umyta, nie chce jednak, żeby Lukaszowa znowu musiała jej pomagać. Lukaszowa chyba myje korytarz do czysta w ogóle nie zmieniając wody, inaczej nie mogłaby tak szybko być gotowa. Najbardziej Mateuszkowa boi się, by o tym, że Lukaszowa jej pomaga, nie dowiedziała się Jonaszowa. Co jednak ma zrobić z plamami, które nie znikają, nawet kiedy trze podłogę szczotką ryżową?

Wzdryga się z przestrachu, usłyszawszy kroki, właściwie słyszy jakiś szelest, coraz głośniejszy. A więc znowu nie skończyła na czas. Lukaszowej to wprawdzie niby to nie przeszkadza, ale na pewno zdążyła pożałować, że powiedziała jej o posiadzie sprzątaczk. Mateuszkowa myli się jednak, to nie Lukaszowa, tylko Jonaszowa. Kiedy jest już blisko, Mateuszkowa widzi, że sprzątaczk wcale nie idzie, tylko kawałek nad ziemią unosi się na miotle, którą wyciera podłogę.

– Któż to widział zaczynać od schodów. A co z tymi plamami?

– Te plamy nigdy nie puszcza – słabym głosem broni się Mateuszkowa.

– A Orion Plus? Nie oprze mu się nawet największy brud.

Dopiero teraz Mateuszkowa zauważa, że sprzątaczk do wychudzonego ciała przyciska ogromne pudło. Nie ośmiela się dłużej dyskutować, chociaż wie z telewizji, że Orion Plus to proszek do prania i wątpliwe, by nadawał się także do czyszczenia podłóg, do tego służy chyba raczej pan Proper. Posłusznie wsypuje jednak do wody trochę proszku. Zauważa szmatę, wyżyma ją, owija na miotłę. Zaledwie kilka razy przejeżdża miotłą po zabrudzonym miejscu, a już plama znika. Sprzątaczk ze znaczącym uśmiechem unosi zakrzywiony palec wskazujący:

– Orion Plus firmy Henkel. Żaden brud mu się nie oprze.

Mateuszkowej wydaje się, że taką scenę mycia korytarza już gdzieś widziała, pewnie w telewizji. Stara się więc, obserwowana przez Jonaszową, myć podłogę możliwie najlepiej, ale szmata jakby naumyślnie co chwila się zsuwa. Nagle Jonaszowa wyrывa nowej pracownicy miotłę, przechyla kij i wsuwa go jej pomiędzy uda.

- Ścisnij go mocno nogami! Patrz na mnie! - i pokazuje, jak siedzi na swoim kiju. - Tak pójdzie ci znacznie lepiej.

I rzeczywiście, ścisnąwszy kij udami Mateuszkowa zaraz odrywa się trochę od ziemi. Leci za Jonaszową ku schodom, ścierając za sobą podłogę.

Kiedy Lukaszowa w końcu schodzi ze swojego piętra, nie wierzy własnym oczom. Podłoga jest tym razem umyta od ubikacji aż do schodów i lśni jak lustro. Jak tego Mateuszkowa dokonała? Ano, ma teraz wspaniałego pomocnika - Oriona Plus. Kiedy potem piętro niżej mijają razem Jonaszowa, ta nie jest jeszcze gotowa. Odwraca się i porozumiewawczo mruga do Mateuszkowej:

- Tylko zawsze mocno go ściskaj.

O czym ta stara wiedźma mówi? Lukaszowa jest przekonana, że sprzątaczką miała na myśli jakieś świństwo, inaczej Mateuszkowa nie zaczerwiłaby się aż po korzonki włosów.

Markowa

Markową złości, że Pierre odszukał ją najwyraźniej tylko z jednego powodu: bo potrzebował od niej pomocy. Poznała go, kiedy przyjechał fotografować polistopadową Pragę i krótko z nim chodziła, było to, zanim zaczęła chodzić z Każdym; może nawet trochę się w tym Francuzie kochała. Przez dwa lata Pierre nie dawał znaku życia, aż tu nagle kiedyś zatelefonował o dziesiątej wieczorem, jakby widzieli się nie dalej jak poprzedniego dnia. Mówił, że przygotowuje książkę o Pradze i chciałby do niej włączyć między innymi fotografie wnętrza Teatru Narodowego. Zostało mu jednak bardzo niewiele czasu, już rano wraca do Paryża.

Spotkali się przed teatrem koło jedenastej. Przedstawienie dawno się skończyło i wydawało się rzeczą niemal wykluczoną, by udało im się jeszcze dostać do środka. Obchodzą ciemny budynek dookoła i oto znowu stoją przed głównym wejściem. Markowa naciska kławkę, oczywiście zamknięte na klucz. W tym momencie w sąsiednich drzwiach pojawia się starszy pan, wychodzi i zamyka za sobą. Jest to inspicjent - pan Popelka. To, co prawie niemożliwe, staje się rzeczywistością; ma się rozumieć, że pan Popelka pamięta jej ojca, wróci z nimi na chwilę do teatru, skoro tak im na tym zależy.

Pierre najpierw robi zdjęcia w foyer. Okna, za którymi panuje ciemność, zmieniły się w lustro, podwajające pomieszczenie z potężnymi kryształowymi kandelabrami i ciemnymi popiersiami stojącymi wzdłuż ścian. Markowa nie wie, czy okna wychodzą na rzekę i widać przez nie słynną panoramę, czy może skierowane są na narożny budy-

nek, gdzie na parterze znajduje się kawiarnia „Slavia” (właśnie tam poznała Pierre'a, teraz kawiarnia od dawna jest zamknięta), bliskość rzeki czuje się jednak wyraźnie. Kryształowe wisiorki na kandelabrze, pod którymi stoi, drżą i cicho chrzęszczą, kiedy na dole przejeżdża tramwaj albo jakiś większy samochód. Ten dźwięk coś Markowej przypomina, coś z dzieciństwa. W kandelabrze świeci tylko kilka żarówek. Kiedy tak stoi w foyer Teatru Narodowego pod na wpół rozświetlonym kandelabrem i wsłuchuje się w znajomy dźwięk, zauważa, przyjrzawszy się im dokładniej, że wisiorki nieustannie leciutko drżą, zapewne reagują na jakieś dalekie wstrząsy, których ludzkie ucho nie jest w stanie usłyszeć. Na jednym z obrazów praojciec Czech pokazuje zgromadzonym wokół siebie ludziom ziemię, którą będą zamieszkiwać. Drugą ręką czochra grzywę lwa, leżącego u jego nóg. Markowej wydaje się, że także ciało lwa lekko drży.

W końcu pan Popelka, który gdzieś na chwilę zniknął, wraca i prowadzi Markową i Pierre'a dalej. Widownia pojawia się przed nimi jak wielka jaskinia ze skalnymi występami balkonów, z których w półmroku spływają mętnie połyskujące złote stalaktyty. Pan Popelka pokazuje im, żeby przyłączyli się do niego i weszli do łódki, która kształtem przypomina trochę gondolę. Markowa i Pierre wchodzą do niej i łódka natychmiast rusza, jakby posłuszna woli jakiegoś podziemnego prądu pomału płynie w kierunku sceny. Markowej wydaje się, że tuż pod powierzchnią widzi fotele z czerwonym obiciem i ciemnym drewnem na brzegach oparć. Pan Popelka kiwa głową, istotnie tak jest, te fotele wytrzymają podobno co najmniej sto lat, obicie da się łatwo wymienić, a drewno jest doskonałej jakości, bukowe.

Aczkolwiek od sceny nie dzieli ich więcej niż kilkadziesiąt metrów, Markowa ma wrażenie, że płyną niewiarygodnie długo, a nawet zaczyna wątpić, czy kiedykolwiek dotrą do celu. Kurtyny przeciwpożarowej, o dziwo, po przedstawieniu nie opuszczono, nawet kurtyna malowana przez Hynaisa nie jest zasunięta, Markowa widzi więc przed sobą powiększającą się dekorację - szarą fasadę ze ślepymi oknami, na parterze domu otwarte są dwuskrzydłowe drzwi, wydaje się, jakby przed chwilą ktoś przez nie wyszedł. Ta ponura dekora-



cja zajmuje niemal całą scenę, aktorom pozostaje do gry tylko bardzo ograniczona przestrzeń na proscenium. Pan Popelka od czasu do czasu zwraca uwagę swych gości na jakiś szczegół, ornament albo rzeźbę, Markowa próbuje, na tyle, na ile pozwala jej znajomość języka, przekładać jego słowa na francuski.

Woda pod łódką marszczy się bardzo nieznacznie, wydaje się Markowej gęsta jak lawa lub nafta. Przebyli dotąd ponad połowę drogi do rampy, za którą sterczy teraz już ogromna, złowieszcza, zniszczona fasada. Markowa ogląda się za siebie. Otwiera się przed nią muszla widowni z balkonami i galeriami, ułożonymi piętrami nad sobą. A potem... jak to możliwe, że ich dostrzegła dopiero teraz? Siedzą na balkonie, w każdym rzędzie para, uspio- ne głowy opadają im na piersi i na ramiona. Pan Popelka znowu kiwa głową:

- Czekają, aż przyjadą ich autobusy, są z prowincji. Któż by ich wyganiał na mróz. Mieliśmy w planie przedstawienie *Świętoszka*, ale się nie odbyło, pana Vinklarza, widzicie państwo, nie dało się dobudzić.

Spojrzenie Markowej ześlizguje się na powierzchnię wody. To nie do uwierzenia, ale także pod nią siedzą ludzie, mocno śpią tam, zagłębieni czy raczej zanurzeni w fotelach z czerwonym obiciem. Markowa podnosi wzrok na łożę prezydentką - chwała Bogu - jest pusta. A więc tym razem to będzie woda, może to ta woda, której szum od dawna słychać w podziemiach metra. Nie ogień, ale woda zniszczy teraz Teatr Narodowy.

Łódka przybija wreszcie do brzegu czy raczej do rampy. Pan Popelka wyskakuje pierwszy i pomaga im się wygramolić. Zaprasza ich do domu. Domu Tartuffe'a? Za drzwiami nie ma nic, tylko czarne kotary, falujące w przeciągu. Markowa odwraca się i widzi, jak na widownię tylnymi drzwiami, którymi tam weszli, powoli i majestatycznie jeden za drugim wpływają łabędzie.

Lukaszowa

Lukaszowa cieszy się, że Janù wreszcie zgodziła się zajrzeć do Domu Kurów i posłuchać tego ich kaznodziei. Dom Kurów nie jest daleko od niej, w dodatku całą drogę pojedą przecież z góry. Wózek podskakuje na nierównym bruku, ale Janù nie wypadnie, chociaż niemal zupełnie nie ma już siły w rękach - jest przywiązana jak orzeł, rozpościerający skrzydła na szczycie jej domu.

Na stromej ulicy Krasy Lukaszowej po raz pierwszy przychodzi do głowy, że nie powinna była podejmować tego trudu. Czy Janù ta wyprawa

nie zaszkodzi? Wyprawa czy raczej kaznodzieja? A może Lukaszowa, przyprowadziwszy Janù do Domu Kurów, wpadnie u kaznodziei w niełaskę? Jakże jednak teraz mogłaby powiedzieć Janù, że wracają? Im głębiej pograża się w żiżkowskim parowie, tym więcej wokół nich ciemnych twarzy. Od chwili, kiedy przecięły ulicę Seiferta, za wózkiem ciągnie gromada Cyganiątek, zwiększa się z każdym przejechanym metrem.

- Pani, co pani jest? Nie może pani chodzić? - wołają dzieci do Janù. - Pani, my cię także powozimy, nie chcesz?

Niektóre, jakby miało im to przynieść szczęście, dotykają wózka. I Lukaszowa zaczyna się bać, żeby dzieci go nie porwały. Nie zwierza się Janù ze swoich obaw, wprost przeciwnie, uspokaja ją, już są na placu Konstancjańskim, jeszcze go objadają, bo po schodach wózkiem jechać nie mogą, i będą na miejscu. Janù rozgląda się dokoła, nigdy tu nie była, plac mógłby być ładny, szkoda że szpeci go budynek stacji transformatorowej, wiszą na nim tabliczki ze znakiem błyskawicy - hieroglifem boga piorunów. Aż tutaj więc sięga jego moc.

Z okien domów na placu wychylają się ciemne głowy, wszyscy obserwują dziwną procesję, która kieruje się ku ulicy Orebickiej. Albowiem właśnie tam, na samym dnie żiżkowskiego parowu znajduje się Dom Kurów. Lukaszowa ostatkiem sił pcha wózek, nie sądziła, że droga będzie taka uciążliwa, skoro niemal cały czas jedzie się z góry. Nie przypuszczała też, że wózek Janù wzbudzi takie poruszenie. Czyż kaznodzieja nie kładzie im na sercu, żeby byli ostrożni i przychodzili pojedynczo, nie zwracając niczyjej uwagi? Gdzieś z przodu zamajaczyły postaci bliźniąt, choć może Lukaszowej tylko się wydawało. Niektórzy ciekawscy wręcz wybierają z domów i dołączają do orszaku, na którego czele jedzie na wózku jak na tronie chora panna Janù.

Lukaszowa chwilę nalega i Janù w końcu się zgadza. Dobrze, niech najpierw zanieś na górę ją, a potem szybko wróci po wózek, zaczekać na nikogo nie mogą, bo pewnie nikt już nie przyjdzie, trochę się spóźniły. Nie przypuszczała, jakim Janù będzie dla niej brzemieniem, nieporównanie cięższym niż zmarła babcia. Na każdym podeście musi poprawiać sobie ciało kaleki, bo stale ześlizguje się jej ono z pleców. Janù w żaden sposób nie może ułatwić jej wchodzenia, nie ma nawet tyle siły, by obejmować ją za szyję, ręce stopniowo jej słabną, niepowstrzymanie ześlizguje się coraz to niżej. Wysoko, dopiero pod samym dachem jest Dom Kurów. Lukaszowa chce zadzwonić, ale Janù prosi, żeby najpierw wróciła po wózek. Lukaszowa nie jest z tego zadowolona, w tej chwili po raz

drugi żałuje, że zabrała Janů ze sobą. Jeśli spóźnią się na początek, to mogą ich potem nie wpuścić do środka.

Wózek znikł, prawdopodobnie ukradły go dzieci. Niech Janů się nie boi, wszyscy będą go szukać, kaznodzieja z pewnością im pomoże. Lukaszowa dzwoni i dopiero po chwili zauważa, że drzwi są tylko przymknięte. Wewnątrz jednak nikogo nie ma. Może pomyliła dzień, może dzisiaj nie jest czwartek. Albo może – dopiero teraz z przerażeniem to rozumiała – Kurowie opuścili to miejsce, bliźnięta widziały, jakie poruszenie budzi wioząc Janů, i donieśli kaznodziei. Lukaszowa schodzi nogą za nogą, na karku czuje gorący oddech kaleki. Boi się, że nigdy nie zobaczy już kaznodziei. Twierdziła, że bywa w Domu Kurów tylko ze względu na Mateuszkową, ale to nie była prawda. Przecież Mateuszkowa już tam nie chodzi, kaznodzieja ją przepędził, a Lukaszowa została, wcale nie odeszła razem z nią. Mateuszkowa kochała kaznodzieję. Również Lukaszowa go kochała, a teraz jest potępiona – jak Alan, jak Mateuszkowa. A Janů – co pocnie bez wózka, który straciła z jej winy?

Janů

Nieszczęsny wypad na Orebicką był znakiem. Nigdy nie powinna była się na niego zgodzić. Wmawiała sobie, że jedzie tam ze względu na koleżanki z Perunki, ze względu na Mateuszkową i Lukaszową. Czy kiedyś także Lukaszowa nie mówiła, że chodzi tam ze względu na Mateuszkową? W istocie Janů była ciekawa tego kaznodziei, może coś sobie po nim obiecywała, może wierzyła, że kaznodzieja uczyni cud, a ona wstanie i będzie chodzić, tak jak chodzi w snach? Tymczasem straciła wózek, jest teraz przywiązana do fotela bez kółek i całkowicie zależna od pani Mojżeszowej i Jakuba, który przepowiedział, że tak to się skończy. Tak, nie prowadziły do niczego dobrego te jej czary z wahadełkiem ani ta nierozważna wyprawa. Nierozważna? Po prostu szalona! Od tamtej pory coraz częściej przychodzi do niej ten człowiek, sędzia Boblig z *Młota na czarownicy*; niedawno jeszcze raz przeczytała tę powieść. Wciąż od nowa pyta ją o czyny lubieżne, których rzekomo się dopuszczała, gromada jej kochanków z dnia na dzień rośnie. Ale cóż ma przywiązana do fotela Janů zrobić, skoro sędzia każe zakładać jej na palce zaciski, skoro każe wzuwać jej buty hiszpańskie, skoro rozżarzoną żelazną przypieka jej pieprzyk na biodrze? Dopóki miała wózek, mogła uciec do łazienki, tam za nią sędzia Boblig nigdy nie wszedł, pewnie ten, co dręczy ją ogniem, boi się wody.

Wielu ludzi się nią teraz zajmuje, odezwał się

Komitet Dobrej Woli, w zeszłym tygodniu odwiedziła ją sama pani Olga Havłowa i przyrzekła wystarać się o wózek. Może powinna powiedzieć o Bobligu Jakubowi, sędzia zawsze zjawia się w chwili, kiedy jest w domu sama. Ale czy Jakub nie pomyślałby, że całkiem zwariowała? Powinna mu także opowiedzieć o zabawie z Melicharową, w którą bawiły się w damskiej ubikacji szkoły na ulicy Peruna. Może zrozumiałby wtedy, dlaczego nie chce mu się pokazać rozebrana – kiedy pomaga jej wejść do wanny i potem z niej wyjść, zawsze go prosi, żeby zamknął oczy. Nie chciała być panną Melicharową, anatomicznym manekinem z gabinetu profesora Suszila. Siłą rozebrały ją do naga, kiedy przyszła na nią kolej, śmiały się, że się wstydzi. Kopała i krzyczała. Do ubikacji wpadła profesorka Malatowa, za nią stał profesor Suszil.

– Janůowa! – na nic więcej się wtedy Malatowa nie zdobyła.

Janů przechodzi dreszcz. Znowu za drzwiami słyszy ich tupot. Po chwili stoją już za jej plecami, brzękają łańcuchy.

– Janůowa! Przyznaj się! Co robiłaś z doktorem Przystoupilem? – to pytanie stale się powtarza. – Gdzie cię głaskał?

– Po udach.

– I gdzie poza tym?

– Po piersiach.

– I gdzie jeszcze? Głaskał cię także po brzuchu?

– Tak.

– Robiliście to w jego pokoju?

– Nie, do tego nigdy nie doszło.

– Więc nie? – sędzia Boblig każe wzuć jej but hiszpański. Już na sam jego widok Janů mdleje, od poprzedniego badania noga się jej jeszcze nie zagoiła.

– Tak, robiliśmy to.

– A potem robiłaś to z Portugalczykami?

– Tak.

– A z Lukaszową tego nie robiłaś?

– Z Lukaszową? Nie, z nią nie.

Okropny ból w nodze.

– Tak, tak, tak.



Rysunki Marcin Wicha

Przełożył Leszek Engelking

TEATR JÁRY CIMRMANA

W 1967 roku grupa redaktorów radiowych (m.in. Zdeněk Svěrák i Jiří Šebánek), pisarzy (m.in. Josef Škvorecký) oraz muzyków jazzowych postanowiła stworzyć postać czeskiego „everymana”, Járy Cimrmana, który znając się na wszystkim, dzięki swojemu sprytnemu, pokazałby światu, co Czech potrafi. Wkrótce do radiosłuchaczy zaczęły napływać sensacyjne wiadomości o wybitnym Czechu, który żyjąc za panowania cesarza Franciszka Józefa ukrywał swe osiągnięcia, aby nie przypisano ich Austriakom. Trochę czasu musiało upłynąć zanim mistyfikacja wyszła na jaw.

Cimrman, którego osiągnięcia porównywano z dokonaniami Nobla, Eiffla, Liszta, Zeppelina, był ojcem czeskiej gimnastyki, kompozytorem, specem od kryminalistyki, prekursorem jazzu, badaczem polarym, lingwistą etc. i stał się jedną z najpopularniejszych postaci w Czechosłowacji, spadkobiercą tradycji dzielnego wojaka Szwejka.

W 1967 roku powstaje także Teatr Járy Cimrmana prowadzony przez aktorów i autorów tekstów: Zděnka Svěráka i Ladislava Smoljaka. Początkowo siedzibą teatru była Malostranská Beseda, potem Klub Jazzowy „Reduta”, „Divadlo Na Zábřehu”, wreszcie Teatr na Žižkovie, gdzie mieści się do dzisiaj.

Dorobek Svěráka i Smoljaka to nie tylko spektakle, ale wielka płytoteka z ich nagraniami, pełnometrażowe filmy (najpopularniejszy to *Jára Cimrman sedící, ležící, spící*) oraz książki (m.in. wydanie zbiorowe sztuk teatralnych z dokładnie opracowanym słownikiem i indeksem).

Na Žižkovie, obecnie pod rządami Václavův – Havla i Klause – Cimrman stale gromadzi komplet publiczności.



JÁRA CIMRMAN

Zdobycie bieguna północnego przez Czecha Karola Niemca 5 kwietnia 1909

(dramat północny)

Osoby:

Naczelnik Karol Niemiec
Nauczyciel posiłkowy Waclaw Poustka
Aptekarz Wojciech Szofr
Jądrek Frisztenski
Amerykanin pochodzenia czeskiego

AKT 1

Pusta scena. Huk zatrzymującego się pociągu, trzaskanie drzwi wagonów. Wchodzi Frisztenski z walizką, kładzie ją na ziemię i wyciąga ręce na wysokość okna wagonu, skąd ktoś podaje mu kolejne bagaże. Potem wchodzi inni członkowie ekspedycji: nauczyciel, aptekarz i naczelnik. Pomagają wyladować bagaż i ekwipunek. I tak oto na scenie, obok kupy walizek i plecaków, pojawiają się sanie i cztery pary nart z kijkami. Z portalu zaczyna dmuchać para sapiącej lokomotywy. Członkowie ekspedycji żegnają się i rozmawiają z podróżnymi w pociągu.

NAUCZYCIEL (NI): Szczęśliwej drogi i dziękujemy za wszystko!

APTEKARZ (A): Do widzenia, błagorodzie! Co takiego? Tak, na bieguna północny. Da. Piechotę. U nas narty. Da. Co takiego? Tak, naczelnik, to ten.

NI: Sabaki? Nie mamy. My zamiast psów mamy tu tego. To siłacz. On kak (*pokazuje na palcach*) dziecięć sabak.

NACZELNIK (N): Z Pragi. Österreich, Awstria. Ale my też Słowianie. Czesi.

A: Wikt mamy. Tri gęsi, słoninę, chleb. Wszystko. Sprzedać? Nie możemy. Nam nado. My musimy hen daleko.

Pociąg odjeżdża.

WSZYSCY: Żegnajcie, do widzenia, cześć!

N.: Ano, przyjaciele, być może, że to byli ostatni ludzie, których widzieliśmy. Czy mamy wszystko?

Nl.: Wszystko. Narty, jedzenie, kompas, apteczka, grzałka, zapasowe ubranie...

A.: Piłka! Zostawiłem w pociągu piłkę.

N.: Co?

A.: Nadmuchiwana piłkę. Bardzo mi przykro, naczelniku, ale chyba obejdziemy się bez niej.

N.: No, śliczny początek!

A.: Naprawdę, jest mi bardzo przykro, naczelniku.

FRISZTENSKI (F): Do diabła z piłką! Najważniejsze, że mamy co włożyć do gęby.

N.: Tej piłki, zobaczycie jeszcze, będzie nam cholernie brakowało. Czy wy wiecie, jak długo trwa noc polarna?

A.: Sto dni.

N.: Właśnie! Sto dni zmierzchu, mrozu i samotności. Czy wy myślicie, że ta melancholia to żarty, co? Czyż nie czytaliście sto razy o tym, jak ona działa na ludzi? Z trzydziestu sześciu ekspedycji polarnych osiem zginęło z głodu, sześć z mrozu, cztery z wycieńczenia, a siedemnaście z melancholii! Siedemnaście!

A.: Wybacz, naczelniku, ale to razem daje trzydzieści pięć. Jednej ekspedycji brakuje.

N.: Jak to? Osiem z głodu, sześć, cztery, siedemnaście, razem...

A.: Trzydzieści pięć.

Nl.: Rację ma naczelnik. Naczelnik słusznie nie wziął pod uwagę amerykańskiej ekspedycji profesora Mac Donalda, która zaginęła z nieznanym przyczyn.

N.: To żadne żarty! Koniec świata! Bez piłki!

Nl.: Naczelniku, zostawiłem to na później jako niespodziankę, ale skoro teraz wiemy, że jesteśmy bez piłki, powiem o tym od razu. Kiedy spaliście w pociągu, skomponowałem piosenkę na trudne chwile. Myślę, że jest udana. Oprócz tego przygotowałem jedno komiczne przebranie, ale tego jeszcze nie zdradzę. Uważam, że melancholii nie musimy się obawiać.

N.: Koniec świata! Amundsen, chłop ze stali, a płakał jak chłopiec. Ale już tu, z powodu głupiej piłki, sterczymy zbyt długo. Na narty!

Wszyscy przymocowują długie narty i chwytają kijki.

Zaprzągać!

Z kijkami w rękach i nartami na nogach, przeszkadzając sobie nawzajem, nakładają uprzęż na Friszteńskiego, drugi koniec przymocowują do sań i układają na nich bagaże. Narty i groty kijków stukają o podłogę sceny.

A.: *(po cichu do nauczyciela)* Nie chcę krytykować naczelnika, ale najpierw powinien był wydać komendę „Zaprzągać”, a dopiero potem „Na narty”. Taki jest przynajmniej mój pogląd.

(Wreszcie wszyscy stoją przygotowani do drogi trasą do lewego portalu.)

N. Określę północ. Kierunek północ... *(patrzy na kompas)*, niestety, pojedynczo, w lewo skręt, sto osiemdziesiąt stopni w tył!

(Zamieszanie z nartami i kijkami powtarza się.)

A.: Nie chcę uchodzić za zrzedę, ale ja bym najpierw określił północ.

N.: Ekspedycjo polarna, w składzie: Naczelnik Karol Niemiec...

Nl.: Naczelniku. Uwaga techniczna. Czy mogę? Czy nie przeszkadza, że tam jest nasyp i tory?

N.: Wiem o tym. Narty zdjąć!

A.: *(do nauczyciela)* Może się będzie panu wydawało, że ja wciąż krytykuję, ale ja bym najpierw...

Nl.: Wiem.

N.: Ekspedycjo polarna! W kolejności: naczelnik Karol Niemiec – jestem! Zaprząg – Jądrzek Friszteński...

F.: Jestem! *(ustawia się za naczelnikiem)*

N.: Nauczyciel posiłkowy Wacław Poustka...

Nl.: Jestem! *(ustawia się)*

N.: Aptekarz Wojciech Szofr...

A.: Jestem! *(zamyka szereg)*

N.: Kierunek: Północny lodowaty biegun... jazda NAPRZÓD!

Przed kurtyną 1

Nl.: Jako nauczycielowi powierzono mi naturalnie prowadzenie dziennika naszej ekspedycji. Przeczytam państwu pierwszych trzydzieści siedem stron:

Rozdział pierwszy: Powstanie wielkiego projektu.

W zeszły wtorek aptekarz Szofr przyszedł z pomysłem zdobycia bieguna północnego. Kiedy go zaprezentował na zebraniu naszego Zrzeszenia Podolskich Zahartowanych, wszyscy byli zachwyceni. Ale nikt nie chciał wziąć udziału w ekspedycji. W większości – z powodów rodzinnych. W końcu znaleźli się trzej śmiałkowie: naczelnik Zrzeszenia Karol Niemiec, pracownik wytwórni lodu w browarze branickim Jądrzek Friszteński i ja, nauczyciel Wacław Poustka. Wszyscy kawalerowie, bez powodów rodzinnych.

Datę wyjazdu ustalono na 9 grudnia 1908. Do południa tego dnia jeszcze trochę trenowaliśmy na weltańskim śryżu pod Teatrem Narodowym,

a o trzynastej godzinie, z drugiego toru dworca Franciszka Józefa, porywał nas już pociąg w kierunku na północ.

Na uroczysty nastrój wyjazdu spadł jednak cień. W tym samym dniu odbywał się pogrzeb brata Janoucha, więc Praga żegnała nas bez muzyki, albowiem orkiestra, która miała grać na dworcu, musiała grać nad grobem.

Towarzyszył nam właściwie tylko bratanek Frisztskiego, Gustaw. Ten światowy mistrz wagi ciężkiej w grecko-rzymskich zapasach, który w Niemczech pobił Schichtla, zarznął w domu prosiaka i przyniósł nam obfity poczęstunek.

Skoro już mowa o Frisztskich, nie mogę ukryć pewnej obawy. Członek naszej ekspedycji, Jądrzek Frisztski, siłą swoją wprawdzie dorównuje dziesięciu psom pociągowym, ale nie wiem, czy jego zdolności umysłowe sprostają tak trudnemu zadaniu, jakim jest misja polarnika. Na razie zachowuje się tak, jakby chodziło o niedzielną wycieczkę do Pruhonic. Już od Nachodu nieustannie dopytuje się, kiedy tam już dotrzemy, a najbardziej się cieszy tym, że w strefie wiecznego śniegu będziemy lepić bałwany. Częstokroć, gdy go słucham, odnoszę wrażenie, że powinniśmy byli, pomimo wszystko, zabrać psy.

W drodze z najbardziej na północ wysuniętego dworca syberyjskiego nic niezwykle się nie wydarzyło, dlatego też przeczytam tylko nazwy rozdziałów:

Rozdział 5 - uroczyste przekroczenie 70 równobieżnika.

Rozdział 6 - Frisztskiemu odmroziły się obydwie nogi.

Rozdział 7 - Czy wrócimy?

Rozdział 8 - Symulant dostał nauczkę.

Rozdział 9 - Zgubiliśmy kompas.

Rozdział 10 - Wilki.

Rozdział 11 - Błądzimy we mgle.

Rozdział 12 - Zwiedzanie petersburskiego Ermitażu.

Rozdział 13 - Kolejne przekroczenie 70 równobieżnika.

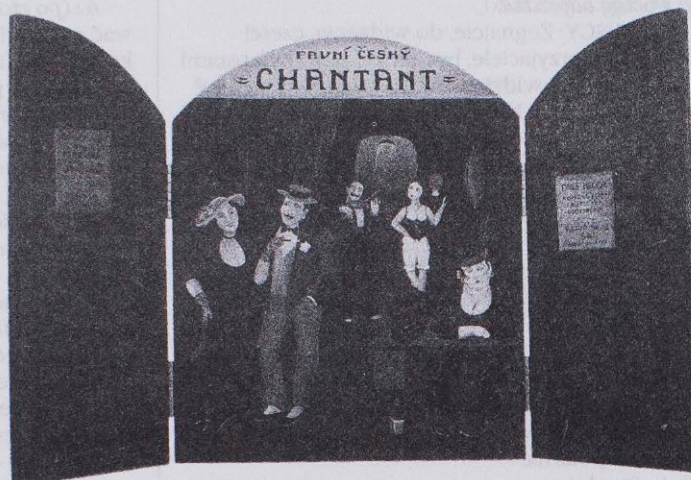
Rozdział 14 - Frisztski symuluje zapalenie kiszki.

Rozdział 15 - Udana operacja.

Rozdział 16 - Frisztski symuluje pooperacyjną mdłość.

Rozdział 17 - Ciągnij i zrastaj.

Rozdział 18 - Wreszcie morze.



AKT 2

Członkowie polarnej ekspedycji stoją na scenie i patrzą na boczne kulisy. Nauczyciel czyta „Gazetę Nauczycielską”, naczelnik podpiera się o związane narty, aptekarz siedzi na saniach. Przez długi czas żaden z nich nic nie mówi.

F.: Słuchaj, naczelniku, czy jesteś tego pewien?

N.: To jest udowodnione.

(Frisztski krzywi się z powątpiewaniem i znów zapada cisza.)

A.: Która godzina?

N.: *(Patrzy na niebo)* Za dziesięć wpół do trzeciej.

(Znów chwila milczenia.)

Nl.: Patrzenie, tu jest napisane, że we wszystkich szkołach w Austrii mają być karnisze... Nie potrafię sobie tego wyobrazić. Będą tam firanki, czy chodzi o zasłonki? *(dziwi się, kręcąc głową, i znów zagłębia się w lekturze.)*

A.: Wygodne, takie dryfowanie. Ale strasznie długo to trwa.

Nl.: Jakiś kurator Hruszka tu o tym pisze. Ale pomysły!

A.: A czemuż by nie? Estetyka jest ważna i w szkołach.

Nl.: Nie! Nie! Nie widzę dobrze. Karność. Ma być we wszystkich szkołach. Przeczytałem to jako karnisz. Uff, uff. Karność. Zgoda. O tym nie trzeba było pisać. O tym każdy wie.

F.: Słuchajcie, ja w to i tak nie wierzę. Bo, gdybyśmy jechali, musiałyby terkotać. Albo kołysać. Albo czulibyśmy, że rozbijamy powietrze. Krajobraz - przesuwałby się do tyłu - jak w pociągu. Proszę mi tu nie opowiadać głupstw!

N.: Ten Jądrzek jest jak siedmioletnie dziecko!

(Do nauczyciela): Wacławie, proszę ciebie, ty jako nauczyciel posiłkowy chyba będziesz w stanie mu to wytłumaczyć!

Nl.: Naczelniku, uważam, że tu na północy nie musimy się do siebie zwracać tak oficjalnie. Wystarczy, gdy będziesz do mnie mówić: nauczyciel.

N.: Dobrze. Tak więc wyjaśnij Jądrkowi.

Nl.: Jądrku! Cały ten lodowaty pancierz, na którym stoimy, porusza się popychany przez nurt morski. Na północ. Fachowo się to nazywa dryf. To nie my wymyśliśmy to sobie, jest o tym w fachowej literaturze. Więc nic nie terkozcie, nic nie przesuwa się do tyłu, wszystko, co tu jest, aptekarz, bagaże, śnieg, lód, wszystko dryfuje na północ.

F.: I ja?

Nl.: Też dryfujesz.

F.: Więc według ciebie ja tu sobie stoję, nic nie robię i dryfuję. Tak?

Nl.: Słusznie.

F.: W życiu nic takiego nie robiłem i nikt mnie do tego nie zmusi.

A.: Wacławie, jak długo będziemy jeszcze dryfować?

Nl.: Od dziesięciu do jedenastu dni.

F.: Nie zazdroszczę panom.

A.: Prawda, dłuży się to. Koledzy, nie wiem, co się ze mną dzieje, ale najchętniej bym to olał i dryfował z powrotem. Do nas. Do domu. Do Pragi. Do apteki. Do dupy. Ale mi tęskno.

Nl.: (*Ciesz się*) I mamy ją tutaj! Melancholia! (*Idzie do sań, grzebie w bagażu.*)

N.: Gdybyśmy mieli piłkę, od razu poprawiłby się nam nastrój.

Nl.: To nic, naczelniku, zaśpiewam tę piosenkę, którą skomponowałem w pociągu z myślą o takich sytuacjach. Słuchajcie dobrze, byście ją szybko złapali i mogli śpiewać razem ze mną.

(*Śpiewa przy akompaniamencie gitary*):

Polarna noc
ma dziwną moc
Każdemu zbiera się na łyzy
Niemiec i Rosjanin
Żyd i Chrześcijanin
Każdy z nich najchętniej uciekłby.
Nawet dzielny Żapończyk –
zamarzył i marnie skończył.
Tylko jeden z narodów nie skona
zgrozę północy dzielnie pokona.

Tam, gdzie wilk kapituluje
tam, gdzie ren rejteruje
Czech się świetnie czuje
Czech się dostosuje

I to jest wszystko. Teraz się tego nauczymy. Powtarzajcie za mną, dzieci... chciałem powiedzieć, koledzy: Polarna noc ma dziwną moc.

F.: Ty, Waszku, innego kawałka nie znasz?

Nl.: Ale dlaczego? Ten jest na melancholię.

F.: Daj spokój. Ja żadnej melancholii nie mam. Włącz na przykład tę: „Chcesz pieśń północy poznać, chcesz ze mną w ciszy słuchać”. Ta jest piękna. Albo tę, ta też jest piękna: „Gdy biały łosoś płynie rzeką”.

Nl.: Nikogo nie zmuszam. Ale reszta sobie pięknie zaśpiewa. Otóż słowa: Polarna noc...

A. i N.: Polarna noc...

Nl.: Ma dziwną moc...

A. i N.: Ma dziwną moc...

Nl.: Każdemu zbiera się na łyzy.

A. i N.: Każdemu zbiera się na łyzy.

Nl.: Niemiec i Rosjanin...

N.: Człowiecze, Waszku, nic mi nie było, ale po tej twojej piosence czuję się jak szmata.

A.: Ja też. Tak mi ciężko. I jakie ciemne myśli mnie nachodzą. Ciągłe kotłuje mi się w głowie taka wizja: Idę do aptekarza Brouczka, jak w każdą środę, zagrać w szachy. Dzwonię, otwiera mi jego gospodyni, pytam, czy aptekarz jest w domu, i ona tak oto kręci głową i mówi: Nie ma go. Ja na to, że chwilę pospaceruję sobie po parku, może w tym czasie wróci. Po pół godzinie przychodzę, znów dzwonię, i gospodyni mówi, że jeszcze nie wrócił. No, proszę mi powiedzieć, czy to jest normalne? Wie, że w każdą środę chodzę do niego grać w szachy. Idę piechotą z Podoli do Smichowa. W deszczu! O tym wam nie powiedziałem. I nie ma go w domu. Gdyby zostawił przynajmniej jakąś wiadomość!

F.: Gdzieś się zagadał, każdemu się zdarza.

N.: Brouczek! Nie ma go w domu! (*Wzgardliwie macha ręką.*) Nie życzę wam takich wizji, jak moja.

Nl.: (*nuci pod nosem*) Tylko jeden z narodów nie skona, zgrozę północy...

N.: Daj spokój, bądź tak miły. Tu idzie o poważną sprawę. Dziewięć razy z rzędu wybrano mnie na naczelnika Zrzeszenia. I teraz, po Nowym Roku, jak zawsze, Zgromadzenie Ogólne, a mnie nie ma. Zapropionowany, i nie wybrany. Żaden z was, jak tu siedzicie, nie podniósł dla mnie swej ręki.

Nl.: Ależ Karolu, to są tylko czarne wizje, dziesiątego Ogólnego Zgromadzenia jeszcze nie było. Jakże moglibyśmy cię wybrać?

N.: Tego wam nie zapomnę. Gapiliście się w ziemię, żeby mi nie patrzeć w oczy. A ja was doprowadziłem aż za Północne Koło Podbiegunowe. I tak wygląda wasza wdzięczność. Ekspedycjo, pakujemy się! Wracamy do domu!

F.: Najpierw myślałem, naczelniku, że mówisz

jakby nie na temat, ale wreszcie odezwałeś się do rzeczy. Nic tu po nas, prawda?

(Naczelnik, aptekarz i Frisztenki zaczynają się szykować do powrotnej drogi, podczas gdy nauczyciel zabiera z sań tłumoczek i wychodzi poza scenę.)

A.: Do domu! Do Pragi! Do Podoli! Do apteki! Do...

N.: Wystarczy, Wojciechu! Już żeśmy to słyszeli. Była ekspedycja polarna, w składzie: Karol Niemiec, jestem, Wojciech Szofr...

A.: Jestem!

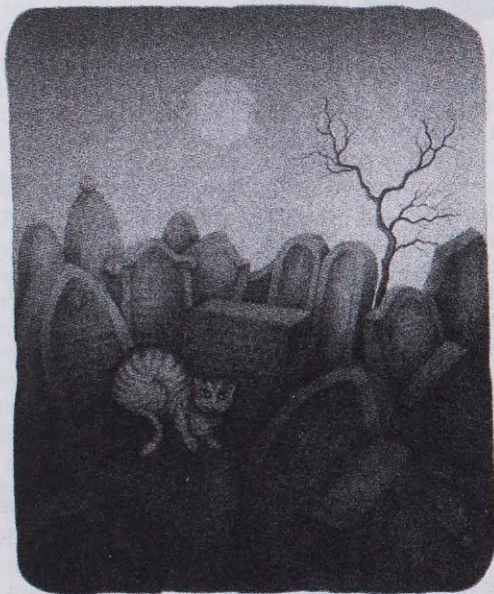
N.: Zaprzęg, Jądrak Frisztenki...

F.: Jestem!

N.: Nauczyciel posiłkowy Waclaw Poustka...

F.: Nie ma!

N.: Dokąd poszedł?



A.: Zabrał swoje rzeczy i poszedł na północ.

N.: Wariat! Chce zdobyć biegun! W taką pogodę! Zimno jak w psiarni! Czy coś z tego pojmujesz? Ale my, melancholicy, nie pozwolimy na to, by jeden szaleniec wzbudził w nas wątpliwości.

A.: Niechętnie o tym mówię, ale są chwile, kiedy optymistów powinno się wieszać.

N.: Słusznie.

F.: Nie zaczekamy przez chwilkę? Może poszedł się tylko załatwić.

N.: Kto się przez chwilkę załatwiał, załatwia się już nie z nami!

Otóż, za mną! Kierunek - południe! Jazda... DO DOMU!

(Wszyscy wyruszają w kierunku kulis, skąd nie-

oczekiwanie wychodzi pingwin wielkości dorosłego faceta. Kołysze się na swoich krótkich nogach i macha kikutami skrzydeł. Stoi na miejscu i przyjaźnie obserwuje ekspedycję. Zanim się opamiętał, zagrzmiął strzał. To Frisztenki żwawo chwycił strzelbę, by zagwarantować ekspedycji strawę.)

Nl.: *(w pingwinim przebraniu)* Au! *(chwytając się za łokieć)* Frisztenki, z ciebie to dopiero idiota. Czy nie widzisz, że to żart? Komiczne przebranie? Ja się z tym morduję przez tydzień, a on do mnie strzela. Kretyn!

F.: No, przebac, Waclawie, nie mogłem przecie o tym wiedzieć! Widzę ptaka, więc strzelam. *(W tym czasie aptekarz przynosi bandaż i robi nauczycielowi opatrunek.)*

N.: Nie gniewaj się, Waclawie, ale chyba nie przemyślałeś tego do końca. Gdybyś się przebrał za małpę, to bardzo proszę, można by poznać, że to żart. Ale pingwin - mnie to też zmyliło, a co dopiero takiego idiotę, jak Frisztenki.

F.: Dziękuję ci, naczelniku, że się za mną wstałeś.

Nl.: A mogło być tak wesoło! Zepsuliście mi humor.

A.: Hurra! Witaj, Waclawie, wśród melancholików. Jesteśmy znów w komplecie, możemy wyruszyć.

N.: Była ekspedycja polarna, w kolejności: naczelnik Karol Niemiec, jestem, nauczyciel posiłkowy Waclaw Poustka...

Nl.: Jestem!

N.: Aptekarz Wojciech Szofr...

(Nagle dźwięczy podniosła muzyka i ukazuje się efekt sceniczny zorzy polarnej. Wszyscy są zaskoczeni niespotykanym widokiem. Gdy okrzyki zachwyty milkną, a zorza gaśnie, nie ma po melancholii ani śladu.)

Nl.: Ale przeżycie, przyjaciele, prawda? A jesteśmy dopiero na osiemdziesiątym szóstym stopniu. Co dopiero na biegunie! Ja osobiście pełen jestem optymizmu. A ty, Wojciechu?

A.: Ja również. Jestem zupełnie nowym człowiekiem. Na biegun, koledzy! Ku nowym przeżyciom!

F.: Ano... było to piękne, ale jeden raz chyba wystarczy...

Nl.: A ty, naczelniku? Dlaczego milczysz?

N.: Pójdziemy na północ. Co do tego nie ma wątpliwości, ale najpierw trzeba oczyścić własne gniazdo. Dlatego pytam: Kto posiał w naszych szeregach ziarno wątpliwości? Kto zamierzał odwrócić nas o sto osiemdziesiąt stopni? Kto wzywał: Do domu, do Pragi, do Podoli, do apteki?

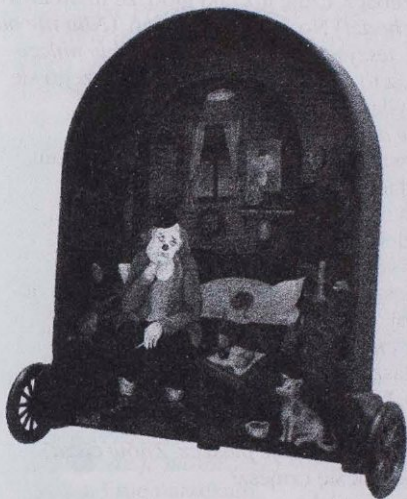
A.: Przebac, naczelniku.

N.: Mimochodem, kto tu mówił o wieszaniu optymistów?

A.: Tak mi się tylko wymknęło. Karolu.
F.: Prawda, wołano tu – jazda do domu...
N.: Tak. Słusznie. Kto spowodował, że sam naczelnik wydawał takie bezsensowne komendy?
A.: Naczelniku, ja będę z Jądrkiem ciągnął sanie.

N.: I przez dwa dni nie dostaniesz jedzenia. Ekspedycjo polarna, kierunek – północ, za mną po kolei, pojedynczo, plutonami, na skos do chorażych, za ostatnim – w lewo marsz, do tyłu jazda naprzód!

(Dochodzi do chaotycznego odrotu i do stukania kijków i nart, kurtyna.)



Przed kurtyną 2

Nl.: (czyta z dziennika) W ostatnim tygodniu przesładuje nas pech. Aptekarz pośliznął się i zgniótł sobie dysk. Naczelnik dostał kataru, mnie zaś dał się we znaki woreczek żółciowy, a Frisztencki zgubił obrożę. Z początku udawało nam się rozładowywać atmosferę moją piosenką na trudne chwile, ale ta zaraz jakby utraciła siłę oddziaływania. Zawsze, gdy ją zacznę nucić, któryś z kolegów podstawia mi nogę.

Omam zapomniałem o kolejnej nieprzyjemnej sprawie, która nam również uprzykrza podróż: nie mamy już nic do jedzenia. Na 87° 54' szerokości północnej naczelnik zwołał ważną naradę.

AKT 3

Jądrko Frisztencki wyprzega się z saniami i wszyscy siadają koło Naczelnika.

N.: Panowie! Grozi nam śmierć głodowa. Rozmyślałem o tym przez całą noc i nie widzę wyjścia.

Proponuję zjeść psy.

(Obecni wymieniają tępe spojrzenia.)

Nl.: Psy?

A.: My przecież nie mamy żadnych psów... Aha, już rozumiem!

(Patrzy na Frisztenckiego, który ze zwisającym językiem sapie jak pies.)

F. (Przestraszony kryje język i przestaje głośno sapać.): Jakże psy?

Nl.: To smutne, kiedy człowiek musi podnieść rękę na swojego wiernego druha, ale chyba naprawdę nie ma innego wyjścia.

A.: Może lepiej nie jeść wszystkich naraz? Ale po kawałku. Rozumiecie, by reszta zaprzęgu była zdolna do ciągnięcia.

F.: Co wy bredzicie? Chyba macie jakieś przywidzenia. Gdzie wy widzicie jakieś psy?

N.: Nie zgadzam się. Jeżeli zabić, to zaraz. Zanim schudną.

F.: Stało się. Zwariowali. Panowie, opamiętajcie się. Przecież nie mamy żadnych psów. Przypomnijcie sobie. Najpierw chcieliście je zabrać. Ale ja wam to odradziłem. Mówiłem przecież, przypomnijcie sobie, zabierzcie raczej silnego chłopca, jak ja. Uciągnie sanie i jeszcze co innego może zrobić. Na przykład narąbać drewna, mówiłem, No i, przypomnijcie sobie, jak ślicznie porąbałem nasze narty. To już było, niestety, ostatnie drewno, które mieliśmy, tak więc teraz nadają się tylko do ciągnięcia, ale w tym jestem nadal dobry, ciągle jeszcze jestem silny.

Nl.: Właśnie. Ja bym tego nie odkładał.

F.: Tak, gdybyście mieli te psy, byłbym w stanie pojąć, że można je zjeść. Już jadłem psa. Nie jest to takie złe mięso, Ale, kiedy zamiast psów macie mnie... Naczelniku, co proponowałeś?

Nl.: Zjeść psy.

F.: Mimo, że ich nie mamy?

Nl.: Mimo, że ich nie mamy.

F.: Wy wszyscy tutaj, rozumiecie to?

Nl.: Tak.

A.: Rozumiemy.

F.: Ja nie.

Nl.: Może to i lepiej, Jądrku. Tutaj obecny pan aptekarz da ci jakieś tabletki, zaśniesz...

F.: Zaczekajcie, o spaniu nie będziemy teraz rozmawiać, ja śpię dobrze, ale coś mi przyszło do głowy. Takie głupstwo. Być może was to obrazi. Ale to wygląda... Czy mogę to powiedzieć?

Nl.: Wygadaj się, Frisztencki.

F.: No, wiecie, skoro mówicie, że zjecie te psy, a żadnych psów tu nie ma, czy aby – nie obrażacie się? Wygląda to bowiem, jak gdybyście chcieli zjeść mnie. Nieprawdaż?

Nl.: Prawdaż.

F.: Nie gniewacie się, że to powiedziałem?

A.: Pewnie, że nie. Któż by się na ciebie gniewał - w takiej chwili.

Nl.: Naczelniku, sądzę, że wypadaloby kilkoma słowami podsumować jego życie, podziękować i tak w ogóle.

(Naczelnik przytakuje.)

Nl.: Miły kolego, drogi bracie! W imieniu całej czeskiej ekspedycji polarnej chcę ci podziękować za twoje osobiste bohaterstwo, za twoją ofiarność i wytrwałość, z jaką dotarłeś aż tutaj. Byłeś dobrym kolegą. My wszyscy, którzyś cię znali... (zmagają się ze wzruszeniem). Nie mogę. Niech mnie ktoś wyręczy.

A.: Powiem już chyba tylko: Byłeś dla nas nie tylko dobrym małżonkiem, ojcem, wujkiem i teściem. Nigdy o tobie nie zapomnimy, zostaniesz długo w nas... to znaczy, przynajmniej przez jakiś czas.

F.: (wzruszony) Koledzy, nie wiem, ale myślę, że na takie gadanie jeszcze nie pora, patrzcie, jeszcze nie jesteśmy na tym biegunie. Zostawcie to na tę chwilę, gdy tam dotrzemy. Na razie byłem dobry, ale mogę się zepsuć.

Nl.: Nie bój się, Jądrku. Tu na chłodnej północy nic się nie psuje.

F.: Nie ma co gadać, my - Czeši - to jesteśmy! W domu, to się bijemy, kłócimy, po prostu nie znosimy się. A tu, z miłości byśmy się zjedli.

Nl.: No, proszę cię, Friszteński, gdzie jest siekiera? Ty nią ostatnio rąbałeś.

F.: (sięga do worka na saniach - wyjmując siekiere) Tutaj.

Nl.: Pożycz mi ją, chłopcze.

(Friszteński podaje mu siekiere.)

Nl.: (wstaje) Nie mogę tego oglądać.

A.: Ja też nie.

F.: (Idzie za nimi) Ja też nie. Widziałem was rąbiących tylko raz i to mi zupełnie wystarczy.

Nl.: (Popycha go z powrotem) Ty nie, Jądrku, ty tu musisz zostać.

F.: No, dajcie (Wyjmuje naczelnikowi siekiere z ręki), ja sam narąbię. A jeśli nie możecie tego oglądać, zczekajcie tutaj, pójdę z tym nieco dalej. (Zdejmuje rzeczy z sań). Były to piękne sanie. Być może, jak droga będzie biegła z górki, to pożałujemy. (Odciąga sanie ze sceny).

Nl.: Całe szczęście, że Jądrku to taka czysta, szczerza dusza.

A.: To pocziwiec.

Nl.: Całą duszą. Gdybym nie był taki głodny... Czy zauważyliście, że on w porównaniu z nami, ciągle jeszcze przyzwoicie wygląda?

A.: (rozmyśla) A może będzie bez tłuszczu?

(W tle słychać rąbanie drewna.)

Nl.: Wczoraj go obserwowałem, gdy ciągnął sa-

nie. Naprawdę jest dobrze zbudowany.

A.: Na przykład te jego poślądki. Raz nie wytrzymałem i gdy go wyprzęgałem z sań, musiałem go poklepać.

Nl.: Panowie, skoro mówił już o tej czeskości, nie powinniśmy mimo wszystko zapominać o ideałach humanizmu. Wiecie, gdy trzymałem w ręce tę siekiere, odczułem nagle wstyd, a co gdybyśmy go zostawili, by zamarzl?

Nl.: Prawda.

A.: (do nauczyciela) Tylko, oby to nie trwało za długo, naczelniku.

Nl.: Naczelnik jest tutaj, co się gapisz na mnie?

A.: Przebacz, czuję już taki głód, że mam zwidy.

F.: (wchodzi) No, i nie ma już sań. (Nikt nie odpowiada, wszyscy przypatrują mu się w milczeniu.) Teraz to naprawdę nie wiem, do czego się wam przydam.

(Znow dziwna cisza).

Nl.: Pewnie się rozgrzałeś przy tym rąbaniu, prawda, Jądrku?

F.: Pewnie, no pewnie.

Nl.: Zdejmij szalik.

F.: (wykonuje polecenie) Jasne, że mogę.

A.: I koszulę pod szyją też rozepnij. To ci dobrze zrobi.

(Friszteński wykonuje polecenie).

Nl.: Płaszcz też powinienes rozpiąć.

F.: No, bez przesady, takiego gorąca to znow nie ma.

(Niemniej zdejmuje płaszcz. Znow cisza)

Nl.: No, jak się czujesz?

F.: Troszkę ziębi.

Nl.: Czy ty nie masz dziurawych podeszew, człowieku? Zdejmij buty, zerknę.

(Friszteński zdejmuje buty i podaje mu je.)

Nl.: (ogłąda buty) Jest tu dziurka. Lepiej już ich nie wkładaj. Lepsze od dziurawych butów są bosc stopy.

F.: Tak sądzisz? A wiesz, że masz rację? To właściwie pali.

Nl.: Słuchaj no, Friszteński, nie pożyczylbyś mi na chwilę spodni?

F.: Spodnie? Ale naprawdę tylko na chwilę, bo moje kalesony są już dosyć przestarzałego kroju.

(Friszteński stoi bez butów i w kalesonach. Reszta obserwuje go.)

A.: No i jak się czujesz teraz, chłopcze?

F.: Powiem wam, że stosunkowo rześko. Chyba nie wierzą, gdy w domu będę opowiadać, jak stałem kawałek od bieguna północnego ot tak, bez wszystkiego... Całe szczęście, że mnie grzeje ten smalec.

Nl.: Słyszycie? Już majaczy. Zimno mu i chyba mu się wydaje, że ma naturalną ochronę z tłuszczu.

A.: Być może przez to łatwiej to zniesie.

Nl.: Friszteński, kontaktujesz jeszcze?

F.: Jasne. Ja wszystko słyszę.

Nl.: A ten smalec, jak mówiłeś, odczuwasz go na całym ciele? Na nogach też?

F.: Nie, tylko na biodrach.

(Friszteński odchyła kłapę płaszcz. Na haczyku wisi świnka.)

N.: Co tam masz? Ty masz świnię?

F.: Świnkę.

N.: Jak to możliwe, że nic nie powiedziałeś? My tu umieramy z głodu, niewiele brakowało, a podnieśliśmy rękę na kolegę, a ty masz szczura, świnię! Świnię, szczurze!

Nl.: Hańba, Friszteński! Wstydz się!

F.: A niby dlaczego mam się wstydzić? Już od tygodnia o tym meldowałem. W poniedziałek obecny tu Aptekarz mówił, że mu burczy w brzuchu. A ja na to, że mam świnkę. A ty, Naczelniku, sam powiedziałeś, to nic nie szkodzi, weź się w garść, i ciągnij. We wtorek, z kolei – Nauczyciel, że mu szarpie wnętrzności. Ja mówię: Mam świnkę. I znów potraktowano mnie lekceważąco. W środę wszyscy skamleliście z głodu. Ja mówiłem: Nadal mam tę świnkę. I co Naczelnik na to? No, przypomnij sobie. Jeszcze powiedziałeś: i zanotujemy to w dzienniku, mięczaku. Że każdy na coś cierpi, na jakąś chorobę, i że nikt się nie skarży, tylko ja, powiedziałeś.

N.: Ubierz się, kretynie, i rozpal ogień.

(Rzuca Friszteńskiemu jego spodnie i buty.)

F.: (odchodząc mamrocząc) Mięczaku, mięczaku. Mam wilka. I nie narzekam.

Przed kurtyną 3

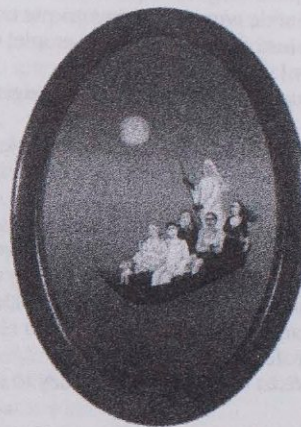
Nl.: (Czyta z dziennika)

Wczoraj zgubiłem czerwony ołówek, dlatego od tej chwili nie mogę podkreślać nazw rozdziałów czerwonym kolorem. Dziennik traci przez to na przejrzystości.

Wraz ze zbliżaniem się do bieguna coraz bardziej gnębi nas nasilający się mróz. Dziś rano temperatura obniżyła się na tyle, że nie mogliśmy w ogóle znaleźć rtęci. Dopiero po piętnastu minutach wspólnego ogrzewania słupka rtęci temperatura podniosła się do minus pięćdziesięciu stopni Celsjusza. Taki mróz jest dla środkowoeuropejczyka wręcz morderczy. Dlatego dalszym chuchaniem podnieśliśmy temperaturę do -42° , co już można było wytrzymać.

Nic więc dziwnego, że w takiej sytuacji człowiek, przynajmniej w myślach, powraca do ciepła i pogody. Naczelnik wspominał słynne upały 88 roku, kiedy to w jego rodzinnej Trzeboni wyparowały

wały trzy stawy. Aptekarz z kolei opowiadał o tym, co mu się często zdarzało latem między drugą a czwartą godziną po południu. O tej porze bowiem słońce opierało się o wystawę jego apteki tak, że się w środku pocił. Jądrzek Friszteński postanowił, że nam również opowie podobną historyjkę, ale pomimo usilnych starań żadna mu nie przychodziła do głowy. Następnego dnia temperatura obniżyła się tak gwałtownie, że nie udało nam się zapędzić rtęci z powrotem z bańki do słupka.



AKT 4

(Nad gołą równiną sterczą dwa wzgórza, jedno niskie, drugie wyższe. Przed nimi siedzą czescy polarnicy i zjadają resztki świni. Kości od czasu do czasu rzucają Friszteńskiemu, który leży opodal przy bagażach. W trakcie rozmowy polarników słychać, jak Friszteński rozkrusza szczęką kości.)

N.: Musgrav – to też dobry piec. Długo trwa, zanim się rozpali, ale potem długo grzeje.

Nl.: (jak gdyby rozmowa o piecach go rozgrzewała) Albo piec amerykański. To jest w nim piękne, że człowiek to ciepło wchłania nie tylko skórą, ale też oczami. Ach, jak ten ogień przez ten lyszczyk ślicznie świeci.

A.: (szczękając zębami) Panowie, starczyłaby nawet tylko koza. Pewnego dnia graliśmy z aptekarzem Brouczkiem w szachy i ja rozpaliłem ją do czerwoności. Aptekarz Brouczek mówił: Ten piecyk jest jakiś taki mały. Ja na to: Jasne, to jest najmniejszy piecyk ze wszystkich. Patrzę i widzę, że koza z tymi rozpalonymi nóżkami wtopiła się w podłogę.

Nl.: Jakie to piękne. Jak tylko wrócę do domu, wstawię do pokoju cztery piece. Te, o których mówiliśmy, i do tego jeszcze trociniak.

A.: Wybacz, Waclawie, nie chcę krakać, ale czy aby ci to uciągnie komin?

Nl.: W każdym rogu każę zbudować jeden komin. Jeśli chodzi o komin, nie ma co oszczędzać.

(Frisztanski w trakcie rozmowy zajmuje pozycję, która może sygnalizować obserwowanie okolicy lub sikanie. Gdy opuszcza swoje miejsce, od ziemi do wysokości jego pasa widać zastygły złoty łuk. Frisztanski to zauważa.)

F.: Ależ mróz. Panowie, jak kiedyś znów pójdziecie na jakiś biegun, to proszę na mnie nie liczyć. Mnie takie wczasy stanowczo nie odpowiadają. Co tu jest? Śnieg, lód, zimno, sople! O! tu jest jeden, duży jak byk.

(Kopie nogą wyższe wzgórze, które przewraca się.)

Nl.: *(wyskakuje)* Zaczekaj! Pokaż *(schyla się do masy lodu)*. W co ty kopiesz? Czy ty wiesz, w co kopiesz? Ani się waż!

(Przywraca lodowej kolumnie pierwotną pozycję.) Przyjaciele, chodźcie tu. Nie chcę was wprowadzać w błąd, ale... Tak! Stoimy twarzą w twarz... *(ustawia sopel we właściwej pozycji)* Tak, teraz. Stoimy twarzą w twarz z amerykańską ekspedycją polarną profesora Mac Donalda.

A.: *(z bliska ogląda bałwana)* Czy to jest pan profesor?

Nl.: Tak, i mija prawie rok, gdy ten podziwu godny naukowiec i milioner wyruszył z północnego cypla Grenlandii w kierunku bieguna. Od tej pory nie ma o nim wiadomości. Był to wybitny polarnik.

F.: A dlaczego jest taki mały?

Nl.: Z mrozu. Siadajcie panowie.

(Reszta siada na mniejszym wzniesieniu.)

To jest niesamowity przypadek, że spotkaliśmy go tutaj, Czytałem o nim niedawno w „Gazecie Naczyielskiej”. Profesor Mac Donald jako chłopiec otrzymał w spadku bajeczny majątek. Postanowił, że wszystko poświęci nauce. Na związkowym zjeździe milionerów w Washington D.C., wypowiedział jedną piękną myśl. Rzekł – nie wiem, czy będę pana teraz cytować dokładnie, panie profesorze – Nauka powinna bogatym dawać, a biednym odbierać. No, w każdym razie, coś w tym guście. Jako czternastoletni chłopiec poświęcił się studiowaniu biologii, by po ośmiu latach wynurzyć się jako autor słynnej książki *Człowiek i mróz*. przeprowadził niezliczoną ilość doświadczeń na własnym ciele, by się dowiedzieć, ile organizm człowieka może wytrzymać.

F.: Widzę, że tutaj nieco przesadził...

Nl.: Warto zauważyć, że profesor Mac Donald gościł także w naszej ojczyźnie, gdzie przeprowadził doświadczenia na zamku Łodów. Do Stanów

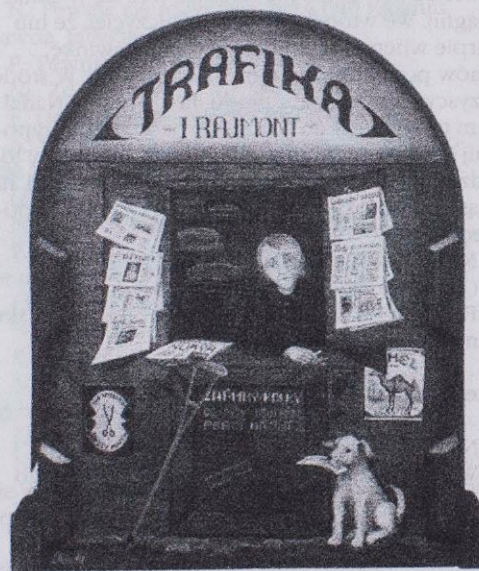
Zjednoczonych zabrał czeskiego służącego Barana, który w jego służbie osiągnął stopień porucznika biologii. Teraz przypominam sobie, że ekspedycja profesora Mac Donalda była dwuosobowa, to znaczy, że porucznik Baran też powinien tu być. Nie mógł się przecież ot, tak sobie, zgubić, był to chłop jak góra. Panowie, wstawajcie!

(Członkowie ekspedycji wstają – podnoszą się z niższego wzniesienia, oczyszczają mumię ze śniegu i stawiają obok mumii profesora.)

Nl.: Porucznik Baran!

F.: Też pięknie zmarznięty.

B.: Panowie, mam propozycję. Dzielna ekspedycja profesora Mac Donalda zasłużyła sobie na to, by zdobyć biegun północny przynajmniej pośmiertnie. Będzie to dla nas wprawdzie duże brzemie. Sami przecież ledwo ziapiemy. Ale złożmy tę ofiarę. Chodźcie, zwiążemy ich razem, niech się Frisztenskiemu dobrze dźwiga.



Przed kurtyną 4

Nl.: *(czyta z dziennika)* Dziś wydano zakaz rozmów o piecach, ciepłych krajach, pierzynach, zapaleniach itp. Naczelnik słusznie założył, że takie wizje nas osłabiają i na następne dni wydał spis tematów dozwolonych.

Temat na poniedziałek: Znaczenie mrozu w walce z chorobami zakaźnymi.

Wtorek: Zimowe piękno szyb w oknach.

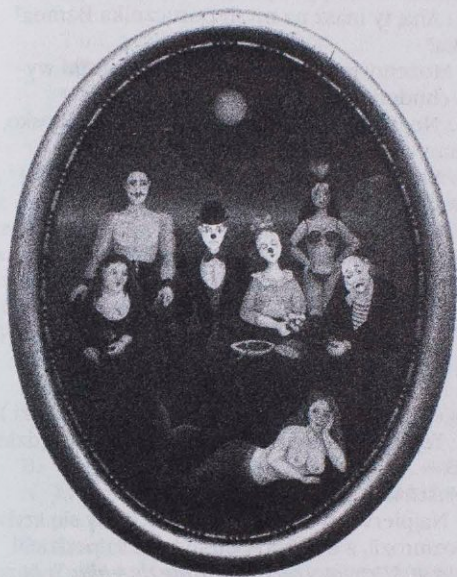
Środa: Wrażenia z jazdy na łyżwach.

Czwartek: Niedźwiedzie – z uwypukleniem zalet polarnego.

Piątek: Mrozy jako zjawisko atmosferyczne.

Sobota: Mróz – najlepszy dziadek.

Jak widać, naprawdę jest o czym rozmawiać. Ciekawe tylko, że nasz kolektyw zazwyczaj rozgadany, od dnia wydania spisu tematów, milczy. Tylko onegdaj, gdy naczelnik zasnął, skuliliśmy się z Friszteńskim pod jednym kocem i opowiadali o pożarze Teatru Narodowego.



AKT 5

(Nauczyciel idzie na czele, głowę ma odchylną do tyłu, obserwuje gwiazdy.)

Nl.: Jeszcze trochę, jeszcze kawałek... *(próbuję zrobić krok w prawo, krok w lewo, wreszcie znajduje to właściwe miejsce.)* To jest tu! Gwiazda polarna jest wprost nad naszymi głowami. Przyjaciele, teraz stoimy dokładnie w punkcie, gdzie oś ziemską przecina powierzchnię naszej planety. Biegun Północny został pokonany!

A.: Odsuń się, też chcę...

F.: Teraz ja! Teraz ja!

Nl.: Dobra, a teraz puśćcie Naczelnika.

(Naczelnik staje na biegunie północnym.)

N.: Przyjaciele, koledzy, bracia! Po miesiącu utrapień i cierpień wreszcie nastąpiła ta upragniona chwila, gdy na tym najbardziej północnym punkcie naszego globu stanął Czech. Fakt ten jest poniekąd zamącony przez to, że jestem Niemiec. Ale tylko z nazwiska. Sercem, głową i tymi nogami je-

stem Czech.

F.: *(podpowiada)* A rękami też, Karolu...

N.: *(zbywa go machnięciem ręki)* To my, prascy mężowie ze stali, stanęliśmy na wymarzonym miejscu wszystkich mężów ze stali z całego świata.

A.: Karolu, krócej, zimno tu.

N.: Nie przynosi mężczyźnie ujmę, gdy tutaj, na miejscu wiecznego mrozu, uroni grad. Niech więc od huków naszych łez zabrzmi nasze sokolskie:

„Czołem!”

WSZYSCY: Czołem!

Nl.: A teraz przyjaciele, muszę zwrócić waszą uwagę na pewną geograficzną ciekawostkę. Jeżeli stanę koło naczelnika i zrobię krok w którymkolwiek kierunku, zawsze będę kroczył na południe.

A.: Nie!

Nl.: Ależ tak! Patrzcie! *(Staje obok naczelnika i idzie.)* Idę na południe. *(Wraca i idzie w innym kierunku.)* I teraz znów idę na południe. I teraz – znów na południe.

A.: Niewiarygodne!

Nl.: Ale to jeszcze nic. Friszteński, stań plecami do naczelnika. I teraz, obaj równocześnie idźcie naprzód.

(Obaj oddalają się od siebie.)

Widzicie? Obaj idą na południe!

A.: Niesamowite!

Nl.: Lecz to najlepsze zostawiłem na koniec. Teraz dopiero coś zobaczycie! Wojciechu, zrób na biegunie znak i odejdz na bok.

(Robi znak. Nauczyciel idzie w kierunku znaku.)

Patrzcie – idę na północ *(przekracza znak i kontynuuje marsz)*, a teraz idę na południe.

I z powrotem: na północ, i na południe.

A.: Niemożliwe!

Nl.: Sam spróbuj.

A.: Ciekaw jestem... *(Idzie ku biegunowi, i w chwili, gdy go przekracza, jaśnieje mu twarz.)* No pewnie!!! Koledzy. Warto było. Na granicy śmierci z mrozu, na krawędzi śmierci głodowej, na krawędzi śmierci z wycieńczenia, ale warto było!

F.: Być może tego nie rozumiem, ale wydaje mi się, że nie ma w tym nic szczególnego. Porównując to na przykład z wycieczką na zamek Kokořyn...

A.: Co ty, tego nie można absolutnie porównywać!

F.: Tam były przynajmniej skały piaskowcowe, bufet... A co jest tutaj? Gówno.

A.: Lepiej milcz, bądź tak miły. To jest przecież przeżycie na całe życie. Muszę to sobie jeszcze raz wypróbować *(Idzie przez biegun)* Na północ... na południe. Cudownie! Tego nigdzie na świecie nie doznasz.

Nl.: Ostrożnie. Możesz tego jeszcze doświadczyć na biegunie południowym. Dokładnie odwrotnie.

F.: Głową w dół.

A.: Aż muszę o tym opowiedzieć aptekarzowi Brouczkowi! Jakbym go słyszał: Ech, te twoje brednie! Znów to samo.

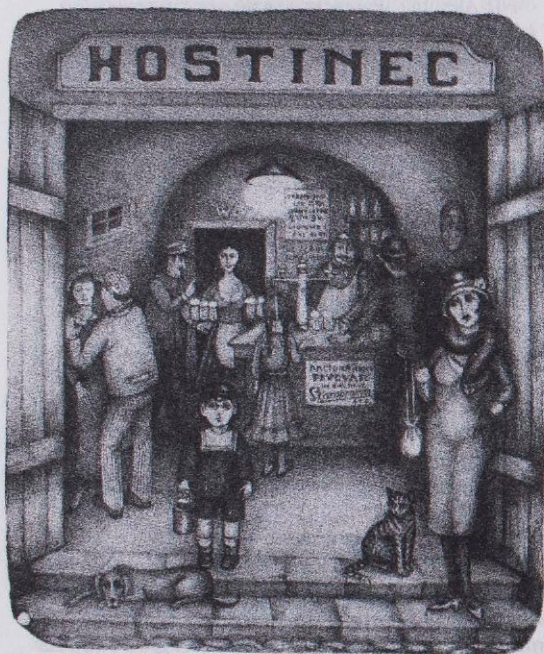
F.: Jestem głodny.

Nl.: Jak w takiej chwili możesz myśleć o jedzeniu? Ja jestem pełen wrażeń... Ty nie, Wojciechu?

A.: Tak, także jestem pełen wrażeń, ale coś małutkiego by się we mnie zmieściło.

Nl.: Zapasy awaryjne są nietykalne. A tak w ogóle, to wczoraj zjedliśmy je.

Nl.: Jak to jest możliwe? Zapasy awaryjne były przecież na podróż powrotną!



Nl.: Właśnie chciałem wam powiedzieć, żebyście na to uważali, gdybyście planowali jakąś taką podróż, żebyście uważali, by nie doszło do tego, do czego doszło teraz. Ja te zapasy dokładnie obliczyłem i ciągle sobie powtarzałem, że jak to obliczę, to nie wolno mi zapomnieć o tym, że trzeba to pomnożyć przez dwa. No i w tym zamieszaniu, jak żeśmy się pakowali, a wy jeszcze do tego ciągle gadałście, w tym zamieszaniu zapomniałem o tym. Otóż - obliczone było dobrze, ale zabrakło tego mnożenia... Mówię o tym ot, tak sobie, na marginesie, na przyszłość.

Nl.: Zapewne w przyszłości będziemy uważać,

ale teraz, naczelniku, o ile dobrze zrozumiałem, nie mamy zupełnie nic do jedzenia?

Nl.: Przecież mówię. Razy dwa miało być. Nie rozumiesz, czy co? Ale pytanie...

F.: Wiecie, co zrobimy? Zjemy Barana.

A.: To ty masz jeszcze barana? Oto nasze zbawienie! Ty zawsze chowasz coś na ostatnią chwilę... Gdzie to ukryłeś tym razem?

(Frisztenski pokazuje za siebie, na plecy, gdzie trzyma zamrożonych polarników.)

Nl.: Aha, ty masz na myśli porucznika Barana? Rodaka?

F.: Możemy też zjeść profesora, ale on mi wygląda chuderlawie.

Nl.: No, słownie. Czy jest z nami aż tak kiepsko, że mamy zjadać zwłoki?

Nl.: Nie jesteśmy znów tacy delikatni. Zresztą, była tu propozycja, żeby zjeść własnego kolegę...

F.: Którego?

Nl.: Nie znasz go.

Nl.: ... którego dobrze znaleźliśmy i który był żywy. Baran jest zmarznięty na kość i nikt go z nas nie znalazł.

A.: Słusznie. I może nawet miał jakieś wady?...

F.: No to co? Mamy jeszcze te kijki, żeby nimi podsycić ogień? (Wszyscy oddają mu swoje kijki.)

A.: Tego jednego nie łam, Frisztenski, to będzie różno.

(Frisztenski zrzuca swój ładunek.)

F.: Najpierw go trochę obrobimy, żeby się szybciej rozmroził, a dopiero potem bym to podzielił na porcje. (Przymocowuje mumię do kijka, a pozostali rozpalają w tym czasie ognisko.)

Nl.: Jeżeli o mnie chodzi, to będę go jadł z oporami.

A.: Mamusia mi zawsze powtarzała, bym nie wybrzydzał. W domu jedz, co masz, a u obcych - co ci dadzą. (Dwaj polarnicy trzymają mumię na kijku, dwaj ogrzewają sobie ręce nad ogniskiem.)

Nl.: Mnie pomaga to jego nazwisko. Baran pieczony - to nieźle brzmi. Gorzej by było, gdyby się nazywał, powiedzmy, Kratochwil.

F.: Ja bym zjadł nawet Kratochwila.

Nl. (Odwraca się): Nie mogę tego znieść. On na mnie patrzy.

F.: Czy nie ma tu jeszcze gdzieś jakiegoś kawałka drewna?

A. (Bierze gitarę): Gitar! Będzie się dobrze paliła.

Nl. (Wyrywa mu gitarę z rąk): Nie, Gitary nie! Co poczniemy, gdy znów będzie nam źle?

Nl.: Słuchaj, Waclawie. Gdy panuje głód, sztuka musi ustąpić pola. Zagraj sobie po raz ostatni, a potem ją spalimy.

Nl. (Zaczyna smętnie śpiewać):

Polarna noc
ma dziwną moc
Każdemu zbiera się na lzy (*dolączy reszta*):
Niemiec i Rosjanin
Żyd i chrześcijanin
Każdy z nich najchętniej uciekłby
Nawet dzielny Żapończyk –
zamarzył i marnie skończył
Tylko jeden z narodów nie skona
zgrozę północy pokona

Tam, gdzie wilk kapituluje
tam, gdzie ren rejteruje
Czech się świetnie czuje
Czech się dostosuje.

(*W trakcie pieśni smażony porucznik Baran wstaje. Z jego ubrania unosi się jeszcze dym, a zza kołnierza marynarki sterczy mu kijek narciarski. Przeciąga się i rozgląda po osłupiałych polarnikach.*)

Baran: Hallo boys! Good evening every body!
(*Wszystkim po kolei podaje rękę*). My name is
George Baran. I'm very glad to see you.

A.: Magister farmacji Szofr.

B.: Mister Szofr!

Nl.: My name is Waclaw Poustka. Teacher. Under... underground teacher.

B.: Waclaw Poustka. His a Czech name, isn't it?

N.: Ja jestem początkujący. Więc teraz już nie wiem, co pan do mnie mówi.

B.: Czesi! Czy jesteście Czesi?

N.: Tak, jesteśmy czeską ekspedycją polarną. Ja jestem Niemiec.

B.: Niemiecki Czech! Ja jestem amerykański Czech. Beautiful!

(*Wyciąga z marynarki złotą papierośnicę, a z niej paperek*).

Wy czytali i rozmrozili?

A.: My rozmrozili, ale nie czytali.

B.: Wy nie czytali, a jednak rozmrozili. Wonderful! Mądry naród. W tym przypadku ja przetłumaczę na czeski:

Drodzy obywatele przyszłych pokoleń! Dwa ciała, które znaleźliście, należą do badaczy snu zimowego. Jeśli ogrzejecie nasze boxy cielesne do temperatury 37^o Celsjusza, ponowimy nasz życiowy marsz i damy świadectwo o minionych stuleciach. Dziękujemy. (*Sklada kartkę*) A przy okazji, gdzie jest profesor?

Nl.: Pan profesor? Gdzie jest? Przed chwilą tu był!

B. (*Wola*): Mr Mac Donald! Where are you? (*Do reszty*): Ciagle się gdzieś wałęsa.

A.: Friszteński, gdzie go położyłeś? Przecież przed chwilą tu leżał. Sam go rzuciłem na bagaż.

N.: Tu jest! (*Podnosi mumię*).

B.: Aha, on jest jeszcze nie rozmrożony... Proszę mi go podać. Panie profesorze! Mój ty Boże, jaki pan skurczony! Czy ja też taki byłem?

F.: No, nie było cię dużo, ale byłeś lepszym kąskiem. Dlatego miałeś być pierwszy.

B.: (*Przeciąga się*): Czuję się świetnie po tych stuleciach. Ale dlaczego mam takie okopcone buty? (*Chce się schylić, ale kijek za szyją mu w tym przeszkadza*). I mam coś z kręgosłupem. Jestem zupełnie sztywny!

Nl.: Pan pozwoli. (*Wyciąga mu kijek spod ubrania*).

B.: Miałem to za szyją? Dlaczego akurat to?

F.: Na tym pana przyprawiali.

B.: Przyprawiali?

Nl.: Ożywiali.

B.: Aha. Profesor zakładał zastosowanie skomplikowanych urządzeń, a Czesi – drag! Dajmy teraz profesora na drag.

F. (*Bierze profesora na rękę, niczym zabawkę, którą mu chcą odebrać*): Nie! Nie ma mowy! Zrobiliśmy już jedno głupstwo. Najpierw podzielimy go na porcje, a dopiero potem przyprawimy.

B.: Nie rozumiem...?

N.: On chce powiedzieć, że podczas ożywiania pana profesora trzeba postępować ostrożniej niż w pańskim przypadku.

A. (*Figlarnie*): O mały włos nie przypaliliśmy pana!

F.: Nie zapominajcie, że to już nasz ostatni.

Nl.: Panie poruczniku, niech pan tego tu Friszteńskiego nie traktuje serio, to prymityw.

B.: On tubylec? On nie Czech?

F.: Ależ ja jestem Czech! Ale prymityw.

B.: Prymityw Czech, wonderful. Czesi mają więc kolonie! No, przyjaciele, opowiadajcie! Jaki jest ten wasz nowy świat? Który mamy rok?

A.: Mamy już dziewiąty rok nowego wieku.

B.: 2009? A może 2109?

A.: Ale gdzie tam! 1909.

B.: Pan raczy żartować. My zamarziliśmy przecież w 1908!

Nl.: Tak, wiemy. W zeszłym roku wyruszyliście i zaginęliście bez wieści.

B.: I wyście mnie ożywili po jednym jedynym roku?! Za to wam nie dziękuję. Wy mnie wkurzyli! Jeden rok snu zimowego! Jak jakieś tam zwierzę! Za to was nie lubię. Wy głupcy.

N.: Słuchaj, bracie Baranie. Jeśli ci się to nie podoba, możesz znów się zamrozić. To tutaj nie stanowi żadnego problemu.

B.: Czy tak można? To jest skomplikowany proceder, który zna tylko profesor! Ale spróbujcie go tylko odmrozić! On by wam pokazał! Rok w lodzie! To na to pracował całe życie?! Po to odejmo-

wał sobie od ust miliony dolarów? Mówił: George, gdy nas rozmrożą, gdy znów będziemy ciepłi, tak jak byliśmy zawsze, zobaczymy inny świat. Twoja ojczyzna nie będzie już ciemżona przez Austrię i ty wrócisz do domu.

A.: Prawda, jeszcze jesteście troszkę ujarzmieni przez Austrię, ale można wytrzymać.

N.: Baran, nam teraz idzie o życie. Idziesz z nami na południe, czy nie?

B.: A co mi pozostało, gdy wy mnie tak sparta-czyli? Ale profesora zostawimy tutaj. Niech chociaż on doczeka nowego stulecia.

N.: Bracie Baranie, to nie jest dobry pomysł. Pomyśl, tu na biegunie nie będzie miał spokoju. Tu podąża jedna ekspedycja za drugą: Amundsen, Nansen, Peary...

Nl.: Tu będzie straszny ruch.

A.: Co chwilę ktoś go będzie rozmrażać.

F.: Lepiej będzie, jeśli go sobie odgrzejemy po drodze. Nieprawdaż, sucharku?

N.: Słynna, zwycięska ekspedycjo polarna, na moją komendę – kierunek: południe, za mną, w kolejności: naczelnik Karol Niemiec, jestem! Naczelnik posiłkowy Wacław Poustka...

Nl.: Jestem!

N.: Aptekarz Wojciech Szofr...

A.: Jestem!

N.: Rodak brat Jerzy Baran...

B.: Jestem!

N.: Tragarz prymityw Jądrék Frisztenski plus profesor Mac Donald...

F.: Wszyscy jestem!

N.: Jazda... DO DOMU!

(Wszyscy drepczą w miejscu, zmagając się z szalejącą wichurą. Światło przygasa, aż zapada zupełna ciemność, a z głośnika rozbrzmiewa głos):

Dnia 5 kwietnia 1909 roku czeska ekspedycja opuściła biegun północny. O dzień później dotarł do bieguna Amerykanin Robert Edwin Peary. Dzielni Czesi nie pretendowali do lauru pierwszeństwa, gdyż nie chcieli, by zwycięstwo przypisa-no znieprawdzonej Austrii. Dopiero po latach, w 1918 roku jedyny żyjący uczestnik ekspedycji, Jądrék Frisztenski, ujawnił całą prawdę przed komisją lekarską w Kosmonosach pod Mładą Boleslav. Jego zeznanie zaprotokołowano. Spowodowało ono przedłużenie pobytu Frisztenskiego w tym zakładzie o kolejnych dziesięć lat.

(Scena znów zostaje oświetlona. Wszyscy aktorzy pozują do żywego obrazu „Zdobycie bieguna północnego”. Naczelnik trzyma nad nimi na drągu czeską flagę).

Przełożył Vladimír Petrilák



W tekście zamieszczono obrazy Ivy Hüttnerovej:

na str. 100 *Chantant*

na str. 102 *Cmentaż żydowski*

na str. 103 *Klaun w wozie cyrkowym*

na str. 105 *Státek komediantův*

na str. 106 *Trafika*

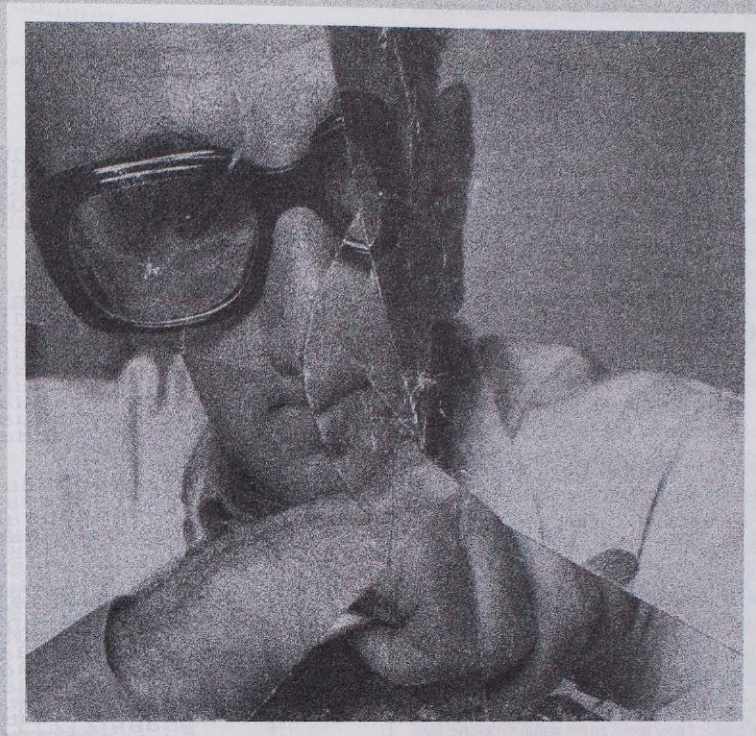
na str. 107 *Wesele Klauna*

na str. 108 *Gošciniec*

na str. 110 *Praga jest rajem dla wszystkich Czechův*

IVA HÜTTNEROVÁ urodziła się w 1948 roku w Pradze. Ukończyła szkołę aktorską i grała w teatrze w Karlovych Varach. Pierwszą wystawę miała w 1974 roku w tym teatrze. Od tego czasu wystawia w wielu znakomitych galeriach, m.in. w galerii teatru „Semafor” i pałacu „U melona” w Pradze. Jej prace znajdują się w kolekcjach Muzeum Sztuki Naiwnej w Paryżu i w Hamburgu.

Pracownia Jiřeho Kolářa



JIŘÍ KOLÁŘ, urodzony w 1914 r. w Protivínie poeta i artysta plastyk.

Wiersze i pierwsze kolaże zaczyna tworzyć w 1934 roku pod wpływem poetyzmu i surrealizmu. W 1937 r. ma pierwszą wystawę indywidualną swoich prac plastycznych. Był współtwórcą (razem z J. Chalupceým) i teoretykiem powstałego w 1942 roku stowarzyszenia twórczego „Skupina 42” (Grupa 42). Więziony w latach stalinowskich (1953 r.). Od 1970 roku nie może w Czechosłowacji publikować ani wystawiać i aż do 1990 r. nie ukaże się tam ani jedna jego książka (poza samizdatem). W 1977 r. podpisuje „Kartę 77”. W roku 1978 uzyskuje pozwolenie na roczny pobyt w RFN. Przebywa na emigracji najpierw w Berlinie Zachodnim, a potem w Paryżu (od 1980 r.). Tymczasem komunistyczne władze w karaju skazują go na rok więzienia i konfiskatę majątku.

Do Pragi powróci dopiero w 1990 r. W 1992 r. otrzymał Nagrodę Jaroslava Seiferta.

Ważniejsze tomy wierszy: „Křesťný list” (1941, Świadectwo chrztu), „Sedm kantát” (1945, Siedem kantat), „Limb a jiné básně” (1945, Przedpiekle i inne wiersze), „Ody a wariace” (1946, Ody i wariacje), „Vršovický Ezop” (1966, Vrszovický Ezop). Ogłasza także wierszowane traktaty o poezji „Mistr Sun o básnické umění” (1957, Mistrz Sun o sztuce poetyckiej) i „Novy Epiktet” (1968) oraz tom poezji wizualnej „Básně ticha” (1970, Wiersze ciszy). Na emigracji ukazały się jego książki, których nakład w Czechosłowacji zniszczono: poetycki dziennik z 1949 r. „Očity svědek” (1983, Naoczny świadek), książka prozatorsko-poetycka z 1950 r. „Prométheova jštra” (1970, Wątroba Prometeusza) oraz wydana w samizdacie w 1975 r. książka „Odpovědi” (1984, Odpowiedzi).

Tłumaczył na język czeski wiersze m.in. Whitmana, Eliota, Mastersa. Na język polski jego wiersze tłumaczył m.in. Leszek Engelking.

WIERSZE
WIZUALNE

ODPOWIEDZI

JIŘI KOLÁŘ

Z cyklu *Szylď Gersainta*

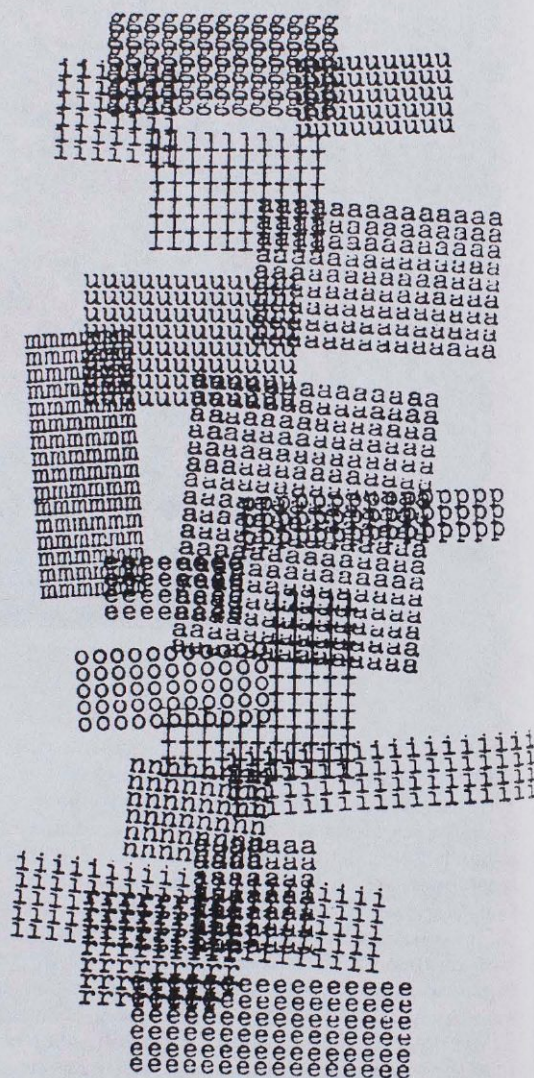
Odpowiedzi*

Od początku chodziło mi o znalezienie płaszczyzny tarcia między sztuką plastyczną a literaturą. Wszystkie dotychczasowe próby w tym kierunku wydawały mi się niezbyt udane, a zwłaszcza niekonsekwentne. Mimo że np. u Marinettiego posunęły się bardzo daleko, to jednak pod spodem została jakaś stara estetyka. To samo u Apollinaire'a. Ciekawe, że to, co w tej dziedzinie zapoczątkował Mallarmé, dostrzegli najpierw inni poeci, jak na przykład Eliot, który dzięki swej Ziemi jałowej (moim zdaniem jednemu z największych wierszy współczesnych) stworzył rodzaj kolażu. Z kolei w prozie właśnie Joyce miał spory wpływ na jeden z etapów mej twórczości poetyckiej, dzięki temu, w jaki sposób potrafił posługiwać się różnymi realiami oraz temu, że nie wahał się łączyć języka literackiego z argot i językiem powieści dla kucharek.

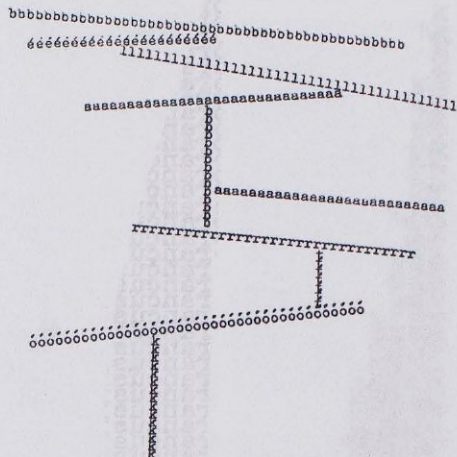
Wydaje się, że eksperyment i odwaga w sztuce są dla fałszywie myślących ludzi dużo bardziej niebezpieczne niż cokolwiek innego. Kiedy zaczynasz myśleć samodzielnie, stajesz się w ten sposób strasznie niebezpieczny. Cała władza literatury i sztuki polega w rzeczywistości wyłącznie na tym, że przesuwa coś na nowe pole obserwacji. Jeśli większość literatury służy dotąd zniewoleniu człowieka, to dzieje się tak dlatego, że w obecnej chwili jej rozwój zatrzymał się w tym samym stadium co rozwój człowieka, który jeszcze nie potrafi zlikwidować wojen i głodu. Koszary są ważniejsze niż szpitale. Niestety do tych koszar muszę dodać również szkoły, a do szpitali nie potrafię dołączyć nic prócz stołówek.

Nie przypadkiem Einstein chodził na wystawy Picassa. Jednocześnie szkoda, że w przypadku wielkich, żywo myślących autorów naukowych nie nazywa się ich dzieła sztuką. Szkoda, że nie wspomina się o religii i mitologii. Przecież często te dziedziny stanowią ich główne pole zainteresowań, ponieważ naukowcy starają się odkryć tajemnicę człowieka. W przypadku tych autorów fascynuje mnie, że nie zadowalają się oni wyłącznie historią badanej dziedziny, ale pragną ją zweryfikować w praktyce, jak choćby Lévi-Strauss, który prowadził badania bezpośrednio w terenie.

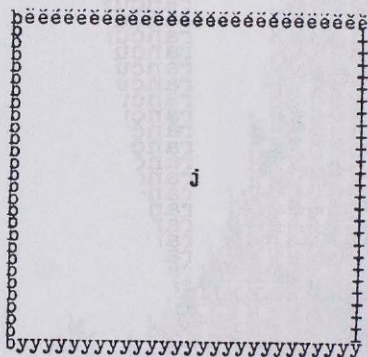
Ja, kiedy zacząłem pracować nad destrukcją wiersza, również musiałem dotrzeć do materiałów na temat historii powstania pisma. Dzięki temu mogłem później stworzyć petroglify i wiersze węzłowe. Inspiracja pocho-



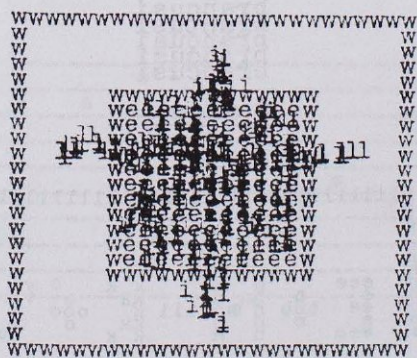
Apollinaire



Bartók



Bielyj

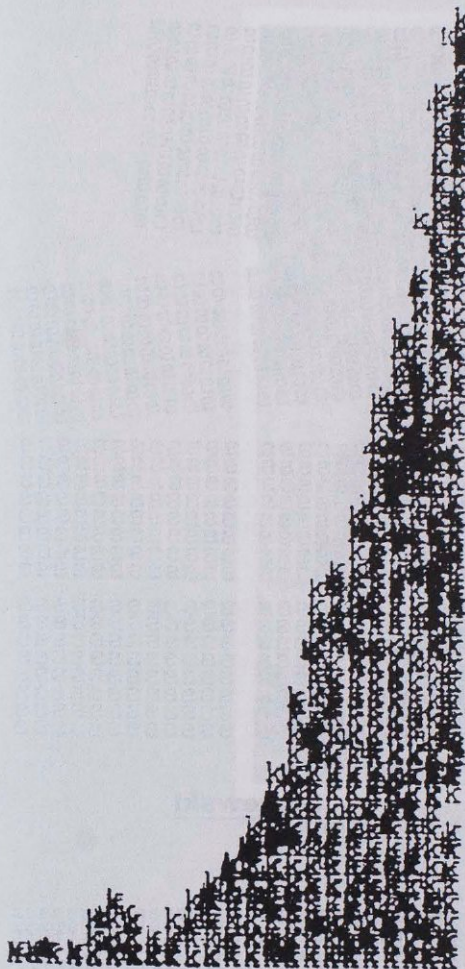


Weil

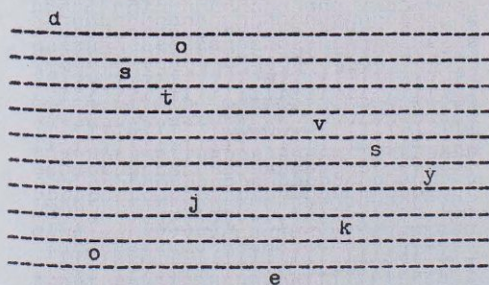
dziła właśnie z takich badań źródłowych. Dziedziny te były wprawdzie objęte nauką historii, ale przecież wszystkim to należy również do historii poetyki. I jako takie pozostaje nadal żywe, podobnie jak Altamira pozostaje żywa dla współczesnego artysty plastyka.

Myszę, że każdy twórca chcąc nie chcąc pewnego dnia musi spróbować tego, co nazwać mógłbym „przewrotem”: przewartościowania i zbudowania od nowa całej poezji, tak jak to było w moim przypadku - niezależnie od tego, czy taka próba ma dużą czy małą wartość. To po prostu prywatna sprawa każdego poety, tak jak było to moją sprawą prywatną. Nikt ode mnie tego nie wymagał, nikt się tym specjalnie nie interesował. Czułem jednak, że muszę dokonać takiego przewrotu, że muszę na niego postawić. Że za to, co robię muszę być w pełni odpowiedzialny. Taki krok trzeba jednak zrobić z największą rozwagą i przenikliwością, a także - co pewnie brzmi dziwnie - z wielką dawką hipokryzji wobec siebie samego. W przeciwnym wypadku klęska jest nieunikniona. Czemu używam słowa „hipokryzja”, „obluda”? To jest termin Baudelaire'a: „Obludny czytelniku, mój bracie”. Baudelaire wiedział bowiem, że kiedy pisze, musi być wobec siebie hipokrytą. Ze jeśli zawiedzie do tego stopnia, iż ktoś będzie w stanie wytknąć mu jakiś błąd, to przegrał. Poeta musi mieć pewność i chronić swoje działanie przed pretekstami do ataków. Oczywiście, że wszystko da się zaatakować, ale trzeba wystrzegać się zbyt łatwych pretekstów. Kiedy zaczynałem swoje próby z poezją pisaną, nie wiedziałem prawie wcale, co się dzieje gdzieś indziej na świecie. Kiedy później po raz pierwszy zobaczyłem wielkie wystawy Kupki i Kandinskiego, uświadomiłem sobie z przerażeniem, że te wielkie dokonania artystyczne były już gotowe w tym czasie, kiedy ja się urodziłem. Cóż więc miałem jeszcze zrobić? A z drugiej strony w tym okresie miałem już za sobą kawał pracy. I to właśnie był jeden z impulsów, by coś z tą swoją pracą zrobić.

Trzeba sobie koniecznie uświadomić, dokąd zaszedł rozwój poezji. Każda próba dokonania przewrotu i zmian z czegoś jednak wynika. Ja miałem za sobą doświadczenia nowoczesnej poezji amerykańskiej, którą tłumaczyłem, ale także jakąś część tradycji poezji europejskiej. Dlatego któregoś dnia mogłem sobie uświadomić, że Apollinaire zastąpił słowo obrazem, a Breton - obiektem, ale że obydwu te podejścia w sumie są stare, bo opierają się na tradycyjnych poetykach. Breton nigdy nie zrobił z obiektu całego wiersza i człowiek musiał znać francuski, by wiedzieć, które słowo w tekście pisanym należy zastąpić przez obiekt. To był jeden z pierwszych kroków ku nowej poezji, ale raczej nieuświadomionych. Surrealiści pod tym względem raczej nie zastanawiali się nad historią poezji, byli raczej upojeni swoimi odkryciami, a zwłaszcza mylącym poczuciem wolności. Stworzyli sobie swoistą wolność twórczości, zapominając, że ta ma pewne prawa. Stworzyli dla siebie wolność estetyczną, lecz realizowali ją w taki sposób, że inny artysta nie był dla nich artystą i człowiekiem, ale jedynie kimś, kto nie rozumie sztuki. Każdy, kto nie pisał na modłę surrealistyczną, był dla nich niemal zbrodniarzem. I właściwie trwa to do dziś. Ta nietolerancja jest wprawdzie zrozumiała, lecz równocześnie była jednym z największych nieszczęść sztuki nowoczesnej. Rozumiem, że Breton nie mógł zaakceptować np. Mondriana, ale wciąż istnieje pytanie, który z nich dokonał więcej. Dla niektórych Mondrian był cudownym malarzem, ponieważ przedstawiał świat uporządkowany i nie chciał czynić go jeszcze straszniejszym, niż jest. Dla mnie ważne było uświadomienie sobie, kto ma rację: czy ten,



Kafka



Dostojewski

zumięć moje potrzeby zdobywał dla mnie całe góry materiałów? Jeśli są to przypadki, to stanowią tak integralną część życia, jak marzenie senne jest częścią snu.

Forma lub treść stają się nieistotne tylko wtedy, gdy nie dostrzeżemy ich ukrytego znaczenia. Nie dotyczy to wyłącznie sztuki, lecz również natury i w ogóle wszechświata. Ja sam nie znam ani jednej swej pracy, w której forma byłaby bez znaczenia, a jeśli chodzi o treść, to już od dziesięciu lat mówię o nowej wrażliwości (ostatnio prześladowa mnie nawet termin „nowa świadomość“). Oczywiście to wcale nie oznacza, że nie staram się robić czegoś daremnego - marność nad marnościami. Jindřich Chalupecký doskonale rozumiał tę wieczną walkę z nicością. Jeśli więc mówi o ciszy za moim dziełem, to powinienem mu być wdzięczny za tę metaforę, która skazuje moje dokonania na rozplynięcie się w ludzkim wszechświecie.

Każdą rzecz, którą dostajemy, piętnujemy własnym losem. To piętno jest tym silniejsze, im silniej owa rzecz ingeruje w nasze życie. Rzeczy również żyją i stwarzają się wraz z nami, są zależne od tego, w jaki sposób kształtuje się nasz los. Jestem pisarzem i potrafię wyczytać z rzeczy ich los. Kiedyś starałem się odczytać przyszłość nowych rzeczy. Co z nimi będzie, jakie będą miały życie - i któregoś dnia zapragnąłem uczynić widzialnym to pismo szram i ludzkich dotyków. W ten sposób powstały moje klejone wiersze - obiekty. Picasso był pierwszym nowoczesnym artystą, który czuł ludzki sens rzeczy. Jakby wierzył w ich świadomość. Dlatego potrafił wypowiedzieć tak piękne i mądre słowa o swej miłości do przedmiotów i o współistnieniu przedmiotów na jego obrazach. Pierwszy zrozumiał, że przedmioty mogą rozmawiać ze sobą. Nagle widzisz, że niektóre rzeczy pasują do siebie i dobrze się znoszą, a inne nie. Więc musisz te, które się nie znoszą, pozostawić tak długo obok siebie, abyś się przyzwyczaił do nich, one zaś do ciebie i do siebie samych. To szczególna mistyka, ale tak to jest. Do rzeczy trzeba mieć jakiś stosunek, by one, dzięki temu, potrafiły się odnaleźć.

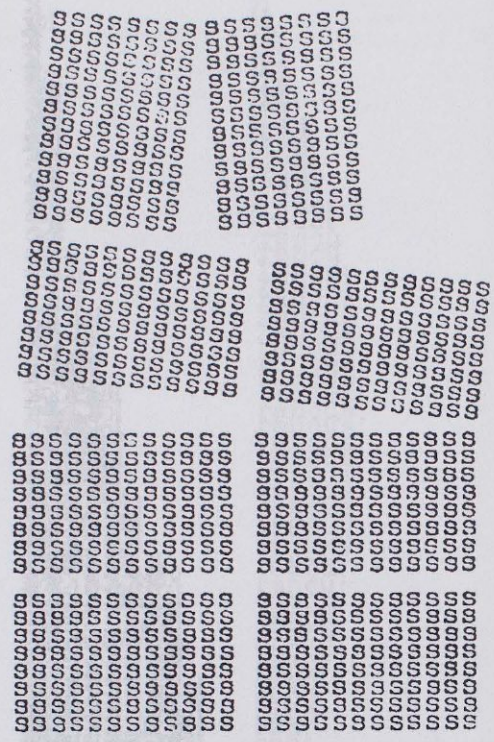
Nie byłem takim poetą, który nie podlegałby grze nastrojów, swemu własnemu widzeniu świata. Musiałem się tym zajmować. Dante nie wahał się umieścić wszystkich swych wrogów w piekle, a ludzi i rzeczy, do których czuł jakąś sympatię - w czyśćcu, gdzie musieli jeszcze cierpieć, tylko tych, których naprawdę kochał, pozostawił w raju. On wprawdzie stawia pytania, ale jednocześnie sam na nie odpowiada, dlaczego tamci są w piekle. Nie jest bezstronny. Uciekać można tylko przed własnym sumieniem, a to z kolei - przy braku szerokiego spojrzenia, inteligencji i kontaktu ze światem (jakiego wtedy nie miałem) - może wpędzić człowieka do prywatnego, osobistego więzienia. Człowiek jest w stanie stworzyć sobie własne więzienie, własną ciemnicę, z której sam powinien się wydostać. Po prostu pewnego dnia pojawia się pewność, że trzeba to wszystko zostawić, że w więzieniu własnej samotności można zagrzebać się aż do śmierci i nigdy się nie wydostać. Potem rozumiałem, że świat jednak nie jest obozem koncentracyjnym. „Co podniosę, spowoduje czyjś upadek - co opuszczę, będzie dla niego wzlotem” - napisał kiedyś Halas - i ta sprzeczność zawsze z wiekiem nachodzi poetę. Musi uświadomić sobie, że żyje tutaj i że chociaż ludzie siedzieli w obozach koncentracyjnych, to gdzieś indziej mogli się kochać i być szczęśliwi. Dla poety to coś strasznego: kochać i wiedzieć, że ludzie wokół są nieszczęśliwi. A ponieważ to sobie uświadamia, więc jest tylko kochającą albo

cierpiącą istotą. Między człowiekiem a istotą jest różnica. Ten, kto uświadamia sobie sprzeczności świata, kto rozumie, że i w szczęściu, i w nieszczęściu jest na świecie dobro i miłość, ten jest człowiekiem. Istota jest jednostronna. Istotą jest ten, kto interesuje się tylko piłką nożną albo samochodami i nie dostrzega już nic więcej.

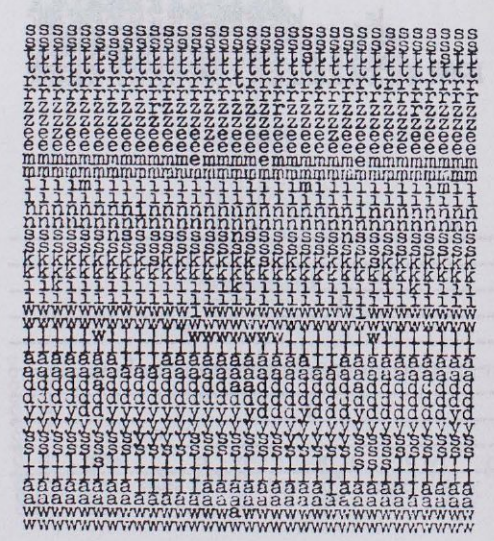
Na początku lat pięćdziesiątych pracowałem z fotografem Evą Fukovą nad ideą końca rzeczy. W każdej sekundzie nie tylko umiera tysiące ludzi, lecz ulegają zniszczeniu miliony rzeczy. Niektóre umierają długo, inne błyskawicznie. Jeszcze inne trwają dalej jako ruiny i myślę, że można by o tym napisać interesujące studium czy nawet całą książkę. Po ciężkiej chorobie w 1970 roku musiałem uczyć się wszystkiego od początku i to zmusiło mnie również do nauki myślenia. I nagle coś, do czego wcześniej z takim trudem dążyłem i co kosztowało mnie tyle wysiłku, teraz samo przychodziło. Przeszłość łączyła się z teraźniejszością, fikcja z rzeczywistością, fantazja ze świadomością. A wszystko było niezwykle intensywne. Znów powróciłem do czasów, gdy niczego nie traktowałem w sposób szczególny, wyjątkowy - drzewo, dom, kwiat, kamień, słońce, krzesło, myśl itd. nagle stawały mi się bliskie, znajome. Mogłem z nimi rozmawiać, byłem z nimi na ty, przeklinałem je, kochałem albo się ich bałem. Czas był jeden, przestrzeń nie miała dla mnie wymiarów, widziałem prawie bez perspektywy, do góry nogami. Wszystko było zwielokrotnione i chaotyczne. Podobnie w tym czasie myślałem i odczuwałem. Tak jak kiedyś zachwycali mnie wszystkie kraje, jakie odwiedziłem, z ich przerażającym pięknem, nadziejami, wolnością, tak teraz odczuwałem podobne uwielbienie do wszystkiego. Nigdy już nie utracę tego, do czego zawsze dążyłem: jest to przekonanie o nieskończonej jedności rzeczywistości. Bo rzeczywistością był również mój nierzeczywisty stan. Zacząłem uczyć się w pracy. Oznaczało to utrzymać pióro w ręku, oderwać kawałek papieru, przemówić. Czulem własną niemoc i rozpad, bo mogłem sam siebie obserwować. Moja głowa nagle wypełniła cały pokój, członki rozrastały się w nieskończoność, wszystko padało na mnie w mamucich rozmiarach. A ten, którego nazywa się Bogiem, chyba mnie wysłuchał. Nie potrafię tego inaczej wytłumaczyć. Co było dalej? Nigdy nie pracowałem bardziej wolny od tego, co mogło przeszkadzać mi w pracy, nigdy nie czułem się tak swobodnie. Jeśli kiedyś bałem się, że nie będę mógł czegoś skończyć, to teraz już się nie boję. To, co czulem, mogę teraz powiedzieć w sposób bardziej dobitny i jestem bardziej wolny. Wiem, że to szaleństwo. Ale czy cały ten niebezpieczny świat nie jest szalony? Czy ma jakiś sens? Myślę, że to nie ma znaczenia, bo nie jestem wobec niczego obojętny. Dlatego to, że jeszcze żyję, ma chyba jakiś sens. Właśnie dlatego, że nie jestem wobec niczego obojętny.

Praga - Paryż, 1973

* Wypowiedzi Kolářa, pochodzące z jego książki *Odpovědi*, która ukazała się jako wydanie samizdatowe w 1975 roku, a następnie w czechosłowackim wydawnictwie emigracyjnym Indeks w Kolonii w 1984 roku, przełożył Andrzej Jagodziński i zamieścił w swej książce: *Banici. Rozmowy z czeskimi pisarzami emigracyjnymi*, Warszawa 1988.

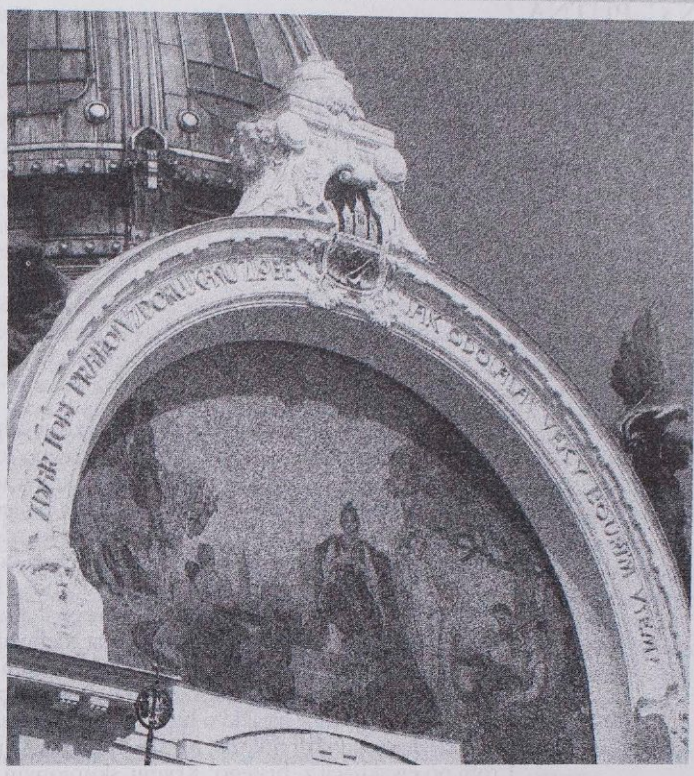


Stażewski



Strzemiński

Bractwa narodowe



Mozaika Karela Špillera, *Hold składany Pradze* na fasadzie Domu Miejskiego w Pradze

CWIETAJEWA
ROSJANIE
UKRAIŃCY

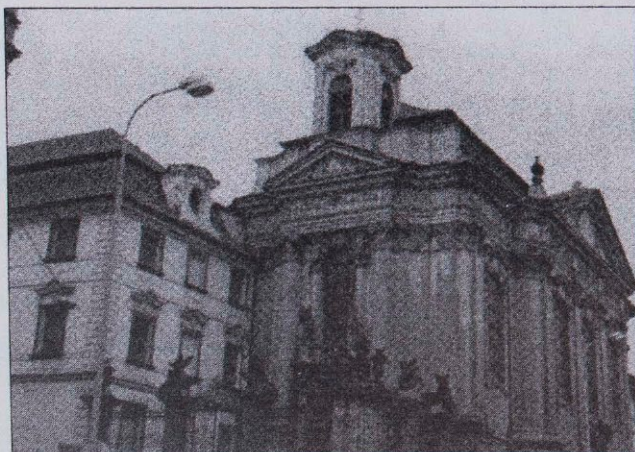
MARTIN C. PUTNA

Praga rosyjska (1921-1945)

Jedną z najważniejszych cech charakteryzujących czeską inteligencję XIX wieku było rusofilstwo. Może ono być zarówno romantyczno-panslawistyczne (Čelakovský, Hanka), jak też demokratyczne i krytyczne, konsekwentnie stawiające rosyjski naród i kulturę po jednej, a reżim carski po drugiej stronie (Havlíček). Politycy, którzy zdecydowali się udzielić schronienia części emigrantów ze zbolszewizowanej Rosji (po 1917 roku było ich od dwóch do trzech milionów), sympatyzowali z Rosją, ale należeli do tego drugiego nurtu. Byli to: premier pierwszego rządu czechosłowackiego Karol Kramář (jego małżonką była Rosjanka Nadieżda Abrykosowa), wiceminister spraw zagranicznych Václav Girs (ministrem był E. Beneš), jeden z dowódców legionów czechosłowackich w Rosji i - przede wszystkim - Tomasz Masaryk, autor książki o historii myśli rosyjskiej *Rosja i rewolucja*. W 1821 roku założyli oni tzw. AKCJĘ ROSYJSKĄ - plan pomocy uciekinierom po ewakuacji z „białego” Krymu, skupionym w głównych „stacjach przesiadkowych”: Carycynie i Galliopolu.

Celem „Akcji rosyjskiej” było skupienie w Pradze rosyjskiej inteligencji, zwłaszcza naukowców, profesorów, dziennikarzy i techników, i umożliwienie im pracy, a równocześnie, przy ich pomocy, wyłonienie i wychowanie nowej inteligencji dla przyszłej Rosji (z szeregów byłych żołnierzy Białej Armii), która, w przekonaniu Masaryka, miała być liberalną i demokratyczną, bez cara i wszechpotęgi państwowego Kościoła.

Cerkiew prawosławna w Pradze



Przesłanki te rzutowały na najważniejsze cele rosyjskiej emigracji w Pradze: najistotniejsza nie była literatura i sztuka, lecz szkolnictwo i nauka. Czołową pozycję w praskiej publicystyce rosyjskiej zajmowali wobec tego liberalowie, czy - dokładniej mówiąc - umiarkowani socjaliści, tzw. eserzy.

System szkolnictwa rosyjskiego w Republice Czechosłowackiej obejmował wszystkie stopnie - od schronisk dla sierot i szkół podstawowych, - po gimnazja i uczelnie wyższe. Celem „Akcji rosyjskiej” było zorganizowanie uniwersytetu rosyjskiego, ale z braku wykładowców powołano tylko niektóre wydziały.

Elitę praskiej inteligencji emigracyjnej skupiał Rosyjski Wydział Prawa (1922-

1929) założony przez Pawła Nowogrodcewa (1866-1924). Masaryk i Girska uważali tę uczelnię za najistotniejszą, w niej bowiem przygotowywano kadry adwokatów i sędziów, czyli potencjalnych polityków i ustawodawców. Nauczano rosyjskiego prawa przedrewolucyjnego. Ale siły demokratyczne w Rosji nie zwyciężyły i zagranica nie uznawała tego wykształcenia. Dlatego dla absolwentów tego wydziału zorganizowano naprędce kursy dla malarzy pokojowych. Odmienne natomiast traktowano absolwentów innych wydziałów: Rosyjskiego Instytutu Rolniczego, Instytutu Pedagogicznego im. J.A. Komeńskiego i Instytutu Handlowego, których kwalifikacje uznawano w Republice Czechosłowackiej, a także na Zachodzie: we Francji i USA, dokąd często wyjeżdżali.

Rosyjski Uniwersytet Ludowy (1923-1939) nie był wyższą uczelnią, ale międzynarodowym rosyjsko-czeskim ośrodkiem naukowym i oświatowym (kierował nim były rektor Uniwersytetu Moskiewskiego Michaił Nowikow). Czesko-rosyjskie było także Praskie Koło Lingwistyczne (założone w 1926 roku), którego członkowie zajmowali się studiowaniem fonologii i stylistyki. Należeli do niego zarówno czescy językoznawcy (V. Mathesius, B. Havránek, B. Trnka), jak i emigranci. Z Wiednia dojeżdżał książę Nikołaj Trubeckoj (1890-1938). W Pradze mieszkali m.in. Sergiej Karcewski (1884-1955) i Roman Jakobson (1896-1982).

Roman Osipowicz Jakobson brał udział w powstawaniu tzw. rosyjskiej szkoły formalnej (grupa OPOJAZU - Obszczestwa Izuczenija Poeticzeskogo Jazyka i Moskiewskie Koło Lingwistyczne), która dokonała przełomu w językoznawstwie i nauce o literaturze. Do Pragi przybył oficjalnie w 1920 roku jako kierownik wydziału prasowego przedstawicielstwa sowieckiego i już w niej pozostał. (...)

Jakobson dobrze czuł się w środowisku czeskim; rozkochał się w kulturze czeskiej, której poświęcił wiele opracowań (*Spór duszy z ciałem, Czeskie pieśni duchowe* i in.), napisał też książkę o czeskim wierszu (*O wierszu czeskim w porównaniu z rosyjskim*).

W roku 1938 Żyd Jakobson musiał się ukrywać; przebywał w Protektoracie Czech i Moraw. Publikował pod przybranym nazwiskiem Olaf Jensen. Pod koniec roku 1939 uciekł do Danii, gdzie na wzór moskiewskiego i praskiego koła założył Kopenhaskie Koło Lingwistyczne. Z Danii przez Norwegię i Szwecję przedostał się do USA. W Nowym Jorku jego słuchaczem był między innymi Claude Lévi-Strauss, przedstawiciel strukturalizmu, który z tej metody naukowej uczynił światopogląd.

Do Pragi Jakobson ponownie przyjechał na początku 1968 roku na IV Międzynarodowy Zjazd Sławistów, a w rok później - na konferencję o św. Cyrylu-Konstantynie „Filozofie”. Opublikował wówczas swoje ostatnie prace poświęcone kulturze czeskiej: opracowanie o starosłowiańskiej poezji i o pieśni *Hospodine, pomyluj ny*. Był to wyraz miłości uczonego do kraju, którego oblicze ukształtowało współzycie kilku kultur: ewangelickiej, katolickiej i żydowskiej. Oddał hołd krajowi, który we wczesnym średniowieczu serdecznie przyjmował żydowskich Ahaswerów i stał się jego drugim domem. „Pijmy więc z tego kielicha - zwrócił się Jakobson na pożegnanie do swoich czeskich przyjaciół - który właśnie w tym kraju stał się symbolem równości, to wino, które w kraju moich dawnych przodków już dwa tysiące lat temu stało się symbolem największej ofiary, poniesionej dla całej ludzkości. I wierzymy, że ludzkość kiedyś symbolikę tę zrozumie.”

Cwietajewa żyła w Pradze niespełna cztery lata (1923-1927). Chociaż w większości żyła w okolicach Pragi i na jej przedmieściach (Mokrapys, Všenory), to swoje utwory pisane w tym okresie odnosi do samej Pragi: „Po Rosji”, „Tezeusz”, „Poemat kresu”. *Niech się Czesi przekonają, że nie łożyli na mnie darmo przez te wszystkie lata - pisała*

Maryna Cwietajewa, Czechosłowacja
1923-1924





Cwietajewa z córką Ariadną,
Czechosłowacja 1925.

Skupiskiem międzywojennej diaspory rosyjskiej, rozproszonej po Europie, Dalekim Wschodzie i (w mniejszym stopniu) Ameryce były przede wszystkim Paryż i Berlin oraz chiński Chabrin. Niemniej w Pradze siedzibę miały niektóre instytucje (powołane w ramach „Akcji rosyjskiej”) o podstawowym znaczeniu dla całej emigracji: Rosyjska Biblioteka Ministerstwa Spraw Zagranicznych (kierował nią historyk literatury Władimir Tukalewski, „1881-1936”), Rosyjskie Archiwum Zagraniczne (prowadzone przez historyka Aleksandra Kizevettera „1866-1933”) i Rosyjskie Muzeum Kulturalno-Historyczne, którego dyrektorem był Walentin Bułhakow (1866-1966).

Walentin Fiodorowicz Bułhakow w 1910 roku porzucił studia na Uniwersytecie Moskiewskim i został ostatnim sekretarzem Lwa Tołstoja. Całe swoje życie poświęcił popularyzacji jego twórczości, a w szczególności jego religijno-społecznych ideałów. Najpierw w Jasnej Polanie, gdzie pomagał w koordynacji grup tołstojskich na świecie, a od 1923 roku - w Pradze (rok wcześniej wydano go z ZSRR jako „element niepożądany”). W Pradze wydaje wiele książek o Tołstoju, m.in. *Światowe znaczenie Tołstoja, Odejście Tołstoja z Jasnej Polany, Etyka Tołstoja*. W dziełach tych przedstawia nie tylko szczegóły dotyczące Tołstoja. Ich ideą przewodnią jest „przedstawienie prawdziwego obrazu ruchu tołstojskiego”. (...)

Jako dyrektor Rosyjskiego Muzeum Kulturalno-Historycznego Bułhakow skupował rękopisy, książki, fotografie i obrazy z rosyjskiej diaspory. W ten sposób w Pradze znalazły się dzieła Repina, Renichowa, Dobużyńskiego, An-nienki i innych malarzy emigracyjnych.

W 1945 roku Bułhakow uległ (jak i wielu innych emigrantów rosyjskich) fali „patriotyzmu sowieckiego” i całą niezmiernie cenną kolekcję własnoręcznie zapakował i wysłał do Związku Sowieckiego, dokąd zresztą wrócił po trzech latach, by w Jasnej Polanie nadal pisać o „swoim” Tołstoju. Warto tu odnotować, że w jego późnych tekstach nie ma już żadnej wzmianki o światowej religii i o jedności ludzi - braci w Chrystusie, której był takim gorącym propagatorem w Pradze.

Na emigracji tworzyła cała plejada wybitnych rosyjskich myślicieli religijnych, których idee oddziaływały na zachodnią myśl filozoficzną. Najdonioślejsz brzmia nazwiska: Bierdiajewa, Mereżkowskiego i Szestowa. Ośrodkiem skupienia tej grupy filozofów był Paryż, chociaż niewiele brakowało, by tym ośrodkiem stała się Praga. W pierwszych latach istnienia grupy, spodziewając się lepszych warunków pracy, do Pragi przyjechali: uczeń Sołowjowa, autor „sofijskiego” filozoficzno-teologicznego systemu, a może w ogóle największy oryginał rosyjskiej teologii, Sergiusz Bułgakow (1871-1944); polityk, ekonomista i inicjator ewolucji filozofii rosyjskiej od marksizmu do neoidyalizmu Piotr Struwe (1870-1944); wielki konkurent Bułgakowa, zwolennik

Bractwa narodowe

MARTIN C. PUTNA

powrotu do nauk Ojców Kościoła IV-VI w. Georgij Florowski (1893-1979); socjolog Pitrim Sorokin (1889-1968); pedagog, historyk rosyjskiej filozofii i wieloletni prezes Rosyjskiego Chrześcijańskiego Ruchu Studenckiego (założonego w 1923 roku na zjeździe młodzieży emigracyjnej w Přerowie na Morawach) Wasilij Zenkowski i inni. Siergiej Bułgakow założył w 1923 roku w Pradze koło filozoficzne „Bractwo Świętej Zofii”, później przekształcone w Towarzystwo Filozoficzne.

Liberalno-lewicowe środowisko Pragi temu ruchowi myśli jednak nie sprzyjało i wkrótce (...) myśliciele ci, jeden po drugim, wyjechali. Do opuszczenia Pragi przez filozofów rosyjskich ostatecznie przyczyniło się założenie w roku 1925 w Paryżu Prawosławnego Instytutu Teologicznego, do którego odeszli: S. Bułgakow, Florowski i Zenkowski, i w którym napisali swoje największe prace. W Pradze pozostali jedynie (prócz historyków filozofii): Iwan Łapszyn (1870-1952) i Nikołaj Łoski (1870-1965). (...)

Łoski przyjechał do Pragi wkrótce po wygnaniu w 1922 roku. Siedem lat mieszkał wraz z rodziną na peryferiach Pragi, następnie w latach 1929-1942 w centrum miasta. Jego synowie, Władimir i Borys, wyjechali wkrótce do Paryża, gdzie Władimir został znanym historykiem średniowiecza (był uczniem E. Gilsona) i laickim działaczem kościelnym (...)

Łoski z trudnościami nawiązał kontakty z czeskim środowiskiem filozo-

fów; skarżył się, że Czesi nie pojmują istoty rosyjskiej kultury duchowej, osądzając wszystko według kryterium „postępowa - niepostępowa”. Jako przykład przytacza *Chrzest świętego Władimira* K. Havlička - „tę najbardziej idiotyczną satyrę na Rosję z głupimi atakami przeciw religii”. Przeszkodziło mu (J. B. Koziak) w prowadzeniu wykładów na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Karola. Łoski wyjechał więc na wykłady do Francji i dopiero w 1936 roku na uniwersytecie w Brnie, specjalnie dla niego, powołano lektorat „historii mądrości rosyjskiej”, który po roku przeniesiono do Pragi. Łoski prowadził zajęcia (po czesku) do zamknięcia czeskich uczelni wyższych przez Niemców w 1939 roku. Co prawda, wielu zwolenników dla swojego intuitywizmu nie zdobył; nie miał ich zresztą wcześniej. Niemniej jego dzieła wysoko ceni na przykład Otokar Březina (wybitny poeta mistyczny), jego gorącym zwolennikiem stał się słowacki grekokatolicki Ivan Kellner, który po powstaniu „państwa słowackiego” zaprosił go na Uniwersytet Bratysławski. W kwietniu 1942 roku Łoski rzeczywiście przeprowadza się do Bratysławy, gdyż w Protektoracie interesowało się nim Gestapo. W drugim semestrze lekcje prowadzi już po słowacku.

Do wybuchu wojny zdążył w Pradze napisać i wydać cztery książki, w których stosuje intuitywizm w etyce. Piątą książkę poświęconą teodycei (*Bóg i zło w świecie*) opublikował podczas wojny...

Wyzwolenie zastało go w Bratysławie, z której już w 1945 roku wyemigrował do USA.

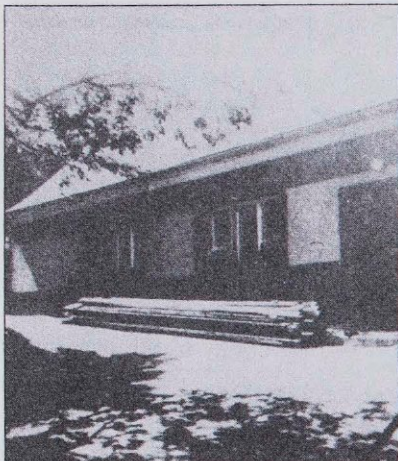
Na pograniczu nauki, filozofii i religii można usytuować ruch Eurazjatów. Tezy ruchu po raz pierwszy sformułowano w almanachu *Nawrót do*

*Praga to miasto, gdzie tylko dusza waży.
Kocham ją po Moskwie najbardziej, i to
nie za jej rodzinną słowiańskość, ale za jej
pokrewieństwo ze mną. Jest spleciona i ma
tak wiele dusz. (...) Ach, jakie cuda można
by opisywać z Pragą w tle! Bez fabuły i
bez ciał: powieść duszy.*

Marina Cwietajewa, z listu
do Anny Těskowej (1925)

Maryna Cwietajewa i Siergiej Efron z córką
Ariadną, Czechosłowacja 1925.





Všenory - dom, w którym żyła Cwietajewa

uschodu (Sofia 1921): „Rosja nie znajduje się ani w Europie, ani w Azji. Rosja żyje sama dla siebie - to Eurazja, i musi ona iść zupełnie własną drogą, niepodobną do demokracji europejskiej, do socjalizmu, ale wywodzącą się z narodowego ducha i prawosławia”.

(...) Z czterech założycieli ruchu eurazjatyckiego z Pragę związani byli tymczasowo G. Florowski i E.N. Trubeckoj, na stałe zaś - Piotr Sawicki (1895-1968).

Piotr Sawicki, geograf z zawodu, do Pragi przybył w 1922 roku z Sofii. Swoją profesję całkowicie podporządkował ideologii eurazjatyckiej. W swoich książkach (np. w wydanej po czesku *Jednej szóstej świata*, - 1933) dowodzi, że Rosja to kontynent sam dla siebie... Sawicki redaguje niskonakładowe pismo „Kronika eurazjatycka” (później przeniesione do Paryża) i bierze udział w politycznej radykalizacji ruchu w latach trzydziestych. Wówczas szeregi ruchu opuścili już Florowski i Trubeckoj (którzy poświęcili się teologii i lingwistyce). Przyłączyli się natomiast „praktykujący eurazjaci” (m.in. mąż M. Cwietajowej - Siergiej Efron), którzy z ruchu uczynili

„piątą kolumnę” ZSRR w szeregach rosyjskiej emigracji. (...)

Efron wrócił do ZSRR już na początku lat trzydziestych, gdzie wkrótce został rozstrzelany. Sawickiego NKWD znalazło w 1945 roku w Pradze i wywiozło do gułagu. Zwolniono go w drugiej połowie lat pięćdziesiątych i pozwolono na powrót do Pragi, gdzie zmarł. W gułagu pisał wiersze, które później drukował pod pseudonimem „Wostokow” - człowiek ze Wschodu.

Na początku lat dwudziestych w Pradze działała jeszcze jedna prosowiecka grupa - smienowiechowców. Nazwa ta pochodzi od tytułu almanachu *Smienna wiech* (*Zmiana kierunku*, Praga 1922), w którym ogłoszono koniec rewolucji w Rosji („życie powraca do normy”; oczywiście był to okres „manewru” Lenina - NEP) i nawoływano emigrację do masowego powrotu oraz pokuty. Autorzy *Smienny wiechu*, przeważnie mało znani publicyści i byli oficerowie Białej Armii: m.in. Jurij Kliucznikow (1886-1937), Nikołaj Ustriałow (1890-1937) przenieśli się do Berlina, ówczesnego centrum emigracji i zaczęli wydawać jawnie prosowiecką gazetę „Przeddzień”. Część emigracji udało im się rzeczywiście zdezorientować i nakłonić do powrotu.

Także i oni, gdy tylko poszli za własnymi radami, otrzymali swoją „zapłatę”, tzn. siedem gramów ołowiu...

O dominacji eserów w Pradze napisałem wcześniej. Warto dodać, że z eserskich polityków starego pokolenia mieszkała tu np. „babcia rosyjskiej rewolucji”, weteranka przedrewolucyjnych emigracji, wygnań i aresztów Jekaterina Breszko-Breszkowskaja (1844-1938), małżeństwo: ekonomista Siergiej Prokopowicz (1871-1955) i Jekaterina Kuskowowa (1869-1955), wydalenii z ZSRR za zorganizowanie „Komitetu pomocy głodującym”, czy też główny teoretyk partii, Wiktor Czernow (1873-1952). Już w 1920 roku w Pradze powstaje eserowskie (a dokładniej lewo-eserowskie) pismo „Wola Rosji” (najpierw jako dziennik, później miesięcznik [...]). Główną



Siedzą: M. Cwietajewa, E. Eleneva, K. Rodziewicz, stoją: S. Efron, N. Elenev. Czechosłowacja 1923.

postacią „Woli Rosji” były krytyk Mark Słonim (1894-1976).

Mark Lwowicz Słonim sformułował swoją filozofię w pierwszej, napisanej na emigracji w języku francuskim książce *Bolszewizm oczami pewnego Rosjanina*. (...)

Z programowych powodów „Wola Rosji” nie drukowała „klasyki emigracyjnej” (Bunina czy Remizowa; jedyną osobą ze starszego pokolenia, którą Słonim traktował na serio, była Marina Cwietajewa), ale interesowała się dziedzinami, które nie cieszyły się powodzeniem w Paryżu: literaturą sowiecką (w latach dwudziestych nader przecież interesującą) i literaturą najmłodszego, dotąd przez nikogo nie zauważonego pokolenia emigracyjnego - praskiego i paryskiego. Do tych niewątpliwych zasług „Woli Rosji” Słonima trzeba dopisać także publikowanie tekstów, które nie mogły się ukazywać w ZSRR, zwłaszcza fragmentów powieści *Zamiatina My*.

W 1928 roku Słonim przeniósł się do Paryża, gdzie przeprowadził grupie młodych poetów „Koczownicy”, zorientowanej na szkołę formalną, Pasternaka i Cwietajewą. Jego pożegnanie z Czechosłowacją było wzruszające (i u emigrantów rzadko spotykane!) - napisał książkę wspomnień pt. *Złotym szlakiem. Wrażenia z Czechosłowacji*, w której zamieścił wiele gorących słów o Słowacji, o Husie i Masaryku, a przede wszystkim o Pradze.

W ten sposób Słonim stanął u boku takich obcokrajowców, jak G. Apollinaire czy A.M. Ripellino, którzy w Pradze znaleźli tajemniczą, dotychczas ukrytą część siebie samego i swej własnej historii.

Młodymi praskimi poetami opiekował się inny krytyk literacki, Alfred Bem (1886-1945).

Alfred Ludwigoicz Bem, jak nikt inny, był prawdziwym patronem rosyjskiej kolonii w Pradze. Wykładał literaturę w Instytucie Pedagogicznym, działał w Czesko-Rosyjskiej Wspólnocie, był współzałożycielem gimnazjum w Morawskiej Třebowej, Związku Pisarzy Rosyjskich, organizował „zbrasławskie piątki” (regularne spotkania działaczy kulturalnych rosyjskiej Pragi) i wiele innych imprez. W jego mieszkaniu spotykali się młodzi autorzy z grupy „Pustelnia Poetów”, m.in. Wjaczesław Lebediew, Alla Gołowina, Emilia Czergincewa, którym udało się wydać własne zbiory poezji. Innym członkom grupy, „Pustelnia” umożliwiła udział w almanachach (Aleksiej Eisner, Tatiana Ratgauzowa i in.). Nieco wyraźniej zaistniał w literaturze Siergiej Rafalski, ale dopiero po opuszczeniu Pragi.

Bem pisał po rosyjsku, czesku i niemiecku (jeden z przodków ukraińskich Bemów pochodził z Czech), nie publikował jednak w „Woli Rosji” Słonima - nie akceptował linii politycznej tego pisma - ale w berlińskim „Sternie” i paryskich „Notatkach współczesnych” (zwłaszcza recenzje i opracowania literacko-historyczne, najczęściej o Puszkynie, Tolstoju i Dostojewskim).

Na temat śmierci Bema krążą dwie wersje; obie zaczynają się od jego aresztowania w maju 1945 roku przez sowieckie służby specjalne. Według jednej z nich Bem skoczył z okna pewnej willi zajętej przez wywiad, druga zaś głosi, że zastrzelono go na dziedzińcu pankrackiego więzienia. Bogata spuścizna literacka po Bemie jest rozproszona po różnych periodykach i gazetach i czeka na opracowanie.

Dobrze znana jest natomiast, bo w całości wydana po czesku, twórczość dwu autorów starszego pokolenia, którzy żyli i umarli w Pradze: Arkadija Awerczenki (1881-1925) i Jewgienija Czirikowa (1864-1932).

Arkadij Timofiewicz Awerczenko zdobył ogólnorosyjską sławę jako redaktor i autor humorystycznego pisma „Satyrikon” i „Nowy Satyrikon” (1908-1918). Rewolucja wypędziła go na Krym i stamtąd do Carycyna, gdzie rozpoczął się drugi etap w jego twórczości, całkowicie odmienny od beztróskiego chichotu jego wcześniejszych opowiadań i szkiców. Rosją, ze swoją biurokracją i policją, z której się dobrodusznie wysmiewał, przedstawiała teraz dla niego raj utracony. Jacy życzliwi byli carscy stróże

„...towarzystwem Marynie Iwanowej w spacerach po ulicach wokół Klementinum, w którym mieści się uniwersytet, na Małej Stranie z jej pałacami i legendami, w wąziutkiej Złotej uliczce. Marynę Iwanową szczególnie przyciągał cmentarz żydowski (...) i Čertowka pod Mostem Karola. Tam przy jednym z kamiennych filarów mostów na wąskim cokole stoi posąg rycerza, cisza, Čertowka i w dwa dni po naszym spacerze wysłała do mnie swojego „Praskiego rycerza” (...) Wszystkich pytała o rycerza i marzyła o tym, że o nim napisze opowiadanie na tle Pragi XVIII wieku”



Pomnik legendarnego czeskiego rycerza Bruncvika, którego Cwietajewa często wspomina w swoich wierszach i listach. Most Karola, Praga.

Pobyt Cwietajewej w Pradze to również jej płomienna miłość do Konstantina Rodziewicza, bohatera „Poematu góry” i „Poematu kresu”, która szybko zamieni się w gorycz i rozczarowanie. „Jak do tego doszło? – pytała w liście do Aleksandra Bachracha – Wspłonełam, on odpowiedział, usłyszałam wielkie słowa, najprostrze ze wszystkich, które usłyszałam chyba po raz pierwszy w życiu. (...)”

porządku w porównaniu z czekistami, jacy liberalni starzy gubernatorzy (w tym też i ten, który niegdyś wygnał Awerczenkę z Charkowa za jego teksty) w porównaniu z komisarzami ludowymi, jak bezpiecznie było kiedyś, jak przyjemnie, swobodnie i wygodnie!

Na emigracji Awerczenko pisze wiele książek wypełnionych namiętną nienawiścią do uzurpatorów i (czasami nieco placzliwą) nostalgią. Jego emigracyjny śmiech jest gorzki i zgryźliwy... Najbardziej jadowitą jest książka *Dwanaście portretów wybitnych jednostek* (1923), w której krytykuje nie tylko Lenina, Dzierżyńskiego, ale także Kiereńskiego, którego obarcza odpowiedzialnością za katastrofy; nie oszczędził również melancholijnych i wzdychających emigrantów, siedzących w zaciszu emigracji z założonymi rękoma.

Czeski czytelnik zapoznał się z twórczością Awerczenki już przed wojną, bowiem jego dzieła zebrane zaczęły się ukazywać w 1923 roku. Jego pobyt w Pradze trwał jednak niespodziewanie krótko - w marcu 1925 roku zmarł na zawał w miejskim szpitalu.

Jewgienij Nikołajewicz Czirikow wywodzi się z nurtu literatury krytyczno-społecznej, która w chwili swojego powstania zdobyła w Rosji olbrzymią popularność...

Do Pragi Czirikow przybył w 1922 roku z Sofii. Środowisko czeskie potrafiło ocenić jego łatwo zrozumiały styl realistyczny; większość z dwudziestu tomów, które tu napisał, wydano najpierw po czesku, a dopiero potem po rosyjsku.

Czirikow pokusił się o własną interpretację rewolucji i wojny domowej. Co prawda portret bolszewika w utworze *Spustoszona dusza* (1921) nie był zbyt udany, ale następna powieść o wojnie domowej *Bestia piekielna* (napisana w 1922 roku, wydana w 1924 roku po czesku, po rosyjsku w 1926) wywołała wśród emigracji wielkie poruszenie i polemiki. (...)

Aby uzupełnić obraz rosyjskiej Pragi, trzeba wymienić chociażby nestora rosyjskich pisarzy, realistę starej szkoły Wasilija Niemirowicza Danczenkę (1845-1936), historyka sztuki Siergieja Makowskiego (1878-1963, w Pradze w latach 1923-1928), krytyka literackiego Jewgienija Ljackiego (1868-1925), który kierował wydawnictwem *Płomień* (w latach 1923-1925 najbardziej prężnym wydawnictwem całej rosyjskiej emigracji). Trzeba też wspomnieć o Kościele prawosławnym, który wraz z Czechosłowackim Kościołem Husyckim dzielił się katedrą Św. Mikołaja na Rynku Staromiejskim i przy poparciu Karła Kramáře wybudował nową cerkiew w rosyjskim sektorze Cmentarza Olszańskiego. Nie sposób pominąć także biskupa Siergieja, skromnego, ofiarnego i tolerancyjnego administratora cerkwi (cechy te są u biskupów - nie tylko prawosławnych - rzadkością). (...)

Dobra passa Pragi rosyjskiej trwała tylko kilka lat (1922-1925), kiedy to w Czechosłowacji przebywało ponad 25 tysięcy emigrantów. Potem liczba ta zmniejszyła się. Emigranci wyjeżdżali do Paryża, który proponował lepsze warunki pracy dla pisarzy, filozofów, a nawet młodych absolwentów uczelni. Kolejna fala rosyjskich prażan opuściła kraj po upadku Pierwszej Republiki, tuż przed okupacją niemiecką, a następna uciekła w 1945 roku - przed sowietami. Tych, którzy nie zdołali uciec rozstrzelano lub wywieziono do gułagów, niektórych zostawiono w spokoju. Według jakiego klucza tak postępowano - nie wiadomo. Służby specjalne wywiozły również całe Archiwum emigracyjne.



Konstantin Rodziewicz, 1923

Zostało kilku naukowców, którzy poszli na kompromis z nowym reżimem (jak lingwista Leontij Kopecki) lub mieli już okres produktywny za sobą, jak np. niektórzy poeci z „Pustelni, (W. Lebediew)” bądź pisali już tylko do szuflady. Został tu sektor rosyjski na Cmentarzu Olszańskim, z małą cerkiewką i z grobami Awerczenki, Ratgauzowej, Czirikowa i innych. Została tu biblioteka, przemianowana na Bibliotekę Słowiańską, i także dwaj autorzy - ślad obecności kolonii rosyjskiej w literaturze czeskiej: Nikołaj Terlecký (ur. 1906, od 1965 roku w Zurychu), który zaczął pisać po rosyjsku i przeczcił się na czeski, oraz Lexandr Klimentiew (ur. 1929), który od razu zadebiutował w literaturze czeskiej pod nazwiskiem Kliment.

Taki jest koniec Pragi rosyjskiej. Ale co począć z Cwietajewą?, z jej słynnym „poematem praskim”? Co z jej listami do Anny Teskowej? Co z *Wierszami do Czech*, pisanymi jako pozdrowienia z Paryża dla kraju pod okupacją nazistowską, który wcześniej stał się jej domem tymczasowym?

To jest właśnie sedno zagadnienia. Emigrantów, którzy przecież żyli w samym centrum kultury czeskiej, kultura ta praktycznie nie zauważała. Anna Tesková była niemal jedyną czeską przyjaciółką Mariny Cwietajewej. Autorzy „realiści” znajdowali się w nieco lepszym położeniu - wydawano dzieła nie tylko Awerczenki, Czirikowa, Niemirowicza-Danczenki, którzy żyli w Pradze, ale także i tych, którzy żyli w Paryżu: Mereżkowskiego, Remizowa, Bunina i w Berlinie – generała i (na starość) powieściopisarza Krasnowa. Ogólnie rzecz biorąc, opinia czeska traktowała tę literaturę jako część „starej” kultury rosyjskiej - w najlepszym przypadku jako klasykę, w najgorszym - jako literaturę ludową (to niestety dotyczyło wszystkich trzech prozaików praskich). Czeska literatura tego okresu ze względu na swoją awangardowość interesowała się bardziej literaturą sowiecką.

Sporadyczne wizyty Władimira Nabokowa, który miał tu matkę i siostrę, nie zostawiły w czeskiej kulturze śladów. Specjaliści, jak Jakobson czy Czyżewski, zyskali rozgłos tylko w kręgach wtajemniczonych. A rosyjska myśl religijna nie miała w Czechach żadnego oddźwięku.

W ten oto sposób czeskie kontakty z rosyjską kolonią ograniczyły się do niedużej liczby wyraźnie rusofilsko zorientowanych rodzin.

W ostatnich latach wzmogło się nieco zainteresowanie historią i kulturą rosyjskiej diaspory. Po setnej rocznicy urodzin Mariny Cwietajewej, którą przypomnieliśmy sobie w ubiegłym roku, odnosimy nieprzeparte wrażenie, że jedyny sposób, w jaki można z godnością uczcić tę poetkę, to godne milczenie o niej.

„Lettre international” 1993, nr 10.

Tłum. V.P.



Rilke na zamku w Muzot.

W Pradze Cwietajewa mieszkała przy ulicy Szwedzkiej. Niedaleko stąd na wzgórzu Petřina mieszkał wujek Rainera Marii Rilkego i młody Rilke odwiedzał go tu. Ona, gdy żyła w „domu na górze” nie wiedziała o tym. Ale w jednym z listów do Rilkego pisała: „...z rosyjskiej rewolucji (...) wyjechałam przez Berlin do Pragi. Pana książki zabrałam ze sobą. W Pradze czytałam po raz pierwszy *Pierwsze wiersze* (1909) i zakochałam się w Pradze – od pierwszego dnia, bo Pan w niej studiował.”

BOHDAN ZILYNSKÝJ

Uciekinierzy z „Hellady stepu” w sercu Europy

(nie ukończona historia emigracji ukraińskiej w Czechosłowacji)



Manifestacja przeciw przyłączeniu
Zachodniej Ukrainy do Polski
(Václavskie Namesti w Pradze, 1923)

BOHDAN ZILYNSKÝJ, urodzony w 1954 roku. Studiował archiwistykę i nauki historyczne na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Karola w Pradze. Pracował w archiwum stołecznym miasta Pragi. Od 1991 roku związany jest z Instytutem Historii Środkowej i Wschodniej Europy w Czechosłowackiej Akademii Nauk. Zajmuje się historią Ukrainy XX wieku i problemami ukraińskiej emigracji. Jest prezesem zrzeszenia Ukraińców w Republice Czeskiej.

Temu, kto nie wie, co to jest, lub gdzie się znajduje owa „Hellada stepu”, powiedziałem już podtytułem. Autorem słów o Ukrainie jako o przyszłej Grecji był nie kto inny, tylko Johann Gottfried Herder, a określenie to powstało około roku 1769. Ukraińcy zaczęli je powtarzać z upodobaniem dopiero wówczas, gdy zdali sobie sprawę z tego, kim są i jakie jest ich zadanie w dziejach Europy czy też ludzkości. Zadanie to okazało się trudne przez długie dziesięciolecia. Nic więc dziwnego, że ukraiński poeta Jevhen Malaniuk, bojownik o ukraińską niezależność po 1917 roku, w osiem lat później zakończył swoją *Warjażską balladę* pytaniem: „Kiedy wreszcie znajdziesz brąz swego państwa, przeklęta ziemio - stepowa Hellado?”

Pytanie to napisane zostało zapewne w Czechach, gdzie Malaniuk, oraz wielu innych Ukraińców, znalazło nowe schronienie, które okazało się być dobrym i obiecującym. Banalne i nieco zwietrzałe wyrażenie - „serce Europy” - zyskało w tych okolicznościach nową treść.

Pierwsza Republika Czechosłowacka, już od początku swojego istnienia cierpliwie przyjmowała setki i tysiące ludzi, którzy potrzebowali pomocy i azylu. Z początku przybywali przede wszystkim ze Wschodu, z gruzów carskiego imperium; jego poszczególne narody poszukiwały drogi ku niezależności, dla której największą przeszkodę stanowiła bolszewicka Rosja. Emigranci ze wschodu utracili jednak w ostatnich dekadach prawo do uwagi czy choćby pamięci w czeskim środowisku. Troska o emigrantów ze wschodu, jako wyraz ówczesnej państwowości czechosłowackiej i masarykowskiego humanizmu, uległa zapomnieniu i potępieniu. Dotyczy to przede wszystkim emigracji ukraińskiej; mówi się o niej najmniej. „Wielki brat” Ukraińców ma pierwszeństwo. (...)

Nie szukajcie Ukrainy wyłącznie nad Dnieprem. Szukajcie jej również w Nowym Jorku, Londynie, Charbinie, na zachodzie europejskiego kontynen-

Bractwa narodowe
BOHDAN ZILYNSKYJ

tu. Znajdziecie ją również i tam. Istnieje już wszędzie na świecie i wszystkie miejsca tej planety odczuwają jej narodziny. To są słowa Ulasa Samczuka, prozaika z Wołynia, który większą część swojego życia spędził poza Ukrainą. W cytowanej wypowiedzi chyba tylko przez przypadek nie wspomniano o Pradze. Samczuk znał czeski kraj z własnego doświadczenia. Studiował na Wolnym Uniwersytecie Ukraińskim w Pradze, a później w Czechach znalazł pracę. Właśnie w Pradze napisane zostały niektóre jego dzieła i wydane w latach trzydziestych, np. powieść *Maria*, poświęcona pamięci wszystkich matek, które zginęły na skutek głodu na Ukrainie w latach 1932-1933.

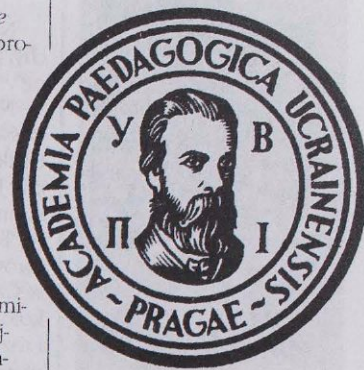
Samczuk nie należy jednakże do tego pokolenia ukraińskich obywateli, którzy w Pradze i w Republice Czechosłowackiej zapoczątkowali tradycję emigracji ukraińskiej. Był o kilka lat młodszy od tych, którzy brali udział w zbrojnej walce o niezawisłe państwo jako żołnierze i urzędnicy administracji państwowej, pisarze i publicyści lub, po prostu, zwykli obywatele. Bojownicy o ukraińską niepodległość ponieśli (chyba nie z własnej winy) klęskę, dlatego musieli opuścić terytorium ukraińskie, przede wszystkim w latach 1919-1920 (kolejne fale emigracji następowały także później).

Szlak niektórych uciekinierów prowadził wprost do Czechosłowacji. Część ukraińskich żołnierzy, broniących od początku listopada 1918 roku wschodniej Galicji przed natarciem polskiej armii, zmuszona została do wycofania się przez grzbiety Karpat, a na terytorium czechosłowackim - do oddania się w niewolę. Oficerów i żołnierzy przewieziono do obozu w Německé Jablonné (obecnie Jablonné v Podještědí), gdzie powstało pierwsze pozapraskie ognisko emigracji ukraińskiej. W rok później w podobny sposób zapełniono drugi obóz w Libercu. Później internowanych z obu obozów przesunięto do wschodnioczeskiego Josefowa. (...)

Bardziej wykształcona część internowanych Ukraińców mogła ukończyć szkoły średnie, w których naukę przerwała wojna, a potem zgłosić się na czeskie uczelnie wyższe. Zainteresowanie studiami było na tyle duże, iż w latach 1921-1923 w Pradze i Poděbradach powstały aż trzy ukraińskie wyższe uczelnie: Wolny Uniwersytet Ukraiński (zbór profesorski przybył do Pragi głównie z Wiednia), Ukraińska Akademia Gospodarcza (Politechnika) i Ukraiński Instytut Pedagogiczny. Żadna z nich nie mogłaby działać bez znacznego poparcia, jakiego tym uczelniom udzielały władze czechosłowackie. To był najcenniejszy dar, jaki Ukraińcy mogli otrzymać. Ziściły się dążenia do kształcenia ukraińskiej inteligencji narodowej. (...)

Działająca w Czechach inteligencja ukraińska miała, po zmianach geopolitycznych w Europie Wschodniej (jakich oczekiwała), włączyć się w budowę państwa i być gwarantem dobrych czechosłowacko-ukraińskich stosunków. Marzenie to się nie spełniło. Władza sowiecka mocno zadomowiła się na Ukrainie i powrót emigrantów nie był możliwy. (...)

Pomocy dla emigrantów i ich zrzeszeń udzielano nie tylko z kasy państwowej, ale także z osobistych funduszy prezydenta T.G. Masaryka. W rezultacie Praga na początku lat dwudziestych stała się jednym z najbardziej ważnych ośrodków emigracyjnych, zarówno pod względem koncentracji naukowego i artystycznego potencjału, jak i działaczy różnych stronnictw politycznych. Profesorowie i studenci nowych uczelni ukraińskich pochodzili z ościennych państw (zwłaszcza z Polski i Austrii), które nie były w stanie (lub chętne) zaproponować emigrantom tak dużego poparcia. Z Polski przybywało wielu studentów także w następnych latach; Ukraińcy galicyjscy zajmowali tam pozycje drugorzędnych obywateli, na przykład Ukraiński Latający Uniwersytet we Lwowie działał przez kilka lat nielegalnie. W Pradze owa tajność nie była potrzebna.



Emblematy Wolnego Uniwersytetu Ukraińskiego w Pradze.





Witryna

BOHDAN ZILYNSKYJ, *Ukrajinci v Čechách a na Moravě* (1994) 1917-1945 (1994). Praha 1995.

BOHDAN ZILYNSKYJ



**UKRAJINCI
v Čechách
a na Moravě**
(1894) 1917 - 1945 (1994)

NAKLADATELSTVÍ A.F.GEM
pro
VYBOR „ONI BYLI FRYNĚ“

Książka młodego ukraińisty, doktora Czeskiej Akademii Nauk, jest krótkim rysem historycznym społeczności ukraińskiej żyjącej w Czechach i na Morawach. Wśród Ukraińców, którzy osiedlili się w Czechach, byli intelektualiści, ludzie poszukujący pracy, uchodzący wojenni i polityczni, jeńcy wojenni.

Autor szczególnie dużo uwagi poświęca emigracji porewolucyjnej, głównie z zachodniej Galicji, uciekającej przed bolszewikami, która szczególnie gościnnie została przyjęta w państwie Masaryka.

W 1921 roku do Pragi z Wiednia przenosi się uniwersytet ukraiński, do którego ociągają studenci również z Polski, ze Lwowa, gdzie często musieli działać w podziemiu, narażeni na szykany władz polskich.

Bractwa narodowe

BOHDAN ZILYNSKYJ

Nic więc dziwnego, iż w takiej sytuacji Czechosłowacja, a szczególnie Czechy, wydawały się swoistą „ziemią obiecaną” i jednocześnie „oknem na Europę”.

Niemожność powrotu do ojczyzny i sensownego wykorzystania nabytych doświadczeń, rzutowała coraz wyraźniej na samopoczucie emigrantów. Początkowy optymizm zanikał, coraz więcej było sceptycyzmu, a nawet rozpacz. Jednocześnie z przyczyn wewnętrznych i międzynarodowych usychały strumienie pomocy państwowej.

Te nastroje wyraźnie naznaczyły pisarstwo jednego z najwybitniejszych autorów przedrewolucyjnej liryki ukraińskiej, Oleksandra Olesa. Osiadł on w Czechach wraz z rodziną wiosną 1923 roku, jako jeden z członków wielkiej kolonii emigracyjnej. Oles spędził w Czechach trzecią część swojego życia i rozwinął tu ciekawą twórczość. Nawet w najnowszym, podobno kompletnym, wydaniu jego poezji (Kijów 1990) pominięto „niewygodne” wiersze napisane w Czechach. Oles, dotychczas nie tłumaczony na czeski, możemy traktować jako typowego przedstawiciela swojego pokolenia i starszej fali emigracyjnej żyjącej w ciągłej rozterce.

Młodszy Ukraińcy, którzy tworzyli trzon pokonanej armii, różnie oceniali lata rewolucji i różne mieli perspektywy walki o Ukrainę. Ich doświadczenie klęski było w pewnym sensie bardziej bezpośrednie, a przez to bardziej bolesne. Wierzyli w konieczność i możliwość urzeczywistnienia CZYNU, który odmienilby nieprzychylny los Ukrainy. Grunt pod ten upragniony i długo przygotowywany czyn miał być stworzony właśnie w Czechosłowacji poprzez studia, dyskusje i polemiki, w wielu przypadkach również - własną twórczość literacką.

Otóż także Ukraińcy doświadczyli w Pradze znanego dylematu „ojców i synów”. Można go zilustrować na przykładzie syna Olesa, Oleha Olżycza, poety już odrębnego, wyrażającego inny wymiar intelektualnej medytacji i porywczaj siły. Olżycz, który m.in. przyczynił się do rozwoju czeskiej i ukraińskiej nauki archeologicznej, utożsamiał się z ruchem ukraińskiego nacjonalizmu. Ruch ten jego zdaniem był jedyną siłą zdolną wywalczyć niezależność dla Ukrainy. Nacjonalizm ukraiński powstał przede wszystkim w Czechach (należał do tych nurtów ukraińskiej myśli politycznej, który najbardziej niepokoił czechosłowackie władze; zagrażał bowiem stabilności dosyć kruchych stosunków czechosłowacko-polskich).

Pod względem politycznym emigracja ukraińska była wyraźnie podzielona, co nie sprzyjało urzeczywistnieniu jej dążeń. W Pradze działali ukraińscy demokraci socjalni, eserzy (socjaliści-rewolucjoniści), zwolennicy ustroju hetmańskiego (półmonarchistycznego), a nawet komuniści. Tymczasowy, później tragicznie przerwany proces, ukrainizacji w sowieckiej Ukrainie wywołał wśród części emigracji złudne wyobrażenia, które przyczyniły się do wyjazdu pewnej liczby emigrantów. Za swoją omyłkę zapłacili najwyższą cenę.

Jak już pisałem, najbardziej znaną ukraińską uczelnią był (i jest do dziś) Wolny Uniwersytet Ukraiński. Oba jego wydziały (filozoficzny i prawniczy) istnieją nadal, ale już nie w Pradze, lecz w Monachium (od 1945 roku). Nie mniej słynną była Ukraińska Akademia Gospodarcza w Poděbradach. Uczelnia ta, założona w 1922 roku, kształciła ekonomistów, spółdzielców, agronomów, specjalistów do spraw gospodarki leśnej i wodnej. Niewielkie uzdrowisko stało się nagle siedzibą setki studentów, którzy zapełnili pomieszczenia zamku poděbradzkiego. Według danych z 1925 roku, 764 Ukraińców stanowiło jedną dziesiątą mieszkańców miasta. Nie dziwi więc fakt, że właśnie tu dążenie do samorealizacji w warunkach emigracyjnych było najbardziej widoczne.

Przez całe dwudziestolecie nie doszło do żadnego ukraińsko-czeskiego zbliżenia. Przedstawiciele międzywojennej kultury czeskiej nie potrafili znaleźć nic ciekawego w tym, co oferowała kultura ukraińska. Emigranci ukraińscy natomiast nie potrafili dokonać właściwego wyboru i propagować własnej

kultury, m.in. dlatego, że nie opanowali wystarczająco czeskiego języka i nie poznali mentalności czeskiej. Z innych przyczyn można wymienić: tradycyjne czeskie rusofilstwo i respekt przed wschodnim kolosem, który już od czasów odrodzenia narodowego uważano za stałą opokę w czesko-niemieckiej walce, jeśli nawet już nie oddziaływające realnie, to przynajmniej psychologicznie.

Czesko-ukraińskie zbliżenie utrudniało też częste dopatrywanie się analogii pomiędzy problematyką czesko-słowacką a rosyjsko-ukraińską. Można było spotkać się też z poglądem, że Ukraińcy swoimi dążeniami osłabiają Słowiańszczyznę, wspomagają Niemców i właściwie są niewdzięczni wobec swego „starszego brata”. (...)

Może się czasami wydawać, że wszelkie starania emigrantów były zbyt czyste, zarówno w odniesieniu do prób wywarcia wpływu na Ukrainę, jak też na opinię publiczną krajów, w których działali.

Czy naprawdę wszystko było daremne? Czy praca Hryhorija Omelczenki, autora dziejów tekstu wiersza *Chrzest świętego Włodzimierza*, bodajże najobszerniejszego kilkunastostronicowego tekstologicznego dzieła o Havličku*, była daremna? Po drugiej wojnie światowej należał Omelczenko do tych, na których spoczęło baczne oko sowieckich „wyzwolicieli” i likwidatorów emigracji. Nie wiemy nawet, gdzie dokonał swego żywota. Na pewno nie był to łagodny Brixen** Do pioruna!

Maksym Slavinskyj na przykład, którego ziemia czeska także zdradziła (chyba zupełnie nie mając pojęcia, o kogo i o co chodzi) był ćwierć wieku wcześniej przynajmniej ambasadorem Ukraińskiej Republiki Ludowej w Republice Czechosłowackiej. Osobiście znał T. G. Masaryka, który był dla niego i dla wielu innych emigrantów ukraińskich niedościgłym wzorem przywódcy narodowego. Po wypełnieniu swojej misji dyplomatycznej, Slavinskyj pracował jako historyk i tłumacz czeskiej poezji (przełożył m.in. Březińę i Bezručę). Jego też zabrali rosyjscy żołnierze...

Latem 1945 roku czesko-ukraińskie stosunki zostały więc wystawione na próbę, trwającą już zresztą sześć lat - od początku niemieckiej okupacji, podczas której dodatkowo zbudowano mur między Czechami i ich gośćmi. Ale cierpieli wszyscy.

Czeski i ukraiński ruch oporu miały się, prawie nic o sobie nie wiedząc. Dlatego po przybyciu sowieckich wyzwolicieli, przed którymi w latach 1943-1944 znów uciekły z Ukrainy tysiące ludzi, czeskie oczy pozostały ślepe.

Czeskie oczy spoglądały na Wschód z nadzieją, co wyrażało wołanie jednego z czołowych poetów czeskich: „Stalinie pomóż!” Emigranci mieli nieco odmienny pogląd i wyobrażenie o tym, co wraz ze Stalinem nadchodzi. Niektórzy z nich właśnie z tego powodu na przełomie kwietnia i maja 1945 roku opuścili Czechy. Wyjechała większość profesorów Wolnego Uniwersytetu Ukraińskiego i podbradzkiego Ukraińskiego Techniczno-Gospodarskiego Instytutu, także większość pedagogów i uczniów ukraińskiego gimnazjum w Modřanach. Spora część emigracji wyruszyła do Bawarii, wielu było jednak niezdecydowanych.

Nie była to łatwa decyzja: wyjechać czy też zostać. Wielu żyło się już z czeskim środowiskiem. Powstały więzi rodzinne.

Ci, którzy zostali, pocieszali się nadzieją, że na terytorium suwerennej Czechosłowacji będą bezpieczni. Rzeczywistość była inna. Zwycięzcy byli zdecydowani rozliczyć się ze starym wrogiem. Nie było dla nich ważne, czy deportowany był obywatelem RCS, czy miał status emigranta.

Aresztowania nie odbywały się masowo, dlatego niepewność trwała tygodniami. W tej sytuacji można było już chyba wybrać tylko taką drogę, na jaką zdecydował się wybitny ukraiński wydawca i działacz kultury, Jevhen Vyrovij. Kilka dni po 9. maja jego ciało roztrzaskało się pod kołami samochodu, którym jechali do jego mieszkania ONI.

Lata trzydzieste to okres, kiedy do Czech napływać zaczyna młoda emigracja ukraińska, wychowana na hasłach nacjonalistycznych. ON powstały w Wiedniu ma w Czechach wielu zwolenników, a w Pradze aż do 1934 roku ukazuje się ich główne pismo, miesięcznik „Rozbudova nacji”. Dalsze dzieje przedstawiane przez Zilynskygo są coraz bardziej tragiczne: złudne nadzieje związane z Niemcami, dywizja SS Halycyzna, wreszcie zsyłki na Syberię po objęciu władzy przez komunistów.

Jesień 1989 roku zwiastuje nową - powstają ukraińskie organizacje obywatelskie, z podziemia wychodzi Kościół grekokatolicki. Książkę zamyka leksykon miejscowości w Czechach i na Morawach związanych z historią Ukraińców.

* Karol Havlíček Borovský (1821-1856), czeski pisarz i publicysta, którego utwory należą do największych osiągnięć literatury odrodzenia narodowego.

** Brixen (obecnie Bressanone) w Tyrolu, dokąd Havlíček został deportowany przez władze austriackie za swoją publicystykę patriotyczną.

Bractwa narodowe

BOHDAN ZILYNSKYJ



Prezydent Masaryk z emigrantami
ukraińskimi

Ci, których aresztowania ominęły, żyli w nieustannym strachu. Prawie nikt z nich nie wykorzystał możliwości „dobrowolnego” powrotu do ojczyzny... Po maju 1945 roku nie pozwolono już Ukraińcom na żaden rodzaj działalności.

Jedyną rzeczą, której im nikt nie mógł zabrać, były wspomnienia i ciche rozpamiętywanie przeszłości. Niektórzy przez jakiś czas próbowali jeszcze walczyć o to, co zostało z dążeń dwóch pokoleń - o Muzeum Walki Wyzwoleńczej Ukrainy.

Placówka ta, założona i stopniowo rozbudowywana ze środków finansowych ukraińskich emigrantów z wielu krajów świata (ale także np. Ukraińców z Podkar-

packiej Rusi), od momentu swojego powstania (od 1925 roku) nie otrzymywała żadnych subwencji od państwa czechosłowackiego. W omszałej kamienicy na Pankracu, którą Muzeum kupiło w 1938 roku dla swoich potrzeb, przechowywano bezcenne zbiory i archiwa dotyczące zarówno ukraińskiej walki o niezależność w 1918 roku, jak i dorobku emigracji w różnych krajach. Podczas amerykańskiego bombardowania Pragi w lutym 1945 roku przypadkowo zniszczono i ten budynek. Mimo to udało się istotną część zbiorów uratować i przenieść w inne miejsce.

Towarzystwo opiekujące się Muzeum cudem przetrwało aż do marca 1948 roku. Była to jednak granica, której nie dało się przekroczyć. Stosownym dekretem zlikwidowano Muzeum, a zbiory stopniowo rozproszono i rozgrabiono. Wszystkie próby ratowania Muzeum spełzły na niczym.

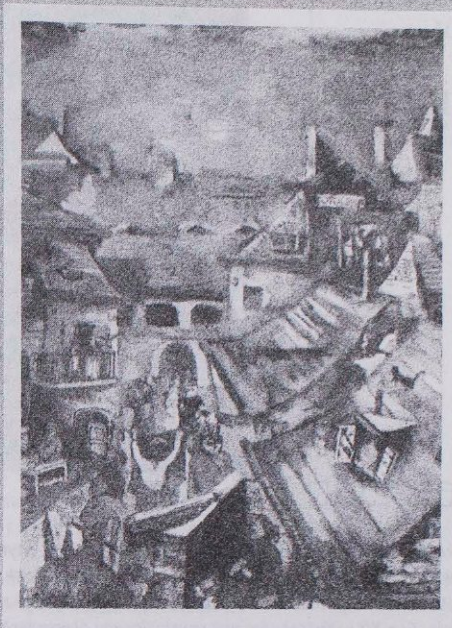
Ukraińcy w Czechach i na Morawach zostali więc pozbawieni nie tylko teraźniejszości i przyszłości, ale także swej przeszłości. Niemniej grupa narodowościowa, powiększona po wojnie przez przybyszów z byłej Rusi Podkarpackiej i z północno-wschodniej Słowacji, przetrwała kolejnych czterdzieści lat. Nie pozwolono jej na utworzenie choćby tylko kulturowej organizacji, podporządkowanej surowemu nadzorowi państwowemu. Ukraiński nacjonalizm burżuazyjny był tą przeszkodą, na którą chętnie i wytrwale powoływali się stróże internacjonalizmu proletariackiego.

Na tym nie kończy się opowieść o emigracji ukraińskiej, o Ukraińcach z Republiki Czeskiej. Pod koniec roku 1989 pojawili się ponownie i rozpoczęli działalność - od zera. Ale jednak.

Przełożył V. P.

„Revolver Revue” 1993, nr 22

Terezin



Otto Ungar: W geteie

BERG
UNGAR
FRITTA
HAAS
KLEIN
ULLMANN
SCHÄCHTER

Getto w Terezynie



Szwalnia w terezińskim getcie, 1942

Theresienstadt

Terezin, miasteczko leżące 60 km na północ od Pragi, niedaleko Litomierzyc, zostało zbudowane w latach 1780-1790 za czasów cesarza Józefa II jako fort. Posiadało znakomity system obrony, który jednak nigdy nie został wykorzystany w warunkach wojennych. Fort, kiedy już zupełnie stracił swe znaczenie militarne, w 1882 roku został zlikwidowany. Pozostał jedynie tzw. Mały Fort, w którym mieściło się więzienie. Tu w XIX wieku był więziony rewolucjonista Alexander Ypsilanti oraz bojowniczka o prawa Polaków w Galicji Anna Rosicka. Tutaj także zostali uwięzieni i tu zmarli autorzy zamachu na arcyksięcia Ferdynanda w 1914 roku w Sarajewie: Princip, Gabrinović i Grabeš.

Pierwszy transport żydowskich więźniów, tzw. Aufbaukomando, przybył do Terezina w listopadzie 1941 r. (342 mężczyzn). Ich zadaniem było przygotowanie cel i baraków dla tysięcy osób, które miały tu być przywiezione. Na początku lutego 1942 r. władze lokalne zostają rozwiązane i wszyscy mieszkańcy miasteczka otrzymują polecenie opuszczenia swych domów do lipca.

Tzw. Mały Fort przemienia się w specjalne gestapowskie więzienie, istny fort w forcie, słynący z tego, że rzadko kto opuszczał je żywy.

Od początku 1942 roku zaczynają przybywać do Terezina transporty Żydów z Czech i Moraw. Wcześniej przywożono ich do Holešovic, dzielnicy Pragi, w miejsce, gdzie dziś stoi hotel Park. Terezin pełnił rolę obozu przejściowego, z którego już w październiku 1942 r. zaczęły wyruszać transporty do Oświęcimia.

Z liczby 86900 więźniów deportowanych z Terezina zaledwie 3000 przeżyło wojnę.

W sierpniu 1942 r. 50 tysięcy osób żyło w 12 barakach i kilku domach. Na jedną osobę przypadło około pół metra kwadratowego przestrzeni.

Ponad 30 tysięcy osób zmarło w Terezynie z głodu, wycieńczenia oraz szerzących się epidemii. Przez obóz przeszło ok. 15 tysięcy dzieci w wieku do 15 lat, z których wojnę przeżyło zaledwie sto.

Później do Terezina przywożono więźniów także z Niemiec, Austrii, Holandii i Danii, a na samym końcu także z Węgier i Słowacji. W rezultacie wiele wybitnych postaci ze świata nauki i kultury znalazło się w obozie, m.in.: pisarze Norbert Frzd, Arnošt Lustig i Karel Polaček, malarze – Bedřich Fritta, Otto Ungar i Lev Haas, architekt František Zelenka, rzeźbiarz Rudolf Saudek, kompozytorzy i dyrygenci – Jan Krása, Karel Ančerl, Karel Herman, Karel Reiner, Rafael Schächter.

Fenomenem tego miejsca i czasu staje się bogate życie kulturalne. Organizowane są wieczory recytatorskie, spektakle teatralne i muzyczne, koncerty. W getcie powstają wiersze, kompozycje muzyczne i słynne już rysunki i wiersze dziecięce znajdujące się dzisiaj w Muzeum Żydowskim w Pradze.

Żydzi w Terezynie posiadali własną autonomię. W ciągu tygodnia musieli przepracować od 80 do 100 godzin (dotyczyło to również dzieci powyżej 14 lat). Pracowali głównie jako ślusarze, krawcy, jubilerzy. Na wysokim poziomie stała produkcja lalek. Ponieważ nauczanie było zabronione, organizowano tajne kursy dla dzieci i dorosłych. Zorganizowano własną służbę zdrowia, straż miejską, trybunał, bank, a nawet specjalną walutę (tzw. Ghattokronen)

W sumie przez Terezin przeszło ponad 100 tys. Żydów i około tysiąca innych więźniów z krajów okupowanych przez Hitlera. W czerwcu 1944 roku zezwolono na wizytację obozu przez Międzynarodową Komisję Czerwonego Krzyża, robiąc wszystko, aby zakamuflować horror życia obozowego. Inszenizacja się udała i kolejne komisje opuszczały Terezin mile zaskoczone sposobem traktowania więźniów, życiem kulturalnym i warunkami panującymi w obozie.

JOSEF BOR

Terezińskie rekwiem*

Dyrygent odwraca się ku zespołowi. Wszyscy są na swoich miejscach. Ale Schächter jeszcze nie zaczyna; jest nazbyt podniecony, musi się uspokoić. Spogląda z dumą na zwarte szeregi potężnego chóru, przebiega spojrzeniem orkiestrę i zerka ku ławie solistów. Patrzy w rozgorączkowane, błyszczące oczy, chciałby w nie wzrokiem tchnąć zachętę i otuchę; oto koniec długich przygotowań, potrafilimy się na to zdobyć, a teraz spróbujemy wspólnie porwać słuchaczy i dać im coś takiego, czego nigdy nie zapomną.

Bierze w rękę batutę. Widownię zalega cisza. Cisza osobliwa, niezwykła w tym łagrze. Nie jest to cisza pustych ścian czy zatajonej grozy, lecz napiętego wzruszeniem oczekiwania. Cisza kochanka czekającego na pierwszą pieszczotę.

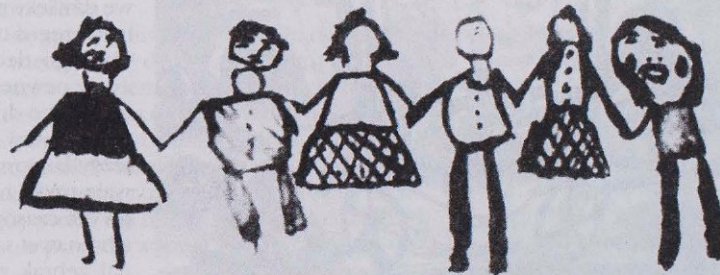
Batuta nieznacznie się poruszyła. Przez salę przebiegły pierwsze, ledwie dosłyszalne dźwięki *Rekwiem*.

Schächter przypomina sobie dokładnie moment, w którym zdecydował się wyćwiczyć *Rekwiem* Verdiego. Myśl ta ekscytowała go

i nęciła przez długi czas. Zapragnął ukazać zakłamanie obłąkańczych koncepcji czystej i nieczystej krwi, wyższej i niższej rasy – i to właśnie w żydowskim łagrze i na gruncie sztuki, tam gdzie najlepiej można poznać rzeczywistą wartość człowieka. Chciał przyrządzić mieszankę złożoną z najróżnorodniejszych ingrediencji; niech przyjdą i posłuchają, jaki majstersztyk można z takiego „koktajlu” zrobić.

I zachciało mu się tego dowieść właśnie poprzez *Rekwiem* Verdiego. Włoska muzyka, średniowieczny łaciński tekst, prastara katolicka modlitwa, żydowscy śpiewacy i muzycy z Czech, Austrii, Niemiec, Holandii i Danii, a także z Polski i Węgier. *Rekwiem* pod batutą ateisty, *rekwiem* w obozie koncentracyjnym, to jest myśl!

Ten fascynujący pomysł nie dawał mu spokoju i coraz bardziej skupiał na sobie wszystkie jego myśli. Jakie hitlerowcy mieli zamiary, kiedy urządzali terezińskie getto, i jakie mają dalsze zamiary co do terezińskich Żydów – tego nie pojmował, a zresztą nikt tego zdrowym rozumem pojąć nie mógł. Jedno wszakże udało im się w pełni: zgromadzili w jednym obozie najwięk-



Rysunek dziecka z terezińskiego getta

*Fragmenty książki Josefa Bora: *Terezińskie rekwiem*. Pryełożył Janusz Zychowicz, Kraków 1978.

szych żydowskich artystów ze znacznej części Europy i stworzyli tutaj warunki, które zmuszają człowieka do głębokiej zadumy nad podstawowymi sprawami życia i śmierci.

Schächter uświadamiał sobie coraz jaśniej, że właśnie tutaj, w terezińskim getcie, powinien wyćwiczyć *Requiem*, bo może już nigdy nie nadarzy mu się taka jedyna w swoim rodzaju okazja. Gdzież indziej mógłby tak bez ograniczenia i tylko wedle własnego gustu wybierać spośród mnóstwa wybitnych muzyków, gdzie indziej znajdzie tak wrażliwych słuchaczy? Wszyscy tutaj łakną sztuki, tęsknią za każdym drgnieniem głębszego ludzkiego uczucia – tym namiętniej i żarliwiej, im bardziej bezsensowny, ohydny i brutalny jest świat, w który ich przemocą wtrącono. Dyrygent nie będzie się tu musiał użerać z zawiścią i zmiennymi nastrojami rozpieszczonych primadonn, każdy artysta zadowoli się wdzięcznością, nawet ostatnim miejscem w chórze. Nie będzie go też pouczać żadna agencja koncertowa, co się publiczności podoba, a co nie. Może tu stworzyć dzieło, o którego artystycznej randze zadecyduje kunszt samego dyrygenta.

Tutaj, tutaj musi wyćwiczyć *Requiem*, powtarzał sobie. Na Haydna lub Mozarta chyba nawet Niemcy nie pozwolili, a poza tym, to jest muzyka czysto kościelna, nie ma w niej tej żywiołowej siły; nie, tylko Verdi, to może być tylko on. Ale co da więźniom w łagrze modlitwa za zmarłych? Czy ukoi zrozpaczonych, umocni słabych? I za kogo mają się więźniowie modlić? Za

zmarłych czy może także za te tysiące, które znikły bez wieści, które odeszły z Terezina w transportach nie wiadomo dokąd? Jest to pytanie zasadnicze, może w muzyce znajdzie się na nie odpowiedź, myślał Schächter i starał się w duchu ożywić mowę dźwięków. Nie udawało mu się to jednak, czegoś tu jeszcze brakowało, czegoś ważnego, decydującego.

Aż pewnego dnia ...

Owego dnia Schächter spotkał starego żebraka. Czy zdarzyło się to naprawdę, czy też tylko gorączkowe majaczenie wyczarowało przed nim starą, znaną bajkę? Jak za owych czasów, kiedy jeszcze święty Piotr albo nawet sam Pan Bóg ... Nie, to był jednak żebrak, rzeczywisty tereziński staruszek, jakich wielu wystawało pod każdą

kuchnią. Stał tam w szeregu zgarbionych postaci i prosił cicho i pokornie.

- Nimmt der Herr die Suppe? Czy szanowny pan je zupę?

Nie, szanowny pan jej nie zje, tej brudnej lury bez smaku, nie chce tej letniej wody z nadgniłą brukwią. Kucharzu, proszę wlać moją porcję do męażki tego głodnego staruszka.

Tak się poznali. Była to zresztą znajomość całkiem przelotna. Żebrak nie powiedział nawet, jak się nazywa, może się wstydził wyjawić swoje nazwisko. Mógł to być równie dobrze Niemiec, jak Włoch, Francuz czy Anglik; mówił biegle wszystkimi tymi językami. A może to był jednak święty Piotr albo nawet ...? Wdali się w pogawędkę, staruszek żywo o wszystko wypytywał, rozmowa zesła szybko na muzykę, a potem właśnie na *Requiem*.

- Głuptasie – krzychał stary do Schächtera, jak zwykli krzycheć ludzie o przytępionym słuchu – wie pan w ogóle, na co się pan porywa? Tu, w łagrze, wyćwiczyć *Requiem* Verdiego? Niech no pan tylko policzy; czterech solistów, i to nie byle jakich; jeden zwyczajny chór nie wystarczy, musi pan mieć dwa, inaczej nie poradzi pan sobie z fugą Sanctus, czterdziestu śpie-

FRITTA (BEDŘICH TAUSSIG)
Rysunek z terezińskiego getta



waków to tyle co nic, trzeba by z osiemdziesięciu, a i to mało, przynajmniej stu dwudziestu, w Londynie śpiewało dziesięć razy tyle! A co z orkiestrą? Potrzeba do tego co najmniej jeszcze sześćdziesięciu ludzi; gdyby ich pan chciał zastąpić fortepianem, dwóch rąk będzie do tego za mało, musiałyby być dwa fortepiany! Ale to wszystko nie jest jeszcze takie ważne: w muzyce można niejedno improwizować i lepszy jest mały, ale doskonały instrument niż wielka kłapa. Główny problem tkwi zupełnie gdzie indziej, rozumie pan – krzyczał rozgorączkowany staruch – zupełnie gdzie indziej!

Wstrętna pokrako, pomyślał o krzykaczu Schächter, kiedy skamlesz o zupę, mówisz *pianissimo*, dobrześ to wyćwiczyl, a teraz się wydzierasz, jakbyś gałd z głuchym.

Ale stary nawet nie zwrócił uwagi na ostre spojrzenie Schächtera. Porwała go pasja i nie dawał się powściągnąć.

– Żyd i *Rekwiem*, brrr! – wstrząsnął się całym ciałem. – Chciej pan zrozumieć: nie żal mi Żyda, żal mi *Rekwiem*, po prostu jedno z drugim mi się nie zgadza! Nie każdy protestant potrafi jak należy nauczyć rekwiem, a co dopiero Żyd! Do tego musi być katolik, i to głęboko wierzący katolik! Niech mi pan wierzy – nacierał gwałtownie – tu nie chodzi o umiejętność, ale o wiarę, Żyd nigdy *Rekwiem* naprawdę nie zrozumie! Żyd jest głupcem, wierzy w lepsze życie doczesne, czeka na sprawiedliwą nagrodę i na sprawiedliwą karę jeszcze za żywota, a kiedy się sprawiedliwości nie może doczekać, wtedy – niepoprawny optymista – wierzy, że jej doczeka jego syn, wnuk albo przynajmniej prawnuk. Ale zawsze tu, na ziemi, pośród żywych ludzi. Katolik zaś to jeszcze większy głupiec: spodziewa się sprawiedliwości za grobem. Pociesza się myślą, że kiedyś przyjdzie dzień, w którym wszyscy staną z martwych i pomaszerują przed boski trybunał. Jego katolicka melodia ma całkiem specyficzny kontrapunkt, któremu na imię piekło! Jak Żyd chce ćwiczyć rekwiem, skoro się nigdy piekła nie bał i nigdy w nie nie wierzył, skoro mu nigdy nawet na myśl nie przyszło wyobrazić sobie królestwo szatana?

W tym momencie Schächter uświadomił sobie nagle, czego mu jeszcze brakuje. Ten stary miał rację, choć była to jego racja. Starzy ludzie tak już myślą, nie widzą dnia dzisiejszego, żyją w przeszłości, a kiedyś tak to właśnie było. Ale dzisiaj człowiek potrafi sobie wyobrazić grozę mąk piekielnych lepiej niż Dante, a Żyd wijący się w hitlerowskich szponach zna cały koszmar piekła już tu, między żywymi. *Rekwiem*, które tu wyćwiczyl, nie może być zatem *Rekwiem* chrześcijańskim – takie w nikogo by tu siły nie tchnęło. Będzie to inne *Rekwiem*, natchnione fanatyczną wiarą w sprawiedliwość dziejową jeszcze tutaj, na tym świecie. Tylko takie *Rekwiem* mogą w obozie śpiewać, tylko taką pieśń więźniów zrozumie. Zrozumie Żyd, chrześcijanin i ateista. Da im *Rekwiem*, jakiego jeszcze nie słyszeli! (...).

Schächterowi udało się już uprzednio dokonać w Terezynie dużej rzeczy. Wyćwiczyl *Sprzedaną narzeczoną* Smetany – wprawdzie tylko w ujęciu koncertowym, z fortepianem, solistami i chórem, niemniej jednak opera w lagrze urzekła więźniów. Rafik stał się od razu bohaterem terezińskiego getta. Nie potrzebował już szukać artystów, sami do niego przychodzili. Do



FRITTA (BEDŘICH TAUSSIG)
Rysunek z terezińskiego getta

Eichman odpowiedział: „Trzeba znaleźć odpowiednie miejsce, do którego przeniesie się wszystkich Żydów żyjących obecnie na terenie Protektoratu w rozproszeniu”(…)
Wtedy to Frank - ów Żydożerca typu Streichera - wystąpił niestety z konkretną propozycją, żeby owym miejscem dla Żydów uczynić Terezin. Wówczas Heydrich, być może także pijany władzą, wydał po prostu rozkaz natychmiastowej ewakuacji miejscowej ludności czeskiej z Terezina, żeby zrobić tam miejsce dla Żydów. (...) Terezin pełnił od samego początku rolę specjalnego getta dla pewnych uprzywilejowanych kategorii Żydów - głównie, choć nie tylko niemieckich: żydowskich działaczy, ważnych osobistości, kombatantów z wysokimi odznaczeniami, inwalidów wojennych, Żydów z małżeństw mieszanych oraz Żydów niemieckich powyżej 65. roku życia (stąd nazwa potoczna Altersghetto).

Hannah Arendt
Eichman w Jerozolimie.

następnego dzieła nie przystępował więc nie przygotowany. Miał nawet miejsce, gdzie mógł bez przeszkód ćwiczyć: głęboką i obszerną piwnicę kucharową. Przydzielił mu ją sam judenältester, a Schächter przysposobił ją do prób. Dla przygotowania *Rekwiem* potrzebował więc teraz przede wszystkim nut i instrumentów.

O partyturę wystarał się szybko. Przemycili mu ją terezińscy żandarmi, a do tego przynieśli jeszcze papier nutowy, tak że można było łatwo rozpiąć poszczególne partie. Trudniejsza sprawa była z instrumentami. Poza gettem żaden Żyd nie miał prawa ich posiadać, oddał je państwu niemieckiemu - tak w każdym razie zarządzono w Protektoracie. W getcie mógł je mieć każdy - bo tak z kolei zezwolił komendant terezińskiego obozu. Trzeba więc było postarać się o instrumenty na zewnątrz, a potem przemycić je do getta. Zadanie trudne i niebezpieczne. Chyba nigdy jeszcze nie zdobywało się instrumentów muzycznych za tak wysoką cenę.

- Szaleńcy - mówili sceptycy - ryzykują życiem. Drogo zapłacą, zobaczycie, i ci w getcie, i ci z zewnątrz. - Choć to dziwne, zawsze jednak znajdują się ludzie gotowi stawić na kartę życie w zamian za dreszczem przejmującą przygodę. Również jeśli tą przygodą jest sztuka.

Pierwszy instrument, wiolonczelę, przemycił do getta „Tatko“ Meisl. Przyjaciele z praskiej orkiestry schowali ją dla niego potajemnie w opuszczonej stodole, a stamtąd „Tatko“ dowiózł ją sobie już furą sam. W kupie siana, bezczelnie i dlatego całkiem bezpiecznie: pod esesmańską eskortą. Kilkoro skrzypiec i altówek przywieźli starzy Żydzi z Niemiec, gdzie nie było naku oddawania instrumentów. Uszkodzony, niezdatny na pozór do użytku fortepian pozostawił w Terezinie dawny właściciel: transport mu się nie opłacał. W terezińskim kościele została fisharmonia w całkiem dobrym stanie. Schächter przeniósł ją do sali prób, gdzie mu zastępowała brakujące głosy i instrumenty. Potem robotnicy, którzy pracowali w fortecznych kazamatkach, dogrzebali się tam cennego skarbu. W krętych korytarzach potężnych murów odkryli zamurowaną skrytkę, a w niej znaleźli starannie opakowane instrumenty orkiestry wojskowej byłego terezińskiego garnizonu: blachę, drzewo oraz - co najważniejsze - bęben i kotły. Wreszcie pewien brygadzysta grupy więźniów, która jeździła z esesmańskim kierowcą wylądować wagony na stacji w Bohuszowicach, założył się, że przeszmugluje do getta kontrabas. Jeśli się to temu chłopu uda, myślał Schächter, to doprowadzę *Rekwiem* do skutku.

Z tym kontrabasem nie było tak łatwo. Czekał już kilka tygodni, schowany w Bohuszowicach u woźnicy, który czasem przewoził różne rzeczy dla terezińskiej komendantury. Przy tej okazji przemycił też co nieco do getta, ale jak się tam prześliznąć z kontrabasem, tego naprawdę nie wiedział. - Uczę się teraz grać na basetli - utyskiwał - bo co bym powiedział esesmanom, gdyby zrobili rewizję i znaleźli toto u mnie? - Ale po pewnym czasie przywieziono mu skądś drugi kontrabas, a potem jeszcze jeden. To go już wyprowadziło z równowagi. - Podpalę nimi w piecu - odgrażał się całkiem poważnie - żeby je raz diabli wzięli! - Był bardzo rad, kiedy mu żydowski brygadzysta zaproponował, że go uwolni od basów.

Nastąpiło to owego wieczoru, kiedy na bohuszowicką rampę przyszły wraz z kilkoma wagonami węgla dwa wagony „osobliwości“. Otóż z Niemiec przywożono niekiedy naprawdę przedziwny towar. Na mocy specjalnego zarządzenia organów Rzeszy posyłano do Terezina wszystko, czego ze skonfiskowanego majątku żydowskiego nie dało się inaczej zużytkować. Tak więc nadchodziły tu karawany, modlitewniki, manekiny krawieckie, tzw. bindy, czyli opaski do podwiązywania wąsów, i inne podobne drogocenności. Te dwa wagony zawierały wzorowo poukładane pudła, a w każdym z nich znajdował się starannie zapakowany cylinder. Były to

zaiste wagony historyczne: spoczywał w nich cały blask niemieckiego żydostwa jeszcze z czasów cesarskich.

Kiedy esesmański kierowca ujrział te atrybuty przepychu, omal nie pękł ze śmiechu i musiał tę hecę odpowiednio oblać w gospodzie koło stacji. A potem cylindry opanowały bohuszowicki dworzec. Tej nocy grało się cylindrami w nożną. I było bardzo niebezpiecznie chodzić po bohuszowickiej rampie bez cylindra na głowie. Znacznie niebezpieczniej niż zniknąć na chwilę z zaciemnionej rampy. Tak więc esesman nawet się nie zdziwił, kiedy w wagonie za pudłami z cylindrami odkrył kontrabas. Przeciwnie, właśnie tego mu jeszcze tylko brakowało. Odwołał brygadę robotników od węgla, sformował z umorusańców w cylindrach zespół śpiewaczy – a teraz grajcie i śpiewajcie. I Żydzi w tę noc grali i śpiewali. Wystarczyło brzdąkać w struny, można do tego śpiewać cokolwiek. Esesmanowi najbardziej się spodobała słowacka piosenka *Szla Marina na cmentarz*. Wozilo się w tę noc do getta rozmaity towar: węgiel, cylindry, dużo różnych rzeczy w cylindrach, głównie wędliny, a wszystko w asyście ucyndrowanej kapeli; żandarmi przy bramie getta nie mogli się nadziwić. I kiedy Marina wciąż na nowo chodziła na cmentarz, esesman dostarczył do getta z wielką pompą wszystkie trzy kontrabasy. (...)

Już idą!

Nikt tych groźnych słów nie wykrzyknął, a nawet nie wyszeptał. A przecież każdy je czuje, jakos sobie uświadamia. Także tutaj, w głębokich podziemiach terezińskich koszar. Przenikają do mózgu, wwiercają się w ciało, przesiakają do krwi. Porażają nerwy, dławią oddech, mrożą krew w żyłach.

Ręka nad pulpitem dyrygenta znieruchomiła. Jakby skamieniała w pół ruchu. Sterczy w pustkę, bez sensu i celu. Po chwili załamuje się jakby w drgawkach i bezsilnie opada. Jedyne przeblýsk ruchu w długiej, mrocznej piwnicy.

Wtargnęła tu cisza, uświadamia sobie Schächter, z zewnątrz, z góry, zewsząd, a teraz się tutaj panoszy, krzyczy i rozkazuje, wzięła wszystko w swoją moc, zmusiła do milczenia ściany, spaliżowała ludzi, nawet powietrze już ani drgnie. Umilkł gwar, gwar codziennego życia, co normalnie jest wszędzie, na ulicach, w domach, i w tobie samym, chwytają go ściany i oddają echem, powietrze nim wibruje i rozgrzewa się, jest go zawsze wszędzie tyle, że nawet nie zwracasz nań uwagi. Tak jak nie czujesz powietrza, którym oddychasz. Należy do życia.

Aż nagle ten gwar ustaje. Początkowo nawet nie dostrzegasz, że coś się stało. Tylko poczujesz dreszcz gdzieś głęboko w kościach, jakby cię dotknął chłód nocy. Jakby cię owionęło technienie śmierci. Ciało sztywnieje, nerwy biją na alarm, coś się dzieje, na coś się zanosi, coś się zbliża. Coś groźnego, co przyjdzie, musi przyjść. Nie możesz tego odwrócić, możesz tylko bezradnie czekać.

JIRI SOZANSKÝ Terezín, 1974



wycierpiała, tylko oczy nieustannie mówią, widzące oskarżające oczy. A teraz kuli się tu przed nim, jak gdyby naciskana ze wszystkich stron przez nieubłaganą pustkę. Obok niej – wolne miejsce. Jeszcze wczoraj byli tu: Franciszek, Józef i Elżbieta. Ich wysokości – sam im nadał to miano. Chór zwał ich „Habsburgami”. Nie dla kpiny. Po przyjacielsku, tylko z powodu tej zbieżności imion, tak śmiesznej i pobudzającej wyobraźnię. A więc jeszcze wczoraj byli tutaj wszyscy. A teraz?

Wąską szczeliną piwnicznych okienek umieszczonych u samej nasady sklepienia wpada w milczącą otchłań piwnicy szurgot zmęczonych kroków. Tam w górze, nad nimi, nieomal na odległość wyciągniętej ręki, podkute buty stają po twardym bruku terezińskiej ulicy. Znają dobrze to spojrzenie za odchodzącymi. Jak kroczą powoli pustymi ulicami getta, całą gromadą, z kobietami i dziećmi, i jak po raz ostatni spoglądają w milczeniu po zamkniętych oknach domów i koszar. Jak, czy to zimą, czy latem, poubierani w ciepłą bieliznę, w zimowe ubrania i długie płaszcze, zataczają się i padają niemal pod brzemieniem wielkich plecaków. Przejdzie tak obok nich Franciszek ze swoją siostrą i Józef ze swoją starą matką. Elżbieta powiezie tędy na wózku do transportu kalekiego, dogorywającego męża.

Zdradzili go, wybucha rozpaczliwym gniewem Schächter, wszyscy go zdradzili. Mogli byli zostać, mogli pozwolić, aby ich bliscy odeszli sami. Ale ludzie tracą rozum, gdy się odezwie serce, gdy zawoła rodzina, na nic wszelkie namowy i perswazje, nawet go nie chcieli słuchać. Zdradzili go, pozostawili go z okaleczonym zespołem, z nieukończonym dziełem, może nawet nie wierzyli, że mu się uda je dokończyć, skoro tyle razy mu je rozbijano. A teraz dla rodziny poświęcają wszystko, i siebie samych, a przecież ta ich ofiara jest daremna, tamtym i tak już wiele nie pomogą.

Piotr, fagocista, musiał iść. Jego nawet nie namawiał – nie mógł przecież opuścić żony i dzieci. Także ci pozostali nie mieli właściwie wyboru: dwunastu z orkiestry i dwudziestu trzech chórzystów. Nie było też rady dla Meisla. Biedny „Tatko”, wiolonczelista – pierwszy, który przemycił do getta instrument. – Musiałem zaryzykować – powtarzał zawsze – jak bym mógł wyżywić czworo małych dzieci? – A teraz idą z transportem Meisl i jego dzieci, tylko wiolonczelę tu zostawił, dalej już jej szmuglować nie może.

Schächter przetarł dłonią spoconą twarz. Po piwnicy przeszło ciężkie, głębokie westchnienie. Jakby się ludzie budzili z dręczącego, gorączkowego snu.

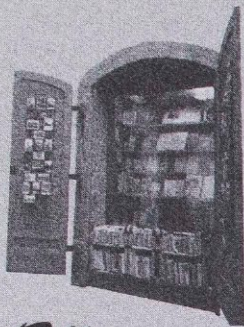
Nie będą teraz śpiewać. Nie mogą, skoro tam, tuż tuż, umęczeni ludzie wloką się do bydłych wagonów, by powędrować ku nieznanemu, straszliwemu celowi.

Nie mogą teraz śpiewać, przyznaje to i Schächter, a jednak – jakby omaniony, ślepo posłuszny jakiemuś podświadomemu nakazowi, bierze z wolną do ręki batutę.

– Przystępujemy do próby – mówi głuchym głosem – teraz nie wolno nam przestać. Zaczniemy od początku, najpierw weźmiemy partie bez soli-stów.

Po chwili dodaje ciszej:

– Zaczynamy od wiersza: *Requiem aeternam dona eis, Domine, et lux perpetua luceat eis*. Te słowa przypomną nam zawsze kroki, które nad sobą słyszymy. I wyśpiewamy w nich to, co właśnie teraz tak głęboko czujemy: Daj im, Panie, pokój i spoczynek na ich dalszej drodze, daj im siłę i cel i nie pozbawiaj ich nadziei!



Witryna



PAVEL HAAS (1899-1944)



Rys. Petr Klein

ALBRECHT DÜMLING

Muzyka w Terezynie

Trudno byłoby znaleźć miejsce, w którym istniałoby bogatsze życie muzyczne podczas wojny niż w Terezynie. Tak, w tym getcie nastąpiła prawdziwa... erupcja muzycznej twórczości. Wolność kwitnąca pośród terronu totalitaryzmu? Wyjaśnienie tego pozornego paradoksu jest w gruncie rzeczy proste - zasadniczo można go wyjaśnić następująco:

W 1941 roku do obozu dotarł pierwszy transport: przez długi czas instrumenty muzyczne więźniów były skonfiskowane i jedynym, który uszedł konfiskacie, był ludzki głos. Z początku nikt nie okazywał chęci do śpiewania: podejrzewano, że przeznaczeniem wszystkich jest śmierć, ale nie pozbywali się najwattszej nadziei, i to właśnie śpiew potrafił ich wzmocnić. Ale jako że śpiewanie było zabronione, więc wspinali się na strychy lub zagłębiali się w piwnice baraków - stopniowo dołączali do nich inni - półgłosem. Między nimi znaleźć można było nie tylko śpiewaków operowych, ale także dyrygentów i kompozytorów. zaczęli więc na swoich pryzkach, w świetle świec tworzyć z pamięci obozowy repertuar; powstawały aranżacje na chóry (trochę później udało się komuś przemyścić kamerton, innym - organki ustne, jeden spryciarz wniósł w plecaku nawet wiolonczelę rozebraną na kawałki i... klej) - i każdego wieczora po pracy odbywano tajne próby; choć po koncertach brawa się nie rozlegały!

W 1942 roku wprowadzono w życie plan eksterminacji i kolejne transporty odchodzące w nieznaną powodowały coraz więcej alarmujących spekulacji. Władze obozu musiały to poruszenie trzymać w ryzach, więc nawet ci skazani, ci, których los był już przesądzony, dostawali pozwolenie na muzykowanie. Pomędzy więźniami tego obozu przejściowego było co najmniej 150 czołowych muzyków. W pomieszczeniach dawnej stajni znaleźli pozbawiony nóg korpus fortepianu; ustawili go na drewnianym kłocu, a wirtuoz Gideon Klein, zreperowawszy instrument dał serię koncertów, prezentując każdego wieczora Mozarta, Beethovena, Chopina, Brahmsa, Smetanę i Janáčka. Po nich przyszła pora na recitale śpiewacze, a także znalazły się instrumenty do orkiestry kameralnej; został utworzony „Kwartet Doktorski” oraz „Kwartet Tereziński” (składający się z muzyków grających niegdyś „pierwsze” instrumenty), a z orkiestrą smyczkową i czterema akordeonami Carl Taube potrafił już zaprezentować swoją *Symfonię Terezińską* - i wtedy ktoś przewiózł do obozu zapis partii głosu *Sprzedanej narzeczonej* Smetany. Dyrygent Rafael Schächter zebrał solistów oraz zespół złożony z profesjonalistów i amatorów; próby odbywały się w pomieszczeniach dawnego gimnazjum - w mroźnej temperaturze, w wyraźnie widocznych obłokach oziębionych oddechów - ale przecież i w tym wypadku premiera się odbyła, bez dekoracji i kostiumów, w więziennych uniformach. Publiczność chętnie płaciła za wstęp chlebem, sztukę cenili wyżej niż jedzenie: ludzie siadali na podłodze, na przyrządach gimnastycznych, na parapetach okien, tłoczyli się w korytarzach. Ich *Sprzedana narzeczonej* była niezapomnianym wydarzeniem najwyższego formatu.

Zainspirowany tym palacz w obozowej kuchni, a przed uwięzieniem dyrygent, Karel Ančerl, zaczął tworzyć orkiestrę symfoniczną; całymi nocami muzycy rysowali pięciolinie na drugiej stronie skradzionych formularzy więziennych i zapisywali partytury; później zaprezentowali się w koncertach Haendla, Bacha i Mozarta; drugi program zawierał dzieła czeskich

Terezin

ALBRECHT DÜMLING

mistrzów: Dvořáka, Suka oraz Pavla Haasa (uwięziony Haas skomponował swoje *Ćwiczenia na orkiestrę smyczkową* specjalnie na premierę tego koncertu). Grupa skupiona wokół kompozytora Hansa Krása również nie pozostała bierna i wykonała operę dziecięcą *Brundibár*, (którą trzeba było próbować trzy razy, gdyż dziecięcych śpiewaków ciągle zabierały transporty); jej libretto i pieśni zwycięstwa dobra nad złem stały się przebojami getta, a publiczność wymogła aż 55 przedstawień. Jeszcze później powstało studio muzyki współczesnej i grupa muzyczna; jeśli chodzi o inwencję twórczą, to perfekcionista Viktor Ullmann udowodnił, że jest wybitną osobowością (w Terezińskim getcie on sam skomponował 20 dzieł, między innymi trzy sonaty fortepianowe, swoją *II Symfonię* i niezwykle śmiałą alegoryczną operę); artyści z Czech działali wspólnie ze swymi niemieckimi kolegami, a ich wysiłki nie tylko dowodziły umiłowania własnego domu i kraju, ale również doprowadziły do wytworzenia się inspirującej symbiozy kultur: niemieckiej, czeskiej i żydowskiej.

W 1943 roku, gdy pewne wieści o faszystowskiej polityce eksterminacji przedostały się do świata, głosy opinii publicznej doprowadziły do inspekcji Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Władze obozu uciekły się do taktyki mistyfikacji i przedstawiły atrapę; miała ona przed członkami inspekcji imitować modelowy przykład skupiska ludzkiego, niemalże uzdrowiska. Wzdłuż trasy przejścia inspekcji, z przesadną dekoracyjnością, uporządkowano otoczenie; fasady budynków zostały pomalowane, w parkach zasadzono krzewy różane, ustawiono ławki; nawet wybudowano plac zabaw dla dzieci, postawiono pawilon dla spacerowiczów, była też aula wykładowa itd. Dokonano także nadużycia w stosunku do artystów: kultura, do tej pory nie istniejąca, teraz stała się nakazem: muza zawołała: „Tak jest!”. Komendant obozu zezwolił na przywiezienie fortepianu koncertowego i dobrych instrumentów, muzycy otrzymali stroje wieczorowe (ale, jako że występowały ogólne trudności z butami i nawet dyrygent musiał wystąpić w drewniakach, na krawędzi sceny ustawiono kwiaty); na dzień artystycznego występu w czasie inspekcji scenariusz opracowano w najdrobniejszych szczegółach, nawet zebrano ekipę filmową (pod kierownictwem przebywającego w obozie reżysera Kurta Gerrona) i nakazano nakręcenie filmu dokumentalnego. A tymczasem, na uboczu, Rudolf Karel w „małej twierdzy” w swojej celi numer 37 ukończył pięcioaktową baśniową operę *Trzy włosy Vševéda* („Trzy włosy wszechwiedzącego dziadka”); została ona napisana na 240 kawałkach toaletowego papieru, a gdy ołówek kompozytora się skończył, kontynuował pisanie za pomocą węgla aktywowanego w tabletkach, które dostał na biegunkę, na którą cierpiał. Również nie zauważony Erwin Schulhoff zakończył swoje życie w kopalni odkrywkowej niedaleko Wülzburga, podczas pracy nad szkicami do swojej *VIII Symfonii*. Pomimo tego Viktor Ullmann zdołał zakończyć próby, jego śmiały eksperyment *Der Keiser von Atlantis* („Cesarz Atlantydy”) nie doczekał się premiery; z siedmiu śpiewaków i trzynastu instrumentalistów przeżył jedynie jeden - aktor mający wcielić się w postać śmierci. V. A. Eichmann i K.H. Frank również brali udział w pracach wysokiej rady do spraw przygotowań.

Po tygodniu przygotowani wysocy przedstawiciele Czerwonego Krzyża przybyli do obozu: powitały ich rozśpiewane dziewczyny, z pawilonu dochodziły dźwięki jazzu, na placu rozgrywały mecz drużyny futbolowe, opera dziecięca *Brundibár* stanowiła radosny akcent, dyrygent Karel Ančerl przedstawił wariacje orkiestrowe kompozytora Pavla Haasa. Nie podlegającym dyskusji artystycznym zwieńczeniem występu były fragmenty *Requiem* Verdiego (Rafael Schächter próby tego monumentalnego dzieła prowadził w piwnicy domu dziecka, w której w ciągu dnia mieściła się stolarnia; dyrygował bez partytury, a chór i soliści również śpiewali z pamięci). Przedstawiciele Czerwonego Krzyża reagowali aplauzem. Nie potrafili spoznać, że uczestniczą we mszy za zmarłych, nie przyszło im także do głowy, że artyści śpiewali swoje własne requiem, na swoje własne odejście z życia i ze świata... Dwa dni po inspekcji transport spod znaku Żelaznego Krzyża, opatrzone numerami 1-2499, wyjechał z Terezina unosząc większość artystów z ich instrumentami: kierunek - Auschwitz.

W roku 1944 Czerwony Krzyż ponownie poprosił o wizytę. Ale wtedy w Terezinie koncerty się już nie odbywały - nie było tam już wystarczającej ilości muzyków.

Artyści zniknęli, zaginęła muzyka, pozostały tylko fragmenty. Na naszej płycie możecie Państwo wysłuchać rekonstrukcji owych fragmentów. Nie przygotowaliśmy tego nagrania dla ukojenia własnego bólu czy uspokojenia czyjegoś sumienia: chcemy przedstawić Państwu tę muzykę, gdyż jest naprawdę piękna. Powstała ku pokrzepieniu serc - dlatego prosimy Was: przyjmijcie ją w ten sposób.

Przełożył Tomasz Wyszowski



GIDEON KLEIN (1919-1945)

Rys. Petr Kien

VIKTOR ULLMANN (1898-1944)



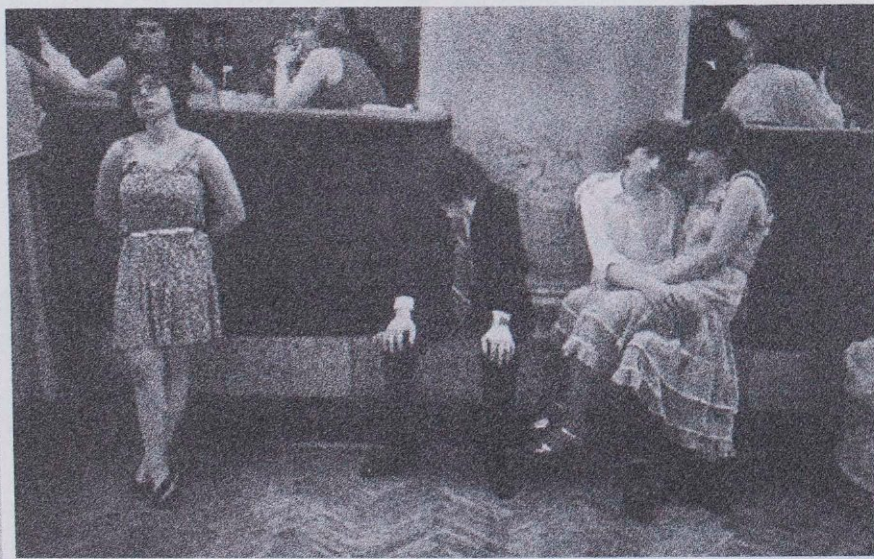
Rys. Petr Kien



KAREL CUDLÍN, Praga 1989

KAREL CUDLÍN urodził się w 1960 roku w Pradze. Jest absolwentem i wykładowcą słynnej praskiej FAMY, Akademii Filmu i Fotografii. Był fotoreporterem pism „Mladý svět” i „Lidové Noviny”. Indywidualne wystawy fotografii m. in. w Pradze, Katowicach, Berlinie, La Rochelle, Sofii i Bukareszcie.

KAREL CUDLÍN Hall Lucerny-Praga, 1983



Periferia



KAREL CUDLÍN *Robotník*, Praga 1981

TOPOL
CUDLÍN
KROUTVOR
AJVAZ
NOVAK
ŠRUT
ROMOWIE
ŽIŽKOV
SMÍCHOV
HOLEŠOVICE



JÁCHYM TOPOL

Wycieczka do hali dworcowej

(fragment opowiadania)

Miasto zmieniało się. Nocą nad nim, wprawdzie tak samo jak w dziesiątym wieku i kiedykolwiek potem, zawisł księżyc w ciemnej bramie, czasami pełny i spuchnięty jak twarz pijaka, czasami zaś pływał w chmurach i był prawie niewidoczny; szklane świecidełko, nie płonął, ale i tak doprowadzał zbędkarciąle miejskie psy do szaleństwa. W tym poblasku, zawsze, gdy księżyc osiągał swoją zimną intensywność, kochankowie dopijali butelkę i rzucali się na siebie, kąciki ust wygryzione z wielkiej miłości, morderca zakręcił sztyletem w ciele i wykrzywił twarz, w tym oświetleniu dobra mama zrobiła coś znieścacka swemu przybrańcowi, coś okropnego i pełna mocy żółć spływała w dół, skapując na tory tramwajowe i kolejowe, a te lśniły w tym potopie światła... Pan świata złapał noc w środku ciemności i wyrzucił na lewo, niczym świeżo ściągniętą skórę, na niebie płonęło słońce. Rzucano się na miejskie mury

i deptaki, i dopiero teraz brud był brudem, a zgnilizna zgnilizną, i stały się widoczne. Słońce promieniowało, zmuszało krew, by poruszała się wolniej, ciekła leniwiej, zasłodziła się, albo odwrotnie: pompy pracowały z wściekłością i krew pragnęła wytrysnąć z opakowania. Zawsze odnosiłem takie wrażenie, nic szczególnie pięknego. Miasto zmieniało się, kraty i żelazne żaluzje przez lata skazane na rdzewienie, znów otrzymały świeżą farbę, często nawet napis z nazwiskiem. Zakurzone piwnice i brudne spelunki w byłej dzielnicy żydowskiej sprytnie przekształciły się w luksusowe sklepy. Wdzięczyły się kufry z zeszłego wieku, książka dyktowana przez samą Madonnę, z jej łańcuchem, jak też ananasy i delikatny tytoń, wspomnienia martwych aktorek, snobistyczne koła z furmanek, kańczugi, lalki, podróżne graale z krwią awanturника, monety, wizerunki Kafki, strzelnice z wszystkimi proletariackimi prezydentami, szmaty, kości i skóry, i wszystko inne. W tyle, w witrynie stały dwa posążki mężczyzn – psów, postacie zgarbione pod ciężarem wiklinowych koszy, patrzyły ukradkiem szklanymi oczami. Obserwowały cię przez ramię i być może znały nawet twoje imię. Były to posążki diabła, przez długi czas nikt ich nie kupował. Gdy zniknęły z wystawy, ulżyło mi. Lecz następnego dnia stał tam posządek kobiety z głową kota, miała włosy gawronie, zielone oczy, wciśnięte szlachetne kamienie, te włosy były ludzkie. Także i z niej TO emanowało. Firma, do której sklep należał, nazywała się Pozener, pochodziła z Wiednia i w godle miała bycze rogi. Miasto zmieniało się, stare rozbite mury rozwalano, popękana tajemniczą mapę tynku okryła reklama, chodniki otrzymały nowy bruk, stojące latami blaszane

JÁCHYM TOPOL, syn znanego czeskiego dramaturga i dysydenta Josefa Topola, urodził się w 1962 roku w Pradze. Po 1990 roku wydał zbiory poezji: *Miluji tě k zbláznění* i *V úterý bude válka*. Píše również teksty dla zespołów (Pší vojáci, Národní třída) i wykonawców rockowych (Monika Načeva). Jest redaktorem naczelnym pisma „Revolver Revue”. W 1994 roku w wydawnictwie „Atlantis” ukazała się jego pierwsza powieść *Sestra*.

i drewniane płyty zniknęły w ciągu jednej nocy. Rudery przejmowali właściciele próbując z nich zrobić hotele, knajpy, sklepy ze szkłem, biura podróży. Z parterowych mieszkań na ulicy sprzedawno spodnie, kurtki, drewniane zabawki, parówki, gazety, pierniki, złoto, według upodobania, PIT budził śmiech nawet tych bardziej cierpkich satyryków. Forsa nie śmierdzi, wmaiwiali sobie cinkciarze i obstawiali ulice i skwerki podług wielkości swoich straganów. Na peryferiach i w odległych osiedlach powstawały nowe centra obok dyskotek, małych domów towarowych, nowych knajp. Magiel na naszej ulicy zapelniał się wieczorem matkami rodzin. Rzekł mi, że jestem już tylko jego gosposią, więc go wypierdoliłam i już nie mieszka ze mną. Ten mój przyjdzie dzisiaj zalany w trupa, ostatnio wyszedł z siatką na zakupy, a gdy wrócił, wszystkogniło. Masz pan te koszule, powiedziała mi, a czy jej zdradzały życzenie, bym się jak najszybciej ulotnił. Że co, że nie masz pan drobnych? Pan po prostu nie ma, ale zwrócisz mi pan pierwszego, bo inaczej nici z szlafroka. Ten nie żre żyłastego..., usłyszałem jeszcze. Ale to nie ugasiło mojego pragnienia życia. Badałem, jak zamęczyć swojego zdrowego ducha w biznesie. Wylądowałem jako najemnik litery, handlarz słowami, splekany parobek. Większość typów z okolicy osiągnęła większe powodzenie. Złodziej, szantażysta i pijak Dunar stał się panem lokalu zwanego Nightland, dyskoteki, w której śmierdziało spalonym mięsem, tak żwawo mafie przerzucały tam z ręki do ręki gorące kamienie. Spróbuj jeszcze przyjść, rzekł Dunar wysłannikowi obcej bandziorskiej zgrai, która przyjechała wykopać sobie w Pradze złotą żyłę. Spróbuj jeszcze przyjść, rzekł do faceta, który z wielką pewnością siebie zażądał pewnej sumy za ochronę, to zabiję cię. Opryszka zastrzelono w następnym tygodniu, być może, że przyszedł do lokalu tylko się zabawić, nie pozwolili mu nawet powtórzyć swojej oferty. A to pokaż mamie, powiedział Dunar do jego towarzyszk i fachowo złamał jej obojczyk. Jego goryle załatwili ją potem jeszcze bardziej fachowo, ale tak, by jako tako przeżyła, i wraz z tym martwym fachowcem od ochrony, zapakowaną w dywan zbrukany przestępstwami, wyladowali za miastem na wysypisku. Około szóstej nad ranem zataczałem się koło Nightlandu w kierunku swej dziupli, gdy Dunar jadł właśnie na masce swojego Beemwu śniadanie. Kręciło się koło niego trzech, czterech podpitych sługusów i z brawurą, której nie powstydziliby się warta honorowa, podawali mu na maskę pieczonego kurczaka, sałatki, pozłacane wykałaczki, koszyczki i talerzyki, setki i butelki, wszystko to przy akompaniamentcie starej dobrej ABBY, gustowne to za bardzo nie było. Dunar beknął i rzucił we mnie butelką wina, spływaj pismaku, ulotniłem się. Niedawno zamówił u mnie kilka artykułów chwalcących jego „raj dobrej zabawy”, ale ja się opóźniałem, choć otrzymałem królewską zapłatę. Chyba nadal wierzył w mój pisarski talent, bo butelka roztrzaskała się o ścianę dobrych pięć metrów ode mnie i zaden z jego dobermanów nie sapał mi za uchem. Robotnicy chodzili do pracy z wczorajszym kacem w piętach, cześć Franek, mówił do nich Dunar, cześć Lubosz, cześć Włodek, jak leci? Nie było w tym złości, Beemwu lśniło jak wielki czarny owad, maska zniosła ten ładunek delikatesów bez szwanku. Dunar bawił się chyba świetnie otoczony swoimi sługusami i strażnikami. Robole uśmiechali się, skrywając żółć we flakach. Ale wiedzieli, że on wie, że oni wiedzą. Byli jednej krwi. Po prostu pan przyszedł do miasta usunąć ci krzesło spod dupy, zupę z łyżki. Tę sobie wbij w oko. Ten pan z twoich synów zrobi niewolników i nie tylko: swoich wyznawców, twoje córki i żony będzie sprzedawać na ulicy, za żywe mięso zgaranie forsy. Cześć Józek, cześć Miłosz, ty stary skurczybyku, cześć chłopaki, cześć, cześć. Byli koledzy szkolni i kumple i współkajdaniarze i współpracownicy z jednego zakładu, byli współbraciszkiwie z przedszkola, z kościółka, partii, armii, wcześniej żyli razem, jak to się mówi, ramię w ramię, pięść z pięścią, donosik



Witryna



Jachym Topol: *Sestra (Siostra)*. Bmo, wyd. Atlantis 1994

Pierwsza powieść młodego poety, publicysty i autora tekstów do muzyki była niewątpliwie wydarzeniem ubiegłorocznego sezonu literackiego a nawet dziś dyskusje o tej niesamowitej prozie nie cichną. Dlaczego *Siostra* wywołuje wyjątkową falę zainteresowania i nie milknące spory krytyków? Jest dowodem na to, iż twórczość postmodernistyczna nie jest jedynie teoretycznie możliwa, ale że naprawdę istnieje a nawet potrafi na odbiorcę sugestywnie oddziaływać. Przekonuje, że w nurcie literackim „późnej epoki” niekoniecznie musi chodzić jedynie o niezobowiązującą grę z konwencjami, mieszanie gatunków, cytaty i parafrazy tego, co już napisano, szokowanie czytelnika brutalnym erotyzmem lub totalną deziluzją, negowanie wszelkich wartości i - w ostateczności - hedonistyczne przeżywanie atrakcyjnych sensacji, które zatrzymują się na powierzchni zjawisk i nie potrafi wskazać żadnego wyjścia. Topol

ofiaruje nam prawie 500 stronicowa powieść, w której to wszystko znajdujemy, ale na poziomie symbolicznym, na którym w narracji suwerennie rządzi autor.

Trzy luźno połączone części powieści - „Miasto”, „Siostra”, „Srebro”

wprawdzie rozgrywają się w jakimś bezczasie, który rozpościera się pomiędzy rzeczywistością i narkotycznym snem, czytelnik jednak rozpoznaje bez najmniejszych wątpliwości

Pragę poety z końca lat 80 i początku lat 90, rozpoznaje środowisko undergroundu przemieszane z marginesem społeczeństwa, z punkami, Cyganami i dewizowymi obcokrajowcami. Topol opisuje sytuację próby, w której się ówczesne „podziemne” miasto znalazło i z którą próbuje się uporać. Jako leitmotiv ciągle powraca pytanie o to, co człowiekowi po „wielkim zwrocie” właściwie pozostaje, co może zrobić. Jeśli nie chce utracić własnej tożsamości i poddać się presji chaotycznych zdarzeń.

Najbardziej sugestywny jest metaforyczny i bardzo ekspresyjny styl wypowiedziany się Topoła, który miesza język literacki ze slangiem undergroundu, sloganami politycznymi - a przede wszystkim - z własnymi neologizmami.

Współczesna proza czeska otrzymuje impuls, na który długo czekała. Cieszy fakt, że impuls ten jest oryginalny, że sporą dawką surowego sarkazmu i językowej ekspresji właśnie w chwilach, kiedy proza znalazła się w martwym punkcie.

z donosikiem. Teraz połykali ślinę, zawiść i nienawiść. Kiedyś któryś z nich rozbije mu łeb. Wcześniej czy później, aż się czas wypełni. Miasto zrzuciło tę starą twarz chmurną i surową, tę maskę gnijącego bolszewizmu, a nałożyło ich sobie teraz tysiące. Niektóre były uszmiłkowane na wesołe oblicza kłownów, i komu przeszkadza, że ci starzy alkoholiczni krety, z areny cuchnącej trocinami i zwierzęcymi odchodami, skrywają czasami pod szminką ospeckę, blizneczkę po malusieńkim ukłuciu? Te pstrokate błażeńskie gęby szminkowały się dla burzliwej młodości, dla turystów z najróżniejszych krajów, dla pierwszych płochliwych pocałunków i przemijających dotknięć, dla pierwszego papierosa marihuany w tajemniczym półmroku zagranicy otoczonej legendami, dla artystów w romantycznej mgłę, za paznokciami rdza z żelaznej kurtyny, za którą jest wreszcie (!), zamiast parady pancерnej, już tylko teatryk z Głupim Jasiem dla synków i córeczek z dobrych rodzin, z tymi świetnymi paszportami, przyjechali poszaleć do Wschodniej Europy, spodziewali się zwierzyńca, a zastali dżunglę, spodziewali się dżungli, a zastali magazyn starych gratów, szukali Ducha, a oszołomił ich Fircyk z lustrzaną gębą... dla posępnych intelektualistek, które odrzuciwszy w wieku siedmiu lat Morrisona i Kerouaca, a mając od jedenastu do szesnastu lat - egzystencjalistów i fenomen... i całą tę zgraję, łącznie z narkotykami, by potem już czyste mogły kochać Jezusa, by się puścić z byle jakim samcem, megiiery, które potem nienawidziły mężczyzn i miały w miarę ustalone poglądy na to, co jest nonkonformistyczne, ekologiczne, czarodziejskie i lesbijskie, i zamęczały bierne i wzgardliwe czeskie gospodynie swoimi poglądami, które wyrażają poprzez słowa, słowa, słowa... każdy pomylenieć, który miał kilka dolarów i jakiś pogląd na to, co to jest świat i wizja, w końcu wtopiał się w to miasto, zakładał organizacje, ruchy czy gazety, albo przygłopolowywał owinięty nie kończącym się kablem za nową, wreszcie piękną TV, tworzył KULTURE, lub przynajmniej jakąś mniejszą sektę dla miejscowych idiotów czy jakąś spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością, są to tylko papiery, prawda... a gdy mu się skończyła forsa, zniknął, miasto i jego biznesmeni wycisnęli go jak gąbkę... i mnie to też niemalże zabiło... wieczory z wróżką... inne części miasta właściciele skroili do szacownego ubioru solidnego handlarza, banki i kantory na ruinach, trzepotały pstre flagi i wynajęte siły ostrzeliwały wiatrówkami gołębie, ażeby ładunki z kloak nie przeszkadzały w trawieniu mądralom w garniturach, dla nich dyskretny obrót głównym to pikus... i jeszcze inne strefy miasta małpowaly profesjonalnie wypucowane gęby fałszywych graczy, gorliwców... Niektóre ulice wciąż wyglądały tak, że najlepiej byłoby się zaćpać na śmierć. W niektórych zakamarkach, ciemnych i wilgotnych, od podziemnej czarnej wody, mogliście zachorować na schizofrenię równie łatwo, jak łatwo zarazić się gripą. Inne miejsca jakby przełamywały moc zaklęcia bezruchu i znów nawiązywały do swoich szczęśliwych wspomnień, jakimś cudem, albo może siłą logiki, były to te najstarsze miejsca, jak na przykład katedra z grobowcami czeskich królów, z nisko przelatującymi gołębiami, wróblami i leniwymi turkawkami, o których twierdzą, choć może to zabrzmieć w związku z ptakami dziwnie, że poruszają się z dostojną zmysłowością, albo klasztor, którego opata tak torturowano. Chodziłem na kacu po południowym dworcu badać pstrokate okładki harlekinów i pornosów, których nazwy rezonowały mi w spowolniałym rozbolonym mózgu, to też są punkty mapy świata. (...)

Przełożył V.P.

„Revolver Revue” 1993, nr 22.

Underground - to ja!

Rozmowa z pisarzem Jáchymem Topolem o kulturze podziemia, grupach z marginesu i jego nowej książce.

Pana nazwisko przez długi czas łączono z undergroundem, kulturą podziemia. Co dla pana to środowisko oznacza?

Pojęcie „underground” miało dla mnie znaczenie za czasów komuny, w którym się narodziło. Wyrazu tego użył Jirous dla określenia specyficznej grupy w określonym czasie. Nie jest to żaden kierunek artystyczny, jak na przykład surrealizm czy dadaizm; jest to postawa życiowa. Ja się właściwie urodziłem dla undergroundu, ale dla bardzo szczególnego; tutaj wpędzano do niego ludzi, którzy w innych warunkach nie mieliby z nim nic wspólnego. Dla małego, a potem młodego chłopca, było fantastyczne, że spotkał się z „mózgowcami”, byłymi ministrami, tak samo jak z hippisami.

Czy uważa pan, że w innych warunkach i w innym kraju ruch podziemia by pana nie dosięgnął?

W Ameryce znalazłem się w środowisku, które samo siebie nazywało underground. Zorientowałem się, że to mnie nie interesuje. Interesują mnie ludzie bądź martwi od stu lat, bądź też teraz żywi i młodzi. Chyba przyciągają mnie twardsze i ekstremalne warunki i chyba wyładowałbym w takim środowisku, gdziekolwiek bym był. Ale czy na pewno, tego powiedzieć nie potrafię. Na przykład underground w Chinach: ci chłopcy też się wyróżniali zewnętrznymi oznakami - nosili ciut szersze spodnie, ciut dłuższe włosy (nie do pasa, ale dłuższe mniej więcej o centymetr od normy), tylko że oni za to mogli dostać piętnaście lat odsiadki. Gdy za Husáka oglądałem filmy o Gestapo, drżałem ze strachu i kwitowałem: Dzięki Bogu, że tego tu nie ma. Ale pewne ryzyko poznałem. I nie żałuję. O to mi wówczas chyba też chodziło, by żyć awanturczo. Dziś, po latach, stwierdzamy z kolegami: kultura, pewnie, dobre i to, chętnie drukujemy swoje teksty, ale najważniejsza była przygoda, kontynuacja pościgów ze „Stinadel” Foglara. Mogli mnie zamknąć. Nie zamknęli, ale mogli.

Wielu działaczy kultury znów znajduje się w opozycji, a kultura ponoc traci swoje prestiżowe znaczenie i jest niedostatecznie finansowana.

Gdy byłem mały, mój ojciec już nie był pisarzem, ale dysydem. Pracował przy sprężarce i do domu przychodził w ubraniu roboczym. Gdyby codziennie pisał ubrany w białą koszulę, brał za to szmal i by go wożono w samochodzie, chyba odczuwałbym to inaczej, ale w moim rozumowaniu - już od dawna - intelektualści i pisarze pracują w kotłowniach. Dlatego teraz nie narzekam, że z pisarstwa nie wyżyje. Taki Jack London był poszukiwaczem złota, marynarzem, awanturnikiem, włóczęgą. Szmal zrobił dopiero potem, gdy to wszystko już zaliczył. Pisarze, którzy się skarżą, mogli przez jakiś czas spokojnie żyć z pisania, bo pisma, w których ukazywały się fragmenty ich dzieł, były dotowane przez państwo. Nie żyli w dzungli, jak my. Dzięki Bogu za nią. Dlaczego jakiś trzydziestoletni smarkacz, jak ja, miałby żyć z pisania książek?

W tradycyjnych kulturach, kulturę podziemia określa sprzeciw wobec establishmentu. Z pewną przesadą można powiedzieć, iż u nas obecny establishment doszedł do władzy właśnie przez underground. Jaki jest pana stosunek do dzisiejszych moźnych?

Podczas jakiejś kłótni z ludźmi, którzy nadal postępują się wyrazem underground, stwierdziłem: „Underground - to ja!” Interesuje mnie serce, dusza, ciało, jestem swoim własnym podziemiem. Jeśli moiżni mają mnie gdzieś, nie czuję potrzeby dla nich się produkować. W czasach, gdy właściwie robię to, na co mam ochotę, nie odczuwam potrzeby zajmowania się establishmentem ani kwestią, czy do establishmentu przypadkiem sam nie należę. Chcę się grzebać w swoich sprawach.

Ktoś zarzucił pańskiej powieści Siostra brak dyscypliny. I rzeczywiście, nie robi ona wrażenia „poważnej” literatury, do jakiej przywykliśmy; jest to raczej wielka oralna narracja...

Zawsze interesowało mnie gawędziarstwo. Na przykład beduini mieli fascynujące techniki narracyjne. Albo Indianie. Niedawno tłumaczyłem ich opowiadania i znalazłem w nich zupełnie inny typ zdań niż w arabskich czy chińskich opowiadaczy. Indianie wykorzystywali krótkie, zwięzłe zdania wyrażające akcję; zdania niczym ukradkowe kroki łowcy, zbliżającego się do bizona. Opowiadanie przy ogniskach stanowiło część ich życia. Zdania narratora arabskiego zataczają kręgi, znamy to z Szeherazydy. Chiński narrator z kolei kończy w najciekawszym momencie. Opowiadał na targowiskach, a gdy od słuchaczy nie dostawał forsy, opowiadanie przerywał. Tam też, być może, powstały opisowe nazwy rozdziałów, które znamy z książek przygodowych. Być może były to z początku slogany, które narrator wykrzykiwał, żeby zwołać płaczącą publiczność. Jako chłopiec bardzo lubiłem takie tytuły, tylko wkurzało mnie, gdy za bardzo zdradzały akcję, jak to ma miejsce u Verne'a. W Siostrze są także, ale są tajemnicze. Nie poznasz z nich, do czego dojdzie.

W książce opisuje pan wiele różnych środowisk. Jak pan do nich przenika?

Albo tam pracuję, albo tam sobie spaceruję. Nigdy nie jeżdżę po materiale, tylko ciągle gdzieś się włóczę lub na coś się gapię. Ileż razy już chlałem na dworcu przy kiosku z tymi typami i nie odwracałem się od nich plecami. To jest przygoda z innego życia, innego doświadczenia, choć to jest wstrząsające. Ktoś naprawdę pragnie siebie zniszczyć, ktoś znajduje się na dnie w wyniku dziwnego splotu okoliczności, własnej słabości, przypadku. Nie chcę tego osądzać. Ta zgraja wokół Potoka (Potok, bohater z powieści Siostra - przyp. tłum.), choć są to przerażający ludzie, ma swój ład i czeka na Mesjasza. Niektórych rzeczy nie potrafię opisać, wyjaśnić. Klucz do tej książki to jest coś w niezwyklej stopniu osobistego. Czytelnik sam musi wybierać - rzeczy na styku halucynacji, marzenia - to trudno odróżnić. Bohater to odczuwa po swojemu.

Uczucie jest zresztą w pańskiej powieści bardzo ważne. Bohater od czasu do czasu krzywdzi swoje otoczenie, ale jednocześnie jest współczujący.

Współcuje z ludźmi, których spotyka, ale tego, kto stanie mu na drodze, bezkompromisowo odpycha. Współczucie przejawia się u niego poprzez zainteresowanie odczuciami, przeżyciami drugiej istoty. Być może ca-

ta ta książka dotyczy tajemniczego i nierozpoznawalnego świata, w którym się człowiek porusza niczym szalencie, pędzący i zadający ciosy na prawo i lewo, ale głównie sobie...

Ale równocześnie jest to także literacka zabawa z wieloma wyolbrzymionymi faktami lub wręcz fałszywymi danymi...

W książce jest sporo tricków, o których wiem, obrazów, które mają dla mnie określony sens. Spotykam ludzi, którzy temu nadają inne znaczenie, i widzę, że to też tak może być, że i to, i to jest możliwe. A na tym właśnie polega gra w tym świecie, że rzeczywistość jest niepewna. W żurnalistyce możemy dojść do pewnej prawdy, dziennikarz może wysledzić, który dyrektor zakładu sfałszował podpis, ale tajemnica człowieka jest poza możliwościami ścisłego poznania. (...)

W nowej pana powieści ujawnia się również mocne poczucie społeczne, szczególnie wobec różnych grup z marginesu, które opisano z widoczną znajomością tematu, na przykład Wietnamczyków. Czy zna pan te grupy?

Znam. Z Wietnamczykami mam dobre kontakty. Mam tam sporo przyjaciół.

Jak do tego doszło?

Podczas tej akasmitnej euforii. Chciałem ich poznać już wcześniej, próbowałem ich zagadywać pod kioskami, ale oni się strasznie bali. Bali się glin - naszych i tych we własnych szeregach. Postępowano wobec nich według twardych praw, mieli kłopoty ze stałym pobytem, podróżowaniem itp. Bolało mnie to i obrażało, że my, cały naród, głosimy światu, jacy jesteście świetni, że pozbyliśmy się komunizmu, którego w rzeczywistości nie pozbyliśmy się, ale to nas od niego uwolniono, a tysiące ludzi czują się tu prawie jak niewolnicy. Gdy kręciliśmy o nich film, spenetrowaliśmy zakłady i hotele robotnicze. Rzeczywiście, było to naprawdę okropne.

Co pana zaciekało właśnie w Wietnamczykach?

Interesuje mnie azjatycka odmiana komunizmu. Sam urodziłem się za komuny - ale interesują mnie różnice. Ludzie z Kambodży lub Wietnamu inaczej się zachowują i mają zupełnie inny język. Może lekko przesadzę, ale ja właściwie inaczej niż z przesadą nie mówię - są dla mnie jak Indianie. Tam każde pokolenie doświadczyło okropnej wojny. Wietnamczycy są w swej istocie bardzo twardzi i ta twardość mnie interesuje. Ich zdolność do przetrwania. Dostosować się. Działać. A także to, że w Azji ciągle jeszcze liczy się rodzina...

Ważną rolę w powieści (jako wątek przygodowo-thrillerowy) odgrywa wschodnioazjatycka tajna policja. Czy uważa pan, że u nas naprawdę rozwinęła swoją działalność?

O tym nie chcę mówić.

Z sympatią pisze pan o Romach, którzy są bardzo ważnym problemem. Jakie ma pan z nimi doświadczenia?

Paralela z Indianami jest w tym przypadku jeszcze bardziej trafna. Nie zamierzam idealizować Romów. To, co wiem, wiem z książek i różnych statystyk, ale chyba naprawdę byli w lepszym położeniu w czasach, gdy koczowali i robili kociołki. I podobnie jak Indianie, nie opamiętali się nawet wtedy, gdy ich tradycję zniszczono. Słyszałem i czytałem o tym, że Romowie we Francji, jeśli tylko chcą, dostają nomadzką kartę i mogą koczować. Tu szli do fabryk i państwo ich popierało z forsy, którą skradło gdzie indziej.

To ich bardzo naznaczyło. Teraz nie mogą już wrócić do koczowania i właśnie na tym polega ta ich indiańska katastrofa, to ślepa uliczka. Zapomnieli o starym sposobie życia, ale nowego sobie nie przyswoili. To jest to samo, co w murzyńskim getcie - straszny, zniszczony Bronx, gdzie swoją skórę może uratować tylko artysta lub sportowiec. Utalentowani ludzie zawsze wypłyną lub zostaną wyciągnięci - inni nie. Ale najważniejsze jest, że żadnych ludzi nie wolno walić pałką po łbie. (...)

Do pańskiej apokaliptycznej wizji należą również zdziczałe grupy brutalnej młodzieży. Czy skini, zdaniem pana, są tacy niebezpieczni?

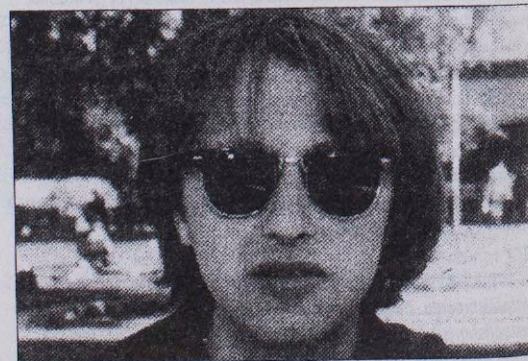
Powieść *Siostra* jest nieokreślona, czytelnik może odnieść wrażenie, że akcja rozgrywa się w przyszłości. „Stalingowie” lub „hitlerzy” - to w książce symbole typu, dla którego wolność oznacza możliwość wyrządzenia innym krzywdy. A co sobie myślę o skinach? Neonazistowskie ogolone łby, kretyni i bandyci, ale zorganizowani. Ta wizja może się spełnić. Scenka, w której bohater nagle widzi ring, gdzie w błocie walczą dziewczyny, powstała w mej fantazji. I co się okazuje? Że to już jest u nas naprawdę. Albo kolejny drobiaz. W trzeciej części bohater żyje na wysypisku. Ja to sobie wymyśliłem, a potem w którejś gazecie ukazał się reportaż o ludziach, którzy w ten sposób żyją gdzieś pod Chebem. Autor nie musi za bardzo uważać na realność, bo jeśli ma instynkt, to i tak się z nią spotka.

Poza tym, wydaje się, że poprzez instynkt szuka pan także moralności, która i dla nas mogłaby być wiarygodną. Znalazł ją pan?

Podstawowa ferajna, o której piszę, ci trzydziesto-trzydziestopięciolatki, należą do pokolenia, które odczuło jeszcze pazury Hitlera i Stalina. Ci chłopcy zostali rzućni na fale wolności i próbują się w tej sytuacji jakoś odnaleźć. Dwudziestolatkowie są już inni. Dziś dochodzi do rozmycia uporządkowanego obrazu świata. Wszystko jest niepewne. Dobre myśli nie muszą być koniecznie dobrymi, jeśli człowiek sam do nich nie dotrze własną drogą. Instrukcji nie ma. Istotne jest przetrwanie rodzaju ludzkiego. Wszystko jest możliwe, wszystko można - byle dziecka nie skrzywdzić. Kłam, oszukuj, kradnij, ale kumpłowi musisz pomagać. (...)

Teraz to jest ślalom pomiędzy ideami. Dobrze jest chodzić i badać to. Oczywiście z ryzykiem. Coś cię wchłonie i może złamać.

„Respekt” 1994, nr 25



JOSEF KROUTVOR, eseista, historyk sztuki. Urodził się 30 marca 1942 roku w Pradze. W 1967 roku ukończył studia na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Karola w Pradze. Tam też od 1970 roku zatrudniony był w Muzeum Artystyczno-Przemysłowym. Jest przede wszystkim specjalistą w zakresie historii plakatu, fotografii, projektowania, architektury i socjologii kultury. Po sowieckiej okupacji w 1968 roku wyjeżdża do Francji, studiuje w Besancon, lecz już po roku wraca do ojczyzny. Publikuje w drugim obiegu pod pseudonimem Józef K. Jego esej *Anekdota i dzieje* wzbudził wielkie zainteresowanie; opublikowano go we Francji, Austrii, Niemczech, Polsce ("Bez Dekretu" 1986, nr 15 i 16 i „Res Publica” 1989, nr 4), Słowenii, Hiszpanii, Szwecji i Holandii. Był komisarzem wystaw: „Czeski plakat nowoczesny 1908-1945”, „Praskie narożniki 1890-1942”, „Czeska moderna fotograficzna 1908-1936”. W 1990 roku odbyła staż studyjny w Wiedniu w Institut für die Wissenschaften vom Menschen. Wykłada dzieje plakatu i reklamy na Wydziale Nauk Społecznych w Pradze. Opublikował: *Hlava Medusy* (Jazpetit, 1985), *Pražský chodec* (UPM, 1985), *Jiří Šopko – monografie* (Odeon, 1990), *Poselství ulice* (Comet, 1991), *Praha, město ostrých hran* (Volvox Globator, 1992), *Benátky* (Concordia, 1992). Podstawową jego pracą jest *Potíže z dějinami* (Prostor, 1990). Publikuje regulaminy w „Literamich novinách”, pismach: „Prostor”, „Revolver Revue”, „Hařta pressu” i innych.

JOSEF KROUTVOR

Praga mizerna

Prawie każdy człowiek, który został obdarzony wrażliwością poetycką, pragnie zamieszkać w Pradze na Małej Stranie, Kampie czy przynajmniej na Starym Mieście. Niemniej dla nowoczesnej literatury i sztuk plastycznych jest to raczej pułapka, ucieczka od autentycznego wizerunku miasta. Wtedy trzeba szukać gdzie indziej i to nieraz w miejscach zupełnie niepoetyckich, a jednak magicznych i pełnych poezji. Już członkowie „Grupy 42” piechotą wyruszyli badać zwykłe zakamarki, smutne dzielnice miasta, w tym też i peryferie. Panorama „Złotej Pragi” znacznie się poszerzyła, na planie znalazły się już i Stare Holeszowice, Wrszowice czy wiecznie zielony Karlín.

Hrabal i Boudník zwrócili swoją uwagę w kierunku robotniczej dzielnicy Libeň, skąd jest już ponoć bliżej do wysoczańskich fabryk aniżeli do centrum miasta. Tak, właśnie tam, gdzie tak zwana duża poetycka rozpaczalaby, poeta odkrył źródło poezji i miejscu temu nadał niepowtarzalny charakter i urok. Jedną, nic nie znaczącą libeňską uliczką zmieniła się w końcu w legendarną ulicę Na tamie – uliczkę wieczności, słynniejszą od wielu arterii pełnych świateł i reklam.

Gdy u schyłku lat siedemdziesiątych zaczęto burzyć hołszowickie domki, podwórka i knajpy, zniknął bezpowrotnie kawał Pragi peryferyjnej. Po Chochole i Háku, którzy robili zdjęcia Holeszowic w latach czterdziestych, okolice te utrwalił na kliszy, w ostatniej chwili przed ich zniszczeniem, Jan Reich. Z tych samych powodów cykl zdjęć z peryferii znalazł kontynuatora w Ladisławie Michálku, fotografie dzielnicy Libeň, świadku artystycznych początków, a także końca i burzenia starej Libni. Peryferie wraz ze swoim specyficznym kolorytem znikają z Pragi, nie zastępowane nowymi malowniczymi przedmieściami. Na horyzoncie – w Diablicach, Proseku... powstały groźne, szare, betonowe mury osiedli – niczym widma pustynnych miast.

Na tym się jednak nie skończyło: z zielonych obrzeży miasta peryferie przeprowadziły się do centrum, usadowiły w pasażach, w opustoszałych kawiarniach i w nieopuśniętych parterach sklepowych. Praga uległa niewyobrażalnej dewastacji, granice dzielnic we wnętrzu miasta zatarły się na tyle, że nie ma już różnicy między miejscami, w których ludzie żyją i mieszkają. Totalitaryzm, któremu towarzyszyły patetyczne, ideologiczne gesty i arogancja,

niszczył miasto fizycznie i psychicznie. Jakby to już nawet nie była Praga, ale ruina pewnej teatralnej epoki, wyalienowane miasto bez twarzy i bez wyrazu.

Smichov i jego okolice przez długi czas zachowały swój specyficzny charakter, uzyskany dzięki niezwyklej symbiozie domów mieszkalnych, miejscowego przemysłu i swoistych pejzaży. Jak gdyby na skutek jakiegoś mocnego pchnięcia nawarstwiły się tu obok siebie te najróżniejsze formy i gatunki, często już z góry spisane na straty. I tak oto o swoje miejsce pod słońcem walczyły małe domki, secesyjne wille i szerniałe miejskie kamienice czynszowe, na które bezustannie napierają fabryki, magazyny, a także i olbrzymi smichowski dworzec kolejowy. Jest to jeden wielki wir, ale koniec końców takie jest życie: destrukcyjne, ale jednak twórcze. Te najpotężniejsze fale urbanizacyjne nie wkroczyły do Smichova, nadchodzą dopiero teraz. Lecz pomimo niesamowitego rozdrobnienia, dzielnica zachowała przez długi czas swoją integralność i wewnętrzną swobodę. I w dodatku zostało tu jeszcze coś z przyrody: czy to zaniedbane parki i były sady owocowe, czy też gęste zarośla i te najzwyczajniejsze krzaki czarnego bzu. Przedłużenie ulic stanowią resztki starych alei, wydeptane ścieżki zakochanych i indiańskie szlaki chłopięcych zabaw. Wzdłuż torów kolejowych rozpościera się ziemia niczyja, otoczona szerniałymi akacjami, którym wiatr i lokomotywy roznoszą nasiona.

Centralnym punktem Smichova nigdy nie był rynek, lecz skrzyżowanie Aniol (Anděl), punkt przecięcia dwóch ważnych torów tramwajowych. Niedaleko, na rogu ulicy Pilzneńskiej, stoi żydowska synagoga, święte miejsce przemienione na magazyn. Zapomniano o potężnych rodach Porgesów i Příbra-

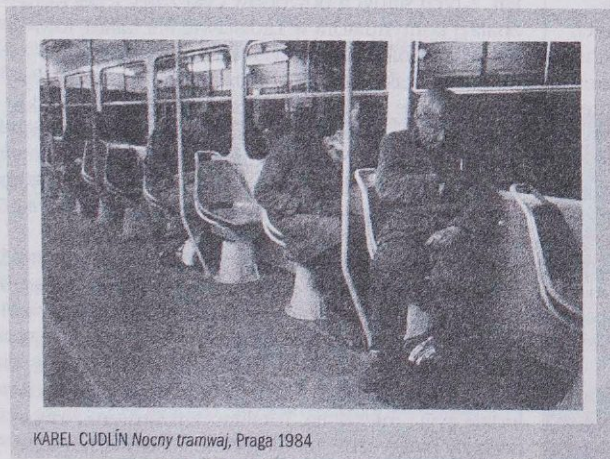
mów, prawie nikt nie zauważa już hebrajskiego napisu na murze. Dwa razy w ciągu dnia skrzyżowanie U Aniola zalewają tłumy ludzi, rano przed szóstą i po południu pod koniec zmiany. Potop ten wymywa pamięć Smichova. Niczym przyptyw morski wchodzą do dzielnicy obcy ludzie, podczas gdy mieszkańcy Smichova muszą jeździć do pracy na drugi koniec Pragi. Nikt niczego nie wie, nikt nie rozumie, nikt nie ma pojęcia, w jaki sposób znalazł się tu ten dziwny budynek w maureskim stylu i do czego służył.

Nie wszystko trzeba od razu łączyć z nędzą peryferii, brudem i ubóstwem miejscowego proletariatu. Miało tu kiedyś miejsce nawet dążenie do stylu, ładu i oświaty. Bezlitośni Supowie (Sép – przyp. tł.), fabrykanci i właściciele nieruchomości, z drugiej strony bywali szczodrymi mecenasami. To dzięki ich poparciu kwitło szkolnictwo, sztuka. Troszczyli się także o skwerki, parki i wygląd ulic w ogóle. Z epoki grüderskiej pochodzą granitowe krawężniki, połamane żeliwne balustrady, murki i schodki, a także miejskie skwerki i aleje wysadzone drzewami. Peryferie rywalizowały z śródmieściem i starały się nie być jedynie odległym zakamarkiem Pragi, ni to miastem, ni to wsią. Lecz to, co z tych prób i dążeń zostało, powiększa tylko wrażenie marności. Dzieło zniszczenia, które wykonał tu Czas, wspomógł człowiek, nie został kamień na kamieniu. To, co stało, zostało zerwane, to, co już leżało, rozbito i zniszczono. Nawet tu ideologia nienawiści (nie tylko klasowej) świętowała swoje sukcesy i swoje zwycięstwa, przewracała świat do góry nogami i łamała go w stawach.

Nadszedł czas innych wezwań, innych hasel i na fasadach kamienic i nad bramami zakładów pojawiły się transparenty nawołujące do walki. Czterdzieści wykłaskanych lat przewaliło się w rytmie...

Proch i pył zasypywał miasto i przedmieścia, szerniały skrzydła smichowskiego Aniola – był to anioł śmierci! Z murów skruszył się tynk, pojawiły się pęknięcia i szczeliny, jakby na ścianach ktoś rysował i malował fresk zagłady.

Prowizoryczne magazyny, warsztaty, kamienice skazane na zburzenie, zapomniane na bocznych torach wagony, ogrodzenia i rupiecie wypełniły zsiniałą obraz Smichova. Pod wieczór brud i kurz łączą się z ciemnością niczym miał węglowy, ziejące pustką przestrzenie za dworcem przeistaczają się w opustoszałe niebezpieczne doki londyńskie. Dookoła Aniola świecą się żółte światła knajpek i gospod, lecz nawet te nie budzą zaufania. Zapada zmierzch jak wielka czarna



KAREL CUDLÍN Nocny tramwaj, Praga 1984

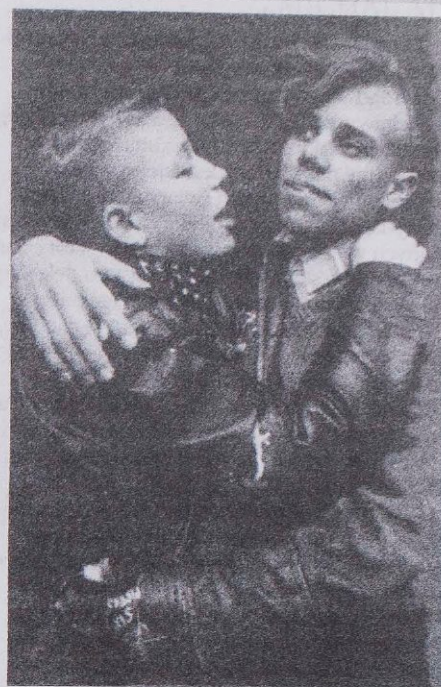
plachta, pod którą może się ukryć także każdy dziwny osobnik z praskiego półświata.

Gdzieś na początku osiemdziesiątych lat ciemności i ulice Smichova zafascynowały także fotografa Jiříego Poláčka, który z pomocą światła flesza odkrywał właściwą istotę rzeczywistości. Jego cykl *Narožníki* pokazuje nadwężone i obtarte rogi domów, o które życie ocierało się najmocniej. Są to konkretne miejsca, a jednak symbole, które człowiek w biały dzień mija obojętnie. I nie jest chyba dziełem przypadku, że narožníki Poláčka przypominają obtarte łokcie, polatane stare swetry i znoszone marynarki ze skórzanymi latami. Jednakże tu chodzi o coś więcej niż metaforę. W magicznym świetle fotograficznego flesza objawia się także naga istota, rzeczywistość obnażona aż po nicłość. Ujęcia frontowe, skoncentrowane w jednym ułamku sekundy, uwieczniają posłannictwo skałeczonych, podrapanych i pobazgranych murów. Miasto stroi miny, obnaża swoje dźwiasty zżerane powszechną paradentozą minionych lat. W sztucznym świetle flesza uwidocznił się zanik miejskiej kultury i, być może, cywilizacji w ogóle.

Zdjęcia smichowskich peryferii Poláčka nie przedstawiają już piękna stylu, jak czyniły to poetyckie fotografie Chochola i Háka – już nie mogą. Pejzaż miejski, który znamy z dzieł malarzy i poetów Grupy 42 czy Hrabala, został bowiem spisany na straty, zniknął z praskich peryferii. Obrazy Kamila Lhotáka wydają się nam ładniejsze z powodu nostalgii, narracji o świecie, który pachniał (choćby dymem z kominów) i gdzie można było jeszcze żyć. Przypadły ogródki przy torach, drewniane ogrodzenia, małe korty tenisowe, ogrody przedmiejskie, niskie domki i austerie na pętlach tramwajowych. Zniknął drobny świat gatunku. Lecz zniknęli także ludzie, ludzie z peryferii, ze swoimi losami, zwyczajami, mową i żywym folklorem miejskim.

Smichov był kiedyś dzielnicą robotniczą, ale dziś ulice koło Anioła roją się od śniadych Romów. Ich sposób życia jest odrębny, nie ma on nic wspólnego z miejscową kulturą, wręcz przeciwnie. I to jest następny cios wymierzony w styl (gatunek). Praski Harlem choruje na te same problemy co duże amerykańskie miasta, stękające pod wpływem najróżniejszych grup etnicznych i egzotycznych przybyszów.

Trudno powiedzieć, gdzie tkwi błąd, zresztą tych błędów jest chyba więcej i nie można oczekiwać, iż zostaną naprawione do końca tego tysiąclecia. Problemy, spiętrzone i pogmatwane, są równie nieczytelne, jak struktura smichowskich peryferii. Część winy ponosi ideologia, część – niepohamowany rozwój cywilizacji technicznej i presja aglomeracji miejskiej, w części także – kłatwa, rzucona na to



KAREL ČUDLÍN *Praga*, 1990

miejsce. Za dużo czynników spotyka się tu naraz, ząbąbia i stwarza konflikty. Wkrótce na Smichov spadną następne ciosy i klątwy związane z budową tunelu drogowego i nowych, luksusowych (!) kompleksów mieszkalnych. Przeciwności wyostają się – wewnątrz i na zewnątrz, z powierzchni i ze świadomości znikną kolejne ważne miejsca i znane budynki.

Już teraz zlikwidowano i przygotowano do wyburzenia olbrzymią smichowską piekarnię, do której ściągaly szczury z całej dzielnicy. Nocna zmiana, światła i zapach świeżych rogalików podniecały wyobraźnię poetów i nocnych przechodniów. W pustych kamienicach, gdzie właśnie kręca film wojenny, toczy się bitwa, w ruinach Stalingradu toczy się walka o każdy metr. Rzeczywiście: jakby to wojna przeszła przez cały Smichov – cicha, ale okrutna, rozszalała wojna zmieniała go w miasto z pierwszej linii frontu.

Turyści i wielbiciel muzyki Mozarta, śpieszący się do legendarnej Bertramki, nie zwracają uwagi na dogorywające peryferie. Popędza ich inny mit, mit Pragi magicznej, o którym czytali w esejach literackich i książkach. Lecz obok tej Pragi magicznej, istnieje również Praga mizerna, nie mniej potężny i inspirujący mit miasta. Gdzieś wysoko nad Smi-

chovem, w błękitnie niebios, rozbrzmiewa entuzjastyczna muzyka Mozarta, ale tam w dole, w przedpieklu, rozlega się huk peryferii.

Z Pawiego Wzgórza obejmujemy wzrokiem brzeg Włtawy, widać też most kolejowy, Podskale, skałę wyszehradzką... Nazwa wzgórza może być równie dobrze nazwą dekadentckiego wiersza z przełomu wieków. Zresztą świadectwo o dekadencji wydaje smętny park i kilka rozpadających się secesyjnych willi pod górką. Lecz widok, który nam oferuje wzgórze, stanowi przeciwieństwo dekoratywizmu i estetyzmu. Miasto płynie w nieskończoność: domy, ulice i znów domy, krajobraz dachów, kominów i wieżyczek. Od pięćdziesiątych lat z Pawiego Wzgórza „nadawała” zagłuszająca radiostacja. Stąd właśnie niewidzialna ręka władała Pragą. Z Pawiego Wzgórza zlatywał na miasto olbrzymi czarny kapelusz i dławiał myśli, wolną myśl, marzenia i pragnienia.

Od Wyszehradu, z przeciwległej strony, dochodzą do nas słowa Jana Hanča, członka Grupy 42, poety miejskiego cywilizatorstwa i peryferii: ... *spoglądam ze starych wałów w dół ku Włtawie na most kolejowy po którym do Smichowa czołga się długi pociąg towarowy na łódź przewożącą ostatnich gości z Cesarskiej łąki do szerniałych czynszowców przeciwległego brzegu na opustoszałą stocznię i przystań tratw pełną rozbitych parowców a gdy stał tu z kobietą którą kocham nie wyzbytym się smutku który ulokę z jednego krańca na drugi...* Hanč podziwiał miasto, wchłania w siebie tę pstrą mozaikę gatunków, lecz jednocześnie odczuwał nie kończący się żal. Na zakamarki, z którymi łączą go intymne uczucia, spada brzemień samotności i być może nadchodzi i pewne przecucie.

Po zaniku gatunków miasto opanowała brzydota i grubiaństwo, miasto stało się obce dla człowieka i żal jeszcze bardziej się spotęgował. Egzystencjalny

strach uniewiarygodni cywilną lirykę i brutalnie zatrzyma „rozmarzone” i beztroskie wędrowniki. W mieście, o którym zapomniał Bóg, marzenie tylko zaskakuje i stwarza poecie tylko kłopoty.

Pojęcie peryferii ukrywa w sobie także drugie znaczenie: określenie kultury ubocznej, tej oddalonej od oficjalnego centrum. Na peryferie nie zwraca się uwagi, ich istnienie przemilcza się, albo w ogóle się ich nie docenia. A jednak w końcu właśnie z peryferii wyszły rzeczywiste wartości kulturalne. Z peryferiami wiąże swój los Jiří Kolář i Egon Bondy, na praskich peryferiach powstało dzieło Bohumila Hrabala i Vladimira Boudníka. Peryferie – to miejsce wygnania, a później także miejsce wewnętrznej emigracji i egzystencji drugiej – samodzielnej kultury.

Przeciwieństwa między oficjalną a nieoficjalną kulturą tak ostatecznie wyostrzą się, iż wkrótce nie będzie wystarczyło tylko określenie jednopoziomowe. Do tych, którzy stoją obok, trzeba będzie zaliczyć także i tych, którzy są na dole, których tam wygnano albo się tam znaleźli z własnej woli... Do tradycji peryferii nawiąże również underground i samizdat (drugi obieg). W ten sposób peryferie stały się czymś, co nie ma nic wspólnego z establishmentem, co żyje poza oficjalnymi strukturami i odrzuca ideologicznie sterowaną kulturę.

Nie wolno zapominać o tym, że z peryferiami (ze Smichovem) połączyło swoje losy także środowisko „Revolver Revue” (Jáchym Topol, Viktor Karlík i in.). Atmosfera dzielnicy miała duży wpływ na postawę i poglądy najmłodszego pokolenia i kształtowała jego ekspresywną poetykę i koncept pisma podziemnego. „Revolver Revue”, którą początkowo wydawno w drugim obiegu, po listopadzie 1989 roku funkcjonuje oficjalnie, ale swoich źródeł poetyckich praskiej mizerii się nie wyrzekła.

Są miejsca, które oferują niezwykle przeżycia i pobudzają wyobraźnię do tworzenia żywych obrazów, jak na przykład Pont des Arts w Paryżu – prosty żelazny most dla pieszych, przerzucony nad rzeką z lekkością poezji. Obraz miasta z tego miejsca ulega nieustannej zmianie, w zależności od nastroju, światła... Spacer po żelaznym mostku nad dworcem smichowskim to też święto poetów, choć w nieco innym sensie. Tory wylewają się i błyszczą jak rzeka, tu i tam zamiast statków odjeżdżają pociągi. Nie słychać tu własnych słów, ale słowa te zostały już wypowiedziane, coś oznaczają i my próbujemy je uchwycić.

Przełożył V.P.



KAREL CUDLÍN Wesele Praga 1984



MICHAŁ AJVAZ

Holeszowice

Przełożył
LESZEK ENGELKING

W holeszowickich knajpach
szukałem zaginionej ekspedycji,
która przed dwoma laty wyruszyła w te strony.
Został tylko napis kredą na murze,
kawałek plastikowej folii, która trzepotała na wietrze
na jakiejś maszynie, stojącej na asfalcie,
dwuznaczne wiadomości, które kelnerki szeptały w korytarzyku koło kasy,
póki nie przyszedł złowieszczy szef sali ze złotymi zębami.
Puste szerokie ulice w pobliżu rzeźni,
przedpołudniowe samy, mur z podartymi plakatami,
zaparkowany samochód
z ostatnim numerem „Der Spiegel” na tylnym siedzeniu.
Czy to był sygnał?
Na białej tarczy znaku drogowego
ukośna krecha – ślad po gwoździu,
za oknem na parterze fuksje i pies z porcelany.
Poszukiwania nie dały rezultatu.
W końcu stoisz na libeńskim moście i opierasz się o balustradę,
pod tobą holowniki ciągną barki z węglem, buczą, znikają pod mostem.
Myślisz o tych, którzy wyruszyli w głąb
nieznanych holeszowickich domów.
Przy jakiej smutnej otomanie, w jakim
zimnym przedpokoju wyprawa wzięła w leb?
Z czyjej mrocznej biblioteki wysłała przez radio ostatni komunikat?
Być może jej członkowie wcale nie myśleli o powrocie.
Być może chcieli dać się złowić w sieci pożółkłych firanek
i dać się rozszarpać bestiom pustych popołudniowych mieszkań,
być może chcieli, żeby odebrał im rozum grający za ścianą fortepian.
I żeby ich pożarły ornamenty dywanu,

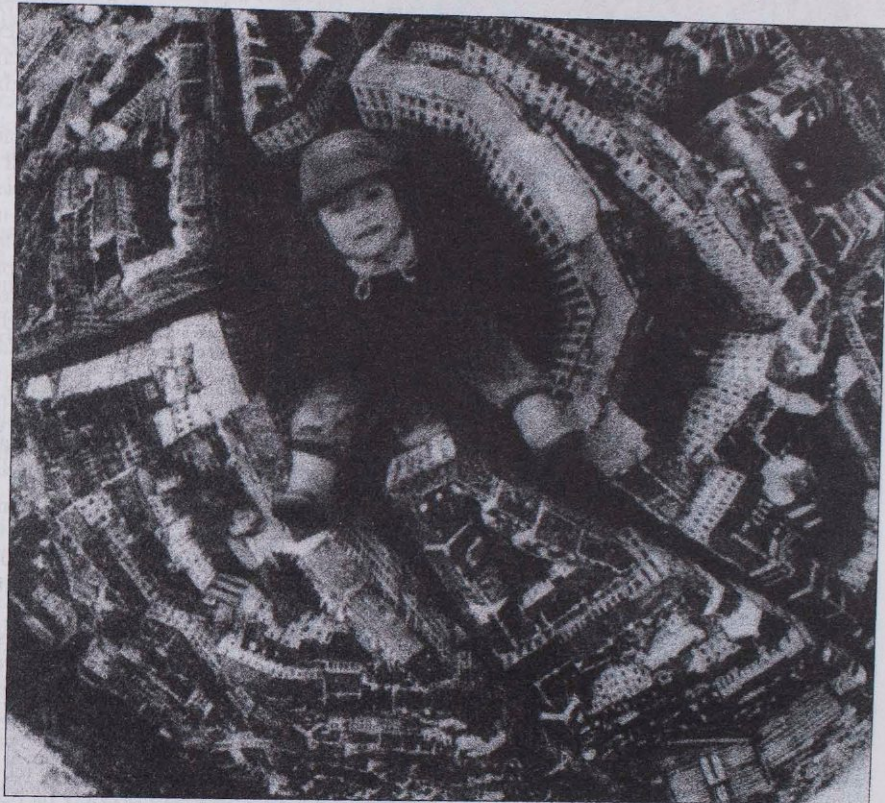
po którym przesuwa się światło słońca.
Zaginać, bez reszty wtopić się w porożsychane meble,
myśli przemienić w nieokreślony zapach wnętrz starych szaf,
zapomnieć o budowanym domku
i rękopisie książki, którą chcieliśmy zdobyć sławę.
Demon ją zamknie muzyką milczenia,
piękną jak ruiny pałacu na brzegu morza.
Wędrować przez puste mieszkania starą dróżką,
wydeptaną na zrudziałych dywanach
przez podróżników zmierzających do Azji i przez nocne zwierzęta,
w głębi cudzej biblioteki
wpisywać ostatnie niezrozumiałe wiadomości
na marginesach stron dzieł zebranych Wacława Benesza Trzebizskiego.
Żyć w cudownym kraju beznadziei, pośród fosforyzujących zwierząt.
Przechodzić koło okien, przez które widać wierzchołki dźwigów portowych,
prowadzić w ciemnym pokoju długie rozmowy o filozofii,
w które wtrącają się dzwonki tramwajów na skrzyżowaniach ulic.
Dążenie do ocalenia najbardziej je oddala.
A ja, jak zawsze, nic nie pojąłem i zostałem tutaj,
chodzę teraz cichymi ulicami i czekam
na ciężarówkę z warsztatu samochodowego piekła
i proszę kelnera-demonia, żeby zaprowadził mnie do krypty z tygrysami.
Uśmiecha się tylko uniżenie i pyta: „Jeszcze jedno piwko?”
Przyszedłem za późno. Ze względu na ciebie misteria
nie zaczną się na nowo,
nikt nie będzie czekać, aż weźmiesz głębszy oddech.
Gra tylko ten, kto przyjdzie, bez namyślania się,
na pierwsze wezwanie widma, na rozkaz królowej nocy.
Tragedia nie jest dla słodkich bobasków. Wybiera sobie aktorów.
Smokom nie warto ze względu na ciebie
wyłączyć spod zardzewiałych rolet, ściągniętych aż do ziemi.
Słyszysz za nimi ich oddech?
Inne miasto was złączy, innego snu zamęt,
teraz wsiądź do tramwaju, jedź do domu. Może
odnajdę ich ostatni meldunek-testament
w splotach gałęzi albo splekanej korze drzew.

(Wiersz z tomu *Morderstwo w hotelu „Intercontinental”*)

MICHAL AJVAZ urodził się 30 X 1949 roku w Pradze. Ukończył Wydział Filozofii Uniwersytetu Karola, pracował w przedsiębiorstwie Vodni Zdroje. W 1989 roku wydał tomik wierszy *Vražda v hotelu Intercontinental* (Wydawnictwo Mlada Fronta, 1989) i w 1991 prozę *Návrat stareho pana* (Powrót starszego pana, Mlada Fronta, 1991).

PAVEL ŠRUT

Spotkanie ze słońcem na kuli ziemskiej Žižkov



Nad dzielnicą Žižkov sterczy wieża telewizyjna. Przez wielu przeklinana – dla mniej tylko postmodernistyczna. Daniela Hodrová, kresowa, žižkovsko-vinohradzko-europejska autorka, nazywa ją sromotnikiem bezwstydnym. Dlaczego obrażać dziwaczne, niejadalne grzyby? W końcu „z wieży widać zupełnie inną Pragę od tej, jaką widzimy z Zamku” – z przyjemnością odnotowałem słowa pana Macury.

Žižkov to dla mnie niepowtarzalny kraj, w którym bawiliśmy się z kolegami w zakazane gry, gdzie wyruszyliśmy z bojażnią na swoje wyprawy i gdzie często pozbawiano nas naszych skalpów. To nie jest metafora: nosiliśmy wówczas bereciki z anteną, i „dolni” chłopcy z Žižkova zawsze na nas czatowali, wybiegali z podwórka i bram z żyletkami, by nam, „górnym”, te antenki obciąć. Z tego między innymi powodu darzę olbrzymią, telewizyjną antenę žižkovską pewnym nostalgicznym szacunkiem.

Žižkov był dla nas niczym kula ziemska, telewizji nie znaleźliśmy, kościół Św. Prokopa był naszym Empire State Building. Przypomniałem to sobie, gdy zobaczyłem panoramiczny globus Žižkova w przedziwnym parter-

Panoramiczny globus Žižkova Pavla Novaka z synem



Pavel Novák ze swoim globusem Žižkova

wym atelier, które zamieszkuje grafik Pavel Novák. Właściciela tego atelier przesłuchałem i po žižkowsku przekazuję to dalej...

"Tylko, że ja urodziłem się w Pardubicach i wyrastałem w przyrodzie pięknego ogrodu pewnej kamienicy. Spędzaliśmy całe godziny na drzewach. To dziwne, ale ten ogród mam ciągle gdzieś w środku, w sobie."

Pavel Novák urodził się więc w Pardubicach w 1962 roku. Grał na gitarze, skrzypcach, ale przede wszystkim rysował i malował. Na inspirację mistycznym miastem Žižkovem musiał nieco poczekać. Przeprowadził się tu dopiero, gdy miał dwadzieścia lat. Zaczął zdobywać Pragę od nieokrzesanych peryferii. Od Žižkova. Pracował w kotłowni, jako listonosz, siła robocza, grał w undergroundowym zespole, interesował się romską muzyką i folklorem. I przygotowywał swoją pierwszą wystawę w Klubie Młodych w Hradcu Kralové.

„Po prostu odszedłem z domu i zacząłem się troszczyć sam o siebie. Był to cios pięścią między oczy – to moje spotkanie z Žižkovem. Wilgotne mieszkanie – w podwórzu restauracji U kroužku. Zapalenie oskrzeli, a z tego astma. Ale z drugiej strony: w kotłowni spotkałem na przykład przyjaciela i kolegę, który miał bibliotekę literatury drugoobiegowej. Szkoła oddalała się, ale z czasem i do niej się załapałem.

Ktoś zapomniał na czas napisać do wujka ministra – więc ja otrzymałem list, gdzie... »Zawiadamiamy Pana, że został pan przyjęty na ASP«."

„Wówczas już byłem w Žižkowie zakochany. W tych słodko cuchnących stęchlizną podwórkach, wygryzionych w zboczu wzgórza. W zakamarkach zarośniętych jesionami i dzikimi czereśniami. W popękanych murach obrośniętych mchem...

Do dzisiaj odwiedza mnie pewien pan K. Jest historykiem, a niektórzy ludzie uważają go za stukniętego. Ja o wielu ludziach myślę, że są postrzeleni, ale ten pan K. jest na tyle konsekwentny w swej miłości do Žižkova, że starczy pokazać mu kawałek z muru, a on w nim rozpoznaje kamienicę i numer domu. I nie tylko to. Z lekkim žižkowsko-pepiczkowskim akcentem będzie snuł opowieść o życiu ludzi z tej kamienicy."

Pan K. prawdopodobnie zmyśla. Zresztą, jest to historyk – a więc zwrócony do tyłu prorok.

Nam, pozostałym, musi wystarczyć goła prawda.

„W naszej gankowej kamienicy spotkały się jako lokatorki, przeżywające właśnie wiosnę swojego życia, dwie prostytutki, które znały się jeszcze z czasów swej świetności i aktywnej służby na Waclawaku...

Na innym piętrze z kolei mieszkał dziadek, który odsiedział trzynaście

lat za próbę morderstwa. Po latach złożył donos na pewną ferajnę, która okradła w knajpach automaty do gier. Jak tylko znaleźli się za kratkami, kazali dziadkowi przekazać, że gdy wyjdą, to go zarzną, gdy tylko wychyli nos z domu. I tak oto nasz dziadek przez sześć lat nie opuścił kamienicy. Te eks-dziwki robiły mu zakupy. Czasami i ja. Wołał zawsze z galerii: Mistrzuuuuu! i krzyczał tak długo, dopóki nie zrobiłem tego, czego akurat potrzebował. Raz wysłał mnie, bym mu kupił cienki makaron. W sklepie nie mieli, więc wziąłem łazanki – a on omal się nie rozplakał. Jasne, ja też wolę w rosole makaron, od łazanek, ale z tego powodu rwać włosy z głowy? Ale kiedyś, gdy do niego wstąpiłem, zobaczyłem, że ten siepacz i donosiciel rzuca ów cienki makaron wróblom, których ma pełną kuchnię! Przyleciały tam przez otwarte okno i dziobały mu prawie z ręki.

Tak się tym przejąłem, że zrobiłem dziadkowi porządek. Właśnie była Wielkanoc. Podłogę musieliśmy moczyc cztery godziny, żeby wyskrobać zaszły na niej brud.

Wówczas odkryłem, że czystość może być dla niektórych śmiertelna. Po Wielkiej Nocy przed naszą kamienicą stał radiowóz MO. Od razu przyszło mi do głowy, że ferajna spełniła swoją obietnicę za donosicielstwo dziadka. Ale było inaczej. Raport lekarski brzmiał: *exitus* z powodu zapalenia płuc. Życzyłem sobie, by dla dziadka z kościoła Św. Prokopa zabrzmiał dzwon pogrzebowy...

Minęło już parę lat. Dziś nędzę i brud traktuje się statystycznie. Ale współczucie to według mnie jedyny klucz do zrozumienia życia. Ja zakochałem się w codzienności, w walce o przetrwanie, pomimo wszelkiej ekstrawagancji, która jakoś towarzyszy mej profesji."

Jak powstał globus Žižkova?

„Murarze zbudowali na kościele Św. Prokopa rusztowanie. Wtedy właśnie przyjechał mój szwagier Libor, który jest fotografem amatorem. Postanowiliśmy, że wejdziemy na rusztowanie i zrobimy parę zdjęć z góry. W życiu nie wspinałem się tak wysoko. Jest to około osiemdziesięciu metrów...

Chociaż zdjęcia nie wyszły najlepiej, zupełnie mnie to opętało. Przygotowałem się do oczyszczającego obrzędu: do spotkania ze słońcem. Zacząłem się wspinać po rusztowaniu o czwartej nad ranem – z latarką, łaską i kromką chleba ze skwarkami. A gdy już byłem na górze, czułem się jak w głębokim lesie. Wszystko jest dalekie i uzyskuje inne znaczenie. I pomyśl na globus Žižkova ujrzał światło dzienne. Było to dla mnie odkrycie. Bezpośrednia inspiracja. A potem – dwa lata później – kolega architekt Hanzal znalazł w jednym specjalistycznym piśmie panoramiczny globus Drezna – też robiony z iglicy wieży kościoła, tyle że z końca zeszłego wieku...!

Ale nie mogłem inaczej, musiałem wciąż i wciąż wracać, kupiłem sobie aparat i okazało się, że już o mnie wiedziano. Robotnicy wykonali »zabezpieczenie«. Ale zawsze mi się udało dotrzeć po rusztowaniu na górę.

Potem przyszła praca z kolażem – pomogło mi ksero, wszystkie montaże można było zrobić natychmiast, z jeszcze ciepłego papieru. Wystarczy do tego gilotynek, klej, głowa i ręce. No i sporo miejsca na podłodze, żeby można poskładać globus. Jedynym kłopotem był mój syn Jonatan – właśnie zaczynał raczkować."

Dziękuję panu za ten globus. Jako chłopiec zawsze chciałem go mieć. Kręcić ziemią! Jak Pan świata przejść przez žižkov i nie być pozbawionym swej antenki na berecie...



Panoramyczny globus

Romowie w Pradze

¹ Zgodnie z założeniami ideologicznymi powojennych krajów demokracji ludowej Romowie nie spełniali kryteriów tzw. stalinowskiej definicji „narodu”. Definicja, funkcjonująca w latach 50. w ZSRR, określała „obiektywne” warunki, od spełnienia których zależało wyodrębnienie „narodu”: posiadanie wspólnego pochodzenia, własnego języka i terytorium, posiadanie wspólnej gospodarki oraz psychologicznej i kulturowej odrębności.

² Powojenne usiłowania cygańskich przywódców, zmierzające do zaistnienia Romów jako narodu, co pozwoliłoby im na ich własny narodowy rozwój, nie powiodły się. Po listopadzie 1989 roku w Czeskiej i Słowackiej Federacyjnej Republice pojawiło się wiele politycznych i społecznych grup cygańskich - między innymi Inicjatywa Obywatelska Romów (ROI), powstała przy Forum Obywatelskim 21 listopada 1989 roku, była pierwszym głosem domagającym się uznania Romów za mniejszość narodową na równi z innymi. Prawo Romów do swobodnego utożsamiania się z wybraną grupą etniczną na podstawie własnej subiektywnej decyzji zostało im prawnie zagwarantowane wraz z uchwaleniem Karty Podstawowych Praw i Wolności jako części Konstytucji Czeskiej i Słowackiej Republiki Federacyjnej 9 stycznia 1991 roku. (Po podziale CSFR zapis ten stał się częścią Konstytucji Republiki Cze-

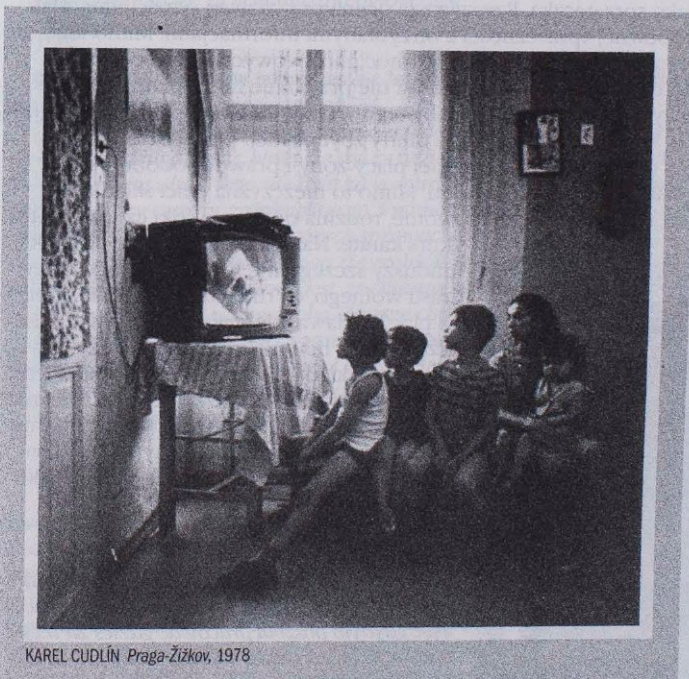
Przez czterdzieści lat Romowie w Czechosłowacji uważani byli za grupę etnograficzną, następnie grupę etniczną, która do listopada roku 1989 była na użytek polityki postrzegana jako grupa społeczna¹. Po objęciu władzy przez komunistów w 1948 roku problemy Romów były ujmowane w kontekście teorii klasowej, w celu likwidacji ich „historyczno-społecznego” zacołania i zrównania z resztą społeczeństwa. Cel ten z początku starano się osiągnąć łagodnymi środkami, lecz później już za pomocą represyjnych form społecznej i etnicznej asymilacji.

Uchwalenie Karty Podstawowych Praw i Wolności jako aktu o wymiarze konstytucyjnym przez Parlament Federalny Czeskiej i Słowackiej Federacyjnej Republiki w 1991 roku nadało Romom w Czechosłowacji nowy społeczny i polityczny status. Ta ustawa, czyniąc z nich mniejszość narodową², zdjęła z nich odium marginesowej, „społecznie patologicznej” grupy. Jednak prawny zapis, wraz z którym państwo zaakceptowało międzynarodowe normy chroniące prawa człowieka i obywatela, nie wpłynął na zmianę sytuacji Romów. Nieoczekiwanie w społeczeństwie zaczęły się pojawiać odrochy nietolerancji rasowej. Stłumiony dotąd rasizm, skrycie podsycany przez władze komunistyczne, przybrał, po listopadzie 1989 roku, nowe i widoczne formy³. Najbardziej rażącymi przykładami rasizmu są zachowania ekstremistycznych rasistowskich i faszystowskich grup młodych ludzi, takich jak „skin-headzi”, szermujących hasłami „Biali Czesi” czy „Czechy dla Czechów”. Tak więc mało zaskakującym jest fakt, że w czasie powszechnego spisu ludności w roku 1991 tylko 33,489 obywateli zadeklarowało swoją narodowość jako cygańską⁴. Jak nam wiadomo, pozostali Romowie deklarowali się jako Czesi, Słowacy czy też Węgrzy pomimo tego, że jednocześnie podawali cygański jako język ojczysty. Świadczy to o ambiwalentnym i do pewnego stopnia niewystarczającym rozwiniętym poczuciu własnej etnicznej tożsamości oraz o ciągle etnologiczno-społecznym charakterze „problemu Romów”.

Teza ekspertów była taka, że narodowa emancypacja będzie stymulować Romów do prób rozwiązywania swoich złożonych społecznych problemów samodzielnie. Rozwój sytuacji po 1991 roku nie potwierdził jednakże tych oczekiwań. Rozczarowująca była działalność Romów na scenie politycznej⁵, jako że wykazali oni silną tendencję odśrodkową i niezdolność do zjednoczenia się w imię wspólnego programu. Przyczyn tego stanu rzeczy

upatrywać należy, w pewnym stopniu, w wyraźnie ograniczonym wpływie, na jaki mogą liczyć cygańscy politycy w istniejącej strukturze rodzinnej, w rywalizacji pomiędzy odrębnymi klanami rodzinnymi, oraz w niemożności dotarcia do Romów za pomocą mass-mediów z powodu niskiego poziomu wykształcenia wśród społeczności cygańskiej.

W roku 1989, wraz ze zmianą politycznych i ekonomicznych warunków oraz uchwaleniem nowego Kodeksu Pracy nr 1/1991 Dziennika, większość Romów wypadła poza społeczny nawias i doświadczyła bezrobocia oraz nasilonej rasowej dyskryminacji. Drugą stroną medalu jest coraz powszechniejsze zjawisko zdobywania zarobków w sposób nielegalny. Właśnie tym problemom poświęcona jest ta publikacja w pierwszym rzędzie, stara się ona udokumentować je przede wszystkim słowami tych, którzy są nimi dotknięci najbardziej. A są to przedstawiciele etnicznych podgrup słowackich i węgierskich Romów⁶ mieszkających w miejskiej dzielnicy nr 5 w Pradze. Jednym z aspektów obecnej sytuacji, który czasami pojawia się w ich wypowiedziach, jest społeczna atmosfera wytworzona przez Rozporządzenie Czeskiej Rady Państwa nr 401/1993 Dziennika, w sprawie Przyjmowania i Ustawiania Obywatelstwa Czeskiej Republiki po podziale Czechosłowacji w 1993 roku. Szacunkowe dane wskazują, że od 1 lipca 1994 roku około stu tysięcy czeskich Romów narodowości słowackiej narzucono status „obcokrajowca”, co wywołało słuszne protesty krajowych i zagranicznych obrońców praw człowieka. Kwestia ta dla wielu rodzin cygańskich, także dla naszych rozmówców, stała się prawdziwą bolączką.



KAREL CUDLÍN Praga-Žižkov, 1978

skiej dnia 16 grudnia 1992 roku.) Tego dnia Romowie jako społeczność narodowa uzyskali prawo swobodnego zżeszania się oraz rozwoju własnego języka i kultury. Do roku 1991 na straży tych praw stała Rada ds. Narodowości rządu CSFR, a od 1993 jest to już Rada rządu czeskiego. Miesięczniki wydawane przez Romów „Amaro Lav” („Nasze Słowo”) i „Romano Gendalos” („Cygańskie Lustr”) oraz tygodnik „Romano Kurko” („Tydzień Romów”), wychodzą już od 1989. W Bmie w 1991 r. otwarto Muzeum Kultury Romów, a program telewizyjny *Romale* jest regularnie nadawany przez dotowany przez państwo kanał telewizyjny Czeska Telewizja 1.

³ Zgodnie z wynikami badania opinii publicznej odsetek społeczeństwa czeskiego negatywnie nastawiony do Romów wzrósł z 65 proc. do 77 proc. pomiędzy kwietniem a listopadem 1993 roku. Ponadto rzeczą charakterystyczną w przypadku konfliktów rasowych jest to, że agresorzy czują poparcie opinii społecznej i policji. Według raportu MSW 8 osób zginęło w latach 1990-1993 w rezultacie zamieszek o charakterze rasowym, a kilka innych odniosło rany w drobnych incydentach.

⁴ Na podstawie demograficznych danych z lat 1960-1980, Czechosłowacja - podobnie jak i inne kraje byłego bloku wschodniego - jest jednym z tych, które zamieszkuje bardzo wysoka bezwzględna liczba Romów. Powszechny spis ludności w 1980 roku wykazał, że szacunki demografów jeszcze tę liczbę podwyższają. W 1990 roku Obywatelska Inicjatywa Romów oceniła liczbę zamieszkujących Czechą Republikę Romów na 150000.

⁵ We wrześniu 1992 roku w Republice Czeskiej zostały zarejestrowane trzy partie polityczne Romów (Obywatelska Inicjatywa Romów, Kongres Narodowy Romów oraz Kongres Demokratyczny Romów) i jeden ruch polityczny (Ruch Zaangażowanych Romów). Zarejestrowano również trzydzieści organizacji społecznych opartych na wspólnej cygańskiej kulturze.

⁶ Społeczność Romów w Czechach składa się obecnie głównie z osiadłych tu słowackich i węgierskich Romów („Rumungr”),

którzy według przybliżonych szacunków stanowią odpowiednio niespełna 80 proc. i 10 proc. dzisiejszej społeczności Romów. Na pozostałe 10 proc. składają się pierwotnie koczujący Romowie Ołašský (Vlachiko Roma) oraz potomkowie czeskich, morawskich i niemieckich (Sinti) Romów, którzy zostali w przeważającej części wymordowani przez nazistów podczas drugiej wojny światowej. Słowacy (Slovenska Roma), których można podzielić ze względu na język na grupy znane jako Vychodniare (wschodni) Romowie i Zapadniare (zachodni) Romowie, razem z Węgrami (Ungriko Roma), przybyli do Słowacji w kilku falach imigracyjnych w różnym czasie i dotarli do różnych rejonów (grupę imigracyjną cementowały więzy krwi). Największe fale imigracyjne przybyły w latach drugiej wojny światowej.

Język słowackich i węgierskich Romów - środowisko socjolingwistyczne naszych rozmówców - nosi ślady ponad czterdziestoletniego okresu systematycznych prób asymilacji, u najmłodszego pokolenia często można już usłyszeć etnolekt czesko-słowacki. Z punktu widzenia czystości językowej, najlepiej zachowanym dialektem cygańskim w Czeskiej Republice jest dialekt Romów Ołašský. Słowacki cygański stał się elementem integrującym w procesie tworzenia skodyfikowanej formy dialektu cygańskiego w zbiorze wszystkich dialektów cygańskich byłej Czechosłowacji.

Ankieta

1.0. Dane identyfikacyjne

1.1. Miejsce: Praga 5, Smíchov

1.2. Rodzaje budynku: przedwojenny blok mieszkalny, M-4, kategoria II, parter.

1.3. Standard materialny: dobry poziom - mieszkanie właśnie zostało w pełni wyremontowane (nowe podłogi, nowe pokrycie ścian w kuchni i pomieszczeniach sanitarnych, kuchenka gazowa WAW). Koszty remontu zostały częściowo pokryte przez dawny OPBH (Organizację Zarządu Lokalnych Budynków Mieszkalnych), a częściowo z funduszy samej rodziny. Mieszkanie jest czyste i wyposażone w nowe meble w nowoczesnym stylu.

1.4. Charakterystyka rozmówców: mężczyzna - 40-letni, kobieta pomiędzy 35 i 40 lat, małżeństwo. Oboje urodzeni w Czechach, on - w Pradze. Należą do grupy „starych mieszkańców”. Mają troje dzieci. Opiekun społeczny umieścił ich w pierwszej kategorii.

1.5. Wykształcenie rozmówców: podstawowe, prawdopodobnie niepełne

1.6. Podgrupa etniczna rozmówców: słowacy Romowie (rodzice urodzeni w Słowacji)

1.7. Języki w rodzinie: małżeństwo mówi po czesku i cygańsku, poziom znajomości obu języków - dobry, poziom znajomości cygańskiego u dzieci - ciągle tylko pasywny

1.8. Struktura rodzinna: pięcioosobowa samodzielna rodzina, składająca się z małżeństwa z trójką dzieci. Najmłodsza córka chodzi do przedszkola, starsza córka i syn chodzą do szkoły podstawowej dla dyslektyków.

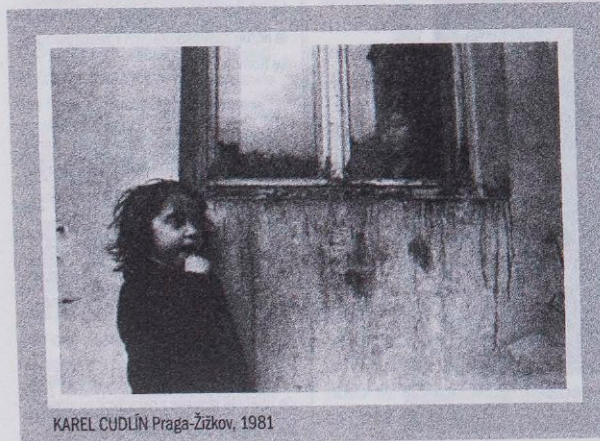
2.0. Analiza problemów rodzinnych związanych z zatrudnieniem

2.1. Opis sytuacji: Mąż został zwolniony z pracy około roku temu, żona pracuje jako sprzątaczką. Rzeczywista ocena prawdziwej sytuacji materialnej stoi w pewnej sprzeczności z otrzymanymi informacjami. Mimo tego, że mąż jest bez pracy, nie stara się o pomoc państwowych służb socjalnych (byłoby to dla niego upokorzeniem) i nie przyjmuje niskopłatnej pracy (z rozmowy wynikało, że nie byłaby tego warta). Ciągłe za przyczynę niepowodzeń w szukaniu pracy podaje oferty zbyt niskich płac. Rodzina nie wspomina o innych - oprócz niskiej płacy żony i prawdopodobnie zasiłkach na dzieci - źródłach dochodu. Mimo to mężczyzna płaci składkę na ubezpieczenie społeczne i zdrowotne, rodzina opłaca wysoki czynsz jak też

i kurs karate. Narzekają konkretnie na brak funduszy szczególnie w zakresie spędzania czasu wolnego. („Trudno wybierać się gdzieś na plac Wacława wieczorem, gdy jest tak niebezpiecznie, no i nie ma się pieniędzy”.). Wobec tego zakłada się, że rodzina posiada jeszcze jedno - przemilczane - źródło utrzymania, wyraźnie półlegalne lub nielegalne, i być może związane z pracą mężczyzny w kręgu rodzinnej organizacji (jego bracia pracują jako taksówkarze).

2.2. Zapis rozmowy:

Mężczyzna: „Nie mam pracy, więc szukam takiej, która by mi pasowała. Mam troje dzieci, więc gdybym poszedł pracować gdzieś za trzy tysiące, to to jest trochę mało w dzisiejszych czasach.”



KAREL ČUDLÍN Praga-Žižkov, 1981

Jak długo pracował Pan przed utratą pracy?

„Osiemnaście lat w jednej firmie. Zwolnili nas więcej. Pracowałem jako dostawca w składzie węgla. Więc szukam pracy i próbuję coś dla siebie znaleźć - do teraz bez pomocy biura pracy. Straciłem pracę rok temu, były redukcje.”

Jak wybierano ludzi do zwolnienia?

„Dobre pytanie. Powiem Pani jak to jest. Jestem Romem i większość Romów zwolnili, a zostawili innych. Nie było żadnych odwołań. Mówiłem im: proszę was, przepracowałem tu osiemnaście lat, mam trójkę dzieciaków, pracuję, nie opuściłem ani jednej godziny, ani jednej! a oni powiedzieli do widzenia i dali mi może trzy tysiące rekompensaty, i nie było odwołania. No i jestem bez pracy, i mam tego dość. Tam w składzie w Ruzyně pracowało 20 Romów, a zostało tylko dwóch. To wystarczy, żeby pomyśleć, że coś jest nie tak.”

Czy trudno Romowi znaleźć pracę?

„Tak. Jest więcej problemów. Bo Romowie mają więcej dzieci, większość ma trójkę, czwórkę a trzy tysiące dzisiaj na to, to katastrofa, naprawdę. Drogo jest. Na przykład płacę tu siedemset za mieszkanie.”

Gdzie chciałby Pan pracować?

„Myślałem o tym, że może chciałbym być kierowcą taksówki. Do tego potrzebny jest nowy samochód i trzeba zarejestrować się w wydziale jako prywatny przedsiębiorca. Musiałbym mieć swój własny samochód.”

Czy wśród Romów jest dużo taksówkarzy?

„Moi bracia, na przykład. Dzisiaj jest może za dużo taksówkarzy. Bo to myślę, wystarczy mieć prawo jazdy i własny samochód.”

Czy sądzi Pan, że za komunizmu było lepiej?

„No, było taniej.”

A czy dzisiaj nie jest w jakimś sensie lepiej? Wiadomo, wszystko jest droższe, ale czy jednak nie ma więcej wolności?

„Jakoś nie czuję tej wolności, nie ma wolności bez pieniędzy. To jedna rzecz, i jest jeszcze druga rzecz, kiedy się słyszy tych skin-headów, kiedy się to widzi, strach wyjść na ulicę. Tego nie było za komunistów, bo jak coś się działo, to czy to był biały czy czarny, zamknęliby go, i mimo że nie zgadzałem się z tym wszystkim do końca, to w niektórych sprawach było lepiej. Dzisiaj jesteś Cygan i możesz dostać od skinów, i mogą cię zrobić kaleką na całe życie na przykład, więc co się dzieje? Moje zdanie jest, że skinami kieruje ktoś z góry, bo to jest jak by jakaś organizacja na moje oko. Zawsze chodzą razem, po dwudziestu, po czterdziestu. Cygan inaczej, Cygan chce spokojnie żyć. Chce mieć za co zjeść, wykształcić dzieciaki, i nie mieszać się w te sprawy. A kiedy ktoś zaczyna gadać jak Šćuka¹, to nie wierz mu, mówię wprost. Bo on zawsze coś wygada, zawsze coś dostanie, ale chce popularności, i praktycznie nic nie robi dla nas, Romów.”

A co, według Pana, powinien dla Romów robić?

„Przynajmniej znaleźć im pracę. Gdybym był na jego miejscu to zorganizowałbym jakiś duży program dla Romów, którzy chcą pracować. Powiedziałbym, chodźcie tutaj. Ja wiem, w dzisiejszych czasach może pięć, sześć tysięcy od biedy mogłoby być. Powiedziałbym: macie tutaj pięć czy sześć tysięcy i jazda. Gdyby on to zrobił, to myślę, że coś by zrobił, coś zdobył dla Romów, ale on nic nie zrobił. Ale mówię Pani - pracować za dwa i pół, trzy tysiące w dzisiejszych czasach to niemożliwe, nie da się. Więc nikt Šćuce nie uwierzy. A taki biały sprzedawca popatrzy na ciebie i powie „mamy komplet”

¹ Rozmówca ma na myśli dr. Emila Šćuke, przewodniczącego ROI - Obywatelskiej Inicjatywy Romów - pierwszej partii politycznej powstałej po 1989 roku, reprezentującej czechosłowackich Romów.



KAREL CUDLÍN Stypa, Praga 1981

i zamknie drzwi. A jak cię weźmie, mówię - jakiś prywatniak, to zedrże z ciebie skórę za parę halerzy. Więc byłby popularny wśród Romów, gdyby znalazł im pracę. Ale on nic nie robi. Tylko gada. No żeby jakąś robotę, może, ja wiem, prostą, dorywczą, sprzątnąć jakiś teren, coś, co Rom mógłby zrobić, kopanie... Będą pracować, ale nie za darmo. Ale go to nie obchodzi. Na przykład tutaj, gdyby coś zrobić, tylko tutaj - w Pradze 5, aby dać Romom pracować. To by coś było i ludzie by wiedzieli, że coś się dzieje. Tutaj za komunistów, byś poszedł na plac Wacława i powiedzieliby ci, dokumenty proszę, popatrzeli i powiedzieli „Bez pracy?” i do ciupy za pasożytnictwo. A dzisiaj, czy się pracuje, czy nie, nikogo to nie obchodzi, i jak sterczysz na ulicy to tylko bylebyś

nie plątał się pod nogami, nikt nie ma pretensji. Młodzi chłopcy, jak są bez pracy, to kradną. W moim wieku, mam 40 lat, wie Pani, to nie dla mnie. Nerwy mam w strzębach. Przyzwyczajony jestem pracować. Przez to zrobiłem się nerwowy. Osiemnaście lat w jednej firmie. Płacę na ubezpieczenie, socjalne i zdrowotne, to jedna rzecz, a druga rzecz to to, że mi się to nie liczy do emerytury. Co ja z tego mam, jak ktoś tu zakłada dla mnie dom kultury, jak ja nie mam na to pieniędzy.”

A dlaczego nie udało się Panu znaleźć pracy?

„Za mało chcieli płacić. Trzy tysiące, trzy i pół, to trochę za mało dla trzech, a dla pięcioosobowej rodziny?”

A pana żona pracuje?

„Pracuje, jako sprzątaczką.”

3.0. Oznaki dyskryminacji rasowej

3.1. Opis sytuacji: rodzina nie czuje się bezpiecznie, szczególnie wobec brutalnych antycygańskich działań skin-headów. Nikt z rodziny do tej pory nie został zaatakowany. Mąż czuje się dyskryminowany przez społeczność „białych”, gdy stara się znaleźć pracę na dłużej.

3.2. Zapis rozmowy:

Czy sądzi Pan, że Romowie są dyskryminowani gdy starają się znaleźć pracę?

„No jasne, wszystkich wrzucają do jednego worka, oczywiście. Miałem takie zdarzenie. Ile razy mówisz przez telefon, że z pochodzenia jesteś Romem, to ci mówią: mamy komplet, więc nawet nie musicie przyjeżdżać. Z tych samych powodów trzy razy nam odmówili, gdy chcieliśmy żeby dzieci pojechały na kolonie. Rzadko gdzieś jeździmy. Zawsze siedzimy w domu. Nawet nie można wieczorem iść na Plac Wacława bo niebezpiecznie, no i nie ma pieniędzy.”

4.0. Nauka dzieci i sposoby spędzania przez nie wolnego czasu

4.1. Nauka

4.1.1. Opis sytuacji: W rodzinie jest dwoje dzieci w wieku szkolnym, które na życzenie swoich rodziców chodzą do szkoły podstawowej dla dyslektyków. Rodzice są w pełni zadowoleni z metod nauczania oraz warunków w szkole. Odrzucają pomysł segregacji w szkolnictwie, dotyczący zatrudnienia

nia Romów jako nauczycieli języka cygańskiego – dodatkowego przedmiotu dla dzieci z rodzin cygańskich. W ich opinii takie rozwiązanie zredukowałoby liczbę dzieci w klasach i zintensyfikowałoby indywidualne nauczanie po czesku.

4.1.2. Zapis rozmowy:

Żona: „Nasze dzieci chodzą obecnie do szkoły podstawowej, szkoły podstawowej dla dyslektyków. Okazało się, że matka teraz może wybrać dla dziecka szkołę, jaką chce. Ale tutaj jest taki tłok, że w każdej klasie jest bardzo dużo dzieci, i nauczyciele po prostu nie mają czasu na tłumaczenie materiału każdemu dziecku, a dziecko może czegoś nie rozumieć, lub wstydzi się to powiedzieć, to inni po prostu idą dalej tym samym tempem bez zwracania na nie uwagi. Więc znalazłam szkołę, do której chodzą takie dzieci z dysleksją, te, które wolniej myślą, i gdzie nauczyciele mogą im po prostu poświęcić więcej czasu, bo w klasie jest dziesięcioro uczniów. Przyjęli nasze dzieci, a nauczyciele byli strasznie zadowoleni, że chcemy, żeby nasze dzieci chodziły do tej szkoły, jedno do piątej a drugie do szóstej klasy.”

Kim, według Was, powinny zostać Wasze dzieci?

Mąż: „To zależy, jak im pójdzie w szkole. Są trochę powolne, myślę. Nie możemy im pomóc, bo nie za dobrze znamy materiał...”

Co pomogłoby Waszym dzieciom w nauce?

Mąż: „Jak mówiła żona, po prostu powinni im poświęcać więcej uwagi, a nauczyciele powinni więcej im tłumaczyć. Żeby chłopak przynajmniej jakiś zawód w życiu zdobył, to by mu ułatwiło.”

Z jakim zawodem byłoby mu w życiu łatwiej?

Mąż: „No, na przykład, jakiś hydraulik, malarz, coś takiego.”

A murarz, chciałby Pan, aby był murarzem?

„Mógłby być. Jakiś zawód, wie Pani. A dziewczyna, dobrze by było, chciałbym, żeby... ona potrzebuje szkoły, uczyć się... Mam nadzieję, że ma do tego głowę.”

Żona: „Podoba się nam, że w szkole dla dyslektyków uczą nawet pisać na maszynie i malunków. To jest szkoła, która nie ma jakiegoś głównego przedmiotu, jak matematyka albo czeski. Jak widzą, że jakieś dziecko jest lepsze w czymś, w rysowaniu czy śpiewie, powiedzmy, to pomagają mu pójść do szkoły, w której może się wybić. Nie chcemy szkoły tylko dla Romów, ale żeby każdemu dziecku poświęcano uwagę.”

Czy Państwo w domu rozmawiacie po cygańsku?

Mąż: „No tak!”

Żona: „Tylko trochę, ale dzieci rozumieją nas, gdy rozmawiamy.”

4.2. Czas wolny dzieci

4.2.1. Opis sytuacji: Rodzice wyraźnie interesują się sposobem, w jaki dzieci spędzają swój wolny czas. Chętnie widzieliby nowe grupy zainteresowań (sport lub plastyka czy rzemiosło) dla dzieci w pobliżu miejsca zamieszkania. Byli bardzo zadowoleni z zorganizowanych przez Urząd Dzielnicy, Praga 5, kolonii dla dzieci.

4.2.2. zapis rozmowy:

Jak chcielibyście, aby Wasze dzieci spędzały wolny czas? Czy można by coś polepszyć w sąsiedztwie, czy dzieci muszą bawić się na ulicy?



KAREL CUDLÍN Pogrzeb, Praga 1981

Mąż i żona: „Naprzeciwno nas jest park, jak Pani za-uważyla. To jedyne miejsce. Nic więcej tu nie ma. Chodzą do kółek zainteresowań. Dziewczyna chodzi do kółka ochrony przyrody, to jest kółko zainteresowań i nie ma nic wspólnego ze szkołą. Chłopak trenuje karate, płacimy za to. To dobry sport. Obozy dla dzieci to dobra rzecz. I my, i dzieci wtedy odpoczywamy. Jest trochę spokoju i ciszy w tym domu.”

5.0. Czas wolny dorosłych

Jak państwo spędzacie wolny czas?

Żona: „Mamy ten park, gdzie można się spotkać i po-

rozmawiać. Nie zależy nam na tym, żeby mieć własny klub, to dzieci powinny mieć coś takiego. W dzisiejszych czasach trzeba myśleć o tym, co do garnka włożyć i gdzie znaleźć pracę, a wszystko jest drogie... czynsz. Te obozy dla dzieci to dobra rzecz, bo wtedy i my możemy odpocząć. Dzieci i my możemy odpocząć psychicznie, jeśli wiemy, że dzieci są w dobrych rękach.”

Czy oglądacie Państwo telewizję? Co myślicie o programach dla Romów? Co się Wam w nich podoba?

Mąż: „Najbardziej podoba się nam, gdy pokazują, że Romowie są akceptowani w społeczeństwie, gdy ich dobrze traktują, wtedy człowiek lepiej się czuje.”

Czy pośród cygańskich liderów są tacy, których darzycie sympatią i którym ufacie?

Mąż: „Nie zrobili niczego złego i niczego dobrego. Ja myślę tak: nie robią tego dla Romów. Wydaje mi się, że robią to dla zdobycia popularności, żeby coś tam mieć dla siebie, ale gdy ktoś myśli, że chcą dobrze, to wtedy ich popiera. Nie jestem członkiem żadnej partii Romów.”

Kwestia mieszkania:

Mąż: „Bardzo dobrze, że wyprowadziliśmy się z nowoczesnego osiedla, te osiedla po prostu mi nie pasują, wie Pani, tam nie ma nic - tylko betonowe płyty... my mamy taki zwyczaj mówić podniesionym głosem, wie Pani, a ludzie pewnie myślą, że my się kłócimy, a my tylko rozmawiamy, rozumie Pani. No i znamy się z ludźmi stąd. Moja siostra tu mieszka, na trzecim piętrze, dzisiaj malują. Mają takie samo mieszkanie jak nasze.

A te grzejniki gazowe są świetne. Nastawiasz i od razu masz ciepło. A siostra, to ona ma ogrzewanie w całym mieszkaniu, ona ma boiler, włącza i ma ciepło nawet w ubikacji. Siostra jest w pracy, sprząta domy, to dobra rzecz dla kobiet. Jest w domu i wychodzi, tylko żeby posprzątać parę korytarzy. Może być w domu z dziećmi.”

Kwestia jedzenia:

Mąż: „Cyganie lubią mięso (Czy kuchnia cygańska różni się od czeskiej?)

Nie, jest tylko ostrzejsza. Głównie goja... kieszka z tarkowanymi ziemniakami... Goja jak malarz. Można ją zrobić z mąką, i bez ziemniaków. A też halušky, to raczej słowackie jedzenie. Pišot."

Czy mają Państwo w Słowacji jeszcze jakichś krewnych?

Mąż: „Ze strony mamy nikt już nie został. Dziadek umarł, tata też, on już nie żyje, ale siostra mieszka w Słowacji, jego siostra. Mają tam dom. (Jeździecie tam?) Nie, nigdy tam nie byłem. Tata czasami tam jeździł, raz na rok. Jako dzieci też tam nie byliśmy. Ja urodziłem się w Pradze, na Motolu, teraz mieszkam na Smíchovie. (Czy Romowie jeszcze podróżują wozami?) Może tylko w wakacje, droga impreza, a tak to nie. Tutaj rodziny mieszkają w domach."

Gdzie Romowie jeżdżą na wakacje?

Mąż: „Teraz mój brat chce jechać na wakacje do Włoch, nad morze. Zatrzyma się u rodziny albo w hotelu. Najdalej gdzie ja byłem to Černošice." (Wieś oddalona o około 20 km od Pragi.)

Żona: „Wczoraj był program o Romach we Francji w telewizji. Jechali wozami. Topili tę boginię w morzu, z okazji święta. Święta Sabina² czy coś takiego ona się nazywała. Ładnie to wyglądało, mają to święto raz w roku, ale padł deszcz."

Czy ogląda Pani program Romale w telewizji?

„Tak, oglądam, nawet często, i tak prawdę mówiąc, to czasem mnie to denerwuje. (Dlaczego?) No, czasami pokazują te dzieci, jak one mówią i... (Czy czuje się Pani zakłopotana?) Nie, nie jestem zakłopotana, ale po prostu nie powinni pokazywać tylko złych stron, ale i dobre rzeczy. Jak, powiedzmy, sprawy społeczne... Jak się żyje. Nie chodzi mi o mnie, że u mnie wszystko w porządku. Ja wiem, trzeba wybrać parę rodzin z Pragi, są tam takie co żyją sobie przyzwoicie i nie zdarza im się nic takiego. A ci, na przykład Cyganie Olašský, co oni tu robią? Oni są prawie całkiem inni niż my. To straszne, naprawdę. (Nie utożsamia się Pani z nimi?) Nie, ani trochę. Oni są zupełnie inni. Inaczej żyją, mają inne zwyczaje niż nasze. I nie można też porównywać ich z nami, bo, można powiedzieć, że my, znaczy czescy Romowie, jesteśmy jakby bardziej cywilizowani od nich. Oni mają jeszcze stare zwyczaje, sprzed tysiąca lat. U nas tego nie ma. Oni trzymają się oddzielnie: a Rom to powinien być Rom, a oni zawsze trzymają się oddzielnie. Tak jest, mówię, wszyscy to mówią, i ja też to mówię. Dlaczego nie mówi się o tym, jak my próbujemy pracować, żeby nasze dzieci poszły do szkoły i się czegoś nauczyły, i nie zachowywały się jak jakieś prostaki, kiedy są między ludźmi itd. To by pasowało, krótko mówiąc. Ale to wszystko, to zupełnie oczywiste, że im zależy tylko na złocie (Noszenie złota jest oznaką Cyganów Olašský), a nie chcą pracować, i większość z nich kradnie. Ile razy chodziłam na nocną zmianę na plac Wacława do Družby (sklep) i to było coś straszego. Może cztery kobiety, złapały jakiegoś dziadka i zaciągnęły do budki telefonicznej, i wszędzie było... pełno krwi. Powiedziałam sobie, przecież to straszne. Było tam dwóch policjantów i ja mówię: Przepraszam, czy mogliby mnie panowie eskortować do metra. A oni zaczęli mnie pytać: kto jestem, a ja mówię, że też Cyganka, ale ktoś mógłby wstydzić się tego, co się tam dzieje, to okropne. Wtedy zaczęłam się bać i przestałam chodzić do pracy. Bo ja zawsze łapałam ostatnie metro za pięć dwunasta. Chodziłam tam sprzątać. Potem musiałam znaleźć taką pracę, co by pozwoliła mi zostać w domu z dziećmi w ciągu dnia. Żebym mogła nadążyć ze wszystkim."

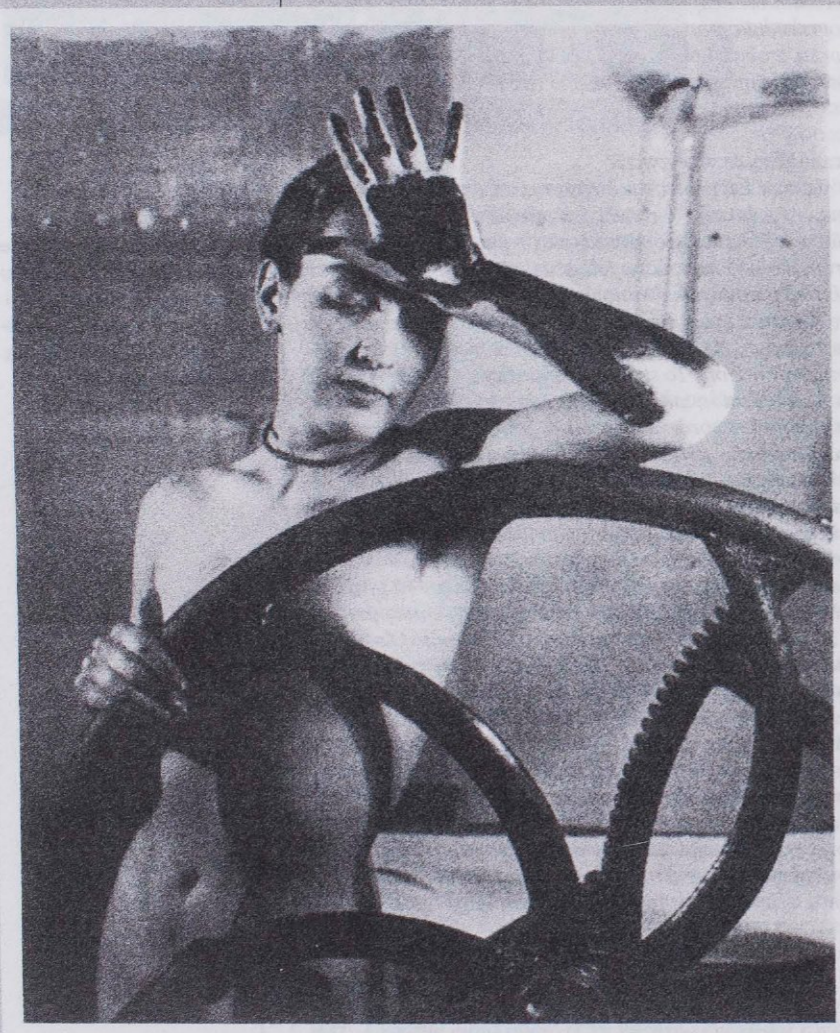
2 Mowa tu o tradycyjnej masowej pielgrzymce Romów z całego świata do nadmorskiej miejscowości Les Saintes-Maries de la Mer na południu Francji. Rozmówczyni błędnie podaje Świętą Sabinę zamiast Świętą Sarę, chrześcijańską patronkę Romów. Romowie czasami nazywają Świętą Sarę „Kal'i Sára" - „Czarną Sarą".

PETR KRÁL

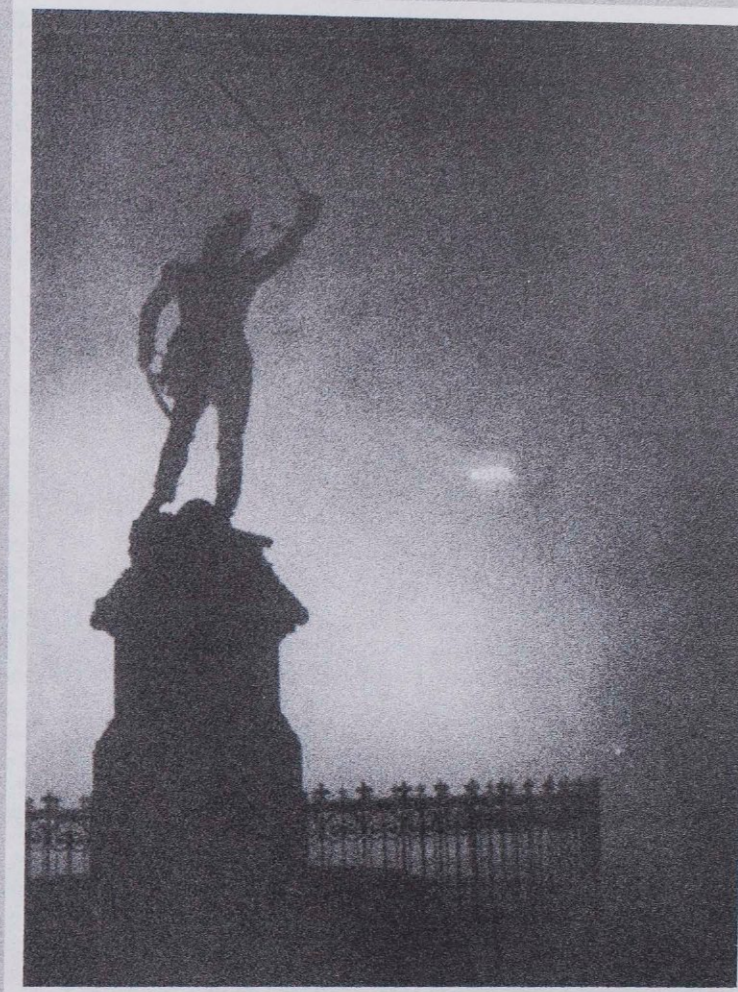
Fotografia w surrealizmie

Fakt, że surrealizm w zasadzie podporządkowuje formę przekazu jej treści, owocuje niezmiennym bogactwem sposobów, na jakie surrealizm jest w stanie spożytkować fotografię, i które za nic nie dają się sprowadzić do dycznej formuły. Treść - nie forma zyskuje jeszcze większą wagę dzięki podziałowi zawartych w książce ilustrowanej kilkoma „tematycznymi” pól.

MAN RAY Fotografia, 1929



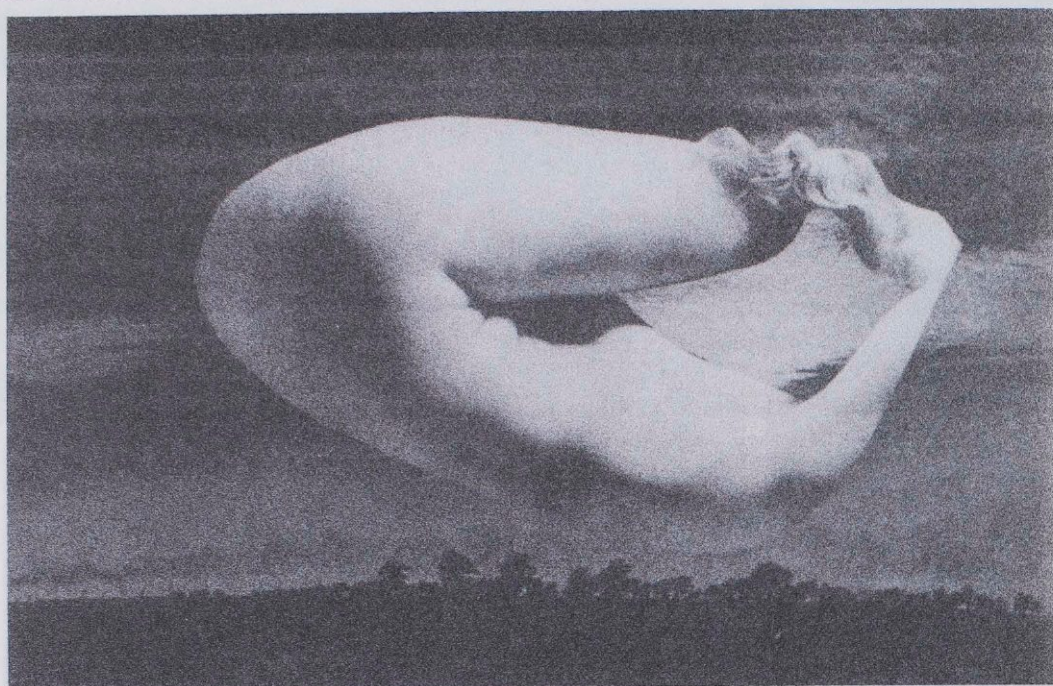
Pracownia fotografii surrealistycznej



BRASAI Pomnik marszałka
Nya we mgle, 1934

Surrealizm wydaje się ciążyć ku fotografii z uwagi na swoją instrumentalną funkcję w poezji. W żadnym razie nie jest dziełem przypadku, że jeden szczególnie przykład fotografii surrealistycznej źródło inspiracji znalazł w pracach Eugène'a Atgeta (1856-1927), którego obiektywowi udało się wyłowić z codzienności Paryża roku 1900 nową magię - obcą ambicjom artystycznym - zakorzenioną jedynie w głębokim pragnieniu fotografa, aby utrwalić odchodzącą w niepamięć atmosferę miasta. Na wielu fotografiach surrealistów można patrzeć jak na dokumentalistów utrwalających znaczenie odnalezionych przedmiotów lub napotkanych zdarzeń, przywołując fotograficzne ilustracje do surrealistycznych książek (Nadja, Bretona); surrealizm nie dba zbytnio o magię poetyki w kontekście dzieła sztuki, ale raczej dostrzega ją w samym życiu. Zdolność fotografii do uczynienia z rzeczywistości autorki poezji zdaje się rozbudzać wyobraźnię surrealisty, będąc żywym dowodem na twierdzenie Bretona, że „nadrealność niewątpliwie zawarta jest

BRASAI
MAN RAY
MEDKOVÁ
NOŽIČKA
ŠTYRSKÝ



KAROL TAIGE Collage nr 373 (przedostatni), 1951

w rzeczywistości". Uchwyczone obiektywem fragmenty rzeczywistości są w stanie przyjąć rolę magicznego fetyusza, pojedyncze przedmioty zrodzone z tego niedoskonałego świata potrafią desygnować zapierające dech w piersiach projekty nowych miast i krajobrazów, w które surrealizm chciałby ten świat przetrworzyć.

Realizm nie tknięty estetyką, potrafiący dać pokaz najgłębszych magicznych wizji na papierze fotografii, ma w zwyczaju tak dalece współpracować z wyobraźnią surrealisty, że niejednokrotnie obnaża jego pierwotne funkcje. W tym sensie on nie tylko wychodzi naprzeciw i nie koliduje z surrealistów stałym poszukiwaniem spontanicznej poezji i humoru, typowych, na przykład dla XIX-wiecznych pocztówek z końca wieku, ale również z awersją surrealistów do sztuczności, ich wolą zjednanania własnej wyobraźni z pierwiastkiem rzeczywistości. W ten sposób „dokumentalny” autentyzm fotografii odgrywa, w ich oczach, rolę naocznego świadka zawsze wtedy, gdy prymitywizm i pustka fałszywego bożyszcza zostają zdemaskowane.

Tak długo, jak poetycka moc fotografii współistnieje razem z jej umiejętnością demaskowania „autetycznej irracjonalności” w obliczu rzeczywistości, nie sposób nie wymienić jednego z najważniejszych w historii fotografii surrealistycznej Jindřicha Styrskiego (1899-1942), który - zainspirowany przez Atgeta, tym razem w duchu świadomego surrealizmu - potrafił wyrazić nieświadomiane pragnienia i dążenia za pomocą cykliczności ruchu, podążając śladem symbolizmu fetyszów obecnego dosłownie w każdym szczególe krajobrazu ulicy. Metoda Atgeta i Styrskiego została później udoskonalona - dając początek postmodernizmowi i nostalgia - przez indywidualistę Jiří Severa (1904-1968).

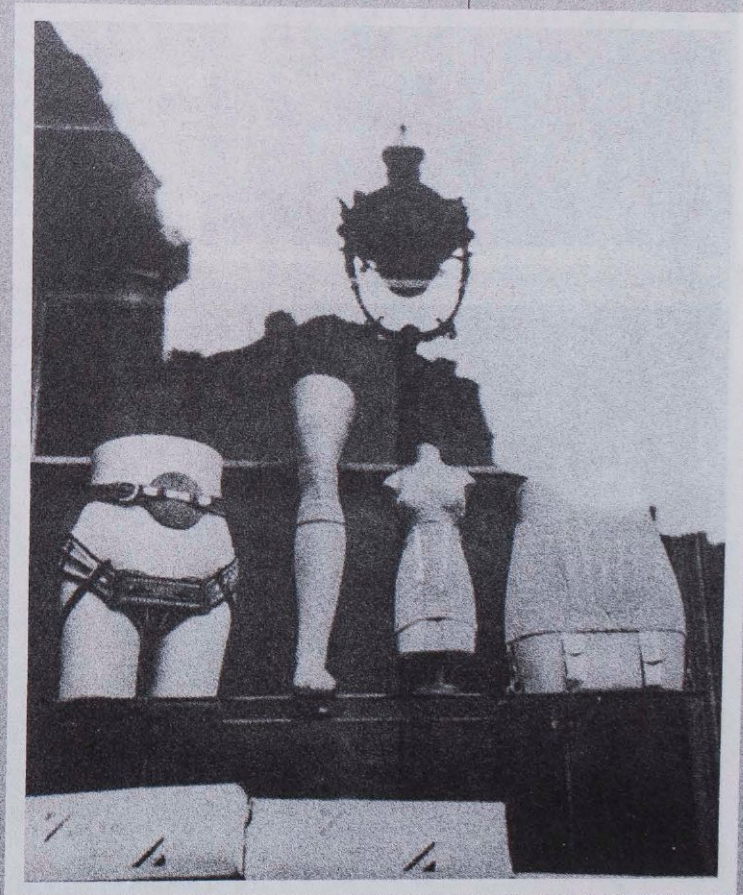
Sztuka słynnego Man Raya (1890-1976) wyziobiła odmienną, uzupełniającą do nurtu fotografii surrealistycznej odnogę, która nie gardziła ani

Pracownia fotografii surrealistycznej

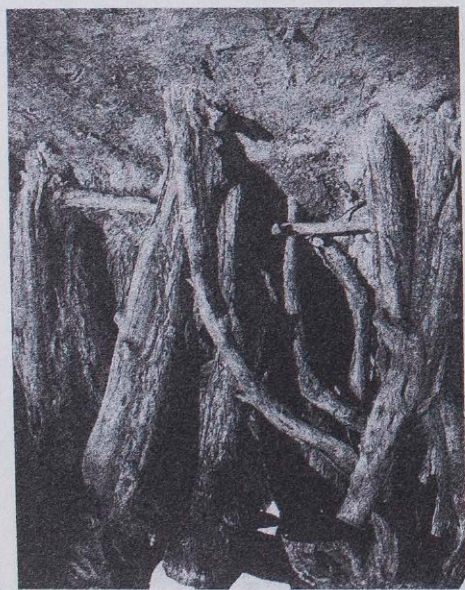
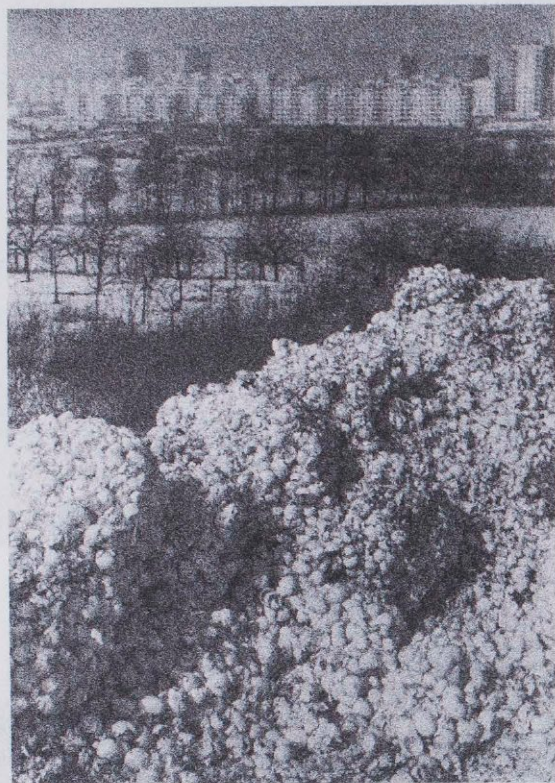
fotografią komponowaną, ani techniczną obróbką laboratoryjną zdjęcia. Nie trzeba podkreślać, że to podejście nie tylko w szczegółach różni się od fotografii „atgetiańskiej”, gdyż poprzez wzbogacenie środków ingerowania w rzeczywistość oraz rozwoju wyobraźni karmiącej się tą rzeczywistością, artyście udaje się porzucić pasywną postawę obserwatora. Jeśli nawet większości aranżowanych fotografii brakuje dziś życia, jeśli pełne są szklamiowej sztuczności i powielonych stylistycznych ornamentów, to jednak wiele surrealistycznych zdjęć stworzonych techniką laboratorium, zachowało swoje znaczenie jako bogate źródło inspiracji. Z tego punktu widzenia szczególnie nowatorskie cechy należy przypisać fotografiom Man Raya, zdjęciom robionym bez obiektywu, dodającym przedmiotom codziennego użytku tajemniczej, okultystycznej aury. W tym sensie jeden raz ciemnia fotograficzna urosła do rangi autentycznej pracowni alchemika, w której światło okazało się być pierwotną siłą sprawczą natury i wszechświata. Jeśli chodzi o pozostałe prace Man Raya, to wyrodziły się one w sztuczny estetyzm i metaforyczny banał.

Szczególnie cennych rezultatów dostarczyła metoda „podgrzewania”, odkryta na początku drugiej wojny światowej przez Raoula Ubaca (1910-1985), którą prekursorsko w latach trzydziestych parzył się jej autor Miroslav Háek (1911-1978), metoda zwana „strukáz”. Metodę tę zastosował również David Hare (ur. 1917), Miloš Koreček (1908-1988) oraz wszechstronny Jindřich Heisler (1914-1953), którego fotografiki wzbogaciły możliwości metody, dodając do niej linearyzm konfiguracji powstających w wyniku procesu podgrzewania emulsji fotograficznej. W swoich godnych uwagi „ciepłogramach” Josefowi Istlerowi (ur. 1919) udało się złączyć najdelikatniejsze gesty zmysłowości z wybuchami na powierzchni odległych i nieznanych słońc. Prawdopodobnie w naturze tutejszych warunków leży to, że fotografia surrealistyczna, szczególnie w swoim

JINDŘICH ŠTYRSKÝ
Z cyklu Paryskie wystawy, 1935



Pracownia fotografii surrealistycznej



naturalnym „atgetiańskim” wymiarze, znalazła w Czechosłowacji podatny grunt. Znajduje to swój namacalny wyraz w stopniu, w jakim myślenie surrealistyczne zostało na wiele lat zmuszone do przyjęcia krytycznych pozycji wobec większości zjawisk codziennego życia. Nie może być dziełem przypadku, że czeska fotografia surrealistyczna kwitła w latach pięćdziesiątych, latach stalinowskiego terroru, wydając owoc w postaci rozważań na temat konfliktu pomiędzy indywiduum a światem zewnętrznym. Jedne z najlepszych rezultatów w tym zakresie osiągnęli Emila Medková (1928-1985) oraz Alois Nožička (ur. 1934), członkowie praskiego kręgu surrealistów. Ich fotografie charakteryzowały się dużymi zbliżeniami szczegółów pojedynczych obiektów, łącząc fragmenty murów, kłębow kurzu i zwykłych przedmiotów.

Często skondensowaną inspirację można było odszukać w „entropicznym” potencjale przypadkowych aranżacji, mając na uwadze szczególnie to, że magia poezji rodzi się ze związku intencji z przypadkiem, subiektywnej rzeczywistości z obiektywną. Jest oczywistością, że zarówno Styřský, jak i Sever potrafili nadać znaczenie marginalnym i nieważnym fragmentom rzeczywistości: z tym, że takie zabiegi równają się metaforom wyrosłym z intelektualnej gry znaczeń,

sygnałując pozornie neutralne zjawiska (tzw. nieudane przedstawienia) bogactwem znaczeń. Najnowsze etapy rozwoju fotografii surrealistycznej charakteryzują się obecnością sarkastycznych wątpliwości i obaw mających wiele wspólnego z umiejętnością wyobraźni do zaboru otaczającego świata. W tym samym czasie, tak jak w przypadku Medkovej czy Nožički, sceptycyzm wychodzi na plan pierwszy jako wyraźna sprawcza siła, niejednoznaczność przesłania zawartego w ich fotografiach mobilizuje twórcze umiejętności samego widza. Pomimo dominującego katastrofizmu wyrażonego w przedmiotach fotografowanych przez tych artystów, nie sposób doszukać się tu beznadziei. W zgłiszczach rzeczywistości, poddanych totalnemu przetworzeniu i sublimacji, możemy dostrzec teraz doskonały wyraz zdruzgotanego świata, jak również kolejne poetyckie dzieło sztuki. Wydaje się, że akcent przesuwają się z prób formułowania irracjonalnych przesłań ku wysiłkom na rzecz wzbudzenia i ukształtowania ich; ich dynamizm podkreślony jest faktem, że grupują się w cykliczne ciągi.

Przełożył Tomasz Wyszkowski

U góry:
ALOIS NOŽIČKA
Świat po eksplozji (Skorupki), 1965

Z lewej:
EMILA MEDKOVÁ Korzenie, 1953

Kregi wtajemniczenia

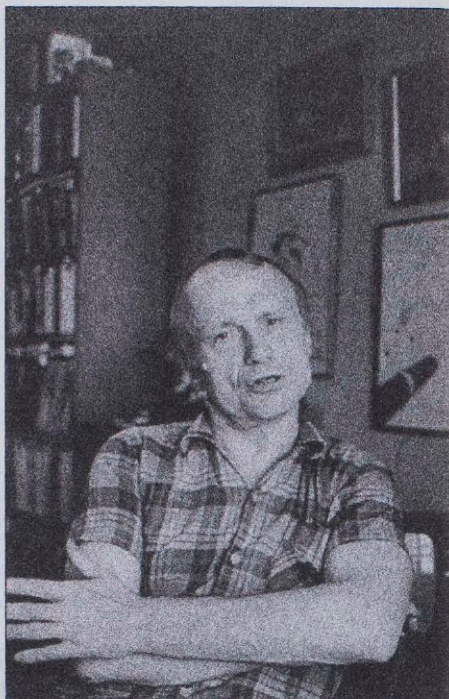


Rudolf Bruner-Dvorak: *Odjazd cesarza Franciszka Józefa*, 1907

KRÁL
RAJCIĆ
NEZVAL
KROUTVOR
SURREALIZM
KUBIZM

PETR KRÁL

Praga, miasto spotkań



W Pradze, która od wieków jest ważnym skrzyżowaniem, z natury dobrze powodzi się wszelkiego rodzaju mieszaniom. Znajdowała się tu śluzza pomiędzy Zachodem i Wschodem oraz istotny punkt osi Północ - Południe, jaką tworzą Berlin, Budapeszt i Wiedeń. Do niedawna turyści „Z Zachodu” przyjeżdżali tu, by między dwoma kościołami zobaczyć rosyjski step, jak z przedpokojowego gułagu, dogodnie umieszczonego blisko Wiednia i Paryża... Ze względu na swoją strukturę i rzeźbę, na swoją barokową warstwowość, Praga jest zarazem wewnętrznie zróżnicowana i przepuszczalna, zbudowana z niezliczonych, ale wzajemnie połączonych przestrzeni. Choć, w odróżnieniu od innych stolic, nie posiada całych dzielnic sklepów futrzarskich czy antykwariatów, choć pralnie, zakłady zegarmistrzowskie i sklepy rzeźnicze spokojnie przeplatają się w jej handlowych ulicach, za kulisami miasta wyczuwamy ukryte spiski: przeróżne podwórka, korytarze, zaplecza sklepowe, którymi przejść można od zegarmistrza do rzeźnika, z zakrystii do loży operowej, a może nawet z poddasza do królewskiej komnaty.

Pośrodku nowoczesnej Pragi, na placu Waclawa i w okolicy, domy przecina wiele pasaży, w których do dziś zachowało się echo ruchliwych przedwojennych lat, kiedy, jak się twierdzi, wystarczyło zburzyć ściany, by kawiarnie placu (szczególnie w jego dolnej części) połączyły się w jeden lokal. Na ślepej fasadzie, skrytej za kamienicą U Nowaków, do dziś przetrwały resztki starej reklamy (autorstwa Zelenki) z karykaturą Voskovca i Wericha, którzy prowadzili tu kiedyś najbardziej nęcący teatr świata. Złączyła się ona z łuszczącymi się i wyblakłymi ceglami, bardziej nieokreślonymi i zarazem bardziej materialnymi niż ona, i elegancki rysunek stał się tak niepewnym złudzeniem, że za każdym razem oko musi ją dosłownie wywołać z nicości...

PETR KRÁL urodził się w 1941 roku w Pradze. Poeta kontynuujący tradycje surrealizmu, eseista. Od 1968 roku mieszka w Paryżu. Jest członkiem zespołu redakcyjnego „Zeszytów Literackich”.

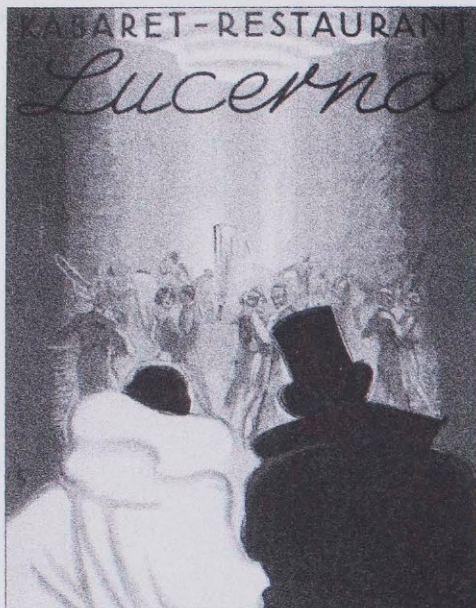
Bliżej placu, przy ulicy Vodičky, Pasaż Lucerna, ze swym barem, wielkim kinem, salą balową i koncertową, tworzy prawdziwy pomnik rozkoszy przedwojennego kapitalizmu. W pasażu naprzeciw, piętra jednego skrzydła są do dziś połączone nieprzerwanym łańcuchem kabin starej windy i „pateroster”, która jakby ucieleśniała ducha wolnej przedsiębiorczości (i wolnego handlu) i zarazem łatwość, z jaką Praga łączy swe przestrzenie. Zdarza się, że przechodząc pasażem, przypadkiem spojrzymy za szybę wystawową i za rozsuniętym parawanem zobaczymy przy pracy sąsiada, którego znamy wyłącznie z pobliskiego domku na obrzeżu Pragi. Tak, jakby pasaż za pomocą jednego błysku mógł zszyć to, co bliskie, z tym, co jest w oddali, obcą, cywilną egzystencję sąsiada i intymność domu, który, podobnie jak on, pozostawiliśmy na przedmieściu.

Oto jedna z najbardziej charakterystycznych i najczęstszych scenek ulicznych: motorniczki na skrzyżowaniu wybiega z tramwaju i przerzuca zwrotnicę żelaznym drągiem, czego suchy trzask poznaje się z daleka, nawet wówczas, kiedy przedziera się do nas przez pakuły mgły. Czasem, kiedy nie ukazała się jeszcze „Wieczorna Praga”, szynom tramwajowym przypada zadanie przekazania wiadomości o niedawnym wypadku drogowym. Kiedy do pasażerów, stojących na wysepce przy Muzeum, dopłynęła rowkiem torów tramwajowych z góry, z ulicy Vinohradzkiej, krew, zrozumieli, że tramwaj stamtąd tak szybko nie przyjedzie... Czy nieszczęście spowodowało śmiertelne auto, pędzące ulicą Vinohradzką z martwym kierowcą? Tak czy owak, to nagłe zderzenie powszedniości z tym, co upiorne, codziennego banału ze złym snem w środku dnia, jest dla Pragi tak samo charakterystyczne i ważne, jak pałace jej historycznych dzielnic. Przeszłość i przyszłość, mit i codzienność spotykają się w mieście w sposób równie oczywisty.

Do sekretów Pragi i całego czeskiego ducha należy szczególnie eklektyzm: wyjątkowa umiejętność łączenia tego, co się połączyć nie da, wykorzystana z pożytkiem dla siebie najbardziej przeciwstawnych wpływów. Zrodziła się bez wątpienia z potrzeby kompensacji niedostatków miasta i kraju, systematycznie odsuwanych na margines dziejów i okradanych z własnego losu. Kiedy inni zdobywają świat, Czesi wyciągają naukę z ich zdobyczy, klasyfikują je, wysubtelniają, układają z nich nowe bukiety. Czeska kuchnia jest tak samo bogata w zapożyczenia (z kuchni węgierskiej, austriackiej, polskiej), jak przedwojenna poezja jednego z najbardziej natchnionych praskich



Fot. K. Daniłowski



E. Weiss: Kabaret i restauracja Lucerna, 1928

przechodniów, Vítězslava Nezvala. Obie charakteryzuje ta sama umiejętność „wykorzystywania resztek” i łączenia istniejących składników. Wyobraźni Nezvala, nawet wówczas kiedy powołuje się na surrealizm, wystarcza ożywienie Pragi duchami przejętymi z książek lub ze studenckich snów poety, i przywołanymi na jego drogę przez nagłe wspomnienie.

Jednak nie wspomnienie Pragi alchemików i jezuitów; drogie turystycznym przewodnikom dla cudzoziemców, sący się w letnim zmierzchu z praskich murów i smutno unosi się nad ogrodami i dachami... Duch wskrzeszany wspomnieniem i drażący kamienie domów, to duch, który zamieszkiwał miasto przed wojną. Nie Rudolf II i jego przedziwny dwór, ale raczej Nezval czy też Voskovec i Werich, wspominający go w latach dwudziestych na balu, w winiarni, być może zabytkowej, gdzie już z oddali można było usłyszeć zgrzyt i dzwonki tramwajów. Wspomnienie o sławnym praskim pobycie boskiego Amadeusza przyćmione jest echem anonimowej niemalże wycieczki, na którą, przy okazji jakiegoś szachowego turnieju, wybrał się do Pragi Marcel Duchamp, albo echem potajemnych wakacji, które spędził tu przed wojną rumuński surrealista Perahim.

Obserwowanie miasta w jego przesunięciach, to także wspomnianie wraz z nim przedwojennej przeszłości, to umiejętność odnalezienia w jego teraźniejszości śladów przeszłości. Kiedy w dworcowym bufecie odkrywamy ostatniego żebraka w łachmanach, kiedy przedzieramy się przez gęste obłoki dymu na piętrze hotelu Europa, gdzie wydaje się, że emeryci z cygarami grają w karty od końca stulecia, obecnego tu również w secesyjnym wystroju, przeżywamy nieoczekiwany powrót „prawdziwego świata”.

Dzięki swej zmiennej rzeźbie i nagłym powrotom w przeszłość Praga sprzyja także wszelkiego rodzaju spotkaniom. W odpowiedzi na pewną ankietę już Voskovec i Werich twierdzili, że duszę miasta czują najbardziej widząc tramwaj wjeżdżający pod gotycki łuk Bramy Prochowej. Równie wymowny widok czeka na przechodnia, który opuszcza Praski Zamek tylną, małą bramą: kilka kroków niżej kamienna Madonna strzeże progu uliczki Pod Opyši, opadającej wzdłuż starego muru do następnego zakrętu, gdzie oczekuje owal ulicznego lustra. Wszystko, co Praga posiada przyjaznego, promieniuje tu nie tylko z uspokajającego połączenia dwóch symboli, kobiety-wtajemniczenia i drogi za sobą samym (lustro), ale też ze współbrzmienia przyjemnego zakrętu uliczki i owalu, do którego prowadzi ona jak w głąbie szklanego oka.

W poetyckich wędrówkach Nezvala powstają całe łańcuchy takich „krótkich śpięć”. Zresztą nie tylko u Nezvala. Kiedy przesiadujemy nad butelką w mieszkaniu przyjaciółki w Karlínie, na wprost, na górnym piętrze koszar w kolorze ochry, podpalonych zachodem słońca, nad kończącym się dniem tęsknie zawodzi trąbka; a kiedy wreszcie wychodzimy na ciemną już ulicę, w budynku naprzeciw prędko znika oddział rekrutów z czarnymi walizczkami pod pachą, jak z trumienkami.

Zmienna sieć odgłosów i współzależności, które Praga nieustannie przeździe, wciela się w innym miejscu jakby bezpośrednio w miejskie realia i ich wzajemne stosunki, pełne tajemniczej wymowy. Kiedy pada, rzygacze katedry Świętego Wita na Zamku wypływają wodę tuż na wprost schodków, którymi wchodzi się do starej Vikarki, jednej z najprzyjemniejszych i najbar-

dziej wykrętnych gospód. Na rogu Celetnej kubistyczny dom Pod Czarną Madonną (nawet kubizm jest w Pradze barokowy), projektowany przez Gočára, długo sąsiadował z pobliskim pasażem, który mógł zaprowadzić gdzie indziej samą tylko nazwą: Pasaż Luna. Za pobliskim kościołem Tyńskim przyglądamy się grocie starego handlarza żelazem, gdzie z sufitu zwisają girlandy starych kluczy, jak sople rdzy, a potem odwracamy spojrzenie ku wejściu do Ungeltu, na wprost. Nad nim właśnie odkrywamy tajemnicze otwory w ścianie, podobne do wielkich dziurek od klucza.

Zauroczenie czeka nas nawet w toalecie Muzeum Artystyczno-Przemysłowego, opodal Wydziału Filozofii i placu przy moście Mánesa. Kiedy zajdziemy tam na papierosa, Stary Cmentarz Żydowski oferuje nam nagle pod oknami cały swój zakurzony magazyn nagrobków, zjeżonych i nawarstwionych na sobie, jak kry lodowe podczas baśniowej odwilży. Zresztą, jedynie spojrzenie stąd pozwala ocenić cmentarz, tak bardzo stał się on symbolem czysto turystycznej malowniczości. Nie dotyczy to na razie Nowego Cmentarza Żydowskiego, bardziej oddalonego, pełnego marmurowych szaf z końca wieku, porośniętych zszarzałym dzikim winem (spojrzenie na marmur nagrobków, gdzie pod lekką warstwą kurzu tonie odbicie okolicznych drzew, to *spojrzenie w głąb*). Cmentarz także posiada swoje „krótkie spiećie”: sąsiedztwo grobu Kafki i tablicy pamiątkowej, umieszczonej niemalże na wprost, na zewnątrz długiego muru cmentarnego, gdzie lśni pod drzewami smutnej alei, przygaszonym uśmiechem dawnych, stalinowskich lat. Oddaje bowiem hold pewnemu szeregowemu, który tu ponoć poległ pewnego dnia w czasach „zimnej wojny”, biorąc udział w afereze szpiegowskiej, utrwalonej wkrótce w pocuczającej lekturze szkolnej... (Czasem w lecie spotkasz za murem ślepego grajka w garniturze i ciemnych okularach, siedzącego i ciągnącego czarny miech harmonii nad kratere kapelusza i nad wyciągniętą na drogę łaską, wabiącego zewsząd nawet niewidoczną gawieź dawnych, przedmiejskich niedziel. Daleko zaś nie ma nawet letniej wieży...)

Rów, oddzielający Zamek od „zwyčajnego” miasta, ułatwia w Pradze ich wzajemne spotkania. I to nie tylko dzięki licznym kapusiom w prochowcach, czuwającym, by do odległych władców dotarły najintymniejsze słowa poddanych. Samo życie Zamku i sąsiadujących z nim przestrzeni staje się z nieoczekiwaną łatwością rzeczą publiczną i dociera do „prostych obywateli”. Któż w Pradze nie wiedział, że pod Zmakiem drażono rządowe schrony? Prowincjonalność stolicy jest w sposób naturalny demokratyczna: wystarczy odwiedzić sąsiadów, by znaleźć kogoś, kto zagląda w okno ministrowi, a być może nawet gra z nim w karty, tak jak kiedyś Weřlich z Jiřim Střibrným. Tym samym, którego zwolennicy chodzili wygwizdywać jego przedstawienia z Voskovcem... Zamek, pozornie nieprzystępny, jest zarazem przejrzystą szklaną twierdzą.

K. Cudlin: *Hall Lucerny*, 1987



Kręgi wtajemniczenia

PETR KRAL



Fotografia Josefa Sudka z cyklu *Kontrasty*.

Niektóre „krótkie śpięcia” są raczej przygnębiające: hipnotyczna przytulność krętej uliczki Nowy Świat, która jakby cudem ocalała w pobliżu Zamku, zapadła dzięki temu sąsiedztwu na długie lata w ciszę lekliwie powstrzymany oddechu. Także plac Loretański dusi się pod ciężarem wspaniałego pałacu, ukazującego tu swoją barokową fasadę, zielone dobra parku Stromovka, śniące na skraju miasta o polowaniach w nie kończących się lasach, jakby kurczą się z zimna przed wszechmocną ambasadą, umieszczoną na jednym z jego krańców.

Gdzie indziej, na zwyczajnych ulicach lub za ich kulisami, zgiełk „codziennego” życia rodzi dalsze spotkania. Gospody, enklawy nieprzymusowego współistnienia, gdzie pod wieczór nagle ożywają ostatni, małomówni podróżni praskich tramwajów, stale otwarte są wobec swobodnego przepływu ludzi, poglądów, a czasem nawet przedmiotów. Rano można tu za piwo dostać kapelusz, za który tego samego wieczoru, lecz w innym lokalu, zyskać można książkę pani Duras dla (lepiej) służących i kruszyć ją natychmiast, strona po stronie, podczas nerwowej jazdy taksówką przez Pragę. Towarzystwo, codziennie odnawiane w gospodach wokół stołów, łączy nie tylko akademików z nicponiami, murarzy ze studentami prawa. Płodzi także te dziwne i hybrydalne zjawy, których mnóstwo było w Pradze na początku stulecia, i które bezpo-

średnio w swoim ciele łączą i godzą światy wyobraźni i rzeczywistości, sztuki i „przeżywanej” poezji.

Z jednej strony kelnerzy, usposobieni równie poetycko jak goszcząca tu bohema, z drugiej zaś pisarze i malarze tak dziwni, że zaliczyć ich można do prawdziwych straszycel. Praga wspomina do dziś starego Józefa Sudka, wiecznie nie ogolonego, w berecie, ciągle w tym samym obdartym, zimowym płaszczu, z pustym – po amputowanej ręce – rękawem. Sudek, czasem znieruchomiał na moście lub na nocnym skrzyżowaniu, obok przedpotopowego aparatu-straszycła na trójnogu, kiedy indziej przysłuchujący się koncertowi w sali Rudolfinum, zamieszkiwał Pragę wiernie jak jakiś tajemniczy stróż, niezbędny do jej przetrwania. Kiedy jest nieobecny, kiedy nie ma ucha, które uważnie nachylało się w kierunku podium, i obiektywu skierowanego na śpiącą rzekę, noc miasta pozbawiona jest jakby gwarancji...

Jan Zrzavý, brodaty skrzat o różowych policzkach, stale udekorowany czerwonym, wełnianym czepcem, tak bardzo wymykał się życiowym realiom powojennej Pragi, że wydawało się, iż przetrwał w nim duch jej przeszłości. Od czasu do czasu natykaliśmy się na niego, zbliżał się do nas powoli, z nieobecnym spojrzeniem, z drugiego końca malostránskiej uliczki. Wystarczyło to, by przestrzeń miasta na chwilę otwarła się wobec zapomnianej wolności.

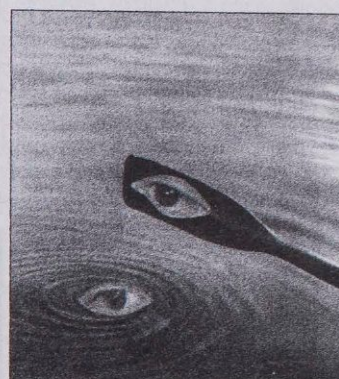
Przełożyła Katarzyna Filgaś

BISERKA RAJCIĆ, slawistka serbska, tłumaczka i popularyzatorka literatury polskiej, czeskiej i rosyjskiej. Przełożyła m.in. wybór wierszy Urszuli Koziol *W rytmie korzeni* (1972), Czesława Miłosza *Widzenia nad zatoką San Francisco* (1982), dwie książki Marka Nowakowskiego, Jana Kotta *Teatr esencji i inne eseje* (1986), Tadeusza Konwickiego *Małą apokalipsę* (1987), Sławomira Mrożka *Donosy* (1989), a także wiele utworów innych pisarzy „od Norwida do Tomasza Jastruna”; z teorii literatury i filozofii tłumaczyła autorów takich, jak Władysław Tatkiewicz, Józef Tischner, Leszek Kołakowski; z dziedziny teatru i filmu m.in. Leona Chwistka i Andrzeja Wajdę. W roku 1985 wydała książkę *Polsko pitanje (Sprawa polska)*, ukazującą ruch Solidarności na tle powojennej historii Polski. W 1989 roku otrzymała nagrodę literacką ZAIKS-u za całokształt twórczości przekładowej i popularyzatorskiej.

Szkie *Surrealistyczna Praga*, napisany w grudniu 1992 roku ukazał się w bełgradzkim dwutygodniku „Književna reč” jako pierwszy z cyklu „Listów z Pragi do przyjaciół”. Autorka zamierza opublikować je w wydaniu książkowym, być może razem z „Listami z Krakowa” – plonem kilkumiesięcznego pobytu na stypendium w Polsce w 1994 roku.

BISERKA RAJCIĆ

Surrealistyczna Praga



Karel Teige *Kolaż nr 295, 1944*

Moja pierwsza Praga jest surrealistyczna. Pierwsza, czyli ta, której w rzeczywistości jeszcze nie widziałam. Ta z poezji, z malarstwa, z opowieści o teatrze Osvozené Divadlo Voskovca i Wericha. Praga grup awangardowych. Praga Devětsilu. Cyganerii, kawiarni, mostów, ogrodów. Starego Miasta, Malej Strany, dzielnicy żydowskiej. Praga szczególnej atmosfery, szczególnej aury. Praga Teigeego. Praga Nezvala. Praga malarzy: Zrzavego, Tichego, Štyrskiego. Praga Toyen.

Kiedy ujrzałam ją pod koniec lat sześćdziesiątych, te dwie Pragi nałożyły się na siebie i długo tak we mnie żyły. Gdy po dwudziestu latach miałam ponownie tam jechać, wybierałam się z obawą. Jaką ją zastanę? Czy coś zostało z mojej surrealistycznej Pragi?

Zacząłam znów od literatury, tej, którą znam najlepiej. Od Nezvala. Przeczytałam na nowo wszystkie jego tomiki i autobiografię *Z mojego życia*. Ucieszyło mnie, że ta poezja wciąż jeszcze zniewala. Zwłaszcza ta z tomiku *Praga o palcach z deszczu*. Zniewala dziwną naiwnością, od dawna nie spotykaną szczerością, staroświeckością, jakiej w literaturze już nie ma. Najprawdopodobniej nie ma też artysty, jakim był Nezval. Jakimi byli poetyści, a później surrealiści. Ten szczerzy podziw dla Francji. Dla surrealistów francuskich, Rimbauda, Apollinaire'a. I gorące pragnienie, by to, co francuskie, światowe, zrozumieć i przenieść do kraju.

Było to także pragnieniem starszej generacji, generacji Čapka. W roku 1920 wydaje on antologię *Francouzská poezie nové doby*, która dla pokolenia Nezvala stanie się *Biblią*. Bez tego kręgu artystów, którzy wypowiedzieli wojnę tradycji, z pewnością nie byłoby surrealizmu, a przedtem poetyzmu, stanowiącego jakby pomost między modernizmem a surrealizmem.

W początkach stulecia, aż do powstania Pierwszej Republiki w roku 1918, Praga i kultura czeska mają charakter zdecydowanie prowincjonalny, małomieszczański. Pisarze orientacji europejskiej piszą po niemiecku, są na ogół pochodzenia żydowskiego. Między nimi a Czechami istnieją bardzo słabe kontakty; w tym samym miejscu i czasie prowadzą jakby równoległe życie. Ze względu na język, pisarzom żydowskim bliższa jest kultura niemiecka, czeskim – francuska. Podobnie jak u nas, zbliżenie do kultury francuskiej oznacza orientację europejską. Tak jak dziś powrót do Europy. W Czechach silniejsza jednak była orientacja prosowiecka, prokomunistyczna. Niemal wszyscy artyści awangardowi to komuniści albo sympatycy komunizmu, choć Masaryk, twórca i prezydent Pierwszej Republiki, skłaniał się wyraźnie ku Zachodowi. Pod względem gospodarczym Czechy były jednym z najwyżej stojących krajów Europy i świata. Istnieje tu jakiś ukryty związek, który dziś

trudno zrozumieć. Jakaś utopia, za którą Czesi zapłacili wysoką cenę i od której dopiero dziś się uwalniają.

Wróćmy jednak do Nezvala, twórcy tak typowego dla czeskiego surrealizmu. Urodził się w roku 1900, w morawskiej wsi Biskoupky, jako syn miejscowego nauczyciela. Morawy dały mu zdrowie i wolę życia. Z wyglądu przypominał raczej boksera czy barmana niż poetę, a miał także talent muzyczny i malarski, zdolności przydatne w teatrze i filmie. Kraj rodzinny dał mu poza tym soczysty język. Choć nie wszystkie z jego licznych tomików zawierają poezję pierwszej próby, jest niewątpliwie mistrzem w dziedzinie języka. Pisał łatwo, delektował się pisaniem. Uprawiał eksperymenty formalne. Dla teatru adaptował wiele dzieł literatury światowej, naturalnie wszystko wierszem. Był mistrzem improwizacji. Także na fortepianie. Za życia Wolкера często grywali razem. W książce wspomnieniowej *Wszystkie uroki świata* Seifert pisze, że Nezval miał większy talent niż Wolker. Pięknie też recytował poezję, własną i ulubionych autorów, przede wszystkim francuskich i rosyjskich. Po drugiej wojnie światowej, kiedy zapomniał o sztuce awangardowej i surrealizmie, podbił publiczność recytacjami. W Brnie studiował prawo, potem literaturę w Pradze. Doskonały student, którego mentorem był Šalda, nie uzyskał jednak dyplomu. Nie potrafił zagrześć miejsca i na krótko jedynie zatrudnił się w Słowniku Otty. Żył jako wolny artysta, dużo zarabiał w teatrze i filmie.

Zawsze czuł się komunistą i artystą awangardowym. Rok 1920 ma w jego życiu kluczowe znaczenie. Został wtedy studentem sławnego Uniwersytetu Karola, a wkrótce potem członkiem Stowarzyszenia Artystycznego Devětsil, skupiającego młodych pisarzy, krytyków, malarzy, reżyserów i aktorów. Należeli do niego m.in.: Artuš Černík, Josef Frič, Josef Havlíček, Adolf Hoffmeister, Karel Prox, Jaroslav Seifert, Ivan Suk, Karel Teige, Vladislav Vančura, Karel Vaněk, Karel Veselík i Alois Wachsmann. Już w pierwszym publicznym wystąpieniu członkowie Devětsilu opowiedzieli się po stronie „niebieskich bluz”, czyli klasy robotniczej, i za walką o sztukę rewolucyjną, nieco później nazwaną proletariacką. Sztuka ta miała swoich teoretyków: Václavka, Neumanna, Hore, Wolкера. Jednocześnie powstała

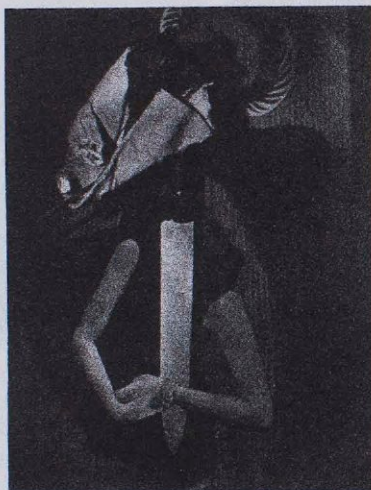
Czeska Partia Komunistyczna; Nezval, wielbiciel Apollinaire'a i Rimbauda, wstąpił do niej w roku 1924.

Pisze teksty automatycznie. Brzydzi się naturalizmem. Gloryfikuje wyobraźnię. W roku 1922 wydaje pierwszy tomik poetycki *Most*. Nawet najsurowsi krytycy, którym poezja awangardowa była obca, zwracają uwagę na jego język. W tomiku *Most* Nezval przedstawia życie jako ruch, a ruch jako drogę. *Most* jest częścią drogi prowadzącej do zmiany, która połączy dwa oddalone punkty: przeszłość i przyszłość. W tym samym roku Nezval napisał pierwszy swój poemat *Cudowny czarodziej*, też dobrze przyjęty, chwalony i drukowany w almanachu Devětsil. W *Cudownym czarodzieju* mówi o człowieku jako „wszechświecie ukształtowanym przy pomocy skóry”.

Początek lat dwudziestych to okres zbliżenia z Teigem, człowym teoretykiem grupy Devětsil, i z Seifertem. Zaczynają nazywać się poetystami, a kierunek, który stworzyli – poetyzmem. W artykule *Sztuka dziś i jutro* Teige pisze o poetyzmie jako „nowej, uniwersalnej sztuce”. O uwolnieniu sztuki od snobizmu i akademizmu, charakterystycznych według niego dla generacji Čapka. Pisze o „sztuce wrzuconej w tłum”, o wystawach w foyer teatrów, kin, o beletrystyce w gazetach codziennych, muzyce na ulicy. Marzy o nawiązaniu kontaktu pomiędzy sztuką a ludem, mówiąc

dokładniej, jego bardziej postępową częścią – proletariatem. Marzy o sztuce jako „higienie duszy”. To, co w teorii zamyślał Teige, w literaturze urzeczywistniał przede wszystkim Nezval. Zwłaszcza w *Cudownym czarodzieju* i *Grabarzu absolutnym*.

Oddział stowarzyszenia Devětsil powstaje także w Brnie, drugim ośrodkiem kulturalnym Czechosłowacji. Prawdopodobnie przyczynił się do tego Nezval, Morawianin. Jednocześnie grupa praska się dzieli. W roku 1923 z Devětsilu odchodzi Wolker, poeta ważny, jeśli nie najważniejszy; zaledwie w rok później umiera na gruźlicę. Inni, jak Nezval i Biebl, wstępują do partii komunistycznej. Poetyści skupieni wokół Teigego ogłaszają w roku 1924 *Manifest poetyzmu*. Według Teigego poetyzm jest bliski konstruktivismowi. To nie filozofia ani światopogląd, lecz „klimat życia”, „unowocześniony epikureizm”. Sztuka poetyzmu winna przede wszystkim zaspokajać potrzeby emocjonalne człowieka. Dlatego jest on



František Vobetský Fotografia, 1936-37

„poezją niedzielnych popołudni, pikników, oświetlonych kafejek pieniających się alkoholem, rojnych bulwarów i prospektów uzdrowiskowych, poezją ci-szy, nocy, spokoju i ukojenia. W *Manifestie* podkreśla się eksperymentalny charakter nowego kierunku, który rozwija się w opozycji do profesjonalizmu i akademizmu. Teige już wtedy występuje przeciw rozumieniu sztuki jako towaru w kapitalistycznym systemie stosunków kupna-sprzedaży; przeciwstawia mu pojęcia sztuki jako potrzeby społecznej, jako szczególnego stosunku do życia. Utwór artystyczny to dar i gra. Według Teigeego poetyzm jako sprzeciw wobec sztuki poprzedniego pokolenia jest antydekadencki. Poetyzm poświęca wiele uwagi osiągnięciom nauki i techniki – jak teoria względności, teoria kwantów, atomistyka, a także telefon, telegraf, radio, film – w przekonaniu, że powinny one znaleźć odbicie we współczesnej sztuce. Odbicie, jak również wyraz. Teige mówi o „kontrapunkcie wizualnym”, o „synchronizacji snu i rzeczywistości”, o „polifonii” we wszystkich dziedzinach sztuki.

Gdy zwolennicy Teigeego sławią indywidualizm i wyzwolonego człowieka, kierunek proletariacki dąży do kolektywizmu. W roku 1925, w czasopiśmie „Pasma” ukazuje się tekst *Dość Wolker!*. Krytyka rzekomo buntuje się przeciw kultowi Wolker’a jako poety narodowego. W rzeczywistości występuje przeciw indywidualizmowi w sztuce. Postawa taka doprowadzi wkrótce do rozwoju sztuki kolektywnej, ducha kolektywizmu, który jest podstawą sztuki proletariackiej. Takiemu stanowisku przeciwstawił się Nezval w broszurce *Jiří Wolker*. Wolker’a bronił także Konstantin Biebl.

W poezji Nezval jest epikurejczykiem, zwłaszcza w programowej *Pantomimie* (1924), gdzie opowiada się za „sztuką nieheroiczną i miłosną”. Hasło „maksimum emocji uczuciowych” rozwinął w tomiku *Niewielki ogród różany* (1926), w którym dominuje temat miłości i podróży po egzotycznych zamorskich krajach. Pisząc o Murzynie, o wędrownym muzykancie, wędrownym aktorze, o podróżnym, włóczędze, tułaczku, spacerowiczu, clownie, gondolierze, o pustyni, karawanie, o Indianach, morzach, oceanach, statkach, o karnawale, o Manon – Nezval jest naprawdę pogodny i tylko chwilami smutny. Albowiem po każdym święcie człowiek bywa smutny, i nie omija to poetów. *Pantomima* to swego rodzaju encyklopedia poglądów estetycznych Nezvala. W jej skład wchodzi m.in. wypowiedź programowa zatytułowana *Papuga na motocyklu*.

Swoje stanowisko najbardziej precyzyjnie i oryginalnie przedstawił jednak Nezval w *Abecadle*, zainspirowanym poniekąd *Alchemią słowa* Rimbauda. Pojęcia z zakresu sztuki definiuje po to, by znaleźć się bliżej prawdy niż realiści albo widzieć świat

w ciągłym ruchu. Pod warunkiem, że zdoła uchwycić w nim i precyzyjnie wyrazić istotę poezji, czyli indywidualność, niepowtarzalność i konkretność obrazu artystycznego. Te wypowiedzi programowe idą w parze z giętkością wyrazu poetyckiego u Nezvala, zdolnością tworzenia świeżych, zaskakujących obrazów. W tym czasie walczy on o „sztukę, która przywróci ludziom świeżość wyblakłych barw, swobodę i bezpośredniość wyobrażeń, nauczy ich szczerości”.

Sam też odczuwa potrzebę szczerości, wprowadza więc czytelnika w tajniki tworzenia, otwiera przed nim drzwi własnego warsztatu, czyni go uczestnikiem procesu twórczego. Nezvalowi bardzo zależy na pełnym audytorium. Dlatego zajmuje się teatrem, aktorstwem, pisaniem tekstów dla teatru albo adaptowaniem cudzych. Dlatego gabinet zamienia na kawiarnię, określoną kawiarnię. Potwierdza to liczba lokali, w których zbierali się artyści. Dali-borka w Stromovce, gdzie pito absynt oraz pielęgnowano kult Verlaine’a i Baudelaire’a, Metro, Tumovka, gdzie Nezval poznał Teigeego, Unionka, miejsce spotkań surrealistów, Deminka, Hlavovka, Belvederka, Rococo, Na Vikarce, Holubova na Smichovie, Březinka, Elektra, Opera, Olympic, Central, Arco, Louvre, Edison, Geisinger, Continental, bar nocny Montmar-tre, U Zlátého Litra, U Kalicha, U Fleku i najważniejsze – Slavia i Národní Kavarna. Kawiarnia to w przenieśni świat w miniaturze. Stolik w kawiarni to określenie miejsca na ziemi. Stolik, przy którym się tworzy poezję, i zawsze podkreśla się to w przypisie. Stolik, przy którym się dyskutuje. Stolik określonej grupy. Określonego kierunku artystycznego. Stolik jako przywilej należących do tego kierunku.

Obok kawiarni dla artystów awangardowych ważne są mosty na Wełtwie, zwłaszcza most Karola, most Trojsky, most Legii. Na nich zatrzymywali się podczas spacerów ze Starego i Nowego Miasta na Małą Stranę lub odwrotnie. Stojąc na nich podziwiali odbłyśki światła na falach Wełtawy. Na falach, które oznaczały ruch, jeden z istotnych motywów ich twórczości.

Ważne są także ogrody na Malej Stranie. Zwłaszcza ogród Kinskich. Zwłaszcza wiosną. I wyspa Žofin. Wzgórze Petřín. Podzamcze, gdzie wielu malarzy miało swoje atelier. I liczne prywatne mieszkania, w których zbierali się młodzi artyści. Jak choćby mieszkanie Teigeego na Starym Mieście, przy ulicy Černej. Jak willa Vančury w Zbrasławiu. Nezval, pochodzący spoza Pragi, długo nie miał własnego mieszkania i rzadko zapraszał do siebie przyjaciół. Swej przyszłej żony nie zabierał do Slavii, między poetystów. Choć życie uważał za sztukę, a sztukę za życie, odróżniał życie osobiste od rodzinnego.

W roku 1927 Nezval ogłasza poemat *Akrobata*, oznaczający koniec pewnej fazy w jego twórczości.

Koniec poetyzmu, swego rodzaju polemikę z poetyzmem, z dotychczasowym rozumieniem poezji. Ze sztuką jako grą, jako estetyką. Akrobata z połamanymi nogami to metaforyczne określenie artysty, który z obłoków spadł na ziemię. O artyście chodzącym po ziemi mówi także poemat *Edison* – biografia wielkiego uczonego i zarazem wyznanie osobiste. Opowieść o ciężkim życiu, życiu większości artystów typu Nezvala. Zwrot w jego twórczości łączy się ze zwrotem w życiu osobistym. Nezval przeprowadza się z centrum na peryferie Pragi. Przestaje się spotykać z dotychczasowym kręgiem ludzi. Rzadko odwiedza kawiarnie, w których spędzał większość dni i nocy. Kupuje pianino, gra. Zakłada rodzinę, której się poświęca.



Alois Nožička *Warkocz*, 1959

W jego poezji coraz częściej, nie bez przyczyny, pojawia się melancholia. Są to lata wielkiego kryzysu gospodarczego. Lata rozwoju faszyzmu. Masowych demonstracji robotników czeskich. Może to normalne, że poezja przestaje być dla Nezvala świetlanym kontrastem brutalnej rzeczywistości. Albo, jak mówi Seifert, „fala smutku zalewa poezję czeską”. Odczuwa się go także w tomie Seiferta *Słowik śpiewa marnie* (1926), w poemacie Biebla *Nowy Ikar* i *Panichidzie Zavady*. Teige jeszcze usiłuje ratować to, co da się ratować. W miejsce czasopisma „Pasm” wydaje nowe: „ReD” i „Dysk”. W pierwszych numerach domaga się przeciągnięcia linii demarkacyjnej między współczesną twórczością a „starymi, zużytymi formami”. Proponuje nowe wzorce dla poetyzmu i konstruktywizmu. I nowe formy wyrazu. Deklaruje wolę zajmowania się w nowych czasopiśmiech problematyką nie tylko estetyczną, lecz także kulturalno-polityczną, „sprzecznościami epoki”. Usiłuje pogodzić dwie przeciwstawne tendencje w sztuce, a jego linia demarkacyjna przebiega między dwoma światami nie dającymi się pogodzić, które nigdy już nie znajdą wspólnego języka. Założenia rewolucyjnego ruchu artystów Lewy Front, który wydawał czasopismo o tej samej nazwie, jeszcze pogłębia przepaść. W skład Frontu wchodzi m.in. członkowie praskiego i berneńskiego Devětsilu.

Na piątym zjeździe KPCz w 1929 roku doszło do zmiany kierownictwa partyjnego, reprezentującego linię mocnej ręki w kulturze. Przeciwko niemu wystąpiła grupa pisarzy komunistów uzasadniając swe stanowisko w *Manifestie siedmiorga*, który podpisali: Neumann, Olbracht, Malifová, Majerová, Hora, Seifert i Vančura. Akcję ich potępiło dwunastu pisarzy

– przedstawicieli czeskiej i słowackiej awangardy. Ogłosili oni z kolei *Manifest 12*, podpisany przez: Nezvala, Biebla, Halasa, Konráda, Václavka, Fučíka, Teigeego, Novomeskiego, Klementisa, Weila, Titelbacha i Závadu. Poza reakcją emocjonalną były to demonstracja innego sposobu zaangażowania. Polemika toczyła się nadal na kartach czasopism, zwłaszcza „Tvorby” i „Odeonu”. Malarz Jindřich Štyrský, członek Devětsilu, ogłosił w „Tvorbie” artykuł *Pokolenie na dwóch stolkach*, w którym wyrażał głębokie niezadowolenie z postawy swojej generacji. Tekst ten ostro zaatakowali: Teige, Fučík i Sekanina, oskarżając Štyrského o apolityczność. Teige, choć stanął po stronie „Dwanaściorga”, nie mógł całkowicie zanegować pro-

gramu Devětsilu. Uważał, że jego słabość wynika z powodów obiektywnych, z „kryzysu kryteriów”. Sądził, że estetyka marksistowska nie jest na tyle rozwinięta, by pozwalała na zastosowanie kryteriów ideologicznych bez popadnięcia w wulgarny socjologizm. Zagrożenia tego świadomi byli również Seifert i Závada, dlatego poświęcali się przede wszystkim poezji.

W toczących się dyskusjach Nezval zawsze pozostaje sobą. „Sztuka proletariacka, poetyzm, kryzys kryteriów – wszystko to dla mnie czcze słowa” – oświadcza. Mówi o nieustannym „wyprzedzaniu formy”, o „szczególnych swobodach estetycznych”, o „estetycznej beczasowości”. Pracuje jak szalony: w latach 1929-1932 wydaje dwanaście książek. Obok tomików poetyckich także powieść, zbiór sztuk teatralnych, zbiór bajek, książkę o sztuce współczesnej. Krytyka lewicowa jest bezwzględny przeciwnikiem jego twórczości. Broni go tylko Teige, chociaż nie zamyka oczu na upadki w bogatej produkcji Nezvala. Nadal chwali jego wyobraźnię i świeżość języka. Twórczością Nezvala zajmuje się także Mukařovský, wówczas jeszcze nie marksista, lecz strukturalista.

Starania Teigeego ani przenikliwe analizy Mukařovskiego nie ustrzegły niestety Nezvala od socrealizmu i nieznośnego patosu, które dominują w ostatnim okresie jego życia i twórczości – choć sam siebie nadal nazywa surrealistą, poetą przeklętym, choć zachwyca się surrealistami francuskimi, dadaistą Tristanem Tzarą, futurystami Marinettim i Majakowskim. Podziwia ich twierdząc, że surrealizm i materializm dialektyczny wcale nie są sprzeczne, lecz znakomicie się dopełniają.

W poglądach tych Nezval nie jest osamotniony. Podobnie sądzi Teige. Stanowisko takie zajmuje na Międzynarodowym Zjeździe Pisarzy w Charkowie (1930) i później, przy różnych okazjach, zwłaszcza w ulotce *Surrealizm w CzSR* z 1934 roku, którą podpisali najwybitniejsi twórcy surrealistyczni: Nezval, Biebl, Štyrský, Toyen, Honzl, Ježek, Katy King, Kunststadt, Brouk. Deklarują oni początek konkretnej współpracy z surrealistami francuskimi, wyrażając sympatię do ich rewolucyjnej działalności. Oświadczają, że o założeniu Grupy Surrealistów muszą powiadomić Centralny Wydział Agitacji i Propagandy KPCz i że będą działać w interesie proletariatu. Za wielki sukces ruchu uważają pozyskanie niektórych członków Grupy dla ideologii marksizmu-leninizmu, czyli dla działalności rewolucyjnej. Przy tym wszystkim ich spojrzenie na funkcję poznawczą sztuki kształtuje się pod wpływem teorii estetycznej surrealizmu i najprawdopodobniej *Naczyń połączonych* Bretona, które ukazały się w Pradze już w 1937 roku. W myśl tej teorii surrealizm jest pojęciem szerszym od realizmu. Nezval całkowicie się z tym zgadza.

Krytykowany z powodu dominacji snów i zjaw sennych w jego twórczości, broni się, twierdząc, że sny są dla niego tym samym co poezja, że „dramatyzują rzeczywistość”, a „dramatyzację” uprawiają wszyscy artyści, od Homera po nasze czasy. Dlatego też Heraklita, Swifta, von Arnima, Baudelaire’a, Rimbauda, Picassa i wielu innych nazywa surrealistami. Siebie zaś – w czasie ostrego ataku lewicowych krytyków – „fanatykiem surrealizmu”. Nezval, zarówno w teorii, jak i w praktyce, to przypadek szczególnie, przedstawiciel „surrealizmu bez granic”. Jedynie bowiem w tym kontekście można przyjąć jego definicję: „Realista jest w gruncie rzeczy konformistą, a surrealista – nonkonformistą, typowym buntownikiem”. Stąd podkreślenie znaczenia i roli żywiołowości, fantazji, intuicji, magii. Nezval przepadał za wróceniem z kart, z ręki, za horoskopami. Pierwszy zawał miał po wizycie u słynnego gruzińskiego astrologa, który przepowiedział mu, że umrze w ciągu dwóch dni. Niezliczoną ilość wierszy poświęcił praktycznym alchemikom, astrologom, królowi Rudolfowi II – ich opiekunowi, templariuszom, płaczącym białym damom, bezgłowym rycerzom na koniach, przemyskującym o północy ulicami Pragi, Faustowi, staremu cmentarzowi żydowskiemu, Golemowi, twórcom

kukieł, barokowym świętym, upadłym aniołom. Wiersze te są najwspanialszym baedekerem po fantasmagorycznej Pradze, która mimo wyznawania materializmu dialektycznego i miłości do Związku Sowieckiego, do klasy robotniczej – przyciągała go z nieodpartą siłą. Pradze, często nazywanej przez niego *touha*, słowem, które w języku estetyki Nezvala oznacza tęsknotę i namiętne pragnienie, marzenie i sen. W chwilach szczerości i niemocy zdawał swoje życie, życie epikurejczyka, na łaskę snów.

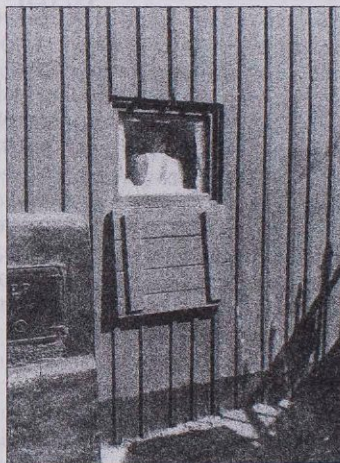
Jako epikurejczyk, Nezval po drugiej wojnie światowej pozwolił sobie na niejedną zdradę – tylko po to, by cieszyć się podróżami wraz z grupą wybranych pisarzy po całym świecie, mieszkać w willi, w najelegantszej dzielnicy Pragi, gościć w domach literatów, gdzie pito szampan i zagryzano kawiozem, pogadując z zagranicznymi pisarzami tego samego pokroju. Nie do pogardzenia był także pogrzeb na koszt państwa, pochówek na Wyszehradzkim cmentarzu, wśród narodowych sław. I ulice jego imienia, które mnożyły się w całej Czechosłowacji. I zawrotne honoraria – wówczas, gdy innym przez całe dziesiąt-

ki lat nie drukowano nawet słowa, gdy nie mieli z czego żyć. Często wysiedlano ich z Pragi, musieli się zadawać pracą fizyczną, posadą stróża nocnego czy palacza. I cieszyć się, że uniknęli więzienia albo wygnania z kraju.

W czterdzieści lat po śmierci Nezvala, po śmierci niemal wszystkich członków Devětsilu, po zmianach, jakie zaszły w Czechosłowacji, czytając *Pragę o palcach z deszczu* i *Z mojego życia*, ostatni, niedokończony utwór Nezvala, zapominam o ich licznych wadach, a myślę o pięknych rzeczach, które stworzyli i które pozostały. O zapowiadającym założeniu Muzeum Sztuki Współczesnej w Pradze, które ma pomieścić przede wszystkim dzieła członków Devětsilu, wiele

kolekcji prywatnych, na przykład Teigeo i Effenbergera. Zbiory kolaży, malarstwa, grafiki. Archiwa, które pozwolą na pełniejszy ogląd surrealizmu czeskiego – najważniejszego z kierunków surrealistycznych wśród Słowian. Świadczy on m.in. o niepowtarzalności ducha czeskiego. Pragę zaś ukazuje jako miasto kontrastów i błyskotliwych eksperymentów, miejsce narodzin tekstów automatycznych, miasto surrealistycznych gier, surrealistycznego widzenia świata, zadziwiających wlotów wyobraźni artystycznej.

Przełożyła Danuta Cirlić-Straszyńska



Jiří Sever z cyklu Fetyšy 666, 1966

VÍTĚZSLAV NEZVAL

Przełożył
Leszek Engelking

Ulica Karmelicka

Jeśli wyjdiesz z klasztoru piękna karmelitanko
Zostaw tam swoje zeszlóroczne buciki
Wszystkie panny wezmą cię za przykład
Będziemy je całować w bose nogi



Okładka książki Nezvala *Pantomima* z 1924 roku zaprojektowana przez Karola Taigę.

W poezji Nezval jest epikurejczykiem, zwłaszcza w programowej *Pantomimie*, gdzie opowiada się za „sztuką nieheroiczną i miłosną”.

Wieczór księżycowy

Dzisiaj miasto jest podobne
Do białej róży
Skrzypiec
I konchy
Jest noc a gołąb grucha
Otworzymy wszystkie okna na ulice
I miasto zaraz zacznie być podobne
Do przypudrowanej kobiecej piersi
Białej rękawicy
I srebrnej peruki

Potyczka

Zagnała drób swoich palców
Pomiędzy kudły na brodzie mężczyzny przeciążonego jak jęczmień
A jej plecy jak deszcz spływają
Po bidecie pośladek

Ta nierówna walka
Starca z posągiem
Skończy się trzykrotnym dziabnięciem sztyletem
Jednakże zabójca

Osunie się na ziemię zanim upadnie jego ofiara
I zamkniętymi oczami zobaczy mak polny
Który spali mu brodę jak płomień
Nieosiągalnego zaspokojenia.

JOSEF KROUTVOR



JOSEF KROUTVOR

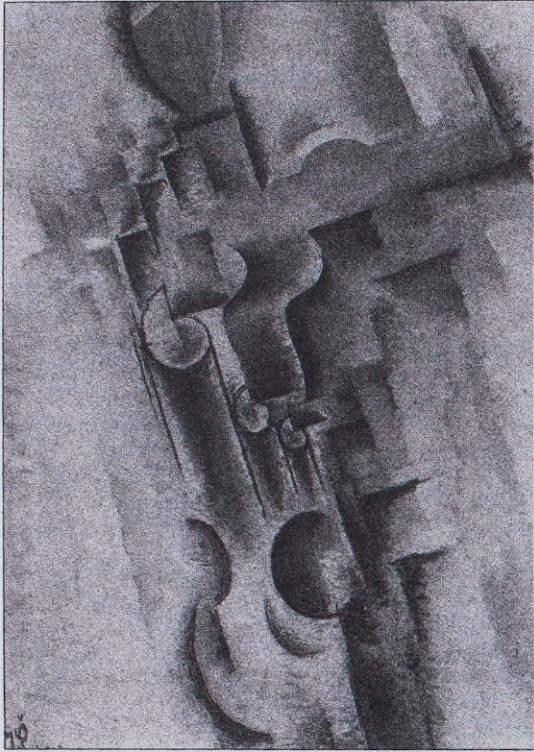
Praga, miasto ostrych krawędzi

Znamy już Pragę gotycką, magiczną, barokową, o stu wieżach i złotą, Pragę Mozarta i Kafki, lecz do społecznej świadomości nie przeniknęła jeszcze PRAGA KUBISTYCZNA. Podziwiamy obrazy Kubišty, nowoczesne płaskorzeźby Gutfreunda, z zainteresowaniem oglądamy kubistyczne meble w Muzeum Artystyczno-Przemysłowym, ale ciągle brakuje świadomości powiązań i ciągłości. Główną areną czeskiego kubizmu była przede wszystkim Praga, choć istniały próby przeniesienia go do innych miejsc, lecz bez środowiska praskiego kubizm jest właściwie niewyobrażalny. Ostre wewnętrzne krawędzie miasta, szczególnie zaostrome tuż przed pierwszą wojną światową, znajdują odbicie także w formach artystycznych: rzucająca się w oczy kanciastość z wieloma liniami przecięć jest wyrazem epoki. Kubizm dążył do przetworzenia całego miasta według swoich wyobrażeń, do narzucenia miastu ładu kryształowych struktur, ale Praga była mocniejsza niż wola kubistyczna. Wyjątkowy styl dostosowano do wymogów miasta, zmieścił się w jego tradycji i jak się wydaje, nie jest tylko historycznym kuriozum, ale także ciągle żywym natchnieniem, mającym wiele ech w rodzimym postmodernizmie. Kubizm odkrywa nam nowe spojrzenie na Pragę, kolejne wcielenie jej ostrego ducha. Krawędzie są nieprzyjemne, przytłaczają, a nawet kaleczą, ale również i taka jest Praga, miasto kubizmu i kubistów, miasto kubistyczne.

Już u schyłku ubiegłego wieku Europa Środkowa przeistacza się w nadzwyczajne centrum kulturowe. (Ten proces zakończy się wraz z nadejściem sztuki nowoczesnej jeszcze przed wybuchem pierwszej wojny światowej.) Nie bez powodu porównuje się Pragę do skrzyżowania, na którym przecinają się najróżniejsze nurty duchowe i poglądy artystyczne. Atmosfera miasta podnieca poetów, pisarzy, malarzy i architektów. Po symbolizmie i secesji swoją kampanię rozpoczyna także ekspresjonizm, nadchodzi tzw. modernizm, a także kubizm, z którego Praga próbuje uczynić samodzielny styl. Właśnie kubizm zapusz-

Kamienica kubistyczna na Vyšehradzie zaprojektowana przez J. Chochola.





Josef Čapek *Akt kobiecy*, 1913

cza w Pradze korzenie, ogarnia nie tylko malarstwo, ale wywiera wpływ na architekturę i sztukę użytkową. Kubistycznych domów nie ma nawet w Paryżu. Nigdzie w świecie nie znajdzie się kubistycznych szaf i mebli. W Pradze - tak.

W 1905 roku odbyła się w Pradze wystawa prac Edwarda Muncha. Jego obecność słusznie uważa się za ważny bodziec do powstania czeskiej sztuki nowoczesnej. Ornamentaliśtyka praskiej secesji po 1906 roku zanika, pojawiają się nowe formy geometryczne. W 1907 roku na scenę wstępuje Ósma, Grupa Nowoczesnych Malarzy ze swoją pierwszą wystawą. Rewolucyjny duch ekspresjonizmu jest najbliższy nowoczesnemu (modernistycznemu) malarstwu, co ma swoje przyczyny. Czescy ekspresjoniści zmieniają się w końcu w kubistów, czasami nawet trudno rozróżnić oba te pojęcia. Wzajemne przenikanie przeciwieństw jest dla czeskich warunków typowe. Na rubieżach ekspresjonizmu i kubizmu rodzą się kuboekspresjonistyczne formy pełne wewnętrznego napięcia i niepokoju. W 1908 roku założono spółdzielnię Artěl, która na wzór „Weiner Werkstätte” zaczęła produkować modernistyczne przedmioty artystyczne, tekstylia i ceramikę. Na estetykę nowego stylu bycia wywrze wpływ nie tylko późna geometryzująca secesja wiedeńska, ale także kubistyczne zasady przejęte z Paryża.

Malarze nowego pokolenia mają nieco ponad dwadzieścia lat, jedynie architekci są o kilka lat starsi

i mają decydujący wpływ. W 1911 roku w praskiej kawiarni Union na ulicy Národní powstaje Grupa Artystów Plastyków (Skupina učelů výtvarných). (...)

Nowi artyści ubierają się i zachowują raczej jak urzędnicy bankowi, a nie jak romantyczna cyganeria. Odrzucają dekadencję secesji i forsują mniej okazałą elegancję i praktyczne posłannictwo sztuki. Organiczną częścią pracy zrzeszenia jest wydawanie pisma: „Miesięcznik Artystyczny” („Umělecký měsíčník”).

Kubizm praski rozwija się prawie równocześnie z paryskim; między tymi miastami utrzymuje się przyjacielski stosunek. Ekspresjonizm jest mimo wszystko odczuwany jako element obcy, raczej niemiecki i północny, i spychany jest z centrum życia artystycznego do pozycji uzupełniającego akordu. Kubizm bardziej wszechstronnie łączy dążenia sztuki czeskiej, przejmuje rolę przewodnią i wychodzi daleko poza malarskie i plastyczne problemy badania przestrzeni. Nigdzie nie pojmowano kubizmu w takiej rozległości stylu i w takiej wielości form i gatunków jak w Pradze, gdzie obrazy są uzupełniane krzesłami, zegarami, lustrami, kałamarzami czy lampami. Kubizm wywarł również wpływ na scenografię, typografię, grafikę stosowaną, plakaty i architekturę, w której znalazł zastosowanie jako niezwykle i zupełnie oryginalny styl budowlany. Można powiedzieć, że kubizm nie został przyjęty w Pradze jako jeden z kolejnych „izmów” sztuki nowoczesnej, lecz jako styl uniwersalistyczny i też jako sposób życia. O rozpowszechnieniu i oddziaływaniu kubizmu świadczą w końcu także fakt, że stał się on przedmiotem parodii w słynnym praskim kabarecie Montmartre na ulicy Řetězová.

Grupa Artystów Plastyków organizuje wystawy z udziałem zagranicznych artystów. W roku 1912 wraz z praskimi kubistami prezentują swoją twórczość Picasso, Derain i Frisz. Na kolejnej wystawie dołączają Braque i Gris. Obok

tych kontaktów warto odnotować również działalność dr Vincenta Kramára, który już w 1911 roku kupuje obrazy Picassa, Braque'a i Dearaina i utrzymuje kontakty z handlarzem Kahnewilerem. Kubistyczny zbiór Kramára, dzisiaj chluba Galerii Narodowej w Pradze, był przed wojną chyba najważniejszą kolekcją w Europie.

W dziedzinie twórczości wyzwolonej dwie osobistości niewątpliwie należą do światowej czołówki: Bohumil Kubišta i rzeźbiarz Otto Gutfreund. Obaj artyści żyli i tworzyli nie tylko w Pradze, ale i w Paryżu. Utrzymywali kontakty ze sztuką światową, lecz ich dzieło jest dogłębnie czeskie. Obiecujący rozwój Kubišty od kubistycznych martwych natur aż po monumentalne malarstwo kubistyczne przerwała przedwczesna śmierć w 1918 roku na skutek powojennej epidemii grypy. W 1913 roku Gutfreunda, jako szanowanego artystę, wykształconego i wrażliwego człowieka, wybrano na prezesa Grupy Artystów Plastyków. Podczas pobytu w Paryżu spotkał się z Grisem, Apollinaire'em, Kahnewilerem, odwiedził także Picassa, a po wybuchu wojny brał udział w walkach po stronie francuskiej. Kuboekspresjonistyczna rzeźba Gutfreunda pt. Strach (Úzkost) z lat 1911-1912 stwarza wrażenie, że wyrasta z przestrzeni w nicosć i zwiastuje w ten sposób późniejsze wydarzenia. Kubistyczne pokolenie (do którego należą także Emil Filla, Josef Čapek, Václav Špála, Vincenc Beneš) natężyło się do swojego szczytowego artystycznego dokonania jeszcze przed pierwszą wojną światową. Twórczość wyzwolona zawsze akcentowała treść i znaczenie - tym różniła się od eksperymentalnych poczynań szkoły paryskiej. Artyści czescy wypełnili kubistyczne formy swoimi obawami, bólam, wojenną męką, wizjami, a także nadzieją ludzi na nowy ład świata.

Nawet gdyby chodziło tylko i wyłącznie o obrazy i rzeźby, byłoby to znaczące świadectwo kultury czeskiej w Europie Środkowej w tych latach. Jednakże czeski kubizm zamierzał zmienić wygląd wszystkiego, wliczając w to nawet styl życia. Dlatego równie namiętnie stosowano go zarówno w architekturze, jak i w urządzaniu wnętrza. Już w 1911 roku Josef Chochol zaprojektował pierwsze kubizujące meble dla Kółka Angielskiego w Pradze. Najistotniejszym składnikiem wnętrza są zawsze krzesła, które już poprzez swoją istotę (duża liczba kątów i krawędzi) są niejako kubistyczne. Fotele Vlastimila Hofmana to jakby archetypy siedzenia i symboliczne trony. Udane kubistyczne rozwiązania - to biblioteki i szklarnie, gdzie duża masa mebli jest obciążona szklaną taflą. Do najsliczniejszych okazji należą dwunawowa biblioteka Pavla Janáka z oszklonym frontem, w którym równocześnie odbijają się trapezy kolejnych elementów skomplikowanej kompozycji wnętrza. Kubistyczne meble w większości stwarzają wrażenie ciężkich, niezgrabnych, za bardzo wypełniają przestrzeń. Najcięższe są kanapy, łóżka, komody i duże zamknięte szafy podobne do „kas pancernych”.

Kubistyczne meble obfitują w paradoksy, system wypukłych i wklęsłych przestrzeni stwarza wrażenie labiryntu. Stylowi temu nie można odmówić logiki, ale jest to logika postawiona na głowie, innymi słowy - postawiona na krawędzi. Naturalną stabilność przedmiotów musi wspierać stosunkowo skomplikowana konstrukcja, która służy jako pretekst do estetycznych spekulacji i geometrycznego dekoratywizmu. Z podobnego punktu widzenia można rozpatrywać również architekturę, domy zaprojektowane przez Josefa Gočára i Josefa Chochola. Pierwszy kubistyczny dom - Pod Czarną Madonną na placu Ovocný Trh - zbudował Josef Gočár w latach 1911-1912. Na pierwszym piętrze kamienicy, która swoją sylwe-

Bohumil Kubišta
Motyw ze starej Pragi, 1911



1 i 2

Kamienice praskie zaprojektowane przez Josefa Chochola w 1912 roku.

3

Budynek zaprojektowany przez Otokara Novotnego w 1917 roku.

4

Stynny dom Pod Czarną Madoną, pierwsza kubistyczna kamienica w Pradze, zaprojektowana przez Josefa Gočara w latach 1911-1912.

tą przypomina praskie pałace, znajdowała się elegancka kawiarnia w tym samym stylu. Największa liczba kubistycznych budowli przypada na dzielnicę Wyszehrad, gdzie Josef Chochol zbudował aż trzy kamienice. Zastosowanie kubizmu w zwykłej zabudowie miejskiej - to światowy ewenement (kubistyczny dom zaprojektowany przez Andrá Mare'a i rzeźbiarza Duchampa-Villona pozostał jedynie makietą). Chyba najbardziej odważny eksperyment, a jednak dzieło spoiste, przedstawia kamienica czynszowa Chochola na rogu ulicy Neklana.

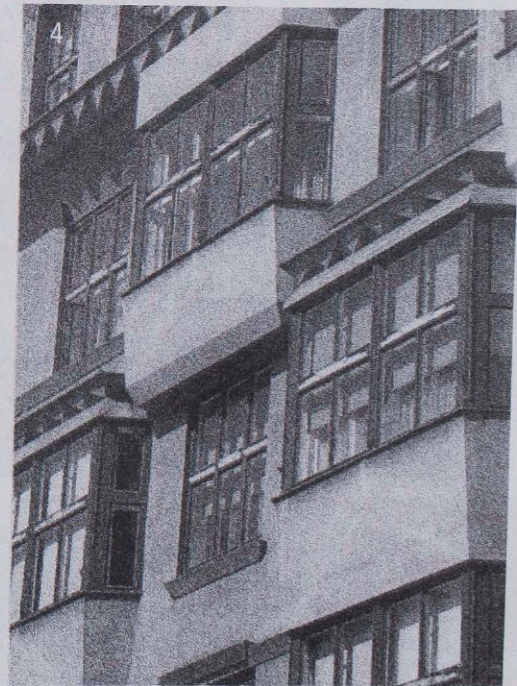
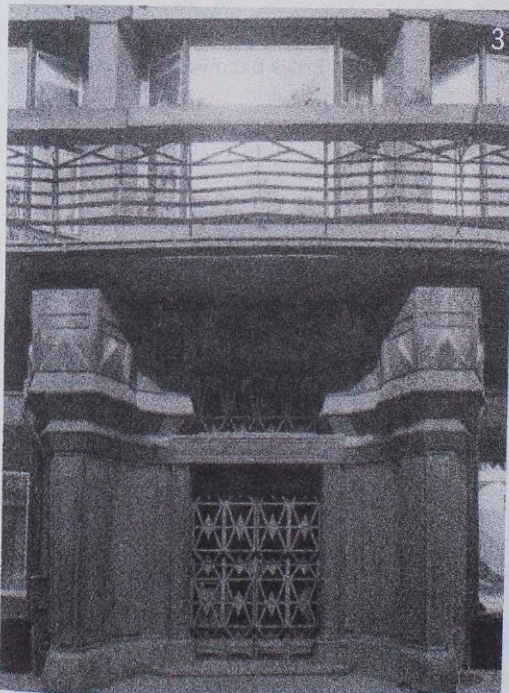
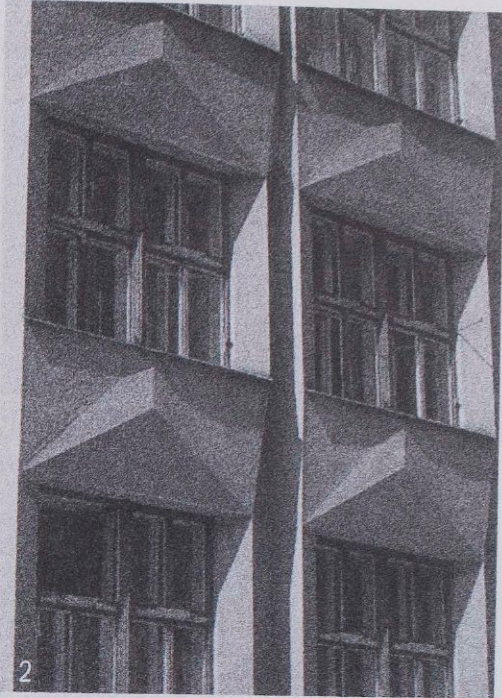
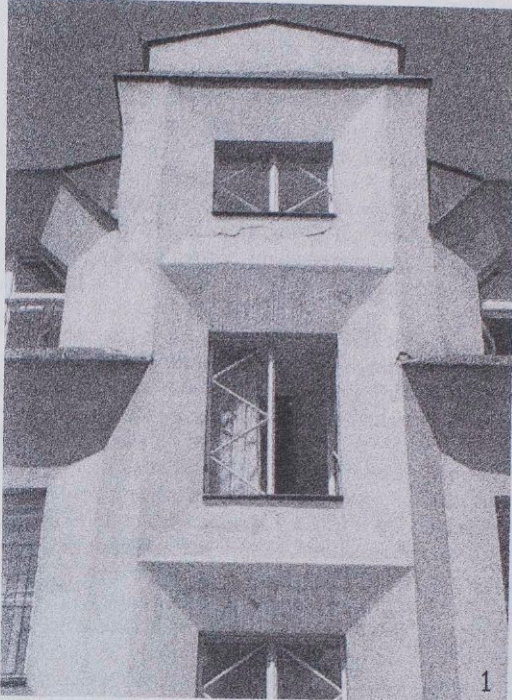
Praga przyjęła kubizm jako styl, wszczepiła go w tradycyjny fundament, przeciwstawiając go niestyłowości nowoczesnych „izmów”. Pewne „genialne niezrozumienie” stylotwórczej woli przyniosło jednak interesujące rezultaty i pokazało, którą drogą nie prowadzi. O zasadności kubizmu w malarstwie i rzeźbie nie można wątpić, przedmioty użytkowe oddziałują niczym fetysze nowoczesnych czasów. Ale co z architekturą? Rozwój nowoczesnego budownictwa bądź co bądź zmierzał w innym kierunku: puryzmu, konstruktywizmu i rzetelnej celowości. Czeski kubizm architektoniczny, praktycznie rzecz biorąc, ignorował osiągnięcia nowoczesnej architektury - szkło, żelazo, beton. Kubistyczne budowle są dosłownie przyciskane do ziemi, mają mało światła i ich ukryty ekspresjonizm działa czasem przygnębiająco. Na kubistyczną architekturę musimy patrzeć jak na zmaganie plastyczne, którego punktem wyjścia nie jest jakaś zasada budownictwa, lecz stan wewnętrzny artysty.

Czeski architektoniczny kubizm posiadał uniwersalne znaki wielkich stylów, ale to wcale nie oznacza, że przedstawiał spójną doktrynę. Każdy architekt wychodzi z własnego uczucia i proponuje własne rozwiązania. Chyba tylko Josef Chochol był kubistą w klasycznym sensie tego słowa, reszta twórców - to przerobieni ekspresjoniści lub tacy, dla których kubizm stanowił tylko epizod w ich własnym rozwoju. Niektóre kubistyczne fasady przypominają wyszlifowane fasety i nie jest przypadkiem, iż jeden z kubistycznych domów na ulicy Spálená nazywa się Diament. Jedną z ciekawostek Pragi jest także kubistyczny kandelabr - przed tympanonem kościoła Panny Marii Śnieżnej - nieskończony filar zaprojektowany przez ekspresjonistę Vlastimila Hofmana w 1913 roku.

Obok wręcz literackiej treści, czeski kubizm charakteryzuje skłonność do monumentalności i do pewnego kubistycznego urbanizmu. W 1911 roku Pavel Janák szkicuje pomnik Tyrša i Fügnera dla Błoni Letniańskich, w 1915 roku Vlastimil Hofman zajmuje się myślą przebudowy Wyszehradu, gdzie zamierza ulokować muzeum kultury i historii czeskiej. Kubiści projektują zarówno małe pomniki, architekturę cmentarną, jak i duże narodowe pomniki oraz pomniki ofiar wojny; ich twórczość często jest napelniona tragicznym patosem. Chyba stało się dobrze, że te uczuciowo intensywne, ale też formalnie wyolbrzymione projekty architektoniczne i wizje nie zostały ostatecznie zrealizowane. Byłyby to monstra, rzucające cień również na poprzednie, ciekawsze i czyste prace. Upadek monarchii przyniósł ulgę i nowe, konkretne zadania związane z odbudową Republiki, lecz skłonność do monumentalizmu i tragizmu będzie widoczna jeszcze przez długie lata.

Zaraz po wojnie w praskim kabarecie Montmartre, miejscu spotkań towarzysztwa artystycznego, pojawiają się nowe dekoracje w kubistycznym stylu. Do kuboekspresjonistycznych form dołącza nowy element ruchu, związany nie tylko z nadejściem nowoczesnych tańców i pierwszego tanga, ale także z nowym entuzjazmem życiowym. W przodzie sali stał potężny, kanciasty, prowokacyjnie nowoczesny ołtarz Jiříego Krohy, przy którym, odprawiano nietradycyjne msze i odczytywano ostre pamflety. Od tego samego autora pochodzi także plakat z kubistycznie stylizowaną tancerką podskakującą w dzikim rytmie. Może jest to sama Emcza Rewolucja - legendarna partnerka „szalejącego reportera” Egoa Erwina Kische. Plakat wykorzystuje symbolikę

Kręgi wtażemniczenia
JOSEF KROUTVOR



czerwono-błękitno-białej flagi narodowej, a zatem oprócz ruchu nowością jest także kolor. Po powstaniu Republiki byli przedwojenni awanturnicy stają się szanowanymi profesorami, którzy próbują oceniać kubizm jako oficjalny, patriotycznie temperowany, typowo czeski styl. Kubizm przekształca się w tzw. rondokubizm, gdzie pierwotne krystaliczne kształty łączą się z dekoracyjnymi tęczkami art-deco. Pavel Janák zastosował rondokubizm na fasadzie pałacu Adria na Národní třídě (Aleja Narodowa). Następnym przykładem może być gmach Legiobanku Josefa Gočára, ale nie sposób przytoczyć drobnych przedmiotów Hofmana i Janáka proponowanych przez Artěl.

Kubizm wywarł wpływ także na fotografię (znamy jedną kubistyczną martwą naturę Františka Drtikola i jeden kubistyczny portret jego ucznia Jaroslava Röslera).

Wpływ kubizmu jest ogromny i nie bez znaczenia pozostaje fakt, że kierunek ten powstał w Czechach w tym samym czasie i pod wpływem tych samych bodźców, co dzieło Franza Kafki. Niektóre opisy Kafki - to już tylko krok od kubizmu: „... dom nie miał zwykłej klatki schodowej, wszystkie schody były z obu stron ściśnięte przez mury, a w nich, tylko tam i ówdzie, prawie zupełnie z góry, błyszczały okienka... wśród belek K. ujrzał wąskie szpary...” Kubistyczny czy kubizujący jest w końcu także nagrobek Kafki. Obydwie formy, zarówno literacka, jak i plastyczna, mają wspólne, raniące krawędzie, albowiem obydwie są przeniknięte dwoma światami: są konfliktem wnętrza człowieka i indywidualnego spojrzenia z ponadosobową geometrią i jej prawami.

W kubistycznej gmatwaninie kształtów, poprzeczek, ścian, kątów, krawędzi i wsporników możemy upatrywać nie tylko ruin starego świata, ale też powstania i krystalizacji nowego ładu. Geometria grupy artystycznej Devětsil nawiąże do kubistycznego myślenia konstrukcyjnego i znów w ten sposób po jednej geometrii z ludzką naturą. Punktem wyjścia w twórczości Karola Teige (późniejszego teoretyka funkcjonalizmu) były wczesne kubistyczne próby.

Bruksela chwali się swoją secesją, Wiedeń moderną, Berlin ekspresjonizmem, Paryż sztuką nowoczesną... Dlaczego Praga nie miałaby się chwalić swoim kubizmem?

Pracownia Jana Švankmajera

JAN ŠVANKMAJER urodził się 4 września 1934 roku w Pradze.

1950-1954 – Studiował w Wyższej Szkole Sztuk Użytkowych w Pradze, na Wydziale „Małej Sceny”

1954-1958 – Studiował reżyserię i scenografię w Praskiej Akademii Sztuk Przedstawiających, na Wydziale Laikowym

1957-1958 – Współpracował z Teatrem D34 (Małe d34), gdzie przygotował laikową inscenizację Don Juana.

1958 – Pracuje jako reżyser i projektant w Teatrze Zamkowym w Libercu.

1960-1962 – Zakłada Teatr Masek przy Teatrze Semafor w Pradze.

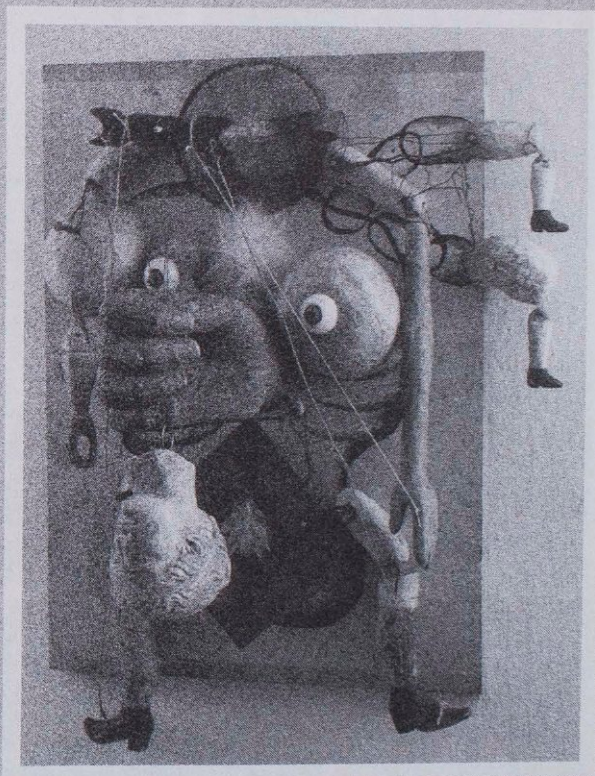
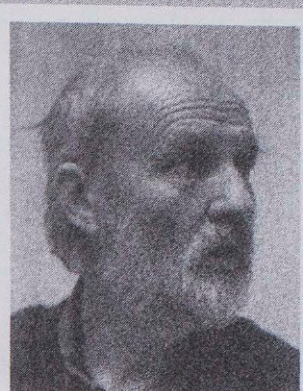
1962-1964 – Pracuje jako reżyser w Teatrze Magiczna Latarnia (kontynuuje współpracę również później)

1962-1968 – Jest członkiem grupy twórczej Maj.

W latach siedemdziesiątych współpracuje jako scenograf z teatrami Na zabradli, Večerní Brno, a przede wszystkim z teatrem Činoperní Klub.

Od 1970 roku jest aktywnym uczestnikiem Grupy Czeskich Surrealistów.

W latach 1973-1980, kiedy nie może robić filmów, pracuje jako projektant w Studio Filmowym Barrandov



Klasyczm (marionetka), 1990

FILMOGRAFIA

1964 – Ostatnia sztuczka pana Schwarzwalda i pana Edgara

1965 – J. S. Bach: Fantazja g-moll

1965 – Zabawa z kamieniami

1966 – Et cetera

1967 – Historia naturae (suita)

1968 – Ogród

1968 – Mieszkanie

1968 – Piknik z Weissmannem

1969 – Cichy tydzień w domu

1970 – Don Juan

1971 – Jabberwocky

1972 – Dziennik Leonarda

1973-1979 – Otrancki zamek

1980 – Upadek domu Uszerów

1982 – Wymiary dialogu

1983 – Wahadło, szyb i nadzieja

1987 – Alicja (coś z Alicji)

1988 – Męskie gry

1988 – Inny rodzaj miłości

1989 – Zakochane mięso

1989 – Ciemność-swiatło-ciemność

1989 – Flora

1990 – Śmierć stalinizmu w Czechach

1992 – Pokarm

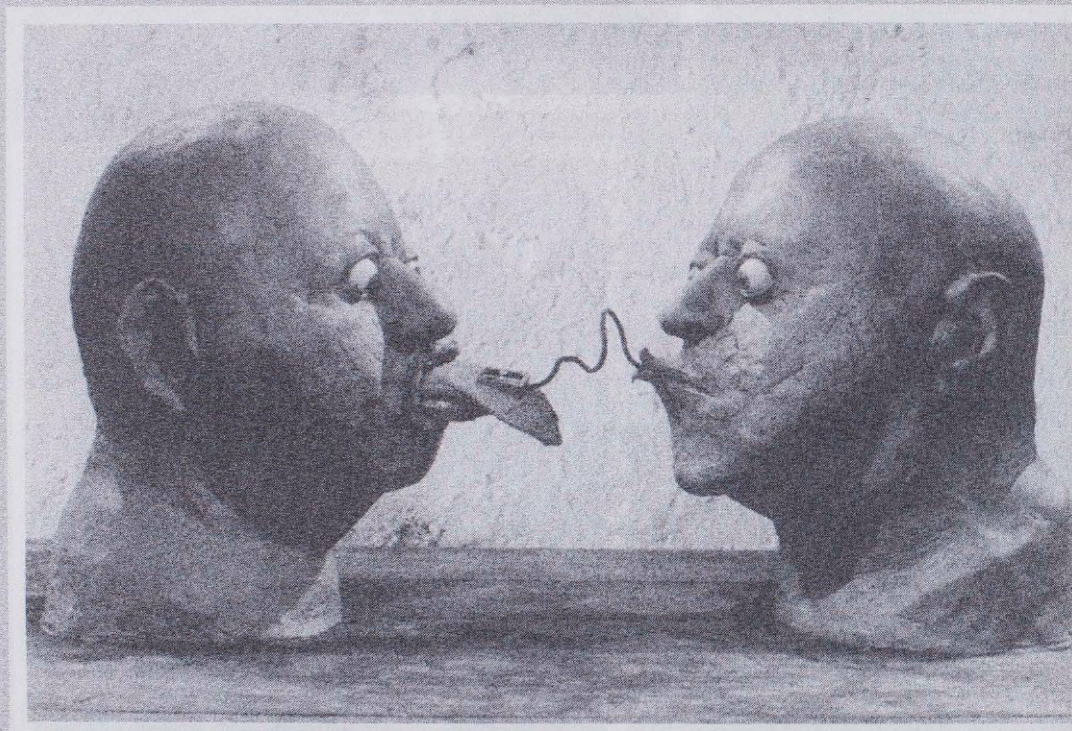
1994 – Lekcja Fausta

KOLAŻE
MASKI
MARIONETKI
FILMY

JAN ŠVANKMAJER

Transmutacja zmysłów

(Z tekstów programowych i wywiadów)



Możliwości dialogu (film), 1982

Nasza racjonalistyczna cywilizacja oparta jest o identyczną zasadę myślenia. Analogia charakterystyczna jest dla prymitywnych kultur oraz oczywiście dla dzieci, jako że poprzez analogię są one w stanie poszerzyć horyzonty wiedzy i tylko dzięki niej mogą dojść do swego modelu pojmowania świata: to typowe dla człowieka od czasów niepamiętnych. Człowiek chce, zawsze i w każdych warunkach, znać odpowiedzi na wszystkie pytania - chce wszystko ogarnąć. Dziecko poprzez analogię dodaje inne rzeczy i przedmioty do sumy tego, co już wie (co potrafi nazwać), co jest ze sobą spokrewnione jakąś cechą istnienia; i tak dalej, na pewnym poziomie rozmienia grupowane są one w jednej przegrodce analogicznej: grzmot, bęben, armata; lub też penis, robak, wąż, ryba. Ta wiedza oczywiście nie zanika jednocześnie z postępującą racjonalizacją w miarę upływu lat; przenosi się jedynie do podświadomości, skąd później dochodzi do głosu, przekuta w symbol lub wizję poetycką.

Prawdziwa poezja jest hermetyczna, mimo że nieumyślnie. Podejmując próbę jej interpretacji, zawsze znajdujemy obszary niemożliwe do wyjaśnienia, niedostępne, tajemnicze, do których jedyny klucz jest w posiadaniu autora (który czasami nawet nie jest tego świadomy), pomimo wszystko każde zaistnienie poezji jest próbą zwalczania sprzeczności pomiędzy subiektywnym a obiektywnym.

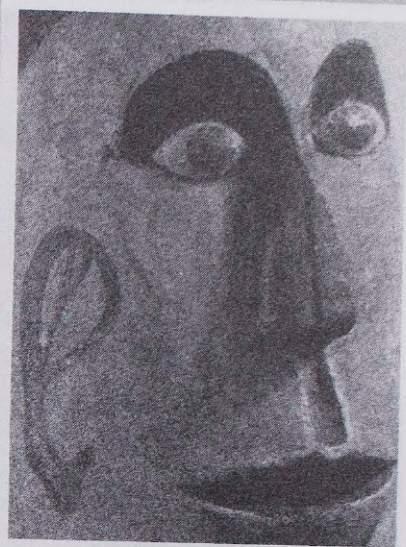
Poezja rodzi się jako mechanizm obronny przeciwko rzeczywistości; ze wspólnego pnia poezja wyrasta razem z magią, gdzie obrona przed rzeczywistością przekształciła się w wole panowania nad nią. Sztuka współczesna zdołała przekształcić ten mechanizm obronny, który w poezji aktywizuje się na płaszczyźnie duchowej, w zdegenerowane formy zarabiania na życie. Upodobniło się to do jakiegoś podziału świata myśli na różnorodne "sfery wpływów" mające na celu zapewnienie lepszej kontroli w myśl dewizy cesarzy rzymskich "dziel i rządź".

Każdemu twórcy niezbędna jest moc wewnętrzna, wybrane środki wyrazu mogą się zmieniać. Nie uznaję "podziału pracy", zawsze prowadzącego do sterylności myśli i pustej sztuki dla sztuki. Dążę do uniwersalizmu wypowiedzi. W tym sensie moja postawa to wojujący surrealizm.

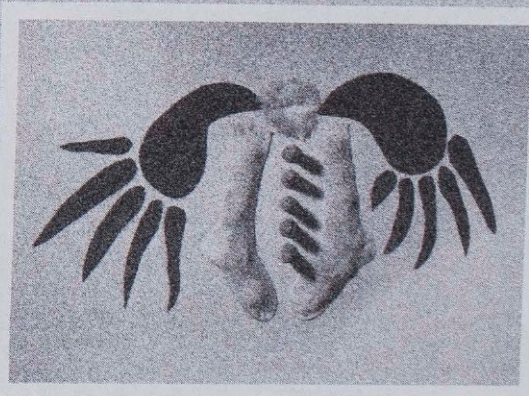
Dzisiejsze czasy rozkładającej się cywilizacji, w których żyjemy, zmuszają poetę do przyjęcia albo agresywnej, albo obronnej pozycji, w celu ocalenia swojej integralności przed postępem dezintegracji. W tych warunkach, humor i mistyfikacja to bardziej adekwatna broń niż liryzm.

Sądzę, że w pewien sposób pustelnia pracowni jest najodpowiedniejszym miejscem rozwoju twórczej wolności, zakładając rzecz jasna, że może oprzeć się na zespole, odbiciu wspólnego wysiłku. W dzisiejszych warunkach, w których sztuka zewnętrznego wielkiego świata stała się prostytutką różnorodnych ideologii siły (nieważne: konsumpcyjnej czy komunistycznej), nie da się nic zrobić. Współczesne społeczeństwo potrafi z łatwością obyć się bez sztuki, została ona totalnie zastąpiona kulturą masową opartą na tychże ideologiach siły. I im bardziej masowa się ona staje, tym wygodniej zarówno dla elit, jak i dla narodów. Taka masowa kultura, ten wszechogarniający pop-art, w końcu da radę zapieścić przepaść pomiędzy „sztuką a tłumem”, która pogłębiła się nawet od połowy XIX wieku, przepaść pomiędzy podmiotem a przedmiotem. Poważnym artystom nie pozostanie nic oprócz „wolności własnej pracowni”, sztuka znajdzie przystań wśród ezoterycznych sekt, gdzie będzie śniła swój wielki sen o przyszłej mesjańskiej misji.

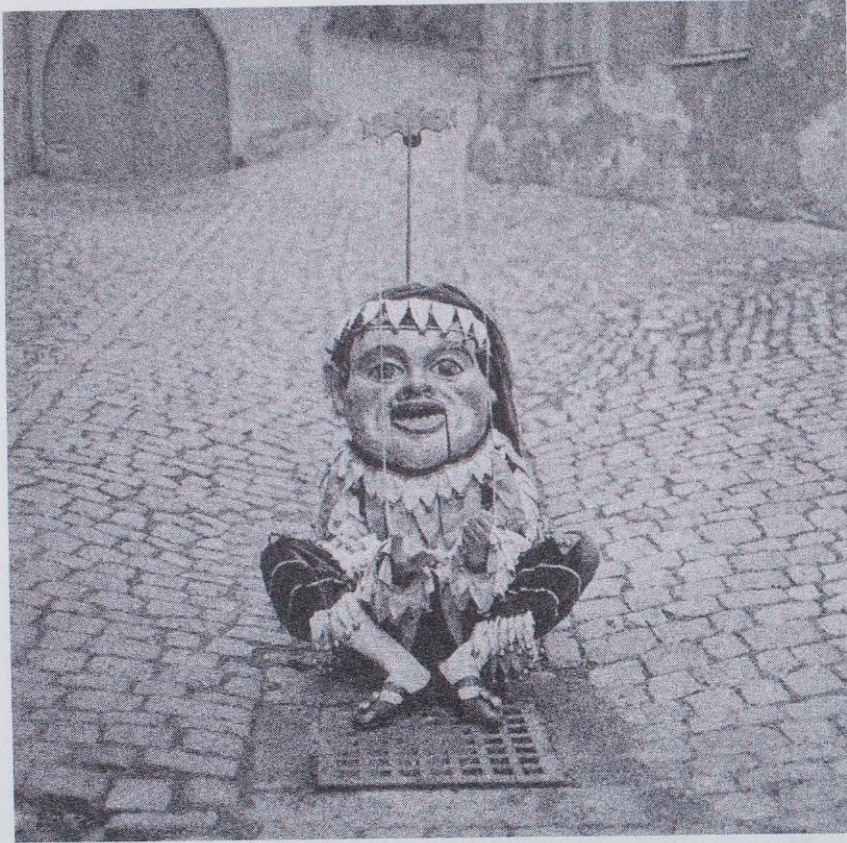
W społeczeństwie zbudowanym na wartościach nam drogich, na wolności, miłości i poezji, nie ma miejsca na represję, a przecież wszystkie cywilizacje i kultury budowane są na represji właśnie, takie „nasze” społeczeństwo byłoby symbolem odrzucenia osiągnięć „cywilizacyjnych”, pewnego rodzaju powrotem wzdłuż ścieżki rozwoju cywilizacyjnego do „społeczeństwa ludu pierwotnego”, a jest to coś, czego - obawiam się - zdecydowana większość ludzkości nigdy nie zaakceptowałaby, woleliby raczej zginąć od bomby atomowej i AIDS, udusić się zatrutą żywnością i wodą.



Maska ze spektaklu *Kolekcjoner cieni*,
Teatr Semafor, 1963



Podkolanówki (taktliny kolaż), 1978



Don Juan (film), 1970

Maski i Marionetki

Marionetki są głęboko zakorzenione w mojej intelektualnej morfologii, dlatego też ciągle w mojej twórczości do nich powracam, jak do czegoś, co jest dla mnie symbolem pewności w kontekście zewnętrznego świata. Zwykle przypominam sobie o nich w momentach strachu. Wtedy kreuję te swoje własne golemy z myślą o tym, by mnie chronić przed pogromami rzeczywistości.

J.S. (1990)

Cel mojego filmu *Coś z Alicji* jest pozornie prosty: zwrócić uwagę na marzenie senne, które we współczesnej cywilizacji przestało odgrywać jakąkolwiek rolę, na śnienie, które społeczeństwo wywiozło na wysypisko śmieci ludzkiej psychiki. Ostatnia znacząca rozprawa na temat snów, Freudowska *Interpretacja marzeń sennych*, ma prawie sto lat! A przecież sen i rzeczywistość to dwa komunikacyjne kosmosy (A. Breton) naszego życia. G. Ch. Lichtenberg pisał w końcu XVIII wieku: "Jeszcze raz wam mówię: śniście! Żyjemy i czujemy we śnie tak samo jak na jawie, i zarówno sen, jak i jawa to części składowe naszej egzystencji. Jednym z przywilejów człowieka jest to, że może on śnić świadomie. Raczej nie zostało to wykorzystane. Sen to życie, które po dodaniu do pozostałej reszty życia, daje w wyniku to, co nazywamy ludzkim życiem. Jawa powoli rozwiewa marzenie senne i nie sposób wskazać, gdzie zaczyna się jedno, a gdzie drugie kończy".

Zapomnieliśmy o tym napomnieniu Lichtenberga i drogo nam przychodzi za to płacić. Sen, tę pierwotną studnię wyobraźni bezustannie zasypujemy, a pozostałą po niej pustkę wypełniamy ogromnym absurdem, masowym produktem naszych "naukowych, racjonalnych systemów". Jeśli nie spróbujemy jeszcze raz opowiadać sobie bajek i historii o duchach przed wieczornym pójściem spać i przypominania sobie snów po rannym przebudzeniu, nie miejmy złudzeń co do naszej cywilizacji.

Gra stanowi poważną część mego życia. Oczywiście, nie każdy rodzaj gry. Przeżyłem swoje życie rozwijając swe dzieciństwo. W gruncie rzeczy,

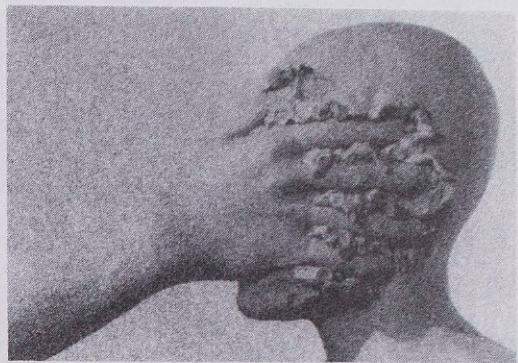
życie jest po prostu szukaniem (i budowaniem) "alternatywnego świata", który od biedy potrafi nas zadowolić. Postrzegam to jako swego rodzaju infantylizm, dotyczący prawdopodobnie ludzi wokół mnie. Prawda jest taka, że gotów jestem zniszczyć swoją rodzinę dla tych gier. Są to zasadniczo gry losowe (w znaczeniu dziecięcych gier losowych, w których wszystko jest nieprzewidziane i niepewne).

Sny to ta strona naszego życia, po której ani naturalne, ani społeczne prawa nas nie dosięgają. To wyjaśnia pogardliwy stosunek do marzeń sennych z jednej strony, przeciwstawiony desperackim wysiłkom z drugiej, zmierzającym do sprowadzenia snu i jego funkcji na płaszczyznę racjonalną, do wpisania go w "system kontrolowany naukowo". We śnie, w którym większa część naszej osobowości bierze górę - ta część, która spoczywa uśpiona pod powierzchnią skłębionego tłumu wtedy, gdy doświadczamy jawy - jesteśmy wydani na łaskę samych siebie, na łaskę naszych własnych praw. I dlatego właśnie nawet we śnie nie potrafimy uniknąć ograniczenia.

Ograniczenia, które sami na siebie nakładamy. Jako dziecko, doświadczając wojny, sniłem o bezustannych ucieczkach przed żołnierzami wrogich armii. Uciekałem przed nimi podwórkami domów, w których mieszkaliśmy. Każdego następnego poranka potrafiłem odtworzyć swoją nocną, senną gonitwę patrząc z balkonu czwartego piętra na rozciągające się u moich stóp podwórka, wymyślałem nowe wersje ucieczek. Tak wyposażony, już spokojnie oczekiwałem mego następnego traumatycznego snu, i miałem trzeźwą nadzieję, że tym razem znów mnie nie dogonią. Dzięki się tym wspomnieniom z dzieciństwa dlatego, że mogłoby się ono okazać użyteczne, gdybyśmy chcieli sny przemienić w jawę i odwrotnie, używając w ten sposób narzędzie przeciwko ograniczeniom rzeczywistości.

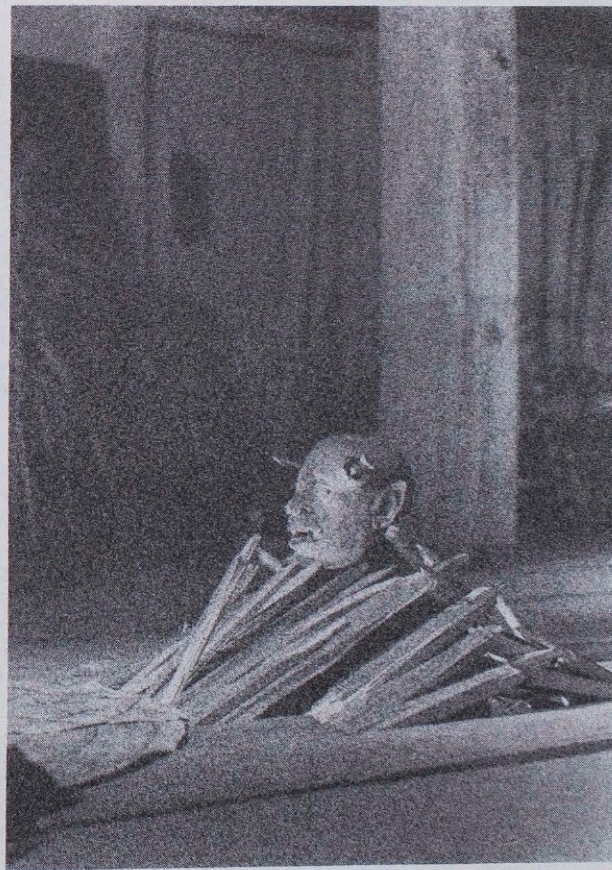
Animacja przedmiotów, metamorfoza ich funkcji w naturalnym środowisku z żywymi ludźmi, stwarza namacalną irracjonalność, matkę destrukcji. Animacja jest magią, animator to szaman.

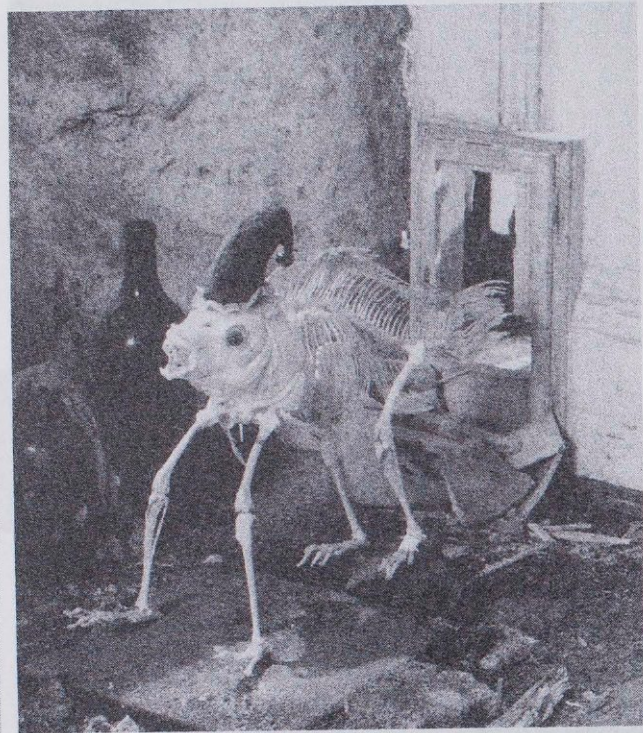
Animacja nie istnieje bez techniki, bez efektów specjalnych. Dzisiejsze czasy wyrodziły się zupełnie. Być może nasi przodkowie potrafili techną życie w nieożywiona materię jedynie mocą swej woli lub dzięki ma-



Możliwości dialogu (film), 1982

Ostatnia lekcja Fausta (film), 1970





Cośkolwiek z Alicji (film), 1987

Komiczny i jednocześnie tragiczny aspekt "sterujących sznurków", wyznaczających zakres posiadanej wolności otrzymany od przeznaczenia, które filozofia romantyczna (np. Tieck) przedstawia jako „przeznaczenie” marionetki, jest (nieważne: świadomie czy nieświadomie) tak dalece obecny u Svankmajera, że może jedynie z chęcią użycia symbolu przytwierdza on kawałek drutu i sznurki marionetkowe do głów aktorów grających marionetki w Don Juanie. Obecność tych „sterujących sznurków”, czy też dokładne oznaczenie zmyślonych granic miniaturowej sceny, w których główny bohater ma prawo się poruszać, stanowią dominującą zasadę w systemie dozwolonych znaczących gestów. Jest to zasada ucieleśniająca wszechobecną manipulację, niezawodnie dotycząca całego wszechświata. W tym, samym czasie, można zobaczyć taką marionetkę (jak też i aktora) jako przedmiot, w którym zakodowano z góry wszystkie możliwości ekspresji.

gicznym zakłębion, bo teraz my bez techniki nie damy rady. Dlatego właśnie trzeba dokładać jak największych starań do tego, aby uzyskana iluzja była maksymalnie rzeczywista, żeby po technice niezbędnej do stworzenia tej iluzji, w rezultacie końcowym nie pozostał nawet ślad.

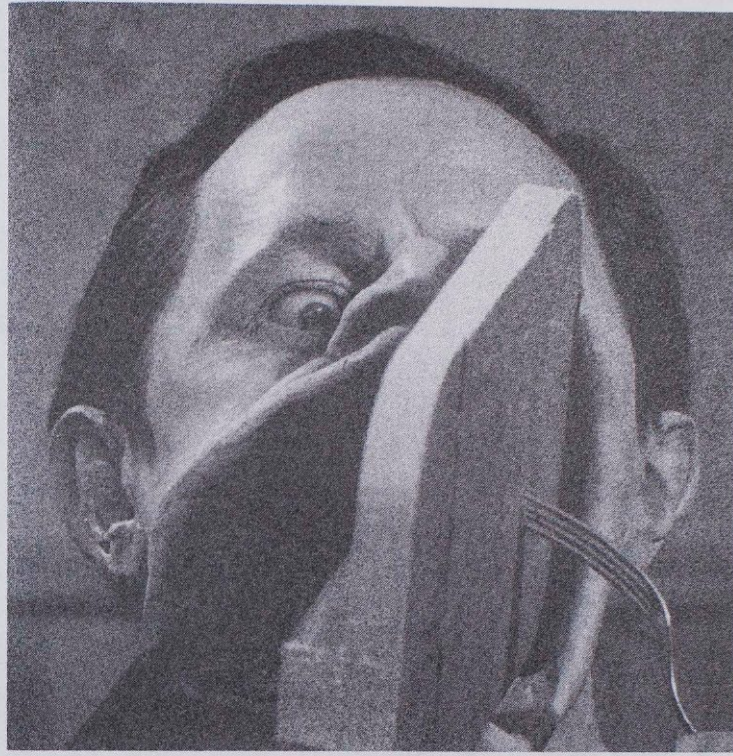
Postrzeganie dzieciństwa jako swego rodzaju raj utraconego jest błędne. Samo nasze przyjście na ten świat było prawdopodobnie mało przyjemne. A przydane dzieciństwu czyni z niego pełnię zahamowań, niesprawiedliwości i okrucieństwa. Dzieci nie mogą doczekać się chwili, kiedy dorosną (co jest tak samo bezsensowne z ich strony, jak z naszej - ludzi starych - idealizowanie dzieciństwa). Nikt nie potrafi być tak okrutny jak dziecko. Nie mam najmniejszego zamiaru przeklinać mojego dzieciństwa. Próbuje jedynie konserwować ten mój stale „aktywny” z nim związek. A może ja jeszcze ciągle z nim walczę?

Po moje pierwsze zapamiętane doznanie zmysłowe należy wrócić do momentu, gdy miałem cztery lata, kie-

dy przeprowadzaliśmy się z Žižkov do Vršovic i w nowym mieszkaniu mieliśmy podłogę pomalowaną na brązowo. To jest jedno z moich najstarszych wspomnień. Ten rudobrazowy kolor (puzzuola) ciągle wpływa na moją pracę twórczą. Moje nasilniejsze dziecięce doznania związane ze zmysłem dotyku miały po pierwsze związek z chorobą, szkarlatyną (pamiętam perwersyjną przyjemność odczuwaną podczas zrywania z siebie całych płatów naskórka, gdy gorączka mnie już opuszczała), oraz z jazdą na "koniu", który zastępowała poduszka mojej matki. Taka jazda zawsze związana była z pewnym rodzajem przyjemności (prawdopodobnie była to swego rodzaju podświadoma masturbacja).

Następne konkretne wspomnienie: rozpacz w szpitalu po wyjściu moich rodziców (mogłem na nich, stojących na dziedzińcu szpitala, tylko patrzeć z góry przez szyby zamkniętego okna); później, w czasie wojny, strach przed syrenami alarmu przeciwlotniczego (strach przekazany mi przez moją matkę). A jeszcze później uczucie depresji i desperacji po powrocie do Pragi z pierwszych moich wakacji. Weszliśmy wtedy do mieszkania i ujrzelśmy gołą żarówkę wiszącą pod kuchennym sufitem. Moja matka szybko pobiegła, aby zasłonić okno, a ja stojąc przy drzwiach pośród walizek, twarzą w twarz z zaokienną ciemnością, uświadomiłem sobie własną śmiertelność.

Cała moja twórczość, nie tylko filmy, była całkowicie stymulowana tymi wspomnieniami, które na zawsze, nieodwołalnie zasiedliły moją świadomość (oraz podświadomość) i które stamtąd właśnie oddziałują na moje myśli i czyny, najczęściej w formie obsesji. Nie jest zupełnie ważne czy ta stymulacja jest rzeczywista czy też wtórna, wywołana przez doświadczenie "artystyczne" (Arcimboldo, Carroll, Poe, powieść gotycka itp.). Moim



Jedzenie (film), 1922

próbom zrozumienia prac innych ludzi zawsze towarzyszy delirium interpretacyjne, przyszukujące tajemnicę mojej selektywnej pamięci. Chcąc natomiast pozbyć się tych obsesji (które są zawsze pełne bóleści), filmuję je (nazywam je po imieniu). Muszę jednak przyznać, że otrzymane uspokojenie nie trwa długo.

Według mnie, pojęcie poezji zlewa się z pojęciem wyobraźni, a siła wyobraźni jest dla mnie miarą wartości poezji wyrażonej w każdy możliwy sposób: pióro, pędzel, kamera czy dotyk. Swego rodzaju tragedią jest to, że udaje się nam od czasu do czasu narzucić rzeczywistości, za pomocą ukrytych w nas zlogów i pozostałości, płodność – to znaczy uczynić ją znośną.

Śmierć, Pogrzeb i Ekshumacja Don Juana.

Od momentu, w którym pomyślałem, że nakręcę *Don Juana*, ani na chwilę nie opuszczała mnie myśl, że będzie to mój ostatni film, że umrę podczas kręcenia zdjęć. Ciągle zatem starałem się odłożyć rozpoczęcie zdjęć, używając różnych pretekstów. A kiedy ostatecznie je zacząłem, ani na moment nie uwierzyłem, że ten film zdołam ukończyć.

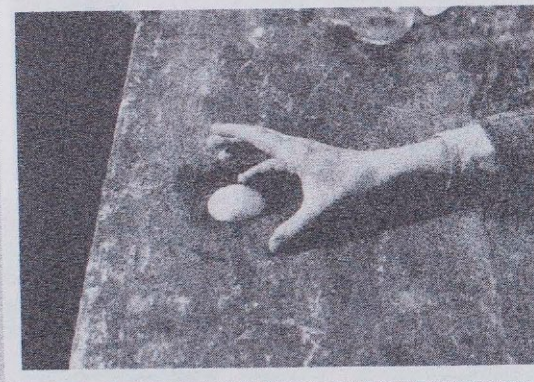
Podczas montażu *Don Juana* przyszedłem pewnego dnia do montażowni jeszcze przed montażystą. Pracownia była schłodna jak zwykle. Na stole montażowym znajdowała się ta jedna klatka. Jak to się mogło stać, że nie została wyrzucona do kosza jak inne niepotrzebne?



Cichy bydzień w domu (film), 1969



Lekcja Fausta (film), 1994



Mieszkanie (film), 1967

Svankmajer animuje grób Don Juana



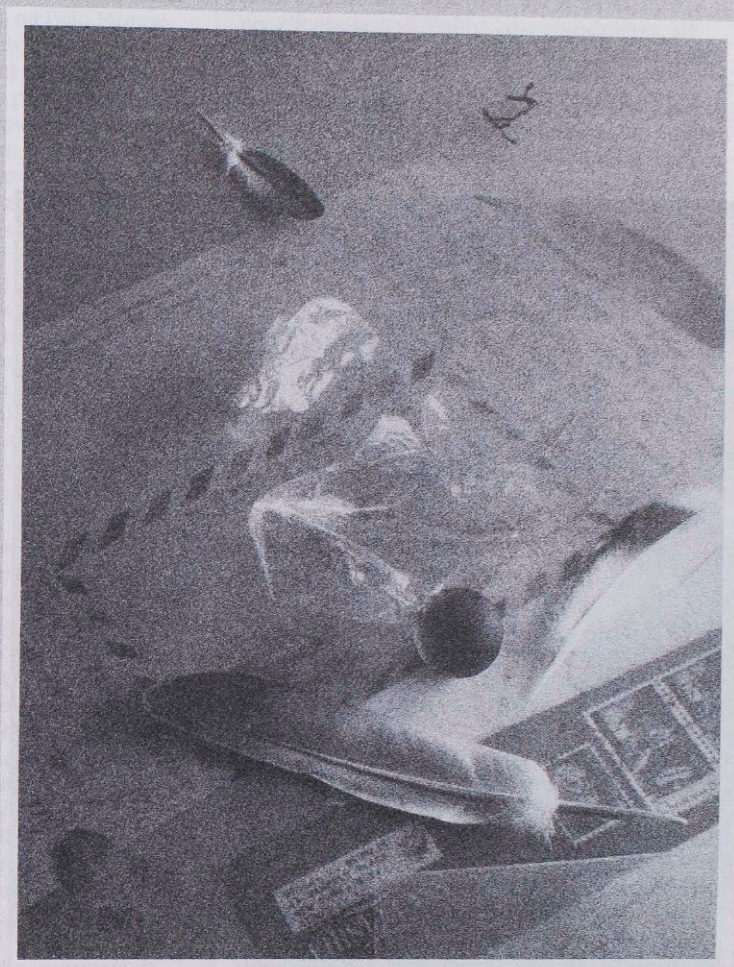
Kamera została włączona podczas kręcenia scen nocnych na cmentarzu w Mniejszych Mieście. W tym czasie cmentarz był bardzo zaniedbany. Pamiętam, jak pewnego razu przed zdjęciami, chodząc wśród grobów, zobaczyłem rękę szkieletu wystającą z jakiegoś rozsypującego się grobu. Do zdjęć należało wykopać tu grób dla Don Juana. Ustaliliśmy z kościelnym, że będzie kopał w przejściu pomiędzy dwoma grobami. Pomimo tego znaleźliśmy w wykopie fragmenty ludzkich kości. Zdjęcia pokazujące upadek Don Juana do grobu zostały, oczywiście, zachowane na sam koniec. Było już po północy, gdy zaczęliśmy się przygotowywać do tego ujęcia. Zaczęło padać. Kilka lamp pękło. Poszliśmy schować się do przyczepy, którą wozimy ze sobą na takie okazje. Z powodu deszczu za-

czynaliśmy zdjęcia parokrotnie. W końcu około drugiej w nocy, niebo nad cmentarzem trochę się przejaśniło. Wziąłem do ręki szpadel i zacząłem animację. Don Juan leży w świeżo wykopanym grobie, a ja ze szpadlem w ręku zsuwam ziemię na krawędź grobu, centymetr po centymetrze, a potem rzucam ją - garść za garścią - na Don Juana. Efekt specjalny wymagający godzinnego kręcenia. Don Juan powoli znika pod kolejnymi warstwami ziemi. Znowu zaczyna padać. Decyduję się na kontynuowanie zdjęć. Płaszcz od deszczu przykrywa kamerę, panele ekranujące osłaniają lampy. Ziemia powoli wypełnia wądoł grobu. Została już tylko kupka liści. Wszyscy jesteśmy przemoczeni do suchej nitki. W końcu, ostatnie ujęcie. Kamerzysta i jego asystent uciekają z kamerą do przyczepy. Technicy światła gaszą lampy. Proszę pracowników technicznych o odkopanie Don Juana. Odmawiają. Nie pomagają żadne namowy. Przez moment rozważam pozostawienie Don Juana pogrzeba-

nego na cmentarzu Mniejszego Miasta. Ale to niemożliwe. Nie widzieliśmy jeszcze owoców naszej dzisiejszej pracy. Być może trzeba będzie nakręcić coś jeszcze raz lub dokręcić parę ujęć. Muszę więc sam odkopać Don Juana, jego głowa wykonana z papier-maché przesiąknęłaby do rana wodą. Z początku mogę jeszcze używać szpadla, lecz później muszę go odłożyć, żeby nie zniszczyć Don Juana. Pada nieprzerwanie. Wyciągam z wadołu błoto. Od czasu do czasu czuję pod palcami ludzkie szczątki. To trochę zbyt makabryczne - nawet dla mnie. W końcu i ja, i Don Juan wydrapujemy się z grobu zupełnie pokryci błotem. Biorę Don Juana w ramiona i biegnę z nim do przyczepy.

Przełożył Tomasz Wyszkowski

Drobiazgi



Fot. Josef Sudek

KAUTMAN
REHNICER
HOLUB
RIPELLINO
FORBELSKÝ

FRANTIŠEK KAUTMAN

O prostytucji narodu czeskiego



Rys. František Kupka

František Kautman, (ur. 1927 r.), historyk literatury i krytyk, pisarz i tłumacz. Znałca twórczości F.K. Dostojewskiego (w 1966 roku wydał książkę *Boje o Dostojewskiego*), autor opracowań o F.X. Šaldzie, F. Kafce i J. Patočce. Studiował w Pradze i Moskwie. Pracował w wydawnictwie „Československý spisovatel”, w Instytucie Encyklopedycznym Akademii Nauk. Od 1968 roku objęty był zakazem publikowania i pracy w swoim zawodzie. Od 1974 roku jest na emeryturze inwalidzkiej. Był sygnatariuszem „Karty 77”, publikował w samizdacie. Jego teksty wydawano także na emigracji w pismach „Svědectví”, „Listy”, „Obrys”, „Proměny” i innych.

Los narodowy, dojrzałość narodowa

Jan Neruda wiązał swoje losy „z narodem tym, który taki czysty jest, jasny, jakby dziś spod rąk boskich wyszedł”, w czasach, kiedy czeski naród był już splamiony wszelakim brudem (1886), chociaż - jak to dzisiaj widać - był jeszcze śnieżnobiały. Zapewne naród ten nie jest o wiele gorszy lub lepszy od innych narodów, ale historia doświadczyła go szczególnie nieprzyjemnie.

Od XVI wieku naród czeski był pod rządami (jakby więc trochę „za piecem”) monarchii Habsburgów. W 1619 roku zbuntował się jednak prze-

ciwko niej. Niesforna szlachta przysięgała nieść pochodnię buntu „aż do utraty dóbr i głów”, ale ostatecznie wolała ofiarować głowy niż dobra i po kilku miesiącach przegrała sromotnie i haniebnie pod Białą Górą. Naród przyzwyczaił się do obcej władzy, na którą wprawdzie stale narzekał, ale nie musiał się przecież troszczyć o sprawy zarządzania państwem, z którym się nie utożsamiał. Każdy dbał przede wszystkim o siebie, o swoją rodzinę i swój majątek. Taka postawa wyrabiała wiele cnót: pracowitość, oszczędność, umiłowanie pokoju. Ale wartości, za które walczyły inne narody, niejednokrotnie przelewając krew, tutaj jakoś zaniknęły.

Żyło się wspomnieniami: ej, byli z Czechów dziarskie chwaty - za księżny Libuszy, na Polu Morawskim, w czasach wojen husyckich; potem byli już tylko roztropnymi gospodarzami i muzykami.

Palacký stwierdził, iż byliśmy przed Austrią i będziemy też po niej. Byliśmy po niej samodzielni dokładnie dwadzieścia lat. Potem wziął nas w łaskawą ochronę przywódca Rzeszy, który wprawdzie chciał nas w perspektywie zgładzić, ale równocześnie byliśmy jednym z niewielu krajów europejskich, którego mężczyźni nie walczyli na frontach drugiej wojny światowej. Życie w Protektoracie było nędzne, ale nikt nie głodował. Także bombardowań było mało; żołnierze niemieccy przyjeżdżali tu z frontu na urlop. Niemniej ten, kto chciał z tego spokoju korzystać, musiał spełnić kilka warunków: nie mógł być Żydem, nie wolno było mu mieszać się do polityki, musiał dobrze pracować dla Rzeszy, jej dostatkowi i zwycięstwu, oraz musiał publicznie manifestować swoją *miłość do Rzeszy i jej wodza*.

W tym miejscu rozpoczyna się nowoczesna prostytutka narodu czeskiego: niewielu Czechów lubiło Führera, ale kto się nie poddał, szedł do obozu albo pod ścianę. Takich nie było wiele: komu nie udało się na czas zbiec na drugą stronę frontu, musiał dotrzymać kroku i trzymać gębę na kłódkę. Doświadczyłem tego jako uczeń szkoły średniej. Gdy wszedł do klasy profesor, musieliśmy wstać i podnieść prawą rękę. On też. Takich sytuacji przeżywałem codziennie wiele - swój szczyt osiągnęły za heydrichiady [wzmrożona fala prześladowań po zamachu na Heydricha - przyp. tłum.], kiedy to nawet pisma ogrodników i filatelistów musiały drukować doniesienia wyrażające święte oburzenie „bestialskim morderstwem”. Robiły to niechętnie, ale nie potrafiły odmówić, mogłyby to zostać potraktowane jako „aprobata zamachu”, a za to groziła kara śmierci.

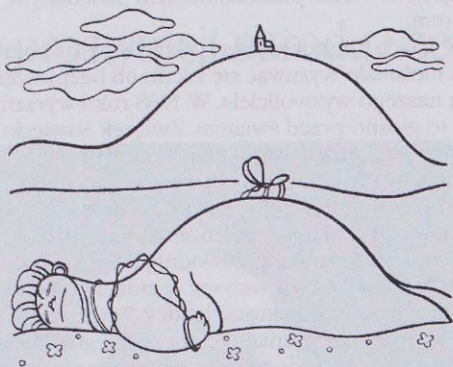
Cieszyliśmy się z wyzwolenia, ale gdy ono nastąpiło w 1945 roku, od razu zaczęliśmy się rozglądać za nowym protektorem. Bezpośrednim wyzwolicielem większej części naszego kraju był Związek Sowiecki, poleciliśmy więc ochronę Stalinowi. Stalina, w odróżnieniu od Hitlera, kochało sporo Czechów. Pozwolił nam, byśmy mieli armię, nawet nakazał, by była uzbrojona po zęby, bo gdyby wybuchła wojna, to na pewno nie wahałby się wysłać ją na ten najbardziej niebezpieczny odcinek frontu.

Po lutym 1948 roku nasza sytuacja zaczęła się bliźniaczo upodobać do tej z czasów okupacji. Tych, którzy kochali Związek Sowiecki i Stalina gwałtownie ubywało, tym bardziej jednak komuniści zmuszali naród, by tę miłość manifestował przy

każdej nadarzającej się okazji. Później sami Rosjanie zdemaskowali Stalina jako zbrodniarza, ale Związek Sowiecki pozostał naszym ukochanym wzorem.

W latach sześćdziesiątych zaczęliśmy stopniowo i nieśmiało wysuwać się z kaftanu bezpieczeństwa naszego wyzwoliciela. W 1968 roku wyraziliśmy to głośno przed światem. Związek Sowiecki był wówczas znienawidzony przez cały naród, a jednak podczas oficjalnych ceremonii - obowiązkowo - dalej musiano przysięgać na miłość. Prawie nikt nie ufał już komunistom, a mimo to trzeba było ich uznawać za siłę przewodnią narodu i państwa. Wiedzieli o tym wszyscy - rządnicy, ale i ustanowieni przez „protektora” rządcy. W tej sytuacji doszło do zawarcia znanego, niepisanego układu, dosyć podobnego do tego z czasów drugiej wojny światowej: nie mieszajcie się w politykę, nie wychylajcie się z szeregu. Trzeba uznać, że system kija i marchewki poskutkowało. Otrzymaliśmy za to nie tylko spokój, ale także w ramach „naszego układu” względny dobrobyt: auto, dachę lub chałupę i czasami nawet urlop zagraniczny, przynajmniej w Bułgarii nad morzem lub nad Bałatonem na Węgrzech. Wasze dzieci dostaną się na studia, a jeśli będziecie grzeczni i posłuszni, to otrzymacie wyższe funkcje i lepiej płatne posady. Potem będziecie mieli więcej pieniędzy i łatwiej załatwić sobie to, co nie jest osiągalne na naszym rynku - ze źródeł szarej gospodarki, której wprawdzie nie kochamy (ona nas też nie), ale potrzebujemy się nawzajem. Z tej sfery dziś wywodzi się wielu obecnych, zdolnych przedsiębiorców. I tak oto pozorowano pracę (kiepsko opłacaną), ale dorabiano się świetnie opłacanymi fuchami. Tu powstawały takie hasła, jak to: „Kto nie kradnie, okrada własną rodzinę”. Nawiązywano do hasła starych komunistów: „Majątek to kradzież”. Stosunki własnościowe zmieniały się w naszym kraju niejednokrotnie: podczas wojen religijnych państwo okradało Kościół, a Kościół okradał państwo, Kościoły okradały się między sobą, król zaś okradał swoich wasali, a ci z kolei - poddanych. Wiek dwudziesty - „stulecie wojen i rewolucji”, dwóch wojen światowych, które ogarnęły jedną trzecią świata - doskonale zamieszał w stosunkach własnościowych. Trudno się dziwić, że teraz przywrócenie normalnego stanu stwarza tyle kłopotów. Są u nas majątki, które należały do Żydów, a tym zabrali je Niemcy. Niemcom zaś Cześć, a Czechom - komuniści. Teraz wszyscy właściciele domagają się swoich praw - wszyscy tu coś zainwestowali, a niektórzy nawet za ten majątek zapłacili.

Od listopada 1989 roku czeski naród po raz drugi w XX wieku jest znów wolny. Nie ma już



od Jaroslava Seiferta.

nad sobą żadnego protektora, i jego zadaniem jest teraz zbudowanie gospodarki rynkowej i demokracji. Jest to, za przeproszeniem, tak, jak wtedy, gdy stara prostytutka zdecyduje się wyjść za mąż i prowadzić porządne życie. Trudne, bardzo trudne zadanie. Zasady moralne tej pani nawet wbrew najlepszej woli nie grzeszą czystością i - przede wszystkim - nie są zbyt mocne. Rzecz również w tym, że nie może się odzwyczaić od łatwego zarabiania pieniędzy. Czasami nawet tęskni za jakimś „protektorem”, a jeśli w dodatku ma wypchany portfel, trudno jej się oprzeć jego urokowi. Ma też skłonności do recydyw - nie dziwny się więc, iż od czasu do czasu marzy się jej „słodkie” (a głównie wygodne) życie z przeszłości. Teraz, kiedy „wszystko może”, marzy głównie o tym, jak się szybko wzbogacić i jak pokazywać swoje bogactwo. Kapitalizm, który ogłosił Rašín w początkach Pierwszej Republiki (Rašín - pierwszy minister finansów po 1918 roku), nie odpowiada jej. Rašín bowiem nawoływał przedsiębiorców do nieustannej pracy, ascetycznej oszczędności (sam chodził w znoszonym garniturze) i do inwestowania, a to nie podobało się wojennym nowobogacim i lichwiarzom. Możliwe, że wielu z nich odechnęło z ulgą, kiedy anarchista zamachowiec Rašina zabił.

Boże mój, jak się ta historia powtarza! Ta „Nová Přítomnost” będzie bardzo podobna do tej od Peroutki z 1924 roku; być może wówczas nie dojrzelśmy jeszcze do wolności, ale czy po pięćdziesięciu latach totalitaryzmu, który zmuszał naród do prostytucji, jesteśmy bardziej dojrzałi? Masarykowi

potrzeba było dziesięciu lat, by stworzyć dobrze funkcjonujące państwo. Dziś będzie to trwało chyba dłużej - a od tego zależy nasz byt i niebyt. Do wyższych stopni zintegrowanej Europy możemy wejść tylko jako państwo przyzwoite. To oznacza nie tylko wolne wybory, przestrzeganie praw człowieka, wolność prasy i religii, ale także uczciwość w płaceniu podatków, w pracy, w przedsiębiorczości, w dotrzymywaniu umów, ograniczenie przestępczości, wytepienie zorganizowanej przestępczości i prania brudnych pieniędzy, zagwarantowanie bezpieczeństwa obywatelom na ulicach i w mieszkaniach, skuteczne akcje przeciw rasizmowi, alkoholizmowi, niktynizmowi i narkotykom, zagwarantowanie dobrze funkcjonującego szkolnictwa i opieki zdrowotnej, zachowanie znośnego środowiska naturalnego, ochronę zabytków i stworzenie warunków dla rozwoju własnej silnej kultury, marginalizację ekstremistów prawicowych i lewicowych...

Eksperci są zgodni co do tego, iż prostytucji nie sposób zupełnie wytepić. Rozmyśla się więc nad tym, jak ją ograniczyć - oddalić ją tam, gdzie nie będzie budziła zgorszenia, i kontrolować higienicznie i finansowo.

Być może jest to istotne, ale najważniejsze jest ograniczenie jej do minimum i odmówienie jej jakiegokolwiek poparcia. Dotyczy to prostytucji ulicznej i tej narodowej.

Przełożył V.P.

„Nová Přítomnost” 1995, nr 1.

Raymond Rehnicher, ur. 21 XI 1942 w Chorwacji, absolwent architektury w Zurychu (E.T.H.). Po powrocie do Sarajewa zajmował się urbanistyką (m.in. uczestniczył w projektowaniu kompleksu olimpijskiego w Sarajewie). Od 1992 roku mieszka w Pradze.

RAYMOND REHNICER

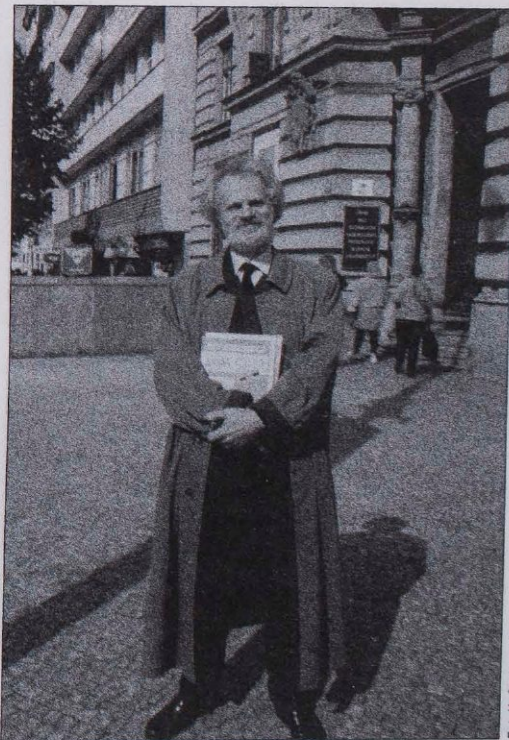
Praga - światowa metropolia?

Strzepując z siebie grube warstwy kurzu ostatnich dziesięcioleci, Praga ze wszystkich swoich sił próbuje na nowo dorównać dynamicznemu życiu ludzkości u schyłku naszego stulecia i tysiąclecia. W mieście ciągle coś jest remontowane, poprawiane, przebudowywane, ale także burzone w celu zatarcia śladów znienawidzonej przeszłości i jak najszybszego wkroczenia w upragnioną przyszłość. Wszyscy (prawie) są zgodni co do tego, że o niedawnej przeszłości trzeba jak najprędzej zapomnieć. Natomiast w sprawie przyszłości nie ma już jednomyślności.

Od listopada 1989 roku, kiedy w tutejszym życiu nastąpiła radykalna przemiana, prawie wszystkie rozmyślenia o przyszłości cechuje duch pewnej nostalgii. Najlichnější są na pewno ci, którzy po prostu pragną szybko się wzbogacić i żyć przyjemnie i bez wysiłku, łącząc swoje doświadczenia z epoki komunizmu z uproszczonymi wyobrażeniami o zachodnim świecie dobrobytu. Inni chętnie by nawiązali do tradycji Pierwszej Republiki i wierzą, iż ówczesne dwadzieścia lat demokracji może wymazać doświadczenia życiowe uzyskane w półwieczu totalitaryzmu. Inni z kolei pragną, by ich ojczyzna została częścią Europy i są mocno przekonani o tym, iż Europa, wraz z tzw. wolnym i demokratycznym światem, jeszcze nadal znajduje się w fazie liberalizmu. Nie powinniśmy zapominać jeszcze o grupie tych, którzy gorzko tęsknią za „pokojem, ładem i pracą” (bez różnicy: czy w postaci cesarskiej, aryjskiej czy bolszewickiej) i są przekonani, że do osiągnięcia powszechnego dobrobytu wystarczy wytepić Cyganów, Żydów i inną miejscową „hołotę” i poprzez szczelnie zamkniętą granicę odizolować się od hołoty z zewnątrz.

Wszystkie rodzaje tej nostalgii - razem z innymi pięknymi życzeniami i oczekiwaniami - wcieliły się w zwięzłe i dosadne hasło - Praga musi być światową metropolią, o której będzie głośno. To hasło bardzo dobrze brzmi, ale muszę jednocześnie

przyznać, że - pomimo swojego ponad dwudziestoletniego doświadczenia urbanistycznego - nie potrafię sobie wyobrazić, jak miasto ma się przekształcić w światową metropolią na skutek decyzji obywateli czy też polityków. Peter Hall, autorytet w sprawach metropolii, także nie zna takiego sposobu, który by umożliwił miastu nobilitację do tej, podobno prestiżowej, kategorii. Sądząc po tym, co Hall w swoich książkach napisał, najważniejsze miasta współczesnego świata mają właściwie niezmiernie mało wspólnych cech. Owszem,

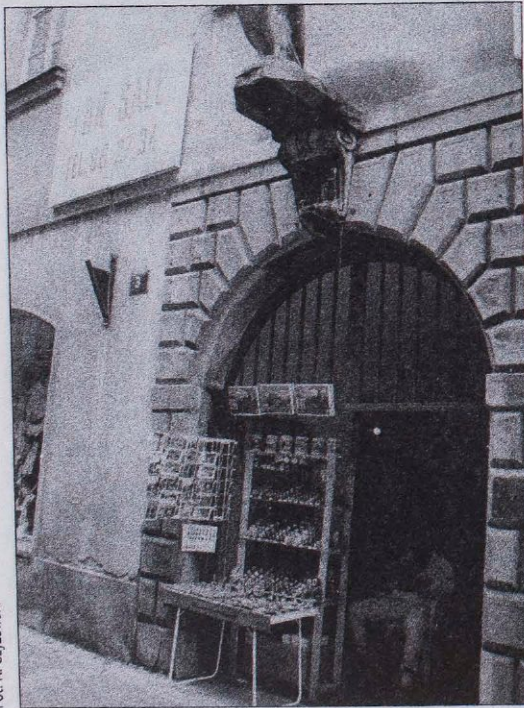


Fot. K. Czyżewski

wszystkie one liczą sporo mieszkańców. Niektóre znajdują się na wybrzeżu, inne nad rzekami lub jeziorami, ale są też takie, które nie odznaczają się żadnym dogodnym położeniem geograficznym. Jedne to stolice, inne nie mają żadnych szczególnych funkcji administracyjnych. Otóż należy sądzić, że wielkie skupiska ludności, uważane powszechnie za światowe metropolie, mają naprawdę niewiele wspólnego ze sobą.

Łączy je na pewno jedno: większość ludzi mówi o nich z wielką znaczącą westchnieniem. Ci, którzy żyją daleko od nich, nostalgicznie marzą o blasku i bogactwie tych czarujących miejsc, słynnych ludziach, którzy w nich mieszkają, o cudach, które tam codziennie się zdarzają. Ci, którzy tam nie żyją, narzekają znów na mnóstwo nierozwiązywalnych problemów, z którymi się nieustannie borykają. Być może, jak twierdzi Hall, właśnie te olbrzymie i w gruncie rzeczy nierozwiązywalne problemy są wspólną cechą wszystkich nowoczesnych metropolii. (...)

Nowoczesna metropolia to niesamowity spektakl, którego jedynym celem jest zarobienie w jak najkrótszym czasie jak największej ilości pieniędzy... W przestrzeniach centralnych, które jeszcze jako tako przypominają miasto, zostali tylko ci najbogatsi i najbardziej niebezpieczni. Ci pierwsi żyją w odizolo-



Fot. K. Czyżewski

wanych, superluksusowych, dobrze strzeżonych mieszkaniach na najwyższych piętrach gmachów administracyjnych albo (w równie dobrze strzeżonych) odrestaurowanych pałacach... Ci drudzy wędrują w rozpadających się starych kamienicach, które prędzej lub później zostaną zburzone albo odrestaurowane dla jakiegoś spektakularnego i przynoszącego zysk celu.

Dawno temu jeden z greckich filozofów powiedział, iż miasto robią z miasta obywatele, a nie budynki. Obserwując Pragę oczami tych, którzy z odległości marzą o jej pięknie i blasku, Praga jawi się z całą pewnością jako metropolia, a właściwie jest nią nadal, bo już od XIV wieku, od czasów Karola IV Luksemburczyka. Nawet podczas rządów butnych Habsburgów, kiedy to Wiedeń zepchnął Pragę do poziomu zaściankowej prowincji, żyli w tym mieście wybitni ludzie, którzy rozslawili Pragę w całym świecie. Także w niedawnej przeszłości, kiedy to dwa totalitaryzmy próbowały przekształcić ją w centrum dalekiej guberni, twórczość w Pradze nie wygasła. Artyści i intelektualniści - choć pracowali w kotłowniach, wywozili śmiecie albo wręcz siedzieli w więzieniach - nie tracili nadziei, iż ich potajemnie powstająca twórczość zachowa dawną chwałę Pragi i przysporzy nowej. Wystarczyła nieznaczna odwilż - w okresie Praskiej Wiosny 1968 - i w ciągu kilku dni zalśniła blaskiem światowej metropolii. Miesiące, które nadeszły po listopadzie 1989, wzmocniły wiarę, iż tym razem Praga definitywnie pozbyła się śmiertelnego uścisku totalitaryzmu.

Dziś, zaledwie pięć lat po historycznym listopadzie, zaskakuje nas prowincjonalne niedowierzanie we własne siły, wręcz jakiś kompleks niższości, który ogarnia wielu świetnych ludzi. Odnosi się wrażenie, że przestraszyli się własnej zdolności twórczych i dlatego zaczęli kopiować to, co w ich przekonaniu jest autentycznym wyrazem dzisiejszych czasów. Jakby z obawy, że poprzez swoją wyjątkowość Praga będzie wyglądała jak miasteczko prowincjonalne, z łatwością wyrzeka się swojego autentyzmu i stopniowo przekształca się w twórczą prowincję. Wydaje się, iż łatwiej przychodził opór wobec totalitaryzmu niż wobec władzy pieniądza. Dawni kolaboranci polityczni wywoływali u artystów i filozofów tylko śmiech. Ci, którzy dziś gorliwie pomagają w finansowym „glajchsztaltowaniu” Pragi, łatwo łamią opór wielu twórców. (...)

Wcale nie jest problemem to, iż w Pradze spotyka się dziś całą gamę różnych wpływów z zagranicy; Praga zawsze była miastem tolerancyjnym, wielokulturowym, otwartym wobec wszystkich pielgrzymów, artystów i intelektualistów ze świata.

Metropolia ducha przecież nie może się obejść bez ciągłej intensywnej komunikacji ze światem, i dlatego też wielu przybyszów, którzy tworzyli tu przez wieki, zawsze uważało się za prażan; nie tylko autochtoniczni Niemcy i Żydzi (których już dziś nie ma), ale również Francuzi, Włosi, Austriacy, Rosjanie i wielu innych.

Problem obecnej Pragi - jak i Republiki Czeskiej w ogóle - to nie tłumy obcokrajowców, ani też agresywne wpływy z zagranicy, tylko raczej stosunek tutejszych mieszkańców do obcych i zagranicznych wpływów.

Obecny stosunek prażan - i Czechów w ogóle - wobec wpływów z zagranicy, można najdokładniej wyrazić niemieckim słowem „Hassliebe” (miłość-nienawiść). Nad wszystkim, co przychodzi z zewnątrz, nadal jeszcze ciąży cień paranoicznego strachu przed „złymi obcymi”. Strach ten energicznie i zawzięcie wszczepiał Czechom totalitaryzm. Z tego też powodu nie brakuje tu tych, którzy by najchętniej znów szczelnie zamknęli granice. Ale jednocześnie z epoki totalitaryzmu wywodzi się żywe pragnienie wszystkiego, co pochodzi z zagranicy - bo to zawsze było lepsze, ładniejsze i bardziej prawdziwe, aniżeli to własne. (...)

Chyba też dlatego prażanie czują strach przed wszystkimi obcokrajowcami, którzy obecnie żyją w Pradze. Podczas gdy za czasów Pierwszej Republiki Czechosłowacja wspaniałomyślnie przyjmowała uciekinierów z Rosji i Niemiec, dziś ci, którzy są w swoich krajach zagrożeni terrorem, wojną lub nędzą, budzą tylko strach. To dziwne, ale ci, którzy tak szczerze pragną kontynuować tradycje Pierwszej Republiki, chętniej mówią o patriotyzmie niż o tolerancji, która przecież w tej złotej epoce była chlubą Pragi i Czechosłowacji. Dzięki niej właśnie, Praga już kilka lat po pierwszej wojnie światowej rozbłysła na mapie jako jedna z najbardziej okazałych metropolii świata.

Do jej rozkwitu przyczyniła się wówczas m.in. kubistyczna architektura. Do kubizmu nawiązał logicznie funkcjonalizm - „nowinka” twórcza, która rozprzestrzeniła się dzięki Pradze w Europie i świecie...

To, co dziś nazywa się „światową metropolią”, jest już tylko nędzną karykaturą tej powszechnej nostalgii, o której już pisałem. Większość dawnych błyszczących metropolii utraciła swoją indywidualność, toteż wszystkie duże współczesne miasta są do siebie podobne jak dwie krople wody. Dlatego tak dużo turystów przyjeżdża do Pragi - jest ona (na razie) - jeszcze ciągle wyjątkowa przez to, że nie jest podobna do reszty „światowych metropolii”, w których ślepa władza pieniądza niczym potężny buldożer rozbiła wszelki autentyzm i twór-

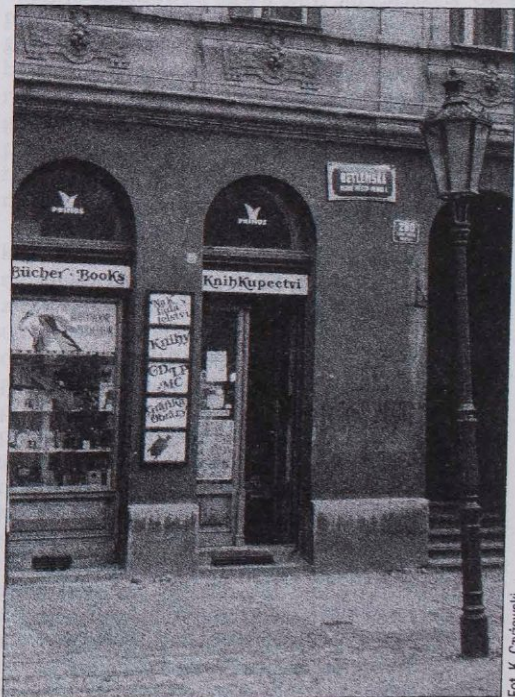
czość, pozostawiając przy życiu jedynie to, co można kontrolować za pomocą pieniądza i co służy zyskowi. Ów buldożer jest coraz bardziej widoczny również w Pradze. (...)

Podczas ostatnich piętnastu lat wampiryczny neoliberalizm przekształcił liczne metropolie, noszące dotąd piętno indywidualności, w tragiczne karykatury siedzib ludzkich. Dlatego też rolę światowych metropolii coraz częściej przejmują regionalne ośrodki, które potrafiły zachować w sobie autentyzm i osobliwą twarz. Dziwnym zbiegiem okoliczności Praga przez cały okres totalitaryzmu zachowała swoje charakterystyczne oblicze. Powstaje jednak pytanie, czy potrafi obronić się przed obecnym „glajchsztaltowaniem” w imię pieniędzy?

Byłoby mi bardzo przykro, gdyby się jej to nie udało.

Przełożył V.P.

„Literární noviny” 1995, nr 3



Fot. K. Czyżewski

Mogło być gorzej - literatura czeska w latach dziewięćdziesiątych.

Najwyrazistszym wskaźnikiem stanu kultury w warunkach europejskich jest literatura. Najwyrazistszy wskaźnik stanu literatury z kolei, a dokładniej - wskaźnik relacji pomiędzy pisarzami a zainteresowaniami czytelników, to liczba nowych wydawnictw i poziom ich sprzedaży. W naszym kraju panuje pogląd, że nieustannie publikuje się „mnóstwo” książek, i nie tylko z tego powodu, że otworzyły się podwoje wolności wyrażania opinii, ale - nawet w większym stopniu - za sprawą wzmożonej handlowej aktywności. Twierdzi się także, że czytelnicy są raczej zanudzeni niż oświeceni niepowstrzymaną powodzią zadrukowanej makulatury.

Ta opinia, sądzę, jest, mniej lub bardziej, ale słuszna.

Problem polega na tym, że mamy tu do czynienia raczej z ulotnym wrażeniem niż z konkretnymi faktami, jako że konkretne fakty odeszły wraz z rosyjskim stylem rządów, podczas których konkretne fakty zawdzięczaliśmy konkretnemu kontrolowaniu.

Na nie uporządkowany rynek czeskiej literatury składa się obecnie 4000 zarejestrowanych oficyn wydawniczych (około 30 takich oficyn działało w latach osiemdziesiątych). Z tej liczby 250 do 300 wykazuje jakąś działalność poza faktem rejestracji; około pięćdziesięciu z nich udaje się ekonomicznie przetrwać bez produkcji „makulatury”, która w czeskim wydaniu jest wyjątkowo zła, jako że bywa tłumaczona przez nie dokształcone panie i nie dokształconych panów, którzy języki angielski i czeski znają tylko z widzenia.

Każdego tygodnia wydaje się około 200 tytułów, z czego literatura piękna stanowi około 40 proc. Księgarnia unikająca „makulatury” każde-

go tygodnia otrzymuje około 100 nowych pozycji, tzn. 40, 50 pozycji literatury pięknej, z czego 10 to smukłe tomiki poezji, pośród których odsetek tytułów publikowanych na koszt autora zdecydowanie wzrasta.

Bestsellery np. Umberto Eco czy Milana Kundery osiągają nakład ponad 40000 egzemplarzy; poezja publikowana jest poniżej 1000 egzemplarzy chociaż, jak sam tego doświadczyłem, udaje się czasem sprzedać i 2000 sztuk jednego tomiku poezji w cztery miesiące. (W czasach komunistycznych taki nakład, autorstwa wcale nie zagorzałych dysydentów, rozszedłby się w cztery godziny.)

Nie sądzę, żeby w dziesięciomilionowym narodzie była to alarmująca sytuacja, pomimo tego, że - jak twierdzą psychiatry - dobre 15 proc. populacji jest społecznie i kulturowo upośledzone, co w porównaniu z innymi europejskimi krajami jest w granicach normy.

Według ankiety przeprowadzonej przez socjologów z Uniwersytetu Karola w Pradze 86,4 proc. spośród 1200 respondentów odpowiedziało, że regularnie czyta książki, a 44 proc. stwierdziło, że posiada ponad 1000 tytułów w domu. Jeśli chodzi o gatunki literackie, to czytelników literatury faktu przybywa, literatura piękna zajmuje drugą pozycję, poezja natomiast interesuje jedynie nieznaczną liczbę respondentów, w większości osobiście aspirujących do miana poetów.

Gdyby właściciele tych domowych bibliotek oraz ci zawołani czytelnicy byli z definicji porządnymi ludźmi, wtedy - pomimo powszechnej komercjalizacji - byłibyśmy narodem aniołów. Ale żadna taka zależność nie istnieje. Są tylko czytający i nie czytający, a jedyną cechą czytelnika

z punktu widzenia socjologii jest ta, że czytając nie można zrobić nic złego.

Stan naszej literatury jest, ogólnie rzecz biorąc, skomplikowany przez to, że zupełnie zamarła inspirująca więź pomiędzy autorem i autorem oraz czytelnikiem i autorem, którą wyzwalały periodyki literackie. Stało się tak nie dlatego, że czasopisma literackie zmniejszyły swoją objętość lub że brakuje pieniędzy. (Wydawnictwa kulturalne otrzymują mniejsze lub większe dotacje budżetowe.) Chodzi o to, że redakcje magazynów kulturalnych, szczególnie literackich, cierpią na teoretyczne rozwolnienie. Literatura, proza (głównie pamiętniki) oraz poezja (głównie nietradycyjna) zajmują jakieś 12 proc. objętości czasopism literackich. Reszta to polityczne, filozoficzne, historyczne oraz metaliterackie rozważania; abstrakcyjne przemyślenia, które swoim ogromem gwarantują, że żaden z czytelników nie znajdzie czasu na samodzielne myślenie. Częściowo spowodowane jest to czeskim pragnieniem nadążenia za „postmodernistycznym” Zachodem, częściowo też brakiem pewności co do tego, gdzie dokładnie znajduje się dółny próg „literatury” w atmosferze liberalizmu (innymi słowy – w zdziczałej atmosferze).

Z wyjątkiem sztuk teatralnych, literatura zupełnie zniknęła z ekranów telewizyjnych (za czasów komunizmu była promowana, czasami nie obywało się bez rażących potknięć, ale były też i sukcesy), w radio natomiast jest nadawana w późnych godzinach nocnych, więc trafia jedynie do cierpiących na bezsenność oraz alkoholików.

Brak środka komunikacyjnego w postaci czasopism znajduje wyraz w izolacji twórczych jednostek. Z towarzyskiego punktu widzenia pisarze coraz częściej znają się lepiej ze spotkań w barze niż ze swoich książek. Taka sytuacja powoduje, że przez ostatnie pięć lat nikt praktycznie nie potrafi ocenić stanu czeskiej literatury. Sytuacja komplikuje się jeszcze bardziej, gdy weźmiemy pod uwagę fakt, że wyraźna większość wydawców i krytyków realizuje odważny plan porównania i oceny czterech prądów literackich sprzed listopada 1989 roku: oficjalnego, czyli reżimowego, szarej strefy (czyli tolerowanego), dysydenckiego oraz emigracyjnego. Nawet jeśli niektórzy z wydawców ułatwili sobie zadanie, nie biorąc po prostu pod uwagę poprzedniej literatury oficjalnej, to i tak obraz z trzema pozostałymi prądami daleki jest od ostrości. Nie polega to na różnorodności kontekstowej i światopoglądowej, ale na konflikcie pokoleń między tymi, którzy doświadczyli radzieckiej okupacji roku 1968 oraz tymi, którzy zdążyli poznać jedynie powolny rozkład systemu komunistycznego z jego cenzurą. Czasopisma zapoznały czytelników

z wcześniej nie znanymi autorami. Okazało się, że wielu z nich pozostawało nie znanych nie z powodu zapisu uczynionego przez cenzora komunistę, ale raczej z powodu wątpliwej wartości ich utworów. Co więcej, odkurzana jest część twórczości autorów piszących na początku wieku, którzy odchodzili w zapomnienie już za życia. Tak więc obraz staje się jeszcze bardziej zaciemniony, stoimy wobec wielopokoleniowej i wielostylizowanej mieszanki doprawionej pstrokatą obfitością starego śmiecia.

Z jednej strony, jesteśmy świadkami procesu zapoznawania się z tym, co było przemilczane i izolowane. Z drugiej, na naszych oczach powstaje specyficzna atmosfera i twórcza presja. Nowi autorzy – szczególnie ci cierpiący na brak powietrza – obserwują z uwagą rynek wydawniczy i mody literackie, i – na ile pozwala im ich natura – podporządkowują się im w celu zapewnienia sobie publikacji oraz tego, żeby piórka, w które się przystroili, były konieczne modne. Poszczególne typy autorów, które pojawiły się po raz pierwszy pod koniec lat sześćdziesiątych, powoli zaczynają łączyć się w całe procesje, natomiast wśród skrajnych indywidualistów można już powoli wyróżnić typy. Proces ten, rodzaj literackiej „polimerowej reakcji łańcuchowej”, odbywa się wzdłuż osi *autor-wydawca-autor-rzesza debiutantów-wydawca*. Ta polimerowa reakcja łańcuchowa jest możliwa głównie dzięki ograniczonym możliwościom publikacji wspomnianym wyżej. Tak więc, gdy w jednym i tym samym numerze czasopisma literackiego napotkamy jednego poetę i dwóch powieściopisarzy, nie będzie to oznaczać artystycznej konieczności, lecz raczej nieskrępowane naśladownictwo.

Jeśli publikuje się coraz więcej postdekadencjonalnych kawałków przyprawionych nowo odkrytymi możliwościami skatologii lub przepełnionych zwolnieniem seksualnych technik i dewiacji, to otrzymuje się, na zasadzie sprzężenia zwrotnego dodatniego, nowe potępione z wyboru literackie pokolenie zadające się z antycznymi diabłami, kopulujące na grobach, a w szczególnie poważnych przypadkach – z grobami. Jeśli wydaje się kilku szczyrych Młodych Werterów, dostarcza się sztucznej pożywki dla poezji pozbawionej złudzeń, wyjątkowości i bolesnej filozofii „bierz, ile możesz”, razem z narkotykami (tylko dlatego, że to coś z Zachodu). Wygląda to tak samo jak w latach sześćdziesiątych, kiedy po prawdziwie niezapomnianej wizycie Allana Ginsburga wielu młodych ludzi stwierdziło, że homoseksualistą być trzeba, i później zaczęło zapętniać poczekalnie lekarzy psychiatrów, skarżąc się na to, że chcą to robić, ale nie

lubią. Publikowanie litanii maryjnej jako nowości, to inaczej tworzenie czegoś na kształt natchnionej rymowanej chrześcijańsko-konfesyjnej poezji, nad którą unosi się Seifertowski czeski duch liryczny. Zajęcie się natomiast coraz częstszą praktyką publikowania poezji francuskiej, od której czeski nurt poetycki odwrócił się po 1945 roku, wywołuje wzrost popularności poezji ciszy, abstrakcji oraz wyalienowanej duchowości. Jeśli publikuje się coś tak zaraźliwego dla postmodernistycznych anarchizujących intelektualistów jak Boris Vian (siedem książek od 1989 roku), to otrzymuje się hodowlę dobrodusznym literackich pięknoduchów.

W tym samym czasie polityka edytorska mediów literackich oraz co poważniejszych wydawnictw tworzy zjawisko wyższego standardu wypowiedzi oraz wyższego poziomu intelektualnego (zakładając, że pośród łagodnego pojękiwania pisarzy, jak u sfrustrowanych szczeniaków, jest na to miejsce). Jeśli wiemy, co i jak mówić, to staramy się to robić inaczej, niż to było w przeszłości. Ta sfrustrowana sfera uważa się za niezależnych intelektualistów w rozumieniu Timothy Gartona Asha – pojęcie to miało swoich obrońców podczas Międzynarodowego Kongresu PEN w Pradze i jest często publikowane (np. w „New York Review of Books”, styczeń 1995 rok) – w głównej mierze dlatego, że przeciwnikiem Asha był czeski premier Klaus. Naturalnie, niezależny intelektualista jest niezależny od premierów i ich politycznych działań, ponieważ jest uzależniony od swej zoologicznej negacji premierów i ich politycznych i ekonomicznych działań, nawet tych nieuniknionych. Niezależny intelektualista wierzy, że ludzki rozum istnieje po to, aby niezależnie szukać prawdy, nawet w wypadku, gdyby dokładnie tak samo prawdopodobne było to, że istnieje on po to, aby usprawiedliwiać swoje własne wybuchy i ograniczenia emocjonalne.

Fakt, że przez ostatnie pięć lat czeska gospodarka (znów dzięki ekipie Klause) osiągnęła więcej niż czeska literatura, razem z poezją, jest źródłem frustracji i negatywnych emocji dla każdego literackiego rzemieślnika oddanego swemu rzemiosłu – zakładając jednak, że jest on z samym sobą szczerzy i nie gnieździ się w jakiejś niszczej literackiej norze, z której przejście od totalitaryzmu do wolnego społeczeństwa musi być gorzkim przebudzeniem ze snu o własnej wyjątkowości.

Samo słowo „rozum” to coś, o czym można dyskutować, a inteligencja, dla modych filozofów i pewnych wrodzonych talentów literackich, jest źródłem ucieczki od „naturalnego” człowieka i „naturalnego” świata. Właśnie dlatego inteligencję lepiej brać w nawias. I tak z odważnego twierdzenia

filozofa Vaclava Bělohradskiego: „Odurzająca podróź filozofii jak dotąd trwa przez ponad dwa tysiące lat. Nadszedł czas abyśmy poczuli się jak debile”, wiele wrodzonych talentów zrozumiało jedynie drugie zdanie. I tak z własnej woli stali się klinicznymi przypadkami. Stopień prawdziwości psychiatrycznych lub socjologicznych dewiacji jest wyższy niż stopień prawdziwości aksjomatycznego myślenia, prawdziwość słownych wymiotów jest z zasady cenniejsza niż poświęcone średniemu szkolnictwu tablice pamiątkowe.

Nastawieni przeciwko wulgarnym gustom „plebsu”, podnieceni ofertą krwiożerczej i sentymentalnej literatury – tacy są transcendentaliści nowego typu, oferujący krew, seks i duchowość na tuzin innych, możliwie najtrudniej zrozumiałych sposobów. To może interesująca, ale niestety mało konstruktywna antyteza.

Podstawowe twierdzenie literatury czeskiej przez ostatnich pięć lat wolności i odkrycia ludzkiej godności jest wyjątkowo egocentryczne. Zniknęły jakiegokolwiek ślady zaimka „my”, podobnie jak wszystkie ślady solidarności ze zwykłym człowiekiem (który jest wyraźnie dobrowolną ofiarą zwirowanych reklamówek i kampanii reklamowych), a nawet jakiegokolwiek ślady porozumienia. Po wszechnie panuje syndrom literackiej nory wraz z należącymi do niej odchodami. Podczas gdy główny nurt tak zwanej wschodnioeuropejskiej poezji w czasach reżimu komunistycznego charakteryzował się utajoną siłą, czerpaną z pomysłowości i zgrania z ludzkimi odruchami ogółu narodowej społeczności, oraz z pewnego typu – jednak – optymizmu, to teraz musimy spojrzeć w twarz bezsilnej zjawie nieuchronnego odbierania złudzeń własnej tożsamości, zjawie, której nie obchodzi, dlaczego rozczarował nas seks, a dlaczego Klaus. Jeśli oczywiście ktoś nas rozczarował. Główną ideą zawartą w tych drobnych (nazwijmy je) wierszach prozą, produkowanych taśmowo przez nowych autorów, to obraz zwłok skręconych w grobie, embriona ukrytego w łonie i skazańca w celi lub w innym równie ograniczonym miejscu, gdzie odbywają się surrealistyczne przemiany, inwazje jurajskich potworów i degradacja zdobywcy oświecenia, pośród których Hofrat Goethe wydaje się być wyjątkowo przestarzały.

To jest tak, jakby nagle otworzyła się przed nami przestrzeń – podejrzanie olbrzymia i pusta, jakbyśmy obawiali się tego haustu, który, wyczekiwany od trzydziestu lat, miałby nam ugasić pragnienie. Zamykamy szczelnie okiennice, aby uchronić swoje domowe diabły od przeziębienia, a kruche koła zębate naszego magicznego realizmu od zniszczenia – ten magiczny realizm, który potrafi

zjednać poezję z prozą w takim stopniu, że różnica między nimi, wydaje się, przestaje istnieć i otrzymujemy jakieś potworne krzyżówki między absurdalnymi opowiadaniem i wierszami prozą. Takie produkty bywają czasem interesujące w oryginale, ale ich przekłady zasługują już jedynie na miano *déjà vu*. Większe formy prozą również rozpadają się na płaszczyzny i mikroujęcia, wpadają w manierę osobistej mitologii, która potrafi stłumić horyzont osobistych wartości i cel tak dalece, że powieść-esej Kundery różni się od czeskiej metapowieści jak kosmologia od kolekcjonowania owadów.

Nie mam nic przeciwko kolekcjonowaniu owadów w literaturze, jak długo owady te są interesujące, roztkliwiające albo nowo odkryte. Ale jeśli to kolekcjonowanie wciąga bohatera głównego nurtu, w którym powieść wychodzi spod ręki rysującej rękę, która sama jest również rysowana, w których Borges i Marquez zerkają na nas z co drugiego rękawa, główny nurt, w którym Bukowski (wyglądający z nogawki) jest chyba najbardziej konkretnym stereotypem, wtedy niekonwencjonalny i *épatiste* autentyzm staje się papierową niestrawnością, gdzie wszystko jest takie samo do tego stopnia, że staje się rozpraszająco różnorodne.

W kontekście krytyki literackiej, która cierpi na niejasny syndrom nowego oportunisty, ogólny obraz literatury został najlepiej określony przez młodego reżysera Filipa Renča: „Nie można nakręcić sztandarowego filmu pokolenia w okresie, który – inaczej niż lata sześćdziesiąte – jest zupełnie pozbawiony stylu”.

Wszystko, co mogę powiedzieć w formie usprawiedliwienia to to, że jeśli ktoś miota się przez pięćdziesiąt lat we wzburzonej wodzie ciągle wzywając pomocy, to nie należy po nim oczekiwać zbyt wielu twórczych pomysłów. I jeśli w zjawisku lat sześćdziesiątych da się rozpoznać styl wołania o pomoc, to i co z tego?, ale już w latach dziewięćdziesiątych wydaje się to być literackim upadkiem.

Jest zbyt wcześnie, aby ocenić stan naszej literatury, woda jest wzburzona do samego dna i niesie ze sobą mnóstwo zanieczyszczeń, ślimaków wygrzebanych z mułu i wodnych insektów. Ale powoli wszystko się uspokaja.

Mimo wszystko, odważę się nakreślić zarys nowego profilu literatury – ironia, autoironia, łagodny żal na twarzy, nieskrępowany śmiech w sercu, jak to ujął Jaroslav Seifert. Nawet czeska metapowieść, nawet czeska neodekadencja poezja, nawet ortodoksyjny czeski postmodernizm, wszystkie niosą z sobą ślady wewnętrznego humoru, ślady cynicznego uśmiechu. Nawet w defragmentacji doświadczenia i w egocentrycznych wierszach

można czasem odkryć szczyptę czeskiej soli sceptycyzmu i dowcipu.

Gdyby nawet wyzwolona czeska literatura miała stworzyć, na przykład, nową koncepcję człowieka, w dalszym ciągu zawierałaby ona przesłanie: „Bardzo nam przykro, ale mogło być o wiele gorzej.”

Przełożył Józef Waczków

JOSEF KROUTVOR

Hołd Ripellinowi

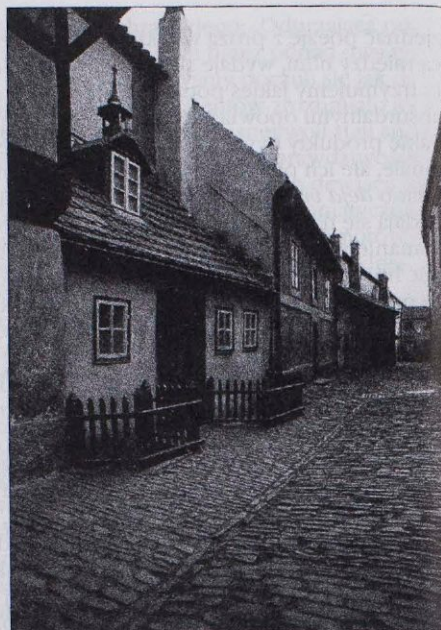
* *Praga magiczna* Angelo Marii Ripellina (1923-1978), - jedna z najciekawszych książek, jakie napisano o Pradze, oficjalnie wydana została w Czechach w 1994 roku.

Książkę*, niedostępną u nas w poprzednich latach, poprzedzała aura legendy. A gdy nareszcie kilka bezcennych egzemplarzy i odpisów dotarło do wytrwałych czytelników samizdatu, to zaczęły one krążyć z rąk do rąk. Praga była w tym czasie zamkniętym, pogrążonym w mroku, zamierającym miastem, tak więc książka, wyłaniająca się wręcz z tajemniczego praskiego półmroku, ukazała się we właściwej chwili. Ożył mit, obudziła się magiczna dusza miasta ukryta pod nalotem szarości, brudu, obojętności i nudy.

Angelo Maria Ripellino chyba nie przeczuwał, jakie skutki wywoła jego esej literacki. Książka przywróciła miastu godność, przypomniła mu o minionej sławie, o przemijających zwycięstwach obcych mocarstw. Taki zachwyt miastem mógł przedstawić jedynie obcokrajowiec. Mieszkańcy Pragi do takich wypowiedzi nie byli zdolni.

Książka wchodzi do magicznego miasta jako legenda i jako taka będzie nadal żyła swoim życiem. Dziś już każdy powołuje się na Ripellina. *Praga magiczna* stała się chwytem reklamowym. Właśnie dlatego trzeba chronić jąrdro legendy i nie trwonić rzeczywistej tajemnicy.

Ripellino pisze żywo, z pasją, woli drobne uwagi, historyjki, ciekawe drobiazgi niż wielką koncepcję. Jak gdyby pajęczyna praskiego labiryntu wycisnęła piętno też na jego sposobie myślenia. Ripellino uległ materii Pragi, wpadł w nią jak w pułapkę. Praga stała się jego losem, do tego



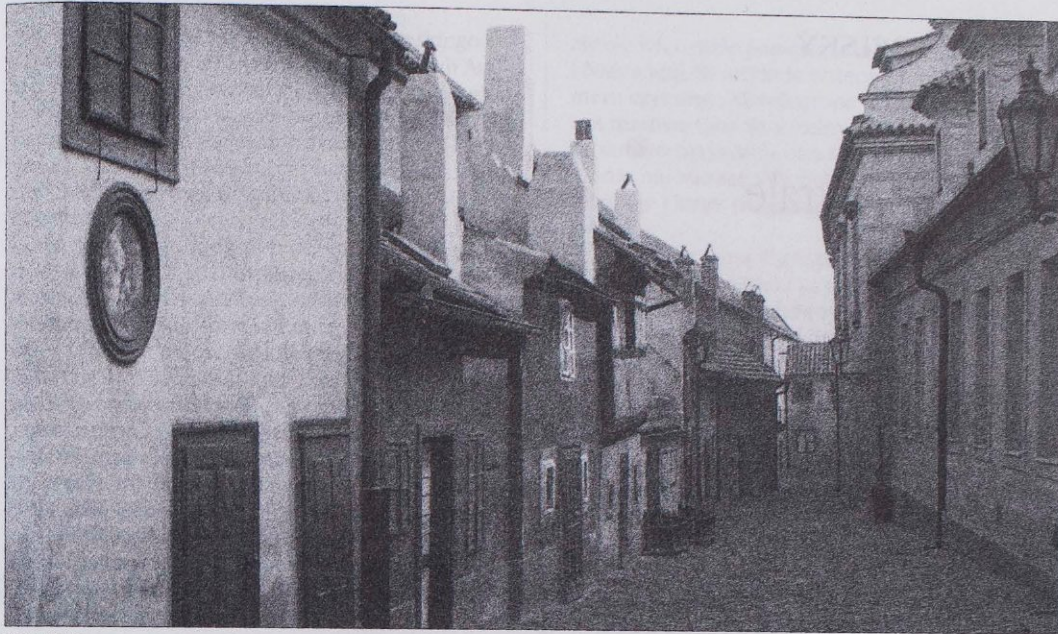
Złota uliczka.

stopnia, że o tym włoskim bohemiście możemy powiedzieć, iż nikt nie jest prorokiem we własnym kraju. Sam, pochodzący z kraju przesyconego kulturą, musiał znaleźć dla siebie obce miasto.

Niemniej wybór Ripellina może być też podyktowany praską tradycją barokową, kontaktami kulturowymi. Ripellino odnalazł w Pradze kawał Italii i musiał się tu czuć jak w domu. Również jego postrzeganie, myślenie i, rzecz jasna, styl pisania są bliskie barokowi. Autora *Pragi magicznej* porywa namietność, unosi go barokowa wyobraźnia, obfitująca w porównania, wzruszające spotkania i bogate obrazy.

Książka o Pradze zainspirowała w równej mierze czeskich, jak i włoskich czytelników. Rok temu zaproszono mnie do Genui, gdzie Instytut Prima Leviego zorganizował konferencję o Pradze. Duże zainteresowanie moim miastem sprawiło mi przyjemność. W Genui rozmawiano o Pradze jak o znanym, choć poniekąd zagadkowym mieście. Jestem przekonany, że wielu spośród uczestników konferencji dobrze znało *Pragę magiczną* Ripellina. To właśnie jej autor wprowadził nastrój, zatroszczył się o dramaturgię mitu literackiego. Praga służyła za model do badań nad wielokulturowością.

Gdy wieczorem wałęsałem się labiryntem starej Genui, wydawało mi się, że nie ma na świecie bardziej magicznego miejsca. I nie mogłem pojąć, dlaczego genueńczycy spoglądają ku odległej Pradze.



Złota uliczka.

skoro mają magiczne miasto tuż pod nosem. Ale to jest częste zjawisko: człowiek potrzebuje dystansu, by przejrzeć na oczy.

Muszę powiedzieć, iż Ripellino nie odkrył dla mnie jedynie Pragi, ale właściwie także Genuę i inne magiczne miasta. (...)

Ripellino nie patrzy na Pragę jak srogi profesor czy badacz, aczkolwiek musimy przyznać, że jego czytanie i erudycja budzą szacunek. Jest on raczej literatem, eseistą, ba - aktorem, który próbuje zagrać najróżniejsze role historyczne.

Książka otwiera się o niezwyklej porze, o piątej nad ranem, na granicy nocy i dnia. Miasto unosi się w wyimaginowanej przestrzeni, jego kontury są niewyraźne, niczym wilgotna plama. Zaraz na początku zabrzmi kłótwa - przypomnienie sowieckiej interwencji, która dla autora *Pragi magicznej* będzie oznaczać wydalenie i zakaz powrotu. Kolejne kroki i wędrówki po mieście są już weselsze i nie pozbawione życzliwego humoru. Nie ma wątpliwości co do tego, że Ripellino miłował Pragę i ona mu się odwdzięczała szczęśliwymi chwilami.

Angelo Maria Ripellino ukazał naszym oczom magiczną Pragę, a eseista włoski, Claudio Magris, zwrócił naszą uwagę na zapomnianą Europę Środkową. I chyba nie tylko zainteresowania historyczne sprawy te powroty. Trzeba się tu dopatrywać prawdopodobnie także głębszych przyczyn psychologicznych. O tym, czego sami nie zauważamy, lepiej się słucha z ust codzoiemców. Ripellino

i Magris nie są wyjątkami. Przypomnijmy sobie, jaki oddźwięk wzbudziło u nas odkrywczе dzieło Ernsta Denisa [Ernst Denis (1849-1921), francuski historyk, badacz czeskiej historii XVI i XVII wieku, autor opracowań *Koniec samodzielności czeskiej*, Paryż 1890, *Czechy po Białej Górze*, Paryż 1903 - przyp. tł.].

Praga magiczna - to temat, który nie opuszcza miasta, trwa nadal. Czasami wydaje się, że nie ma już w nim niczego do odkrycia, niczego, co mogłoby zaskoczyć, ale nagle objawia swoje nowe oblicze.

Wielu włoskich artystów związanych było z Pragą. Praga jest nie tylko czeska, niemiecka, żydowska, ale również włoska. Słynny Arcimboldo składał swoje obrazy z najróżniejszych przedmiotów, kwiatów, owoców i zwierzęcych głów. Giovanni Castrucci panoramę Zamku Praskiego ułożył zaś z kolorowych marmurów i kamieni. Ich obrazy są nadal żywe i przyciągają przede wszystkim dzięki swej niezwyklej kompozycji. Również Angelo Maria Ripellino skomponował swoją książkę „na włoski sposób”: z wielu myśli, cytatów, odsyłaczy i historyjek. Tak, jak zestawia się mozaikę. Jego dzieło oznacza się włoską południową lekkością i poletem, ale odbijają się w nim także cienie krótszych, bardziej nerwowych dni tego miasta, bądź co bądź przesuniętego bardziej na północ.

JOSEF FORBELSKÝ

„Europe Centrale”

W pierwszej połowie dziewiętnastego wieku, po erze napoleońskich ekspansji do Środkowej i Wschodniej Europy, wskutek porażki mocarstw centralnych: Niemiec i Austro-Węgier w 1918 roku, wytworzyła się sytuacja sprzyjająca obecności francuskiej w tej części kontynentu. Pas małych państw od Bałtyku do Adriatyk, powstały w oparciu o zasady samostanowienia narodów (ich kształt podlega obecnie rewizji) to architektura geopolityczna tego okresu. Można powiedzieć, iż wówczas zaczęła promieniować na Europę Środkową wola polityczna i kultura uniwersalistyczna zwycięskiej Francji. Jednym ze świadectw tej mocarstwowej i kulturowej tradycji jest dwutygodnik „Europe Centrale”, wychodzący w Pradze w latach 1927-1938 w języku francuskim.

Pismo to, zaplanowane z rozmachem, odzwierciedlało zapewne oficjalne polityczne powiązania przestrzeni środkowoeuropejskiej z Francją, ówczesnym przodującym mocarstwem europejskim. Założenie tego pisma właśnie w Pradze (redakcja mieściła się przy ulicy Focha w dzielnicy Vinohrady) nawiązywało równocześnie do tradycji sięgającej ubiegłego wieku, kiedy to Francuzi zaczęli zwracać uwagę na narody słowiańskie zamieszkujące ten obszar, w szczególności Austro-Węgry, upatrując w nich przeciwwagę coraz to bardziej ekspansyjnego żywiołu niemieckiego. Wówczas to Francuzi zostali sojusznikiem tych narodów, przynosząc nadzieję spełnienia ich ambicji narodowych. Ufność, z jaką narody środkowoeuropejskie spoglądały ku Paryżowi, wzrastała w wyniku naruszenia związków z Rosją (rodowo i kulturowo bardziej organicznych) po krwawym zdławieniu przez cara powstania polskiego w 1863 roku...

Tak więc, po pierwszych, nieśmiałych jeszcze kontaktach kulturowych, których ślady można odnotować na przykład w prozie George Sand (chodzi o fragmenty czeskiej historii w powieści *Consuelo* z lat 1842-1843), w krótkiej wizycie Chateaubrianda w Pradze w 1833 roku i długotrwałym po-

bycie w niej słynnego geologa Barranda - w drugiej połowie dziewiętnastego wieku Czeši, aktywizując swoje dążenia emancypacyjne, chętnie skorzystali z pomocy francuskich przyjaciół, którzy otwarcie wyrażali swoje sympatie wobec Słowian Luisa Legera (1843-1923) i Ernsta Denisa (1849-1921). Pierwszy z nich, autor takich prac, jak *Kryzys austriacki, Królestwo czeskie i federalizm* (Paryż 1866), *Odrodzenie czeskie w dziewiętnastym wieku* (Paryż 1911), reprezentował początkowo epokę, kiedy Francja była zainteresowana utrzymaniem Austro-Węgier w roli stabilizującego (i dla Francji wygodnego) czynnika, o ile cesarstwo austro-węgierskie będzie przeprowadzać federalizację i o ile rosnące w siłę narody słowiańskie będą mogły dzięki niemu zaspokoić swe pragnienia. Leger dalekowrocznie ocenił (i poznał) znaczenie słowiańskiej kwestii środkowoeuropejskiej dla wzrastającego antagonizmu pomiędzy Francją a Niemcami. Po austriackiej klęsce pod Sadową w 1866 roku, Leger przyczynił się do powstania pisma „Correspondence Slave”, które od 1869 roku wychodziło dwa razy w tygodniu w Pradze i stało się kulturową trybuną narodów słowiańskich na forum europejskim. Obok Słowian interesował się także światem południowoeuropejskim, nie pomijając Rumunii, Grecji i Turcji. Z przyczyn finansowych w 1873 roku pismo przestało się ukazywać, niemniej odegrało znaczącą rolę w kształtowaniu stosunków francusko-czeskich, szczególnie w dramatycznym okresie konfliktu Francji z Bismarckowskimi Prusami.

Denis natomiast był spokrewniony z tradycją czeskiej reformacji poprzez swoje hugenockie pochodzenie. Po raz pierwszy ten historyk przebywał w Pradze w latach 1872-1875 na stażu stypendialnym. Charakterem swoich podstawowych prac: *Koniec samodzielnosci czeskiej* (Paryż 1890), *Czechy po Białej Górze* (Paryż 1903) ideowo antycypował kierunek, do którego w roku 1918 nawiązał T.G. Masaryk tworząc państwo czechosłowac-

kie, uzyskując dla tej idei większość czeskiego i mniejszość słowackiego narodu. W kwestii Austro-Węgier Denis wyraził się jednoznacznie: *enlever la charogne*, co znaczy: usunąć tę padlinę. Nie było więc nic dziwnego w tym, że utwory Denisa, wraz z *Dziejami narodu czeskiego* F. Palackiego, stały się historycznym vademecum młodej Czechosłowacji.

Periodyk „Europe Centrale” można traktować jako świadectwo różnorodnych i bogatych czechosłowacko-francuskich kontaktów. Trzeba przypomnieć, że po 1918 roku w Pradze wydawano w języku francuskim jeszcze kilka innych tytułów prasowych. W 1920 roku przez kilka miesięcy ukazywał się „La rapport quotidien”, informacyjny druk przeznaczony głównie dla cudzoziemców w powstałej Republice (zamieszczano w nim także teksty w języku angielskim i włoskim). Krótko, w latach 1919-1920, wychodziło pismo „La République tchéco-slovaque”, organ francuskiej misji wojskowej. Natomiast pismo „Revue française de Prague”, wydawane przez Instytut Francuski, towarzyszyło Republice Czechosłowackiej prawie przez cały czas jej istnienia, od 1922 do 1938 roku. W piśmie publikowali przede wszystkim pracownicy Instytutu, ale także autorzy czechosłowaccy. Wysoki poziom pisma sprawił, że było ono w owym czasie znaczącym łącznikiem kulturalnym między Pragą a Paryżem. W jakiejś mierze kontynuatorem tego pisma jest obecnie „La nouvelle française de Prag «Štěpánská 35»”.

Bezpośrednim poprzednikiem tygodnika „Europe Centrale” była jednak „Gazette de Prague”. Wychodziła ona także co dwa tygodnie, od 1920 do 1927 roku, do powstania „Europe Centrale”. Dzięki tej gazecie Francuzi mogli sobie stworzyć dokładniejszy obraz nowego środkowoeuropejskiego państwa; czytali w niej informacje o życiu politycznym, gospodarczym oraz przekłady literackie. Dla Czechosłowacji gazeta umożliwiała wszechstronną prezentację przed Europą Zachodnią, możliwość zaakcentowania faktu swej egzystencji w wachlarzu narodów Europy Środkowej.

Gdy pismo „Europe Centrale” zastąpiła „Gazette de Prague”, stało się oczywiste, iż dwustronne kontakty poszerzono według nowej, odważniejszej koncepcji, o czym resztą świadczył już sam tytuł pisma. Nie chodziło już jedynie o ożywienie francuskiego zainteresowania obszarem słowiańskim, jak za czasów Legera i Denisa, lecz o zastąpienie niemieckiego projektu „Mitteleuropy” przez projekt francuski „Europe Centrale”, ze strategiczną osią państwa Małego Przymierza (Czechosłowacja, Jugosławia, Rumunia), z uwzględnieniem Polski, Węgier i Austrii. W centrum zainteresowania znalazły

się więc małe państwa leżące pomiędzy Rosją i Niemcami. W artykule wstępnym pierwszego numeru czytamy: „Mitteleuropa w niemieckim ujęciu jest martwa. Cios śmiertelny zadała jej wojna. W zamian przyniosła ona niezależność i zjednoczenie narodów, które były przez długi czas ciemnione i które mogą się dziś swobodnie rozwijać”.

Program pisma, Georges Marot, redaktor naczelny, ujął w słowach: „... naszym celem podstawowym jest pośredniczenie w poznawaniu narodów Europy Środkowej i - w ramach naszych skromnych sił - praca na rzecz ich zbliżenia”.

Mimo, że pismo ukazywało się w Pradze i udział Czechów w jego funkcjonowaniu był znaczący, słowa Marota dowodzą, iż Francuzom chodziło o stworzenie nowej struktury środkowoeuropejskiej. Zadanie to było pilne, gdyż dotychczasowa jedność przestrzeni środkowoeuropejskiej, zapewniona przez austro-węgierskie państwo związkowe, rozpadła się. Powstały państwa narodowe o znacznym zróżnicowaniu etnicznym, podejmujące rywalizację międzypaństwową (np. stosunki między Czechosłowacją a Polską). Pismo „Europe Centrale” miało się przyczynić do połączenia „zdrowego” egoizmu narodowego, który spowodował właściwie powstanie nowych państw środkowoeuropejskich, z kierunkiem internacjonalistycznym.

Ogólnie rzecz ujmując, pismo usiłowało przeformować w tej części kontynentu europejskiego ideę państwową, na której oparto Francję, tj. ideę solidnego państwa narodowego, któremu towarzyszy jakościowy wpływ kulturalny. Wpływ na kulturę łatwo było uzyskać. Państwa środkowoeuropejskie przechodziły bowiem gruntowną „degermanizację” i wartości uniwersalne kultury francuskiej przyjmowano nader życzliwie. Utopią natomiast okazały się dążenia do nadania trwałej i sensownej jedności państwom środkowoeuropejskim, tak przecież zróżnicowanym narodowościowo. Kres tych dążeń nastąpił w 1938 roku.

Nie zmienia to jednak faktu, że koncepcja pisma „Europe Centrale” była śmiała. Znajdowały się w nim działy poświęcone polityce francuskiej wobec Europy Środkowej. Publikowano także wiadomości o życiu politycznym, gospodarczym i artystycznym we wszystkich państwach środkowoeuropejskich, ich literaturze, teatrze, filozofii, sporcie. Autorami tekstów byli francuscy specjaliści zajmujący się Europą Środkową. Ponieważ pismo wychodziło w Pradze, tematyka czechosłowacka (zgodnie ze strategicznymi celami francuskiej polityki zagranicznej) dominowała. Dlatego też pod sporą liczbą artykułów znajdowały się nazwiska

autorów czechosłowackich. Wśród nich wyróżniał się niestrudzony Hanuš Jelínek. Regularnie ukazującą się rubrykę kulturalną prowadził Miroslav Rutta, informacje muzyczne zamieszczał Boleslav Vomáčka. Zaciekawiają proza i teksty Richarda Weinerja. Nie brakuje też takich nazwisk jak: Šalada, Eisner, Jiráť i in. Jednym słowem, na łamach „Europe Centrale” publikowała cała elita Pierwszej Republiki.

Jedną z istotnych cech pisma było to, że jednocześnie pojawiały się w nim teksty zarówno o kulturze francuskiej (np. wiadomości o praskich wizytach wybitnych artystów: Paula Valéry, André Bretona, George’a Duhamela, Paula Maranda i in.), jak i o kulturalnych wydarzeniach w Czechosłowacji (np. o Krasnohorskéj, Čapku-Chodzie, Sovie, Březinie, Wolkerze, Nezvalu i in.). Można sobie wyobrazić, z jaką dumą przyjmowano to, iż literaturę dotąd uważaną za prowincjonalną, porównywano z wielką literaturą europejską, co pozbawiało ją zaściankowości i przydawało owej cudownej dynamiki, która cechowała ją w krótkim międzywojennym okresie. Dotyczy to także plastyki, w której można było obserwować niespotykany ruch i ożywienie, poczynawszy od roku 1876, kiedy to frankofil Jaroslav Čermák otrzymał za obraz *Hutsyci pod Naumburgiem* francuski order honorowy, aż po paryską wystawę Štýrskiego i Toyen. Tak samo działo się w zakresie nauk ścisłych i humanistycznych (wyjątkowe zjawisko Václava Černego i dzisiaj udowadnia urodzajność tych stosunków). Otóż Francja stworzyła czeskiej kulturze i narodowi swojego rodzaju zacisze - bezpieczne miejsce do rozwoju, w którym naród dojrzewał do wolności. Czesi szybko się wyzbywali wpływów niemieckich i zaczęli żyć w atmosferze francuskiej kultury duchowej. I trzeba podkreślić, że robili to gorliwie i z ufnością. Tylko w ten sposób można zrozumieć uczucie zdradzonej miłości i osamotnienia, którego doznali w tragicznym roku 1938.

Trzeba także zaznaczyć, a na łamach „Europe Centrale” znajduje się tego wiele świadectw, że nauka i kultura francuska odkrywała również wartości, które je wzbogacały, zwłaszcza w początkowym okresie, w latach dwudziestych. Francuzi, wychowani w tradycji racjonalistycznej, okazali autentyczne zainteresowanie kulturą Europy Środkowej i Wschodniej, zwłaszcza kulturą słowiańską. (...)

Jeżeli patrzymy na ten okres historii przez pryzmat „Europe Centrale”, stwierdzamy niezbicie, iż w Europie Środkowej - pod groźnym sklepieniem, które tworzyła strategiczna rywalizacja niemiecko-francuska - powstało wówczas swoiste „laboratorium kulturalne”, gdzie spotykały się,

wzbogacały i łączyły elementy romańskie z środkowoeuropejskimi. Czechy, tradycyjnie formowane przez biegunowość słowiańsko-germańską, poddały się wówczas z wdzięcznością subtelnym i delikatnym wpływom z romańskiej Francji.

Pismo „Europe Centrale” należy studiować nie tylko jako dokument środkowoeuropejskiego zafascynowania kulturą romańską, ale również jako opis wydarzeń, które rozegrały się w Europie Środkowej między dwiema wojnami światowymi. Lektura pisma, a w szczególności jego artykułów wstępnych, sprawia, że zostaliśmy świadkami historii: tego, jak pierwotny projekt Europy Środkowej przyjęty przez zwycięskie mocarstwa (przed wszystkim Francję) został zakłócony przez kryzys gospodarczy na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych; jak kraje rolnicze tego obszaru znalazły się w nędzy, która oddaliła je od Francji, a przybliżyła do przemysłowych Niemiec; jak ta część Europy utraciła stabilność; jak w latach trzydziestych odkurzono plan „Mitteleurop”; jak Francja z przyczyn strategicznych próbowała umocnić rozchwianą sytuację Europy poprzez traktat z sowiecką Rosją; jak czechosłowacka polityka zagraniczna w 1933 roku, w cieniu Niemiec, wszelkimi siłami broniła się przed nową sytuacją polityczną, szukając sojuszników nawet w Austrii i na Węgrzech, traktowanych dotąd z rezerwą, by wraz z nimi stworzyć choćby minimalną przeciwwagę wobec zradikalizowanych Niemiec. Ta rozpaczliwa próba dalszego utrzymywania projektu „Europe Centrale” i zachowania pozycji Pragi jako „przedmieścia Paryża” kończy się w 1938 roku w Monachium.

Dramat rozkwitu i upadku Pierwszej Republiki interpretowano zawsze w Czechosłowacji - jakże inaczej - w odniesieniu do czeskiej lub czechosłowackiej historii. Lektura pisma „Europe Centrale” może ułatwić czeskim czytelnikom wgląd w samych siebie. Uświadomi im niezmiernie pożyteczny okres francusko-środkowoeuropejskich kontaktów kulturalnych, które przyczyniły się do rozwoju świadomości narodowej wśród Czechów. Jednocześnie umożliwi czytelnikom szersze i bardziej obiektywne spojrzenie na Europę Środkową między dwiema wojnami światowymi.

Przełożył V.F.

Witryna



ALBUMY
KSIĄŻKI
CZASOPISMA
PŁYTY



Central European University Press

Wydawnictwo Uniwersytetu Europy Środkowej z siedzibą w Budapeszcie. Powstało w roku 1993. Za zadanie stawia sobie publikowanie książek dotyczących przemian zachodzących w Europie Środkowo-Wschodniej oraz w krajach byłego ZSRR, z uwzględnieniem ich historycznego kontekstu.

Książki wydawane są w języku angielskim i rozpowszechniane przez sieć dystrybucji Uniwersytetu Oxfordzkiego.

Wśród poszczególnych działów tematycznych do najciekawszych pozycji należą:

WSPÓŁPRACA MIĘDZYNARODOWA I NAUKI SPOŁECZNE

- S.L. Wolchik, V.A. Zviglyanich: *Building a State: Ukraine in a Post-Soviet World*. 1995.
- J. Szacki: *Liberalism After Communism*. 1995.

POLITYKA SPOŁECZNA

- N. Swain: *Rural transformation in Central Europe*. 1995.

EKONOMIA

- R. Frydman: *Privatization in Eastern Europe: Is the State Withering Away?*. 1994.
- L. Balcerowicz: *Socialism, Capitalism, Transformation*. 1995.

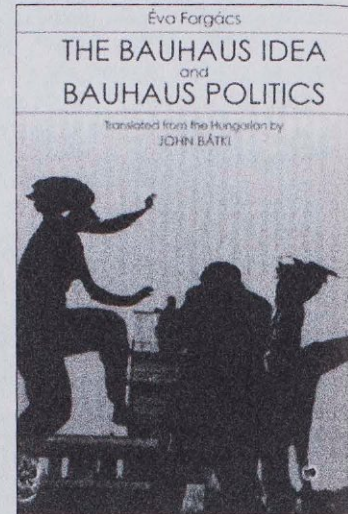
STUDIA PRAWNICZE

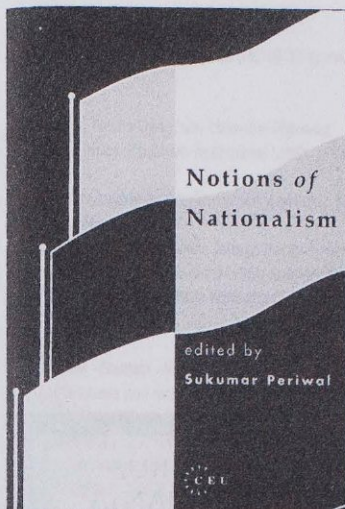
- W. Osiatyński: *Constitutionalism, the Rule of Law and Individual Rights*. 1996.

STUDIA KULTUROWE I SPOŁECZNE

- E. Forgács: *The Bauhaus Idea and Bauhaus Politics*. 1995.
- Z. Lešić: *Children of Atlantis: Voices from the former Yugoslavia*. 1995.
- A. Gerú: *Modern Hungarian Society in the Making: The Unfinished Experience*. 1995.
- E. Szép: *Smell of Humans: A Memoir of the Holocaust in Hungary*. 1994.

CENTRAL EUROPEAN UNIVERSITY PRESS
1021 - Budapest, Hűvösvölgyi út 54
Tel: (361) 1763160
Fax: (361) 1763574



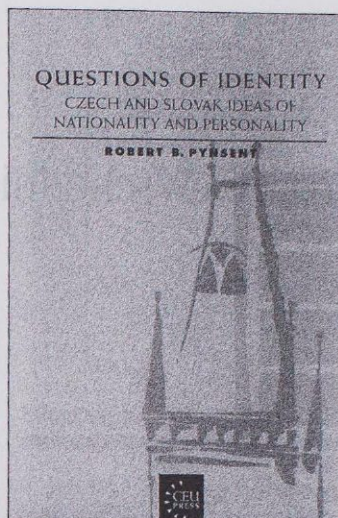


NOTIONS OF NATIONALISM [Uwagi o nacjonalizmie]. Edited by Sukumar Periwal. Budapest - London - New York 1995.

Nacjonalizm, wbrew wielu przewidywaniom zapowiadającym jego rychły schyłek, nadal pozostaje żywotny. Można nawet mówić o pewnym jego renesansie w końcu XX wieku. Fakt ten konstatuje profesor Ernest Gellner we wstępie do książki, która jest zbiorem rozpraw wybitnych naukowców o współczesnych uwarunkowaniach ideologii nacjonalistycznej. Polityka, tożsamość, nowoczesność - wobec tych kluczowych w dzisiejszej dobie pojęć i problemów autorzy próbują usytuować nacjonalizm i jego ciągle silne oddziaływanie.

Nacjonalizm rozwijał się wraz z budowaniem kształtu nowoczesnego państwa. Czy to oznacza, że pozostanie trwałym jego komponentem? Byłoby to zagrożeniem dla procesów europejskiej integracji, dla wartości pluralizmu i obywatelstwa.

Rozważania zawarte w tej książce, niezależnie jak głęboko sięgają w przeszłość, dotyczą rozpoznawania najbliższej przyszłości, zagrożeń i zadań stojących przed Europejczykami u schyłku stulecia.

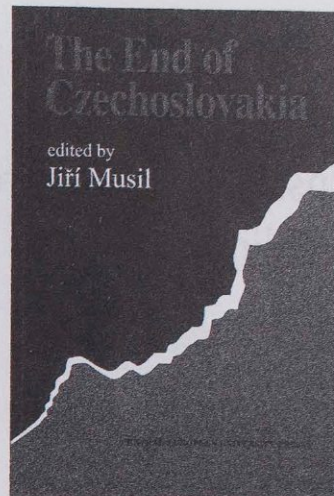


ROBERT PYNSENT: QUESTIONS OF IDENTITY. Czech and Slovak. Ideals of Nationality and Personality. (Pytania o tożsamość. Czeskie i słowackie koncepcje narodowości i osobowości). Central European University Press. Budapest - London - New York 1994.

Robert Pynsent, profesor literatury czeskiej i słowackiej na Uniwersytecie Londyńskim, stawia pytania o tożsamość w odniesieniu do losów indywidualnych i zbiorowych, odwołuje się do historii i do aktualnej sytuacji w Europie Środkowej, czerpie przykłady z literatury i mitów. Książkę otwiera rozdział poświęcony Václavowi Havelowi i jego rozumieniu tożsamości jako osobistej odpowiedzialności za samego siebie. Podobnie jak człowiek średniowiecza, na pytanie „kim jestem?“, Havel, jako pisarz i jako prezydent, odpowiada: „tym, co czynię.“ Innemu rozumieniu tożsamości zaspokajającej potrzebę przynależności, poświęcony jest rozdział o tworzeniu się tożsamości narodowej.

Jego bohaterami są dwaj pisarze słowaccy z pierwszej połowy XIX wieku: Šafarik i Kolaž, inspirowani Herderem i niemieckim nacjonalizmem. Rozdział dotyczący epoki modernizmu i dekadencji poświęcony jest omówieniu wpływu Maxa Stirnera i Henri-Frédéric Amiela, a zwłaszcza ich koncepcji skrajnego indywidualizmu, na intelektualistów czeskich i słowackich.

Książkę zamykają rozważania o - mówiąc słowami T.G. Masaryka - „niezdrowym kulcie martyrologii“ wśród Czechów, o czeskim masochizmie narodowym (za przykład służą zarówno św. Wacław i Jan Hus, jak i Jan Palach).



THE END OF CZECHOSLOVAKIA [Koniec Czechosłowacji.] Edited by Jiří Musil. Budapest - London - New York 1995.

W latach 1992-1993 Ośrodek Badań nad Nacjonalizmem prowadzony przez Ernesta Gellnera przy Uniwersytecie Europy Środkowej w Pradze zorganizował trzy warsztaty poświęcone problemowi rozpadu Czechosłowacji. Wzięli w nich udział wybitni naukowcy, politycy i pisarze z Czech (m.in. Milan Kundera, Jiří Musil, Petr Pithart, Petr Píhoda, Jan Rychlík), Słowacji (m.in. Alena Bartlová, Miroslav Kusý), Francji (Jacques Rupnik) i Stanów Zjednoczonych (Zdeněk Suda, Sharon L. Wolchik). Efektem ich wspólnej pracy jest ta książka o końcu Czechosłowacji. Jak do tego doszło że po siedemdziesięciu latach wspólnego państwa, po „aksamitnej rewolucji“ i zapoczątkowaniu reform demokratycznych, dwa narody, pomiędzy którymi nie było krwawych konfliktów na tle etnicznym, decydują o rozpadzie wspólnego państwa. Fakt znamieny w obliczu zaawansowanych procesów integracyjnych w Europie i w obliczu podobnych problemów, przed którymi stoją także, między innymi: Belgia, Włochy, Wielka Brytania, Kanada. Autorzy wyczerpująco analizują kontekst historyczny z uwzględnieniem demografii i rozwoju gospodarczego obu społeczności, opisują rozwój świadomości narodowej i historię wzajemnych relacji czesko - słowackich, wreszcie sam proces dezintegracji i jego międzynarodowe reperkusje.

INSTYTUT
EUROPY
ŚRODKOWO
WSCHODNIEJ

Instytut Europy Środkowo-Wschodniej Lublin

1. Jerzy Kłoczowski: *East Central Europe in the historiography of the countries of the region.*
Lublin 1995.

(Wydane także w języku francuskim:
L'Europe du Centre-Est dans l'historiographie des pays de la région)

2. Jerzy Kłoczowski: *Europa Środkowowschodnia w historiografii krajów regionu.*
Lublin 1993.

Wydane w serii:
Materiały Instytutu Europy Środkowo-Wschodniej,
Tom V
Red. Jerzy Kłoczowski, Henryk Gapski, Jerzy Bartmiński, Zdzisław Chlewiński, Wiesław Müller, Jacek Pietraś, Jan Rayss

3. *Ochrona praw mniejszości narodowych i religijnych. Materiały z międzynarodowej konferencji "Mniejszości narodowe i religijne w pokomunistycznej Europie Środkowo-Wschodniej" zorganizowanej w dniach 20-22 października 1992 roku. Cz. 1*

Redakcja naukowa: Zbigniew Holda
Lublin 1993.

Wydane w serii:
Materiały Instytutu Europy Środkowo-Wschodniej,
tom II, red. Jerzy Kłoczowski, Henryk Gapski, Jerzy Bartmiński, Zdzisław Chlewiński, Wiesław Müller, Jacek Pietraś, Jan Rayss

4. *Polityka narodowościowa państw Europy Środkowowschodniej. Materiały z międzynarodowej konferencji "Mniejszości narodowe i religijne w pokomunistycznej Europie Środkowowschodniej" zorganizowanej w dniach 20-22 października 1992 roku. Cz. 2*

Redakcja naukowa: Jacek Ziemowit Pietraś, Andrzej Czarnocki
Lublin 1993.

Wydane w serii:
Materiały Instytutu Europy Środkowo-Wschodniej,
Tom III
Red. Jerzy Kłoczowski, Henryk Gapski, Jerzy Bartmiński, Zdzisław Chlewiński, Wiesław Müller, Jacek Pietraś, Jan Rayss

5. *Demokracja lokalna w krajach Europy Środkowo-Wschodniej*
Materiały z międzynarodowej konferencji
"Demokracja lokalna w krajach Europy Środkowo-Wschodniej" Lublin, 3-4 października 1994 roku.

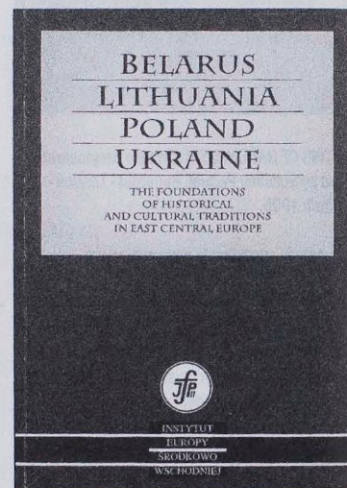
Redakcja naukowa: Andrzej Miszczuk
Lublin 1995.

Wydane w serii:
Materiały Instytutu Europy Środkowo-Wschodniej,
Tom VI
Red. Jerzy Kłoczowski, Henryk Gapski, Jerzy Bartmiński, Zdzisław Chlewiński, Wiesław Müller, Jacek Pietraś, Jan Rayss

6. *Mniejszości narodowe i religijne w Europie Środkowowschodniej.*
Wybrane materiały z konferencji: "Samoidentyfikacja narodowa i religijna a sprawa mniejszości narodowych i religijnych w Europie Środkowo-Wschodniej", zorganizowanej w dniach 19-21 października 1993 roku. Cz. 1

Redakcja naukowa: Jerzy Kłoczowski, Paweł Kras
Lublin 1993

Wydane w serii:
Materiały Instytutu Europy Środkowo-Wschodniej,
Tom VII
Red. Jerzy Kłoczowski, Henryk Gapski, Jerzy Bartmiński, Zdzisław Chlewiński, Wiesław Müller, Jacek Pietraś, Jan Rayss



7. *Mniejszości narodowe i religijne w Europie Środkowo-Wschodniej w świetle statystyk XIX i XX wieku.*
Materiały z międzynarodowej konferencji Mniejszości narodowe i religijne w pokomunistycznej Europie Środkowo-Wschodniej.
Lublin, 20-22 października 1992 roku.

Redakcja naukowa: Zygmunt Sułowski, Jan Skarbek
Lublin 1995

Wydane w serii:
Materiały Instytutu Europy Środkowo-Wschodniej,
Tom VII
Red. Jerzy Kłoczowski, Henryk Gapski, Jerzy Bartmiński, Zdzisław Chlewiński, Wiesław Müller, Jacek Pietraś, Jan Rayss

Witryna

8. Między wschodem i zachodem.
Międzynarodowa konferencja Lublin, 18-21 czerwca
1991.

Redakcja: Hanna Dylągowa, Mirosław Filipowicz
Instytut Europy Środkowo-Wschodniej Lublin 1994

9. Pojęcie ojczyzny we współczesnych językach
europejskich

Praca zbiorowa pod redakcją Jerzego Bartmińskiego
Instytut Europy Środkowo-Wschodniej Lublin 1993
Seria wydawnicza: Lubelskie Konwersatorium
"POGRANICZE", Tom 1

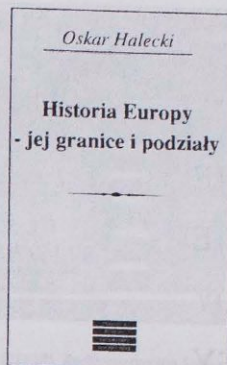
10. Folklor - Sacrum - Religia

Praca zbiorowa pod redakcją Jerzego Bartmińskiego i
Marii Jasińskiej-Wojtkowskiej
Instytut Europy Środkowo-Wschodniej Lublin 1995
Seria wydawnicza: Lubelskie Konwersatorium
"POGRANICZE", Tom 2

11. Belarus - Lithuania - Poland - Ukraine. The founda-
tions of historical and cultural traditions in East
Central Europe.

International Conference Rome, 28 April - 6 May
1990

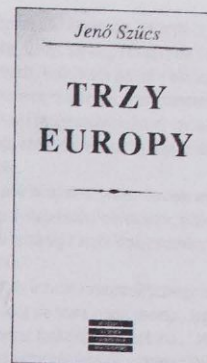
Editors: Jerzy Kłoczowski, Jarosław Pelenski, Marian
Radwan, Jan Skarbek, Stefan Wyleżek
Institute of East Central Europe - Lublin
Foundation John Paul II - Rome, 1994



OSKAR HALECKI: *Historia Europy - jej granice i podziały*. Przełożył J.M. Kłoczowski. Lublin 1994.

Książka ta jest pierwszym tomem w serii Biblioteki Europy Środkowo-Wschodniej wydawanej przez Instytut Europy Środkowo-Wschodniej w Lublinie. Redaktor serii, Jerzy Kłoczowski, w przedmowie pisze następująco: „Książka Oskara Haleckiego ukazała się w 1950 roku w języku angielskim w Nowym Jorku i Londynie i jest już dziś pozycją, wolno powiedzieć, klasyczną światowej literatury historycznej. Jej niezaprzeczną zasługą jest wprowadzenie do debaty historyczno-geograficznej na temat naszego kontynentu pojęcia Europy Środkowo-Wschodniej (angielska East Central Europe, niemiecka Ost-Mittel Europa) obejmującej, generalnie rzecz biorąc, kraje między Niemcami a Rosją. Halecki zamyka jakby debatę prowadzoną w latach dwudziestych i trzydziestych naszego wieku w gronie historyków polskich, czeskich i węgierskich z udziałem ich kolegów z innych krajów regionu, właśnie wokół pojęć takich jak Europa Wschodnia, Słowiańska, Środkowo-Wschodnia. Zorganizowana przez bliskiego współpracownika Haleckiego, profesora Marceliego Handelsmana, Federacja Towarzystw Historycznych Europy Wschodniej (1927) stwarzała dobre ramy do międzynarodowej współpracy i dyskusji”.

Propozycje Haleckiego wywarły wpływ zwłaszcza w nauce historycznej anglosaskiej i niemieckiej. W Polsce Halecki, emigrant polityczny ostro stawiający, także na forum międzynarodowym, sprawy niepodległości i zarazem tradycji unii federacji w Europie Środkowo-Wschodniej, był ostro zwalczany przez reżim komunistyczny. Dopiero po 1989 roku można było publicznie nawiązać do jego twórczości, między innymi przy powoływaniu w Lublinie jesienią 1991 roku polskiego Instytutu Europy Środkowo-Wschodniej.



JENŐ SZŰCS: *Trzy Europy*. Przełożył J.M. Kłoczowski. Lublin 1995.

Kierowany przez prof. Jerzego Kłoczowskiego Instytut Europy Środkowo-Wschodniej konsekwentnie zapoznaje nas z tą tradycją historiografii, która przeciwstawiła się utrwalałemu podziałowi Europy na Wschodnią i Zachodnią, doceniając odrębność i wagę Europy Środkowej lub Środkowo-Wschodniej. Ponieważ ta tradycja była szczególnie niepopularna w kręgach rosyjskich czy radzieckich, w krajach obozu socjalistycznego nie dopuszczano jej w ogóle do głosu.

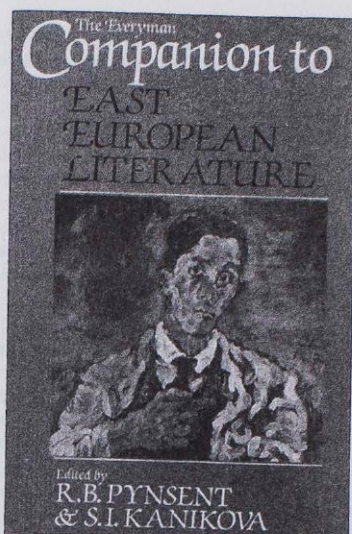
Słynna książka Jenő Szűcsa, węgierskiego historyka, ukazała się po raz pierwszy w postaci maszynopisu w podziemiu w roku 1981 dla uczczenia pamięci Istvana Bibó, mistrza i patrona tej książki. Owe tytułowe trzy Europy to: Zachodnia, Wschodnia i Środkowo-Wschodnia, którą tworzą, zdaniem autora, Polska, Czechy i Węgry w swych historycznych granicach, i której autor poświęca najwięcej uwagi. Ferdinand Braudel, autor przedmowy do wydania francuskiego tej książki, tak oto streszcza poglądy Szűcsa na wzajemne relacje Europy Środka z dwoma pozostałymi Europami, Wschodnią i Zachodnią: „Stykając się z nimi Europa Środkowo-Wschodnia skłania się raz ku jednej, raz ku drugiej z sąsiadek, zdradza jedną, wybiera drugą - nigdy jednak nie czyni tego tak całkiem dobrowolnie. Ten brak równowagi daje się we znaki Europie Środka, niszczy jej „strukturę”, sprawia, że cierpi i przez większość czasu nie może być do końca sobą. Czy jedynym powodem było jej położenie geograficzne, to nieuchronne „pomiędzy”? Sąsiedzi mają o wiele więcej możliwości: Zachód otwiera się na bezmiar Atlantyku, zdobywa Amerykę. Wschód poszerza się kosztem Azji. Zajęcie Kazania (1551) i Astrachania (1556) - równoznaczne z opanowaniem dorzecza Wołgi - a także aneksja polskiej Ukrainy (1667-1686) oraz podbój Syberii rozpoczęły w XVI w. - wszystko to czyni z Rosji rynek „gospodarki światowej”, na długo niezależny. Europa Środka nie będzie mieć nigdy tej niebywalej szansy poszerzenia swych granic i eksplozji terytorialnej. Zawsząd osaczyli ją sąsiedzi.”

ESEJE
DYSKUSJE
WYWIADY
RAPORTY
KORESPONDENCJE
PREZENTACJE FIRM
PRZEGLĄDY
KONFRONTACJE
KRONIKA
NOTY I RECENZJE

ZAMÓWIENIA:
80-835 GDAŃSK,
UL. SZEROKA 121/122,
TEL./FAX 319031, 313931

PRZEGLĄD POLITYCZNY

KWARTALNIK POLITYCZNY,
ISTNIEJE OD 1983 ROKU



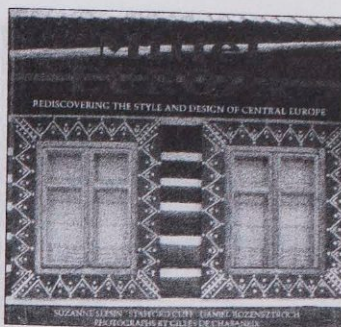
THE EVERYMAN COMPANION TO EAST EUROPEAN LITERATURE [Przewodnik dla każdego po literaturze Europy Wschodniej]. Edited by R.B. Pynsent and S.I. Kanikova. London 1993.

Pierwszy tego rodzaju obszerny, encyklopedyczny przewodnik w języku angielskim. Dotyczy literatur narodów, które w swej historii znajdowały się pod panowaniem Rosji, Turcji, Prus i Austrii. Takie kryterium wyboru sprawiło, że w części alfabetycznej obok siebie umieszczeni są pisarze następujących literatur: albańskiej, amerykańskiej, bułgarskiej, białoruskiej, litewskiej, macedońskiej, polskiej, rumuńskiej, serbskiej, słowackiej, słoweńskiej, serbo-łużyckiej, ukraińskiej, węgierskiej i jidiś.

Nie ma wśród nich pisarzy języków „Imperialnych”, a więc np. Kafki, Celawa czy Dostojewskiego. Pomiędzy zostali także pisarze, którzy za język swej twórczości wybrali angielski czy francuski (Conrad, Apollinaire).

Wybrani autorzy reprezentują daną literaturę na przestrzeni całej jej dziejów, od początków po współczesność (dla przykładu literaturę polską reprezentuje tu jeden pisarz od Reja do Barańczaka).

Osobną część poświęconą jest omówieniu dzieł anonimowych, tradycji ustnej i twórczości zbiorowej (m.in. tłumaczenia Biblii na poszczególne języki, apokryfy, hagiografia, romanse i literatura popularna). Przewodnik zawiera także krótką historię każdej z poszczególnych literatur oraz wyczerpujące indeksy.



MITTEL EUROPA. Rediscovering the Style and Design of Central Europe. [Odkrywanie na nowo stylu i wzorów Europy Środkowej.] Suzanne Slesin, Stafford Cliff, Daniel Rozensztroch. Photographs by Gilles de Chabaneix. New York 1994.

Aby dostrzec coś wyjątkowego, konieczne jest spojrzenie z dystansu. Mieszkańcy tej części kontynentu ciągle mają wątpliwości, czy termin Europa Środkowa znaczy coś więcej niż tylko określenie z prognozy pogody bądź z podręcznika geografii. Nie są pewni tego, co ich łączy i wolą podkreślać różnice.

Tymczasem ci, którzy przybywają z daleka w nasze strony po raz pierwszy i zaczynają je z pasją penetrować nie mają wątpliwości: Mittel Europa jest czymś rzeczywistym, a przynajmniej tak było kiedyś. Autorzy tej książki, urodzeni w Ameryce i we Francji już po drugiej wojnie światowej, wcześniej przygotowali już albumy o stylach Japonii, Grecji, Hiszpanii, Nowego Jorku i Wysp Karaibskich w słynnej w świecie serii wydawnictwa Clarkson Potter. Dzięki tej podróży dotarli jednak do krajów nie tak całkiem dla siebie egzotycznych - powrócili do miejsca swych żydowskich przodków; poznając Europę Środkową poznawali swe korzenie. To może jeszcze bardziej pobudziło ich pasję poznania i docierania do tego, co znane i co ukryte, dostrzegania i odczytywania znaczeń najdrobniejszych szczegółów. Wędrowali przez miasta i wioski od Wiednia do Triestu zanurzeni w „świecie dnia wczorajszego”, jak o Mittel Europie powiedział kiedyś Stefan Zweig. Śledzą zmieniające się style od gotyku po art-nouveau i funkcjonalizm w Wiedniu, Pradze i Budapeszcie, docierają także do wioski w wschodniej Słowacji, gdzie czas stoi w miejscu już od stuleci. Penetrują przestrzenie arystokracji, pałaców z barokowymi figurami Atlasa-boga cielesności; ot, chociażby taki pałac Revoltella, bankiera z Triestu (jego motto życiowe brzmiało: Honor - Refleksja - Wytrwałość), w którym już sama wybijaność rzeźby nóg od stołu i krzesel w bibliotece może przyprawić o zawrót głowy. Fascynujący jest świat bibliotek, w którym panuje przepych baroku i misteria rokoka, świat jezuickiego Clementinum czy Biblioteki Strahovskiej w Pradze.

Arystokratyczny szlak wędrowki wiedzie jeszcze po przez palmiarnie, jak choćby ta w ogrodach

Schönbrunn pod Wiedniem, pałacyki myśliwskie, parki aby zderzyć się nagle z nagością i ciepłem drzewa w izbach i kościołach gdzieś w okolicach Levočy, Bardiejowa czy Salzburga. Tutaj czasem kaffe do pieca, malunki na drewnianej skrzyni czy haft na serwecie, mają wzory równie oszałamiające jak te rzeźby Revoltella.

Na wsi pod Wiedniem pewien bankier wybudował sobie dom w stylu biedermeierowskim, gdzie elementy gotyckie łączą się z arabskimi, ceramika turecka z wenecką.

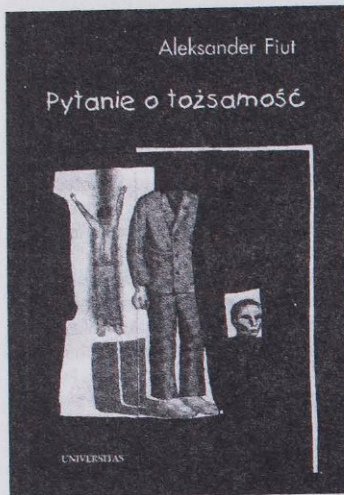
Wkraczamy w świat kosmopolitycznego mieszczaństwa. Rodzą się nowe mody: secesja, Jugendstil, art-nouveau, funkcjonalizm, kubizm... Mieszkanie Alfonsa Muchy mieściło się w domu z XVIII w. nieopodal Zamku Królewskiego, w samym sercu Pragi tyle orientalnego ornamentu i bizantyjskiego przepychu, zwierciadła weneckie, arabski dywan, rosyjska ikona, portret żony Manuski, fotografia z Gauguinem, fisharmonia, plakaty z Sarą Bernhardt, srebra w stylu art-nouveau i lampa w kształcie róży...

Z Pragi droga wiedzie do Szentendre na zachodnim brzegu Dunaju, do domu artystów, gdzie kunstowne meble ze starej apteki wypełnione są porcelanowymi figurkami bóstw różnych religii, starymi instrumentami muzycznymi, kolekcja lalek i starych narzędzi, gdzie węgierska sztuka ludowa sąsiaduje z tzw. sztuką wysoką.

Po tej różnorodnej mozaice jak zimny przysnuc działą zgrzebna i tylko trochę dziwaczna kubistyczna architektura praskich kamienic, a tym bardziej stroniący już od jakichkolwiek ozdób dom w Wiedniu, który Ludwig Wittgenstein zaprojektował dla swej siostry w stylu funkcjonalizmu.

Na koniec autorzy przygotowali specjalną „Gazette” złożoną z wycinków z prasy anglojęzycznej o Mittel Europie w latach 1683-1939.

Ten znakomity album dokumentuje świat niezwykle zróżnicowany i wielobarwny, ale też nie sposób nie dostrzec, że wszystko to składało się na jedną środkowoeuropejską cywilizację, niepowtarzalną.



ALEKSANDER FIUT: Pytanie o tożsamość.
Kraków 1995.

Aleksander Fiut pytał o tożsamość już we wcześniejszych swoich książkach poświęconych twórczości Wilihelma Macha i Czesława Miłosza.

W wydanych obecnie studiach i szkicach publikowanych z lat 1991-1993 interesują go pisarze, którym tożsamość jawi się jako problem. Są wśród nich m.in. Gombrowicz, Bobkowski, Wat, Konwicki, Chwin, Huelle i ponownie Miłosz.

Literatura współczesna, którą Fiut poddaje analizie jest świadectwem epoki chorej na „kompleks nie-identyczności”, w której z trudem przechodzi nam rozpoznać się w „jestestwie swoim”.

„Pytanie o tożsamość” rozpięte jest pomiędzy refleksją o „śmierci człowieka historycznego” (Kołakowski), który uczestniczył we wspólnej przeszłości czerpiąc z tego oparcie, a próbami nowego, nowożytnego samookreślenia się, które ciągle są jeszcze nierozstrzygnięte, „dają impuls do intelektualnych i artystycznych poszukiwań”.



LEOŠ ŠATAVA: Národnostní menšiny v Evropě. Encyklopedická příručka. [Mniejszości narodowe w Europie. Przewodnik encyklopedyczny.]
Praha 1994

Książka Leoša Šatavy, czeskiego etnografa, usiłuje przedstawić wszystkie europejskie grupy etniczne pozbawione swego państwa narodowego lub żyjące poza nim.

Pominięte zostały kraje europejskiej części byłego ZSRR (wyjątek stanowią kraje bałtyckie) oraz Turcja. Państwa europejskie w liczbie 42 (są wśród nich również Andora, Gibraltar czy Watyka; uwzględniono także osobno byłą Czechosłowację i Jugosławię) ułożone zostało w porządku alfabetycznym. Natomiast materiał w obrębie danego państwa uporządkowany został poprzez wyodrębnienie czterech kategorii:

A - grupy etniczne nieposiadające własnego państwa; czasem ich liczebność jest niewielka (np. Litwowie żyjący w Łotwie liczą ok. 140 osób), czasem bardzo duża (np. blisko 7 milionów Katalończyków w Hiszpanii);

B - wspólnoty etniczne posiadające swe państwo narodowe, ale żyjące poza jego obrębem na skutek bądź to przesunięcia się granic państwowych (np. Węgrzy w Rumunii), bądź to migracji (np. Macedończycy w Polsce);

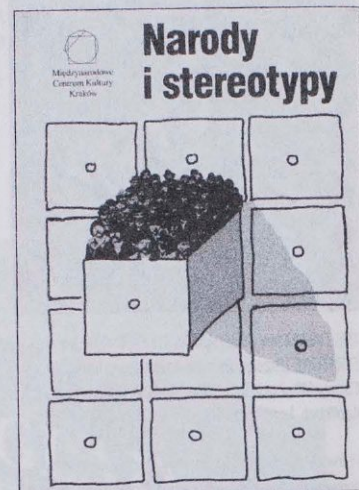
C - szczególnie wspólnoty etniczne nieposiadające wszystkich cech charakteryzujących zwykłe naród, ale odrębne dzięki sposobom życia, kulturze i niepowtarzalnym dziejom (np. Romowie - Cyganie, Żydzi); kategoria ta wyróżnia także przypadki z pogranicza grupy społecznej i etnicznej (np. Irlandcy „Travellers”);

D - posiadające większą odrębność grupy etnograficzne należące do któregoś z europejskich narodów;

1) przypadki z pogranicza grupy etnograficznej i językowej (np. Kaszubi, Sardyńscy)

2) bardzo szczególne subetniczne grupy, które uzyskały swą odrębność dzięki procesom historycznym czy kulturowym (np. Ghegowie i Toskowie w Albanii, Pomakowie w Bułgarii).

Książka jest bogato uzupełniona mapami, obszerną bibliografią i indeksem wspólnot etnicznych zawierającym prawie 400 haseł.



Narody i stereotypy. Pod redakcją Teresy Walas. Międzynarodowe Centrum Kultury: 1995.

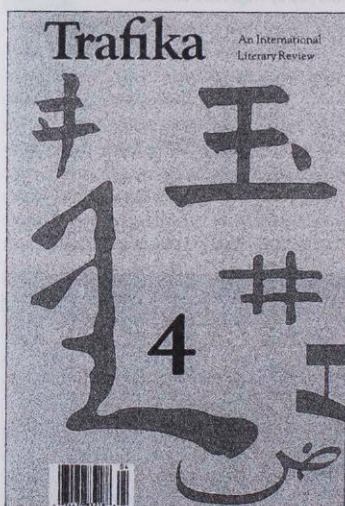
Źródłem materiałów zebranych w tej książce było sympozjum „Narody i stereotypy” zorganizowane w 1993 roku w Krakowie przez Międzynarodowe Centrum Kultury. Teresa Walas autorka programu sympozjum starała się zachować w książce jego charakter, choć z niektórych wystąpień zrezygnowała niektóre autorzy napisali ponownie lub wycofali, a także pojawiają się teksty nowe.

Książka posiada podobne walory, co niezapomniane krakowskie spotkanie: gromadzi wypowiedzi grona wybitnych osobowości (Miłosz, Błoriski, Venclova, Dedecius, Kiss, Zanussi, Barańczak), unika hermetycznego naukowego języka, mówi o stereotypach i poważnie i żartobliwie, a przede wszystkim bardzo różnorodnie. Z wypowiedziami obniżającymi destrukcyjne działanie stereotypów sąsiadują zupełnie odmienne, jak choćby Krzysztofa Zanussiego: „Obce jest mi poczucie, że stereotyp w jakiegokolwiek postaci, w tym także stereotyp narodowy, jest pojęciem negatywnym, niekorzystnym dla wzajemnego porozumiewania się społeczeństw”. Dobrze się stało, że problem postrzegany jest z tak różnych punktów widzenia: historyka, artysty, socjologa, dyplomaty i satyryka.

Najwięcej miejsca książka poświęca stereotypom istniejącym pomiędzy poszczególnymi, najczęściej sąsiadującymi ze sobą, narodami. Ponadto przedstawione jest funkcjonowanie stereotypów w sztuce,

dyplomacji i wśród studentów. Osobny dział stanowi świadectwo biografii Miłozsa, Dedeciusa i Venclovy. Całość zamykają teksty analizujące zjawisko ksenofobii i narodowego populizmu w społeczeństwach amerykańskim, francuskim i zachodnioeuropejskim. Do pełni obrazu brakuje może najbardziej tekstów traktujących o obecności stereotypów, złowieszczej przecież, w środkach masowego przekazu.

„W średniowieczu i aż do połowy XVI wieku w Polsce uznawano wyższy poziom cywilizacyjny Czech, a polscy pisarze lubili używać bohemizmów stawiając za wzór swoim rodakom język czeski. W tym samym czasie wśród Czechów, w tym także wśród intelektualistów doceniających szybki rozwój literatury polskiej, panowało przekonanie, że język polski jest śmieszny i brzydki. W 1571 roku wybitny filolog i teolog czeski, Jan Blahoslav, pisał, że Polaków wyróżnia to, iż mówią „przez nos” i że ich język jest brzydki. Polski przypomina Czechom język małych dzieci, które nie potrafią jeszcze dobrze mówić. Poza tym, w polskiej leksyce są wyrażenia, które w czeskim uznano by za przestarzałe, należące do języka, jakim mówi się na wsi. Dlatego wielu Czechów śmieje się z języka polskiego, sądząc, że jest on anarchiczną, prymitywną i infantylną deformacją języka czeskiego.”



TRAFIKA. An International Literary Review.
New York - Prague.

Dzisiejsza Praga przyciąga wielu Amerykanów. Mówi się nawet o dwudziestu tysiącach obywateli amerykańskich mieszkających w stolicy Czech. Są wśród nich również młodzi pisarze i artyści, którzy to właśnie miejsce na mapie świata wybrali za centrum swojej twórczej działalności. I to z tego środowiska czterech młodzi Amerykanie wiosną 1993 roku powołali do istnienia międzynarodowy magazyn literacki „Trafika”

(Tak nazywają się w Pradze kioski z gazetami, miejsca - skrzyżowania wieści z całego świata). Twórcy pisma wierzą w uniwersalizm literatury. Język angielski ma być nową „lingua franca”, za pomocą której ludzie z całego świata mogą komunikować się ze sobą. „Trafika” publikuje prawie wyłącznie czystą literaturę, bez opracowań teoretycznych, omówień itp. Wielką wagę przywiązuje się do jakości przekładu oraz do tego, aby były to utwory po raz pierwszy publikowane w języku angielskim. Całość redagowana jest bardzo starannie i w taki sposób, aby czytelnik mógł wyłącznie skupić się na literaturze.

W ostatnim numerze słowacka powieściopisarka Tereza Boučková sasiaduje z włoskim poetą Eduardo Albinati i poetą chińskim Xiao Kaiyo. Średnia wieku autorów publikowanych w „Trafice” nie przekracza czterdziestu lat.

Nakład pisma wynosi 4 tysiące egzemplarzy, z czego połowa dystrybuowana jest w Stanach Zjednoczonych a połowa w krajach europejskich.

„Trafika” organizuje również w Pradze spotkania z wybitnymi pisarzami m.in. Yusefem Kumunyakka (otrzymał Poetycką Nagrodę Pulitzera w 1994 r.), Drago Jančarem, P.J. O'Rourke, Richardem Fordem. W 1994 r. razem z Central European University zorganizowała w Pradze seminarium „Literatura i nacjonalizm” z udziałem Slavenki Drakulić, Adama Michnika i Martina M.Šimečki.

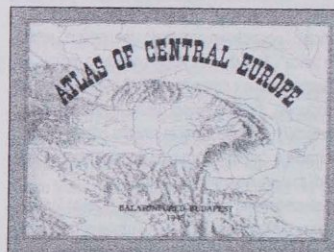


Ivan Diviš: Teorie spoehlivosti (Teoria spoehlivosti),
Wyd. Torst, Praha 1994

Wyboru i opracowania dzienników jednego z najwybitniejszych czeskich poetów awangardowych, współtwórcy „Grupy 42” i jej programu „nowej twórczości” podjął się Ivan Wemisch. Wybór obejmuje

zapiski z lat 1960-1994 i liczy blisko 700 stron. W 1968 r. Diviš pisał, że interesuje go człowiek „jako skrajnie niezależny, dojrzały owoc cierpienia, cyster-na napelniona olejem empirii”.

Jego notatki obfitują na opisy spotkań z pisarzami różnych pokoleń, w komentarze literatury czeskiej i światowej. Dotyczą np. historii nędzy licznej rodziny Josefa Floriana, wydawcy i tłumacza metafizycznie zorientowanych utworów literackich lat 20. i 30. a także nieubłaganego krytyka czeskiej małostkowości; Vladimira Holana, którego słynny epos „Noc z Hamletem” powstawał w ciągu dwóch lat właściwie z fragmentów przepisywanych na maszynie przez redaktora Vladimira Justla, ponieważ autor uważał świadectwo o tragicznie trudnym wydobyciu sensu z języka za kwestię sumienia poety, a więc sprawę niepubliczną.



Andrew Rónai: Atlas of Central Europe.
Budapest 1945 (reprint 1995), s. 367.

Andrew Rónai (1906-1991) urodził się w rodzinie seklerskiej w Siedmiogrodzie. Podczas drugiej wojny światowej jako dyrektor Instytutu Nauk Politycznych przygotował Atlas Europy Środkowej. Pracę nad nim ukończył w 1945 roku, tuż przed wkroczeniem wojsk radzieckich...

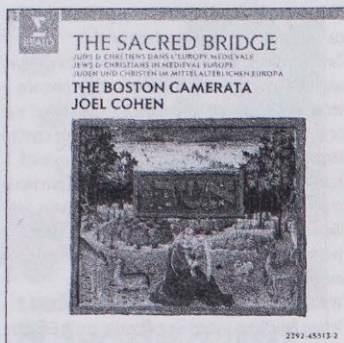
Atlas zawiera 171 kolorowych map przedstawiających geologię, geografie, populację, narodowości, religie, rolnictwo, bogactwa mineralne, handel i transport Europy Środkowej. Każdej mapie towarzyszy krótki komentarz i dane statystyczne. Atlas oparty na rzetelnych źródłach z lat 1930-1940 i badaniach naukowych do dziś zachował aktualność.



ČESKÉ A MORAVSKÉ LIDOVÉ BALADY.
Zespół „Musica Bohemica” pod dyрекcją Jaroslava Krčeka.
„Supraphon” Stereo 1117 4163 G

Ballady w repertuarze pieśni ludowych pojawiają się bardzo rzadko i darzone są szczególnym szacunkiem. Samo słowo wywodzi się z łacińskiego „ballare” - tańczyć i początkowo oznaczało rzeczywiście „pieśni do tańca”. Ale już od XV wieku ballady to pieśni liryczno-epickie z refrenem. W XVIII wieku w Europie Środkowej, dzięki wpływom pieśni angielskich i szkockich, ballada oznacza smutną i długą pieśń narracyjną opowiadającą o tragicznych zmaganiach bądź to z siłą demoniczną, bądź to ze społeczeństwem i jego moralnością. Często formą wyrazu był bezpośredni dialog. Później pojawiły się również ballady ze szczęśliwym zakończeniem, jak ta, która otwiera płytę o odnalezieniu zaginionej siostry pt. *Rycerzy przekraczali rzekę...*

Jak inne pieśni ludowe opowiadały o charakterystycznych zdarzeniach z życia codziennego, tak ballady są mikro-dramatami, przywołującymi jakieś szczególne wydarzenia z życia rodziny czy wspólnoty. W Czech i na Morawach śpiewano je podczas przędzenia wełny, wieczorami przed zgaszeniem świecy, czasem podczas wesela. Bardzo rzadko ballady i to tylko te, które kończyły się szczęśliwie, znajdowały się w repertuarze kapel grających do tańca. Podczas gdy w Czechach tradycyjnie śpiewały je kobiety, to w południowo-wschodnich Morawach stanowiły domenę wśród męskich wykonawców. Prezentowane na płycie osiem ballad pochodzi z dziewiętnastowiecznej kolekcji Erbena i Sušila, którzy bardziej preferowali tematykę czarnej magii i ziemskich mocy władających przeznaczeniem niż historycznych bitew i sentymentalnych miłości. Jan Krček z zespołem Musica Bohemia starając się odkryć całą archaiczność tych pieśni, nadaje im współczesne brzmienie.



THE SACRED BRIDGE. Jews and Christian in Medieval Europe.
Erato-Disques S.A. 1990, 2292-4513-2

Tytuł tej płyty, *Święty Most*, został zaczerpnięty z pionierskiej książki Erica Wemera poświęconej studiom nad wzajemnymi wpływami żydowskiej i chrześcijańskiej muzyki liturgicznej.

Większość muzyki prezentowanej na tej płycie powstała w najbardziej smutnych i mrocznych zaułkach starej Europy - w gettach. Płytę otwierają „pieśni wygnania”, w tym pieśń sefardyjska *Bore ad ana* zachowana w wersji hebrajskiej i hiszpańskiej.

Psalm 114 wykonywany zarówno w wersji aszkenazyjskiej (herbskiej), jak i gregoriańskiej (łacińskiej) jest prawdopodobnie najstarszą pieśnią z tej płyty. Jego wersje zachowały się niezależnie i w tradycji chrześcijańskiej i żydowskiej, a są niemal identyczne, muszą mieć więc wspólne, przedchrześcijańskie źródło. Przepuszcza się, że pieśń ta powstała w I w. p.n.e. i była znana Jezusowi. Z kolei pieśń *Mi al har Horeb*

jest najwcześniej zapisanym utworem w historii żydowskiej muzyki. Jej dzieje związane są z sycylijskim mnichem Giovannim żyjącym w XII w., który przeszedł na judaizm, wywędrował do Egiptu, przyjął nowe imię Obadaiah i przekazał tamtejszej gminie żydowskiej zapis tej pieśni. Właściwie każda z pieśni tej płyty ma swoją odrębną historię. Znajdziemy tu jeszcze pieśni żydowskich minstrelów na dworach chrześcijańskich, żydowskie pieśni ludowe z obszaru śródziemnomorskiego i pieśni mistycznej Hiszpanii. Całość w znakomitym wykonaniu The Boston Camerata pod dyrekcją Joela Cohena.

KWARTALNIK ARTYSTYCZNY
KUJAWY I POMORZE

AMICHAJ • BECKETT • BŁOŃSKI • BOBKOWSKI • CIESIELSKA • CHWIN • ELIOT • FIUT • GINSBERG
GŁOWIŃSKI • KORNHAUSER • LIBERA • MIŁOŚZ • PINTER • POMORSKI • RÓŻEWICZ • SZCZEPAŃSKI

Prenumerata roczna: 20,- PLZ (4 numery wraz z kosztami wysyłki)
DLA PRENUMERATORÓW GWIAZDKOWY PREZENT
Wpłaty prosimy kierować na konto: Wojewódzki Ośrodek Kultury
PBKS II O/Bydgoszcz 360801-902779 (Kwartalnik Artystyczny)

PROZA POEZJA ESEJ
ROZMOWY PLASTYKA

adres redakcji: ul. Toruńska 30, 85-023 Bydgoszcz, skr. poczt. 32
tel. (0-52) 71 91 56 w. 118, fax (0-52) 71 91 58



SCHOLA GREGORIANA PRAGENSIS: BOHEMORVM SANCTI IN CAELESTI JERUSALEM (Czescy Święci w Świętym Jerozolimie)
SUPRAPHON 1994, SU 0003-2 231 DDD

Chór „Schola Gregoriana Pragensis” został założony w 1987 roku przez Davida Ebena, absolwenta kursu „Dyrygowanie Śpiewem Gregoriańskim” w Konserwatorium Paryskim. Przygotowując swój repertuar chór stara się dotrzeć do najstarszych zapisów śpiewu gregoriańskiego możliwie wiernie je odtwarzając, a także do czeskiej tradycji interpretacji muzyki gregoriańskiej.

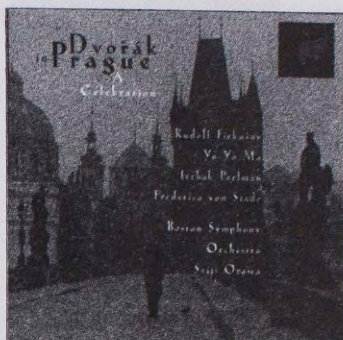
W historii narodu czeskiego ważną rolę odegrali święci, których kult przybrał na sile zwłaszcza pod koniec XIV wieku. Wówczas też skomponowano wiele pieśni liturgicznych im poświęconych.

Piersza część płyty poświęcona jest św. Adalbertowi (Wojciechowi), drugiemu biskupowi Pragi, który zginął śmiercią męczennika podczas swej podróży misyjnej do Prus w 997 roku.

Drugie officium poświęcone jest św. Ludmile, która zginęła z ręki swej pogańskiej synowej w 921 roku. Poetycki tekst w jej męczeńskim życiu pochodzi prawdopodobnie z XVII wieku, natomiast melodia zawiera już elementy śpiewu polifonicznego.

Kolejne officium poświęcone jest św. Prokopiuszowi, pustelnikowi i założycielowi klasztoru.

Najdłuższa część płyty stanowi blok kompozycji poświęconych św. Wacławowi, władcy Czech, który dokonał ich chrztu, zamordowanemu przez brata w drodze do kościoła około roku 929. Blok ten otwiera najstarsza czeska pieśń *Svatý Václave*, datowana na początek XIII wieku lub nawet wcześniej; pieśń tą tradycyjnie śpiewano przy koronacji królów czeskich. Ostatnią część płyty stanowią pieśni gregoriańskie, mówiące o Świętym Mieście Jerozolimie i Najświętszej Marii Pannie, Królowej Świętych.



„DVOŘÁK IN PRAGUE” A celebration
Rudolf Firkušný (fortepian), Yo-Yo Ma (wiolonczela), Itzhak Perlman (skrzypce), Frederica von Stade (mezzo-sopran), Chór Filharmonii Praskiej oraz Bostońska Orkiestra Symfoniczna pod dyktando Seiji Ozawy. 1994 Sony Music Entertainment Inc. SK 46687 DDD

Antoni Dvořák przybył do Pragi w 1857 roku, by kontynuować studia muzyczne w szkole organistów. Z niewielkimi przerwami przebywał w Pradze do końca życia. Grał na altówce w orkiestrze Smetany, był organistą kościoła św. Wojciecha, otrzymał doktorat honoris causa Uniwersytetu Karola, wreszcie został członkiem parlamentu i dyrektorem konserwatorium praskiego. Pochowany został w 1904 roku na cmentarzu wyszehradzkim.

W grudniu 1993 roku kilku światowej sławy artystów przybyło do Pragi, aby w słynnej Sali Smetany zaprezentowanej w stylu *art nouveau*, wykonać wspaniałe koncerty muzyki Dvořáka. Był to pierwszy koncert Itzhaka Perlmana w Pradze, a Bostońska Orkiestra Symfoniczna przyjechała tutaj po trzydziestosiedmioletniej przerwie.

Płytę otwiera słynna *Uwertura Kamawajowa* z cyklu *Natura, Życie i Miłość* powstałego w 1891 roku. *Humoreski* w transkrypcji Oskara Moraweta na skrzypce, wiolonczelę i orkiestrę to popis kunsztu dwóch znakomych wirtuozów: Itzhaka Perlmana i Yo-Yo Ma. Równie znakomicie brzmią w tym wykonaniu *Tarńce słowiańskie* E minor. W *Dumkach* u duet do mistrzów dołącza jeszcze Rudolf Firkušný na fortepianie. Wiele wspaniałej wirtuozerii odnajdziemy również w utworach *Romance* F minor (Perlman), *Spokój* (Yo-Yo Ma), *Humoreski* E minor (Firkušný) oraz w arii *Księżycu na głębokim niebie* z pierwszego aktu *Rusałki* (Frederica von Stade) i *Melodiach cygańskich* na głos i fortepian (von Stade, Firkušný).



„SEPHARDIC SONGS” ARTA Records, Prague 1993, F1 0047-2 DDD
Jana Lewitová (mezzo sopran), Rudolf Mzyński (lutenia renesansowa)

31 marca 1494 roku w Granadzie królowa Hiszpanii Izabella wydała dekret nakazujący wszystkim Żydom opuścić jej królestwo, konfiskując ich majątki i zakazując powrotu. Rozpadła się w ten sposób niezwykle bogata, tolerancyjna kultura stworzona w średniowiecznej Hiszpanii wspólnie przez chrześcijan, Arabów i Żydów. Sefardyjscy uchodzący zabrali ze sobą pieśni, które w rozmaitych enklawach basenu Morza Śródziemnego zachowali do dzisiaj. W połowie XVI wieku słynny muzykant i kompozytor Alonso Mudarra dokonał aranżacji tych pieśni dla dworu hiszpańskiego.

Słuchając dzisiaj pieśni sefardyjskich śpiewanych w Ladino, szczególnie w dialekcie języka hiszpańskiego, poznamy nie tylko tradycję żydowską, ale także podróżymy ku korzeniom muzyki europejskiej, odnajdując tutaj przenikające się starożytne motywy hiszpańskie, francuskie, arabskie, żydowskie i in.

Płyta nagrana przez znakomych praskich muzyków, specjalizujących się w muzyce renesansu i baroku, Janę Lewitową i Rudolfa Mzyńskiego, oddaje całe bogactwo i niepowtarzalny klimat pieśni sefardyjskich. Została bardzo starannie przygotowana.

Do współpracy zaproszeni zostali instrumentalni: Hana Fleková (viola da gamba), Ingeborg Esdnis (viola da gamba), Pavel Píška (instrumenty perkusyjne). Całe wykonanie oparte zostało na możliwie precyzyjnym odczytaniu piętnastowiecznej hiszpańskiej tradycji interpretacji pieśni i akompaniamentu. Do płyty dołączone zostały również słowa wszystkich pieśni w oryginale, języku czeskim i angielskim.

BIBLIOTEKA KRASNOGRUDY



Żywa opowieść o Cyganach, ich dziejach i obecności we współczesnej Europie.

Autorem jest wybitny znawca problematyki cygańskiej, dyrektor Muzeum Okręgowego w Tamowie, gdzie utworzył pierwszą na świecie stałą ekspozycję historii i kultury Cyganów, członek komisji informacyjnej Światowego Związku Cyganów - Romani Unia.

Książka w sposób przystępny i pełen erudycji zarazem przedstawia wędrówkę Cyganów z Indii do Europy, ich ciągłe prześladowanie aż po „zapomniany holocaust” i pogromy ostatnich lat, ich język, kulturę i obyczajowość tak długo owiane nimbem tajemnicy, ich próby ukształtowania narodu mające swe pełnoprawne przedstawicielstwo w Parlamencie Europejskim.

Książka bogato ilustrowana (w tym fotografie barwne), zawiera indeks i aneksy prezentujące antygańskie dokumenty urzędowe.

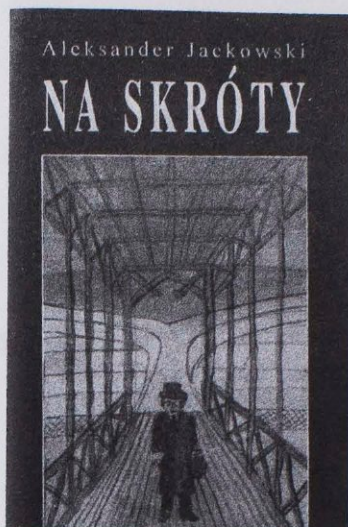


Wydawało by się, że po książkach braci Singerów, Rotha i Strykowskiego, po powieściach chasydzkich Bubera, Wiesela i Langer'a, trudno jest napisać cokolwiek nowego o niewytkłym kosmosie zrodzonym wśród społeczności żydowskiej w Europie Środkowo-Wschodniej. Tymczasem Grigorij Kanowicz w swoich powieściach tworzy świat przejmująco autentyczny i pełen tylko sobie właściwej mądrości. Ta wielka saga Żydów zamieszkujących wieś i miasteczka dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego z powieści na powieść staje się coraz bardziej fascynująca i niepowtarzalna. Oddajemy do rąk czytelnika książkę, która zdaniem samego autora jest najlepszą z dotychczas przez niego napisanych.

Kanowicz jest pisarzem Jerozolimy Północy - Wilna, które tym razem jest tłem dramatycznych wydarzeń dziejących się na przełomie XIX i XX wieku. **Koziołek za dwa grosze** nie zawiedzie polskiego czytelnika znającego już **Świecie na wietrze** oraz **Łzy i modlitwy głupców**.



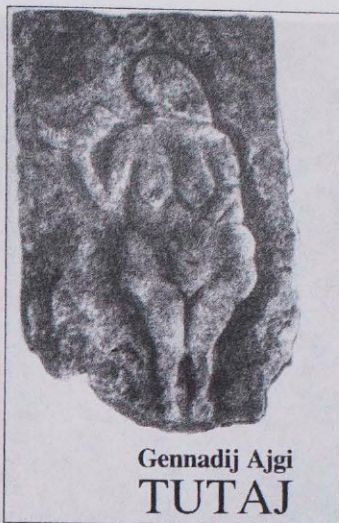
BOŻA PODSZEWKA – pisze autorka – jest opowieścią o losie niesfornej kobiety ze szlacheckiego zaścianka na Wileńszczyźnie, jej rodzinie oraz wydarzeniach jakie tam miały miejsce od początku naszego wieku po drugą wojnę światową. Wszystko osnute jest na tle wspomnień matki i moich. **A jednak nie wszystko odpowiada prawdzie. Takich Juryszek nie ma na mapie. Jedna z kuzynek po obejrzeniu mojej sztuki Wujony wyszła zbulwersowana: „Skąd u ciebie takie dziwne skojarzenia? - spytała. Musiałaś to wszystko wymyśleć.”** Tak więc i Bożą podszewkę w pewnym sensie wymyśliłam. **W końcu jest to powieść, a nie pamiętnik. Nie pisałam jej ani z tęsknoty, ani z sentymentu do Wileńszczyzny, ale z fascynacji i miłości do ludzi tam żyjących i w imię tego niech jej będzie wiele przebaczone.**



Na skróty Aleksandra Jackowskiego to literatura faktu, fascynujące świadectwo burzliwych dziejów polskiego inteligenta żyjącego w „ciekawych” czasach i miejscach: pod okupacją hitlerowską w Warszawie i sowiecką we Lwowie, na syberyjskim zesłaniu, na bojowym szlaku dywizji kościuszkowskiej, a później – po wojnie – w zamkniętym, dziś już egzotycznym świecie prominentów i działaczy partyjnych, ciotek rewolucji, zaczadzonych lub zastraszonych stalinizmem artystów i intelektualistów. Książki „Na skróty” mimo formalnych powinowactw nie da się wtłoczyć w schemat wspominkarstwa działaczy i kombatan-tów.

Stefan Starczewski

Aleksander Jackowski, antropolog kultury, krytyk sztuki. Redaktor kwartalnika „Konteksty. Polska Sztuka Ludowa”. Autor kilkuset tekstów o sztuce profesjonalnej i nieprofesjonalnej, twórczości ludowej, naiwnej i „innej”, m.in. książek: *Sztuka ludu polskiego* (1965) oraz *Sztuka zwana naiwną* (1995). Autor wielu wystaw w kraju i zagranicą. Do 1984 r. kierownik pracowni sztuki nieprofesjonalnej w Instytucie Sztuki PAN. Współpracuje z Fundacją Kultury, z Centrum Animacji Kultury. Wykładowca w Katedrze Etnologii Uniwersytetu Warszawskiego.



Gennadij Ajgi
TUTAJ

Gennadij Ajgi, urodzony w 1934 roku w małej czuwaskiej wiosce, uznawany jest za jednego z najwybitniejszych żyjących poetów rosyjskich. Autorem wyboru tekstów, przekładów i posłowia jest Wiktor Woroszyński.

Książka zawiera obszerną rozmowę Natalii Woroszyńskiej z poetą, eseje o poezji, o Pasternaku i Majakovskim oraz wiersze.



Daniel Beauvois jest profesorem historii narodów słowiańskich na Uniwersytecie Paryskim I – Sorbonie. Wcześniej był dyrektorem Centrum Kultury Francuskiej Uniwersytetu Warszawskiego, potem Ośrodka Studiów nad Kulturą Polską Uniwersytetu Charles de Gaulle'a w Lille. Całość dorobku naukowego Beauvois związana jest z dziejami Polski. Szczególnie interesuje Go złożona problematyka współistnienia Polaków z innymi narodami na ziemiach wschodnich dawnej Rzeczypospolitej oraz promieniowanie tam kultury polskiej. Poświęcone temu są dzieła Beauvois, poczynając od dwutomowego: *Szkolnictwo polskie na ziemiach litewskoruskich 1803-1832*, gdzie główną uwagę skupił na Uniwersytecie Wileńskim oraz następnego: *Polacy na Ukrainie 1832-1863: Szlachta polska na Wołyniu, Podolu i Kijowszczyźnie*. Przedłużeniem tego jest niniejsza książka. W obu przedstawia ucisk caratu i jego politykę wymierzoną przeciw polskiemu stanowi posiadania na Ukrainie, ale równoległe - sprzeczności i konflikty pomiędzy polskim ziemiaństwem i ukraińskim chłopstwem oraz wywłaszczenie drobnej szlachty czynszowej przez wielką własność, wspieraną w tym przez rosyjski aparat władzy. Najlepszy znawca dziejów XIX w. Stefan Kieniewicz pisał, że Beauvois obalił dominującą w polskiej literaturze mit „sielskiej, anielskiej Ukrainy”, a jego ustalenia określił mianem naukowej sensacji. W ślad za tym Uniwersytet Wrocławski nadał Mu tytuł doktora honoris causa, a Polska Akademia Nauk powołała w poczet członków zagranicznych. Ostatnio w Paryżu w serii „Narody Europy” ukazała się pióra Beauvois jednotomowa synteza *Histoire de la Pologne*

Prof. Juliusz Bardach

Zrozumieć Bosniackich

Sponsors
The Ford Foundation
Fundacja Batorego

POGRANICZE
Sejny/Poland
october
1995



Fotografia
Marki Świrupki
Projekt graficzny
Krzysztof Cudowski, Czestny Katar



antologia poezji słoweńskiej

SREBRO I MECH
MAH IN SREBRO



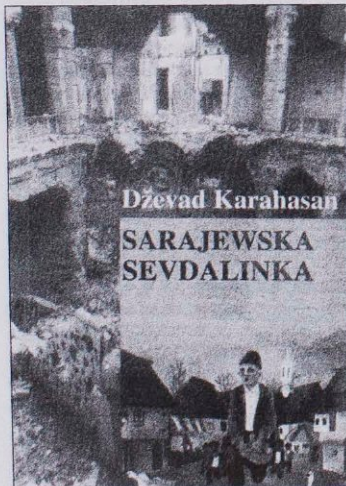
Prezentowany wybór poezji słoweńskiej, pomyślany został jako wybór autorski. Otwierają go wiersze urodzonego w roku 1800 Franče Prešerna, zamyka poezja Uroša Zupana, rocznik 1963. Zakreślona w ten sposób przestrzeń, nie ma charakteru reprezentacyjnego, ani historycznego, nie budują jej literackie epoki czy okresy. W pracy nad tą książką, chodziło mi przede wszystkim o dotarcie do poezji epifanicznej, objawiającej zjednanie poety

z żywiołami istnienia. W konsekwencji takiego zamierzenia, przestają się liczyć różne „tia” historyczne i uwzględnianie pozapoetyckich okoliczności. Dzieje pewnej poezji narodowej to jednak inna sprawa niż blask sprawców jej rozwoju.

Katarina Szalamun - Biedrzycka
autorka wyboru i przekładu.

Książka Karahasana jest tym, co świat utracił, tracąc Sarajewo. Jest opisem miasta, którego różnorodność jest słabością i siłą. Tak długo, jak wszystkie sprzeczne jego elementy: muzułmański i prawosławny, katolicki i żydowski, współistniały ze sobą w napięciu, które stanowiło o istocie miasta, tak długo Sarajewo istniało i kwitło. Wystarczyło, by jeden z nich się wycofał, a miasto runęło jak domek z kart.

Dawid Warszawski



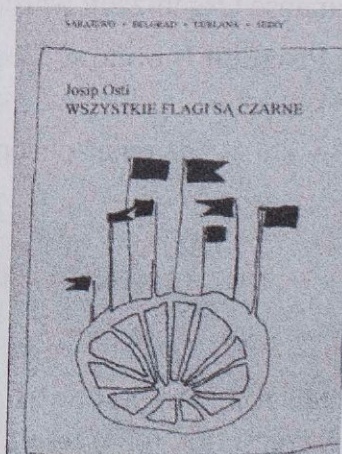
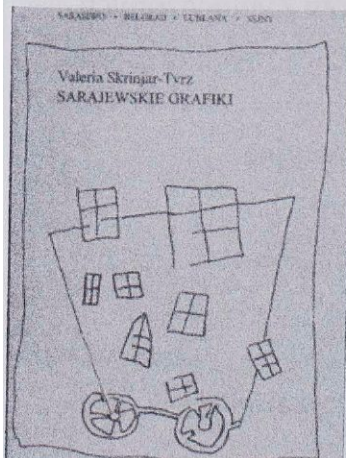
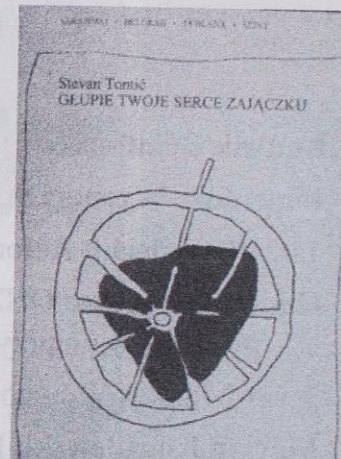
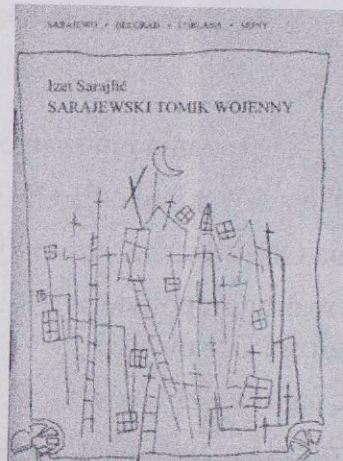
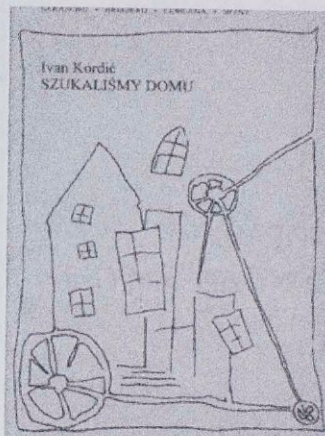
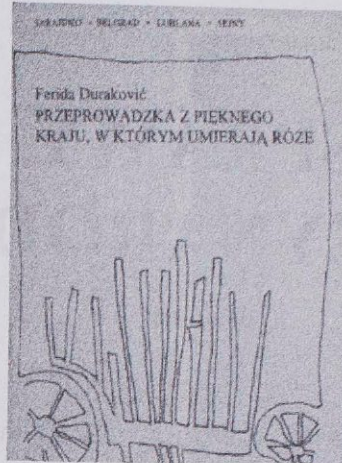
Dževad Karahasan jest jednym z najwybitniejszych bośniackich pisarzy, autorem powieści, dramatów i esejów. Książka *Dnevnik selidbe* (*Dziennik przesiedlenia*, 1994) przyniosła mu w tym roku Europejską Nagrodę Literacką za esej. Jej polskie wydanie pt. *Sarajewska sevdalinka* zostało poszerzone o eseje najnowsze

Witryna

BIBLIOTEKA PISARZY SARAJEWA

Publikując twórczość pisarzy Sarajewa w formie małych książeczek, przyłączamy Sejny do Sarajewa, Belgradu i Lublany, przyłączamy się do inicjatywy Radia B-92 z Belgradu i biblioteki „EGZIL-abc” z Lublany. Wśród autorów znajdują się pisarze, którzy pozostali w obłożonym Mieście oraz ci, którzy udali się na emigrację. Są wśród nich Muzułmanie, Chorwaci, Serbowie i Słowacy. Reprezentują różne wyznania. Łączy ich obywatelstwo Sarajewa, co jest może najistotniejszym określeniem ich tożsamości. Teksty składające się na małe książeczki powstały podczas wojny, noszą jej piętno, próbują się z nią zmierzyć. Są świadectwem czasu, w którym trudno jest pisać, ale jeszcze trudniej milczeć!

Tę publikację przygotowaliśmy w ramach projektu „Zrozumieć Bośnię”. Dziękujemy Fundacji Forda i Fundacji Batorego za pomoc. Dziękujemy Čedo Kisicić, tłumaczom i wszystkim, którzy bezinteresownie z nami współpracowali.



SPRAWY MIĘDZYNARODOWE

1995, nr 1

poświęcone 50. rocznicy utworzenia ONZ
ze wstępem ministra spraw zagranicznych
Władysława Bartoszewskiego

Ludwik Dembiński: ONZ – wyzwania i możliwości

Eugeniusz Wyzner: Polska a 50 lat istnienia ONZ

Jan Woroniecki: Reforma ONZ: szanse, kierunki, perspektywy

Hanna Suchocka: ONZ w drugim półwieczu. Raport Niezależnej Grupy Roboczej o przyszłości Organizacji

Jerzy Menkes: Równość państw-członków ONZ

Marian Kowalewski: Kryzys i rozwój operacji pokojowych

Andrzej Abraszewski: Finanse Organizacji Narodów Zjednoczonych

Iwona Rummel-Bulska: Program Narodów Zjednoczonych do spraw Środowiska

Piotr Kłudka: UNIKOM – klasyczna misja obserwacyjna

Do nabycia w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych,
00-950 Warszawa, ul. Warecka 1a,
tel. 26 30 21 w. 137, fax 26 30 26

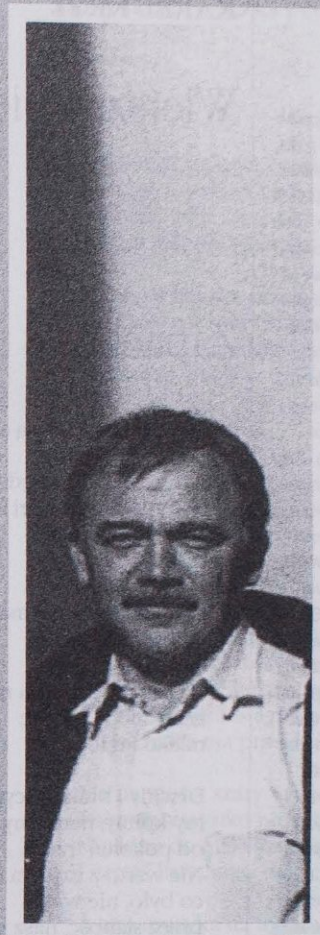
Dziękuję

Latorośl stworzył Bóg,
bym mógł z niej splatać wieńce.
Dziękuję więc za ból,
bo uczy pytać więcej.
Za niepowodzeń sto,
przeigranych interesów,
bym w końcu wydał plon,
choć byłem u sił kresu,
dziękuję, dziękuję, dziękuję.

Dziękuję za słabość,
bo uczy mnie pokory.
Pokory, gdy radość
i pomimo niewoli.
I za łyzy dziękuję,
bo budzą me uczucia,
gdy pokrzywdzonych jęk
domaga się współczucia,
dziękuję, dziękuję, dziękuję.

Gdy piękno kusi mnie,
dziękuję za brzydotę
i gdy spotkają się
wrogość z miłością potem.
Wiedząc, że koi sen,
dziękuję za zmęczenie.
I za strumienia tren,
za szal, za uniesienie,
dziękuję, dziękuję, dziękuję.

I za pragnienia dar,
jesteśmy słabi, mali,
za mękę, cierpień czar,
co dzieła doskonali.
Za to, że kochać chcę,
choć lęk jest w sercu, we mnie.
Baranku, dziękuję,
nie zmarłeś nadaremnie,
dziękuję, dziękuję, dziękuję.



KAREL KRYL (ur. 12 IV 1944 w miejscowości Kroměříž na Morawach), czeski poeta, piosenkarz i grafik, główny przedstawiciel nurtu publicystycznego w poezji lat sześćdziesiątych. Po ukończeniu średniej szkoły rzemiosł artystycznych (1962) pracował w przemyśle ceramicznym. W połowie lat sześćdziesiątych zaczął występować jako śpiewający poeta na festiwalach i w klubach studenckich, drukując teksty w pismach „Mladý svět” i „Repertoár malé scény”. Z największym oddźwiękiem spotkały się koncerty w teatrze Semafor (1968-1969). Dużą popularnością cieszyła się jedyna płyta nagrana w Czechosłowacji (Panton, 1969). Od 1969 roku mieszkał w Monachium i współpracował z rozgłośnią Radio Wolna Europa. W RFN i USA nagrywał płyty, m.in.: *Maškardy* (1970) i *Carmina resurrections* (1974). Teksty Kryla odznaczają się przejrzystą metaforycznością, nawiązują do różnych tradycji piosenkarstwa satyrycznego – od awangardy lat trzydziestych, przez dadaizm i surrealizm, do współczesnych adaptacji pieśni ludowych i country-folku. W najlepszych utworach Kryl łączy tradycję w oryginalną budowę protest-songu, którego cechuje zwrócona kompozycja i sugestywnie nastrojowa wyobraźnia. Utwór *Bratřičku, zavírej vrátka* (1968, *Bracie, zamknij drzwi*), wyrażający poprzez aluzję do ludowych moralitetów krytykę części społeczeństwa godzącego się na okupację, osiąga niezwykłą popularność dzięki formie ironicznego dialogu, ujawniającego prawdy wstydlive.

KAREL KRYL

Wiersze i pieśni

Przełożyła
RENATA PUTZLACHER

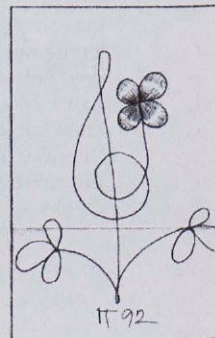
Zapachy

Strumień pod białą skałą
na chwilę małą
wstrzymał swój pęd.
W łonie podmokłej łąki
młodziutkie pąki
rwały się z pęt.

Pola czerwonych maków,
milczenie ptaków
i wiara w cud.
Węże w co drugim rowie,
szumiało w głowie
mleko i miód.

Drwiny i brak dyscypliny,
my kpimy, marzymy
od pokoleń trzech
Nie warto z czasem się kłócić,
co było, nie wróci
przez słabość, nasz grzech.
Symbole martwe, bez duszy,
lew stulił swe uszy,
więc po co się kryć?
Odwieczne poczucie winy:
historio, gdzie czyny?
O, Boże, jak żyć?

Zapach potu i skóry,
gest wzbudzał czuły
cyniczny śmiech.
Miłość pod koniec lata,
dołę nam splatał
oziębły śnieg.
Zapach prania i wody,
etos gospody:
chcesz ożyć, to pij.
Kłamstwa i dzbany piwa,
głowa się kiwa,
a naród śpi.



Drwiny i brak dyscypliny...

Randkę spluczesz zebraniem,
chód kuśtykaniem,
spokój czym chcesz.
Zapach piwa i kości
zamiast miłości
i Boga też.
Klatka skrzydła zastąpi,
żyj, nikt nie skąpi
sztuki z za krat.
Perspektywy załgane,
siądź przed ekranem,
oglądaj świat.

Drwiny i brak dyscypliny,
my kpimy, marzymy
od pokoleń trzech.
Nie warto z czasem się klócić,
co było, nie wróci
przez słabość, nasz grzech.
Odwieczne poczucie winy:
historio, my śpimy,
to piekło, nie raj.
Na przekór ojcom i synom
dać pierwszeństwo czynom.
Ach, gdzie jest nasz kraj?
Ach, gdzie jest nasz kraj?

Psalm 120

Wygnany znalazłem
schronienie w niewoli.
Koszary obczyzny
miały mnie złamać.
Samotny wołałem
do ciebie, że boli,
Panie mój, jedyny,
nie daj mi kłamać.

I choć o pokoju
mówiły wargi me,
o łaskę prosiły,
otuchę bliskich.
Na hasła do boju
zmienili słowa me
panowie z przemocą
czerpiący zyski.

Krylias i Odysea

(fragmenty)

Znów bar, kolejka i następne rundy,
do tego nazwy delikatnych ryb,
whiting, John Dory albo baramundy
jestem jak wielki napęczniały grzyb

stuletnia beczka przesiąknięta winem.
A wrzód ojczyzny już zabliznił się,
gdy słońce z wiatrem puszcza anilinę
na morze, plażę w drodze do Brisbane.

Listy

Mijają lata i przybywa grobów,
na twarzy liczę każdy zmarszczki znak.
Za tramwajami biegną gęstwy torów
w dal, która ma przekleństwa słodki smak.

Ma pamięć – szary wieszak na wspomnienia.
Pokryje wszystko niepamięci szron.
Wpadnę do Maksa szukać zapomnienia
i czytać listy, stopy białych stron.

A tam muzyka na tę samą modłę
i piotun z winem po stole się pnie,
a w kiepskich książkach wiersze bardzo podle,
rzadkie jak bagno na Weltawy dnie.

Bzy po ogrodach, świat bajecznie biały,
na bladym niebie nagle ciemny ton,
czarna już wieża, róże poczerniały.
Zostały listy, stopy białych stron.

Miłości moje już wnukom piosenki
śpiewają, a ich skronie wieńczy szron.
Cierpliwy czas – pianista jednoręki –
liczy wciąż listy, stopy białych stron.

Śmiech został – plaster na stargane rysy,
a z uczuć wściekłość, ma jedyna broń.
Cóż pozostaje? Czekanie na listy,
gdy dotknąć brak, gdy dłoń szuka dłoń.

Martina

W kopercie list, w nim pyta się
pewna Martina, czy mi chleb
obcy smakuje.

Obieżyświata chleb, gdy sam
jem go tu właśnie, a nie tam,
gdzie mnie brakuje?

Jajka na boczku to mój wikt,
śmieję się, lecz nie widzi nikt,
dumam nad zmianą
i nagle tyle pytań mam,
czemu nie jestem tu ni tam,
gdzie by mnie chciano.

Gdybym z Martiną siedzieć mógł,
pijąc „martini” niczym bóg
wśród grona gości,
nie, nie wspominał tego bym,
o czym śpiewałem – stary hymn
górnego młodości.

Wentylatorów swojski wiatr,
miałbym sto kilo, tyleż lat
jak się należy.
Otyłą duszę, ciało też
karmił knedlami, wierz mi, wierz,
pił piwo z dzieży.

To tylko dwieście kilometrów,
może nawet bliżej,
lecz jeszcze nie oclona dusza ma.
Wciąż polityczne barometry
omijają wyżej,
przy wiecznych niżach świat nie zmieni tła.

Gdybym pojechał do niej tam,
nie wiedziałbym, co robić mam,
może gołąbki –

– symbol pokoju, siwy dym
lub produkował siarkę bym
z wody lub z gąbki.

Inne atrakcje też tam są,
szła na piłkarskich meczach, bo
brakuje kortów.

W knajpie bym leczył zdarty głos
i w rumie topił podły los
z braku paszportu.

A gdybym ją całować chciał,
miast kręgosłupa trzcinę miał
wiatrem targaną.

Włóczyłbym po zebraniach się,
a po wieczorach tłukłbym grę
głupią, karcianą.

Tak krocząc wciąż ku nowym dniom,
na boku bym zbudował dom
z kradzionej cegły.

I do „stolicznej” miałbym gust,
wciąż by krążyła z ust do ust,
w tym byłbym biegły.

Gdym chciał mówić z Martiną,
myliłbym bukwy z łaciną
na kłamstwa głuchy.
Czastuszki dźwięki zamiast nut,
myliłbym berło oraz knut,
złe, dobre duchy.

Życiowe hasło: mieć, nie być,
uczylbym dzieci mądrze żyć
na prawdy zgłiszczach,
na starych śmieciach, syty kmiot,
bym najeżony zrobił płot
i czcił bożyszczka.

Może byś mogła kiedyś być
mym przyjacielem na czas zły,
gdy walczę z trwogą.
Tym, który snu zarzuca się,
wie, że mężczyźni muszą chcieć
więcej, niż mogą.

Ty byś tępiła ciernie złe,
w objęciach swych chroniła mnie
przed chorob władzą,
twój ludzki rozum, ludzki gest
mówiłby: tu twe miejsce jest,
gdy wszyscy zdradzą.

Martino, wiedz, za darmo świat
nic nie rozdaje, w parę lat
sama zrozumiesz,

że nawet kamień skruszy czas
i na pustyni tryśnie raz
ożywczy strumień.

Gdy tęskny wyda mi się świat,
z twojego listu wyjmę kwiat,
wsunę go sobie
do butonierki, tani szpan
i wzniosę toast, wina dzban,
za twoje zdrowie.

To tylko dwieście kilometrów,
może nawet bliżej,
lecz jeszcze nie oclona dusza ma.

Wciąż polityczne barometry
omijają wyżej,
przy wiecznych niżach świat nie zmieni tła...

Słówka...

Wyjechać... Nie wiem sam!
Z tych stron!... Zostawić siebie
z bolesnym sercem, tam,
za sobą... A na niebie
odwieczny księżyc, nów,
a potem świt, poezja...
Życ tam, gdzie nikt mnie nie zna,
bez wspomnień i bez snów.

Lecz cudzoziemcem być?
Usta od słówek lepkie
zaklei rzęsy nie!...
Chcesz płynąć na wysepce,
a tu bezbrzeżny staw,
więc toniesz, tracisz głowę!...

Jak rybak łowić mowę?
Być niemy... Tyle raf,
rozszarpujących sieć...
Wypływać wciąż od nowa...
Związany język mieć...
Nie wypowiedzieć słowa.
Pomimo braku nóg
pragnąć uwodzić tańcem?
Gdzie wzgląd na elegancję?

Nie!!!!... Gdybym tylko mógł
po niebie płynąć znów!...
Niechby z latawcem wolnym
ciężar zdań, sylab, słów
odniósł w dal wiatr swawolny.
Znów muskać struny warg
miłosnych zaklęć czarem.
Odrzucić wzorce stare,
sam poczuć się jak mag!

A nie jak tępy cham
przy żarciu wieść rozmowy!
Pukać... do Boga bram...
I poczuć zawrót głowy!
Mieć zaprzęg słów, by ten
na skrzydłach zdań złożonych
gnał cwałem jak szalony
po białej plaży, hen...



Witryna

ANTONINA KRZYSZTOŃ Czas bez skarg
Pomateon EMI 1995 POM CD 070.



Emigracja Karela Kryla nie skończyła się z chwilę zwycięstwa „aksamitnej rewolucji” w Czechosłowacji. Nie akceptował kierunku zmian dokonujących się w jego kraju. Do końca życia pozostał emigrantem i outsiderem. „...patrzę na to jak Klaus Mečiar mordują Republikę, patrzę na to, jak państwo polskie upada, patrzę na wojnę u Bosnie i w Karabachu – a myślę, czy to wszystko co robiliśmy, wzięło udział taki, jakiego było trzeba”. Słowa te pochodzą z ostatniego listu napisanego do Antoniny Krzysztoń. Kiedy spotkali się pierwszy raz w Sztokholmie, Karel Kryl znał już interpretację swoich ballad w jej wykonaniu z kaset, które ukazywały się w „podziemnych” wydawnictwach i docierały na Zachód. Potem nieraz wspólnie koncertowali. Na płycie, która została nagrana w Krakowie w roku śmierci Karela Kryla Antonina Krzysztoń śpiewa następujące jego pieśni: *Motyl, Miła, Małej wiary, Ręka to most, Braciszku, Mały żeglarz, Kolenka, Salome*.

Utwór pt. *Dziękuję* śpiewany przez samego Karela Kryla został zarejestrowany w Hali Olivii w Gdańsku w 1989 roku.

Ostatni

Minęło lato nam,
a jesień goni zimą.
Kostium Hamleta mam,
a w mózgu Hiroszimę.
Strach mój ogarnął świat
z beznadziejnością w parze.
W zapłutym pije barze
ze złodziejami kat.

Rozetrą, zmielą w proch
wahania me - me czyny.
Przecież ten, kto jest mną,
właściwie jest kimś innym:
to narkotyczny sen -
złudny mój obraz drżący.
Jestem nic nie znaczącym
wyrzutkiem przykrym, wiem.

Ten drugi, on i tak
przejmuję laury moje.
Mym ja - jest wiary brak...
Jak kacierz z niepokojem
omijam miłość, dym
ogniska, ja, niegodny,
czasami wznoszę modły
w zachłannym czyścú tym.

Czekając więc na znak,
co mamy do zadania?
Przeczytać bacznie, tak,
i rzucić bez szemrania
wyrok milczenia w twarz.
Wznieść toast, gdy się uda,
wciąż święcie wierząc w cuda...
Pokorny sługa wasz!

Kołysanka

Zaśnij, syneczku, śpij,
pod powiekami skryj
niebieskie swe źrenice.
Kiedyś zwiędną jak mech,
gdy ci życie i pech
obrócą świat na nice.
Zaspokoją twą chęć
dwie dziewczyny lub pięć,
bo można tak bez końca.
Któraś powie ci „nie”,
rany zabliznią się
i pójdiesz w ślady ojca.

Zaśnij, syneczku, śpij,
mleka starczy, więc pij,
bo jesteś grzecznym synkiem.
Kiedyś wyrośniesz nam,
w barze usiądziesz sam
nad zgoła innym drinkiem.
Szybko upłynie czas,
wstąpisz do armii raz,
broń błysnie zamiast słońca.
Wódka na chwile złe,
cofać nauczysz się
i pójdiesz w ślady ojca.

Śpiz już, syneczku, śpiz,
bieda piszczy jak mysz,
a strach ma dyżur nocny.
Zimny żłobek dzień w dzień,
mama podrzuci cię
na wychowanie obcym.
Przepis, jak kłamać masz,
rzucą ci prosto w twarz,
zysk każdy to twa strata.
Kompromisy, by żyć,
cel - samotność jak nic...
I będziesz niczym tata.

Godzina myśli



Mieszkanie Alfonsa Muchy w Pradze

PATOČKA
ASH
HAVEL

JAN PATOČKA (1907-1977), filozof i humanista, uczeń Husserla. Przed wojną oraz w latach 1945-1948 i przez pewien czas pod koniec lat sześćdziesiątych zajmował się działalnością akademicką na Uniwersytecie Praskim. W lecie i na jesieni 1973 roku prowadził w Pradze prywatne seminarium. Niektóre jego rozprawy: *Świat naturalny jako problem filozoficzny* (1936) czy *Arystoteles – poprzednicy i następcy* (1964) ukazały się w Czechosłowacji, większość zaś w latach siedemdziesiątych na Zachodzie. W roku 1979 opublikowano w Pradze cykl jedenastu wykładów Patočki, spisanych z taśmy magnetofonowej, które zatytułowano *Platon a Europa* (wyd. francuskie *Platon et l'Europe*, 1983). Najgłośniejsze eseje wybitnego czeskiego myśliciela pt. *Essais hérétiques sur la philosophie de l'histoire* z lat 1974-1976 wydane zostały przez Editions Verdier w roku 1981 (przekład z czeskiego). Wykład *Człowiek duchowy i intelektualista* wchodzi w skład cyklu, który złożył się na tę książkę, ale nie został w niej zamieszczony. Jego fragment publikujemy za czasopiśmie „Souvislosti” (1990 nr 1).

JAN PATOČKA

Człowiek duchowy i intelektualista



Wykład dzisiejszy będzie o tym, kto to jest człowiek duchowy, a kto to jest intelektualista i czym się różnią; o tym, co to jest życie duchowe i co to jest kultura i jakie są między nimi różnice oraz o tym, jakie jest miejsce człowieka duchowego w świecie.

Uważam, że określenie człowiek duchowy nie brzmi dziś przyjemnie, brzmi jakoś tak spirytualistycznie, a takich wyrazów dziś nie lubimy. Czy istnieje jednakże jakieś bardziej odpowiednie określenie tego, co mam na uwadze? Traktujcie je więc jako termin umowny.

Otóż sądzę, że nader ważne jest zdanie sobie sprawy z tego, że pod takimi określeniami jak: człowiek intelektu, inteligent, intelektualista, kryją się dwie całkowicie różne rzeczy, które jednakże pozostają z sobą w takim mniej więcej związku, jaki łączy rzecz i jej cień – wypowiadałam tu słowa osoby, która po raz pierwszy próbowała naświetlić tę różnicę – bądź rzeczywistość i jej zdeformowany obraz. Dzieje się tak dlatego, że po jednej stronie mamy intelektualistę, działacza kulturalnego, pracownika, ewentualnie twórcę jako społeczną

rzeczywistość, którą możemy rozpatrywać i definiować obiektywnie z punktu widzenia socjologicznego: jest to człowiek, który posiada wykształcenie, pewne zdolności, ewentualnie świadectwa, na podstawie których rozwija określoną działalność w celu jego utrzymania. Jak na przykład szewc szyje buty, robotnik pracuje w fabryce, tak pisarz pisze i to, co tworzy, jest potem drukowane, sprzedawane, wchodzi po prostu w proces gospodarczy. Przedstawiłem to zagadnienie oczywiście skrótowo, ten sposób utrzymania bowiem ma również swoją historię i swoje miejsce pośród innych działań ludzkich...

Z drugiej jednak strony to nie jest takie proste i oczywiste. Nie jest to kwestia, którą można z zewnątrz uchwycić poprzez obserwację i stwierdzenie, że ludzie robią to i owo. Tak zwani ludzie duchowi przeważnie także coś piszą i również wykonują takie same czynności jak inni, czyli ci, którzy utrzymują się z kultury. Z zewnątrz wygląda to identycznie, nie widać żadnych różnic. Są pisarzami jak inni pisarze, nauczycielami jak inni nauczyciele, wykładowcami jak inni wykładowcy itd. Stąd

właśnie wynikają kłopoty. A jednak istnieje zasadnicza różnica. Platon był pierwszym, który na coś takiego zwrócił uwagę – zachodzi ogromna różnica między takim człowiekiem jak Sokrates, a takimi ludźmi jak Protagoras lub Hippias, czy wszyscy ci świetni wirtuozi, którzy tak wiele potrafią i którzy nas tak olśniewają swym mistrzostwem, a także umiejętnością zdobywania pieniędzy. Ale na czym ta różnica polega?

Platon próbował przez całe swoje życie intelektualne jakoś zdefiniować tę różnicę. Poświęcił siły i dużo miejsca w swej twórczości temu zagadnieniu. Pomimo tego, iż dialog *Sofistes*, w którym zgłębia problematykę tej dwojakości jest dojrzałym owocem mądrości autora, to pozostaje pytanie, czy udało mu się rzecz tę wyraźnie i ostro określić. Na podstawie tego utworu możemy się przekonać, jak tego drugiego sofistę inteligenta, intelektualistę, człowieka kulturalnego, trudno jest zdefiniować, jak on się ciągle ukrywa. Gdy wydaje się nam, że możemy go uchwycić, on znajduje się już gdzie indziej. To dziwne, prawda?

Platon przyjmuje założenie, że postawa człowieka duchowego jest jasna i rzeczywista, natomiast sofista to ktoś, kto ukrywa się w cieniu tej wyraźnej postawy. Jest to nieco inny punkt wyjścia od mojego. Ja twierdzę, że człowiek kulturalny, to coś oczywistego. On przecież wykonuje pewne czynności, które można z zewnątrz zauważyć, opisać, zdefiniować itd., podczas gdy człowiek duchowy – jak mi się wydaje – stanowi ogromny problem. Platon dokonał tego odwrócenia właśnie dlatego, iż sam był człowiekiem głęboko duchowym, że duchowość była dla niego czymś bliskim i oczywistym.

Wróćmy do naszych rozważań. W jaki sposób można przybliżyć sobie pojęcie człowieka duchowego? Spróbuję kwestię tę wyjaśnić, opierając się na stwierdzeniu wybitnego współczesnego myśliciela, które brzmi: filozofia, to świat odwrócony.

W jakim sensie odwrócony? W jakim sensie filozof odwraca rzeczywistość pozostałych ludzi, którzy nie są – jak to próbowałem powiedzieć – ludźmi duchowymi?

Filozof to ktoś odrębny przez to, że świat nie jest dla niego czymś oczywistym. My wszyscy żyjemy w świecie, który nam dano, który jest dla nas otwarty i który traktujemy jako coś naturalnego. Rzeczywistość ta, to coś takiego, co po prostu jest.

Nasze życie w świecie, to przecież także taka oczywistość. Wszystkie nasze reakcje są wyuczony, wszystkie przedmioty nas otaczające nauczyliśmy się nazywać w języku, który przejęliśmy, wszystkie swoje poglądy mamy z tradycji, wszystkie swoje myśli mamy ze szkoły. Tak więc wszyst-

ko nam dano, a tam, gdzie rozwijamy nieco własną inicjatywę, również trzymamy się czegoś, co jest dla nas jasne i oczywiste. I w zasadzie o ile nie spotka nas jakiś kłopot czy przykrość, to nam wystarczy, by życie płynęło bez przeszkód.

Doznawanie świata jako oczywistości jest czymś, co ZAWODZI. Chociaż negatywne doświadczenia są rzadkie, to w końcu każdy w jakiś sposób się z nimi spotyka. Widzimy, że ludzie, z którymi współzjemy, współpracujemy, są – podobnie jak my sami – niekonsekwentni, że żyją w sprzecznościach; widzimy, że zdradzają samych siebie, że ich projekty życiowe nie ziszczają się, że odstępują od tego, w co wierzyli. Są wszakże jeszcze bardziej bolesne doświadczenia, takie jak na przykład niespodziewana śmierć czy klęski społeczne. Wszystkie te doświadczenia nagle wykazują, że życie, które zdawało się być takie oczywiste, w rzeczywistości jest w jakiś sposób problematyczne, że coś się tu nie zgadza... Gdybyśmy te negatywne zjawiska, które nagle dochodzą do głosu, mieli rzeczywiście śledzić, konsekwentnie im ulegać, to w końcu by zabrakło nam podniet do jakiegokolwiek działania i w konsekwencji znaleźlibyśmy się w pustce. A w niej nie sposób żyć! I właśnie TUTAJ jest początek życia duchowego.

Kilkakrotnie mówiłem już o Platonie. Platon przedstawia proces powstawania życia duchowego na przykładzie Sokratesa. A życie duchowe Sokratesa polega przecież na tym, że poprzez rozmowę próbuje dowiedzieć się, czy ludzie (i ON SAM), w najróżniejszych kwestiach życiowych, w tych najprostszych i tych najbardziej złożonych, potrafią być w zgodzie ze sobą, czy potrafią być konsekwentni, czy to, co jest dla nich oczywiste, rzeczywiście wystarcza do harmonijnego i tożsamego z własnymi poglądami życia. Czy ci ludzie naprawdę są tym, czym sądzą, że są, i czy w zwykłej rozmowie ta ich pozornie harmonijna postawa nie runie. I Sokrates NIGDZIE nie spotyka czegoś takiego, co by mogło uchodzić za autentyczną, mocno ukształtowaną postawę, która potrafi urzeczywistnić swoją tożsamość. Nawet o Sokratesie nie można powiedzieć, że ON kimś takim jest, że to potrafi, że może. On tego tylko chce, on za tym podąża, próbuje. On jest w drodze. A to jest ta najważniejsza sprawa: człowiek duchowy to ten, który znajduje się w drodze. I wie o tych negatywnych doświadczeniach, nigdy o nich nie zapomina, w przeciwieństwie do zwykłego człowieka, który chce o nich zapomnieć, pragnie przetrwać, zgodnie z dewizą: jakoś to będzie, życie ma przecież na takie problemy swoje lekarstwo. Człowiek duchowy natomiast stawia TEMU czoło; jego życie polega na tym, że jest ciągle w ten sposób narazony.

Być narażonym na to, co negatywne, stworzyć szczególny plan życia, oznacza (w pewnym sensie) NOWE życie. Podczas gdy zwykłe życie w pozornej oczywistości i bezpieczeństwie zmierza do równie złudnego bezpieczeństwa i omija sprzeczności i problemy, to w tym przypadku życie czerpie siłę właśnie z nich. A to oznacza, iż wszystko się inaczej kształtuje, że ma inną wartość aniżeli w tym życiu prostoliniowym i naiwnym.

Mówiłem o takich doświadczeniach życiowych, przed którymi nikt nie może się ukryć. Jednakże oprócz doświadczeń tego rodzaju – jakby pierwszoplanowych – są doświadczenia w pewnym sensie głębokie, które wskazują na coś takiego jak dziwność, szczególnie naszej sytuacji; sytuacji oto takiej, że w ogóle JESTEŚMY i że JEST ŚWIAT, że to nie jest oczywiste, że jest to coś jak wspaniały cud, że ukazują się nam rzeczy i że my jesteśmy wśród nich. Jest to „DZIWNIE”. W tym wyrazie zawarte jest słowo „DIV” (czeski odpowiednik słowa „Cud”). My się dziwimy! Dziwić się oznacza – nie nie przyjmować jako oczywiste, zatrzymać się, nie iść dalej swoją drogą, nie funkcjonować. (...)

Gdy się tak oto dziwię – to dziwne, prawda? Materialnie świat jest ten sam, co dawniej. Są tu te same rzeczy, ta sama okolica, te same krzesła i stoly, ludzie i gwiazdy, a jednak jest tu coś ZUPEŁNIE zmienionego. Nie pojawiła się żadna nowa rzecz, żadna nowa rzeczywistość, ale ja odkryłem dla siebie coś takiego, co nie jest żadną rzeczą, żadną rzeczywistością, mianowicie – że to wszystko JEST. Ale owo JEST nie jest żadną rzeczą.

Nowy sposób życia polega więc na tym, że możemy żyć w taki sposób, iż nie przyjmujemy po prostu życia takim, jakim jest, ale przyjmujemy jego PROBLEMATYCZNOŚĆ. Od tej chwili to jest nasza podstawa, to jest to, w czym oddychamy i jesteśmy. Oznacza to również, że od tej chwili nic już nie możemy przyjmować jako ostateczne i dane, na niczym nie możemy polegać; wszystko, co dotąd przyjmowaliśmy jako oczywiste, nie jest oczywiste; wszystko, co wiemy, to przesąd.

Próbowałem tu nakreślić kilka cech: postrzeganie negatywnych doświadczeń i zadomowienie się w nich, sproblematyzowanie codzienności, wytworzenie nowej możliwości życiowej, która pochodzi z tej oto otwartej strefy. Żyć nie na pewnym gruncie, lecz na czymś, co jest w ruchu; żyć bez *zakotwiczenia*. Powiecie mi: to, co tu opowiadasz, to chyba odnosi się do filozofii, ale przecież nie do tego wszystkiego, co nazywamy po prostu życiem duchowym, gdyż do życia duchowego zaliczamy sztukę i religię, a także aktywne życie, życie – powiedzmy – ofiary, oddania się i odpowiedzialności i, ewentualnie, też coś takiego, jak wytwarza-

nie pewnych instytucji społecznych, jak prawo itp. To wszystko to właśnie życie duchowe!

Zarzut ten jest uzasadniony, ale we wszystkich tych dziedzinach – i można to udowodnić, ale nie zamierzam się nad tym szeroko rozwodzić – zauważalna jest ta sama różnica pomiędzy aktywnością, którą można opisać z zewnątrz, którą można stwierdzić jako fakt, a tym, jak ludzie problematyzujący żyją i w jaki sposób postępują. (...)

Cała filozofia to w gruncie rzeczy nic innego niż rozwój tej problematyczności, tak jak ją wielcy mędrcy potrafili wyrazić i uchwycić. Walka o wydarciu z tej problematyczności czegoś, co się z niej wynurza – znaleźć mocny punkt, ale znów sproblematyzować to, co jako ów punkt wynurza się. To jest ta pierwotna grecka mądrość wyrażona w słowach: „wszystkim kieruje piorun” – ten błysk, który w ciemności pokazuje rozbrzask i jednocześnie ciemność, to wyłonienie wszystkiego – ale z ciemności, która jest nieodzowna, którą piorun jedynie rozerwie, ale nie pokona. (...)

Sokrates i Platon problematyzowali życie. Nie przyjmowali rzeczywistości takiej, jaką się ona prezentuje, ale widzieli ją poruszoną. Z tego wstrząsu wywodzili myśl, że jest MOŻLIWE jakieś szczególne DRUGIE życie, coś jak NOWY GRUNT, na którym dopiero będzie można zmierzyć, co jest i czego nie ma. Byli o tym tak mocno przekonani, że rzucali wyzwanie naiwnej i banalnej rzeczywistości. Wiemy, że Platon definiował położenie człowieka duchowego w świecie i w społeczeństwie. Jedną z przyczyn, dla której ciągle podekscytowani czytamy dzieła Platona, zwłaszcza *Państwo*, jest ta, że w nim niejako klasycznie określono stosunek człowieka duchowego do ówczesnego społeczeństwa, który nie raz odczuwamy jako aktualny.

Możliwe są trzy postawy:

Pierwsza to droga, po której szedł Sokrates, który pokazywał ludziom, jak rzeczy w rzeczywistości wyglądają, że świat jest ciemny, problematyczny, że go NIE POSIADAMY – to zaś oznacza konflikt i śmierć.

Druga to ta, którą wybiera Platon – emigracja wewnętrzna, wycofanie się z życia publicznego, z kontaktu i konfliktu ze światem w nadziei, że poprzez filozoficzne poszukiwania znajdziemy to, co w swojej konsekwencji, we wspólnocie ludzi duchowych, umożliwi im życie bez umierania.

Trzecia, to zostać sofistą. Innych nie ma. (...)

Przełożył V.P.

TIMOTHY GARTON ASH

Praga: intelektualiści i politycy



Mieszkanie Alfonsa Muchy w Pradze

Wyobraźcie sobie krytyka teatralnego, którego ktoś nagle wywołał na scenę, każąc mu grać w sztuce, którą ten zamierzał recenzować. Co ma robić w takiej sytuacji? Napisać recenzję z pominięciem własnej partii? Chwalić swój występ? Oto dylemat, z jakim zasiadam do pisania tego tekstu. Równocześnie dylemat ten wydaje mi się w osobliwy sposób pasujący do tematu; mam nadzieję, że będzie to można dostrzec. Spróbuję wyjaśnić, w czym rzecz.

Parę miesięcy temu otrzymałem list, informujący, iż mianowano mnie honorowym członkiem czeskiego Pen-Clubu, w dowód wdzięczności za to, co zrobiłem dla czeskich pisarzy przed rokiem 1989. Byłem tym gestem wzruszony. Ten list zapraszał mnie na sześćdziesiąty pierwszy Światowy Kongres Pen-Clubu, który miał się odbyć w listopadzie tego roku w Pradze.

Oczywiście jest wiele argumentów przeciw uczestniczeniu w jakimkolwiek międzynarodowym kongresie pisarzy – niezależnie od miejsca i czasu. Jednakże Praga to miejsce, gdzie pisarze i intelektualiści, zwłaszcza ci zakazani, którzy do 1989 roku publikowali wyłącznie „pod ziemią” lub na Zachodzie, mają dziś pozycję wyjątkową. Stało się to pięć lat temu, po „rewolucji spod »Zaczarowanej Latarni«”, o której zresztą pisałem wówczas w tym samym piśmie¹. Wielu spośród nich znalazło się na wpływo- wych stanowiskach; niektórzy sprawują je do dziś, inni stracili je bądź opuścili. Postać Vaclava Havla, prezydenta i pisarza, wydaje się być archetypowym niemal uosobieniem tych postkomunistycznych mutacji, dylematów i ironii losu. Uznałem więc, że ten akurat kongres pisarzy może okazać się ciekawszy od innych.

I miałem rację.

1.

Lecąc do Pragi, przeglądałem swoje notatki z burzliwych dni listopadowych 1989 roku w teatrze „Zaczarowana Latarnia”, przypominając sobie głównych aktorów w sztuce, reżyserowanej wówczas przez Vaclava Havla, który sam zresztą był w niej postacią numer jeden. Pośród wizytówek z owego czasu trafiłem na jedną, którą wręczył mi w „Zaczarowanej latarni” człowiek grający podówczas zaledwie podrzędną rolę – pewien ekonomista, ceniony z racji swych zawodowych kompetencji przez pisarzy, filozofów, dziennikarzy i historyków stojących wówczas na czele Forum Obywatelskiego. Mam ją teraz przed sobą. Zwykły świstek papieru, na którym napisano na maszynie: „Dr. Vaclav Klaus, Szef Wydziału Analiz Makroekonomicznych, Instytut Planowania, Czechosłowacka Akademia Nauk”.

Przybywszy na miejsce szybko stwierdziłem, że pozycja intelektualistów jest w Czechach kwestią żywą. Kwestia ta, jak wiele innych w tym kraju, uległa polityzacji, by tak rzec, wokół biegunowo odmiennych postaw dwóch Vaclavów, znanych dziś lepiej jako prezydent Havel i premier Klaus. Havel uchodził za tego, który domaga się od niezależnych intelektualistów, aby ich głos dawał się słyszeć w publicznych debatach i aby je wzbogacał. Z kolei Klaus, ów intelektualny antyintelektualista, miał się o tej idei wyrażać sceptycznie – zarówno z przyczyn ogólnych, światopoglądowych, jak i dlatego, że to Havel był jej zwolennikiem.

Parę dni przed otwarciem kongresu, odbyłem z premierem krótką rozmowę. Dr Klaus przyjął mnie w swoim gustownie urządzonej gabinecie, na ścianach którego wisiły zdjęcia gospodarza, sfotografowanego z różnymi ważnymi osobistościami. Podczas ciekawej rozmowy, której przedmiotem była głównie Europa, podsunął mi wybór swych wykładów i przemówień z ostatnich trzech lat, w postaci odbitego na ksero i spiętego maszynopisu. To ministerialne dziełko samizdatowe, zatytułowane *Demontaż socjalizmu: raport wewnętrzny*, dobrze oddaje charakterystyczną Klausową mieszankę ostrej analizy ekonomicznej z bojową postawą polityczną. Dla ułatwienia autor wskazał mi najlepsze teksty.

Sam kongres otwarty został przez prezydenta Havla. Powitał przybyłych pisarzy „przede wszystkim jako kolega po piórze... a dopiero na drugim miejscu jako przedstawiciel Republiki Czech”. Następnie wyraził nadzieję, że nasza obecność „okaże się zarówno intelektualnie, jak i duchowo pobudzająca w tej chwilami nazbyt materialistycznej i trochę prowincjonalnej scenerii”. Stwierdził, że na intelektualistach spoczywa obowiązek angażowania się w sprawy „polityczne – w najszerszym tego słowa znaczeniu”. Nie tylko zresztą w najszerszym:

Poprosiłem kiedyś przyjaciela, wspaniałego człowieka i pisarza, aby podpisał się pod pewnym politycznym listem. Odmówił, tłumacząc, że ktoś musi pozostać niezależny. Odpowiedziałem mu: jeżeli wszyscy będziecie tak mówili, to w końcu może się okazać, że nikt z was nie jest już niezależny, bo nie było nikogo, kto by tę niezależność umożliwił, stając w jej obronie.

Wszelako, mówił Havel, „bynajmniej nie sugeruję, drodzy koledzy, że powinniście wszyscy zostać prezydentami we własnych krajach, albo pozakładać własne partie polityczne”. Powinniśmy natomiast, jak stwierdził, stopniowo dążyć do utworzenia czegoś w rodzaju światowego lobby, jakiegoś specjalnego bractwa, czy też, jeśli wolno mi użyć tego słowa, jakiejś nieco konspiracyjnej mafii, której celem nie byłoby tylko pisanie jak najświetniejszych książek, czy okazjonalnych manifestów, ale uzyskanie wpływu na politykę, na jej ludzkie aspekty – coś, co działałoby w duchu braterstwa, a przynajmniej w sposób celowy i zorganizowany...

„Politycy, a przynajmniej co bardziej rozumni”, ciągnął, „nie sprzeciwiają się takiej działalności, ale wprost przeciwnie, powitają ją z radością. Ja na przykład bardzo bym się cieszył, mogąc słyszeć w tym kraju głos moich kolegów – mocny i rozumny głos, którego nie dałoby się zignorować, choćby był nie wiem jak krytyczny, który nie byłby samym narzekaniem, ani czystą ezoteryczną refleksją, ale stałby się ważnym faktem publicznym i politycznym”. Zakończył poruszającym apelem do nas wszystkich o poparcie dla Salmana Rushdiego, Wole’ego Soyinki i intelektualistów bośniackich.

Ośmieleni tą przemową delegaci zaczęli zwykłą działalność w postaci składania raportów i ogłaszania postanowień w istotnych kwestiach dotyczących pisarzy uwięzionych lub prześladowanych – działalność, w której mogli teraz wziąć udział pisarze czescy, przez długie lata sami więzieni lub poddawani prześladowaniom. Było jednak oczywiste (choć nie jestem pewien, czy dla wszystkich zagranicznych delegatów), że przemówienie Havla skierowane było w równym stopniu do miejscowej publiczności. Było wymierzone w Klause, którego czescy czytelnicy, radiosłuchacze i telewizyjni widzowie z pewnością rozpoznaliby pośród tych domniemyanych „mniej rozumnych” polityków, których nie cieszyłaby niezależna krytyka ze strony intelektualistów.

I rzeczywiście, tego samego dnia w gazecie „Lidove Noviny” ukazał się tekst Vaclava Klause, odrzucający, w imię zasad liberalizmu, niedawne żądanie grupy intelektualistów (wsparte przez prezydenta Havla), aby państwo kontrolowało obecność okrucieństwa w telewizji.

Pod wieczór delegatów powitał premier, który jako eseista i stały autor artykułów prasowych także należy do czeskiego Pen-Clubu. Również jego przemówienie było w jakimś stopniu odpowiedzią na poranną mowę Havla, co z lekką stropiło gości, którzy sądzą, że uczestniczą w zwykłym kongresie pisarzy. Po zakończeniu przemowy, urzędnicy zaczęli rozdawać darmowe egzemplarze dwóch książek Klauza, jak gdyby chcąc powiedzieć: „Widzicie, o n t e ż pisze książki!” Jedną z książek nosiła tytuł: *Dla czego jestem konserwatystą?*², a otwierając ją tekst „Inspiracja” był gorącym wyrazem podziwu i wdzięczności dla Margaret Thatcher.

Następnego dnia, w jednej z sal Ministerstwa Spraw Zagranicznych, odbyła się dyskusja pod bardzo ogólnym hasłem „Intelektualiści, polityka państwowa i tolerancja”. Tym spośród dyskutantów, którzy najbardziej wysunął się na pierwszy plan, był nikt inny jak premier-pisarz Vaclav Klaus. W dyskusji wzięli też udział: węgierski eseista György Konrad (były prezes międzynarodowego Pen-Clubu i autor licznych tekstów na temat roli intelektualistów), czeski powieściopisarz Ivan Klima, pisarze z Niemiec, Szwecji i Turcji oraz niżej podpisany. Wybrane fragmenty dyskusji miały trafić do telewizji. Pokazanie Klauza w towarzystwie tych intelektualistów mogło dobrze (aczkolwiek marginalnie) wpłynąć na jego wizerunek w oczach opinii publicznej, a co za tym idzie, przynieść mu pożytek w zbliżających się wyborach samorządowych. W rzeczy samej, zaraz po dyskusji premier wybierał się na prowincję, aby wesprzeć kampanię wyborczą swojej partii.

Zanim jeszcze dyskusja się rozpoczęła, rozdano nam kopie tekstu na temat tolerancji, elegancko wydrukowanego w pięciu językach. Któż był autorem eseju? Komenski? John Locke? Voltaire? Nie – Vaclav Klaus. Następnie tenże filozof tolerancji otworzył dyskusję stwierdzeniem, iż w kraju wolnym jak dzisiejsze Czechy rozróżnienie między intelektualistami „niezależnymi” i „zależnymi” straciło jakiegokolwiek znaczenie. Niektórzy intelektualiści zajmują się polityką, inni nie. Rady ekspertów zawsze będą mile widziane. Ale nie ma już sensu mówienie o intelektualistach „niezależnych ani o jakiejś szczególnej ich roli”.

Teraz na scenę wkroczył krytyk. Na ten atak nie sposób bowiem było nie zareagować. Zaczęłam od stwierdzenia, że jest rzeczą poruszającą i ze wszech miar na miejscu, dyktować na temat „intelektualistów, polityki państwowej i tolerancji” właśnie tu, w Pradze, gdzie w ciągu dwudziestu lat – od radzieckiej inwazji w roku 1968 do Aksamitnej Rewolucji – pojedynczy Czesi, a także Słowacy, dawali wspaniałe przykłady tego, co mogą zdziałać intelektualiści w państwie represyjnym. nazwiska Jana Patočki i Vaclava Havla muszą tu starczyć za bardzo wiele in-

nich, które chętnie bym wymienił.

Dziś, po pięciu latach, widzimy, że w Europie Środkowej czasy mocno się zmieniły – i szczęśliwie się stało. Jak więc ma dziś wyglądać rola intelektualistów? W przeciwieństwie do Klauza byłem zdania, że niezależność powinna stanowić jeden z kluczowych atrybutów intelektualisty. Nie tylko w warunkach dyktatury, ale właśnie w liberalnym, demokratycznym państwie intelektualiści mają wielką rolę do odegrania.

Relacje między niezależnym intelektualistą a zawodowym politykiem koniecznie powinny być polemiczne, choć niekoniecznie wrogie. Zadaniem intelektualisty jest poszukiwanie prawdy i przedstawianie jej w sposób możliwie najpełniejszy, najbardziej wyrazisty i najciekawszy. Zawód polityka polega na obcowaniu z półprawdami. Samo słowo „partia” implikuje partykularyzm, jednostronność. (Czeski wyraz strana, czyli dosłownie „strona”, oznaczający partię, pokazuje to jeszcze wyraźniej.) Oczywiście, druga, opozycyjna partia reprezentuje drugą połówkę, drugą stronę prawdy. Ale to jeden z tych dziwnych przypadków, kiedy obie połówki nie dają w sumie całości.

Częściowym wyjątkiem od tej reguły może być monarcha konstytucyjny albo prezydent nie sprawujący władzy wykonawczej. Ktoś taki, stojący ponad polityką poszczególnych partii, może przyczyniać się do ustanawiania wyższych standardów intelektualnych lub moralnych w życiu publicznym. Ale zasadą w liberalnym państwie jest podział ról między niezależnymi intelektualistami a zawodowymi politykami. Powiedziałbym wręcz, że jest to podział równie ważny jak ten pomiędzy władzą ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą. Stanowi on element szerszych, twórczych napięć między państwem a społeczeństwem obywatelskim.

Wypowiedziawszy moją główną tezę na temat intelektualistów, dorzuciłem jeszcze krótki komentarz dotyczący pozostałych części tytułowego hasła dyskusji: „polityki państwowej i tolerancji”. Państwo liberalne – ale mam tu na myśli raczej ustawodawstwo i sądownictwo niż władzę wykonawczą – niekiedy może zostać zmuszone do ograniczenia swobód ludzi będących wrogami wolności, gdyby na przykład prywatna stacja telewizyjna postanowiła nadawać mieszankę lekkich programów rozrywkowych w połączeniu ze stałą propagandą na rzecz eksterminacji Cyganów, liberalne państwo powinno uniemożliwić jej podobne praktyki. Jeżeli pisarz spotyka się z groźbą zabójstwa z zagranicy, jak Salman Rushdie, to państwo ma obowiązek go chronić.

Prócz tego jednak wkład polityków w sprawę tolerancji może polegać nie tyle na poszczególnych aktach, bądź określonej polityce wobec tej kwestii,

co raczej na pewnego rodzaju postawie i stylu uprawiania polityki. Żaden polityk nie lubi, gdy go krytykują. Pani Thatcher często narzekała na media. Jej obecni epigoni zrzucają winę na tzw. klasy gadające – tak bowiem, jak wyjaśniłem, określa się ostatnio w języku angielskim intelektualistów. Mimo wszystko, im bardziej politycy będą skłonni trzymać się zasady „nie zgadzam się z tym co mówisz, ale do ostatniego tchu będę bronił twojego prawa, abyś mógł to mówić”, tym lepiej zabezpieczona będzie wolność. I w tym właśnie miejscu, zasugerowałem, interes Pen-Clubu styka się z interesem premierów.

Gdybym to wszystko powiedział na seminarium na Harvardzie lub w Oxfordzie, ktoś mógłby zarzucić moim słowom prostoduszność lub banalność, ale z pewnością nikt nie uznałby ich za prowokacyjne³. Tam jednak, wśród czeskich kamer telewizyjnych, w kontekście polityczno-intelektualnych zmagañ słynnego z arogancji premiera ze swoim własnym prezydentem, okazały się właśnie takie.

Moje uwagi nie przypadły do gustu doktorowi Klausowi. Chciał mi od razu odpowiedzieć. Siedział poirytowany, gdy nasza dzielna amerykańska przewodnicząca po kolei udzielała głosu innym dyskutantom. Po czym ruszył do ataku. Swego czasu, w artykule poświęconym tolerancji, napisał był: „Człowiek tolerancyjny ma obowiązek słuchać uważnie tego, co mówią inni i starać się to zrozumieć”. Ale nie dało się tego powiedzieć teraz o doktorze Klausie. Dał się poznać jako ostry polemista i polityk, gotów przekręcać cudze argumenty na swoją korzyść. Czegóż jednak można było się spodziewać po polityku siedzącym naprzeciwko kamer telewizyjnych na samym początku kampanii wyborczej?

Postępując w ten sposób, przedstawił wszelako moje racje dużo wyraźniej, niż sam bym zdołał. Gdyby wysłuchał mnie uważnie, po czym spokojnie wystąpił z jakimś rozsądnym kontrargumentem, byłoby to znakomitym potwierdzeniem jego tezy, że nie ma żadnej fundamentalnej różnicy między rolą niezależnego intelektualisty i rolą zawodowego polityka. Oto sam pokazałby się jako zawodowy polityk, dyskutujący wszakże jak intelektualista z innymi intelektualistami...

Zamiast tego przybrał ton wyjątkowo agresywny i pełen irytacji, wykrzykując, że moja wypowiedź była „czymś nie do wiary”. Zna mnie jako intelektualistę, jako eseistę – stwierdził – ale oto właśnie wygłosiłem „przemówienie polityczne”. Tu znów jednak potwierdzał mimowolnie moją tezę. Jego krytyka miałaby bowiem sens tylko wówczas, gdyby rzeczywistość istniała fundamentalna różnica między wypowiedzią intelektualną a polityczną, między sposobem, w jaki używają słów intelektualści a sposobem, w jaki czynią to politycy.

Następnie powiedział, że nie ma nic gorszego niż intelektualista wygłaszający polityczne przemówienie. Być może politycy nie lubią, gdy się ich krytykuje, ale czy różnią się tym od intelektualistów? „Nie do wiary” wydała mu się również moja uwaga, że politycy „żyją w półprawdzie”. W znamienity sposób zniekształcił przy tym moją wypowiedź: jednym z wiodących motywów we wschodnioeuropejskiej debacie intelektualno-politycznej było „życie w prawdzie”, hasło Vaclava Havla jeszcze sprzed 1989 roku. A ja powiedziałem, że na obcowaniu z półprawdami polega zawód polityka⁴. Moja wypowiedź określała pracę partyjnego polityka, a nie jego życie.

Żaden polityk godny tego miana nie będzie utrzymywał w prywatnej rozmowie, że przemówienie partyjne, które wygłosił publicznie, zawiera całą prawdę, jaka istnieje na dany temat. Być może istotnie była to prawda, bardzo możliwe, że była to sama prawda – ale prawie na pewno nie była to cała prawda, bo inaczej nie mamy do czynienia z prawdziwym politykiem. Kiedy polityk mówi dziennikarzowi: „nie do druku”, tym samym potwierdza ów podstawowy dla jego zawodu fakt. Sam Vaclav Klaus z pewnością by to przyznał, gdyby jego słowa nie szły do druku.

Muszę tu wyjaśnić dwie kwestie, które i w trakcie późniejszej dyskusji nie zostały rozjaśnione – częściowo z mojej winy, co muszę dodać jako krytyk. Obie podniósł Ivan Klima, skutecznie wspierając w swych interwencjach premiera. Najpierw zaprotestował przeciwko sugerowanemu jakoby przeze mnie wnioskowi, że intelektualiści moralnie przewyższają polityków, albo że w jakimś sensie posiadają prawdę przez duże P. Zbyt wiele słyszeliśmy już podobnych rozszczeń, zwłaszcza w Europie Wschodniej – stwierdził Klima w dyskusji, którą prywatnie zaczęliśmy byli wcześniej i którą kontynuowaliśmy.

Spójrzmy tylko, co też narobili intelektualiści, którzy znaleźli się przy władzy! Ile szkód wyrządziły ich utopie! No i co za potwory z nich były w życiu prywatnym. Tu zacytował *Intelektualistów* Paula Johnsa. Uwaga o życiu prywatnym miała bodajże najmniej do rzeczy. W pozostałej części oskarżenia kryło się jednak sporo prawdy. Niewątpliwie brzemie odpowiedzialności za zbrodnie polityczne XX wieku w dużej mierze spoczywa na intelektualistach, jako ich architektach bądź wykonawcach. Jak wyraził się o swoich kolegach po fachu, intelektualistach, George Orwell: „Żaden zwykły człowiek nie mógłby być aż takim głupcem”.

Ja jednak nie wysuwałem w imieniu intelektualistów żadnych podobnie wysokich rozszczeń moralnych – nie mówiąc już o ideologicznych czy metafizycznych. Nie wątpię, że wielu polityków to lepsi lu-

dzie od wielu intelektualistów. Być może przewyższają ich też inteligencją, czytaniem, kulturą. Twierdzą tylko, że mają – i powinni mieć – odmienną rolę, którą najlepiej odzwierciedla ich odmienny sposób używania języka. Jeżeli polityk wypowiada się na jakiś temat w sposób niepełny, jednostronny i sam dla siebie jest cenzorem, to po prostu wykonuje swoją pracę. A jeśli uda mu się taką częściową prawdę „sprzedać” jako całość, to znaczy, że wykonuje ją dobrze.

Jeśli coś takiego robi intelektualista, to wcale nie wykonuje swojej roboty, tylko ją psuje. Intelektualista nie jest strażnikiem ani kapłanem jakiejś metafizycznej, ideologicznej czy pseudonaukowej Prawdy przez duże P. Nie jest też po prostu głosem Gesinnungsethik (etyki przekonań) przeciwstawionej Verantwortungsethik (etyce odpowiedzialności) polityka, by użyć słynnego rozróżnienia, jakiego dokonał Max Weber. Spoczywa na nim jednak całkiem innego rodzaju odpowiedzialność za spójność, rzetelność i prawdziwość tego, co powie lub napisze.

Mogę więc odpowiedzieć na drugie pytanie, zadane przez Ivana Klimę w trakcie dyskusji: „Kogo właściwie uważa pan za intelektualistę?” Za intelektualistę uważam człowieka odgrywającego pewną określoną rolę, mianowicie rolę myśliciela lub pisarza, który publicznie angażuje się w dyskusje wokół publicznych zagadnień – w politykę w najszerszym tego słowa znaczeniu – nie dążąc przy tym świadomie do politycznej kariery.

Oczywiście nie mam na myśli wszystkich członków „inteligencji” – w szerokim socjologicznym znaczeniu, jakie termin ten przybrał w komunistycznej Europie Wschodniej – czyli wszystkich ludzi z wyższym wykształceniem. Nie mam też na myśli owych „intelektualistów na drodze do władzy klasowej” z książki Györgyego Konrada i Ivana Szelenyiego, napisanej w roku 1974⁵, ani premiera Vaclava Klause sprzed 1989 roku, pracownika Czechosłowackiej Akademii Nauk pod rządami prezydenta Husaka. Wszyscy oni byli intelektualistami, ale w odmiennym sensie.

Mój opis roli intelektualisty, będącego zarówno idealnym typem weberskim, jak i po prostu pewnym ideałem, z pewnością ma więcej wspólnego ze sposobem, w jaki opozycyjni intelektualiści z Europy Środkowej i Wschodniej sami swoją rolę pojmowali przed rokiem 1989. Chodzi mi na przykład o Vaclava Havla, który wedle komunistycznej socjologii nie miał kwalifikacji na intelektualistę, jako że przerwał swoją wyższą edukację i przez jakiś czas pracował fizycznie; chodzi mi o patriotycznie usposobioną inteligencję polską, czeską czy węgierską i jej idealistyczne, antykomunistyczne pojmowanie swej roli. Zachodzi tu jednak fundamentalna różni-

ca. W „nienormalnych” warunkach, jakie przez ostatnie dwa stulecia stanowiły właśnie normalny stan rzeczy w znacznej części środkowej Europy, intelektualiści bywali często wzywani, lub też sami uznawali się wezwanymi, do pełnienia ról, które obce były intelektualistom na Zachodzie. Na przykład: sumienie narodu. Głos ciemionych. Pisarz jako kapłan, prorok, bojownik ruchu oporu i zastępczy polityk.

Po wyzwoleniu w roku 1989 wszystkie te dodatkowe role ze zdumiewającą gwałtownością straciły znaczenie. Było to zdrowe i od dawna oczekiwane. Jak powiedział Brechtowski Galileusz, nieszczęsny to kraj, co potrzebuje bohaterów. Rola intelektualisty jako krytyka demokratycznie wybranej władzy nie może się równać z rolą intelektualisty jako przywódcy opozycji wobec narzuconej władzy totalitarnej. Jestem jednak głęboko przekonany, że stwierdzenie Hansa Morgenthau: „Prawda jest groźna dla władzy, a władza jest groźna dla prawdy”, ma wartość uniwersalną, a nie partykularną, i odnosi się nie tylko do władzy totalitarnej czy autorytarnej, jak to opisał Vaclav Havel we wspomnianym eseju *Sila bezsilnych*, ale także, choć w mniejszym stopniu, do tej demokratycznie wybranej i ograniczonej przez konstytucję.

Ten ideał intelektualisty nigdy nie został, rzecz jasna, w pełni urzeczywistniony. Faktem jest, że dziś, u schyłku XX wieku, dysponujemy wcale pokaznym katalogiem trahison des clercs; lista tych, co zachowali prawdziwą niezależność jest dużo skromniejsza. W naszych wolnych społeczeństwach sami mierzymy do czynienia ze skorumpowanymi przez bliskość ośrodków władzy dziennikarzami. Czytelniczy „New York Review” zajmujący się pracą akademicką być może na własnych uniwersytetach znają uczonych, którzy pozwolili polityce wywierać wpływ na ich badania – w nadziei, że zaprowadzi ich to na kierownicze stanowiska w Waszyngtonie, jak Kissingera czy Brzezińskiego. Ale powiedzieć, że ideału nie zdołano urzeczywistnić, to tylko tyle, co przyznać, że jest to ideał.

Mamy Orwella. Mamy Raymonda Arona. Mamy innych jeszcze pisarzy, naukowców i dziennikarzy, którzy angażując się w publiczne debaty, zachowali wysoki standard intelektualnej niezależności. Nawet w wolnym społeczeństwie, spectateur engage – ów krytyk na scenie – ma poważną rolę do odegrania.

2.

A co z autorem dramatu na scenie? Niewidzialnym uczestnikiem naszej dyskusji był, rzecz jasna, Vaclav Havel. Klaus zinterpretował moją wypowiedź właśnie w świetle swojego aktualnego sporu z Halem. I na pewno nie tylko on, lecz również wielu czeskich słuchaczy. A z tego, co dotąd napisałem,

można by wywnioskować, że ja sam stanąłem w tym sporze po stronie Havla – że kruszę kopię u boku Vaclava Pierwszego przeciwko Vaclavowi Drugiemu. Byłoby to nieporozumieniem. Faktem jest, że łączę mnie z Havlem przyjaźń i że czuję dlań niemalą podziw. Niewątpliwie uważam też, że ma rację, twierdząc, że niezależni intelektualiści powinni brać czynny udział w życiu publicznych demokratycznego społeczeństwa.

Dzieli nas jednak poważna różnica zdań na temat roli, jaką mogą odegrać intelektualiści w samej polityce – jeśli rozumieć ją wąsko, jako grę toczoną dla zdobycia władzy i utrzymania się na zdobytym stanowisku. Ostre rozróżnienie między rolą intelektualisty i rolą polityka, jakie zarysowałem podczas tej dyskusji to coś, z czym Havel nie może się pogodzić od końca roku 1989, kiedy to wybrany został na prezydenta Czechosłowacji. Tak się złożyło, że zaraz po dyskusji w czeskim ministerstwie, odbyłem żywą, prywatną dyskusję z prezydentem na ten właśnie temat – w nieco sympatyczniejszej atmosferze nadrzecznej piwiarni. (Z panelu przybył też do piwiarni i ochoczo dołączył do naszej dysputy György Konrad.)

W tej szczególnej kwestii dyskusja z Havlem ma znaczenie dużo większe niż jakikolwiek spór z Klaussem. Klaus może być oceniany jako polityk – także na podstawie swoich znacznych osiągnięć w gwałtownych przemianach gospodarczych w Czechach. Poglądy Klausna na temat intelektualistów, mimo jego komicznych chwilami pragnień, aby traktowano go poważnie jako pisarza, są, by tak rzec, amatorskim dodatkiem do jego działalności. Inaczej w przypadku Havla: w jego życiu i twórczości był to zawsze temat kluczowy. Jego eseje, wykłady i korespondencja wiezienna z ostatniego ćwierćwiecza należą do najwyższych, najrzetelniejszych i najbardziej odkrywczych w Europie prac o moralnej i politycznej odpowiedzialności intelektualisty. Doprawdy, trudno wskazać jakąkolwiek postać we współczesnym świecie, która skupiała by w sobie większy w tych kwestiach autorytet niż Vaclav Havel.

W latach sześćdziesiątych pierwszym swobodnym skojarzeniem, jakie nasuwało hasło „intelektualiści i polityka”, było nazwisko Sartre’a, ewentualnie Bertranda Russell’a. Dziś, czy to w Paryżu, czy w Nowym Jorku, w Berlinie czy w Rzymie, jednym z pierwszych skojarzeń będzie „Havel”. Jeżeli bowiem ma on rację, to jego słowa będą istotne nie tylko dla Czech; również jeśli się myli, będzie to miało znaczenie i dla nas.

Na szczęście nie muszę tego sądu opierać na samej tylko rozmowie w piwiarni. Po czesku ukazały się już trzy tomy prezydenckich przemówień, a pewne praskie wydawnictwo opublikowało nie-

dawno wybór w języku angielskim, zatytułowany *Toward a Civil Society*⁶ (Ku społeczeństwu obywatelskiemu). Anglojęzyczny wybór jest mocno zdominowany przez najważniejsze wystąpienia zagraniczne Havla, przez co daje nieco mylący obraz tego, czym się zajmował przez ostatnie pięć lat – niemniej zawiera najistotniejsze i najbardziej systematyczne ujęcia jego poglądów od czasu, gdy został prezydentem. Havel powiedział mi, że prezydenckie przemówienia są dla niego intelektualną kontynuacją esejów, wykładów i listów, jakie pisał w więzieniu jako dysydent. „Wtedy pisałem eseje, dziś piszę przemówienia” – powiedział, sugerując jakby, że zmieniła się jedynie forma, w jakiej ujmuje swoje słowa, a nie istota jego intelektualnych poczynań.

Nie da się ukryć, że jak na prezydenckie przemówienia, Havlowe są niezwykle. Niezwykle przez zakres tematów, jakie poruszają, od Maastricht do Kosmologicznej Zasady Antropicznej, od bezpieczeństwa w Europie do spuścizny po czeskosłowackiej służbie bezpieczeństwa, od Kafki do potrzeby jakiejś wyższej istoty, którą Havel niezbyt ma ochotę nazywać Bogiem. Niezwykle przez swoją literacką jakość. Niezwykle przez obecną w nich żywą i szczerą introspekcję, opartą, jak w dawnej twórczości, na przebiegłych dociekaniach wokół własnych egzystencjalnych dylematów. Jako że jego obecny dylemat, a w każdym razie jeden z nich, to właśnie dylemat zaangażowanego w politykę intelektualisty – temat ten często pojawia się w jego przemówieniach. Czasem w dość nieoczekiwanych momentach.

Niespełna dwa lata temu pewien nasz wspólny znajomy przyniósł mi, wraz z pozdrowieniem od Havla, maszynopis przemówienia wygłoszonego przezeń w Sali Asahi w Tokio, w kwietniu 1992 roku, zawartego we wspomnianym anglojęzycznym wyborze. Jest ono poświęcone miejscu intelektualisty w polityce. Opisawszy szczególną sytuację postkomunistyczną, kiedy to „poeci, filozofowie i piosenkarze zostawali posłami do parlamentów, ministrami w rządach czy nawet prezydentami”, autor powołuje się na „przyjaciela z Wielkiej Brytanii”, który powiedział, iż „największy problem państw postkomunistycznych polega na tym, że ich przywódcy nie potrafią zdecydować, kim są: niezależnymi intelektualistami czy zawodowymi politykami?”

Wyjaśnwszy, że znakomicie rozumie, co mam na myśli, Havel zapytuje, czy aby „...nie jest to nie tyle dylemat, ile historyczne wyzwanie? Może rzeczywiście stoją oni przed wyzwaniem, polegającym na wprowadzeniu do polityki nowego tonu, nadaniu jej nowego wymiaru?” Czy opierając się na swoich specyficznych doświadczeniach totalitaryzmu nie mogliby „wzbogacić utrwalonych stereotypów na temat współczesnego życia o jakiś powiew nowości,

o jakąś nową duchowość?" To, czego potrzebuje dziś polityka, zmagająca się z tak olbrzymimi problemami jak przeludnienie, nędza, zanieczyszczenie środowiska, niepokoje narodowościowe i społeczne - to zmiana „w sferze ducha, w sferze ludzkiej świadomości i samoświadomości...”

Polityka w coraz większym stopniu staje się domeną specjalistów, powinna jednak być to domena ludzi „... o zwiększonym poczuciu odpowiedzialności, rozumiejących tajemniczą złożoność Bytu. Jeżeli intelektualiści uważają się za takich ludzi - to odmawiając wzięcia na siebie ciężaru publicznych stanowisk i tłumacząc, że nie chcą brudzić sobie dłoni, zwyczajnie odebraliby swoim roszczeniom jakąkolwiek zasadność. Ci, którzy uważają politykę za zajęcie hańbiące, sami w istocie sprawiają, że takim się ona staje”.

Konkludując, Havel mówi, że nie wie, komu dalsze wypadki ostatecznie przyznają słusność, ale obecną sytuację uważa za „... wyzwanie do podjęcia wielkiego ryzyka i rozpoczęcia wielkiej przygody... Niech ci, których los postawił na tym stanowisku, wykażą, czy mój brytyjski przyjaciel miał słusność, czy tylko nadmiernie przywiązał się do tego banalnego konceptu, że każdy powinien trzymać się własnej roboty”.

Bóg raczy wiedzieć, co japońska publiczność mogła pomyśleć o prezydencie z Pragi, który stojąc na mównicy w Tokio, prowadził dyskusję z Oxfordem. W rezultacie mamy tu jednak najpełniejszy i najjaśniejszy wykład Havlowego stanowiska. W innych przemówieniach Havel powtarza i rozwija poszczególne jego elementy. Na samym początku swej kadencji, w noworocznym orędziu z 1990 roku wyraża nadzieję, że nowa Czechosłowacja będzie w stanie „stać się promieniować miłością, wolać porozumienia, siłą ducha i idei”, co stanowiło jakby nową wersję koncepcji pierwszego prezydenta, Tomasa Garrigue'a Masaryka, koncepcji polityki opartej na moralności (“Nie Cezar, lecz Jezus” - to słynny cytat z Masaryka.)

„Jeżeli źródłem nadziei dla świata ma być ludzkie sumienie” - mówi Havel w gościnnym przemówieniu w amerykańskim Kongresie w lutym 1990 roku - „to jest oczywiste, że intelektualiści nie mogą wiecznie unikać odpowiedzialności za świat i ukrywać swojego znieścienienia życiem politycznym dlatego, że przysięgli sobie zachować niezależność”. Powiedział też coś, co pięć lat później powtórzył otwierając kongres Pen-Clubu: że jeśli wszyscy będą niezależni, to ostatecznie nie ostanie się nikt niezależny.

W najbardziej chyba jednak godny uwagi sposób potraktował ten temat w przemówieniu wygłoszonym w maju 1991 w Kopenhadze. Tam bowiem kon-

frontuje się bezpośrednio z czymś, co określił jako „diaboliczne” pokusy władzy. Oto, jak pisze, znalazł się „...w świecie przywilejów, wyjątkowego traktowania, godności; w świecie VIP-ów, ludzi, co z wolna zapominają, ile kosztuje bilet tramwajowy czy kostka masła, jak zaparza się kawę, jak prowadzi się samochód albo odbiera telefon. Innymi słowy, znalazłem się na progu tego samego świata komunistycznych grubych ryb, które przez całe życie krytykowałem. A najgorsze, że wszystko to ma swoją niezaprzeczną logikę.”

„Ktoś, kto nie pamięta, jak prowadzi się samochód, jak się robi zakupy, parzy kawę czy odbiera telefon, to już inny człowiek, niż ten, który umiał to wszystko robić przez całe życie”. Polityk staje się więzieniem własnej pozycji, więzieniem swych przywilejów i stanowiska. To, co wydaje się potwierdzać jego tożsamość i zarazem istnienie, w gruncie rzeczy powolotku zabiera mu jedno i drugie”. Oto Havel w dawnym stylu, dążący do uchwycenia jakiejś większej prawdy poprzez ironiczną obserwację przemieszaną z bolesną introspekcją, jak w eseju *Síla bezsilnych*. Widać tu materiał na kolejny wybitny tekst; tym razem mówiący o bezsilności silnych.

Konkluzja jest jednak zdumiewająca. Havel mówił, że z tego wszystkiego, co powiedział wcale nie wynika, „izby nie należało oddawać się działalności politycznej dlatego, że polityka jest u swych podstaw czymś niemoralnym”. Wynika natomiast to, że działalność ta wymaga od ludzi wyższego poczucia odpowiedzialności, gustu, taktu i wrażliwości moralnej. „Ci, co mówią, że polityka to brudne zajęcie, okłamują nas”. Polityka jest zajęciem wymagającym ludzi szczególnie czystych, bo tak łatwo w niej ową czystość utracić”.

Ten motyw powraca w przemówieniu z października 1991 roku, wygłoszonym na Uniwersytecie Nowojorskim; Havel porównuje się w nim do znanego z ostrych sądów krytyka, któremu nagle kazano napisać powieść. Naprzód cytuje własną odpowiedź, w której zaprzecza oskarżeniu, jakoby polityka była „zajęciem u swych podstaw brudnym”: Oczywiście w polityce, jak w ogóle w życiu, nie da się i nie warto mówić każdemu wszystkiego na raz. Ale to nie znaczy, że trzeba kłamać. Potrzeba tylko taktu, właściwych odruchów i dobrego smaku. Oto jedna z niespodzianek, jakie spotkały mnie w świecie „wielkiej polityki”: odkryłem, że bardziej przydaje się tu poczucie smaku niż stopień naukowy z zakresu nauk politycznych. (Dla kogoś, kto studiował nauki polityczne, być może nie byłaby to niespodzianka aż tak wielka).

Następnie wspomina, że wkrótce potem napisał następujące słowa: „Los zdrwił ze mnie. Ukarzał za zbyt dużą pewność siebie, stawiając przed ciężkim dy-

lematem. Oto demokratycznie wybrany parlament przegłosował ustawę, którą uważam za moralnie naganną, pod którą jednak, na mocy konstytucji, zmuszony byłem złożyć podpis". Szło o tzw. ustawę lustracyjną, która, jak tłumaczy Havel, uniemożliwiła pełnienie służby publicznej pewnym kategoriom ludzi – ograniczając prawa obywatelskie tych, którzy związani byli z reżimem komunistycznym. Havel opowiada, co wówczas postanowił: podpisał mianowicie ustawę, po czym przedłożył parlamentowi do przegłosowania poprawkę do niej.

W konkluzji stwierdza, że nie wie, czy była to słuszna decyzja i czy ten fragment pisanej przezeń „powieści” przystaje do standardów, które ustanowił jako krytyk. „Zapewne tylko historia będzie w stanie to osądzić”. Nadal jednak nie uważa, by polityka wymagała niemoralnych zachowań. „Wszelako po moich ostatnich doświadczeniach pragnę pięć razy podkreślić coś, czego parę tygodni temu nie uważałem za wymagające podkreśleń: ścieżka prawdziwie moralnej działalności politycznej ani nie jest prosta, ani łatwa”.

Pół roku później miał miejsce tokijski spór na odległość z niżej podpisanym, stanowiący, o ile się orientuję, ostatnią ważniejszą wypowiedź Havla w tej kwestii przed lipcem 1992 roku, kiedy to zrezygnował z funkcji prezydenta wobec oczywistego rozpadu państwa czeskosłowackiego. (Wydanie anglojęzyczne raczej pomija tę lukę, ale przemówienie znane jako „abdykacyjne” można znaleźć w odpowiednim tomie czeskim.⁸⁾ W styczniu roku 1993 Havel powrócił na Zamek – ze znacznie mniejszymi niż dotąd uprawnieniami – jako prezydent Republiki Czeskiej, dzięki głosom ODS, partii Vaclava Klausea. Od tej pory wielokrotnie wracał do tego tematu, m.in. ostatnio, w mowie powitalnej do uczestników kongresu Pen-Clubu – ale, o ile wiem, w jego argumentach nie pojawiły się istotniejsze nowe elementy.

Cytowałem wypowiedzi Havla dość obficie nie tylko dlatego, że jego refleksje zawsze są interesujące, ale też z tej racji, że dopiero tak liczne przytoczenia wyraziście przedstawiają problem. Szkopuł w tym, że to, co mówi, często jest niejasne i pomieszane. To zaś analityczne pomieszanie odzwierciedla jego głębszą konfuzję co do swojej własnej roli.

Na przykład w przemówieniu Pen-Clubowym pomieszał polityczne zaangażowanie intelektualisty w szerszym sensie (tj. takie, co nie wiąże się bezpośrednio ze zdobywaniem władzy czy stanowiska) z zaangażowaniem w sensie węższym (jak w anegdocie o przyjacielu pisarzu, który namawiał do przyjęcia urzędu). A jednak, tak jak podkreślałem w sporze z Klausem, to rozróżnienie jest tu bardzo ważne.

Również w przemówieniu z Kopenhagi czuć za-

gubienie. Czy zdaniem Havla polityka jest zajęciem brudnym, czy też nie? Jeżeli nie, to dlaczego trzeba wyjątkowo „czystych” ludzi, żeby mogli ją uprawiać nie ulegając zepsuciu? A poza tym, dlaczego mielibyśmy uważać, że intelektualiści w jakikolwiek sposób są lepiej przygotowani do opierania się pokusom władzy, że mają większe szanse na to, by zachować przyzwoitość, prawość, czystość niż pozostali śmiertelnicy? Można wręcz twierdzić, tak jak Ivan Klima, że jest wprost przeciwnie: dokumenty historyczne dotyczące dwudziestowiecznych intelektualistów sugerowałyby inaczej, iż są oni właśnie najbardziej narażeni na wpływy tej zdradliwej trucizny – bo to im najłatwiej przychodzi racjonalizowanie, wyszukiwanie intelektualnego lub filozoficznego uzasadnienia dla własnej uległości, własnej korupcji, poprzez odwołania do wyższych celów bądź wartości. Być może nie miał słuszności również Orwell ze swoją wiarą w „zwykłych ludzi”, ale dwudziestowieczna historia Europy nie daje nam żadnych podstaw, by wierzyć, że intelektualiści radzą sobie lepiej.

Argument, że odmowa wzięcia na siebie politycznej odpowiedzialności jest czynem nieodpowiedzialnym, też można łatwo zakwestionować – jako nieuzasadnione uogólnianie czegoś, co wynikało z bardzo specyficznej sytuacji w postkomunistycznej Europie Środkowej – a szczególnie z sytuacji Vaclava Havla. Oczywiście, w 1989 roku, kiedy to nowa polityczna elita, rekrutująca się głównie spośród bardziej lub mniej niezależnych intelektualistów, stanowiła jedyną alternatywę wobec nomenklatury – odrzucanie urzędu byłoby ucieczką przed odpowiedzialnością.

„Ktoś musiał to zrobić”, to zupełnie dobra diagnoza na rok 1990. Ale nawet i wówczas mogła ona stanowić taktowną i „politycznie (czy raczej moralnie) poprawną” zasłonę dla osobistych ambicji. W Polsce przysłowiowe stało się zdanie Lecha Wałęsy: „Nie chcę, ale muszę”. Tak czy inaczej, chodzi tu o szczególny problem szczególnego momentu historycznego. Z chwilą gdy wyłania się nowa klasa zawodowych polityków, nie ma powodu by ci intelektualiści, którzy nie czują się dobrze w zawodowej polityce – czy to z racji odmienności zasad gry, czy odmiennego podejścia do słów – nie mogli powrócić do swego biurka, laboratorium czy studio.

Tu jednak Havel wysuwa potężny argument o potrzebie zmiany świadomości. Dlaczego jednak intelektualiści mieliby angażować się w politykę aby zmieniać świadomość własnych i nie tylko własnych społeczeństw? Z pewnością dobrze jest mieć polityków obdarzonych szerszą wizją. W rozmowach Havel podaje jako przykład De Gaulle’a, Adenauera i Churchilla. Ale jeśli chodzi o zmianę świadomości, to równie dużo, jeśli nie więcej, zdziałali klasycy lek-

tur z samizdatu - Orwell, Hayek, Popper i, rzecz jasna, sam Havel. Nie trzeba być prezydentem ani premierem, żeby zmieniać powszechną świadomość. Tak naprawdę, większe szanse mają właśnie ci, co nie stoją u władzy.

Pozostaje niesprecyzowane pragnienie, by wzbogacić naszą zrutynizowaną, wyspecjalizowaną, pozabawioną wyobraźni politykę partyjną o jakiś nowy wymiar moralny, intelektualny i duchowy; żeby wpuścić do niej nieco „świeżego wiatru”, by zacytować samego Havla. I tu już najwyższy czas podnieść wzrok znad tekstu, aby spojrzeć na człowieka, który go napisał. Havel bowiem tym się różni od większości pisarzy czy filozofów, że prawdziwość swoich tez udowadnia własną osobą. probierzem tego wszystkiego, czego Vaclav Havel broni w swoich przemówieniach jest działalność jego jako prezydenta (polegająca dziś, rzecz jasna, głównie na wygłaszaniu przemówień).

3.

W jakim więc stopniu udało mu się osiągnąć ów nader wysoki cel, jaki postawił sobie przed pięciu laty? Najwięcej zdziałał w ciągu pierwszych dwóch lat, kiedy to urzędował jako prezydent Republiki Czechosłowackiej. Poprzez swoje słowa i czyny był zarówno adwokatem, jak i żywym przykładem roztropnego i moralnie uwrażliwionego umiarkowanego, kultury, tolerancji i przyzwoitości, które w olbrzymiej mierze nadały przejściu Czechosłowacji od komunizmu do społeczeństwa obywatelskiego charakter spokojny i cywilizowany. Sprawy wcale nie musiały się potoczyć w ten sposób. Bez Havla wszystko to mogło wyglądać dużo bardziej chaotycznie, paskudnie, a nawet krwawo. Ponadto jego głos był w Europie i na świecie czymś niezwykłym i bardzo potrzebnym. Podczas gdy większość przywódców zachodnioeuropejskich zareagowało na wydarzenia sprzed pięciu lat w sposób żałośnie nieadekwatny, zabawiając się rozmowami w Maastricht, kiedy Jugosławii ogarniała pożoga, on nieustannie przypominał nam o szerszym wymiarze historycznym tego, co dzieje się w Europie oraz - jeśli można tak powiedzieć bez zbyteń patosu - o naszych obowiązkach.

Oczywiście nie stał się platońskim królem-filozofem, ani nawet, by przywołać najbardziej narzucające się porównanie, drugim Masarykiem. Niekiedy wydaje się utrzymywać szczególnie pogląd Masaryka, tak oto streszczony zgryźliwie przez Ernesta Gellnera: „Bez uzasadnienia filozoficznego nie ma ustroju państwowego”. Nie jest jednak systematycznym filozofem, a rok 1989 to nie 1918. Jeśli jednak mierzyć rządy króla-dramaturga wedle jakichkolwiek innych standardów niż te niebosiężne, przez

jego samego ustanowione, to pierwsze dwa lata trzeba uznać za poważny sukces.

Potem jednak, a zwłaszcza po abdykacji 1992 roku i po tym, jak wrócił w roku 1993, już jako prezydent Czech, jego władza przedstawiała obraz co najmniej mieszany. Jest po temu wiele powodów, ale najistotniejszy bodaj, to nieumiejętność dokonania wyboru między rolą intelektualisty i rolą polityka.

Gdyby w 1991 roku, kiedy to z inicjatywy Vaclava Klause dokonał się podział Forum Obywatelskiego, Havel pozwolił sobie na utożsamienie się z ruchem, który pozostał po podziale, albo z którymś z nowych ruchów politycznych, a nawet, o zgrozo, z jakąś partią - niewątpliwie przedłużyłby sobie czas sprawowania urzędu, ale również mógłby dzięki temu do swojej popularności i charyzmy dołączyć jakąś istotną podstawę własnej politycznej siły. Odrzucił jednak możliwość zaangażowania się w tę zwykłą (a nierzadko brudną) polityczną partyzantkę. Władza wysliznęła mu się z rąk. W górę poszły akcje Vaclava II, dzięki poparciu którego, udzielonemu z ociąganiem, został w 1993 roku wybrany na prezydenta Czech, o nader ograniczonej władzy; odbyło się to w sposób mocno dlań upokarzający. Havel z gniewem wspomina, jak posłowie w czeskim parlamencie ostentacyjnie ignorowali go, oddając się w trakcie jego wystąpień lekturze gazet lub rozmowie. „Jak clown”, mruczy, a w głosie jego słychać nie małą gorycz.

Zarazem jednak zatarł się i stracił wyrazistość obraz Havla jako intelektualisty. I nie chodzi tu tylko o jego garnitur i krawaty (w których, jak mówi, nadal nie czuje się dobrze), o rozmaite ceremonialne obowiązki, czy o konieczność kompromisów, jak w przypadku ustawy lustracyjnej. Ani o izolujące go od zwykłego życia przywileje, o ten żywot w aksamitnej klatce, który tak poruszająco opisał w przemówieniu kopenhaskim, a który mimo to oddalił go od wielu dawnych bliskich znajomych i przyjaciół.

Poza tym wszystkim jest bowiem jeszcze ten prosty fakt, że przemówienie prezydenta, to nie to samo, co esej pisarza. Tekst i kontekst współdziałają tu w inny, dużo mniej sprzyjający sobie sposób. Życie zaprzecza sztuce.

Nawet zewnętrzna forma książki *Toward a Civil Society* w jakiś sposób mówi nam coś o tym pomieszczeniu ról. Strona tytułowa informuje, że książka wydana została z finansowym wsparciem czeskiego MSZ. Czyżby wydanie książki Havla naprawdę wymagało subsydiów? Na obwołucie znajdują się pochlebne opinie Zbigniewa Brzezińskiego, Eduarda Szewardnadze i niejakiego Thomasa Klestila (prezydenta Austrii, jak zapewne nie wiedzą czytelnicy). Czyżby Havel rzeczywiście potrzebował pochwały ze strony jakiegoś Klestila? Zdjęcie na okładce

przedstawia mężczyznę w prążkowanym garniturze, przemawiającego na tle flagi Zjednoczonej Europy, błękitnej z żółtymi gwiazdami. W efekcie mamy coś, co wygląda na typowe subsydiowane przez rząd wydawnictwo, owoc próżności zawodowego polityka – którym ta książka nie jest. Ale tak właśnie wygląda.

„Najsroższa trucizna, jaką w świecie znamy, z Cezara laurowej spłynęła korony” – napisał Blake. Nie wierzę, aby Vaclav Havel dał się otruć władzą w jakimkolwiek zwykłym znaczeniu. Jeśli w ogóle uległ jakiejś lekkiej infekcji, to widać to raczej w jego dość szczególnym sposobie bycia, w estetycznym zauroczeniu teatrem wielkiej polityki, który jak sam Havel pierwszy zauważa – jest w większym stopniu teatrem absurdu niż najbasurdalniejsza z jego sztuk.

Parę miesięcy słyszałem w jego wykonaniu prze-zabawny opis inscenizacji, zaaranżowanej z okazji wizyty prezydenta Clintona w Pradze – a zwłaszcza z okazji wspólnej wizyty obu prezydentów w typowej praskiej piwiarni, którą obsadzono typową grupką typowych prażan; wszystkim, włącznie z pisarzem Bohumilem Hrabalem, starannie wyselekcjonowała uprzednio ambasada amerykańska. Opis ten był jak wspaniały przedsmak książki, którą mógłby napisać Havel po zakończeniu prezydentury. Muszę jednak przyznać, że przez chwilę zastanawiałem się z zakłopotaniem, co byłby o takiej inscenizacji pomyślał Havel-dysydent; jaką subtelną naukę mógłby z niej wyciągnąć na temat wyalienowania władców.

Bodaj najkrócej i najtrafniej odpowiedział na platońską wizję króla-filozofa Kant, zauważając, że być królem, to rzecz dla filozofa zarówno niegodna pożądanego, jak i niemożliwa – albowiem „posiadanie władzy w sposób nieunikniony uniemożliwia swobodne posługiwanie się rozumem” (weil der Besitz der Gewalt das freie Urteil der Vernunft unvermeidlich verdirbt). Przypadek Havla stanowi ciekawą wariację na temat tej odwiecznej prawdy, wydaje mi się bowiem, że większym zagrożeniem dla jego swobodnego posługiwania się rozumem może być właśnie ta częściowa utrata władzy, której doświadczył w roku 1992 – stan rzeczy utrwalany przez Klause przy każdej możliwej okazji. Obecnie Havel walczy o częściowe odzyskanie utraconej władzy i przedstawia własny program polityczny w serii przemówień, kładących nacisk na ważność oświaty, samorządów lokalnych, obywatelskiego zaangażowania itp. Robi nawet wrażenie przygotowanego – przynajmniej w niektórych sprawach – do skupienia wokół siebie opozycji wobec Klause. Opozycję tę, i to wcale niemałą, dałoby się zresztą znaleźć wśród rządzącej dziś koalicji. Gdyby jednak Havel posłużył się swymi „esejami mówionymi”

w tak instrumentalny sposób, musiałby chyba odejść od standardu, jaki sam sobie narzucił – i w dość smętnym stylu zrezygnować ze stanowiska, które przed pięciu laty zajmował.

Tak czy inaczej, nie jest to conhabitation we francuskim stylu, gdzie silny prezydent z władzą wykonawczą jest w stanie wygrać polityczną batalię. Aktualna pozycja Havla, tak jak określa ją czeska konstytucja, nasuwa raczej porównania z Republiką Federalną Niemiec, w której urząd prezydenta, pozbawionego władzy wykonawczej, obejmował do niedawna bardzo przez Havla podziwiany Richard von Weizsäcker. W istocie, w swych *Letnich medytacjach*, Havel tak oto opisał swoją wymarzoną wizję państwa (taką miał jeszcze wówczas nadzieję) czechosłowackiego: „Na czele państwa stanie jakiś siwy Profesor, równie pełen uroku, co Richard von Weizsäcker”. I w miarę, jak czytam przemówienia Havla, zwłaszcza te nowsze, dostrzegam pewne podobieństwa – w dużej mierze spowodowane drobną, acz wiele mówiącą cechą jego prozy. Jednym z najbardziej charakterystycznych elementów stylu Weizsäckera były bowiem pytania retoryczne. „Oczywiście moje stanowisko pozwala mi tylko na zadawanie pytań”, zwykł on mawiać, po czym stawiał serię retorycznych pytań, które w sumie składały się na bardzo przejrzysty obraz jego własnych poglądów. Może mi się tak tylko wydaje, ale Havel stosuje chyba ten sam chwyt.

To szczególne porównanie można jeszcze nieco rozwinąć. Było bowiem w Niemczech publiczną tajemnicą, że między patrycjuszowskim, protestanckim intelektualistą von Weizsäckerem a prowincjonalnym, katolickim i mniej wyrobionym intelektualnie kanclerzem Kohlem miewają miejsce dość poważne tarcia. W nieoficjalnych wypowiedziach potrafili wyrażać się o sobie naprawdę brzydko. Co do oficjalnych – w pewnych eleganckich pytaniach retorycznych von Weizsäckera słychać było krytykę kanclerza, podobnie jak niektóre uwagi kanclerza nietrudno było interpretować jako strzały wymierzone w przeciwnym kierunku. Nigdy jednak Kohl i von Weizsäcker nie zniżyli się do uprawiania publicznej walki na poziomie spektaklu „Punch and Judy”, tak jak miewa to miejsce z Klausem i Havlem – walki, w której nikt nie zostaje nazwany po nazwisku, a jednak wszyscy wiedzą, o kogo chodzi w pełnych metafor przemówieniach. Walki, w świetle której interpretuje się wszelkie wydarzenia, tak że przeciętny Czech może odnieść wrażenie, że gdyby Havel wyraził się kiedyś korzystnie o szpinaku, Klaus już nazajutrz musiałby wystąpić przeciwko szpinakowi – i to, rzecz jasna, na gruncie zasad neoliberalizmu.

Miał zachowywać się w ten sposób, Kohl i Weizsäcker trzymali się swoich konstytucyjnych uprawnień i, w najbardziej udanych momentach współpracy, starali się, by dzielące ich różnice uzupełniały się wzajemnie, a nie powodowały dysharmonii. W efekcie stworzyli jeden z najsukcesywniejszych duetów politycznych w najnowszych dziejach Europy, co bardzo przyczyniło się do pokojowego przebiegu zjednoczenia Niemiec. Gdyby podobny (faktem jest, że niełatwy) podział pracy udało się ustalić między sobą prezydentowi i premierowi Czech, byłoby to niewątpliwie nader korzystne dla Czeskiej Republiki – zarówno wewnątrz kraju, jak i w Europie czy w ogóle na świecie.

Tego rodzaju „weizsäckerowska” rola prezydenta byłaby czymś bardzo odległym od dawnych, a może i wciąż żywych Havlowych marzeń, aby wprowadzić do polityki nowy wymiar duchowy. Jak pokazuje przykład niemiecki, w szerszym kontekście europejskim nie byłoby to nic nowego. Pozostaje też poważne pytanie, czy eks-prezydent Czechosłowacji nie wywierałby większego wpływu na Europę i świat, gdyby mógł znowu przemawiać głosem niezależnego intelektualisty. Ale kości zostały już rzucone. Jeszcze co najmniej przez kilka lat Havel będzie siedział na Zamku i cierpiał za nas, jako żywy przykład dylematów intelektualisty zajmującego się polityką; skazany, niczym bohater jednej z jego własnych sztuk, na odgrywanie roli, której nie uważa do końca za swoją; napastowany i prowokowany przez cokolwiek niepokojącego osobnika, który na dodatek nosi to samo imię co on – bo takie groteskowe tricki wymyśla nadziemiński dramaturg.

4.

Tą nieco havlowską w stylu refleksją kończę moją praską opowieść o intelektualistach i o polityce – prawie dokładnie pięć lat po tym, jak w tym samym piśmie opisałem historię „Zaczarowanej Latarni”. Tak jak wówczas, starałem się opowiedzieć wszystko najuczciwiej, jak tylko się dało, ryzykując niedyskreję i urażenie niektórych osób. Czy można z tej opowieści wyciągnąć jakiś wniosek albo wręcz naukę? Myślę, że owszem, mogą z niej wynikać rozmaite wnioski na temat Czech, na temat roli intelektualistów w postkomunistycznej Europie Środkowej, i wreszcie, choć to najmniej pewne – na temat miejsca intelektualistów w całej Europie.

Republika Czeska stoi w tej chwili przed następującym zagadnieniem: Czy premier i prezydent są w stanie osiągnąć względnie harmonijne wzajemne stosunki publiczne, tak jak Kohl i Weizsäcker? Prawie na pewno nie. Jako że demokracja w Czechach jest świeża, konstytucyjnych ról nie zdążyły jeszcze dość wyraźnie określić ani prawo, ani precedens.

(Gdzie dobre ploty, tam dobrzy sąsiedzi.) Obaj mają bardzo odmienne poglądy na temat tego, jak powinno wyglądać nowe państwo czeskie. Dla thatcherysty Klause absolutnym priorytetem są przemiany gospodarcze, choćby miałyby się one odbywać kosztem korupcji i odstępstw od prawa. „Szybkość jest ważniejsza niż dokładność” – mówi Klaus. Z kolei Havel, który uprawia politykę, o ile można ją w ogóle określić za pomocą zwykłych terminów, ekologicznie uwrażliwionego socjaldemokraty – kładzie nacisk na ważność kultury, samorządów lokalnych, powszechnego zaangażowania, społeczeństwa obywatelskiego.

Przed wszystkim jednak ma tu miejsce zderzenie dwóch różnych osobowości i biografii. Opowieść o dwóch Vaclavach, to coś więcej niż tylko intelektualista Havel contra polityk Klaus. Z pewnością Havel jest ważniejszym intelektualistą, a Klaus sprawniejszym politykiem. Ale cały kłopot bierze się właśnie stąd, że obaj, jak to pokazał epizod w Pen-Clubie, są intelektualistami zajmującymi się polityką.

Dlatego właśnie jest to opowieść tak osobliwa i tak zarazem reprezentatywna; w całej bowiem postkomunistycznej Europie Środkowej intelektualści muszą zmagać się z podobnymi dylematami. Dla wielu z tych, którzy pozostali przy działalności politycznej, przedstawiona tu przeze mnie dychotomia będzie może za ostra. Jiri Dienstbier, niegdyś dysydent, potem minister spraw zagranicznych, a dziś przywódca małej partii opozycyjnej, napisał recenzję z naszej dyskusji w Pen-Clubie; stwierdził w niej, że zgadza się z moją generalną tezą, ale że będąc ministrem nie miał wcale poczucia, by jego praca polegała na obcowaniu z półprawdami. Bardziej do przyjęcia byłaby ta dychotomia dla ludzi, którzy po 1989 roku zaczęli zajmować się polityką, ale przestali – jest to dziś całkiem liczna grupa. Jeszcze łatwiej byłoby ją zaakceptować tym, którzy nigdy z polityką nie mieli do czynienia. Ale i oni mają swoje problemy.

Gwałtowne przemiany odciskają dziś piętno na całej inteligencji, tym szczególnym zjawisku z najnowszej historii Europy Środkowej i Wschodniej. Ów świat „kręgów przyjaciół”, świat milieux, w którym artyści, filozofowie, pisarze, ekonomiści, dziennikarze mieli poczucie przynależności do tej samej grupy, wyznającej pewien wspólny etos (choć często realizowano go przez łamanie prawa), był w Europie końca XX wieku anachronizmem, ale wspaniałym i wzbogacającym. Jego niezwykły charakter streścił dla mnie Ivan Klima, kiedy opowiadał, w jaki sposób on i jego koledzy po piórze postanowili w 1989 wskrzesić zawieszoną od dawna działalność czeskiego Pen-Clubu. Powiedział on: „grupa kolegów upoważniła mnie...”

W dziwnym świecie inteligencji pod rządami komunizmu człowiek szukał upoważnień ze strony grona własnych kolegów.

Wolność wszystko to zmieniała. Inteligencja ze zdumiewającą prędkością rozpadła się na poszczególne zawody, tak jak na Zachodzie: na dziennikarzy, wydawców, wykładowców uniwersyteckich, aktorów, nie mówiąc już o tych, którzy zostali urzędnikami państwowymi, prawnikami lub dyplomatami. Większość milieux zatarła się; „kręgi przyjaciół” uległy rozproszeniu lub straciły swoje niegdysiejsze znaczenie. Ci, którzy pozostali w zawodach „czysto intelektualnych” – przede wszystkim nauczyciele akademicy – poczuli się o coś ubożsi. Co więcej, bohaterami nadającym ton epoce stali się biznesmeni i przedsiębiorcy. Tak oto znaczenie niezależnych intelektualistów, nienormalnie wielkie przed rokiem 1989, stało się dzisiaj równie nienormalnie znikome.

Tak jednak twierdząc, zakładalibyśmy, że wiemy, jakie miałyby być ich znaczenie „normalne”. A czy wiemy? Czy istnieje jakaś ogólnoeuropejska normalność w tym względzie, w stronę której mogłaby zmierzać postkomunistyczna Europa Środkowa? W Wielkiej Brytanii rzadko mówi się o „intelektualistach”; termin ten uchodzi za kontynentalny i nieco pretensjonalny. Ukute niedawno określenie „eurointelektualiści” zgrabnie łączy oba te uprzedzenia. Jak to jednak powiedział kiedyś lord Byron w związku ze słowem *longueurs*: choć nie mamy własnego słowa, to samą rzecz posiadamy w obfitości. Przy czym mamy ich zarówno na lewicy, jak i na prawicy, choć, jak wszędzie indziej, nasza prawica ma skłonność do utożsamiania samego już pojęcia „intelektualisty” z lewicą.

W Niemczech skończyły się już chyba czasy, kiedy to wielką rolę odgrywali pisarze tacy jak Böll czy Grass. Niemniej najciekawsze bodaj debaty polityczne w tym kraju, to domena intelektualistów: przykładem może być dział „Feuilleton” w gazecie „Frankfurter Allgemeine Zeitung” i różne pomniejsze pisma. Również i tam jednak zaobserwować można, jak intelektualiści prawicowi uprawiają ogólną krytykę „intelektualistów”, mając przy tym na myśli tych z lewicy – a to ze względu na brak entuzjazmu lewicy wobec zjednoczenia Niemiec.

We Francji pisarze i myśliciele nazywani i sami siebie nazywający „intelektualistami” istnieją co najmniej od czasów sprawy Dreyfusa i sławnego „Manifeste des Intellectuels”. Wątpię jednak, czy ktokolwiek we Francji zaryzykowałby dziś napisanie *Plaidoyer pour les intellectuels*, jak Sartre w roku 1972. Na pewno można to w części przypisać świadomości straszliwych błędów i moralnych potknięć, jakich

dopuszcili się w XX wieku intelektualiści – w tym wielu francuskich, z Sartre'em na czele. Innym powodem jest brak nowej utopii, jakiej można by się uchwycić – wyjąwszy utopijny liberalizm, będący sprzecznością samą w sobie. Poza tym intelektualiści nazbyt zajęci są dziś pokazywaniem się w telewizji i ogólną rywalizacją na zatłoczonym rynku rozrywkowym.

Równocześnie jednak, we wszystkich ważniejszych krajach Europy Zachodniej ma też miejsce kryzys zaufania wobec zawodowych polityków, postrzeganych jako oderwani od życia, egoistyczni karierowicze. Zmora włoskiego skandalu straszy nas wszystkich.

I w tym sensie nawoływania Havla, aby nadać polityce nowy wymiar duchowy i moralny, mogą wydawać się ważne i aktualne dla całej Zachodniej Europy. Pięć lat temu, za czasów „Zaczarowanej Latarni”, wielu ludzi na Zachodzie liczyło na coś takiego. Ale na pewno z tego nie wynika, że nadszedł czas, aby intelektualiści angażowali się w działalność polityczną w wąskim znaczeniu – tj. ubiegali się o stanowiska premierów czy prezydentów. Nadszedł natomiast czas, aby stali się zarazem w rozumny sposób niezależni i politycznie zaangażowani – co między innymi oznacza konieczność krytyki premierów i prezydentów; cywilizowanej, rzecz jasna, i konstruktywnej, kiedy tylko się da. Ale przede wszystkim – wyraźnej.

„The New York Review of Books”, 12. 01. 1995

Przełożył Łukasz Sommer

PRZYPISY

- 1 „The New York Review of Books” z 18. 01. 1990
- 2 Václav Klaus: Proč jsem konzervativcem? Praga 1992
- 3 Interesująco piszą na ten temat, po części z inspiracji Havla, Ian MacLean, Alan Montefiore i Peter Winch (red). „The Political Responsibility of Intellectuals”. Cambridge University Press 1990.
- 4 „Work in half-truth”, po raz pierwszy pisałem o tym w „The New York Review of Books” z 16. 08. 1990.
- 5 Książkę opublikowaną w 1979 roku jako „The Intellectuals on the Road to Class Power”, Harcourt Brace. We wstępie Szelényi wspomina jednak, że maszynopis został ukończony w roku 1974.
- 6 Pełny tytuł anglojęzycznego wydania brzmi: *Toward a Civil Society: Selected Speeches & Writings 1990-1994* (Praga: „Lidové Noviny” 1994). Red. Paul Wilson. Tłum. P. Wilson i in.
- 7 Książki po czesku, to: *Projevy leden – červen 1990* („Przemówienia: styczeń – czerwiec 1990”) (Praga: Vysehrad, 1990), *Vazeni obcane, Projevy červenec 1990 – červenec 1992* („Droży obywateli; przemówienia: lipiec 1990 – lipiec 1992”) (Praga: Lidove Noviny, 1992) oraz *Vaclav Havel 1992 & 1993* (Praga: Paseka 1994).
- 8 Po czesku brzmi to jeszcze dobitniej: „Wszyscy, którzy mówią, że polityka to zajęcie brudne – kłamią”.
- 9 Václav Havel, *Vazeni obcane*, str. 198-199.
- 10 Miało to zabawny ciąg dalszy. Odegrawszy kluczową rolę w reaktywowaniu czeskiego Pen-Clubu, Klima został wezwany przez służbę bezpieczeństwa na przesłuchanie. Głównym ich celem było niedopuszczenie do mianowania Havla prezesem Pen-Clubu. Trzy miesiące później Havel był już prezydentem Czechosłowacji.



VÁCLAV HAVEL

Czas przełomu*

* Przemówienie wygłoszone 4 lipca 1994 roku w Filadelfii z okazji odebrania Medalu Wolności podczas Święta Niepodległości Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Przed tym oto historycznym gmachem spotkał mnie wielki honor, jakim jest odebranie Medalu Wolności. Wydarzenie to traktuję jako wyzwanie do tego, bym nadał swemu przemówieniu wzniosły cel. Pragnę zastanowić się nad sytuacją współczesnego świata i jego perspektywami.

Są mędrcy, którzy utrzymują, że skoro erę nowożytną zapoczątkowało odkrycie Ameryki, to również w Ameryce należy szukać jej zakończenia. Nastąpiło ono w 1969 roku, gdy Ameryka wysłała pierwszych ludzi na Księżyc. Podobno od tej historycznej chwili można datować nową erę w dziejach ludzkości. Uważam, że ten pogląd ma swoje uzasadnienie. Wiele bowiem wydaje się wskazywać na to, że znajdujemy się dziś w przełomowym okresie dziejów, kiedy coś odchodzi, a coś innego rodzi się w bólach; kiedy coś się kruszy, rozkłada i wyczerpuje, a coś innego niezauważalnie z tych zgliszcz powstaje. Ten stan zasadniczego przewartościowania nie jest niczym nowym i ma swój historyczny odpowiednik na przykład w epoce helleńskiej, kiedy na ruinach świata starożytnego rodziło się średniowiecze, a także w renesansie, który otwierał bramy nowoczesności. Takie przełomy odznaczają się szczególnym przenikaniem kultur, pluralizmem czy też paraleli-

zmem światów duchowych. Upadają wówczas wszystkie spójne systemy wartości. Jest to czas przypominania dawnych kultur lub odkrywania kultur dalekich. Częściej sięgamy wówczas po cytaty, upodobniamy się do kogoś lub czegoś, a zamiast autorytatywnej interpretacji czy integrowania - wnioskujemy. Ze spotkań i wzajemnego przenikania wielu różnorodnych elementów rodzi się powoli nowy sens.

Dziś ten stan ducha czy świata nazywany jest postmodernizmem. Beduin na wielbłądzie w tradycyjnej galabii, pod którą ma dzinsy, z radiodbiornikiem w ręce i reklamą Coca-Coli na skórze wielbłąda, to w moim odczuciu symbol tego stanu. Nie wyśmiewam się z tego ani też nie wylewam łez intelektualisty z powodu komercyjnej zaborczości Zachodu wyniszczającej inną kulturę. Traktuję to jako typowe zjawisko epoki wielokulturowej i dowód na to, że w tym przełomowym momencie dziejów wszystko jest możliwe. Tak, wszystko jest możliwe, bo nasza cywilizacja nie ma swojego jednolitego stylu, swojego ducha, swojego gustu.

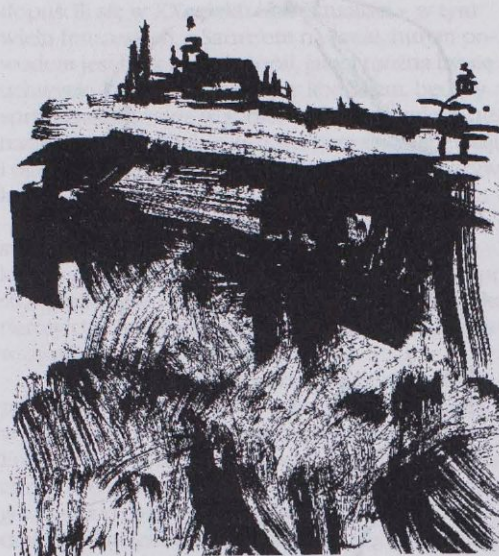
Ma to związek z przekształceniem się współczesnej nauki w podstawę nowożytnego pojmowania świata.

Oszalamiający rozwój nauki opartej na bezgranicznym zaufaniu do obiektywnej rzeczywistości, całkowicie kierowanej przez pewne powszechne i racjonalne poznawalne prawa, doprowadził do powstania współczesnej cywilizacji technicznej. Jest to pierwsza cywilizacja w historii ludzkości, która obejmuje całą ziemię i ściśle ze sobą wiąże wszystkie ludzkie wspólnoty, gotując im ten sam los. Ostatecznie właśnie dzięki tej nauce człowiek mógł po raz pierwszy zobaczyć Ziemię z Kosmosu, a więc jako gwiazdę na niebie.

Stosunek do świata, określany i współtworzony przez nowożytną naukę, jakby już był u kresu swoich możliwości. Coraz bardziej widać, iż jakoś dziwnie rozmija się on zarówno z tą najbardziej wewnętrzną istotą rzeczywistości, jak i z naturalnym doświadczeniem ludzkim. I tak oto dziś jest raczej źródłem dezintegracji i pytań, aniżeli źródłem integracji i sensu. Wywołuje wręcz stan pewnej schizofrenii: człowiek jako obserwator staje się zupełnie obcy sobie jako istocie. Okazuje się bowiem, iż wszystko, co opisała klasyczna nowożytna nauka, było jedynie skorupą rzeczy; że to tylko jeden wymiar rzeczywistości, wymiar tym bardziej zafalszowany, im usilniej uważano go za jedyny bądź za samą istotę rzeczywistości. Dla przykładu: o Kosmosie wiemy chyba niewspółmiernie więcej od naszych przodków, a jednak coraz częściej wydaje się, że oni znali coś istotnego, co nam się wymyka. Podobnie rzecz wygląda w odniesieniu do natury i - w ostateczności - nas samych. Coraz dokładniejsze poznanie wszystkich naszych organów i ich funkcji, ich struktury wewnętrznej i reakcji biochemicznych, oddała nas od ducha, celu i sensu systemu, który to wszystko tworzy i który doświadczamy jako nasze niepowtarzalne „ja”.

I tak oto człowiek znajduje się w nieco paradoksalnym położeniu. Z jednej strony korzysta ze wszystkich dobrodziejstw współczesnej cywilizacji, które ułatwiają mu w znacznym stopniu fizyczną obecność na ziemi. Z drugiej strony jednak, nie wie, dokładnie, co z sobą począć, nie wie do czego się odnieść, świat jego doświadczeń wydaje mu się chaotyczny, niejednorodny, nieprzejrzysty, w jego percepcji świata nie ma żadnej integrującej siły, jednoczącego sensu, prawdziwie głębokiego rozumienia zjawisk. Specjaliści umieją wyjaśnić wszystko, co dotyczy obiektywnego świata, lecz świat nasze- go życia jest dla nas coraz bardziej niezrozumiały.

Sytuacja ta ma swoje społeczne i polityczne konsekwencje. Jedyna planetarna cywilizacja, do której wszyscy przynależymy, rzuca nam wyzwanie, lecz my nie jesteśmy w stanie go przyjąć, nasza cywilizacja bowiem, siłą rzeczy, zdołała objąć jedynie powierzchnię naszego życia. Jego głębia



pozostała nie odkryta. I wydaje się, że ludzie, którzy otrzymują coraz mniej wskazówek od epoki racjonalnego poznania, coraz częściej próbują skrycie czerpać ze swoich pradawnych źródeł. Dzięki temu poszczególne kultury - ujednoczone przez współczesną cywilizację - ponownie uświadamiają sobie swoją wewnętrzną samoistość i odrębność wewnętrzną kultur pozostałych. Wzmagają się konflikty kultur, dziś - rzecz jasna - o wiele niebezpieczniejsze niż kiedykolwiek dotąd. Zmierzch racjonalistycznej epoki wygląda katastrofalnie: wyposażeni w tę samą supernowoczną broń, częstokroć od tego samego dostawcy, pod baczny okiem kamer telewizyjnych, walczą ze sobą zwolennicy różnych plemiennych kultów. W biały dzień pracujemy ze statystykami, wieczorem zaś odwiedzamy astrologów i straszmy się thrillerami o wampirach. Pomiędzy racjonalnym a duchowym, zewnętrznym i wewnętrznym, obiektywnym i subiektywnym, technicznym i moralnym, uniwersalnym i niepowtarzalnym - ziele coraz większa przepaść.

Nie bez kozery politycy zastanawiają się, jak znaleźć klucz do przetrwania współczesnej globalnej i przy tym w tak znacznym stopniu wielokulturowej cywilizacji; jakie ogólnie szanowane mechanizmy pokojowego współżycia stworzyć i na jakim zbiorze zasad je budować. Są to kwestie, które nagle stały się nader aktualne na skutek obu najważniejszych wydarzeń drugiej połowy dwudziestego wieku: końca kolonializmu i upadku komunizmu. Sztuczny ogólnościowy ład ubiegłych dekad runął, a nowy, bardziej sprawiedliwy, dotąd jeszcze

nie powstał. Wytworzenie nowego modelu koegzystencji wszystkich różnorodnych kultur, narodów, ras i religii w ramach jednej połączonej cywilizacji staje się najważniejszym zadaniem politycznym końca tego tysiąclecia. Zadaniem nagłym, gdyż nie można bagatelizować żadnego z zagrożeń współczesnej ludzkości.

Wielu sądzi, iż zadaniu temu można sprostać, że tak powiem technicznie, tzn. poprzez wymyślenie nowych (organizacyjnych, politycznych oraz dyplomatycznych) instrumentów. Owszem, trzeba wymyślać instrumenty odpowiadające współczesnej wielokulturowej epoce. Tyle że takie dążenie jest z góry skazane na niepowodzenie, o ile nie wyrasta z czegoś głębszego - z powszechnie uznawanych idei i wartości.

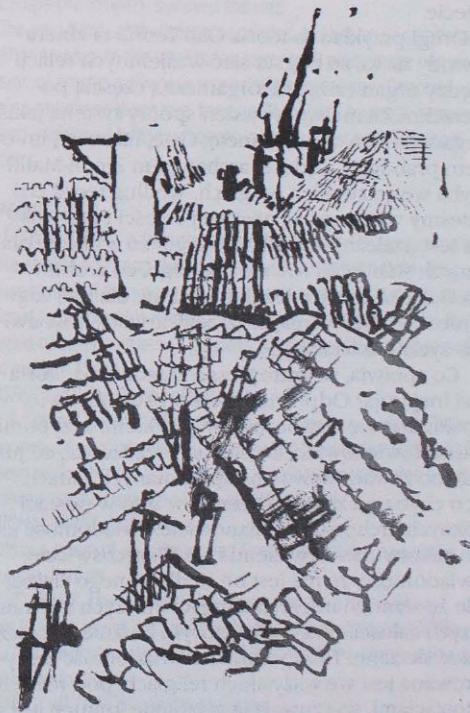
Także i o tym w zasadzie wiemy. I rozglądając się za jak najbardziej naturalnym duchowym źródłem do stworzenia nowego systemu światowego, zupełnie jawnie spoglądamy na tradycyjny fundament nowoczesnej sprawiedliwości i wielkie osiągnięcia nowożytnej epoki, w zbiór wartości, które m.in. po raz pierwszy zadeklarowano w tym otoczeniu. Są to: poszanowanie jednostki ludzkiej, jej wolności i niezbywalnych praw, zasada państwa prawa i równości obywateli przed prawem, zasada, że wszelka władza pochodzi z ludu, słowem - ideowe fundamenty nowoczesnej demokracji.

Być może zabrzmiało to jak prowokacja, ale odnośnie coraz silniejsze wrażenie, że nawet to nie wystarcza i że trzeba iść jeszcze dalej i jeszcze głębiej. Rozwiązanie to jest, bądź co bądź, rozwiązaniem nowożytnym, które wzięło swój początek w klimacie oświecenia, ówczesnym pojmowaniu człowieka i stosunku do świata, który był charakterystyczny dla świata euroamerykańskiego ostatnich dwóch stuleci. Dzisiaj jednak znajdujemy się już w innym miejscu i stawiamy czoło innej sytuacji, której nie odpowiadają klasyczne nowożytne rozwiązania. Przecież sama zasada niezbywalnych praw człowieka, którymi obdarzył go Bóg, wyrasta z typowo nowożytnego poglądu, że człowiek - jako ten, który potrafi poznawać przyrodę i świat - to wierzchołek stworzenia i pan świata. Ten nowoczesny antropocentryzm naturalnie prowadził do tego, że wkrótce z obrazu świata zaczął znikać Ten, który podobno tymi niezbywalnymi prawami obdarzył człowieka: nowożytna nauka nie potrafiła Go ująć, więc stopniowo zepchnięto Go do jakiejś prywatności, o ile nie wręcz do sfery prywatnych kaprysów, tzw. przekonań osobistych, a więc gdzieś, gdzie tracą ważność publicznie obowiązujące reguły. Egzystencja wyższego od człowieka autorytetu po prostu zaczęła przeszkadzać ludzkiemu wzlotom.

Idea praw człowieka i wolności musi stanowić nieodzowny element każdego sensownego ładu powszechnego. Ale wydaje mi się, że winna być zakotwiczona gdzie indziej i inaczej niż dotąd. O ile nie ma z niej zostać tylko hasło, które wyśmiewa dziś połowa świata. Nie może być wyartykułowana językiem odchodzącej epoki. I nie może także pływać niczym zwykła piana na opadających wodach zaufania do czysto naukowego stosunku do świata.

Brzmi to paradoksalnie, ale inspirację do odnowy zagubionej integralności można dziś znaleźć m.in. znów w nauce. W nauce nowej, postmodernistycznej, która swe ujście znajdzie w myślach, w których przekracza siebie samą. Przytoczę chociaż dwa przykłady.

Pierwszy, to znana zasada antropiczna. Jej twórcy zwrócili uwagę na to, że z niezliczonych wariantów rozwoju, kosmos wybrał sobie tę jedyną, która umożliwiła powstanie życia. Nie stanowi to jeszcze dowodu na to, że celem wszechświata od początku było, by zobaczył samego siebie naszymi oczami. Ale jak inaczej tę rzecz można wyjaśnić?



Mniemam, że to doprowadza nas do myśli tak starej, jak sama ludzkość: wcale nie jesteśmy jakąś przypadkową anomalią, mikroskopijnym kaprysem jakiegoś marzyciela w nieskończonej otchłani Wszechświata, ale jesteśmy tajemniczo połączeni z całym Kosmosem jako ci, w których odzwierciedla się, albo w których odbija się, cały jego rozwój. Dopóki wydawało się, że jesteśmy jakimś nieszczęśliwym grzybem na jednym obiekcie, który lata wśród wielu innych, niezagrzybionych, to klasyczna nauka była zadowolona. W chwili, gdy wychodzi na jaw, że jesteśmy powiązani z całym kosmosem, nauka osiągnęła kres swoich kompetencji: opierała się przecież na ogólnych prawach i nagle, stojąc wobec tzw. singularności (tzn. niepowtarzalności), czuje się bezradna. Wszechświat to niepowtarzalne wydarzenie i niepowtarzalna opowieść i my jesteśmy jego niepowtarzalną dotychczasową pointą. Niepowtarzalne wydarzenia i opowieści, to przecież domena poezji, a nie nauki. Poprzez sformułowanie zasady antropicznej nauka stanęła na granicy pomiędzy wzorem i opowieścią, nauką i mitem. Jednakże, paradoksalnie, tą okrężną drogą wróciła do człowieka i oferuje mu zagubioną integralność w nowej szacie. Oferuje mu ją przez to, że znów zakotwiczyła człowieka we Wszechświecie.

Drugi przykład to teoria Gai. Teoria ta zbiera dowody na to, że bogata sieć wzajemnych relacji między organiczną i nieorganiczną częścią powierzchni Ziemi tworzy jeden spójny system, jakiś megaorganizm, żywą planetę, Gaję, nazwaną imieniem prabogini, będącej archetypem Ziemi-Matki chyba we wszystkich religiach. Według teorii Gai jesteśmy więc częścią większej całości i nasz los nie jest uzależniony tylko od tego, co zrobimy dla samych siebie, ale również od tego, co zrobimy dla Gai jako całości. Jeżeli będziemy dla niej zagrożeniem, to ona w imię wyższej wartości, pozbawi nas życia (jako takiego).

Co sprawia, że antropiczna zasada oraz teoria Gai inspirują? Odpowiedź jest prosta: obydwie, posługując się nowoczesnym językiem, przypominają człowiekowi to, co dawno przeczował, co już dawno zawarł w swoich zapomnianych mitach i co chyba od zawsze drzemie w nim w postaci różnych archetypów. Mianowicie: świadomość jego zakotwiczenia w ziemi i we Wszechświecie, świadomość, że nie jest on tu dla samego siebie, ale że stanowi integralną część wyższych tajemniczych całości, przeciwko którym bluźnić jest raczej niewskazane. Ta zapomniana świadomość zaszyfrowana jest we wszystkich religiach, pod różnymi postaciami, wyczuwają ją wszystkie kultury, jest to jedna z rzeczy, które pomagają człowiekowi zrozu-

mieć siebie samego, swoje miejsce w świecie, a także świat jako taki.

Jeden z filozofów wypowiedział słynną sentencję: „Już tylko jakiś Bóg może nas uratować”.

Tak, prawdziwą nadzieją współczesnego człowieka jest chyba naprawdę tylko ponowne zdobycie pewności swego ziemskiego i kosmicznego zakotwiczenia i z niej wypływająca świadomość i zdolność własnej transcendencji. Politycy mogą tysiącrotnie powtarzać na wszystkich międzynarodowych konferencjach, iż podstawą nowego ładu światowego musi być ogólny szacunek wobec praw człowieka - i nic to nie da, o ile imperatyw ten nie będzie wynikać z respektu człowieka wobec cudu jestestwa, cudu Wszechświata, cudu przyrody, cudu własnej egzystencji. Naprawdę szanować siebie samego i swoich bliźnich - i szanować wobec tego również ich prawa - może tylko ten, kto chyli czoło przed autorytetem ładu Wszechświata i przed autorytetem stworzenia. I kto potrafi uszanować prawo bycia jego częścią i uczestnikiem.

Z tego logicznie wynika i to, że pewna droga do koegzystencji, pokojowego współżycia i twórczej współpracy musi w dzisiejszym wielokulturowym świecie mieć źródło w tym, co jest wspólnym punktem wyjścia i przesłanką wszystkich kultur, i co zostało złożone w ludzkich sercach i myślach o wiele głębiej niż jakieś poglądy polityczne, antypatie czy sympatie - w ludzkiej transcendencji. Transcendencji jako ręki podanej bliskiemu człowiekowi, obcemu, wspólnocie ludzkiej, wszystkim żywym istotom. Transcendencji jako głęboko i radośnie doświadczanej potrzeby życia w zgodzie z tym, co nie jest nami samymi, co wydaje się nam być odległe w czasie i przestrzeni, ale z czym jesteśmy jakoś tajemniczo połączeni, albowiem razem z nami tworzy to jeden jedyny świat. Transcendencji jako jedynej prawdziwej alternatywy wobec zagłady.

W Deklaracji Niepodległości, ogłoszonej dwadzieścia osiemnaście lat temu w tej sali, jest napisane, że Stwórca dał człowiekowi prawo do wolności. Wydaje się, że swoją wolność człowiek może wypełnić tylko wówczas, gdy nie zapomni o tym, kto mu ją dał.

Przełożył V.P

Contents

FORUM

JOSEF KROUTVOR: *Prague - the debating city*

Max Brod, a friend of Franz Kafka, gave Prague a name: the debating city. He meant the long-lasting interaction of the Czech, German and Jewish cultures. It is that Prague, the excellent essayist and historian - Josef Kroutvor - writes about.

RAINER MARIA RILKE: *King Bohusz*

Rilke, as early as a young man, defeated in himself the German nationalism and the attitude of superiority towards his Czech neighbours, which his mother had so eagerly wanted to plant in him. An example of that is his interesting but little-known short-story "King Bohusz" of 1899, which presents the circles of Czech intelligentsia trying to defend its identity. Rilke proves here his good orientation and understanding of the reality of Prague at the turn of the century.

JOHANNES URZIDIL: *11th June 1924*

In his reminder of the day of Kafka's death, this German writer born in Prague claims that the death ended the existence of Czech-German-Austrian-Jewish synthesis, which had made the city a metropolis. "Kafka meant Prague, Prague meant Kafka."

JOSEF ŠKVORECKÝ: *The story of a cuckoo*

This is a beautiful and wise short-story of the outstanding Czech emigration writer about the tragedy of people into whose life the fascist ideology penetrates. The story starts in a small town somewhere in the Czech Sudetes, where Germans, Czechs and Jews had lived together, then it moves to Prague.

S. KELLER-SKOWROŃSKI, M. BURZYŃSKA-KELLER: *Prague, the crown of the world, the city and mother in Israel...*

The history of Jews in Prague is over a thousand years old. The article based on the history, however, mainly presents the contacts between Prague Jews and Polish Jews, especially the connections between Cracow Kazimierz and Prague.

JOSIP PLEČNIK'S STUDIO OF ARCHITECTURE

This is the presentation of Josip Plečnik (1872-1957) - an outstanding Slovene architect, the main designer of the reconstruction of the Prague Castle - the historical seat of Czech monarchs.

THE LITERARY CORNER

The poems by Czech poets: **Nezval**, **Seifert**, **Holan** and **Holub** as well as the poems connected with Prague by young Polish poets: **Machej** and **Wencel**.

The short-story "Mum sings the second voice" by **Karol Sidon**, who as the first signer of Card 77 emigrated from Czechoslovakia and he returned to Prague in 1989 as the rabbi of the Jewish community.

Fragments of the novel by **Daniela Hodrova** "The day of Perun".

The drama of **Jary Cimman's Theatre** "The reaching of the North Pole by Czech Karol German on 5th April 1909." Cimman is a fictitious character, the Czech "everyman", who knows all the answers and wants to show the world what the Czech can do; he is a worthy heir of the tradition of the good soldier Schweik.

THE STUDIO OF JIŘÍ KOLAŘ

There are the opinions accounting for the artistic credo of the outstanding Czech avant-garde author, poet and artist, and the selection of so-called visual poems by Kolař of the series "Gersaint's signboard".

NATIONAL CONFRATERNITIES

MARTIN C. PUTNA: *Russian Prague (1921-1945)*

There is a description of so-called "Russian Action" started by president Masaryk, whose aim was to concentrate Russian intelligentsia in Prague and make it possible for them to work and at the same time with their help to bring up a new intelligentsia (mainly out of the soldiers of the White Army) for future Russia - liberal and democratic.

BOHDAN ŽILYNSKYJ: *The refugees from "the Steppe Hellas" in the heart of Europe*

This is a story of the Ukrainian emigration in Prague consisting mainly of the fighters for the Ukrainian independent state, who were defeated and had to flee from Bolshevik Russia mainly in 1919 and 1920.

TEREZIN

This is a little town near Prague, where during the Second World War the Nazis established a concentration camp for thousands of Jews from Bohemia and other countries of Europe. Only 3 thousands of Jews - out of 86,900 persons deported to the death camps (Auschwitz)- survived the war.

The peculiarity of that place depended on that an unparalleled phenomenon in the totalitarian terror took place there - an explosion of artistic activeness, especially musical one. Concerts were also organised there, e.g. famous "Requiem" by Verdi, prepared and performed by the prisoners in the hardest possible conditions.

PERIPHERIES

JÁCHYM TOPOL - a fragment of his short-story "The excursion to the station hall" and the interview with this most outstanding representative of the young generation of Czech literature, in which Topol tells about his liking for underground, his fascination for the world of other cultures (e.g. Roms, Vietnamese) in the townscape of modern Prague.

JOSEF KROUTVOR: *Poor Prague*

It is the text about the Prague district - Smichov, in which "little houses, Secession villas and blackened town tenements fight for room under the sun with factories, warehouses, and also a big railway station besieging them closely around."

MICHAL AJVAZ: *Holešovice*

This is a poem of an outstanding Czech poet about one of the Prague districts.

PAVEL ŠRUT: *The meeting with the sun on the Earth Žižkov.*

This is a text about the people who have fallen in love with Žižkov - the Prague district - which is a small homeland and the centre of the world for them.

RENATA WEINEROVA: *Roms in Prague*

This is the description of the situation of Roms in Prague present-

ed through the direct talks with them and the survey, which Slovak and Hungarian Roms living in Prague answered, asked by the sociologists.

STUDIO OF SURREALIST PHOTOGRAPHY

There are the photographs by the outstanding surrealists (**Brasai, Man Ray, Medková, Nožiška, Štyrský, Teige**) with the introduction by Petr Král.

CIRCLES OF INITIATION

PETR KRÁL: *Prague - The town of meetings*

In this essay the author reveals the soul of Prague by means of "short-circuits" when in the most unexpected and sudden way different epochs, modes of aesthetics, artistic trends and fashions come together. The avant-garde traditions meet the classicism, the royal castle meets the peripheries, and the Gothic archway spits out a tram.

BISERKA RAJČIČ: *Surrealist Prague*

This is a text about Prague of the 20s and 30s, which was dominated by the avant-garde movements, especially surrealism promoted by Nezval and Teige.

Poems by Vítězslav Nezval: "The Encounter", "The Moonlight Evening", "Carmelite Street".

JOSEF KROUTVOR: *Prague - the city of sharp edges*

Prague once endeavoured to make cubism independent, cubism, which struck roots there, which influences not only painting, but also architecture and applied art. Even in Paris you cannot find cubist houses. Nowhere in the wide-world you cannot find cubist wardrobes and furnitures except Prague.

JAN ŠVANKMAJER'S STUDIO

Surrealism in Prague is not a historical movement, it still has its continuators. One of the most interesting artistic personalities of modern Prague - Jan Švankmajer belongs with them. In the studio there are presented his own opinions concerning his artistic activities, the reproductions of his collages, masks, puppets as well as the pictures from his films.

ODDS AND ENDS

FRANTIŠEK KAUTMAN: *On the prostitution of the Czech nation*

In the text condemning various vices of his nation the author writes about the situation after 1989 as follows: "This is as if - excusez le mot - the old prostitute decided to become a wife and lead a decent life. This is a very difficult task."

RAYMOND REHNICER: *Prague - the metropolis on the world-scale?*

In a way ironically the author - an architect from Sarajevo - describes Prague desiring to become the metropolis on the world-scale, to become distinguished. "The provincial lack of self-confidence, to call it even the inferiority complex that can seize many eminent people contrasts highly with all that."

MIROSLAV HOLUB: *It could have been much worse - the Czech literature in the 90s.*

After - quite often sarcastic - opinions concerning the modern literary trends, which have not omitted the Czechs, the author - a poet and essayist himself - tries to reveal the characteristics of

the new position of Czech literature: "irony, self-irony, mild grief on the face, Homeric laughter in the heart."

JOSEF KROUTVOR: *In homage to Ripellini*

This is the homage paid to the author of the famous book "Magic Prague", which has helped the lifeless, dim city recover dignity, has reminded of lost fame, enlivened the myth and woken up the magic soul.

JOSEF FORBELSKÝ: *"Europe Centrale"*

This is the reminder of the biweekly issued in Prague in 1927-1938 in French, which published texts on politics, economy and culture of all Central European countries.

DISPLAY

This is the presentations of the book, publishing series, CDs and analogue records concerning the problems of Central Europe. There are the discussions of the recent publications: albums, books, periodicals and musical recordings published in Poland and abroad, devoted to the problems of Central Europe and the Czech culture in general.

CANDLES IN THE WIND

There are poems and songs of the bard of the Czechoslovak opposition, who in 1969 emigrated to the West, to come to Prague along with the Velvet Revolution. However, he died as an outsider writing protest songs, having never agreed on the split of Czechoslovakia and the policies of Klaus and Mečiar.

THE HOUR OF THOUGHT

JAN PATOČKA: *A spiritual man and an intellectual*

This is one of the latest lectures of an eminent Czech philosopher and humanist, the student of Husserl, who passed away in 1977. In order to explain the difference between a spiritual man and an intellectual, the author draws upon the Greek philosophy, Plato and Socrates.

VACLAV HAVEL: *The time of the turn*

This is his speech delivered in 1994 in Philadelphia on the occasion when Havel was handed the Medal of Freedom on the Independence Day in the United States of America. This is the deep reflection of the Principal at Hradšany concerning the modern situation of the human-being, his spiritual condition, threats and challenges he must face.

ILLUSTRATIONS

There are in this issue the works by eminent Prague photographers: Josef Sudek, Karel Cudlín, and the excellent author of the naive painting - Iva Hüttnerova.

PAMIĘĆ STAROWIEKU

Bukowina

Spotkanie z cyklu „Otwarte regiony Europy Środkowo-Wschodniej”
SEJNY, kwiecień 1996



Fundacja „Pogranicze”
Ośrodek „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów”

OŚRODEK POGRANICZE — SZTUK, KULTUR, NARODÓW
FUNDACJA POGRANICZE•SEJNY

dom gniazdo świątynia

